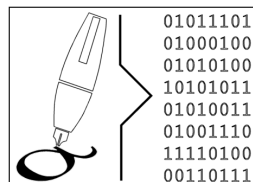


# ROBERT JORDAN

## Kamień Łzy

drugi tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 2

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

*The dragon reborn. Vol. 2*

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

# KOBIETA Z TANCHICO

W oświetlonej rześście wspólnej sali gospody z powodu późnej pory zajęta była najwyżej jedna czwarta stołów. Kilka służących w białych fartuchach uwijało się pomiędzy mężczyznami, roznosząc kufle z piwem i winem. Na tle ożywionych rozmów rozbrzmiewały dźwięki trącanych strun harfy. Goście siedzieli przy stołach, niektórzy z fajkami w zębach, dwóch pochylało się nad planszą do gry w kamienie. W dobrze skrojonych płaszczach ze znakomitej wełny, pozbawionych jednak złota, srebra lub innych zdobień, charakterystycznych dla strojów prawdziwych bogaczy, wyglądali jak oficerowie ze statków albo pomniejsi kupcy z mniej znacznych domów. Po raz pierwszy tego wieczoru Mat nie usłyszał znajomego stukotu i grzechotania kości. Ogień płonął na długich rusztach w przeciwnym końcu sali, jednakże nawet bez ogrzewania wewnątrz zapewne tchnęłoby przytulnością.

Harfiarz stał na blacie stołu i akompaniując sobie, recytował *Marę i trzech głupich królów*. Jego instrument, cały wykonany ze złota i srebra, stosowny był raczej do pałacowych komnat. Mat znał tego barda. Kiedyś uratował mu życie.

Harfiarz był szczupłym mężczyzną, można by go nawet nazwać wysokim, gdyby się nie garbił, nadto lekko powłóczył nogą, co od razu zwracało uwagę, kiedy przesuwiał stopy po blacie stołu. Mimo iż znajdował się pod dachem, miał na sobie płaszcz, cały naszywany furkoczącymi łatami, które mieniły się setką kolorów. Zawsze chciał, aby od razu rozpoznawano w nim barda. Długie wąsy i krzaczaste brwi były białe, podobnie jak gęste włosy na głowie. W jego niebieskich oczach błyszczał smutek, nawet wtedy gdy recytował. To spojrzenie było równie zaskakujące jak widok samej postaci. Mat nigdy nie podejrzewał Thoma Merrilina o to, że jest człowiekiem przepełnionym smutkiem.

Zajął miejsce przy stole, ułożył swe rzeczy na podłodze za stołkiem i zamówił dwa kufle wina. Ładna młoda służąca aż zamrugowała wielkimi brązowymi oczyma.

— Dwa, młody panie? Doprawdy nie wyglądasz na tak tęgiego pijaka. — W jej głosie lekko drżały psotne tony śmiechu.

Poszperał chwilę po kieszeniach i wyciągnął dwa srebrne grosze. Wino kosztowało o połowę mniej, druga moneta miała być wyrazem uznania dla urody jej oczu.

— Mój przyjaciel wkrótce dołączy do mnie.

Wiedział, że Thom go dostrzegł. Staremu bardowi głos niemalże zamarł na ustach, kiedy Mat wszedł do środka. To również stanowiło swego rodzaju nowość. Niewiele rzeczy potrafiło Thoma zaskoczyć do tego stopnia, by cokolwiek po sobie pokazał. Mat znał pieśniarza na tyle dobrze, by wiedzieć, że jedynie coś tak groźnego jak trolloki może przerwać w połowie jego opowieści. Kiedy dziewczyna przyniosła wino i resztę w miedziakach, postawił przed sobą cynowe kufle i wsłuchał się w zakończenie historii.

— „I było tak, jak powiedzieliśmy, że być powinno”, rzekł król Madel, starając się wypłatać rybę ze swej długiej brody — głos Thoma zdawał się rozbrzmiewać echem, jakby niósł się po wielkiej sali, nie zaś zwyczajnej izbie w gospodzie. Szarpnięciami strun podkreślał ostateczną głupotę trzech królów. — „I było tak, jak powiedzieliśmy, że będzie”, powiedział Orander, i poślizgnąwszy się w glinie, usiadł z głośnym plaśnięciem. „I było tak, jak powiedzieliśmy, że musi być”, oznajmił Kadar, po pas zanurzony w rzece, szukając swej korony. „Ta kobieta nie ma pojęcia, o czym mówi. Jest głupia!” Madel i Orander głośno wyrazili swój aplauz. A tego było już Marze za wiele. „Dałam im tyle szans, na ile zasłużyli, a nawet więcej”, wyszeptwała do siebie. Wsunęła koronę Kadara do torby, gdzie już znajdowały się pozostałe dwie, wsiadła na powrót do swego powozu, cmoknęła na klacz i pojechała prosto do rodzinnej wioski. A kiedy przybyła, opowiedziała jej mieszkańcom o wszystkim, co się zdarzyło. Odtąd ludzie z Heape nie mieli już żadnego króla. — Dźwiękami instrumentu bard podkreślił raz jeszcze temat głupoty królów, tym razem wznosząc się aż do crescendo, które zabrzmiało zupełnie jak śmiech, po czym ukłonił się zamaszyście, prawie spadając przy tym ze stołu.

Mężczyźni śmiali się i tupali nogami, choć zapewne każdy z nich wielokrotnie już słyszał wcześniej tę pieśń, i domagali się kolejnych historii. Opowieść o Marze miała zawsze dobrą publiczność, z wyjątkiem, być może, samych królów.

Schodząc ze stołu, Thom znów niemalże upadł; szedł w stronę stołu Mata, krokiem nazbyt niepewnym, aby dawał się wytłumaczyć tylko zeszywnieniem nogi. Ostrożnie położył harfę na stole, opadł na stołek przy drugim kuflu i wpatrzył się w Mata spojrzeniem bez wyrazu. Jego wzrok, zwykle ostry i świdrujący, obecnie był rozbiegany.

— Potoczny — wymruczał. Głos Thoma, chociaż wciąż głęboki, już nie niósł się echem jak dawniej. — Ta opowieść jest sto razy lepsza, gdy wygłasza się ją prostym stylem, a tysiąc razy lepsza w stylu wzniosłym, ale oni chcieli potocznego.

Bez dalszych słów zajął się swoim winem.

Mat nie mógł przypomnieć sobie, by kiedykolwiek widział, żeby Thom, skończywszy grać na harfie, nie włożył jej natychmiast do skórzanego futerału. Nigdy też nie spotkał go tak podchmielonego. Dlatego z ulgą przyjął skargi barda na słuchaczy — Thom zawsze uważał ich gusta za znacznie bardziej pospolite od

swoich. Przynajmniej to jedno nie uległo zmianie.

Dziewczyna służebna pojawiła się znowu, tym razem już nie mrugała oczami.

— Och, Thom — powiedziała miękko, potem zwróciła się do Mata. — Gdybym wiedziała, że to jest przyjaciel, na którego czekasz, nigdy nie przyniosłabym dla niego wina. Nawet gdybyś mi dawał sto srebrnych groszy.

— Nie wiedziałem, że jest pijany — zaprotestował Mat.

Ale ona znów patrzyła na Thoma, jej głos był znowu delikatny.

— Thom, potrzebujesz odpoczynku. Jeśli im pozwolisz, zmuszą cię, byś opowiadał swe historie przez całą noc i cały dzień.

Z drugiej strony obok Thoma stanęła następna kobieta. Ściągnęła fartuch przez głowę. Starsza od pierwszej, lecz równie piękna. Mogłyby być siostrami.

— Piękna pieśń, zawsze uważałam, Thom, że wykonujesz ją cudownie. Chodź, ogrzałam ci już łóżko, będziesz mógł opowiedzieć mi o dworze w Camlyn.

Tom wpatrywał się w kufel, jakby zaskoczony, że znajduje w nim tylko pustkę, potem, szarpiąc wąsa, przenosił swe spojrzenie od jednej kobiety do drugiej.

— Piękna Mada. Piękna Saal. Czy kiedykolwiek mówiłem wam, że kochały mnie w życiu dwie piękne kobiety? To więcej niż niejeden mężczyzna może o sobie powiedzieć.

— Wszystko to wiemy, wspominałeś nam o tym, Thom — ze smutkiem powiedziała starsza. Młodsza patrzyła na Mata, jakby on wszystkiemu zawinił.

— Dwie — wymamrotał Thom. — Morgase była popędliwa, ale wydawało mi się, że nie muszę zwracać na to uwagi, dopóki na koniec nie zapragnęła mnie zabić. Denę sam zabiłem. To bez znaczenia. Żadnej różnicy. Miałem dwie szanse, to więcej niż pozostali, i obydwie zaprzepaściłem.

— Zaopiekuję się nim — odezwał się Mat. Mada i Saal równocześnie spojrzały na niego. Uśmiechnął się do nich swym najbardziej sympatycznym uśmiechem, ale to nie wywarło na nich żadnego wrażenia. W żołądku zaburczało mu głośno. — Czy to co czuję, to nie przypadkiem zapach pieczonego kurczęcia? Przynieście mi trzy lub cztery.

Dwie kobiety zamrugały oczami i wymieniły zaskoczone spojrzenia, kiedy dodał:

— Chcesz coś zjeść, Thom?

— Miałbym ochotę jeszcze na odrobinę tego znakomitego andorańskiego wina. — Bard z nadzieją uniósł swój kufel.

— Nie dostaniesz dziś już ani odrobiny wina, Thom. Starsza kobieta próbowała odebrać mu kufel.

Młodsza, przerywając prawie w pół słowa starszej, dodała tonem stanowczym i błagalnym zarazem:

— Dostaniesz kurczaka, Thom. Jest znakomity.

Żadna nie odeszła od stołu, dopóki bard nie zgodził się wreszcie zjeść czegoś, a kiedy poszły po zamówiony posiłek, obdarzyły Mata taką kombinacją spojrzeń i westchnień, że mógł jedynie potrząsnąć głową.

„Niech szczęzę, jeśli zachęcałem go do picia! Kobiety! Ale obie mają tak śliczne oczy...”

— Rand powiedział mi, że żyjesz — zwrócił się do Thoma, gdy obie służące oddaliły się dostatecznie, by go nie słyszeć. — Moiraine zawsze uważała, że tak jest. Ale słyszałem, iż byłeś w Cairhien, a teraz masz zamiar udać się do Łzy.

— Rand wciąż ma się dobrze, więc? — Spojrzenie Thoma nabrało ostrości, stając się niemal tak przenikliwe jak dawniej. — Tego się raczej nie spodziewałem. Moiraine wciąż jest z nim, nieprawdaż? Piękna kobieta. W ogóle porządna, gdyby nie to, że Aes Sedai. Kiedy zadajesz się z kimś takim, to może się to skończyć czymś o wiele gorszym niż zwykle poparzenie palców.

— Dlaczego sądziłeś, że Rand może być w niebezpieczeństwie? — zapytał ostrożnie Mat. — Czy wiesz o czymś, co mogłoby mu grozić?

— Czy wiem? Ja niczego nie wiem, chłopcze. Podejrzewam więcej, niż jest to dla mnie bezpieczne, ale nie wiem nic.

Mat postanowił porzucić ten temat.

„Żadnego pożytku z utwierdzania go w tych podejrzeniach. Upewnianie go, że wiem więcej, niż powinienem, nie przyniesie mi nic dobrego.”

Starsza kobieta — Thom mówił do niej: Mada — wróciła, niosąc trzy kurczaki ze spieczoną, brązową skórką. Obdarzyła siwowłosego mężczyznę spojrzeniem pełnym zatroskania, Mata zaś wzrokiem, w którym zamigotało ostrzeżenie, po czym ponownie oddaliła się. Mat oderwał udko i nie przerywając rozmowy, zaczął je obgryzać. Thom spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w swój kufel, nie poświęcając pieczonym ptakom ani odrobiny uwagi.

— Dlaczego przyjechałeś tutaj, do Tar Valon, Thom? To jest ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym się ciebie spotkać, biorąc pod uwagę uczucia, jakie żywisz do Aes Sedai. Słyszałem, że zarabiałeś grube pieniądze w Cairhien.

— Cairhien — wymruczał stary bard, jego oczy na powrót straciły ostry wyraz. — Zabicie człowieka przysparza wiele kłopotów, nawet jeśli tamten sobie na to zasłużył.

Szybki ruch ręką i w dłoni błysnął nóż. Thom zawsze nosił noże poukrywane w zakamarkach odzieży. Mimo że był już bardzo pijany, ostrze trzymał pewnie.

— Zabij człowieka, który sobie na to zasłużył, a może się zdarzyć, że zapłacą za to inni. Pytanie brzmi: co w ogóle warto robić? Zawsze istnieje równowaga, sam wiesz. Dobro i zło. Światłość i Cień. Nie bylibyśmy ludźmi, gdyby nie ta równowaga.

— Zostawmy to — wymamrotał Mat z pełnymi ustami. — Nie chcę rozmawiać o zabijaniu.

„Światłości, ten człowiek wciąż tam leży na ulicy. Niech szeszne, powinienem już być na pokładzie statku.”

— Zwyczajnie zapytałem, dlaczego przyjechałeś do Tar Valon. Jeżeli musiałeś opuścić Cairhien, ponieważ zabiłeś kogoś, to nic nie chcę o tym wiedzieć. Krew i popioły, jeśli wino do tego stopnia zamroczyło ci umysł, że nie potrafisz mówić sensownie, odchodzę.

Thom spojrział ze smutkiem i zręcznym ruchem schował nóż.

— Dlaczego przyjechałem do Tar Valon? Dlatego, że jest to najgorsze ze wszystkich miejsc, w których mógłbym się znaleźć, wyjąwszy może Caemlyn. A tego właśnie pragnę, chłopcze. Niektóre z Czerwonych Ajah wciąż o mnie pamiętają. Któregoś dnia widziałem Elaidę na ulicy. Gdyby wiedziała, że tutaj jestem, pasami darłaby ze mnie skórę, dopiero wówczas ukontentowana.

— Nigdy nie sądziłem, że jesteś zdolny do uzalania się nad sobą — powiedział z niesmakiem Mat. — Masz zamiar utopić się w kuflu wina?

— Co ty możesz o tym wiedzieć, chłopcze? — parsknął Thom. — Przeżyj parę lat więcej, zobacz trochę życia, kochaj jakąś kobietę lub dwie, a wtedy zrozumiesz. Być może pojmiesz, jeśli starczy ci rozsądku na to, by się uczyć. Ach, chcesz wiedzieć, dlaczego przyjechałem do Tar Valon? A dlaczego ty tutaj jesteś? Pamiętam, jak zadrzałeś, kiedy okazało się, że Moiraine jest Aes Sedai. Niemalże czułeś dotknięcie Cienia, za każdym razem, gdy ktoś choćby wymienił w twoim towarzystwie słowo „Jedyna Moc”. Cóż więc robisz w Tar Valon, gdzie na każdym kroku spotkać można Aes Sedai?

— Wyjeżdżam z Tar Valon. Oto, co tutaj robię. Wyjeżdżam!

Mat skrzywił się. Bard uratował mu życie, być może nawet ocalił go przed losem gorszym niż śmierć, gdy napadł ich Pomor. Dlatego właśnie prawa noga Thoma nie sprawowała się tak jak powinna.

„Na całym statku może nie być dość wina, aby mógł się tak upijać.”

— Jadę do Caemlyn, Thom. Jeśli, z jakichkolwiek powodów, musisz ryzykować swoje głupie życie, możesz pojechać ze mną.

— Caemlyn? — zapytał Thom głosem pełnym zadumy.

— Caemlyn, Thom. Elaida zapewne wróci tam wcześniej czy później, tak więc będziesz miał się czym przejmować. A nietrudno się domyślić, że jeśli wpadniesz w ręce Morgase, będziesz jeszcze żałował, że to nie Elaida cię dostała.

— Caemlyn. Tak. Caemlyn pasuje do mojego obecnego nastroju jak rękawiczka do dłoni. — Bard spojrział na talerz z kurczakami i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. — Co ty z nimi robisz, chłopcze? Upychasz po kieszeniach?

Z trzech ptaków zostały tylko kosteczki z kilkoma kawałkami mięsa.

— Czasami bywam głodny — wymamrotał Mat. Dużo wysiłku kosztowało go, by nie oblizywać palców. — Jedziesz ze mną czy nie?

— Och, jasne że pojedę, chłopcze. — Kiedy Thom podniósł się od stołu, jego postawa była o wiele bardziej stabilna niż poprzednio. — Poczekaj tutaj i postaraj

się nie zjeść stołu, a ja tymczasem wezmę swoje rzeczy i pożegnam się z kilkoma osobami.

Odszedł, nie zachwiawszy się ani razu.

Mat wypił odrobinę wina, oskubał resztki mięsa, jakie zostały jeszcze na talerzu pełnym kości i zastanawiał się właśnie, czy znajdzie czas, by zamówić kolejnego kurczaka, gdy Thom wrócił. Futerały z czarnej skóry, zawierające flet i harfę, zwisały mu z pleców obok zwiniętego w rulon koca. Podpierał się prostym kosturem, równie wysokim jak on sam. Dwie kobiety towarzyszyły mu z obu stron. Mat ostatecznie zdecydował, że muszą to być siostry. Identyczne brązowe oczy patrzyły na barda z takim samym wyrazem. Thom najpierw pocałował Saal, potem Madę i pocierając policzki, skierował się ku drzwiom, jednocześnie dając Matowi znak skinieniem głowy, by poszedł za nim. Był już na zewnątrz, zanim chłopiec skończył zbierać swój dobytek i pałkę.

Młodsza z dwu kobiet, Saal, zatrzymała go już niemal w drzwiach.

— Nie wiem, o czym rozmawialiście, ale wybaczam ci to wino, tylko musisz wiedzieć, że alkohol go niszczy. Od tygodni nie widziałam, żeby był taki ożywiony. — Wsunęła mu coś w dłoń, a kiedy spojrzał, nie dowierzał własnym oczom. Dała mu srebrną markę Tar Valon. — To za to, co mu powiedziałaś, niezależnie od tego, co to było. Poza tym, karmienie ciebie nie jest najlepszym interesem, ale masz bardzo piękne oczy.

Zaśmiała się, gdy ujrzała jego minę.

Mat również się roześmiał, niemalże wbrew sobie, i wyszedł na ulicę, przykładając srebrną monetę między palcami.

„Tak więc, mam ładne oczy, czyż nie?”

Jego śmiech urwał się nagle niczym ostatni łyk wina z baryłki — na ulicy był Thom, nie było zaś ciała. Przez okna tawern padało na zewnątrz wystarczająco dużo światła, aby mieć pewność. Straż miejska nie zabrałaby martwego człowieka, nie zadając po okolicznych tawernach stosownych pytań, przyszliby więc również i do gospody „Pod Kobieta z Tanchico”.

— Na co tak patrzysz, chłopcze? — zapytał Thom. W tych cieniach nie kryją się żadne trolloki.

— Rabusie — wymruczał Mat. — Myślę o rabusiach.

— W Tar Valon nie znajdziesz ani ulicznych rabusiów, ani złodziei, chłopcze. Niezbyt wielu próbuje uprawiać tutaj swój proceder, plotki bowiem rozchodzą się łatwo i strażnicy szybko złapią rabusia. Wówczas prowadzą go do Wieży i następnego ranka opuszcza ją z oczyma szeroko otwartymi jak gęsiareczka. Słyszałem, że z kobietami złapanymi na kradzieży postępują jeszcze ostrzej. Nie, jedyny sposób, by stracić tutaj swoje pieniądze, to zostać oszukany na ich wymianie, gdy ktoś wciśnie ci brąz za twoje złoto, albo wypłaci ci monetą ostruganą na krawędzi. Nie ma tutaj rabusiów.

Mat odwrócił się i mijając Thoma, ruszył w stronę doków.



Po drodze uderzał pałką o kamienie bruku, jakby w ten sposób mógł poruszać się szybciej.

— Mam zamiar odpłynąć pierwszym statkiem, który wyrusza z portu, nieważne jakim. Pierwszym, Thom.

Z tyłu, za nim kij Thoma stukał pospiesznie o bruk.

— Zwolnij, chłopcze. Po co się tak spieszyć? Odpływa stąd mnóstwo statków, bez względu na porę dnia czy nocy. Zwolnij, nie ma tutaj żadnych rabusiów.

— Pierwszym przeklętym statkiem, Thom! Nawet jeżeli będzie tonął, my znajdziemy się na jego pokładzie!

„Jeśli to nie byli rabusie, to kto? To musieli być złodzieje. Nikt inny.”

## PIERWSZY STATEK

Południową Przystań, wielki, okrągły basen, zbudowany jeszcze przez Ogiarów, otaczały wysokie mury z tego samego, na srebrno pręgowanego kamienia, co reszta Tar Valon. Długie nabrzeże, w większej części zadaszone, otaczało cały port, wyjąwszy miejsca, w których szerokie bramy wodne otwierały się na rzekę. Przy nabrzeżu, przycumowane do niego rufami, stały rzędem statki wszelkich rozmiarów, a pomimo późnej pory dokerzy w prostych koszulach bez rękawów uwijali się przy wyładunku lub załadunku bali, skrzyń, paczek, baryłek, posługując się linami i przenośnymi dźwigami, czy też po prostu przenosząc je na plecach. Umocowane na zadaszeniu lampy oświetlały nabrzeże, okalając czerń wody pośrodku zatoki kręgiem światła. W ciemnościach przemykały małe, otwarte łodzie; kwadratowe latarnie, zawieszane na wysokich stewach rufowych, sprawiały, że wyglądały jak świetliki muskające powierzchnię wody w zatoce. Jedynie w porównaniu ze statkami mogły wydawać się małe, niektóre miały wszak po sześć par długich wiosła.

Kiedy Mat przeprowadził wciąż narzekającego Thoma pod łukiem z polerowanego czerwonego kamienia, a później w dół szerokimi schodami na nabrzeże, spostrzegł, że w odległości nie większej niż dwadzieścia kroków od nich, załoga luzuje właśnie liny cumownicze. Łódź była większa, niż wszystkie, które Mat mógł dostrzec z miejsca, gdzie stał; od ostrego dzioba do kwadratowej rufy mierzyła jakieś piętnaście lub dwadzieścia piędzi, płaski pokład, otoczony nadburciem znajdował się prawie na poziomie nabrzeża. Najważniejsze, że właśnie odcumowywała.

„Pierwszym statkiem, który będzie odpływał.”

Na nabrzeżu pojawił się siwowłosy mężczyzna, trzy rzędy konopnego sznura naszyte na rękawach ciemnego płaszcza czyniły z niego dokmistrza. Szerokie ramiona wskazywały, że karierę swą zaczynał raczej ciągnąc liny jako prosty doker, niż nosząc je w formie szarży, jak obecnie. Dokładnie przyjrzał się postaci Mata i przystanął, na pomarszczonej twarzy rozblęśło zaskoczenie.

— Twoje bagaże zdradzają, co sobie zaplanowałeś, chłopcze, ale równie dobrze możesz o tym zapomnieć. Siostra pokazała mi twój portret. Nie wsiądziesz na pokład żadnego statku w Południowej Przystani. Wróc na górę po tych schodach,

żeby nie musiał wysłać ludzi, by cię odprowadzili.

— Co, na Światłość...? — wymruczał Thom.

— Wszystko się zmieniło — odparł zdecydowanie Mat. Z pokładu statku zrzucono właśnie ostatnią cumę, zwinięte, trójkątne żagle wciąż spoczywały w postaci grubych, białych tłumoków na długich, pochyłych rejach, ale załoga już przygotowywała wiosła. Wyciągnął z kieszeni dokument Amyrlin i podsunął dokmistrzowi pod sam nos.

— Jak to jest tutaj napisane, obecnie znajduję się w służbie Wieży, na rozkazach samego Tronu Amyrlin. I muszę odpłynąć tym właśnie statkiem.

Dokmistrz uważnie przeczytał dokument, potem zaczął raz jeszcze.

— Jak żyję, nie widziałem jeszcze czegoś takiego. Dlaczego Wieża najpierw każe cię zatrzymać, a potem daje ci... to?

— Jeśli chcesz, zapytaj samą Amyrlin — odrzekł mu Mat znudzonym głosem, chcąc w ten sposób zademonstrować, iż nie wierzy, aby ktoś mógł być tak głupi, żeby rzeczywiście odważył się to zrobić — ale ona zedrze ze mnie skórę, z ciebie zresztą również, jeśli nie odpłynę tym statkiem.

— Nigdy ci się nie uda — oznajmił dokmistrz, ale jednocześnie podnosił już dłonie do ust, by zawołać: — Hej tam na pokładzie „Szarej Mewy”! Zatrzymać się! Niech was Światłość spali, stop!

Nagi do pasa człowiek przy rumplu spojrzął do tyłu, potem powiedział coś do wysokiego towarzysza w ciemnym płaszczu z bufiastymi rękawami. Tamten jednak nie spuszczał wzroku z załogi, właśnie zanurzającej wiosła w wodzie.

— Razem ciągnąć — rozkazał i pióra wiosel zawirowały pianą w wodzie.

— Uda mi się — warknął Mat. „Powiedziałem pierwszy statek i pierwszy miałem na myśli.” — Chodź, Thom!

Nie odwracając się, by zobaczyć, czy bard podąża za nim, pobiegł w dół nabrzeża, lawirując pomiędzy ludźmi i noszami wypełnionymi ładunkiem. Szczelina pomiędzy rufą „Szarej Mewy” a nabrzeżem powiększała się w miarę jak wiosła uderzały silniej. Zamachnął się ręką trzymającą pałkę i cisnął ją w kierunku statku jak włócznię, potem zrobił jeszcze jeden krok i skoczył, odbijając się tak mocno, jak tylko potrafił.

Ciemna woda, która na mgnienie przemknęła mu pod stopami, wyglądała na lodowato zimną, ale już przeleciał przez nadburcie i potoczył się po pokładzie. Kiedy wstawał niezgrabnie, usłyszał za sobą chrząknięcie i, chwilę później, przekleństwo.

Thom Merrilin wspiął się na nadburcie, zaklął ponownie i przeszedł na pokład.

— Zgubiłem mój kij — wymamrotał. — Będę potrzebował następnego.

Masując prawą nogę, popatrzył w dół, na wciąż poszerzające się pasmo wody za łodzią, i zadrżał.

— Już raz się dzisiaj kapałem.

Sternik bez koszuli wpatrywał się szeroko rozwartymi oczyma to w niego, to w Mata, i na powrót w niego, ściskając w dłoni rumpel, jakby zastanawiał się, czy może użyć go w charakterze broni przeciwko szaleńcom.

Wysoki mężczyzna był w równym stopniu zaskoczony. Wytrzeszczył blade, błękitne oczy, a jego usta poruszały się przez chwilę, nie wydając dźwięku. Ciemna broda, wystrzyżona w szpic, zdawała się drzeć z gniewu, wąska twarz powoli robiła się purpurowa.

— Na Kamień! — zaryczał wreszcie. — Co to wszystko ma znaczyć? Na tym statku nie mam miejsca dla nikogo więcej prócz pokładowego kota, a nawet gdybym miał, to i tak nie zabrałbym włóczęgów, którzy sami skaczą na pokład. Sanor! Vasa! Wyrzucicie te śmieci za burtę!

Dwóch ogromnych mężczyzn, obnażonych do pasa i bosych, uniosło się znad zwojów lin i pospieszyło w kierunku rufy. Ludzie przy wiosłach nie przerywali swego zajęcia, pochylali się, podnosząc ich pióra, przechodzili trzy długie kroki po pokładzie, potem prostowali się i wracali, w ten sposób pchając łódź naprzód.

Mat jedną ręką zamachał dokumentem Amyrlin w kierunku brodatego mężczyzny — najpewniej kapitana, jak osądził — podczas gdy drugą wyłowił z kieszeni złotą koronę, pomimo pośpiechu nie zapominając o tym, by dać do zrozumienia, iż tam, skąd wyjął tę jedną, jest ich jeszcze więcej. Wciskając ciężką monetę mężczyźnie, równocześnie nie przestawał szybko przemawiać i wymachiwać dokumentem.

— To za zamieszanie towarzyszące naszemu wejściu na pokład, kapitanie. Jeszcze więcej mogę zaoferować za przewóz. Jesteśmy w służbie Białej Wieży. Pod osobistymi rozkazami Tronu Amyrlin. Musimy odpłynąć natychmiast. Do Aringill, w Andorze. Bardzo się spieszymy. Błogosławieństwo Białej Wieży dla wszystkich, którzy nam pomogą, gniew tym, którzy staną nam na drodze.

Z pewnością mężczyzna musiał, podczas tej przemowy, zobaczyć już pieczęć z Płomieniem Tar Valon — i niewiele ponadto, jak Mat miał nadzieję — zwinął więc i schował dokument. Niespokojnie wpatrywał się w dwóch wielkich mężczyzn, zajmujących swe pozycje po bokach kapitana — „Niech szczenę, obaj mają ramiona równie grube jak Perrin!” — żałował, że nie ma w dłoni swej pałki. Widział ją nawet, leżącą tam gdzie wylądowała, na dalszej części pokładu. Usiłował przybrać wygląd pewny i budzący zaufanie, wygląd człowieka, z którym lepiej nie zadzierać, człowieka, za którym stoi potęga Białej Wieży.

„Którą, mam nadzieję, zostawiłem właśnie daleko za sobą.”

Kapitan spojrział na Mata z powątpiewaniem, na Thoma zaś — na jego płaszcz barda i niezbyt pewną postawę zerknął wzrokiem, w którym było jeszcze mniej zaufania, ale jednak gestem powstrzymał Sanora i Vasę.

— Nie chcę rozgniewać Białej Wieży. Niech szcześnie ma dusza, przez cały czas, od kiedy zajmuję się handlem rzeczonym, pływam od Łzy do tego gniazda... Nazbyt często, żeby nie rozgniewać... właściwie wszystkich. — Na twarz

wypełzył mu zacięty uśmiech.

— Ale powiedziałem prawdę. Na Kamień, czystą prawdę! Mam sześć kabin pasażerskich i wszystkie są pełne. Możecie spać na pokładzie i jeść wraz z załogą, za cenę... kolejnej złotej korony. Od głowy.

— To szaleństwo — zachnął się Thom. — Niezależnie od skutków, jakie wywołała wojna w dole rzeki, jest to szaleństwo.

Dwóch wielkich żeglarzy zaczęło niespokojnie przestępować z nogi na nogę.

— Taka jest moja cena — twardo odparł kapitan. Nie mam ochoty z nikim zadzierać, ale nie będę was przecież zmuszał do pozostawania na pokładzie mej łodzi. To tak, jakbyście chcieli człowiekowi zapłacić za to, by pozwolił wytarzać się w gorącej smole. W taki właśnie sposób może się skończyć dla mnie cała ta historia z wami. Płacie albo wylatujecie przez burtę i niech was sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin potem wysuszy. A to zatrzymam za kłopoty, jakie mi sprawiliście, dziękuję.

Wsunął otrzymaną od Mata złotą koronę do kieszeni płaszcza z bufiastymi rękawami.

— Ile należałoby zapłacić za jedną z kabin? — dopytywał się Mat. — Wyłącznie dla naszego użytku. Możesz przenieść tego, który ją zajmuje, i dokwaterować do kogoś innego.

Nie miał ochoty spać na wolnym powietrzu w zimne noce, jakie teraz nastąpiły.

„Jeśli ugniesz się choć raz przed takim człowiekiem, to niedługo ukradnie twe spodnie i jeszcze da do zrozumienia, że wyświadcza ci przysługę.”

— Będziemy jedli razem z tobą, a nie z załogą. Ja potrzebuję dużo jedzenia.

— Mat — mitygował go Thom. — To raczej ja mógłbym mówić jak pijany.

Odwrócił się w stronę kapitana, prezentując naszywany łatkami płaszcz oraz zwinięty koc i instrumenty muzyczne.

— Jak pan zapewne zauważył, kapitanie, jestem bardem. — Nawet na otwartej przestrzeni jego głos nagle zdawał się rozbrzmiewać echem. — Za cenę przejazdu, z przyjemnością będę zabawiał twych pasażerów i załogę...

— Moja załoga ma na pokładzie pracować, a nie bawić się, bardzo. — Kapitan szarpnął szpic brody, jego blade oczy z dokładnością do jednego miedziaka szacowały prosty płaszcz Mata.

— A więc, chcesz kabinę, czy tak? — zaniósł się urywanym, szczekliwym śmiechem. — I jeść przy moim stole? Cóż, powinienem ci chyba zaoferować moją kabinę i moje posiłki. Pięć złotych koron od każdego z was! Andorańskiego systemu!

Andorańskie były najcięższe. Zaczął się śmiać tak gwałtownie, że przez chwilę słowa wydobywały się z jego ust w postaci rwanego posapywania. Po obu stronach Sanor i Vasa wykrzywili twarze w szerokie grymasy.

— Za dziesięć koron możesz sobie zabrać moją kabinę i moje posiłki, a ja przeprowadzę się do kajuty pasażerskiej i będę jadł z załogą. Niech szczerze ma

dusza, jeśli tak nie zrobię! Na Kamień, przysięgam! Za dziesięć złotych koron. . .

Śmiech stłumił całkowicie dalsze słowa.

Wciąż śmiał się jeszcze, z trudem łapiąc oddech i ocierając z policzków łzy, gdy Mat wyjął jedną ze swych dwu sakiewek, lecz rehot zamarł nagle, kiedy odliczył pięć koron i podał kapitanowi.

— Powiedziałeś, systemu andorańskiego? — padło pytanie. Trudno było jednoznacznie określić wagę pieniędzy, nie posiadając szalek, ale Mat położył na stosie monet kolejne siedem. Dwie w istocie były z Andoru, spodziewał się, że pozostałe uzupełnią ciężar.

„Wystarczająco dużo, jak na tego człowieka.”

Po chwili dodał jeszcze dwie złote korony z Tairen.

— To dla tego, którego będziesz musiał usunąć z kabiny. — Nie przypuszczał, by pechowy pasażer zobaczył choćby miedziaka, czasami jednak opłacało się okazać szczodrość. — Nie zechcesz chyba pozbawić ich należnej rekompensaty. Nie, z pewnością nie. Coś im się wszak należy za to, że będą się musieli tłoczyć z innymi. Nie ma również potrzeby, abys jadał z załogą, kapitanie. Zapraszamy cię do naszego stołu w twojej kabynie.

Thom wpatrywał się weń z podobnym napięciem jak pozostali obecni.

— Czy nie jesteś. . . — głos brodacza zmienił się w ochryPLY szept. — Czy aby nie jesteś, panie. . . przypadkiem. . . młodym lordem w przebraniu?

— Nie jestem żadnym lordem — zaśmiał się Mat.

Miał powody do wesołości. „Szara Mewa” powoli roztapiała się w ciemnościach zalegających nad zatoką, szereg świateł nabrzeża obramowywał czarną szczelinę w niewielkiej już odległości przed dziobem, szczelina oznaczała miejsce, gdzie bramy wodne otwierały się na rzekę. Wiosła szybko pchały łódź w kierunku mroczniejszego przejścia. Załoga już brasowała długie, pochyłe reje, przygotowując się do postawienia żagli. Z dłonią obciążoną złotem, kapitan nie miał już ochoty wyrzucać kogokolwiek za burtę.

— Jeśli pan pozwoli, kapitanie, chcielibyśmy zobaczyć naszą kajutę. To znaczy, pańską kajutę. Jest już późno i przede wszystkim potrzebuję paru godzin snu. — W tej samej chwili jego żołądek przypomniał o sobie. — Poproszę też o kolację!

Podczas gdy łódź wytrwale cięła dziobem ciemność, brodacz sam sprowadził Mata i Thoma po drabinie pod pokład, do krótkiego, wąskiego korytarza ograniczonego po obu stronach rzędami ciasno obok siebie położonych drzwi. Kapitan przeniósł rzeczy ze swojej kabiny — pomieszczenia, zajmującego całą szerokość rufy, z łóżkiem i resztą umeblowania wbudowanymi w ściany (oprócz dwu krzeseł i kilku skrzynek) — i dopilnował, by Mat i Thom ulokowali się w niej. Podczas tych operacji Mat wiele się dowiedział o tym człowieku, poczynając od faktu, iż nie miał najmniejszego zamiaru pozbawiać ktoregokolwiek z pasażerów przysługującej mu kabiny. Zbyt wielkim bowiem darzył szacunkiem, jeśli nawet nie ich

samych, to przynajmniej monetę, którą opłacili przejazd, aby zdecydować się na takie postępowanie. W rzeczy samej, kapitan po prostu zajął kajutę pierwszego oficera, ten z kolei łóżko drugiego, i tak dalej aż do bosmana, który przeniósł się do kabiny załogi na dziobie.

Mat nie sądził, by takie informacje mogły się okazać użyteczne, ale uważnie wsłuchiwał się we wszystko, co tamten mówił. Zawsze lepiej wiedzieć, nie tylko dokąd się udajesz, lecz również z kim, w przeciwnym razie bowiem twój kompan może zabrać ci płaszcz oraz buty i zostawić cię bosego na deszczu.

Kapitan był Tairenianinem, nazywał się Huan Mallia; wywiązując się z opłaconych obowiązków, a jednocześnie dla własnej przyjemności, przemawiał ze swadą do Mata i Thoma. Nie był szlachetnie urodzony, powiadał, oczywiście, że nie, ale nie pozwoli nikomu myśleć o sobie jako o głupcu. Młody człowiek, z większą ilością złota, niżli mógłby którykolwiek młodzieniec uczciwie posiadać, może być złodziejem, jeśli nie wiedziałoby się z całą pewnością, że złodziejom nigdy nie udaje się uciec z Tar Valon ze swoim łupem. Młody człowiek, odziany jak wieśniak, pewny siebie i zachowujący się zuchwale niczym lord, którym wszakże, jak twierdzi, nie jest. . .

— Na Kamień, nie twierdę, że nim jesteś, skoro mówisz, iż jest przeciwnie.

Mallia zamrugał, odkaszlnął i szarpnął szpic swej brody. Młody człowiek, legitymujący się dokumentem z pieczęcią samej Zasiadającej na Tronie Amyrlin i zmierzający do Andoru. Nie było tajemnicą, że królowa Morgase odwiedziła Tar Valon, choć oczywiście powód tej wizyty nie był znany. Dla Mallii nie ulegało wątpliwości, że zanoszą się na coś między Caemlyn i Tar Valon. A Mat i Thom byli posłańcami wysłanymi przez Morgase, jak to osądził po akcencie Mata. Cokolwiek mógłby zrobić, aby przyczynić się do sukcesu tak wielkiego przedsięwzięcia, będzie to dla niego prawdziwą przyjemnością, jednak oczywiście nie będzie się wtrącał, jeśli jego oferta zostanie odtrącona.

Mat wymienił z Thomem zaskoczone spojrzenia, bard chował właśnie swe instrumenty pod wystającym z jednej ze ścian blatem stołu. Kajuta poza tym wyposażona była w dwa małe okna po obu stronach, para lamp osadzonych na kinietach służyła za całe oświetlenie.

— To nonsens — powiedział Mat.

— Oczywiście — replikował Mallia. Wyprostował się, oderwał na moment od wyciąganych z kufra, stojącego w nogach łóżka, ubiorów i uśmiechnął. — Oczywiście. — Potrzebne mu mapy rzeki znalazł we wbudowanej w ścianę szafie. — Nic więcej nie powiem.

Ale tak naprawdę, nieprzerwanie próbował się wtrącać, chociaż za wszelką cenę chciał ukryć swą ciekawość, i węsząc na ślepo, przeskakiwał z tematu na temat. Mat słuchał go, odpowiadając na pytania mruknięciami i wzruszaniem ramion, Thom nie reagował nawet w tak zdawkowy sposób. Potrząsał tylko głową, rozlokowując jednocześnie swe rzeczy.

Mallia całe swoje życie pływał po rzece, choć marzył o żeglowaniu po morzu. O wszystkich krainach, prócz Łzy, wyrażał się z nie ukrywaną pogardą, jedynym wyjątkiem był właściwie tylko Andor, któremu na koniec, chcąc nie chcąc, musiał udzielić niechętniej pochwały.

— Dobrze konie są w Andorze, tak słyszałem. Nieźle. Nie tak dobre jak rasy hodowane w Tairen, ale nie najgorsze. Robicie dobrą stal i wyroby żelazne, niczego sobie brąz i miedź. . . Handlowałem nimi dosyć często, choć ceny narzucacie srogie. . . ale przecież macie te kopalnie w Górach Mgły. I kopalnie złota. W Łzie musimy ciężko pracować na nasze złoto.

Z największą pogardą potraktował Mayene.

— To przecież nawet nie jest kraj, w mniejszym jeszcze stopniu niż Murandy. Jedno miasto i kilka lig ziemi. Narzucają dumpingowe ceny na naszą oliwę, z dobrych taireńskich oliwek, tylko dlatego, że ich statki wiedzą, gdzie można znaleźć ławice ryb olejowych. Nie mają prawa do nazywania się krajem.

Nienawidził Illian.

— Pewnego dnia złupimy ich do gołej skóry, zrównamy z ziemią wszystkie miasta i wioski, a na ugorze zasiejemy sól. — Broda Mallii niemalże zjeżyła się z gniewu i obrzydzenia na myśl o paskudnej ziemi illiańskiej. — Nawet ich oliwki są zgniłe! Pewnego dnia poprowadzimy wszystkie illiańskie kanale w łańcuchach! Tak powiada Wielki Lord Samon!

Mat zastanawiał się, jaki użytek Łza zrobiłaby z tych wszystkich ludzi, gdyby rzeczywiście zrealizowano taki plan. Illian trzeba by było karmić, a będąc niewolnikami, z pewnością nie chcieliby pracować. Wszystko to było pozbawione dlań najmniejszego sensu, jednak oczy Mallii lśniły, gdy o tym mówił.

Tylko głupcy zgadzają się na władzę pojedynczego człowieka, pozwalając by zarządzili nimi król lub królowa.

— Oczywiście z wyjątkiem królowej Morgase — dodał pośpiesznie. — Słyszałem, że to bardzo porządna kobieta. Piękna, jak mi powiedziano.

I wszyscy ci głupcy zginają karki przed jednym głupcem. Wielcy Lordowie rządzą Łzą wspólnie, wydając decyzje będące rezultatem współpracy, i tak właśnie powinno być wszędzie. Wielcy Lordowie wiedzą co jest słuszne, dobre i prawdziwe. A tym bardziej Wielki Lord Samon. Człowiek nigdy nie zboczy z właściwej drogi, jeśli będzie posłuszny Wielkim Lordom. A zwłaszcza Wielkiemu Lordowi Samonowi.

Mallia starał się za wszelką cenę nie ujawniać czegoś, co stanowiło przedmiot jego największej nienawiści, większej nawet niż królowie i królowe, większej niż Illianie. Mówił jednak tak dużo, usiłując odkryć cel ich misji, i tak bardzo stracił panowanie nad własnym głosem, że zdradzał więcej, niż zamierzał.

Zapewne musieli dużo podróżować w służbie tak wielkiej królowej jak Morgase. Niewątpliwie zwiedzili mnóstwo krain. Marzył o żegludze po morzu, gdyż wtedy mógłby zobaczyć kraje, o których dotąd jedynie słyszał, ponieważ wów-



czas mógłby odnaleźć ławice olejowych ryb Mayenian, a wtedy odsunąłby od handlu Lud Morza i wstrętnych Illian. No i morze leży przecież daleko od Tar Valon. Muszą przecież to rozumieć, gdyż z pewnością zmuszeni bywają do odwiedzania dziwnych miejsc i ludzi, których nie mieliby ochoty widzieć, co trudno byłoby im znieść, gdyby nie służyli królowej Morgase.

— Nigdy nie lubiłem dobijać do tego brzegu, nigdy bowiem nie wiadomo, kto tutaj może władać Jediną Mocą. — Niemalże wypluł dwa ostatnie słowa. Przecież od kiedy Wielki Lord Samon powiedział. . . — Niech szczerze ma dusza, to miejsce powoduje, że czuję się, jakby obłe robaki wgryzały mi się w brzuch, kiedy tylko spojrzę na ich Białą Wieżę, wiedząc, co planują.

Wielki Lord Samon powiedział, że Aes Sedai dążą do władzy nad światem. Powiedział, że chcą zmiażdżyć wszystkie ludy, położyć swój but na gardle każdego człowieka. Powiedział, że Łza nie może już dłużej poprzestać na zakazie używania Mocy na własnym terytorium, w nadziei, że to wystarczy. Powiedział, że dla Łzy nadchodzi dzień zasłużonej chwały, ale na przeszkodzie stoi Tar Valon.

— Nie mają szans, by tego uniknąć. Wcześniej czy później zostaną wytropione i zabite, wszystkie Aes Sedai, do ostatka. Wielki Lord Samon mówi, że pozostałe można będzie oszczędzić, młódki, nowicjuszek, Przyjęte — jeśli oprzytomnieją i nawrócą się na Kamień, ale cała reszta musi zostać wytępiona. Tak właśnie twierdzi Wielki Lord Samon. Biała Wieża musi zostać zniszczona.

Przez dłuższą chwilę Mallia stał pośrodku kajuty, z naręczem ubiorów, książkami oraz rulonami map, włosami niemalże omiatając belki pokładu nad głową, i patrzył w pustkę, w której Biała Wieża obracała się w ruinę. Potem wzdrygnął się, gdy zdał sobie sprawę, co właściwie przed momentem powiedział. Wystrzyżona w szpic broda zadrgała niepewnie.

— To znaczy. . . tak właśnie on mówi. Ja. . . ze swojej strony. . . sądzę, że być może, posuwa się trochę za daleko. Wielki Lord Samon. . . Potrafi tak przemawiać, że człowiek sam już nie wie, w co ma wierzyć. Jeśli Caemlyn może paktować z Wieżą, cóż, dlaczego nie miałyby tego czynić Łza. — Przeszył go dreszcz, ale jakby tego nie zauważył. — Tak właśnie myślę.

— Jak uważasz, kapitanie — odrzekł Mat czując, jak wzbiera w nim ochota na spleatanie komuś figla. — Sądzę, że twoje propozycje są właściwie słuszne. Ale nie należy poprzestać na kilku Przyjętych. Zaproście do siebie tuzin Aes Sedai albo dwa tuziny. Pomyśl, czym stałby się Kamień Łzy z dwudziestką Aes Sedai w środku.

Mallia aż zadrżał się.

— Przyślę człowieka po szkatułkę z pieniędzmi — powiedział dziwnym głosem i wyślizgnął się na zewnątrz.

Mat zmarszczył brwi, wpatrując się w zamknięte drzwi.

— Sądzę, że nie powinienem tego mówić.

— Nie bardzo rozumiem, jak w ogóle mogłeś coś takiego pomyśleć — po-

wiedział sucho Thom. — Następnym razem zaproponujesz Lordowi Kapitanowi Komandorowi Białych Płaszcy, żeby ożenił się z Zasiadającą Na Tronie Amyrlin. — Brwi wygięły mu się jak białe gaśienice. — Wielki Lord Samon. W życiu nie słyszałem o żadnym Wielkim Lordzie Samonie.

Tym razem Mat odezwał się oschle.

— Cóż, nawet ty nie możesz wiedzieć wszystkiego o królach, królowych i szlachcie zamieszkującej ten świat, Thom. Kilkoro mogło umknąć twej uwagi.

— Znam imiona wszystkich królów i królowych, chłopcze, a także imiona wszystkich Wielkich Lordów Łzy. Zakładam, że mogli ostatnio wynieść któregoś z Lordów Prowincji, ale myślę, że słyszałbym o śmierci jednego ze starych Wielkich Lordów. Gdybyś nalegał jednak na wyrzucenie jakiegoś biednego człowieka z jego kajuty, zamiast domagać się kapitańskiej, teraz każdy z nas miałby własne łóżko, wprawdzie wąskie i twarde, ale zawsze. Niestety, musimy podzielić się koją Mallii. Mam nadzieję, że nie chrapiesz, chłopcze. Nie cierpię chrapania.

Mat zacisnął zęby. Pamiętał, że Thom chrapał przeraźliwie, wydając takie odgłosy, jak tarnik na dębowym sęku. O tym nie był łaskaw wspomnieć.

Jeden z dwu olbrzymów — Sanor albo Vasa, nie przedstawił się — przyszedł po wysadzaną żelazem kasetę z pieniędzmi, którą kapitan trzymał pod łóżkiem. Nie powiedział ani słowa, tylko ukłonił się niedbale, marszcząc brwi, kiedy myślał, że nie patrzają na niego i wyszedł.

Mat zaczął się zastanawiać, czy towarzyszące mu przez całą noc szczęście przypadkiem go nie opuściło. Musiał jakoś wytrzymać chrapanie Thoma, a prawdę mówiąc, nie był to najlepszy pomysł na świecie, by skakać akurat na ten statek, w dodatku wymachując dokumentem z pieczęcią Płomienia Tar Valon, podpisanym przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Powodowany nagłym impulsem, wyciągnął jeden z cylindrycznych, skórzanych kubków do kości, odsunął ściśle przylegające wieko i wysypał kości na stół.

To były kości z kropkami, teraz patrzyło na niego pięć pojedynczych oczek. Oczy Czarnego, jak w niektórych grach nazywano ten rzut. Oznaczał wygraną w jednych, a przegraną w innych.

„Ale w co teraz gram?”

Zebrał kości i rzucił ponownie. Pięć oczek. Kolejny rzut i znowu mrugały doń Oczy Czarnego.

— Jeśli używałeś tych kości, aby wygrać całe to złoto — powiedział Thom cicho — nic dziwnego, że musiałeś odpląnąć pierwszym napotkanym statkiem.

Rozebrał się już prawie całkowicie i stał teraz, trzymając koszulę w połowie przeciągniętą przez głowę. Kolana miał guzowate, na nogach żyłaste mięśnie i ścięgna, prawa była odrobinę krótsza.

— Chłopcze, dwunastoletnia dziewczynka wyprułaby ci serce, gdyby wiedziała, że używasz przeciwko niej tych kości.

— Tu nie chodzi o kości — wymamrotał Mat. — To szczęście.

„Szczęście Aes Sedai? Czy szczęście Czarnego?”

Wrzucił kości z powrotem do kubka i zamknął wieczko.

— Przypuszczam więc — powiedział Thom, wspinając się na koję — że nie zamierzasz powiedzieć mi, skąd pochodzi całe to złoto.

— Wygrałem je. Dzisiejszego wieczoru. Ich kośćmi.

— Aha. Przypuszczam, że również nie wyjaśnisz mi niczego w sprawie tego dokumentu, którym wymachujesz wokoło... chłopcze, widziałem pieczęć!... ani całego tego gadania o sprawach Białej Wieży, czy też dlaczego dokmistrz otrzymał twój opis od Aes Sedai?

— Wiozę list od Elayne do Morgase, Thom — powiedział Mat, starając się zachować cierpliwość, choć wcale nie miał na to ochoty. — Dokument dała mi Nynaeve. Nie mam pojęcia, skąd go wzięła.

— Cóż, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, to chyba się prześpię. Zgaś lampy, dobrze?

Thom przewrócił się na bok i przykrył głowę poduszką.

Jednak kiedy rozebrał się już, zostając w samej bieliźnie, i wczołgał pod koc, zgasiwszy oczywiście wcześniej lampy, nie mógł zasnąć, i to nawet pomimo miękkiego, puchowego materaca, który zdradzał, w jaki sposób Mallia troszczy się o swoje wygody. Miał, rzecz jasna, całkowitą rację obawiając się chrapania Thoma, a poduszka właściwie nie tłumiła żadnych dźwięków. Brzmiało to tak, jakby Thom zardzewiałą piłą ciął drewno w poprzek sęków. Na dodatek, nie mógł przestać myśleć. W jaki sposób Nynaeve, Egwene i Elayne uzyskały ten dokument od Amyrlin? Musiały być zaangażowane w jakiejś sprawie interesującej samą Zasiadającą na Tronie Amyrlin, w jakimś spisku, jednej z tych machinacji Białej Wieży, jednak teraz, kiedy wszystko sobie przemyślał, doszedł do wniosku, iż one również coś zataiły przed nią.

— „Proszę, zawieź list do mojej matki, Mat” — zacytował miękko, wysoko tonowanym, prześmiewczym głosem. — Głupiec! Z każdym listem od Córki-Następczyni do królowej, Amyrlin wysłałaby Strażnika. Ślepy głupiec, który tak bardzo chciał się wydostać z Białej Wieży, że niczego wokół siebie nie dostrzegął.

Chrapanie Thoma zawtórowało tej ostatniej myśli niczym hejnał trębacza.

Przede wszystkim jednak, myślał o szczęściu i rabusiach. Pierwsze uderzenie o dziób nie zdołało wytrącić go z zamyślenia, prawie nie zwrócił na nie uwagi. Nie przejął się także szuraniem i stukami o pokład, delikatnymi uderzeniami podeszew butów. Łódź czyniła zbyt wiele hałasów, ponadto, ktoś musiał znajdować się na pokładzie, by kierować statek bezpiecznie w dół rzeki. Jednakże skradające się kroki w przejściu, wiodącym do jego drzwi, nałożyły się nagle na wspomnienia napadu i spowodowały, iż niemalże zastrzygł uszami.

Łokciem trącił Thoma w żebra.

— Obudź się — powiedział cicho. — Ktoś jest w korytarzu.

Sam tymczasem odrzucił koce, zeskoczył lekko na podłogę kabiny — „Pokład, podłoga, jakkolwiek się, przekłeta, nazywa!” — stopy bezszelestnie opadły na deski. Thom westchnął, mlasnął i zaczął na powrót chrapać.

Nie było czasu, by się o niego martwić. Odgłos kroków rozbrzmiewał tuż za drzwiami. Mat chwycił pałkę, zajął pozycję na wprost wejścia i czekał.

Drzwi powoli uchyliły się i mętne światło księżyca, wpadające przez właz u szczytu drabiny, po której kolejno zeszli zamachowcy, wycięło w mroku dwie, owinięte w płaszcze, sylwetki. Było dość jasno, by rozbłysły obnażone ostrza noży. Mężczyznom aż zaparło dech, najwyraźniej nie spodziewali się, że ktoś będzie na nich czekał.

Mat wykonał pchnięcie pałką, trafiając pierwszego w spojenie żeber. Kiedy koniec pałki uderzał, usłyszał jakby głos swego ojca: „To jest cios śmiertelny, Mat. Nie używaj go pod żadnym pozorem, chyba że chodzi o twoje życie.” Ale te noże oznaczały właśnie walkę o życie, a w kabinie nie było miejsca, by zamachnąć się porządnie.

W tej samej chwili, gdy pierwszy mężczyzna zakaszłał głucho i osunął się na pokład, na próżno walcząc o odzyskanie tchu, Mat zrobił krok naprzód, przeprowadził drugi koniec pałki nad głową i uderzył nim w gardło kolejnego napastnika. Rozległo się głośne chrupnięcie. Tamten upuścił nóż, złapał się za szyję i padł na ciało swego towarzysza. Przez chwilę jeszcze wierzgali nogami, ale śmiertelne rżenie już dobywało się z ich gardeł.

Mat stał bez ruchu, wpatrując się w leżące ciała.

„Dwóch ludzi. Nie, niech szeszę, trzech! Zapewne nigdy dotąd nawet nie skaleczyłem poważnie żadnej istoty ludzkiej, a dzisiaj, w ciągu jednej nocy zabiłem trzech ludzi. Światłości!”

W przejściu zapadła głęboka cisza, dzięki temu mógł słyszeć uderzenia butów o pokład ponad głową. A przecież wszyscy członkowie załogi chodzili boso.

Starając się nawet nie myśleć o tym, co zamierza, Mat zdał płaszcz z zabitego i zarzucił sobie na ramiona, zakrywając białe paski swych spodenek. Boso przeszedł przez korytarz i wspiął się pod drabinię, wysuwając tylko oczy ponad osłonę włazu.

Księżyc oświetlał w mroku napięte żagle, ale noc kryła pokład płataniną cieni, nie było słyhać nic prócz cichego szmeru wody wzdłuż burt statku. Na pokładzie nie dostrzegł nikogo poza mężczyzną z nasuniętym nisko, jakby dla osłony przed chłodem, kapturem płaszcza. Postać przesunęła się i skóra butów zaszurała po deskach pokładu.

Ściskając mocno pałkę i modląc o to, by nie została zauważona, Mat wspiął się na pokład.

— Nie żyje — wymruczał niskim, ochrypłym szeptem.

— Mam nadzieję, że kwiczał, kiedy podrzynałeś mu gardło. — Ten sam głos z mocnym akcentem, głos, którego wołanie słyszał u wejścia do krętej uliczki

w Tar Valon. — Ten chłopak przysporzył nam zbyt wiele kłopotów. Czekaj! Kto ty jesteś?

Mat zamachnął się z całej siły pałąką. Grube drzewce trafiło mężczyznę w głowę, kaptur płaszczka jedynie częściowo stłumił odgłos uderzenia — jakby wielki melon upadł na podłogę.

Mężczyzna runął na wiosło sterowe, przesuwając jego drążek, łódź przechyliła się, a Mat zachwiał na nogach. Kątem oka dostrzegł jakiś kształt pośród cieni rzucanych przez nadburcie, potem lśnienie ostrza i w ułamku chwili zrozumiał, że nie zdąży odwrócić pałki, zanim nóż dotrze do celu. Wtem błysk przeleciał przez ciemność i wbił się z głuchym odgłosem w mroczniejący kształt. Ruch, który miał być skokiem, zamienił się w skłon i ciało mężczyzny runęło niemalże u stóp Mata.

Pod pokładem rozbrzmiały głosy, kiedy drążek wiosła sterowego przesunął się pod wpływem ciężaru wiszącego na nim ciała, a łódź skrzyła ponownie.

Z otworu włazu wyskoczył Thom, ubrany w płaszcz i spodnie, otwierając osłonę sztormowej latarni.

— Masz szczęście, chłopcze. Jeden z tych pod pokładem miał przy sobie latarnię. Gdyby tam została, mogłaby spowodować pożar na statku.

Światło latarni dobyło z mroku rękojeść noża sterczącego z piersi mężczyzny i jego martwe, wytrzeszczone oczy. Mat nigdy przedtem go nie widział, na pewno zapamiętałby kogoś z tak wieloma bliznami na twarzy. Thom kopnięciem wytrącił nóż z wyciągniętej ręki martwego mężczyzny, potem pochylił się, by uwolnić własne ostrze, następnie wytarł je o płaszcz tamtego.

— Masz dużo szczęścia, chłopcze. Doprawdy dużo.

U nadburcia rufy wisiała przymocowana lina. Thom podszedł do niej, wysunął lampę na zewnątrz, Mat po chwili dołączył do niego. Na drugim końcu liny kołysała się jedna z małych łodzi Południowej Przystani, jej kwadratowa latarnia była zgaszona. Jeszcze dwóch ludzi stało między podniesionymi wiosłami.

— Niech mnie Wielki Władca porwie, to on! — wysapał jeden z nich. Drugi rzucił się naprzód i szaleńczymi szarpnięciami próbował odwiązać węzeł mocujący linę.

— Chcesz tych dwu również zabić? — zapytał Thom, jego głos zahuczał, jak wtedy gdy recytował.

— Nie, Thom — odrzekł cicho Mat. — Nie.

Mężczyźni w łódce musieli słyszeć pytanie, nie słysząc jednak odpowiedzi, bowiem porzucili swe wysiłki, zmierzające do uwolnienia łodzi i wyskoczyli z wielkimi pluskami przez jej burtę. Głośno niosły się odgłosy ramion bijących wodę.

— Głupcy — wymruczał Thom. — Rzeka zwięza się nieco za Tar Valon, ale wciąż musi mieć tutaj milę lub więcej szerokości. W ciemnościach nigdy nie dopłyną do brzegu.

— Na Kamień! — dobiegł jakiś krzyk z otworu włazu. — Co tu się stało? W przejściu są martwi ludzie! Dlaczego Vasa leży na drzewcu wiosła? Wprowadzi nas w błota przybrzeżne! — Nagi, jedynie w pasiastej bieliźnie, Mallia rzucił się do wiosła, gwałtownym ruchem odciągnął ciało na bok i szarpnął za lewą dźwignię, aby skierować statek na właściwy kurs. — To nie jest Vasa! Niech szczeźnie ma dusza, kim są ci wszyscy zabici?

Pozostali wspinali się na pokład, boski członkowie załogi i przerażeni pasażerowie, owinięci w płaszcze lub koce.

Ukrywając swe ruchy, Thom wsunął niepostrzeżenie ostrze noża pod linę i odciął ją jednym pociągnięciem. Mała łódka powoli odpłynęła w ciemność.

— Bandyci rzeczni, kapitanie — powiedział. — Młody Mat i ja uratowaliśmy twą łódź przed rzecznyymi bandytami. Gdyby nie my, mogliby nam wszystkim poderżnąć gardła. Być może zmienisz cenę za nasz przejazd.

— Bandyci! — wykrzyknął Mallia. — Są ich całe zgraje w dole rzeki, koło Cairhien, ale nigdy nie słyszałem, by zapędzali się tak daleko na północ!

Pasażerowie, skupieni w bezładną gromadkę, zaczęli coś szeptać o bandytach i poderżniętych gardłach.

Mat sztywnym krokiem podszedł do włazu. Za plecami usłyszał jeszcze głos Mallii:

— Jaki on jest zimny. Nigdy nie słyszałem, by Andor zatrudniał asasynów, ale, niech szczeźnie ma dusza, on jest zimny.

Mat raczej zsunął się, niż zszedł po drabinie, przekroczył dwa ciała leżące w przejściu i zamknął za sobą drzwi kapitańskiej kajuty. Przeszedł połowę drogi do łóżka, zanim dopadły go dreszcze, a wtedy stać go było tylko na to, by bezwładnie osunąć się na kolana.

„Światłości, w co ja się wplątałem? Muszę wiedzieć, co to za gra, jeśli chcę zwyciężyć. Światłości, jaka to gra?”

\* \* \*

Grając cicho na flecie *Różę poranka*, Rand patrzył w płomień ogniska, nad którym piekł się królik, wbity na ukośnie pochylony patyk. Płomień migotał w nocnym wietrze, ledwie zwracał uwagę na zapach pieczenia, choć przyszła mu do głowy mglista myśl o konieczności zaopatrzenia się w sól podczas następnej wizyty w jakiejś wiosce lub mieście. *Róża poranka* była jedną z piosenek, które grał podczas tamtych ślubów.

„Ile dni minęło od tego czasu? Czy rzeczywiście tak wiele, czy tylko mi się wydaje? Wszystkie kobiety w wiosce nagle zdecydowały się wyjść za mąż? Jak

się to miejsce nazywało? Czy już popadam w szaleństwo?”

Pot kroplami spływał mu po twarzy, ale nie przerywał gry, gapiąc się w ogień. Moiraine powiedziała mu, że jest *ta'veren*. Wszyscy mówili, że jest *ta'veren*. Być może tak jest naprawdę. Tacy ludzie... odmieniali... porządek rzeczy wokół siebie. *Ta'veren* mógł spowodować wszystkie te śluby. Ale taka koncepcja nazbyt zbliżała jego myśli ku rzeczom, o których nie chciał pamiętać.

„Powiadają również, że jestem Smokiem Odrodzonym. Wszyscy tak mówią. Głoszą to i żywi, i martwi. To jeszcze nie znaczy, że tak jest naprawdę. Musiałem pozwolić im na tę proklamację. Nie miałem wyboru, ale to wciąż jeszcze nie czyni tego twierdzenia prawdą.”

Wydawało się, że nie może przestać grać tej melodii. Spowodowała, że pomyślał o Egwene. Kiedyś sądził, iż poślubi Egwene. Ten czas, z dzisiejszej perspektywy wydawał się tak odległy. Ten czas minął już tak dawno temu. A jednak nawiedzała go w snach.

„To mogła być ona. Jej twarz. To była jej twarz.”

Tylko że tam było wiele twarzy, twarzy, które znał. Tam była i matka, i Mat, i Perrin. Wszyscy chcieli go zabić. Oczywiście, to nie byli naprawdę oni. Wyglądało na to, że Pomiot Cienia nawiedza nawet jego sny. Czy jednak były to tylko sny? Wiedział, że niektóre sny są rzeczywiste. Pozostałe zaś były tylko snami, mieszaniną trwóg i nadziei. Ale jak rozpoznać różnice? Pewnej nocy jego sny nawiedziła Min... usiłowała wbić mu nóż w plecy. Wciąż zaskoczony był tym, jak bardzo go to zabolowało. Był nieuważny, pozwolił jej podejść blisko, przestał się strzec. W pobliżu Min, jak dotąd, nigdy nie czuł potrzeby pilnowania się, pomijając być może rzeczy, jakie widziała, gdy patrzyła na niego. Przebywanie z nią było jak balsam sączony do ran.

„A potem chciała mnie zabić!”

Muzyka wzniosła się nieharmonijnym piskiem, ale szybko powróciła poprzednia miękkość.

„Nie ona. Pomiot Cienia z jej twarzą. Min ostatnia ze wszystkich chciałaby mnie zabić.”

Nie rozumiał dlaczego tak pomyślał, ale był pewien, że to prawda.

Tak wiele twarzy w jego snach. Pojawiła się Selene, chłodna, tajemnicza i tak piękna, że kiedy o niej myślał, zasychało mu w ustach, proponowała mu chwałę, jaką posiadała sama — dawno temu, jak się wydawało — ale teraz musiał, wedle jej słów, zdobyć miecz. Wraz z mieczem otrzyma Selene. *Callandor*. Wciąż obecny w jego snach. Nieprzerwanie. I urągające twarze. Ręce wpychające Egwene, Nynaeve i Elayne do klatek, chwytające je w sieci, kaleczące je. Dlaczego miałby bardziej opłakiwać Elayne niż tamte dwie?

Pochylił głowę. Głowa bolała go równie mocno jak bok, a pot kroplami spływał po czole, kiedy cicho grał *Różę poranka* w środku ciemnej nocy, obawiając się zasnąć, obawiając się śnić.

## W SPLOCIE

Ze swego siodła Perrin wpatrywał się zmrużonymi oczyma w płaski kamień, do połowy ukryty w zielsku porastającym skraj drogi. Droga ta, której powierzchnię stanowiła mocno ubita glina, nazywała się już Droga do Lugardu, ponieważ zbliżali się do rzeki Manetherendrelle i granicy Lugardu. Kiedyś była wybrukowana, dawno temu, jak to oznajmiła Moiraine dwa dni wcześniej, i resztki kamiennego brukowca od czasu do czasu wciąż pokazywały się na jej powierzchni. Ten, na który patrzył, miał na sobie dziwne znaki.

Jeśli psy zdolne byłyby zostawiać ślady na kamieniach, powiedziałby, że to odcisk łapy wielkiego brytana. Jednak na nagim terenie wokół nie mógł dostrzec najmniejszego śladu psich łap, ani też na skraju drogi, gdzie miękka glina z pewnością utrwaliłaby jakiś odcisk. Nie czuł również węchem ani odrobiny psiego zapachu. Tylko nikły swąd spalenizny w powietrzu, przypominający niemal do złudzenia siarkową woń odpalanych fajerwerków. Przed nimi, w miejscu gdzie droga dochodziła do rzeki, znajdowało się miasto, być może jakieś dzieci wykradły się tutaj z produktami rękodzieła Iluminatorów.

„Za daleka droga dla dzieci.”

Niemniej jednak widział gospodarstwa. Mogły to być dzieci stamtąd.

„Cokolwiek to było, nie ma nic wspólnego z tym znakiem. Konie nie fruwają, a psy nie zostawiają na kamieniach odcisków łap. Jestem już zbyt zmęczony, by myśleć logicznie.”

Ziewnął, wbił obcasy w żebra Steppera i bułanek pognął galopem za resztą wierzchowców. Od czasu, gdy opuścili Jarrę, Moiraine poganiała ich ostro i nie czekała na nikogo, kto zatrzymał się choćby tylko na chwilę. Kiedy Aes Sedai wbiła sobie coś do głowy, była równie twarda jak hartowane żelazo. Sześć dni temu Loial musiał zrezygnować z czytania podczas jazdy, gdy okazało się, iż nagle został milę z tyłu, za grzbietem następnego wzgórza, a resztę grupy niemalże stracił już z oczu.

Zwolnił, dostosowując tempo Steppera do kroku wielkiego wierzchowca Ogi-  
ra, idącego za białą kłaczą Moiraine i ziewnął kolejny raz. Lan jechał gdzieś na przedzie, wyprawił się na zwiady. Świecące im w plecy słońce miało jeszcze nie więcej niż godzinę drogi do wierzchołków drzew, ale Strażnik powiedział, że



przed zmierzchem dotrą do miasta zwanego Remen, na brzegu Manetherendrelle. Perrin nie był pewien czy chce zobaczyć, co ich tam czeka. Nie miał pojęcia, co to może być, ale droga z Jarry nauczyła go ostrożności.

— Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz zasnąć — powiedział mu Loial. — Kiedy pozwala nam zatrzymać się na noc, jestem tak zmęczony, że zasypiam, zanim zdążę się położyć.

Perrin tylko potrząsnął głową. Nie wiedział, jak wytłumaczyć Loialowi, iż nie ośmiela się spać głęboko, bowiem nawet najpłytsze jego sny pełne są dręczących koszmarów. Jak ten o Nynaeve i Skoczku.

„Cóż, nic dziwnego, że śnię o niej. Światłości, chciałbym wiedzieć, jak się miewa. Bezpieczna w Białej Wieży, uczy się, jak być Aes Sedai. Verin zadba o nią, i o Mata również.”

Nie sądził, by ktokolwiek musiał się troszczyć o Nynaeve, przebywający w jej otoczeniu ludzie musieli się raczej troszczyć o samych siebie.

Nie chciał myśleć o Skoczku. Potrafił trzymać myśli żywych wilków z dala od swej głowy, aczkolwiek czuł wtedy, jakby jego skroń tłuła młotem i szarpała szczypcami jakaś porwycza dłoń. Nie chciał myśleć o tym, że, być może, do jego myśli usiłuje zakraść się martwy wilk. Zadrżał i otworzył szeroko oczy. Nawet jeśli miał to być Skoczek.

Poza koszmarami miał jeszcze inne powody kłopotów ze snem. Odkryli kolejne znaki pochodzącego Randa. Pomiędzy Jarrą a rzeką Eldar Perrin nie dostrzegł żadnych, ale kiedy pokonali Eldar po kamiennym moście, łączącym dwa pięćdziesięciostopowe urwiska, przekonali się, że miasto o nazwie Sidon w całości spłonęło. Wszystkie budynki zostały zmienione w kupki popiołu. Wśród ruin stało tylko parę kamiennych ścian i kominów.

Przemoczeni mieszkańcy powiadali, że zaczęło się wszystko od lampy upuszczonej w stodole, a potem pożar jakby oszalał i wszystko potoczyło się wedle scenariusza najgorszego z możliwych. Połowa wiader, które można było znaleźć, była dziurawa. Każda płonąca ściana przewracała się na zewnątrz, a nie do środka, podpalając domy po obu stronach. Płonące belki gospody jakimś sposobem potoczyły się aż do głównej studni na placu, tak więc nikt nie mógł zaczerpnąć z niej wody do gaszenia, a na trzy inne studnie zawały się płonące domy. Nawet wiatr zdawał się specjalnie roznosić i rozdmuchiwać ogień we wszystkich kierunkach naraz.

Nie trzeba było pytać Moiraine, czy to obecność Randa była przyczyną tych wydarzeń. Jej twarz, oczy zimne jak stal, stanowiły wystarczającą odpowiedź. Wzór kształtował się wokół Randa i wtedy los płatał figle.

Po Sidon minęli cztery małe miasteczka. Teraz tylko umiejętności tropiciel-skie Lana upewniały ich, że Rand jest wciąż przed nimi. Od pewnego czasu Rand szedł pieszo. Jego konia odnaleźli za Jarrą, martwego, wyglądał jakby rozszarpały go wilki lub wściekłe psy. Perrin zrezygnował z sięgania myślą poza swój umysł,

zwłaszcza kiedy Moiraine podniosła spojrzenie znad trupa zwierzęcia i marszcząc brwi, wpatrzyła się w niego. Na szczęście Lan odnalazł ślad butów Randa, odchodzący od miejsca, gdzie leżało truchło padłego konia. Jeden z obcasów miał trójkątne wyżłobienie, wydarte przez ostrą skałę, dzięki temu czytanie jego śladów było proste. Ale pieszo czy konno, wciąż utrzymywał się daleko od nich.

W tych czterech wioskach, przez które przejeżdżali, gdy minęli Sidon, największą sensację, jaką pamiętali najstarsi mieszkańcy, stanowił przejazd Loiala i odkrycie, że jest on Ogirem, prawdziwym i najzupełniej realnym. Ten widok tak zaprzętał ich uwagę, że niemalże nie byli w stanie zainteresować się oczami Perrina, a kiedy już tak się stało. . . Cóż, jeżeli Ogirowie są realni, wówczas równie dobrze ludzie mogą mieć dowolny kolor oczu.

Ale potem przyjechali do niewielkiej osady, nazywanej Willar, i tam trafili na święto. Źródło wspólnoty znów dawało wodę, po roku, w czasie którego tłoczono ją do koryta, odległego o milę od głównego strumienia. Wszystkie wysiłki by wykopać studnie zawiodły, a połowa ludzi odeszła. Pomimo to Willar nie wymarło. Potem szybko, w ciągu jednego dnia; przejechali przez trzy nietknięte wioski, aż dotarli do Samaha, gdzie poprzedniej nocy wyschły wszystkie studnie, a ludzie mruczeli coś o Czarnym; następne było Tallan. Tam wszelkie zadawnione spory, jakie wrzały, ukryte pod powierzchnią życia wioski, wylały się pewnego ranka niczym przepelnione szambo. Doszło do trzech morderstw, zanim ludzie wreszcie oprzytomnieli; na koniec wreszcie Fyall, w którym wiosenne plony okazały się gorsze, niżli ktokolwiek pamiętał, ale burmistrz, kopiąc nową wygodkę za swym domem, odnalazł torby z przegniłej skóry, pełne złota, tak że nikomu nie zagrażał głód. Nikt we Fyall nie rozpoznał grubych monet, z twarzą kobiety po jednej stronie i orłem po drugiej, lecz Moiraine powiedziała, że wybito je w Manetheren.

Pewnej nocy, kiedy siedzieli wokół ogniska, Perrin wreszcie zapytał ją o to.

— Po Jarrze sądziłem. . . Byli tak szczęśliwi z tymi ślubami. Nawet Białe Płaszczki wyglądały po prostu jak głupcy. We Fyall też było dobrze, Rand nie mógł mieć nic wspólnego z ich plonami, które zwiędły, zanim wyruszył, a to złoto rzeczywiście im się przydało, ale cała reszta. . . Płonące miasto, wysychające studnie i. . . To jest zło, Moiraine. Nie mogę uwierzyć, że Rand jest zły. Wzór może się kształtować wokół niego, ale w jaki sposób Wzór miałby być tak zły? To nie ma najmniejszego sensu, a rzeczy muszą mieć sens. Jeśli tworzysz narzędzie, nie określisz wprzód jego sensu i przeznaczenia, marnujesz tylko metal. Wzór nie może niczego marnować.

Lan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i zniknął w ciemnościach, aby dokończyć obchód obozowiska. Loial, już owinięty kocem, wyprostował się, podniósł głowę, by lepiej słyszeć, zastrzygł uszami.

Moiraine przez chwilę milczała, grzejąc ręce przy ognisku. Na koniec przemówiła, wzrok jednak wciąż miała wbity w płomienie.

— Perrin, Stwórca jest dobry. Ojciec Kłamstw jest złem. Wzór Wieku, sama

Osnowa Wieku, nie jest ani taka, ani taka. Wzór jest tym, czym jest. Koło Czasu wplata wszystkie żywoty, wszystkie działania we Wzór. Wzór, który byłby jednobarwny, nie byłby żadnym Wzorem. Dla Wzoru Wieku dobro i zło są niczym wątek i osnowa.

Nawet trzy dni później, mimo iż właśnie jechali pod ciepłym słońcem późnego popołudnia, Perrin wciąż czuł zimny dreszcz, jaki przeszył go, kiedy pierwszy raz usłyszał te słowa. Chciał wierzyć, że Wzór jest dobry. Chciał wierzyć, że kiedy ludzie robią złe rzeczy, wówczas występują przeciwko Wzorowi, wypaczają go. Dla niego Wzór stanowił piękny i zawiły twór kowalskiego mistrza. Beztraskie mieszanie żeliwa i nędzniejszych jeszcze rzeczy z dobrą stalą przenikało odrazą jego myśli.

— Ja jednak nie jestem beztraski — wymruczał cicho do siebie. — Światłości, nigdy taki nie będę.

Moiraine spojrzała na niego przez ramię i wtedy zamilkł. Nie miał pewności, o co właściwie troszczyła się Aes Sedai, z wyjątkiem oczywiście Randa.

Kilka chwil później na przedzie pojawił się Lan, podjechał bliżej i spiął swego rumaka u boku klaczy Moiraine.

— Remen leży tuż za następnym wzgórzem — powiedział. — Wygląda na to, że przeżyli jeden lub dwa dni pełne wrażeń.

Loial nerwowo zastrzygł uszami. Tylko raz.

— Rand?

Strażnik potrząsnął głową.

— Nie wiem. Być może Moiraine będzie mogła to osądzić, kiedy sama zobaczy.

Aes Sedai rzuciła mu badawcze spojrzenie, potem pognała klacz szybszym krokiem.

Pokonali zbocze wzgórza i przed nimi rozpostarło się wciśnięte w rzekę Remen. Manetherendrelle płynęła tutaj szerokim na ponad pół mili rozlewiskiem i nie było mostu, tylko dwa zatłoczone promy, wielkie jak barki, pełzły przez rzekę, napędzane długimi wiosłami, a jeden, niemalże pusty, właśnie wracał z drugiego brzegu. Kolejne trzy stały w długich kamiennych dokach, w towarzystwie tuzina jedno- lub dwumasztowych łodzi należących do rzecznych handlarzy. Kilka przysadzistych magazynów z szarego kamienia oddzielało doki od miasta, w którym budynki, również postawione z kamienia, miały jednak dachy kryte dachówką we wszelkich możliwych kolorach, od żółci do czerwieni i fioletu, a ulice odchodziły we wszystkich kierunkach od centralnego placu.

Nim zjechali w dół, Moiraine naciągnęła głęboki kaptur swego płaszcza, aby ukryć twarz.

Jak zwykle, ludzie na ulicach wpatrywali się w Loiala, ale tym razem Perrin słyszał lękliwe pomruki o „Ogirze”. Loial mocniej niżli zwykły to czynić, wyprostował się w siodle, uszy wyprężył, a uśmiech wyginał kąciki jego szerokich ust.

W oczywisty sposób nie chciał pokazać swego zadowolenia, ale miał minę jak kot, którego właśnie drapie się za uszami.

Dla Perrina Remen wyglądało jak wiele innych miast pełne ludzkich zapachów i woni wytwarzanych przez ludzi, na tle, oczywiście, silnego zapachu rzeki i — zastanawiał się, co Lan sobie pomyśli, gdy zobaczy, jak prężą się włosy na jego karku, gdy to wywęszył — zła. Kiedy tylko jego nos natknął się na tę woń, wyparowała ona niczym koński włos rzucony na rozpalone węgle, ale pamiętał ją. To samo czuł w Jarrze, i wówczas w taki sam sposób zgubił ten zapach. Nie był to Wykoślawiony albo Niezrodzony. . .

„Trollok, niech szczeżę, nie jakiś Wykoślawiony! Żaden Niezrodzony! Myrdraal, Pomor, Półczłowiek, wszystko, tylko nie żaden Niezrodzony!”

. . . nie trollok czy Pomor, ale smród był w równym stopniu ostry, tak samo paskudny. Wyglądało jednak na to, iż cokolwiek wydzielało ten odór, nie pozostawiało po sobie żadnego trwałego śladu.

Wjechali na miejski plac. Pośrodku placu usunięto z bruku jeden z kamieni i w tym miejscu umieszczono szubienicę. W glinę wbito pojedynczą grubą belkę, podtrzymującą przywiązaną do niej poprzeczkę, z której zwisała żelazna klatka, tak że dno klatki znajdowało się kilka stóp ponad ziemią. W klatce siedział wysoki mężczyzna ubrany w brązy i szarości, jego kolana dotykały podbródka. Nie miał nawet miejsca, by się odrobinę wyprostować. Trzej mali chłopcy rzucali węń kamieniami. Mężczyzna patrzył prosto w górę, nie drgnął nawet wówczas, gdy kamień przeleciał między kratami do środka. Po jego twarzy spływały już kolejne strużki krwi. Przechodzący obok mieszkańcy miasta nie zwracali większej uwagi na poczynania chłopców, podobnie jak uwięziony mężczyzna, chociaż każdy patrzył w kierunku klatki, niektórzy z zadowoleniem, inni ze strachem.

Moiraine wydała z siebie nieartykułowany odgłos, który mógł oznaczać niesmak.

— Jest tego więcej — powiedział Lan. — Chodźcie, wynająłem już pokoje w gospodzie. Sądzę, że to was zainteresuje.

Jadąc w ślad za resztą, Perrin spojrzął przez ramię na człowieka w klatce. Było w nim coś znajomego, ale nie umiał sobie uświadomić, co.

— Nie powinni tego robić — burczenie Loiala zabrzmiało niemalże jak warknięcie. — Myślę o dzieciach. Dorośli nie powinni na to pozwolić.

— Nie powinni — zgodził się Perrin.

„Dlaczego jego wygląd wydaje mi się znajomy?”

Godło nad drzwiami leżącej tuż nad rzeką gospody, do której zaprowadził ich Lan, oznajmiało „Kuźnię Waymana”, co Perrin wziął za dobry omen, choć z kowalstwem to miejsce nie miało zapewne nic wspólnego, wyjąwszy mężczyznę w skórzanym fartuchu i z młotem, wymalowanego na godle. Gospoda mieściła się w wielkim, pokrytym purpurową dachówką, trzypiętrowym budynku z kwadratowego, polerowanego kamienia, z dużymi oknami oraz rzeźbionymi w ślimacznice

drzwiami. Sprawiała wrażenie kwitnącego interesu. Stajenni podbiegli, by zająć się końmi, kłaniali się jeszcze głębiej, gdy Lan rzucił im monety.

Perrin obserwował ludzi wewnątrz gospody. Mężczyźni i kobiety siedzieli za stołami ubrani w świąteczne rzeczy, tak przynajmniej jemu się wydawało, w zdobniejszych kaftanach, z większą ilością koronki na sukniach, bardziej kolorowymi zapaskami i koronkowymi szalami. Od dawna czegoś takiego nie oglądał. Tylko czterech mężczyzn, siedzących zresztą przy jednym stole, miało na sobie zwykłe, codzienne kaftany i tylko oni nie spojrzeli z wyczekiwaniem, kiedy Perrin wraz z towarzyszami weszli do środka. Nie przestawali cicho rozmawiać. Mógł posłyszeć odrobinę z tego co mówili, że bardziej opłaca się przewozić lodowy pieprz niż futra, oraz o wpływie, jaki kłopoty w Saldae mogą mieć na ceny. Na podstawie tego, co usłyszał, zdecydował, że muszą to być kapitanowie statków handlowych. Pozostali zapewne byli tubylcami. Nawet służące wyglądały jakby włożyły najlepsze ubrania, długie fartuchy skrywały zdobniejsze suknie z koronkowymi elementami przy szyi.

W kuchni praca szła pełną parą, mógł wyczuć baraninę, jagnię, kurczaki, wołowinę oraz kilka rodzajów gotowanych jarzyn. I korzenne ciasto, którego zapach spowodował, że przez chwilę zapomniał o mięsie.

Gospodarz sam wyszedł im naprzeciw, kiedy tylko weszli do środka. Zażywny, łysy mężczyzna, z błyszczącymi, brązowymi oczyma i miękką, różową twarzą ukłonił się, wycierając jednocześnie ręce. Gdyby nie wyszedł do nich, Perrin nigdy nie domyśliłby się w nim właściciela, ponieważ zamiast spodziewanego białego fartucha, podobnie jak reszta zgromadzonych, miał na sobie kaftan z grubej, błękitnej wełny, w całości zdobiony bielą i zielenią, który powodował, że w ciepłym wnętrzu biły na niego siódme poty.

„Dlaczego oni wszyscy noszą świąteczne ubrania?” zastanawiał się Perrin.

— Ach, pan Andra — powiedział gospodarz, zwracając się do Lana. — Oraz Ogir, dokładnie jak pan powiedział. Nie żebym wątpił, oczywiście. Nigdy, biorąc pod uwagę to, co się zdarzyło. Nie zarzuciłbym również fałszu waszym słowom. Dlaczego nie Ogir? Ach, przyjacielu Ogirze, gościć cię w mym domu, to dla mnie większa przyjemność niż możesz sobie wyobrazić. To naprawdę wspaniałe ukoronowanie wszystkiego, co się wydarzyło. Ach, i pani... — Jego wzrok objął głęboki, niebieski jedwab jej sukni i bogatą wełnę płaszcza, zakurzonego po podróży, ale wciąż zdradzającego przedni gatunek materii, z którego go zrobiono. — Proszę, wybac mi, lady. Nie chciałem okazać braku szacunku. Jesteś tu równie miłym gościem jak przyjaciel Ogir, rzecz jasna, lady. Proszę, nie obrażaj się o niezdarne słowa Gainora Furlana.

— Nie czuję się obrażona.

Głos Moiraine świadczył, że spokojnie zaakceptowała tytuł, który przyznał jej Furlan. Nie po raz pierwszy Aes Sedai podróżowała pod zmienionym imieniem albo podawała się za kogoś, kim nie była. Nie pierwszy raz również Perrin słyszał,

że Lan kazał mówić na siebie Andra. Głęboki kaptur wciąż skrywał delikatne rysy Aes Sedai, jakie można było dostrzec w twarzy Moiraine, płaszcz ściągnęła jedną dłonią, otulając się nim jakby chroniła się przed chłodem. Nie widać było dłoni, na której nosiła pierścień z Wielkim Wężem.

— Jakieś dziwne wydarzenia zapewne zaszły w mieście, gospodarzu, tak przynajmniej wnioskuję. Mam nadzieję, że nie jest to nic, co mogłoby przysporzyć kłopotów podróżnym.

— Och, lady, doprawdy słusznie nazywasz je dziwnymi. Twoja własna, promienna obecność w zupełności wystarcza, aby przynieść zaszczyt temu nędznemu domostwu, lady, sprowadzenie doń Ogira stanowi również powód do mojej dumy, ale prócz tego w Remen są także Myśliwi. Stacjonują właśnie tutaj, w „Kuzni Waymana”. Myśliwi polujący na Róg Valere, którzy wyruszyli z Illian w poszukiwaniu przygody. I znaleźli ją, lady, tutaj w Remen, a właściwie milę lub dwie stąd, w górze rzeki, walcząc z dzikimi Aielami. Czy możesz sobie wyobrazić czarne zasłony dzikich Aielów, tutaj w Altarze, lady?

Aielowie. Teraz Perrin pojął, cóż znajomego miał w sobie siedzący w klatce mężczyzna. Dotąd raz tylko widział Aiela, jednego z okrutnych, na poły legendarnych mieszkańców surowej krainy zwanej Ugorem. Człowiek ten w znacznej mierze przypominał Randa, wyższego od większości mężczyzn, z szarymi oczyma i rudawymi włosami, ubranego podobnie jak więzień klatki, całkowicie w brzozy i szarości, które ułatwiały skrywanie się pośród skał lub krzewów, oraz w miękkie buty sznurowane aż do kolan. Perrinowi wydawało się, iż ponownie usłyszał wyraźnie brzmiące słowa Min: „Aiel w klatce. Zwrotny punkt w twoim życiu, albo przydarzy ci się coś ważnego”.

— Dlaczego musieliście... — Jego głos brzmiał ochryple, przerwał na chwilę, by odkaslnąć. — W jaki sposób Aiel został dostarczony do waszego miasta, a potem zamknięty w klatce?

— Och, młody panie, jest to historia...

Furlan ściszył głos, obejrzał Perrina od stóp do głów, zwracając uwagę na długi łuk w dłoniach, zatrzymując dłużej wzrok na wielkim toporze, przytroczonym do pasa po przeciwnej stronie niż kołczan. Wzdrygnął się, kiedy wreszcie spojrział mu w twarz, jak gdyby, oszołomiony obecnością lady i Ogira, dopiero teraz zobaczył jego żółte oczy.

— To jest wasz służący, panie Andra? — zapytał ostrożnie.

— Odpowiedz mu. — To było wszystko, co Lan powiedział.

— Ach. Tak, oczywiście, panie Andra. Ale jest tutaj ktoś, kto potrafi wszystko przekazać lepiej niż ja. To sam lord Orban. To on nam o wszystkim opowiedział.

Ciemnowłosa, młody mężczyzna w czerwonym płaszczu, z bandażem owiniętym dookoła skroni, schodził właśnie po schodach, znajdujących się przy ścianie wspólnej sali, używając kuli z wyściełanymi podpórkami, lewa nogawka jego spodni została odcięta, ukazując kolejne bandaże, spowijające jego łydkę od kost-

ki po kolano. Mieszkańcy miasta zaszemrali, jakby zobaczyli coś cudownego. Kapitanowie statków nie przerwali rozmowy, teraz znowu wrócili do futer.

Furlan, mimo iż stwierdził przed chwilą, że mężczyzna w czerwonym płaszczu lepiej przedstawi obiecaną historię, teraz, zupełnie nie zrażony sprzeczną własnych słów, zaczął opowieść:

— Lord Orban i lord Gann starli się z dwudziestoma dzikimi Aielami, mając do dyspozycji wyłącznie dziesięciu ludzi. Ach, jakże okrutny i ciężki był bój, w którym wiele ran zadali, wiele też otrzymali. Sześciu dobrych żołnierzy zginęło, a pozostali są ranni, lord Orban i lord Gann najbardziej, ale zabili wszystkich Aielów, oprócz tych, którzy uciekli i jednego, którego wzięli do niewoli. To właśnie ten, którego można zobaczyć na placu. Już nie będzie przysparzał kłopotów okolicy swoją dzikością, nie więcej w każdym razie niż jego martwi współnicy.

— Kto w tej prowincji doznał krzywd od Aielów? zapytała Moiraine.

Perrin z niemałym zdziwieniem zastanawiał się nad tą samą kwestią. Nawet jeśli ludzie czasami jeszcze używali sformułowania „zamaskowany Aiel” dla określenia czyjejś gwałtowności, było to raczej świadectwo wojen z Aielami, ale te skończyły się dwadzieścia lat temu, a przecież Aielowie nigdy nie opuścili Ugoru, ani przedtem, ani potem.

„Ale ja naprawdę widziałem już jednego po tej stronie Grzbietu Świata, a dzisiaj zobaczyłem drugiego.”

Gospodarz potarł łysinę.

— Ach. Ach tak, to znaczy nie, lady, ściśle rzecz biorąc, nie. Ale moglibyśmy doznać, możesz być pewna, gdyby dwudziestu dzikusów włóczyło się swobodnie. Cóż, każdy pamięta jak zabijali, plądrowali i palili przez całą drogę do Cairhien. Mężczyźni z naszej wioski pomaszerowali na bitwę pod Lśniącymi Murami, kiedy ludy zebrały się aby dać im odpór. Ja sam w tym czasie cierpiałem z powodu nadwerężonego kręgosłupa, dlatego nie poszedłem z nimi, ale pamiętam dobrze. Wszyscy pamiętamy. W jaki sposób dostali się tutaj, tak daleko od swej ziemi, i po co, nie wiem, jednak lord Orban i lord Gann uratowali nas.

Usłyszeli szmer aprobaty, dolatujący od świątecznie ubranych mieszkańców.

Sam Orban zaś szedł ciężko przez wspólną salę, zdając się nie dostrzegać nikogo prócz gospodarza. Zanim podszedł zupełnie blisko, Perrin mógł już wyczuć bijący od niego zapach skwaśniałego wina.

— Gdzie się podziała ta staruszka z ziołami, Furlan? dopytywał się Orban. — Ganna bolą rany, a moja głowa pęka.

Furlan skłonił się, omal dotykając czołem podłogi.

— Ach, Matka Leich wróci rankiem, lordzie Orban. Poród, lordzie. Powiedziała jednak, że zeszyła i opatrzyła zarówno twoje rany, jak i rany Ganna, tak że nie ma się czego obawiać. Ach, lordzie Orban, pewien jestem, że jak wróci, rano, w pierwszej kolejności zajrzy do ciebie.

Pokryty bandażami człowiek wymruczał coś cicho pod nosem — prócz Perrina oczywiście nikt tego nie słyszał na temat oczekiwania na wiejską kobietę „wyrzucającą swój gnój” i jeszcze coś o byciu „zszywanym jak worek mięsa”. Potem podniósł ponure, wściekłe oczy i po raz pierwszy przyjrzał się nowo przybyłemu. Na Perrina nie zwrócił prawie wcale uwagi, co zresztą w ogóle tamtego nie zaskoczyło. Jego oczy rozszerzyły się odrobinę, gdy zobaczył Loiala. . .

„Widział już Ogirów — pomyślał Perrin — ale nie spodziewał się spotkać tutaj jednego z nich.”

. . . i zwięzły, kiedy wzrokiem objął postać Lana. . .

„Rozpoznaje wojownika, kiedy spotka się z nim twarzą w twarz, lecz nie sprawia mu to przyjemności.”

. . . wreszcie rozjaśniły, gdy pochylił się, aby zajrzeć do wnętrza kaptura Moiraine, choć nie znajdował się dostatecznie blisko, żeby móc dojrzeć jej twarz.

Perrin postanowił nie zwracać uwagi na opowieść, którą przed chwilą usłyszał, miał nadzieję, że Moiraine i Lan postąpią podobnie. Błysk w oczach Strażnika przekonał go jednak, że się mylił.

— W tuzin pokonaliście dwudziestu Aielów? — zapytał Lan martwym głosem.

Orban wyprostował się, zamrugnął oczyma. Świadomie niedbałym głosem odrzekł:

— Tak, kiedy się ściga Róg Valere, należy liczyć się z takimi rzeczami. Dla Ganna i dla mnie nie pierwsze to takie spotkanie i zapewne nie ostatnie, zanim wreszcie znajdziemy Róg. Jeśli Światłość nam dopomoże. — Brzmiało to tak, jakby Światłość nie mogła uczynić nic innego. Rzecz jasna, nie wszystkie walki toczyliśmy z Aielami, zawsze bowiem znajdują się tacy, którzy, jeśli tylko będą mogli, zapragną powstrzymać Myśliwych. Ganna i mnie nie da się łatwo powstrzymać.

Kolejny szmer aprobaty doleciał ze strony zgromadzonych w gospodzie mieszkańców miasta. Orban wyprostował się jeszcze bardziej.

— Straciliście sześciu ludzi i wzięliście jeńca. — Lan wypowiedział te słowa obojętnym tonem, z którego nie wynikało, czy uważa ten wynik za korzystny, czy nie.

— Tak — odrzekł Orban. — Pozostałych zabiliśmy, pomijając tych, którzy uciekli. Bez wątplenia chowają teraz swoich poległych. Słyszałem, że tak czynią. Poszukują ich wciąż Białe Płaszczce, ale nigdy nikogo nie znajdują.

— To są tu Białe Płaszczce? — zapytał ostro Perrin.

Orban spojrział na niego, powtórnie nie poświęcając mu nawet odrobiny uwagi. Kolejny raz zwrócił się do Lana.

— Białe Płaszczce zawsze wtykają swe nosy tam, gdzie nikt ich nie chce, ani nie potrzebuje. Niekompetentne osły, wszyscy co do jednego. Tak, przez cały dzień jeżdżą po okolicy, ale wątpię, czy znajdują coś prócz własnych cieni.



— Też tak sędzę — powiedział Lan.

Zabandażowany mężczyzna zmarszczył brwi, jakby niepewny, co Lan właściwie chciał powiedzieć, po czym ponownie odwrócił się w stronę gospodarza.

— Natychmiast znajdź tę starą, słyszysz! Głowa mi pęka.

Rzucił Lanowi pożegnalne spojrzenie i utykając poszedł w kierunku schodów. Potem wspiał się po nich, pokonując po jednym stopniu, ścigany szmerem podziwu, przeznaczonym dla Myśliwego, który zabija Aielów.

— To miasto pełne jest rozmaitych wydarzeń — oznajmił głębokim głosem Loial i zaraz zwróciły się na niego wszystkie oczy. Z wyjątkiem spojrzeń kapitanów, którzy, jeśli Perrin dobrze ich rozumiał, rozmawiali właśnie o linach. — Gdziekolwiek się udam, wy, ludzie ciągle coś robicie, spieszycie się i pędzicie, pakujecie w rozmaite przygody. Jak możecie wytrzymać tyle podniecenia?

— Ach, przyjacielu Ogirze — odrzekł na to Furlan poszukiwanie podniecenia to właśnie nasz sposób życia. Jakże żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w marszu do Lśniących Murów. Cóż, niech mi wolno będzie opowiedzieć...

— Nasze pokoje — Moiraine nie podniosła nawet głosu, ale jej słowa ucięły rozpoczynającą się przemowę gospodarza niczym ostry nóż. — Andra zamówił pokoje, nieprawdaż?

— Ach, lady, wybac mi. Tak, pan Andra w rzeczy samej wynajął pokoje. Wybac mi, proszę. Wszystko przez to zamieszanie, mam zupełnie pusto w głowie. Bardzo proszę za mną.

Kłaniając się i drapiąc po łysinie, przepaszając i gadając nieustannie, Furlan poprowadził ich po schodach.

Na szczycie Perrin zatrzymał się, by spojrzeć w dół. Posłyszał dobiegające z dołu szepty o „lady” oraz „Ogirze”, czuł wbite w siebie wszystkie te spojrzenia, zdało się mu jednak, że jedna para oczu szczególnie uważnie mu się przygląda, nie Moiraine czy Loialowi, ale właśnie jemu.

Momentalnie zorientował się, kto to był. Po pierwsze, stała z dala od innych, po drugie, była chyba jedyną kobietą na sali, która nie miała na sobie choćby odrobiny koronki. Jej ciemnoszara, niemalże czarna sukienka była równie powszednia jak rzeczy kapitanów, szerokie rękawy i wąskie spódnice pozbawione były śladu falbanki, haftu czy jakichkolwiek innych ozdób. Kiedy się poruszyła, zobaczył rozcięcie sukni, jak do konnej jazdy, spod skraju szaty wyglądały szpice miękkich butów. Była młoda — może nawet w jego wieku — i wysoka jak na kobietę, czarne włosy spadały jej na ramiona. Nos, który mógłby uchodzić za nieco duży i zbyt gruby, pełne usta, sterczące kości policzkowe, a do tego ciemne, lekko skośne oczy. Nie potrafił ostatecznie zdecydować czy jest piękna, czy nie.

Gdy tylko spojrział w dół, natychmiast zwróciła się z czymś do jednej ze słuchających i nawet nie rzuciła okiem na schody, był jednak pewien, że się nie pomylił. Patrzyła na niego.

## INNY TANIEC

Furlan nie przestawał bezustannie mamrotać, prowadząc ich do pokoi, ale Perrin nie słuchał. Zbyt był zajęty zastanawianiem się, czy czarnowłosa dziewczyna wiedziała, co znaczą żółte oczy.

„Niech szczenę, patrzyła na mnie.”

Potem usłyszał, jak gospodarz wypowiada słowa: „ogłaszając w Ghealdan Smoka” i wydawało mu się, że w tym momencie zastrzygł uszami niczym Lolia.

Moiraine zamarła w drzwiach do swego pokoju.

— Następny fałszywy Smok, gospodarzu? W Ghealdan?

Kaptur płaszcza wciąż zasłaniał jej twarz, jednak brzmienie głosu zdradzało, że wiadomość wstrząsnęła nią do głębi. Nawet wsłuchując się uważnie w odpowiedź właściciela, Perrin nie mógł przestać na nią patrzeć, wyczuwał jakąś woń zbliżoną do zapachu strachu.

— Ach, lady, nie musisz się obawiać. Do Ghealdan jest stąd sto lig, a tutaj nikt cię nie będzie niepokoił, nie pod bokiem pana Andry, lorda Orbanu i lorda Ganna. Dlaczego. . .

— Odpowiedz jej! — rzucił ostro Lan. — Czy w Ghealdan jest fałszywy Smok?

— Ach. Ach, nie, panie Andro, niezupełnie. Powiedziałem, że w Ghealdan jest człowiek głoszący Smoka, tak słyszałem kilka dni wcześniej. Modli się o jego nadejście, by tak rzec. Rozповіда o tym człowieku w Tarabon, jak słyszeliśmy. Chociaż niektórzy mówią, że to jest Arad Doman, nie Tarabon. Daleka droga stąd, w każdym razie. Cóż, w innych okolicznościach, jak sądzę, rozmawialibyśmy więcej na ten temat, pomijając może szalone opowieści o powrocie armii Hawkwinga. . . — Chłodne oczy Lana wbijały się w opowiadającego jak ostrza dwóch sztyletów. Gospodarz głośno przełykał ślinę i coraz szybciej wycierał ręce. — Wiem tylko tyle, ile słyszę, panie Andra. Powiadają, że ten człowiek ma spojrzienie, które przygniata cię do ziemi i opowiada te wszystkie głupstwa o Smoku, który przybywa, aby nas uratować, i za którym wszyscy powinniśmy pójść, nawet bowiem bestie będą dla niego walczyć. Nie wiem, czy już go aresztowano, czy jeszcze nie. Zapewne Ghealdanie nie ścierpią długo takiego gadania.

„Masema — pomyślał z niedowierzaniem Perrin. — Przeklęty Masema.”

— Masz rację, gospodarzu — powiedział Lan. — Ten człowiek nie może nam tutaj sprawić kłopotów. Znałem kiedyś kogoś, kto lubił rozpowszechniać szalone opowieści. Pamiętasz go, lady Alys, nieprawdaż? Masema?

Moiraine wzdrygnęła się.

— Masema. Tak. Oczywiście. Zupełnie o nim zapomniałam. — Jej głos stał się pewniejszy. — Kiedy następnym razem spotkam Masemę, pożałuje, że kto inny nie obdarł go ze skóry i nie zrobił z niej butów.

Zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że echo łomotu rozniosło się po korytarzu.

— Cicho! — krzyknął ktoś przytłumionym głosem z drugiego końca korytarza. — Głowa mi pęka!

— Ach. — Furlan otarł dłonie, potem ponownie przesunął je po łysinie. — Ach. Proszę mi wybaczyć, panie Andra, ale lady Alys jest kobietą gwałtowną, która nie dba o cudze uszy.

— Szczególnie tych, którzy jej się narażą — powiedział Lan dobrotliwie. — Ona potrafi nie tylko głośno szczekać, ale także mocno gryźć.

— Ach! Ach! Ach! Wasze pokoje są tutaj. Ach, przyjacielu Ogirze, kiedy pan Andra powiedział mi, że przybędziesz, wyciągnąłem stare łóżko dla Ogirów. Wydobyłem je ze strychu, gdzie przez ostatnie trzysta lub więcej lat osiadał na nim kurz. Cóż, oto...

Perrin pozwolił, by dalsze słowa nie zaprzętały jego myśli, nie poświęcał im więcej uwagi niż rzeczna rafa przepływającej przez nią wodzie. Martwiła go ta ciemnowłosa kobieta. I Aiel w klatce.

Kiedy znalazł się już we własnym pokoju — małej klitce na tyłach domostwa, gdyż Lan nie zrobił nic, by wyprowadzić gospodarza z błędu co do statusu Perrina — wszystkie ruchy wykonywał właściwie mechanicznie, wciąż pogrążony w myślach. Zdjął cięciwę z łuku, a drzewce postawił w kącie — zbyt długie pozostawianie napiętego łuku niszczyło zarówno łuk, jak i cięciwę — położył zwój koca i torby podróżne obok miski, i rzucił na nie płaszcz. Pas z toporem i kołczanem zawiesił na kołku wbitym w ścianę i runął jak długi na łóżko, zanim zdołał uprzytomnić sobie, jak może być to niebezpieczne. Łóżko było wąskie, a materace całe w nierównościach, mimo to wydawało się najwygodniejszym ze wszystkich łóżek, jakie pamiętał. Zamiast zasnąć jednak, usiadł na trójnożnym stołku i zaczął myśleć. Zawsze lubił wszystko przemyśleć gruntownie.

Po jakimś czasie Loial zapukał do drzwi i wsunął głowę do środka. Uszy Ogira aż drżały z podniecenia, a jego uśmiech jakby rozcinał szeroką twarz na dwoje.

— Perrin, nie uwierzysz! Moje łóżko zrobiono ze śpiewającego drzewa! Cóż, musi mieć co najmniej tysiąc lat. Żaden Śpiewak Drzew od tego czasu chyba nie wyśpiewał nic tak dużego. Ja nawet nie próbowałbym tego zrobić, a mam przecież talent większy niż pozostali na tej ziemi Ogirowie. Cóż, by nie skłamać, niewielu

z nas w ogóle posiada dzisiaj ten talent. Ale ja jestem jednym z najlepszych, którzy potrafią śpiewać drzewo.

— To bardzo ciekawe — odpowiedział Perrin.

„Aiel w klatce. To właśnie powiedziała Min. Dlaczego ta dziewczyna mnie obserwowała?”

— Tak właśnie sobie pomyślałem. — Loial wydawał się nieco zbity z tropu tym, że Perrin nie podziela jego entuzjazmu, postanowił jednak przemyśleć wszystko w spokoju. — Kolacja gotowa, czeka na dole, Perrin. Przygotowali najlepsze pożywienie, na wypadek gdyby Myśliwi sobie zażyczyli, ale i my możemy coś z tego uszczknąć.

— Idź, Loial. Ja nie jestem głodny.

Zapachy przyrządzanego mięsa, dochodzące z kuchni, nie interesowały go. Ledwie zauważył wyjście Loiala.

Z dłońmi wspartymi na kolanach, nieustannie ziewając, usiłował rozplątać węzeł myśli. Wyglądało to jak jedna z tych układanek, które wykuwał pan Luhhan — kawałki metalu, na pozór nie do rozłączenia. Ale zawsze istniała odpowiednia sztuczka, po zastosowaniu której żelazne pętle i kółka rozdzielały się, i tak też musiało być w tym przypadku.

Dziewczyna patrzyła na niego. Powodem mogły być jego oczy, niezależnie od faktu, że gospodarz zignorował je, a nikt poza nim nawet nie zwrócił uwagi. Mieli w gospodzie Ogira, który mógł wzbudzać zainteresowanie i Myśliwych, polujących na Róg, a także wizytę lady, wreszcie Aiela w klatce na placu. Coś tak mało znaczące jak kolor ludzkich oczu nie mogło przyciągnąć ich uwagi. Nic, co dotyczyło służącego nie mogło równać się z resztą atrakcji.

„Dlaczego więc wybrała mnie, by się mi przyglądać?”

I jeszcze Aiel w klatce. Min widziała zawsze rzeczy ważne. Ale w jaki sposób to miałyby być ważne? Co powinien zrobić?

„Mogłem powstrzymać te dzieci rzucające kamienie. Powinienem zareagować.”

Nie było potrzeby powtarzać sobie, że dorośli z pewnością powiedzieliby mu, by trzymał się swoich spraw, że jest w Remen obcym i nie powinien interesować się Aielem.

„Mogłem spróbować.”

Żadne odpowiedzi nie przychodziły mu na myśl, wrócił więc do początku swych rozważań i cierpliwie podjął je ponownie, potem jeszcze raz i jeszcze. Wciąż nie mógł znaleźć nic prócz żalu za tym, czego nie uczynił.

Po jakimś czasie dopiero uświadomił sobie, że zapadła już noc. W pokoju było ciemno, rozświetlało go tylko odrobinę światło księżyca, wpadające przez samotne okno. Pomyślał o łojowej świeczce i hubce z krzesiwem, które spostrzegł na obramowaniu kominka nad wąskim paleniskiem, ale i bez tego było dosyć jasno dla jego oczu.

„Powiniennem coś zrobić, czyż nie?”

Przypiął topór, potem zawahał się. Zrobił to nie myśląc, noszenie broni stało się dlań równie naturalne jak oddychanie. Nie spodobała mu się ta myśl. Ale nie odpiął wiszącego wokół bioder pasa i wyszedł na zewnątrz.

Światło docierające ze schodów spowodowało, że korytarz wydał mu się prawie jasny, w porównaniu z ciemnościami w jakich siedział w pokoju. Ze wspólnej sali dobiegały odgłosy rozmów i śmiechu, z kuchni zapachy gotowanej stawy. Poszedł w kierunku frontu gospody, gdzie mieścił się pokój Moiraine, zapukał raz i wszedł do środka. I zamarł, a twarz oblał mu rumieniec.

Moiraine owinęła się bladoniebieską suknią, zwisającą jej luźno z ramion.

— Chcesz czegoś? — zapytała zimno.

W jednej dłoni trzymała srebrny grzebień, a jej ciemne włosy spływały na ramiona czarnymi falami, lśniąc jakby były świeżo wyczesane. Jej pokój był daleko lepszy niż jego, z boazerią z polerowanego drewna na ścianach, z kutymi w srebrze lampami i dającym ciepło ogniem, rozpalonym na szerokim, ceglany kominku. W powietrzu unosiła się woń różanego mydła.

— Ja... ja myślałem, że znajdę tutaj Lana — zdołał wydukać. — Zawsze jesteście we dwoje, więc myślałem, że on... Myślałem...

— Czego właściwie chcesz, Perrin?

Wziął głęboki oddech.

— Czy to wszystko sprawka Randa? Wiem, że Lan tropił go, i że wszystko wydaje się tu takie dziwne... Myśliwi i Aiel... ale czy to wszystko jego dzieło?

— Sądzę, że nie. Będę wiedziała więcej, kiedy Lan powie mi, co odkrył dzisiejszej nocy. Jeżeli będziemy mieli odrobinę szczęścia, jego informacje pomogą mi dokonać wyboru.

— Wyboru?

— Rand mógł pokonać rzekę i zmierza teraz na przełaj w kierunku Łzy. Ale mógł też wziąć łódź do Illian, zamierzając potem przesiać się na inną, płynącą do Łzy. W ten sposób wybrałby drogę dłuższą o wiele lig, byłby jednak znacznie szybciej na miejscu.

— Nie sądzą, abyśmy rzeczywiście zamierzali go dogonić, Moiraine. Nie wiem, jak to się dzieje, ale poruszając się pieszo, wciąż nas wyprzedza. Jeśli Lan się nie myli, pozostaje stale pół dnia drogi przed nami.

— Prawie uwierzyłam już, że nauczył się Podróżować — powiedziała Moiraine, nieznacznie marszcząc brwi. Ale gdyby tak rzeczywiście było, podążyłby wprost do Łzy. Nie, płynie w nim krew wytrwałych piechurów i tęgich biegaczy. My jednak możemy popłynąć rzeką. Jeśli nawet go nie dogonię i tak będę w Łzie krótko po nim. Albo nawet wcześniej.

Perrin niespokojnie zaszurał nogami, w jej głosie posłyszał zimne, niewzruszone przyrzeczenie.

— Powiedziałaś mi kiedyś, że potrafisz wyczuć Sprzymierzeńca Ciemności, a przynajmniej kogoś, kto daleko już zawędrował w Cień. Lan również. Czy wyczułaś przy nas kogoś takiego?

Głośno wciągnęła powietrze i odwróciła się do wysokiego lustra, stojącego na wspaniale odrobionych srebrnym nogach. Jedną ręką trzymając suknię, drugą przeciągnęła grzebieniem po włosach.

— Niewielu ludzi szło tak daleko, Perrin, nawet wśród najgorszych Sprzymierzeńców Ciemności. — Grzebień zatrzymał się w pół ruchu. — Dlaczego pytasz?

— Na dole, we wspólnej sali jest dziewczyna, która mi się przyglądała. Nie tobie lub Loialowi, jak reszta. Mnie.

Grzebień podjął swój ruch, uśmiech pojawił się na chwilę na ustach Moiraine.

— Czasami zapominasz, Perrin, że jesteś przystojnym młodym mężczyzną. Niektóre dziewczyny podziwiają wspaniałe ramiona.

Chrząknął i zaszurał nogami.

— Coś jeszcze, Perrin?

— Hmm... nie.

Nie pomogłaby mu, gdyby zapytał o widzenie Min, nie powiedziałyby mu nic więcej ponad to, co sam już wiedział — że jest ważne. A nie chciał mówić, co widziała tamta, a tym bardziej o tym, że w ogóle cokolwiek widziała.

Kiedy wyszedł z powrotem na korytarz i zamknął drzwi, na chwilę musiał oprzeć się o ścianę.

„Na Światłość, tak po prostu wszedłem do niej, a ona...” Była przecież piękną kobietą. „I wystarczająco starą, żeby być moją matką, albo nawet jeszcze starszą.” Pomyślał, że Mat najprawdopodobniej zaprosiłby ją na dół na tańce. „Nie, nie zrobiłby tego. Nawet Mat nie jest tak głupi, by próbować czarować Aes Sedai.” Moiraine nie stroniła od tańca. Raz nawet sam z nią tańczył, choć potykał się niemalże przy każdym kroku. „Przestań myśleć o niej jak o pierwszej lepszej wiejskiej dziewczynie tylko dlatego, że zobaczyłeś... To jest przeklęta Aes Sedai! Przejmuj się lepiej tym Aielem.”

Otrząsnął się z natłoku myśli i zszedł na dół.

Wspólna sala pękała w szwach, zajęte były wszystkie krzesła, przyniesiono dodatkowe stoły i ławy, a ci, którzy nie mieli gdzie usiąść, stali pod ścianami. Nigdzie nie dostrzegł czarnowłosej dziewczyny, nikt też nie spojrzął na niego, kiedy dwukrotnie w pośpiechu przemierzał pomieszczenie.

Orban miał dla siebie cały stół, obandażowaną nogę wsparł na krześle wyłożonym poduszką, widać było stopę obutą w miękkie kamasz, w dłoni trzymał srebrny puchar, służąca dbała o to, by był zawsze pełen.

— Tak — mówił, zwracając się do zebranych w sali słuchaczy — wiedzieliśmy, Gann i ja, że Aielowie są strasznymi wojownikami, ale nie było czasu na wahanie. Wyciągnąłem miecz i wbiłem ostrogi w boki Lwa...

Perrin wzdrygnął się, zanim zrozumiał, że koń opowiadającego nosi takie właśnie imię i to jego miał na myśli Orban.

„Nie uwierzono by mu przecież, gdyby powiedział, że dosiadał lwa.”

Poczuł lekki wstyd, za swoją antypatię do tego człowieka. Nie powinien myśleć, że mógł się w swych przechwałkach posunąć aż tak daleko. Pośpieszył na zewnątrz, nie oglądając się więcej za siebie.

Ulica przed frontem gospody była równie zatłoczona jak jej wnętrze, ludzie, dla których nie starczyło miejsca w środku, zaglądali przez okna, dwukrotnie większy tłum zgromadził się przy drzwiach, słuchając opowieści Orbana. Znow nikt nie spojrział na Perrina, choć jego przejście wzbudziło skargi z ust tych, których potrafił, przedzierając się przez ciżbę.

Każdy, kto nie został tej nocy w domu, musiał pójść do gospody, nikt bowiem nie szedł w stronę placu. Czasami dostrzegał czyjś cień w oświetlonym oknie, ale to było wszystko. A jednak cały czas miał uczucie, że ktoś go obserwuje, to też rozglądał się dookoła niespokojnie. Nic, prócz otulonych nocnym mrokiem ulic, upstrzonych plamkami jaśniejących okien. Wokół placu większość okien była ciemna, oprócz kilku na wyższych piętrach domów.

Szubienica stała tak, jak ją zapamiętał, człowiek — Aiel — wciąż był w klatce, wiszącej wyżej niż Perrin mógł sięgnąć. Aiel zdawał się nie spać — a przynajmniej głowę trzymał uniesioną — ale ani razu nie spojrział w dół, na Perrina. Kamienie, którymi rzucały w niego dzieci, leżały rozsypane pod klatką.

Klatka wisiała na grubej linie, przyczepionej do pierścienia w jednej z wyższych belek, dalej lina biegła przez mocny krążek przymocowany do poprzeczki; zawieszano ją wokół pary kołków, na wysokości jego pasa, wbitych w pionową belkę. Reszta liny leżała w nieporządnej płataninie zwojów u stóp szubienicy.

Perrin rozejrzał się dookoła, wpatrując w ciemności zalegające plac. Wciąż miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale dalej nie widział nikogo. Wytężył słuch i nie wyłowił żadnego dźwięku. W nozdrzach czuł tylko dym z kominów i kuchennych pieców w domach oraz ludzki pot i zapach zaschłej krwi, dochodzący od mężczyzny w klatce. Od Aiela nie czuł charakterystycznej woni strachu.

„Jego ciężar i jeszcze waga klatki” — pomyślał, podchodząc bliżej do szubienicy.

Nie wiedział, kiedy zdecydował się to zrobić, ani nawet czy naprawdę tak postanowił, rozumiał jednak, że to właśnie zamierza.

Zahaczywszy nogę wokół ciężkiej belki, całym ciężarem ciała pociągnął linę, unosząc klatkę w górę i luzując nieco sznur. Sposób, w jaki lina się szarpnęła, uświadomił mu, że mężczyzna w klatce w końcu się poruszył, ale zbyt się spieszył, by teraz przestać i powiedzieć mu co robi. Poluzowany sznur mógł teraz odwinąć z kołków. Wciąż zahaczony nogą o belkę, szybko opuścił klatkę; pomagając sobie rękoma, wyszedł na kamienie bruku.

Aiel patrzył na niego, w milczeniu studiując jego twarz. Perrin nie powie-

dział nic. Kiedy dobrze przyjrzał się klatce, zacisnął usta. Jeśli robi się już taką rzecz, szczególnie wtedy, gdy robi się taką właśnie rzecz, wówczas trzeba wykonać ją dobrze. Całą przednią ścianę klatki stanowiły drzwi, zawieszane na surowo odrobionych zawiasach, najwyraźniej wykonanych w pośpiechu, zamknięte żelaznym zamkiem na łańcuch, równie misternej roboty jak klatka. Przesunął dłońmi wzdłuż całego łańcucha, zanim znalazł najslabsze ogniwo, potem przewlekł przez nie kolec swego topora. Ostry skręt nadgarstków i ogniwo pękło. W przeciągu kilku sekund rozdzielił łańcuch, z grzechotem przesunął przez pierścienie i otworzył drzwi klatki.

Aiel siedział w środku, kolana wciąż trzymał pod brodą i patrzył na niego.

— Tak? — wyszeptał ochryple Perrin. — Otworzyłem ją, ale nie mam najmniejszego zamiaru dźwigać twego przeklętego ciała.

Pospiesznie rozejrzał się po nocnych ciemnościach zalegających plac. Wciąż nic się nie poruszało, ciągle jednak miał wrażenie, iż obserwują go czyjeś oczy.

— Silny jesteś, człowieku z bagien. — Aiel nie poruszał się, wyjąwszy nieznaczne drgnienie ramion. — Trzech ludzi musiało mnie podnosić, a teraz ty mnie opuszczasz. Dlaczego?

— Nie lubię, jak ludzi trzyma się w klatkach — wyszeptał Perrin.

Chciał już stąd iść. Klatka była otwarta, a czyjś wzrok wciąż spoczywał na nim. Ale Aiel się nie ruszał.

„Jeśli coś robisz, rób to dobrze.”

— Wyjdiesz stąd, zanim ktoś nadejdzie?

Aiel jednym ruchem złapał przedni pręt dachu klatki, przeskoczył przez jej drzwi i stanął na nogach. Wyprostowany, był niemal o głowę wyższy od Perrina. Spojrzał mu w oczy, Perrin wiedział, że muszą lśnić jak wypolerowane złoto pośród nocy, ale tamten nawet o nich nie wspomniał.

— Jestem tutaj od wczoraj, człowieku z bagien. — Jego słowa brzmiały, jakby wypowiadał je Lan. Nie żeby ich głosy lub akcenty były podobne, ale Aiel miał w sobie ten sam niewzruszony chłód, tę samą spokojną pewność. Potrwa chwilę, zanim odzyskam czucie w nogach. Jestem Gaul, z klanu Imran, z Shaarad Aiel, człowieku z bagien. Jestem *Shae'en M'taal*, Kamienny Pies. Moja woda jest twoją.

— Dobrze, jestem Perrin Aybara. Z Dwu Rzek. Kowal.

Człowiek był już oswobodzony, mógł w każdej chwili odzyskać zdolność poruszania się. Tylko, jeżeli ktoś przyjdzie, zanim Gaul będzie mógł chodzić, wówczas z powrotem wsadzą go do klatki, jeśli nie zabiją go od razu, a każda z tych możliwości oznaczać będzie zmarnotrawienie wszystkiego, co Perrin dotąd zrobił.

— Gdyby przyszło mi to do głowy, przyniósłbym butelkę lub bukłak z wodą. Dlaczego mówisz do mnie „człowieku z bagien”?



Gaul wskazał gestem rzekę, w poświęcie księżycy oczy mogły zwieść nawet Perrina, wyglądało jednak, że po raz pierwszy Aiel poczuł niepokój.

— Trzy dni temu widziałem dziewczynkę zabawiającą się w ogromnym zbiorniku wodnym. Musiał mieć co najmniej dwadzieścia kroków średnicy. Ona... po prostu wskoczyła do środka. — Jedną ręką wykonał ruch, niezdarnie naśladujący pływanie. — Odważna dziewczyna. Przekraczanie tych... rzek... niemalże odebrało mi resztki odwagi. Nigdy nie myślałem, że może być coś z taką ilością wody, ale nigdy nie myślałem też, że w świecie może być równie wiele wody, ile posiadacie wy, ludzie z bagien.

Perrin potrząsnął głową. Wiedział, że na Ugorze Aielowie mają niewiele wody — była to jedna z niewielu rzeczy jakie wiedział o Ugorze i Aielach — ale nie zdawał sobie sprawy, iż jest tak rzadka, aby wywołać podobną reakcję.

— Daleko odszedłeś od domu, Gaul. Dlaczego jesteś tutaj?

— Szukamy — odrzekł wolno Gaul. — Poszukujemy Tego Który Nadchodzi ze Świtem.

Perrin słyszał już wcześniej to imię i to w okolicznościach takich, że wiedział, kogo oznaczało.

„Światłości, wszystko zawsze sprowadza się do Randa. Jestem związany z nim jak domagająca się podkucia chabeta z kowalem.”

— Podążasz w złym kierunku, Gaul. Ja również go poszukuję, on zaś zmierza do Łzy.

— Do Łzy? — w głosie Aiela zabrzmiało zaskoczenie. — Dlaczego...? Ale musi tak być. Proroctwo powiada, że kiedy padnie Kamień Łzy, opuścimy wreszcie Trójkątną Krainę. — Tak Aielowie nazywali Ugór. — Powiada też, że zostaniemy odmienieni i odnajdziemy wreszcie to, co było nasze i zostało stracone.

— Tak może być. Nie znam waszych proctw, Gaul. Potrafisz już iść? W każdej chwili ktoś może nadejść.

— Już za późno by uciekać — powiedział Gaul, a głęboki głos krzyknął:

— Dzikus się wy dostał!

Dziesiątka albo i tuzin mężczyzn w białych płaszczach biegło przez plac, wyciągając miecze, ich stożkowate hełmy lśniły w księżycowej poświęcie. Synowie Światłości.

Jak gdyby miał do dyspozycji cały czas świata, Gaul spokojnie odwinął ciemną materię z ramion i udrapował sobie na twarzy, a w rezultacie otrzymał grubą czarną zasłonę, która skrywała całość oblicza za wyjątkiem oczu.

— Lubisz tańczyć, Perrinie Aybara? — zapytał.

Tak przygotowany odskoczył od klatki. Prosto na nadbiegających Synów.

Na krótką tylko chwilę stanęli zaskoczeni, ale chwila to było wszystko, czego Aiel potrzebował. Kopniakiem wybił miecz z garści pierwszego, który mu się nawinął, potem jego usztywniona ręka uderzyła niczym sztylet w gardło Białego Płaszczka, a kiedy żołnierz padał, prześlizgnął się obok niego jak wąż. Ramię

następnego pękło z głośnym trzaskiem, gdy założył na nie dźwignię. Rzucił jego bezwładne ciało pod nogi trzeciego napastnika, czwartego zaś kopnął w twarz. To było rzeczywiście jak taniec, od jednego przeciwnika do drugiego, bez wytchnienia, nie zwalniał nawet na moment, mimo że powalony mężczyzna chwycił go za pięty, mimo że ten ze złamanym ramieniem podniósł swój miecz. Gaul tańczył pośród nich.

Perrin mógł tylko przez chwilę obserwować to zdumiewające widowisko, nie wszyscy bowiem Synowie skupili się na Aielu. W ostatnim momencie chwycił oburącz stylisko topora, by zablokować cios miecza, ciął... i chciał aż zakrzyknąć, gdy ostrze w kształcie półksiężyca otworzyło gardło. Ale nie miał czasu na krzyki, ani na żal, za pierwszym podążyły następne Białe Płaszczce. Nienawidził ziejących ran, jakie wycinał jego topór, nienawidził sposobu, w jaki rozrywał kolczugę, by dostać się do skóry pod nią, jak rozłupywał hełmy i głowy z taką samą niemalże łatwością. Nienawidził tego wszystkiego. Ale nie chciał umrzeć.

Czas zdawał się kurczyć i rozciągać, jedno i drugie naraz. Ciało bolało go, jakby walczył od wielu godzin, w gardle chrypiały rwany oddech. Ludzie poruszali się niczym zanurzeni w gęstej galarecie. W mgnieniu oka przenosili się niejako z miejsca na miejsce, najpierw widoczni w tym, w którym zaczynali ruch, potem od razu tam, gdzie padali. Pot spływał mu po twarzy, jednak czuł się tak zimny jak woda w studni. Walczył o życie i nie umiał powiedzieć, czy trwało to sekundy, czy całą noc.

Kiedy wreszcie zatrzymał się, bez tchu, kompletnie oszołomiony i spostrzegł dwanaście białych płaszczy leżących na kamieniach bruku, zdawało mu się, że księżyc nie przesunął się nawet odrobinę. Niektórzy z mężczyzn jęczeli, inni leżeli cisi i nieruchomi. Pomędzy nimi stał Gaul, wciąż zamaskowany, wciąż z pustymi rękoma. Większość ciał to było jego dzieło. Perrin pożałował, że nie wszyscy, i poczuł wstyd. Odór krwi i śmierci był gorzki, ostry.

— Nie najgorzej tańczysz, Perrinie Aybara.

Wciąż odczuwając zawroty głowy, Perrin wymamrotał:

— Nie rozumiem, w jaki sposób dwunastu mężczyzn mogło walczyć z dwudziestoma waszymi i zwyciężyć, nawet jeśli dwaj z nich to Myśliwi.

— Tak powiedzieli? — Gaul zaśmiał się cicho. — Sarien i ja byliśmy nieostrożni, zbyt długo przebywaliśmy w tych delikatnych krainach, a nadto wiatr wiał ze złej strony, tak że nie wyczuliśmy nic. Zanim zdążyliśmy się zorientować, już wpadliśmy na nich. Cóż, Sarien nie żyje, a ja zostałem zamknięty w klatce jak głupiec, tak więc, być może, spłaciliśmy nasz dług. Teraz jest czas na to, by uciekać, człowieku z mokradeł. Łza, będę pamiętał.

Na koniec wreszcie opuścił czarną zasłonę.

— Obyś zawsze znalazł wodę i cień, Perrinie Aybara.

Odwrócił się i pobiegł w noc.

Perrin również chciał biec, ale zorientował się, że w dłoniach wciąż trzyma

zakrwawiony topór. Pośpiesznie wytarł wygięte ostrze w płaszcz martwego żołnierza.

„On nie żyje, niech szczenę, i tak pokryty był już krwią.”

Zmusił się by wsunąć stylisko w pętlę przy pasie i dopiero potem ruszył truchtem.

Dostrzegł ją, nim przebiegł dwa kroki, szczupłą postać na skraju placu, w ciemnych, wąskich spódnicach. Zerwała się do ucieczki, teraz widział wyraźnie, iż spódnice rozcięto dla ułatwienia jazdy konnej. Skręciła w najbliższą uliczkę i zniknęła.

Zanim dobiegł do miejsca, w którym przed chwilą stała, wpadł na Lana. Strażnik jednym spojrzeniem objął pustą klatkę, leżącą u stóp szubienicy, ocienione białe kopczyki, które słabo odbijały księżycową poświatę i podrzucił wysoko głowę, jakby miał zaraz wybuchnąć. Głosem tak napiętym i twardym jak świeżo wykuta obręcz na koło, zapytał:

— To twoje dzieło, kowalu? Niech mnie Światłość spali! Czy ktoś cię widział?

— Dziewczyna — odrzekł Perrin. — Sądzę, że widziała. Nie chcę, żebyś ją skrzywdził, Lan! Wielu innych również mogło widzieć. Dookoła mnóstwo oświetlonych okien.

Strażnik chwycił Perrina za rękaw płaszcza i popchnął w kierunku gospody.

— Widziałem, jak dziewczyna biegła, ale sądziłem. . . Nieważne. Znajdź Ogi-  
ra i sprowadź do stajni. Po tym wszystkim, musimy jak najszybciej zaprowadzić  
konie do doków. Światłość jedna wie, czy jakiś statek odplywa dzisiejszej nocy,  
albo ile będę musiał zapłacić, aby tak się stało. Tylko bez pytań, kowalu! Rób, co  
mówię! Biegiem!

# SOKÓŁ

Dzięki dłuższym nogom Strażnik wyprzedził Perrina, toteż kiedy wreszcie udało mu się przedrzeć przez ciżbę i wejść do gospody, tamten już kroczył po schodach, wolno, jakby się wcale nie spieszył. Perrin również zwolnił kroku. Zza drzwi, przez które przed momentem przeszedł, dobiegły utyskiwania na ludzi wpychających się przed innych.

— Jeszcze raz? — zapytał Orban, podnosząc do napełnienia srebrny puchar. — Tak, świetnie. Czekali w zasadzce, blisko drogi, po której jechaliśmy, a wszak nie spodziewałem się zasadzki tak blisko Remenu. Wrzeszcząc spadli na nas z gęstwiny zarośli. W mgnieniu oka już byli między nami, dźgając włóczniami, z miejsca padło dwóch moich najlepszych ludzi i jeden człowiek Ganna. Tak, kiedy ich zobaczyłem, poznałem Aielów i...

Perrin pośpieszył w kierunku schodów.

„Cóż, następnym razem Orban na pewno ich pozna.”

Zza drzwi pokoju Moiraine dochodziły jakieś głosy. Nie chciał nawet słyszeć, co ona o tym wszystkim sądzi. Przebiegł obok i po chwili już wsunął głowę w drzwi wiodące do pokoju Loiala.

Łóżko Ogira było niskim, masywnym meblem, dwukrotnie dłuższym i o połowę szerszym niż największe ludzkie poślanie, jakie Perrin w życiu widział. Zajmowało większą część pokoju, równie wielkiego i wygodnego jak pokój Moiraine. Perrin niejasno przypominał sobie, że Loial powiedział coś o śpiewającym drzewie, z którego miało być wykonane, i zapewne w innych okolicznościach zatrzymałby się, aby podziwiać płynne krzywizny, które sprawiały wrażenie jakby łóżko zwyczajnie wyrosło z podłogi właśnie w tym miejscu. Ogirowie musieli kiedyś naprawdę gościć w Remen, gospodarz bowiem znalazł także drewniany fotel odpowiedni do rozmiarów Loiala i wyłożył go poduszkami. Ogir siedział na nim wygodnie, odziany w koszulę i swoje bryczesy, leniwie drapiąc się w obnażoną kostkę palcem drugiej nogi i pisząc coś w wielkiej, oprawionej w płótno księdze, wspartej o poręcz fotela.

— Wyjeżdżamy! — powiedział Perrin.

Loial poderwał się na równe nogi, niemalże przewracając butelkę z atramentem i strącając księgę na podłogę.

— Wyjeżdżamy? Przecież dopiero przyjechaliśmy — zahuczał.

— Tak, wyjeżdżamy. Spotykamy się w stajni, pośpiesz się. I nie pozwól, aby cię ktoś zobaczył. Sądzę, że są tutaj tylne schody, wiodące przez kuchnię.

Zapach jedzenia, który czuł w swoim końcu korytarza, był zbyt silny, aby nie domyśleć się, o co chodzi.

Ogir obdarzył łóżko pełnym żalu spojrzeniem, po czym zaczął wciągać swe wysokie buty.

— Ale dlaczego?

— Białe Płaszcz — rzucił Perrin. — Resztę opowiem ci później.

Wycofał się, zanim Loial zdążył o coś jeszcze zapytać.

Dotąd nie miał czasu rozpakować swych rzeczy. Kiedy przypasał kołczan, owinął się płaszczem, zawiesił zwój koca oraz torby na ramieniu i podniósł łuk, pokój nie zdradzał najmniejszych śladów, że przed chwilą ktoś w nim mieszkał.

Najmniejszej zmarszczki na kocach zwiniętych w nogach łóżka, nawet drobiny wody rozpryskanej w poszczerbionej miednicy. Zdał sobie sprawę, że również łojowa świeczka wciąż zachowała świeży knot.

„Musiałem wiedzieć, że nie zostanę tu długo. Od początku nie chciałem zostawić za sobą żadnych śladów.”

Tak jak przypuszczał, wąskie schody na tyle domostwa prowadziły do korytarza, który biegł w stronę kuchni. Ostrożnie zajrzał do jej wnętrza. Pies drepotał w swym wielkim wiklinowym bębnie, obracając długi rożen, na który nabito udziec jagnięcy, duży kawał wołowiny, pięć kurczaków i gęś. Aromatyczna woń unosiła się znad kotła z zupą, zawieszzonego na mocnym pałaku nad drugim paleńskim. Nigdzie jednak nie było widać kucharza, ani w ogóle żywej duszy, oczywiście oprócz psa. Wdzięczny Orbanowi za jego kłamstwa, pośpiesznie wyszedł w noc.

Wielką budowlę stajni wykonano z tego samego kamienia co gospodę, choć wypolerowane były jedynie powierzchnie gładów otaczających wielkie wrota. Pojedyncza latarnia, zwisająca z haka, wbitego w przegrodę boksu, rozsiewała wokół mętne światło. Stepper i pozostałe konie stały w boksach w pobliżu drzwi, ogromny wierzchowiec Ogira niemalże całkowicie wypełniał swój. Zapach siana i koni był swojski, uspokajający. Jak się okazało, Perrin przyszedł pierwszy.

Na służbie był tylko jeden stajenny, mężczyzna o wąskiej twarzy, przeredzonych siwych włosach i w brudnej koszuli. Koniecznie chciał się dowiedzieć, kim właściwie jest Perrin, jakim prawem domaga się osiodłania czterech koni, kim jest jego pan oraz co właściwie robi pośrodku nocy, spakowany do podróży, a także czy pan Furlan wie, że wyslizguje się w ten sposób, wreszcie cóż takiego właściwie chowa w tych sakwach, i co się stało z jego oczyma, czy nie jest przypadkiem chory?

Moneta rzucona gdzieś spoza pleców Perrina błysnęła złotem w świetle latarni. Stajenny pochwycił ją jedną ręką i spróbował zębami.

— Osiodłaj je — rozkazał Lan. Jego głos był miękki, jak miękkie jest zimne żelazo, a stajenny skłonił się i pobiegł przygotować konie.

Moiraine z Loialem weszli do stajni dokładnie w chwili, w której mogli już wziąć wodze w dłonie, a potem w ślad za Lanem poprowadzili swe konie w dół, ulicą, która biegła za stajnią w kierunku rzeki. Cichy stukot końskich podków na kamieniach bruku przyciągnął uwagę wychudzonego psa, który szczeknął raz i uciekł, kiedy podeszli bliżej.

— W taką noc wracają wspomnienia, nieprawdaż, Perrin? — odezwał się cicho Loial.

— Spróbuj mówić jeszcze ciszej — odszeptał Perrin. — Jakie wspomnienia?

— Cóż, jest tak, jak w dawnych czasach. — Ogirowi udało się ściszyć głos, brzmiał jak brzęczenie trzmiela, który teraz mógłby mieć wielkość psa, nie zaś jak poprzednio, konia. — Potajemny wyjazd pośród nocy, wrogowie za nami i być może również z przodu, atmosfera zagrożenia w powietrzu oraz chłodny posmak przygody.

Perrin zmarszczył brwi i ponad karkiem Steppera spojrzął na Ogira. Było to dość proste, oczyma wyłowił kark swego konia, ponad nim wznosiła się głowa, ramiona i pierś Loiala. — O czym ty mówisz? Wygląda, jakbyś polubił niebezpieczeństwo. Loial, musisz być szalony!

— Utrwalam jedynie w pamięci nastrój chwili — odrzekł Loial dosyć sztywno, choć mógł to również być ton niepewności. — Do mojej książki. Chciałbym wszystko w niej zawrzeć. Sądzę, że faktycznie je lubię. Przygody. Oczywiście, że tak jest. — Dwa razy gwałtownie zastrzygł uszami. — Muszę je lubić, jeśli chcę o nich pisać.

Perrin potrząsnął głową.

Przy kamiennym nabrzeżu stały, przycumowane bezpiecznie na noc, podobne do barek promy, ciche i ciemne, jak większość pozostałych statków. Jednak wokół doku, w którym stała dwumasztowa łódź, poruszały się światła latarni i ludzkie sylwetki; na jej pokładzie również można było dostrzec przesuwane się cienie. Na statku dominował zapach smoły i konopnych lin, przemieszany z ostrą wonią ryb, które Perrin bez trudu rejestrował, mimo że z pobliskiego magazynu, który znajdował się za nimi, dobiegały inne, silniejsze, korzenne aromaty, tłumiące tamte.

Lan odnalazł kapitana, drobnego mężczyznę, który w dziwaczny sposób przechylał na bok głowę, kiedy słuchał wypowiedzianych do siebie słów. Targi szybko dobiegły końca, z pokładu wysunięto reje z obejmami, aby przetransportować konie na pokład. Perrin doglądał zwierząt, mówił do nich, gdyż zwierzęta z trudem znosiły takie niezwykle przygody, jak na przykład unoszenie w powietrze, ale nawet ogier Strażnika zdawał się uspokajać, słysząc jego mruczenie.

Lan ofiarował kapitanowi złoto, srebro zaś dwu żeglarzom, którzy pobiegli boso do magazynu po worki z owsem. Kolejnych kilku marynarzy spętało konie,

w przestrzeni pomiędzy masztami tworząc coś w rodzaju małej zagrody, otoczonej linami, przez cały czas mruczeli niechętnie na temat brudu, który będą musieli sprzątać. Perrin nie sądził, by te słowa były przeznaczone dla czyichkolwiek uszu, jednak jego wyostrzony słuch chwycił je z łatwością. Ci ludzie nie byli po prostu przyzwyczajeni do koni.

Wkrótce „Śnieżna Gęś” była gotowa do drogi, odrobinę tylko później niżli Jaim Adarra — tak bowiem nazywał się kapitan statku — pierwotnie sobie zamierzył. Kiedy odczepiono cumy, Lan pomógł Moiraine zejść pod pokład. Loial, ziewając, podążył za nimi. Perrin jednak stanął przy relingu w pobliżu dziobu, chociaż na każde ziewnięcie Ogira odpowiadał własnym. Wątpił, czy „Śnieżna Gęś” potrafi prześcignąć wilki i wyprzedzić sny. Ludzie na pokładzie wzięli się do wiosł sterowych, by odsunąć łódź od nabrzeża.

W chwili gdy ostatnia lina została rzucona na brzeg i zwinięta przez dokera, z cieni pomiędzy dwoma magazynami wypadła dziewczyna w wąskiej, rozciętej sukni, w dłoniach trzymała tobołek a ciemny płaszcz powiewał za jej plecami. Wskoczyła na pokład dosłownie w tym samym momencie, kiedy mężczyźni narparli już na wiosła sterowe.

Adarra pośpiesznie opuścił pozycję przy rumplu, ale ona spokojnie położyła tobołek na pokładzie i dziarsko rzekła:

— Zapłacę za przejazd rzeką do... och... powiedzmy tak daleko jak ten statek płynie. — Skinęła głową w kierunku Perrina. — Nie mam nic przeciwko spaniu na pokładzie. Nie przerażają mnie zimno i wilgoć.

Kilka minut trwały targi. W końcu zapłaciła trzy srebrne marki, zmarszczyła brwi spoglądając na miedziaki, które otrzymała w formie reszty, potem wsypała je do sakiewki i przeszła do przodu, stając za Perrinem.

Unosił się wokół niej ziołowy zapach — lekki, świeży i czysty. Ciemne, odrobinę skośne oczy przyglądały mu się przez chwilę znad wystających kości policzkowych, po czym odwróciły się ku nienickiemu brzegowi. Doszedł do wniosku, że jest mniej więcej w jego wieku, ale nie umiał stwierdzić, czy jej nos pasuje do twarzy, czy też dominuje w niej nieco zbyt mocno.

„Jesteś głupcem, Perrinie Aybara. Co cię obchodzi, jak ona wygląda?”

Szczelina pomiędzy burtą a nabrzeżem miała już szerokość jakichś dwudziestu kroków, pióra wiosł raz za razem rzeźbiły głębokie, białe zmarszczki w czarnej wodzie. Przez chwilę rozważał możliwość wyrzucenia jej za burtę.

— Cóż — odezwała się po chwili. — Nawet przez moment nie myślałam, że trasa mojej podróży tak szybko zawiedzie mnie z powrotem do Illian.

Jej głos był wysoki, ton miał raczej bezbarwny, ale nie było to nieprzyjemne.

— Ty jedziesz do Illian, czyż nie?

Zacisnęła usta.

— Nie dąsaj się — kontynuowała niezrażona. — Zostawiliście za sobą niezły bałagan, do spółki z tym Aielem. Kiedy opuszczałam miasto, właśnie zaczynało

w nim wrzeć.

— Nie powiedziałaś im? — zapytał zaskoczony.

— Miejscowi sądzą, że Aiel przegryzł łańcuchy, albo rozerwał je gołymi rękoma. Nie zdecydowali jeszcze, którą możliwość wybrać, gdy opuszczałam miasto. — Wydobyła z gardła dźwięk bardzo przypominający chichot. — Orban niezwykle głośno wyrażał swoje niezadowolenie, że otrzymane rany nie pozwalają mu na osobiste wzięcie udziału w pościgu.

Perrin parsknął.

— Kiedy następnym razem zobaczy Aiela, zapaskudzi sobie spodnie. — Odchrząknął i wymamrotał: — Przepraszam.

— Nic o tym nie wiem — powiedziała, jakby jego uwaga nie była w najmniejszym stopniu niestosowna. — Widziałam go zimą w Jehannah. Walczył z czterema ludźmi naraz, zabił dwóch i dwóch ciężko poranił. Oczywiście, on zaczął, tak że to trochę zmniejsza wartość jego czynu, ale tamci też wiedzieli, co robią. Nie wyzywał ludzi, którzy nie potrafili się bronić. A jednak jest głupcem. Miewa osobliwe pomysły na temat Wielkiego Czarnolasu. Tego, który bywa nazywany Lasem Cieni. Słyszałeś kiedyś o nim?

Spojrzał na nią z ukosa. O walce i zabijaniu mówiła równie spokojnie, jak inna kobieta rozmawiałaby o pieczeniu ciasta. Nigdy nie słyszał o Wielkim Czarnolesie, ale Las Cieni leżał niedaleko na południe od Dwu Rzek.

— Śledzisz mnie? Patrzyłaś na mnie, tam w gospodzie. Dlaczego? I czemu nie powiedziałaś im o tym, co widziałaś?

— Ogira — odparła, wpatrując się w rzekę — nie można pomylić z nikim, a rozpoznanie innych nie było trudniejsze. Udało mi się głębiej zajrzeć pod kaptur „lady Alys” niż Orbanowi, widok jej twarzy upewnił mnie, że ten człowiek o kamiennym obliczu jest Strażnikiem. Niech mnie Światłość spali, jeśli chciałabym go rozgniewać. Czy on zawsze tak wygląda, czy też jadł skały na kolację? W każdym razie zostałeś tylko ty. Nie lubię rzeczy, których nie jestem w stanie wytłumaczyć.

Powtórnie rozważył możliwość wyrzucenia jej za burtę. Tym razem już poważnie. Ale Remen było teraz tylko odległą plamą światła w ciemnościach, a któż mógł wiedzieć, jak daleko jest do brzegu.

Jego milczenie wzięła, jak się zdaje, za zachętę do kontynuowania.

— Tak więc mam... — rozejrzała się dookoła, potem zniżyła głos, chociaż najbliższy członek załogi pracował przy wiosle w odległości przynajmniej dziesięciu stóp — ... Aes Sedai, Strażnika, Ogira i... ciebie. Zwykły wieśniak, na pierwszy rzut oka.

Jej skośne oczy uniosły się, uważnie wpatrując w jego żółte tęczówki. Kiedy nie odwrócił wzroku, uśmiechnęła się.

— Tylko, że ty uwolniłeś Aiela, długo z nim rozmawiałeś, a potem pomogłeś mu posiekać na plasterki tuzin Białych Płaszcz. Zakładam, że regularnie robisz



takie rzeczy, niewątpliwie wyglądasz tak, jakby nie było to dla ciebie niczym niezwykłym. Coś dziwnego wyczułam w grupie takich podróżnych, a dziwne ślady są tym, czego poszukują Myśliwi.

Zamrugał, nie mogło być pomyłki co do akcentowania sylab.

— Myśliwy? Ty? Nie możesz być Myśliwym. Jesteś dziewczyną.

Jej uśmiech stał się tak niewinny, że niemalże się poddał. Odeszła krok w tył, wykonała dwa szerokie gesty dłońmi i nagle błysnęły w nich noże, a zrobiła to równie zręcznie, jak mógłby dokonać tego stary Thom Merrilin. Jeden z mężczyzn przy wiosle wydał taki odgłos jakby się udławił, dwaj inni potknęli się, a wiosła splątały, tańcząc na falach. „Śnieżna Gęś” przechyliła się odrobinę, dopiero krzyki kapitana przywróciły porządek. W tym czasie noże na powrót zniknęły.

— Giętkie palce i giętki umysł doprowadzą cię dalej niż muskuły i miecz. Pomocny jest również ostry wzrok, lecz na szczęście nie zbywa mi na żadnej z tych rzeczy.

— Skromności ci również nie brak — wymruczał Perrin. Pominęła tę uwagę milczeniem.

— Złożyłam przysięgę i otrzymałam błogosławieństwo na Wielkim Placu Tammaz, w Illian. Być może rzeczywiście byłam najmłodsza, ale w tym tłumie, wśród trąb, bębnow, cymbałów i wrzasku... Sześciolatnie dziecko mogło złożyć przysięgę i nikt by niczego nie zauważył. Było nas tam ponad tysiąc osób, może nawet dwa tysiące, a każdy miał pomysł, gdzie szukać Rogu Valere. Ja również... może okazać się trafny... ale żaden Myśliwy nie powinien lekceważyć tak osobliwego śladu. Róg z pewnością spoczywa na końcu dziwnego śladu, a nigdy nie widziałam dziwniejszego niż ten, który zostawia wasza czwórka. Dokąd zdążacie? Do Illian? Gdzieś dalej?

— A jaki jest twój pomysł? — zapytał. — Odnośnie do tego gdzie jest Róg?

„Bezpieczny w Tar Valon, i mam nadzieję, Światłości spraw, że nigdy go już więcej nie ujrzę.”

— Myślisz, że jest w Ghealdan?

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego. Odniosł wrażenie, że nigdy nie porzuca tropu, jeśli już raz go złapie, ale gotów był zaoferować jej tyle mylących śladów, ile tylko podejmie. Wtedy ona powiedziała:

— Słyszałeś kiedykolwiek o Manetheren?

Czuł, że zaczyna się dławić.

— Tak, słyszałem — odrzekł ostrożnie.

— Wszystkie królowe Manetheren były Aes Sedai, a królami ich Strażnicy. Nie mogę wyobrazić sobie miejsca takiego jak to, ale tyle mówią księgi. To była wielka kraina, większość Andoru oraz Ghealdan i jeszcze trochę ponadto, lecz stolica, samo miasto, leżało w Górach Mgły. Myślę, że Róg jest tam. Chyba że wasza czwórka doprowadzi mnie do niego.

Poczuł gniew. Pouczała go, jakby był niewykształconym prostakiem ze wsi.

— Nie znajdziesz Rogu w Manetheren. Miasto zostało zniszczone podczas wojen z Trollokami, kiedy ostatnia królowa zaczerpnęła zbyt dużo Jedynej Mocy, aby zniszczyć Władców Strachu, którzy zabili jej męża.

Moiraine powiedziała mu, jak brzmiały imiona tego króla i królowej, ale teraz nie pamiętał ich.

— Nie w Manetheren więc, wiejski chłopcze — odpowiedziała spokojnie — ale przecież kraina taka jak ta stanowi świetną kryjówkę. Były wszak inne narody, inne miasta w Górach Mgły, tak stare, że nawet Aes Sedai o nich nie pamiętają. A pomyśl o tych wszystkich opowieściach o nieszczęściu, które spotka każdego, kto odważy się zapuścić w góry. Gdzie można by lepiej schować Róg niż w jednym z zapomnianych miast?

— Słyszałem opowieści o czymś ukrytym w górach. Czy ona wciąż mu wierzy? Nigdy nie potrafił zbyt zrecznie kłamać. — W historiach nie mówi się co to jest, ale z pewnością chodzi o wielki skarb, być może właśnie Róg. Jednak Góry Mgły rozciągają się na przestrzeni setek lig. Jeśli zamierzasz coś w nich znaleźć, nie powinnaś tracić czasu, podążając za nami. Będziesz go dużo potrzebowała, by znaleźć Róg, zanim to zrobią Orban i Gann.

— Mówiłam ci, że oni upierają się przy dziwacznej idei, iż Róg jest ukryty w Wielkim Czarnolesie. — Uśmiechnęła się do niego. Kiedy się śmiała, jej usta nie wydawały się wcale za duże. — Powiedziałam ci też, że Myśliwy musi podążać za dziwnym śladem. Macie szczęście, że Orban i Gann odnieśli rany podczas walki z tymi wszystkimi Aielami, mogliby bowiem również znaleźć się teraz na pokładzie tej łodzi. Ja przynajmniej nie stanę wam na drodze, nie będę usiłowała niczego od was wydusić, nie wyzwę również do walki Strażnika.

Odwarknął z niesmakiem.

— Jesteśmy zwykłymi podróżnikami, w drodze do Illian, dziewczyno. Jak masz na imię? Jeśli przez najbliższe dni mamy podróżować tym samym statkiem, nie mogę ciągle nazywać cię dziewczyną.

— Nazywam siebie Mandarb.

Nie mógł powstrzymać głośnego parsknięcia, które wyrwało mu się z gardła. Skośne oczy, patrzące na niego, niemalże zapłonęły.

— Nauczę cię czegoś, wiejski chłopcze. — Jej głos odzyskał znowu spokój i równowagę. — W Dawnej Mowie Mandarb znaczy „ostrze”. To imię godne Myśliwego poszukującego Rogu!

Usiłował opanować swój śmiech i ciężko dysząc, wskazał w kierunku zagrody z lin pomiędzy masztami.

— Widzisz tego karego ogiera? On ma na imię Mandarb.

Plomień zniknął z jej oczu, na policzki wypełzły plamy rumieńców.

— Och. Od urodzenia nazywałam się Zarine Bashere, ale Zarine to kiepskie imię dla Myśliwego. W opowieściach Myśliwi noszą takie imiona jak Rogosh Orlooki.

Wyglądała na tak zmieszaną, że ośmielił się powiedzieć:

— Podoba mi się imię Zarine. Pasuje do ciebie.

Na chwilę jej oczy rozbłysły ponownie, przestraszył się, że ma zamiar znowu wyciągnąć nóż.

— Jest już późno, Zarine. Chciałbym się trochę przespać.

Odwrócił się w stronę włazu prowadzącego pod pokład, po ramionach przebiegł mu dreszcz. Członkowie załogi wciąż chodzili w tę i z powrotem po pokładzie, pracując przy wiosłach sterowych.

„Głupiec ze mnie. Przecież dziewczyna nie wsadzi mi noża w plecy. Nie przy tych wszystkich ludziach. Nieprawdaż?”

Kiedy doszedł do włazu, zawołała za nim:

— Wiejski chłopcze! Może nazwę się Faile. Mój ojciec mówił na mnie tak, jak byłem mała. Znaczy to „sokół”. Zesztywniał, niemalże nie trafiając na pierwszy stopień drabiny.

„Zbieg okoliczności. — Zmusił się, by zejść na dół, nie odwracając się za siebie. — Nic więcej”.

Przejsie było ciemne, ale przez właz za plecami przesączało się wystarczająco dużo księżycowej poświaty, aby mógł znaleźć drogę. W jednej z kabin ktoś głośno chrapał.

„Min, dlaczego musisz widzieć rzeczy?”

# CÓRKA NOCY

Nie miał innego sposobu, by się przekonać, którą kabinę przeznaczono dla niego, jedynie otwierając kolejne drzwi. Wszystkie były ciemne, mężczyźni spali na wąskich kojach, wbudowanych naprzeciw siebie w ściany. Tylko w jednym pomieszczeniu paliło się światło — Loial siedział na podłodze pomiędzy dwoma łózkami, ledwie się zresztą mieszcząc w wąskiej przestrzeni i pisał coś w oprawnej w płótno księdze, przy świetle zawieszanej na pierścieniu latarni. Ogir koniecznie chciał porozmawiać o wydarzeniach ostatniej nocy, ale Perrin, którego szczęki niemal trzeszczały od powstrzymywanego ziewania, doszedł do wniosku, że statek z pewnością odpłynął wystarczająco daleko, aby można było bezpiecznie zasnąć. Bezpiecznie śnić. Nawet gdyby wilki bardzo się starały, nie mogą długo dotrzymać kroku wiosłom i sile prądu.

Na koniec znalazł pozbawioną okien kabinę, całkowicie pustą, co bardzo mu odpowiadało. Chciał być sam.

„Zwykle, przypadkowe podobieństwo imion, to wszystko — myślał, zapalając latarnię zawieszoną na ścianie. — W każdym razie, jej prawdziwe imię brzmi Zarine.”

Ale dziewczyna z wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczyma nie była jego największym zmartwieniem. Położył łuk wraz z resztą dobytku na ciałym łóżku, rzucił na nie płaszcz, a sam usiadł na drugim, by ściągnąć buty.

Elyas Machera znalazł sposób na to, by żyć z tym, czym był — człowiekiem pozostającym w ścisłej więzi z wilkami — i nie oszalał. Zastanawiając się nad tym teraz, Perrin pewien był, że Elyas żył tak już od wielu lat, zanim się spotkali.

„To jest sposób życia, jaki świadomie wybrał. A w każdym razie zaakceptował.”

To nie było żadne rozwiązanie. Perrin nie chciał tak żyć, nie chciał się z tym godzić.

„Jeśli posiadasz sztabkę metalu, z której można zrobić tylko nóż, godzisz się na to i robisz nóż, nawet jeśli chciałbyś mieć siekiere. Nie! Moje życie jest czymś więcej niż tylko żelazem, które można przekuć w dowolny kształt.”

Ostrożnie sięgnął myślami na zewnątrz, starając się wyczuć wilki — nie znalazł nic. Och, poczuł niejasne wrażenie ich obecności, gdzieś daleko, ale rozwiało

się w chwili, gdy go dotknął. Po raz pierwszy od tak dawna był samotny. Błogo samotny.

Zdmuchnął latarnię i po raz pierwszy od wielu dni, legł na łóżku.

„Jak, na Światłość, Loial zdoła zasnąć w jednym z nich?”

Zwały się na niego wszystkie te nieprzespane noce, z wyczerpania drgały mu mięśnie. Zorientował się, że przynajmniej udało mu się nie pomyśleć ani razu o Aielu. Ani o Białych Płaszczach.

„Przeklęty topór! Światłości, niech szczenę, obym nigdy nie musiał brać go w dłońe...”

Taka była ostatnia myśl, jaka nawiedziła jego umysł, zanim zasnął.

\* \* \*

Otaczała go szara mgła, tak gęsta nad samą ziemią, że nie mógł dostrzec swych własnych butów, i tak nieprzenikniona, że nie widział nic na odległość dziesięciu kroków. Bliżej z pewnością niczego nie było. Dalej mogło czaić się wszystko. Mgła sprawiała dziwne wrażenie — nie było w niej wilgoci. Sięgnął dłonią do pasa, chcąc uspokoić się i upewnić, że nie jest bezbronny i zadrzał. Topór zniknął.

Coś poruszyło się we mgle, zawirowało pośród szarości. Coś szło za nim.

Napiął mięśnie, zastanawiając się czy lepiej uciekać, czy walczyć gołymi rękoma, i czy w ogóle jest z kim walczyć.

Falujące zawirowania mgły, poruszające się wśród szarości, zespoliły się w postać wilka, kosmata sylwetka prawie zlewała się z otoczeniem.

„Skoczek?”

Wilki zawahał się, potem podszedł i stanął przy jego boku. Skoczek — teraz był już pewien — ale coś w jego postawie, w żółtych oczach, które spojrzały przelotnie w jego własne, nakazywało milczenie, zarówno ustom jak i umysłowi; wyrażało niemy rozkaz — „chodź za mną.”

Położył rękę na grzbiecie wilka, a wtedy Skoczek ruszył naprzód. Pozwolił się prowadzić. Futro, w które wczepił dłoń było grube i kosmate. Przywracało poczucie rzeczywistości.

Mgła zaczęła gęstnieć, wkrótce już tylko chwyt dłoni dawał pewność, że Skoczek wciąż idzie obok, a niebawem, gdy spojrzął w dół, nie dostrzegł własnej klatki piersiowej. Tylko szara mgła. Równie dobrze mógłby pływać w kopcu świeżo zestrzyżonej wełny. Uderzył go również całkowity brak dźwięków. Nie słyszał nawet odgłosu swych kroków. Poruszył palcami u nóg i z ulgą poczuł skórę butów.

Mgła pociemniała i teraz wraz z wilkiem szedł przez smolistą czerń. Nie wi-

dział nawet dłoni, którą dotykał swego nosa. Prawdę mówiąc, nosa również nie widział. Na chwilę zamknął oczy i nie mógł stwierdzić żadnej różnicy. Dookoła wciąż zalegała absolutna cisza. Czuł szorstki włos grzbietu Skoczka, ale nie miał pewności, czy czuje ziemię pod stopami.

Nagle Skoczek przystanął, zmuszając go również do zatrzymania się. Rozejrzał się dookoła... i zacisnął powieki. Teraz różnica była wyraźna. Pojawiły się również odczucia — mdlące skręty żołądka. Zmusił się, by otworzyć oczy i spojrzeć w dół.

Widok, który zobaczył, nie mógł być prawdziwy, chyba że razem ze Skoczkiem znajdowałiby się wysoko w powietrzu. Nie mógł dostrzec ani siebie, ani wilka, jakby w ogóle nie posiadali ciał — na tę myśl żołądek skręcił się w ciasny supeł — ale pod nimi, doskonale widoczna, niczym w świetle tysiąca lamp, rozciągała się szeroka galeria luster, na pozór zawieszona swobodnie pośród czerni, jednakże tak równo, jakby ją ustawiono na rozległej posadzce. Zwierciadła ciągnęły się we wszystkich kierunkach, tak daleko jak mógł sięgnąć wzrokiem, jednakże przestrzeń pod nogami była pusta. Wewnątrz niej dostrzegł ludzi. W jednej chwili usłyszał ich głosy, tak wyraźnie, jakby stał pomiędzy nimi.

— Wielki Władco — wymamrotał jeden z nich — co to jest za miejsce? — Rozejrzał się dookoła, wzdrygnął przed własnym odbiciem, pomnożonym tysiąc-krotnie i odtąd trzymał już wzrok wbity przed siebie. Pozostali tłoczyli się wokół niego, wydawali się znacznie bardziej przerażeni. Jeszcze przed chwilą spałem w Tar Valon, Wielki Władco. Ja śpię w Tar Valon! Co to jest za miejsce? Czy oszalałem?

Niektórzy z tłoczących się wokół niego mieli na sobie pyszne kaftany, pełne zdobień, inni zdecydowanie skromniejszą odzież, a niektórzy wydawali się zupełnie nadzy, czy też odziani wyłącznie w bieliznę.

— Ja również spałem — wykrzyknął nagi mężczyzna. — W Łzie. Pamiętam, jak kładłem się z moją żoną!

— A ja spałem w Illian — powiedział mężczyzna w złocie i czerwieni, jego głos zdradzał przeżyty wstrząs. — Wiem, że śpię, to wszystko nie może być rzeczywiste. Wiem, że śnię, ale to jest niemożliwe. Gdzie ja jestem, Wielki Władco? Czy naprawdę przyszedłeś już po mnie?

Ciemnowłosa mężczyzna, który stał naprzeciw nich, odziany był w czerń, obszytą u nadgarstków i szyi srebrną koronką. Nieustannie przykładł dłoń do piersi, jakby bolało go serce. Wszystko było oświetlone dochodzącym znikąd światłem, ale mężczyzna znajdujący się pod stopami Perrina zdawał się otulony cieniem. Ciemność otaczała go, spowijała.

— Cisza!

Człowiek odziany w czerń nie podniósł głosu, bowiem nie musiał tego czynić. W pauzie, która nastąpiła po pierwszym słowie, podniósł głowę, jego oczy i usta wyglądały jak otwory wybite w osłonie paleniska kuźni, na którym szaleje ogień,

tryskał z nich płomień i jaskrawy blask.

Dzięki temu Perrin zrozumiał, kto to jest. Ba'alzamon. Patrzył w dół na samego Ba'alzamona. Strach przeszył go niczym setki hartowanych kolców. Uciekłby, gdyby potrafił poruszać nogami. Ale nie czuł nóg.

Skoczek przesunął się. Czuł grube futro w palcach dłoni, zacisnął je mocniej. Coś przywracającego poczucie rzeczywistości. Coś bardziej rzeczywistego, próbował przekonać siebie, niż widok pod stopami. Ale wiedział, że oba są tak samo realne.

Skupieni w gromadkę mężczyźni przypadli do ziemi.

— Wyznaczono wam zadania — oznajmił Ba'alzamon. — Niektóre zdołaliście zrealizować. Z innymi nie poradziliście sobie.

Jego oczy i usta nieustannie nikięły, przysłaniane buchającym z nich płomieniem, a zwierciadła odbijały rozbłyśki ognia.

— Ci, którym przeznaczono śmierć, muszą umrzeć. Ci, których naznaczono jako moją własność, muszą oddać mi pokłon. Zawód sprawiony Wielkiemu Władcy Ciemności nie zasługuje na przebaczenie.

Ogień błyszczał w jego oczodołach, otaczająca ciemność kłębiła się i wirowała.

— Ty. — Palcem wskazał tego, który mówił o Tar Valon, człowieka ubranego w dobrze skrojone rzeczy z najlepszej wełny. Inni odsunęli się od niego, jakby miał czarną ospę. Teraz, osamotniony, płaszczył się coraz bardziej i bardziej. — Pozwoliłeś chłopcu uciec z Tar Valon.

Mężczyzna wrzasnął i zawibrował niczym pilnik, którym uderzono w kowadło. Jego postać zaczęła jakby tracić swą konsystencję, a krzyk zanikał wraz z nim,

— Wszyscy śnicie — powiedział Ba'alzamon — ale to, co stanie się w tym śnie, będzie rzeczywiste.

Niknący człowiek był już tylko wiązką pasm mgły, powiązanych w człowieczą postać, jego krzyk dobiegał gdzieś z oddali, a po chwili nawet mgła zniknęła.

— Obawiam się, że nigdy się nie obudzi. — Zaśmiał się, a w ustach zatańczył mu ryczący płomień. — Pozostali z was już nigdy mnie nie zawiodą. Precz! Obudźcie się i bądźcie posłuszni!

Ludzie zniknęli.

Przez chwilę Ba'alzamon był sam, nagle obok niego pojawiła się kobieta, odziana w biel i srebro, których nie łamały żadne inne barwy.

Perrin przeżył wstrząs. Nigdy nie zapomniałby kobiety równie pięknej. Widział ją już raz, w swoim śnie, starała się nakłonić go do poszukiwania chwały.

Za nią pojawił się zdobny tron, usiadła, ostrożnie układając jedwabne spódnice.

— W swobodny sposób korzystasz z mojej dziedziny — powiedziała.

— Twojej dziedziny? — zdziwił się Ba'alzamon. — Rościsz sobie więc do niej prawo? Czy nie służysz już Wielkiemu Władcy Ciemności?

Ciemność wokół niego zgęstniała w jednej chwili, zdawała się wrzeć.

— Służę — odparła prędko. — Długo już służę Władcy Półmroku. Uwięziona za moją służbę, długo spoczywałam w nie kończącym się śnie bez snów. Tylko Szarym Ludziom i Myrddraalom odmówiono snów. Śnią nawet trolloki. A sny były zawsze moje, przeznaczone mi, bym z nich korzystała. Teraz znów jestem wolna i swobodnie czerpać będę z mojej własności.

— Z twojej własności — powtórzył Ba'alzamon. Wirująca wokół niego ciemność wydawała się niemal radosna. — Zawsze uważałaś się za coś więcej niż jesteś, Lanfear.

Imię cięło Perrina jak świeżo naostrzony nóż. Jedna z Przeklętych nawiedziła jego sny. Moiraine miała rację. Niektórzy już wydostali się na wolność.

Kobieta w bieli podniosła się, tron zniknął.

— Jestem tak wielka jak jestem. Dokąd doprowadziły nas twoje plany? Ponad trzy tysiące lat sączenia szeptów w uszy i pociągania za sznurki kukiełek, zasiadających na tronach, niczym jakaś Aes Sedai! — Ostatnie imię wypowiedziała z całą pogardą na jaką ją było stać. — Trzy tysiące lat, a jednak Lews Therin ponownie pojawił się na świecie i te Aes Sedai o mało nie wzięły go na smycz. Czy jesteś w stanie go kontrolować? Czy jesteś w stanie go przekonać? Był mój, zanim spotkała go ta słomianowłosa dzierlatka, Ilyena! I będzie znowu mój!

— Czy teraz służysz wyłącznie sobie, Lanfear? — głos Ba'alzamona był cichy, jednak płomienie nie przestawały szaleć w otworach oczu i ust. — Czy zła małaś swe przysięgi, składane Wielkiemu Władcy Ciemności?

Przez chwilę ciemność prawie zakryła go, można było dostrzec jedynie błyski płomieni.

— Nie tak łatwo je złamać, jak przysięgi składane Światłości, którą przekleć, proklamując się nową władczynią w samej Komnacie Sług. Twój pan rości sobie do ciebie prawa na zawsze, Lanfear. Czy będziesz służyć, czy też wolisz wieczny ból, nie kończącą się śmierć, bez nadziei na przebaczenie?

— Służę — pomimo wypowiedzianych słów, wciąż stała wyprostowana w wyzywającej pozie. — Służę Wielkiemu Władcy Ciemności i nikomu innemu. Na zawsze!

Szeroka galeria luster poczęła znikać, jak gdyby porywana przez czarne fale, przetaczające się po niej, coraz bliżej środka. Przyptyw czerni połknął w końcu Ba'alzamona i Lanfear. Pozostała tylko ciemność.

Perrin poczuł, jak Skoczek rusza i z niekłamaną ulgą poszedł za nim, prowadzony tylko przez kłęb futra ściskany w dłoni. Dopóki się nie poruszał, nie zdawał sobie sprawy, że to w ogóle będzie możliwe. Bez rezultatów starał się rozplątać sens sceny, której świadkiem był przed chwilą. Ba'alzamon i Lanfear. Koniuszek języka przyłgnał do kącika ust. Z jakiegoś powodu, Lanfear przeraziła go bardziej



niż Ba'alzamon. Być może dlatego, że wtedy, w górach nawiedzała jego sny.

— Światłości! Jedna z Przeklętych w moich snach! Światłości!

Ale, jeśli nie przeoczył czegoś, sprzeciwiła się Czarnemu. Mówiono mu zawsze, że Cień nie ma nad tobą władzy, gdy się mu opierasz, ale w jaki sposób Sprzymierzeniec Ciemności — gdzie tam Sprzymierzeniec, jedna z Przeklętych! — może oprzeć się Cieniowi?

„Musiałem oszaleć, jak brat Simiona. Te sny doprowadzają mnie do szaleństwa!”

Powoli czerń zmieniła się z powrotem w mgłę, a mgła stopniowo rzedła, dopóki wreszcie nie wyszedł razem ze Skoczkiem na porośnięty trawą stok wzgórza, jaskrawy w świetle dnia. W zaroślach u stóp wzgórza śpiewały ptaki. Obejrzał się za siebie. Pofałdowana równina, pokryta kępami drzew, rozciągała się aż po horyzont. Nigdzie nie było nawet śladu mgły. Wielki, posiwiały wilk stał, wpatrując się w niego.

— Co to było? — dopytywał się, usiłując zmusić swój umysł, aby formułował pytania w słowach, które wilk zrozumie. — Dlaczego mi to pokazałeś? Co to było?

Emocje i obrazy przepełniły jego myśli, a umysł ubrał je w słowa.

„To, co powinieneś zobaczyć. Bądź ostrożny, Młody Byku. To miejsce jest niebezpieczne. Bądź ostrożny, jak wilczek polujący na jeża.”

Brzmiało to jak coś zbliżonego do Małego z Kocami na Grzbiecie, ale jego umysł nazwał zwierzę imieniem, pod którym znali je ludzie.

„Jesteś zbyt młody, zbyt nowy.”

— Czy to było prawdziwe?

„Wszystko, co można zobaczyć jest prawdziwe, a także to czego nie można.” Wyglądało na to, że Skoczek nie ma zamiaru powiedzieć nic więcej.

— Skoczek, jak się tutaj dostałeś? Widziałem jak umierasz. Czuję, że umierasz!

„Wszyscy są tutaj. Wszyscy bracia i siostry, którzy są, którzy byli, którzy będą.”

Perrin wiedział, że wilki nie śmieją się, ale przez moment miał wrażenie, jakby pysk Skoczka rozciągnął się w charakterystycznym grymasie.

„Tutaj szybuję jak orzeł.”

Wilk przysiadł i potem skoczył wysoko w powietrze. Unosiło go coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zmienił się w małą plamkę na niebie. Pozostała po nim tylko ostatnia myśl:

„Szybować.”

Perrin patrzył w ślad za nim z ustami otwartymi ze zdumienia.

„Udało mu się.”

Oczy zaczęły go szczypać, odkaszlnął i potarł nos.

„Następnym razem rozplacę się jak dziewczyna.”

Nie myśląc, rozejrzał się wokół siebie, czy nikt go nie obserwuje, a wtedy wszystko uległo gwałtownej przemianie.

Stał na pagórku, wokół rozciągała się cienista, niewyraźna gmatwanina wzniesień i uskoków. Zdawały się dziwnie szybko ginać w oddali. Rand stał poniżej. Rand, a wokół niego zaciskał się poszarpany krąg Myrddraali oraz mężczyzn i kobiet, na których wzrok jakby nie mógł się zatrzymać. Psy wyły w oddali, Perrin wiedział, że na coś polują. Woń Myrddraali i zapach palonej siarki przesyciły powietrze. Perrin poczuł jak jeżą mu się włosy na karku.

Krąg złożony z Myrddraali i ludzi zaciskał się coraz bardziej, wszyscy poruszali się jakby we śnie. A Rand zaczął ich zabijać. Kule ognia wyleciały z jego dłoni i pochłonęły dwóch. Błyskawica runęła z góry i wypaliła innych. Wstęgi światła, niczym rozgrzany do białości metal, uderzyły z jego pięści na pozostałych. Ale ci, którzy przeżyli, nie przestawali się powoli zbliżać, jak gdyby nic się nie stało. Ginęli jeden po drugim, aż nie został nikt. Wtedy Rand padł na kolana, ciężko dysząc. Perrin nie wiedział, czy tamten śmieje się, czy płacze, wyglądało to tak, jakby zawładnęło nim i jedno, i drugie uczucie.

Wśród wzniesień pojawiły się kolejne kształty, nadchodzili nowi ludzie, nowe Myrddraale, wszyscy zmierzali w stronę Randa.

Perrin przyłożył dłoń do ust.

— Rand! Rand, nadchodzą następni!

Rand spojrział na niego, skulił się jakby w sobie i warknął; pot spływał mu po twarzy.

— Rand, nadchodzą. . .

— Szczejnij! — zawył Rand.

Światłość wypaliła Perrinowi oczy i ból zagłuszył wszystko.

\* \* \*

Jęcząc zwinął się w kłębek na wąskim łóżku, jasność wciąż płonęła pod powiekami. Bolało go w piersiach. Podniósł dłoń i aż skrzywił się, kiedy wyczuł oparzelinę pod koszulą, nie większą od srebrnej monety.

Ostrożnie, powoli, prawie przemocą rozluźniał skurczone mięśnie, aż wreszcie mógł wyprostować nogi i legł płasko w wąskiej kabinie.

„Moiraine. Tym razem muszę opowiedzieć Moiraine. Poczekam tylko, aż ból trochę minie.”

Ale kiedy ból zaczął mijać, zwyciężyło zmęczenie. Ledwie pomyślał o tym, żeby wstać, sen otulił go znowu.

Kiedy ponownie otworzył oczy, leżał, wpatrując się w belki sufitu. Światło

w szparach między drzwiami a framugą oznaczało, że nadszedł już ranek. Przyłożył dłoń do piersi, aby upewnić się, że wszystko tylko sobie wyobraził, tak dobrze sobie wyobraził, że nawet teraz czuł oparzelinę. . .

Jego palce znalazły ranę.

„A więc jednak nie wyobraziłem sobie tego.”

Zachował niejasne wspomnienia kilku innych snów, które jednak rozwiały się, kiedy usiłował je sobie przypomnieć. Zwykłe sny. Czuł się dobrze, jakby spokojnie przespał całą noc.

„I mógłbym od razu przespać następną.”

Znaczyło to, że jednak może spać.

„Dopóki w pobliżu nie ma wilków.”

Pamiętał postanowienie, które powziął podczas krótkiego przebudzenia ze snu o Skoczku i po chwili zdecydował, że jest to decyzja słuszna.

Pukał do pięciu drzwi i przeklinał przy dwóch, mieszkańcy znajdujących się za nimi pomieszczeń zapewne byli na pokładzie, zanim wreszcie znalazł Moiraine. Była już całkowicie ubrana, ale wciąż siedziała ze skrzyżowanymi nogami na jednym z dwu wąskich łóżek, czytając przy świetle latarni swą księgę z notatkami. Jak dostrzegł, księga otwarta była blisko początku, notatki musiały więc pochodzić z czasu, zanim przybyła do Pola Emonda. Rzeczy Lana leżały schludnie ułożone na sąsiednim łóżku.

— Miałem sen — zaczął, a potem opowiedział jej wszystko po kolei. Dokładnie wszystko. Podniósł nawet koszulę, by pokazać małą, kolistą plamę na piersiach, czerwoną, z odchodzącymi od niej falistymi czerwonymi pręgami. Przedtem zatajał przed nią pewne rzeczy, i podejrzewał, że w przyszłości również może postępować podobnie, jednak ta sprawa była zapewne nazbyt ważna, by zatrzymać ją wyłącznie dla siebie. Nit jest najmniejszą częścią nożyczek i najłatwiejszą do wykonania, ale bez niego nożyczki nie przetną niczego. Kiedy skończył, stanął w milczeniu, czekając.

Jej twarz była pozbawiona wyrazu, tylko ciemne oczy zdradzały, jak dokładnie rozważa każde wypowiedziane przez siebie słowo, waży je, mierzy, unosi do światła. Potem siedziała dalej w tej samej pozycji, ale miał wrażenie, że teraz to on był badany, ważony i podnoszony do światła.

— A więc, czy to jest ważne? — na koniec nie wytrzymał. — Sądzę, że był to jeden z tych wilczych snów, o których mi mówiłaś. Jestem pewien, tak właśnie musiało być! Tylko powiedziałaś, że niektórzy z Przeklętych mogli się uwolnić, a on mówił do niej Lanfear i. . . To jest naprawdę ważne, czy stojąc tutaj, robię tylko z siebie głupca?

— Są kobiety — powiedziała powoli — które zrobiłyby wszystko, by cię poskromić, po usłyszeniu tego, co ja usłyszałam przed chwilą.

Nie mógł oddychać, czuł się tak, jakby płuca odmówiły mu posłuszeństwa.

— Nie oskarżam cię o zdolności do przenoszenia Mocy. — Kontynuowała po chwili, a lód w jego wnętrzu powoli zaczął się rozpuszczać. — Czy choćby nawet o zdolności do nauczenia się tego. Próba poskramiania nie wyrządziłaby ci najmniejszej krzywdy, pominąwszy okrutne traktowanie, jakie miałbyś do zawdzięczenia Czerwonym Ajah, zanim zdałyby sobie sprawę ze swej pomyłki. Tacy mężczyźni są tak nieliczni, że nawet Czerwone, opętane gorączką polowania, nie znalazły więcej niż trzech w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Przynajmniej do czasu plagi fałszywych Smoków. Usiłuję ci uświadomić, że nie sędzę, abyś nagle zaczął przenosić Moc. Tego nie musisz się obawiać.

— Cóż, dziękuję przynajmniej za to — powiedział gorzko. — Nie musiałaś mnie śmiertelnie przerażać tylko po to, by mi powiedzieć, że nie muszę się niczego obawiać.

— Och, oczywiście, że masz się czego obawiać. A przynajmniej masz powody do zachowania daleko idącej ostrożności, jak cię przestrzegał wilk. Czerwone siostry, lub kto inny, mogłyby cię zabić, zanimby odkryły, że nie ma w tobie nic do poskramiania.

— Światłości! Światłości, spal mnie! — Wpatrywał się w nią spod zmarszczonych brwi. — Próbujesz wodzić mnie za nos, Moiraine, ale ja nie jestem głupim cieleciem i nie mam kółka w nosie. Czerwone Ajah, albo jakiegokolwiek inne nie pomyślałyby o poskramianiu, jeśli w moich snach nie byłoby nic prawdziwego. Czy oznacza to, że Przeklęci są na wolności?

— Mówiłam ci już wcześniej, że jest to możliwe. Niektórzy z nich. Twoje... sny są czymś, czego nie oczekiwałam, Perrin. Śniący pisali o wilkach, ale tego się nie spodziewałam.

— Cóż, ja myślę, że to było prawdziwe. Sędzę, że widziałem coś, co się rzeczywiście zdarzyło, coś, co nie było przeznaczone dla moich oczu.

„A co jednak zobaczyć musiałem?”

— Uważam, że Lanfear uwolniła się zupełnie niedawno. Co masz zamiar zrobić?

— Jadę do Illian. A potem do Łzy. Mam nadzieję, że uda mi się zdążyć przed Randem. Musieliśmy zbyt szybko opuścić Remen i Lan nie zdążył się zorientować, czy Rand przekroczył rzekę czy popłynął nią. Jednak zanim dotrzemy do Illian, będziemy wiedzieli. Napotkamy znaki jego przejścia.

Spojrzała na książkę, jakby zamierzała ponownie podjąć lekturę.

— To wszystko, co masz zamiar zrobić? Lanfear jest na wolności i, Światłości wie, ilu jeszcze innych?

— Nie wpytuj mnie — powiedziała chłodno. — Nie wiesz nawet, jakie pytania zadawać, i nie byłbyś w stanie zrozumieć choćby połowy odpowiedzi, jakich bym ci udzieliła. Czego zresztą nie uczynię.

Zmieszany pod jej spojrzeniem przebierał nogami, dopóki nie stało się jasne, że nic więcej nie usłyszy na ten temat. Koszula boleśnie ocierała oparzelinę na

piersiach. Nie wyglądało to jednak na poważną ranę — „Na pewno nie, a jedynie jak na skutek trafienia błyskawicą!” — ale sposób, w jaki została zadana, był zupełnie inną kwestią.

— Hmm... Uzdrowisz to?

— Już nie niepokoisz się myślą o stosowaniu wobec ciebie Jedynej Mocy, Perrin? Nie, nie uzdrowię tego. Rana nie jest poważna, będzie ci przypominać o tym, by być ostrożnym.

Nie chciał jej naciskać, w tej sprawie rzeczywiście należało zachować ostrożność, podobnie zresztą jak w kwestii samych snów oraz rozprowadaniu o nich innym.

— Coś jeszcze, Perrin?

Ruszył w kierunku drzwi, ale po chwili przystanął.

— Jest jeszcze coś. Czy imię Zarine może coś mówić o kobiecie, która je nosi?

— Dlaczego, na Światłość, pytasz mnie o takie rzeczy?

— Dziewczyna — powiedział zakłopotany. — Młoda kobieta. Spotkałem ją wczorajszej nocy. Płynie z nami na statku.

Pozwolił jej samej odkryć, że Zarine wie, iż ona jest Aes Sedai. I że uważa, iż jadąc za nimi odnajdzie Róg Valere. Nie opuścił niczego ważnego, ale jeśli Moiraine może mieć swoje tajemnice, to on również.

— Zarine. To saladejskie imię. Żadna kobieta nie nazwałaby tak swojej córki, gdyby nie spodziewała się, że ta będzie wielką pięknoscią. I pożeraczką serc. Kimś, kto przeznaczony jest do wylegiwania się na poduszkach w pałacu, w otoczeniu służących i konkurentów. — Uśmiechnęła się lekko, ale widać było, że jest mocno rozbawiona. — Być może masz kolejny powód do ostrożności, Perrin, jeśli Zarine płynie na tej samej łodzi co my.

— Mam zamiar uważać — odrzekł jej.

Dowiedział się na koniec, dlaczego Zarine nie lubi swego imienia. Niezbyt nadawało się dla Myśliwego, polującego na Róg.

„Przynajmniej dopóki nie nazwała się „sokołem”. Kiedy wrócił na pokład, zastał tam Lana, doglądającego Mandarba. I Zarine, która siedziała na zwoju liny przy relingu, ostrząc jeden ze swych noży i patrząc na niego. Wielkie, trójkątne żagle były zwinięte i zbrasowane, a „Śnieżna Gęś” płynęła teraz z prądem.

Spojrzenie Zarine nie odrywało się od Perrina, gdy ten przeszedł obok niej, by stanąć na dziobie. Dziób ciął wodę, pieniając się po obu jego stronach, jak dobry pług ziemię. Perrin zamartwiał się snami i Aielem. Wizjami Min i sokołami. Bolała go rana na piersiach. Nigdy dotąd życie nie było tak skomplikowane.

\* \* \*

Rand obudził się z wyczerpującego snu, nerwowo chwytając powietrze. Płaszcz, którego używał jako koca, zsunął się zeń podczas snu. Bolał go bok, rwała stara rana z Falme. Z ogniska pozostał tylko żar, na którym tańczyło parę drżących płomieni, ale nawet to wystarczało, by poruszyć cienie.

„To był Perrin. Bez wątplenia! To był on, a nie sen. Jakoś się tam dostał. Prawie go zabiłem! Światłości, muszę być ostrożniejszy!”

Drżąc, podniósł długą gałąź dębu i zaczął nią rozgarniać żar. Drzewa rzadko porastały murandiańskie wzgórza, wznoszące się w niewielkiej odległości od brzegu Manetherendrelle, ale udało mu się znaleźć wystarczającą ilość opadłych gałęzi, aby rozpalić ognisko. Drewno było już stare, nie schło porządnie, jednak jeszcze nie całkiem spróchniało. Zanim jednak dotknął końcem gałęzi żaru ogniska, zatrzymał się nagle. Nadjeżdżały konie, szły stępa, było ich dziesięć lub dwanaście.

„Muszę być ostrożny. Nie mogę popełnić następnego błędu.”

Konie zmierzały w kierunku dogasającego ogniska, po wejściu w krąg mdłej poświaty zatrzymały się. Cień skrywał jeźdźców, ale można było dostrzec surowe twarze pod okrągłymi hełmami i długie, skórzane kaftany, naszywane na całej powierzchni metalowymi tarczami, przez co wyglądały jak pokryte rybią łuską. Jednym z jeźdźców była kobieta o siwiejących włosach i poważnym wyrazie twarzy. Jej ciemna suknia zrobiona była z prostej wełny, jednak o bardzo wyrafinowanym splocie, ozdobiona srebrną broszką w kształcie lwa. Wyglądała na kupca, widział już ludzi jej pokroju, jak przyjeżdżali do Dwu Rzek po tytoń i wełnę. Kupiec i jego straż.

„Muszę być ostrożny — pomyślał, wstając. — Żadnych pomyłek.”

— Wybrałeś dobre miejsce na obozowisko, młody człowieku — odezwała się. — Zawsze z niego korzystam podczas drogi do Remen. Niedaleko jest małe źródelko. Ufam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym również tu zanocowała?

Jej strażnicy już zsiadli z koni, szarpnięciami odpinali pasy z bronią i rozluźniali popręgi przy siodłach.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Rand.

„Ostrożność.”

Wystarczyły mu dwa kroki i znalazł się wystarczająco blisko, by wyskoczyć w powietrze, wykonując jednocześnie obrót — Puch Ostu Wirujący na Wietrze — a wycięte z ognia ostrze opatrzone znakiem czapli, pojawiło się w jego dłoniach. Jej głowa spadła z karku, zanim nawet wyraz zaskoczenia zdążył pojawić się na twarzy.

„Ona była najbardziej niebezpieczna.”

Opadł na ziemię w chwili, gdy głowa kobiety toczyła się jeszcze po zadzie konia. Strażnicy krzyknęli i sięgnęli po miecze, wrzeszcząc na widok płonącego ostrza. Tańczył między nimi, wykorzystując formy, których nauczył go Lan, wiedział, że mógłby zabić wszystkich dziesięciu zwykłą stalą, ale ostrze, które dzierżył, stanowiło część jego ciała. Ostatni mężczyzna upadł, i wszystko było tak, jak na zwykłych ćwiczeniach; wrażenie to opanowało go do tego stopnia, że już chciał schować miecz, wykonując gest nazywany Zwijaniem Wachlarza, gdy przypomniał sobie, iż nie ma pochwy, a to ostrze i tak zmieniłoby każdą w popiół.

Pozwolił mieczowi zniknąć i odwrócił się, by zobaczyć, co robią konie. Większość uciekła, lecz niektóre niezbyt daleko, wysoki wałach kobiety stał, przewracając oczami i rżąc niespokojnie. Jej bezgłowe ciało leżało na ziemi, martwe ręce wciąż ścisnęły wodze, ciągnąc głowę konia w dół.

Rand wyrwał wodze z jej palców i zatrzymał się tylko na chwilę, by zebrać swój skromny dobytek, zanim wskoczył na siodło.

„Muszę być ostrożny — pomyślał, patrząc na martwe ciała. Żadnych pomysłów.”

Moc wciąż go wypełniała, strumień *saidina* był słodszy niż miód, bardziej cuchnący od zgniłego mięsa. Nagle spróbował przenieść, nie do końca zdając sobie sprawę, co robi, czy też jak, wiedział tylko, że tak trzeba. Działo, zaczął przenosić ciała. Ułożył je w jednym rzędzie, głowami w swoją stronę, na kolanach, twarzą do ziemi. Przynajmniej tych, którym zostały jakieś twarze. Na kolanach przed nim.

— Jestem Smokiem Odrodzonym — powiedział im w ten sposób musi się wszystko dokonywać, nieprawdaż?

Porzucenie *saidina* było trudne, ale w końcu mu się udało.

„Gdybym zatrzymał go nazbyt długo, w jaki sposób miałbym nie dopuścić do siebie szaleństwa? — zaśmiał się gorzko. — A może jest już na to za późno?”

Marszcząc brwi, wpatrywał się w rząd ciał. Pewien był, że przedtem było tylko dziesięciu ludzi, ale w rzędzie klęczało jedenaście trupów. Jedenasty bez jakiegokolwiek zbroi, jedynie ze sztyletem zaciśniętym w garści.

— Wybrałeś złe towarzystwo — powiedział do niego Rand.

Zawrócił wałacha, wbił mu obcasy w żebra i pognał ostrym galopem w noc. Do Łzy było daleko, postanowił jednak jechać tam najprostszą drogą, choćby nawet miał zajeżdżać konie albo je kraść.

„Wreszcie z tym skończę. Z szyderstwami. Z udreką. Skończę z tym! *Callandor*.”

*Callandor* wzywał go.

## ŁUNY W CAIRHIEN

Egwene łaskawym skinieniem głowy odpowiedziała na pełen szacunku ukłon bosego członka załogi statku. Przeszedł właśnie obok niej, aby naciągnąć linę, która i bez tego wydawała się dostatecznie napięta, być może chciał poprawić odrobinę ustawienie wielkich, kwadratowych żagli względem wiatru. Kiedy truchtem wracał na miejsce, gdzie kapitan o okrągłej twarzy stał przy rumplu, ukłonił się ponownie, a ona znowu odpowiedziała skinieniem, zanim przeniosła spojrzenie na zalesiony brzeg Cairhien, oddzielony od „Błękitnego Żurawia” niecałymi dwudziestoma piędziesiątami wody.

Wioska przesuwała się do tyłu, a przynajmniej to, co kiedyś było wioską. Połowa domów zmieniła się w dymiące kopce gruzu z kominami sterczącymi jak sztywne pale pośród ruin. W innych domostwach drzwi poruszały się swobodnie, kołysane podmuchami wiatru, a meble, strzępy odzieży i sprzęty domowe poniewierały się na gliniastej ulicy, rozrzucone w taki sposób, jakby ktoś pozostawił je w biegu. W wiosce nie było widać żywej duszy, z wyjątkiem na poły zagłodzonego psa, który, nie zwracając najmniejszej uwagi na przepływający obok statek, przetruchtał i zniknął z pola widzenia za zwalonymi ścianami czegoś, co kiedyś zapewne było gospodą. Nie potrafiła oglądać takich obrazów bez uczucia mdłającego osadu na żołądku, ale usiłowała zachować niewzruszony spokój, przystając, jej zdaniem, Aes Sedai. Efekt tych wysiłków był doprawdy mizerny. Za wioską wznosił się w niebo gruby pióropusz dymu. Jak oceniła, jakieś trzy lub cztery mile od miejsca, w którym się znajdowali.

Nie był to pierwszy taki widok, od kiedy Erinin zaczęła płynąć wzdłuż granicy Cairhien, ani pierwsza taka wioska. Przynajmniej tym razem nie dostrzegła żadnych ciał. Z powodu mielizn kapitan Ellisor często żeglował blisko cairhieńskiego brzegu — tak przynajmniej powiedział, kiedy pokonali tę część rzeki — lecz niezależnie od tego, jak blisko podpływali, na lądzie nie widziała nigdy ani jednej żywej duszy.

Wioska i pióropusz dymu zniknęły za rufą statku, ale z przodu pojawił się następny słup dymu, bardziej jeszcze odległy od rzeki. Las przerzedzał się, jesion, skórzane drzewo i czarny bez powoli ustępowały miejsca wierzbom, tulipanowcom i wodnym dębom oraz innym jeszcze roślinom, których nie rozpoznała.



Wiatr szarpnął połami jej płaszcza, pozwoliła powiewać im z tyłu, czując chłodną świeżość powietrza, radując się swobodą noszenia odcieni brązów zamiast niezmiennej bieli, chociaż nie taki był jej pierwotny wybór. Jednak suknia i płaszcz wykonane były z przedniej wełny, znakomicie skrojone i uszyte.

Kolejny żeglarz przebiegł obok, kłaniając się w biegu. Postanowiła pojąć sens przynajmniej części wykonywanych przez nich czynności, nie lubiła czuć się jak ignorantka. Wielki Wąż na prawej dłoni był przyczyną ukłonów, jakimi obdarzał ją kapitan i załoga, którzy w większości pochodzili z Tar Valon.

Wygrała tę sprzeczkę z Nynaeve, chociaż tamta była pewna, że tylko ona z całej trójki jest wystarczająco dojrzała, aby ludzie uwierzyli, że jest Aes Sedai. Ale myliła się. Egwene gotowa była się zgodzić, że faktycznie zarówno ją, jak i Elayne przywitały zaskoczone spojrzenia załogi, gdy tamtego popołudnia, w Południowej Przystani wsiadały na pokład „Błękitnego Żurawia”, brwi kapitana Ellisora zaś uniosły się niemalże do tego miejsca, w którym zaczynałyby się jego włosy, gdyby jakiegokolwiek posiadał, jednak w niczym przecież nie naruszył wymogów etykiety, kłaniając się i uśmiechając nieustannie.

— To zaszczyt, Aes Sedai. Trzy Aes Sedai będą podróżować na pokładzie mojego statku? Doprawdy zaszczyt dla mnie. Obiecuję szybką podróż do dowolnego miejsca, jakie sobie tylko zażycycie. I żadnych kłopotów z rozbójnikami w Cairhien. Nie pływam już tamtą stroną rzeki. Oczywiście, chyba, żebyście sobie tego zażyczyły, Aes Sedai. Żołnierze andorańscy utrzymują kilka miast na cairhieńskim brzegu. Zaszczyt, Aes Sedai.

Jego brwi uniosły się jeszcze wyżej, kiedy zażądały tylko jednej kabiny dla wszystkich — nawet Nynaeve nie chciała zostawać sama w nocy, jeśli nie musiała. Zapewnił je, że może każdej zapewnić własną kabinę i to bez dodatkowej opłaty, nie miał innych pasażerów, a ładunek przewoził na pokładzie, a jeśli Aes Sedai mają jakieś naglące sprawy do załatwienia w dole rzeki, on nie będzie czekał nawet godziny na kogoś, kto ewentualnie chciałby również popłynąć. Ponownie zapewniły go, że jedna kabina wystarczy.

Był zaskoczony, z uczuć wyraźnie malujących się na twarzy wynikało, że niczego nie rozumie, ale Chin Ellisor, urodzony i wychowany w Tar Valon, nie był człowiekiem, który zadawałby Aes Sedai dodatkowe pytania, kiedy już jasno sformułowały swe zamiary i żądania. Jeśli dwie z nich wydawały się nadzwyczaj młode, cóż, widocznie niektóre Aes Sedai po prostu były młode.

Opustoszałe ruiny zniknęły za plecami Egwene. Słup dymu przybliżył się i na horyzoncie pojawiły się ledwie widoczne oznaki następnego, jeszcze bardziej odległego brzegu rzeki. Las ustąpił miejsca niskim, trawiastym wzgórzom, upstrzonym zagajnikami. Drzewa, które kwitły na wiosnę, wciąż były ukwiecone — drobne białe kwiecie śnieguliczki i jaskrawe, czerwone kwiaty cukrowej jagody. Drzewo, którego nazwy nie знаła, pokrywały okrągłe, białe kwiaty, większe od dwu jej dłoni złożonych razem. Gdzieniedzie pnąca dzika róża kładła się

pasmem bieli lub żółci na gałęziach aż ciężkich od zielonych liści i czerwieni świeżych, tegorocznych pędów. Ten obraz zbyt mocno kontrastował ze zgliszczami i ruinami, by mógł sprawiać prawdziwą przyjemność.

Egwene żałowała, że nie ma przy jej boku Aes Sedai, wówczas mogłaby natychmiast ją zapytać o wszystkie nazwy. Jednemu tylko mogła ufać. Muskając swą sakiewkę palcami, czuła wewnątrz niewyraźny kształt *ter'angreal*.

Próbowała używać go każdej nocy — oprócz chyba dwóch — od czasu wyjazdu z Tar Valon, ale nigdy nie zachowywał się w ten sam sposób. Och, za każdym razem docierała do *Tel'aran'rhiod*, ale jedyną rzeczą, która mogła mieć jakieś znaczenie, było znowu Serce Kamienia, nie było jednak przy niej Silvie, którą mogłaby wypytać dokładniej. Z pewnością zaś nie było w snach nic na temat Czarnych Ajach.

Jej własne sny, te, podczas których nie używała *ter'angreal* wypełnione były obrazami, przypominającymi niemalże migawki z Niewidzialnego Świata. Rand trzymający miecz, który błyszczał jak słońce, chociaż z trudem dostrzegała, że to w ogóle był miecz, z trudem rozpoznawała nawet Randa. Rand otoczony ze wsząd przez niebezpieczeństwa, z których żadne nie wydawało się rzeczywiste. W pewnym śnie widziała go na wielkiej planszy do gry w kamienie, ogromne niczym głązy, jak wymykał się gigantycznym dłoniom, które poruszały monstrualnymi bierkami, zmierzając do tego, by go nimi przygnieść. To mogło coś znaczyć. Najprawdopodobniej znaczyło, ale poza stwierdzeniem, że Randowi grozi z czyjejś strony niebezpieczeństwo, być może ze strony dwóch osób — uznała, że to przynajmniej nie ulega wątpliwości — niewiele więcej potrafiła na podstawie tak fragmentarycznych danych wywnioskować.

„Teraz nie mogę mu pomóc. Mam własne obowiązki. Nie wiem nawet gdzie on jest, pomijawszy fakt, że zapewne znajduje się pięćset lig stąd.”

Śniła o Perrinie, w jej śnie występował w towarzystwie wilka, sokoła i jastrzębia — a sokół i jastrząb walczyły ze sobą — czasami uciekał desperacko przed kimś, albo spacerował przez nikogo nie przymuszany po skraju niebotycznego urwiska i mówił: „To musi być zrobione. Muszę nauczyć się fruwać, zanim dosięgnę dna.” Śniła też raz o Aielu i osądziła, że ten sen musiał mieć coś wspólnego z Perrinem, ale nie była pewna. I raz o Min, zastawiającej pułapkę a następnie przechodzącej przez nią, nawet nie zauważywszy co się stało. Były również sny o Macie. Z kośćmi do gry, wirującymi wokół niego — sądziła, że wie, skąd wziął się ten sen; o Macie ściganym przez człowieka, którego nie było — tego wciąż nie potrafiła zrozumieć widziała człowieka, który ścigał Mata, czy też kilku ludzi, ale w pewien sposób tamci nie istnieli; o Macie jadącym w kierunku czegoś niewidzialnego w oddali, do czego jednak musiał się dostać; o Macie w towarzystwie kobiety, która zdawała się rozrzucać fajerwerki, założyła więc, że tamta jest Iluminatorem, ale miało to tyle samo sensu, co pozostałe wizje.

Śniła tak wiele snów, że powoli zaczynała wątpić we wszystkie. Być może

miało to coś wspólnego ze zbyt częstym używaniem *ter'angreal*, a może po prostu stało się tak dlatego, że nosiła go przy sobie. Może też wreszcie zaczynała rozumieć, co robią Śniący. Szalone sny, heretyckie sny. Mężczyźni i kobiety, którzy wydostają się z klatki, a potem układają korony na stos. Kobieta bawiąca się kukiełkami, i następny sen, w którym sznurki kukiełek przyczepione były do rąk większych kukiełek, ich sznurki z kolei prowadziły do rąk jeszcze większych, i tak dalej, aż wreszcie sznurki znikają na jakiejś niewyobrażalnej wysokości. Umierający królowie, płaczące królowe, rozszalałe bitwy. Białe Płaszcz najeżdżające Dwie Rzeki. Śniła nawet znowu o Seanchanach. Więcej niż raz. Te sny zamykała w ciemnym kącie pamięci, nie pozwalała sobie o nich myśleć. Co noc w snach pojawiali się matka i ojciec.

Wreszcie nie miała wątpliwości, co to może oznaczać, albo przynajmniej tak jej się wydawało.

„To znaczy, że wyruszyłam ścigać Czarne Ajah i nie wiem co znaczą moje sny, ani jak zmusić ten głupi *ter'angreal*, żeby robił co powinien, że jestem przerażona, i że... tęsknię za domem.”

Przez krótką chwilę myślała jak to dobrze byłoby, gdyby matka wysłała ją do łóżka, z zapewnieniem, że rano wszystko będzie lepiej.

„Tylko że matka nie byłaby już w stanie rozwiązać mych problemów, a ojciec nie mógłby obiecać, że przegna potwory, w taki sposób abym mu uwierzyła. Teraz muszę wszystko zrobić sama.”

Jak odległe się to wszystko dzisiaj wydawało. Nie chciała, by te chwile wróciły, tak naprawdę to wcale tego nie pragnęła, ale dobrze było wspominać dawne czasy i poczuć choć przez chwilę ciepło, jakie w sobie miały. Cudownie byłoby móc po prostu ich zobaczyć, usłyszeć ich głosy.

„Nosząc ten pierścień na palcu, wybieram to, co słuszne.”

Na koniec pozwoliła Nynaeve i Elayne przespać po jednej nocy z kamiennym pierścieniem — zaskoczyło ją, jak niechętnie się z nim rozstawała — i obie obudziły się ze wspomnieniami czegoś, co z pewnością było *Tel'aran'rhiod*, ale żadna nie widziała więcej niż tylko mgnienie Serca Kamienia, w każdym razie nic, co mogłoby się przydać.

Gruby słup dymu wznosił się teraz dokładnie na wysokości „Błękitnego Żurawia”. Jakieś pięć lub sześć mil od rzeki, osądziła. Drugi stanowił jedynie smugę na horyzoncie. Równie dobrze mogłaby to być chmura, ale Egwene opanowało smutne przeświadczenie, że tak z pewnością nie jest. Niskie zarośla w niektórych miejscach zwartym gąszczem porastały brzeg rzeki, pomiędzy nimi trawa rosła aż do samej wody, z wyjątkiem miejsc, gdzie podmyte brzegi osunęły się, odsłaniając piasek.

Elayne wyszła na pokład i dołączyła do niej, stając przy nadburciu, wiatr szarpał połamami jej ciemnego płaszcza. Ubrana była podobnie, w mocną wełnę. Było to rezultatem kolejnej sprzeczki, wygranej przez Nynaeve. Ich ubrania. Egwene

upierała się, że Aes Sedai zawsze noszą swe najlepsze rzeczy, nawet w podróży — myślała o jedwabiach, jakie przywdziewała w *Ter'aran'rhiod* — ale Nynaeve tłumaczyła, że mimo to, iż Amyrlin pozostawiła w szafie tak dużo złota (a była to naprawdę gruba sakiewka), to w jej głębi i tak są jeszcze ubrania. Przecież nie mają pojęcia, ile będą kosztować rzeczy w dole rzeki. Służący potwierdzili to, co Mat mówił o wojnie domowej w Cairhien i o tym, jak wpłynęła na ceny. Ku zaskoczeniu Egwene, Elayne poparła ją, dodając, że Brązowe siostry częściej noszą wełnę niż jedwab. Egwene wiedziała, że Elayne tak bardzo chciała wreszcie wydostać się z kuchni, że założyłaby nawet łachmany.

„Zastanawiam się, jak się powodzi Matowi? Bez wątpienia próbuje grać w kości z kapitanem statku, na którym podróżuje.”

— Straszne — wymruczała Elayne. — To takie straszne.

— Co jest straszne? — zapytała Egwene nieobecny głosem.

„Mam nadzieję, że zbyt swobodnie nie chwali się wszędzie dokumentem, który mu dałyśmy.”

Elayne rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, potem zmarszczyła brwi.

— Popatrz! — gestem wskazała w kierunku odległego dymu. — Jak możesz nie zwracać na to uwagi?

— Nie zwracam uwagi, ponieważ nie chcę myśleć o tym, co przechodzą ci ludzie, ponieważ nie mogę pomóc i dlatego, że musimy dostać się do Łzy. To, co ścigamy znajduje się właśnie tam.

Sama zdziwiła się własną gwałtownością.

„Nic nie mogę na to poradzić. A Czarne Ajah czekają w Łzie.”

Im więcej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że muszą dostać się do wnętrza Serca Kamienia. Najprawdopodobniej nie wpuszczano tam nikogo prócz Wysokich Lordów Łzy, powoli jednak nabierała przekonania, iż klucz do pułapki zastawionej przez Czarne Ajah i jednocześnie możliwość pokrzyżowania ich planów, spoczywa w Sercu Kamienia.

— Wiem o tym wszystkim, Egwene, jednak nie tłumi to mojego żalu nad Cairhienami.

— Słuchałam wykładów na temat wojen jakie Andor prowadził z Cairhien — odparła sucho Egwene. — Benna Sedai powiedziała, że walczyliście z Cairhienami częściej niż jakiegokolwiek inne ludy, wyjąwszy Łzę i Illian.

Towarzyszka spojrzała na nią z ukosa. Elayne nie przywykła do tego, że Egwene odmawia uznania, iż jest Andoranką. Przecież granice na mapach jednoznacznie stwierdzały, że Dwie Rzeki stanowią część Andoru, a Elayne wierzyła mapom.

— Prowadziliśmy z nimi wojny, Egwene, ale od czasu zniszczeń, jakich doznał ich kraj podczas Wojen z Aielami, Andor sprzedawał im niemalże tyle samo zboża co Łza. Teraz, rzecz jasna, handel ustał. Kiedy każdy Dom Cairhien zwalcza wszystkie pozostałe, stawką bowiem jest Tron Słońca, kto będzie kupował zboże albo doglądał jego rozdziału między lud? Jeśli walki są tak okrutne, jak

to można osądzić z ruin, które widziałyśmy na brzegu rzeki... Cóż. Nie można karmić ludzi przez dwadzieścia lat, a potem nie czuć nic, kiedy muszą cierpieć głód.

— Szary Człowiek — powiedziała Egwene, a Elayne aż podskoczyła, starając się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz. Otoczyła ją poświata *saidara*.

— Gdzie?

Egwene powoli rozejrzała się po pokładzie, aby się upewnić, iż nikt nie stoi w pobliżu, by coś podsłuchać. Kapitan Ellisor znajdował się na rufie obok marynarza trzymającego długi rumpel. Jeden z żeglarzy zajął pozycję na samym dziobie, bacznie obserwując powierzchnię rzeki w poszukiwaniu podwodnych mielizn. Dwaj inni chodzili po pokładzie, nieustannie regulując linami ustawienie żagli. Reszta załogi znajdowała się pod pokładem. Jeden z pracującej dwójki przystanął, by sprawdzić mocowania szalupy, przywiązanej dnem do góry na pokładzie. Poczekala aż skończył, potem wreszcie się odezwała:

— Głupia! — wymruczała cicho. — Ja, Elayne, nie ty, więc nie patrz na mnie tak groźnie. — Dalej ciągnęła szeptem. — Szary Człowiek ściga Mata, Elayne. Oto co znaczył ten sen, ale nie potrafiłam tego zrozumieć. Jestem kompletnie głupia!

Iskry w oczach Elayne zgasły.

— Nie bądź dla siebie niesprawiedliwa — odpowiedziała również szeptem. — Możliwe, że to właśnie oznacza, ale ja tego nie widzę, Nynaeve zresztą również nie.

Przerwała, rudozłote loki zafalowały, gdy potrząsnęła głową.

— Ale to nie ma sensu, Egwene. Dlaczego Szary Człowiek miałby ścigać Mata? W liście do matki nie napisałam nic takiego, co w najmniejszym stopniu mogłoby nam zaszkodzić.

— Nie wiem dlaczego. — Egwene zmarszczyła brwi. — Musi być jakiś powód. Jestem pewna, że takie jest właśnie znaczenie tego snu.

— Nawet jeśli masz rację, Egwene, i tak nic nie możesz na to poradzić.

— Wiem o tym — rzekła tamta gorzko.

Nie była jednak przekonana, czy Mat jest przed nimi, czy z tyłu. Przypuszczała, że jedzie z przodu, wyjechał przecież bez chwili zwłoki.

— W każdym razie — wymruczała do siebie — jest niedobrze. Ostatecznie zrozumiałam, co znaczył jeden z moich snów, ale to nie jest nic warte!

— Ale jeśli pojęłaś jeden sens — pocieszała ją Egwene — być może zrozumiesz też pozostałe. Gdy usiądziemy i ponownie dokładnie omówimy wszystko, być może...

„Błękitny Żuraw” zadrżał i przechylił się, rzucając Elayne na pokład, Egwene zaś ciskając na nią. Kiedy wreszcie się podniosła, brzeg stał w miejscu. Łódź zatrzymała się z uniesionym dziobem i pokładem pochylonym w jedną stronę. Żagle głośnie łopotały na wietrze.

Chin Ellisor podniósł się i pobiegł na dziób, zostawiając sternika samemu sobie.

— Ty ślepy wiejski robaku! — zaryczał w kierunku mężczyzny na dziobie, który przylgnął do nadburcia, usiłując nie zsunąć się dalej. — Ty grzebiący w śmieciach pomioście kozła! Czy nie pływasz wystarczająco długo po rzece, żeby wiedzieć, jak woda burzy się nad mieliznami? Schwycił mężczyznę przy nadburciu za ramiona i ściągnął na pokład, ale nie po to, by mu pomóc, lecz by usunąć z drogi. Teraz, wychylając się ponad dziobem, sam mógł ocenić rozmiary katastrofy. — Jeśli mamy dziurę w kadłubie, użyję twoich wnętrzności do jej uszczelnienia!

Pozostali członkowie załogi powoli wstawali, kolejni wychodzili spod pokładu. Wszyscy gromadzili się wokół kapitana.

Nynaeve pojawiła się u szczytu drabiny, wiodącej do kabin pasażerów, wciąż jeszcze poprawiając suknie. Szarpnęła ostro za warkocz i zmarszczyła brwi, wpatrując się w zbiegowisko mężczyzn na dziobie, potem podeszła do Egwene i Elayne.

— Wpadliśmy na coś, nieprawdaż? Po całym tym gadaniu, że zna rzekę równie dobrze jak swoją żonę. Tej kobiecie zapewne również nie ofiarował nic więcej poza jakimś marnym uśmiechem.

Szarpnęła ponownie gruby warkocz i ruszyła naprzód, przepychając się między żeglarzami do kapitana. Uwaga wszystkich skupiona była na rzece.

Nie było sensu jej towarzyszyć.

„Szybciej odpłyniemy, jeśli da się mu spokój.”

Nynaeve zapewne pouczała kapitana co należy zrobić. Elayne wyglądała jakby żywiła podobne odczucia, można było tak wnioskować z ponurego kiwania głową, którym zareagowała w chwili, gdy kapitan wraz z załogą z szacunkiem odwrócili swe spojrzenia od rzeki i zwrócili na Nynaeve.

Narastający szmer niepokoju przetoczył się po grupce mężczyzn. Przez moment było widać ręce kapitana, gwałtownie wymachujące nad głowami żeglarzy, najwyraźniej protestował przeciwko czemuś, potem Nynaeve odeszła od grupy marynarzy — tym razem, kłaniając się, ustąpili jej z drogi — a Ellisor pośpieszył za nią, wycierając okrągłą twarz wielką czerwoną chusteczką. Kiedy podeszły bliżej, usłyszały słowa wypowiedane głosem przepelnionym niepokojem.

— ...dobre piętnaście mil do najbliższej wioski na andorańskim brzegu i co najmniej pięć lub sześć po stronie Cairhien! Zajmują ją andorańscy żołnierze, prawda, ale nie strzegą mil, które dzielą nas od niej!

Otarł ociekającą potem twarz.

— Zatopiony statek — powiedziała Nynaeve swym towarzyszkom. — Kapitan sądzi, że to dzieło rzecznych bandytów. Chce spróbować ściągnąć nas za pomocą wiosel sterowych, ale nie wie, czy to się uda.

— Płynęliśmy szybko, kiedy nastąpiło zderzenie, Aes Sedai. Dla ciebie rozwi-  
jałem taką prędkość. — Ellisor jeszcze mocniej potarł twarz. Egwene zrozumiała,  
że kapitan boi się, iż Aes Sedai będzie go obwiniać za wszystko. — Uderzyliśmy  
z całą siłą pędu. Ale nie sądzę, byśmy nabierali wody, Aes Sedai. Nie ma potrze-  
by się przejmować. Wkrótce nadpłynie następna łódź. Podwójny zestaw wiosł  
z pewnością nas uwolni. Nie ma potrzeby, byście wysiadały na brzeg, Aes Sedai.  
Przysięgam na Światłość.

— Myślisz o opuszczeniu statku? — zapytała Egwene. — Uważasz, że to  
rozsądne?

— Oczywiście, to jest... — Nynaeve przerwała i spojrzała na nią, marszcząc  
brwi. Egwene zrewanżowała się jej podobnym marsem. Nynaeve kontynuowała  
łagodniejszym tonem, choć wciąż pełnym napięcia. — Kapitan mówi, że może  
upłynąć godzina, zanim następny statek będzie tędy przepływał. Przynajmniej ta-  
ki, który będzie miał wystarczającą liczbę wiosł, by nam pomóc. Ale wszystko  
może też trwać cały dzień. Albo dwa. Nie sądzę, byśmy mogły zgodzić się na  
zmarnowanie choćby jednego dnia, a co dopiero dwóch. W ciągu mniej niż dwu  
godzin możemy pieszo dotrzeć do tej wioski... jak pan ją nazwał? Jurene...? Je-  
śli kapitanowi Ellisorowi uda się sprowadzić statek z mielizny tak szybko, jak ma  
nadzieję, wówczas wsiądziemy z powrotem na jego pokład. Obiecał, że zatrzyma  
się w wiosce, aby sprawdzić, czy nas tam nie ma. Jeśli jednak mu się nie uda,  
możemy wsiąść w Jurene na inny statek. Być może nawet znajdziemy tam od-  
pływającą właśnie łódź. Kapitan mówi, że kupcy zatrzymują się w tym miejscu,  
ponieważ są tam andorańscy żołnierze.

Wzięła głęboki oddech, jej głos stwardniał.

— Dostatecznie jasno wyjaśniłam swoje racje? Czy potrzebujecie dodatkowej  
przemowy?

— Dla mnie jest to zrozumiałe — wtrąciła szybko Elayne, zanim Egwene zdą-  
żyła cokolwiek powiedzieć. — Pomysł na pozór nie jest zły. Ty również uważasz,  
że to dobry pomysł, nieprawdaż Egwene?

Egwene niechętnie skinęła głową.

— Myślę, że tak.

— Ależ, Aes Sedai — protestował Ellisor — przynajmniej idźcie po ando-  
rańskim brzegu. Na tym są rozbójnicy, rozmaite łotry i wcale od nich nie lepsi  
żołnierze. Sam ten wrak pod naszym dziobem dowodzi, jacy to ludzie.

— Nie widziałyśmy żywej duszy na cairhieńskim brzegu — odparowała Ny-  
naeve — poza tym nie jesteście bezbronni, kapitanie. Nie będę szła piętnastu mil,  
kiedy mogę przejść sześć.

— Oczywiście, Aes Sedai — dopiero teraz Ellisor zaczął się naprawdę pocić.  
— Nie zamierzam niczego wam sugerować... Oczywiście, że nie jesteście bez-  
bronni, Aes Sedai. Nie to miałem na myśli.

Z furią niemalże wytarł twarz, która jednak wciąż lśniła od potu.

Nynaeve otworzyła usta, spojrzała na Egwene, ale najwyraźniej zrezygnowała z zamiaru wypowiedzenia słów, które cisnęły jej się na usta.

— Idę na dół po swoje rzeczy — oznajmiła, rzucając słowa gdzieś w przestrzeń między Egwene i Elayne, potem odwróciła się do Ellisora. — Kapitanie, proszę przygotować łódkę.

Ten skłonił się i popędził przed siebie, zanim jeszcze zdążyła odwrócić się w stronę włazu, a nim znalazła się na dole, już krzyczał na ludzi, by spuszczać szalupę.

— Gdy jedna z was mówi „górá” — wymruczała Elayne — druga powie „dołem”. Jeśli nie przestaniecie, nigdy nie dotrzemy do Łzy.

— Dotrzemy do Łzy — twardo rzekła Egwene. — I to tym szybciej, im wcześniej Nynaeve zrozumie, że nie jest już żadną Wiedzącą. Wszystkie jesteście... — nie powiedziała Przyjętymi, zbyt wielu ludzi bowiem kręciło się w pośpiechu dookoła — ... na tym samym poziomie.

Elayne westchnęła.

Wkrótce łódka przewiozła je na ląd i teraz stały na brzegu z laskami podróżnymi w dłoniach, obwieszone swym dobytkiem spakowanym w tobołki, torby oraz zawiniątka. Otaczał je pofałdowany trawiasty teren, upstrzony rozproszonymi zagajnikami, chociaż już w odległości kilku mil od rzeki widać było wzgórze porośnięte lasem. Wiosła sterowe „Błękitnego Żurawia” wzbijały dzikie pióropusze piany, ale łódź nawet nie drgnęła. Egwene odwróciła się i bez jednego słowa ruszyła na południe, zanim Nynaeve zdążyła zająć miejsce na czele.

Kiedy pozostałe zrównały się z nią, Elayne rzuciła jej spojrzenie pełne dezaprobaty. Nynaeve maszerowała, wpatrując się w dal. Elayne zdążyła powiedzieć jej, co Egwene wymyśliła na temat Mata i Szarego Człowieka, ale starsza przyjaciółka wysłuchiwała jej w milczeniu i zdobyła się tylko na krótką uwagę: „Będzie musiał zadbać sam o siebie”, nie przerywając nawet marszu. Po pewnym czasie Córka-Dziedziczka zrezygnowała z prób skłonienia ich do rozmowy, więc dalej szły w milczeniu.

Kępy drzew rosnące wzdłuż brzegu rzeki, szybko skryły „Błękitnego Żurawia” za grubą zasłoną liści wodnego dębu i wierzby. Omijały zagajniki, mimo iż były stosunkowo niewielkie, bowiem nie potrafiły pozbyć się wrażenia, że coś może czaić się w cieniu gałęzi. Między kępami drzew w pobliżu rzeki rosły nieliczne zarośla, tak rzadkie, że nie mogłoby się wśród nich ukryć nawet dziecko, a co dopiero rozbójnik, ponadto były wystarczająco rozproszone, by zostało dosyć wolnej przestrzeni na swobodny marsz.

— Jeśli spotkamy rozbójników — oznajmiła Egwene — zamierzam się bronić. Tutaj nie ma żadnej Amyrlin, która patrzyłaby nam przez ramię.

Usta Nynaeve zacisnęły się.

— Jeśli będzie to konieczne — powiedziała, patrząc w przestrzeń — możemy wystraszyć każdego rozbójnika w taki sposób jak to zrobiliśmy z tamtymi



Białymi Płaszczami. Jeśli nie znajdziemy innego sposobu.

— Wolałabym, abyście nie mówiły o rozbójnikach powiedziała Elayne. —  
Chciałabym dotrzeć do wioski bez...

Zza krzaka, znajdującego się tuż przed nimi, wyrosła nagle postać odziana  
w szarości i brązy.

# PANNY WŁÓCZNI

Egwene objęła *saidara*, zanim jeszcze krzyk zamarł jej na ustach i dostrzegła, jak Elayne również otacza się poświatą. Przez mgnienie zastanawiała się, czy El-lisor usłyszy ich krzyk i wyśle pomoc, „Błękitny Żuraw” znajdował się nie dalej niż milę w górze rzeki. Potem stłumiła dojmującą potrzebę zawołania o pomoc i zaczęła splatać prądy Powietrza i Ognia w błyskawicę. Niemalże słyszała już jej Pomruk.

Nynaeve zaś stała po prostu z rękoma splecionymi na piersiach i zdecydowanym wyrazem twarzy, lecz Egwene nie była pewna, czy postąpiła tak dlatego, że nie była wystarczająco wściekła, by dotknąć Prawdziwego Źródła, czy też dostrzegła wcześniej to, co ona zobaczyła dopiero teraz. Osoba stojąca naprzeciw nich była kobietą, wcale nie starszą niż Egwene, choć trochę wyższą.

Nie wypuściła *saidara*. Mężczyźni byli czasami na tyle niemądrzy, by uważać, że kobieta jest niegroźna tylko dlatego, iż jest kobietą; ona nie miała takich złudzeń. Kątem oka zarejestrowała, że Elayne nie otacza już poświatą. Córka-Dziedziczka wciąż miewała dziwne wyobrażenia.

„Nigdy nie była więźniem Seanchan.”

Egwene nie odnosiła takiego wrażenia, jakoby wielu mężczyzn było tak naiwnych, aby uważać, iż stojąca przed nimi kobieta jest niebezpieczna, nawet jeśli nie posiadała jakiegokolwiek widocznej broni. Niebieskozielone oczy i rudawe włosy, obcięte krótko z wyjątkiem wąskiego pasma, zwisającego aż do ramion. Miękkie, sznurowane do kolan buty, ściśle dopasowany płaszcz oraz spodnie ubarwione bez reszty we wszystkie odcienie ziemi i skały. Takie kolory i ten typ ubioru kiedyś już ktoś jej opisał, tak że teraz nie miała wątpliwości — stała przed nią kobieta Aiel.

Patrząc na nią, Egwene poczuła nagle dziwną sympatię do niej. Nie mogła tego zrozumieć.

„Wygląda jak kuzynka Randa, oto dlaczego tak się poczułam.”

Jednak nawet to uczucie, jakaś silna świadomość powinowactwa, nie mogło stłumić jej ostrożności.

„Co, na Światłość, robi tutaj kobieta Aiel? One nigdy przecież nie opuszczają Uguru, przynajmniej od czasów wojen z Aielami.”

Przez całe życie słyszała o tym, jak śmiertelnie groźne są Aiel — owe Panny Włóczni, nie mniej straszne niż członkowie męskich społeczności wojowników — ale w tej chwili nie czuła przerażenia, lecz, w rzeczy samej, rodzaj poirytowania tym, że dała się początkowo przestraszyć. Z *saidarem*, który wlewał w nią jedyną Moc, nie musiała obawiać się nikogo.

„Pominąwszy, być może, w pełni wytrenowaną siostrę — przyznała. — Ale z pewnością nie samotnej kobiety, nawet jeśli jest ona Aielem.”

— Mam na imię Aviendha — powiedziała kobieta Aiel — z klanu Gorzkiej Wody, z Taardad Aiel. — Wyraz jej twarzy był równie bezbarwny i wyczuty z emocji jak ton głosu. — Jestem *Far Dareis Mai*, Panna Włóczni.

Przerwała na chwilę, przyglądając im się badawczo.

— Nie macie wprawdzie właściwych rysów twarzy, ale widziałyśmy pierścienie. W waszych krajach macie kobiety podobne do naszych Mądrych, kobiety zwane Aes Sedai. Jesteście więc kobietami z Białej Wieży, czy nie?

Przez chwilę Egwene rzeczywiście czuła niepokój.

„Widziałyśmy?”

Rozejrzała się uważnie dookoła, ale w odległości dwudziestu kroków nie zobaczyła za krzakami nikogo.

Jeśli było ich więcej, musiały schronić się w następnym zagajniku, ponad dwieście kroków przed nimi, albo w tym, który minęły niedawno, a od którego dzieliła je przynajmniej dwukrotnie większa odległość. Za daleko, by nam zagrozić.

„Chyba że mają łuki.”

Ale musiałyby znakomicie strzelać. W domu, podczas zawodów na Bel Tine albo w czasie Dnia Słońca, tylko najlepsi łucznicy strzelali z odległości większej od dwustu kroków.

Wciąż jednak czuła się raźniej wiedząc, że może cisnąć błyskawicą pioruna w każdego, kto poważyłby się na taki strzał.

— Jesteśmy kobietami z Białej Wieży — powiedziała spokojnie Nynaeve.

Demonstrowała opanowanie i nie rozglądała się wokół w poszukiwaniach kolejnych Aiel, mimo że nawet Elayne rzucała wokół siebie niespokojne spojrzenia.

— To, czy możesz uważać nas za mądre, to inna kwestia. — Ciągnęła dalej. — Czego od nas chcesz?

Aviendha uśmiechnęła się. Egwene zobaczyła, że była naprawdę ładna, ale skrywała swą urodę za ponurym wyrazem twarzy.

— Mówisz tak, jak to zwykły czynić Mądre Kobiety. Wracając do twojego pytania, chodzi o drobne dolegliwości głupców. — Uśmiech zniknął z jej twarzy, ale ton głosu pozostał spokojny. — Jedna z nas leży ciężko ranna, przypuszczalnie umiera. Mądre Kobiety często uzdrawiają tych, którzy bez ich pomocy z pewnością by umarli, a słyszałam, że Aes Sedai stać na jeszcze więcej. Pomożecie jej?

Egwene niemalże potrząsnęła głową ze zmieszania.

„Jej przyjaciółka umiera? Mówi to tak, jakby prosiła nas o pożyczenie kubka jęczmiennej mąki!”

— Pomogę jej, jeśli będę mogła — powiedziała wolno Nynaeve. — Nie mogę wiele obiecywać, Aviendha. Mimo wszystkich mych wysiłków, ona i tak może umrzeć.

— Śmierć przychodzi po wszystkich, nie czyniąc wyjątku — rzekła Aiel. — Możemy wybrać jedynie sposób, w jaki stawimy jej czoło, kiedy nadejdzie. Zabiorę was do niej.

Dwie kobiety w ubiorach Aielów wstały w odległości nie większej niż dziesięć kroków, jedna z płytkiej bruzdy w ziemi, w której, jak sądziła Egwene, nie zmieściłby się nawet pies, druga z trawy, sięgającej jej zaledwie do kolan. Wstając opuściły czarne zasłony, to wywołało u niej kolejny wstrząs — pewna była, iż Elayne powiedziała jej, że Aiel zakrywają twarze tylko wówczas, kiedy spodziewają się zadawać śmierć — i owinęły materię, wcześniej udrapowaną na głowach, dookoła ramion. Jedna z kobiet miała ten sam rudawy odcień włosów co Aviendha oraz szare oczy, oczy drugiej natomiast były niebieskie, a włosy rude jak płomień. Żadna z nich nie była wiele starsza od Elayne czy Egwene, ale obie wyglądały na zdecydowane, by w każdej chwili użyć krótkich włóczni, które trzymały w dłoniach.

Kobieta z płomiennymi włosami dzierżyła broń Aviendhy. Długi nóż z ciężkim ostrzem, przypinany do pasa przy biodrze, kołczan ze szczeciniastej skóry do przypasania po przeciwnej stronie, ciemny, wygięty łuk, lśniący matowym połyskiem rogu, w futerale przymocowanym do pleców oraz cztery krótkie włócznie trzymane w lewej dłoni, nadto wyposażenie uzupełniał mały, okrągły bukłak. Aviendha nosiła cały ten arsenał tak naturalnie, jak kobiety w Polu Emonda wdziewały szale, podobnie zresztą jej towarzyszki.

— Chodźmy — powiedziała i ruszyła w stronę zagajnika, obok którego niedawno przeszły.

Egwene na koniec uwolniła *saidara*. Podejrzewała, że trzy Aiel, jeśli tylko będą chciały, mogą pchnąć ją swoimi włóczniami, zanim zdąży cokolwiek uczynić, by temu przeciwdziałać, jednak nie przypuszczała, by to zrobiły, mimo to iż były bardzo ostrożne.

„A co będzie, jeżeli Nynaeve nie uda się uzdrowić ich przyjaciółki? Powinna zapytać, zanim podjęła decyzję, której konsekwencje mogą dotyczyć nas wszystkich!”

Kiedy kierowały się w stronę zagajnika, Aiel uważnie obserwowały otaczający teren, jakby spodziewały się, że pusty na pozór krajobraz skrywa wrogów równie zręcznych w maskowaniu się jak one same. Aviendha wysunęła się na przód, a Nynaeve dołączyła do niej.

— Jestem Elayne z Domu Trakand — przyjaciółka Egwene odezwała się takim tonem, jakby nawiązywała towarzyską rozmowę. — Córka-Dziedziczka Mor-

gase, królowej Andoru.

Egwene aż się potknęła.

„Światłości, czy ona oszalała? Przecież Andor walczył z nimi podczas wojen z Aielami. Mogło minąć od tego czasu dwadzieścia lat, powiadają jednak, że Aielowie mają dobrą pamięć.”

Ale płomiennowłosa Aiel, idąca najbliżej niej, powiedziała tylko:

— Jestem Bain z klanu Czarnej Skały, z Shaarad Aiel.

— Jestem Chiad — oznajmiła druga, niższa kobieta, idąca przy jej drogim boku — z klanu Rzeki Kamieni, z Goshien Aiel.

Bain i Chiad spojrzały na Egwene, wyraz ich twarzy nie zmienił się, ale miała poczucie, że uważają ją za osobę pozbawioną dobrych manier.

— Jestem Egwene al'Vere — powiedziała im, zdawały się czekać na więcej, szybko więc dodała: — Córka Marina al'Vere, z Pola Emonda w Dwu Rzekach.

To wydawało się je zadowalać, ale założyłyby się, że nie zrozumiały więcej niż ona z tych wszystkich klanów i szczepów.

„Musi być to zapewne jakiś rodzaj rodzin.”

— Jesteście pierwszymi siostrami? — Bain zdawała się mówić do wszystkich trzech jednocześnie.

Egwene pomyślała, że tamta musi używać tytułu siostry w taki sposób, jak to czynią Aes Sedai, powiedziała więc: „tak” w tej samej chwili, gdy Elayne rzekła: „nie”.

Chiad i Bain wymieniły spojrzenia, z których łatwo można się było domyślić, że uważają, iż mają do czynienia z kobietami niespełna rozumu.

— Pierwsze siostry — Elayne zwróciła się do Egwene takim tonem, jakby dawała jej wykład — to kobiety, które miały tę samą matkę. Określenie druga siostra odnosi się do tych, których matki były siostrami. — Teraz z kolei zwróciła się do kobiet Aiel. — My... żadna z nas nie wie zbyt dużo o waszym ludzie. Proszę przeto, byście wybaczyły nam naszą ignorancję. Czasami myślę o Egwene jak o pierwszej siostrze, ale nie ma między nami więzów krwi.

— Dlaczego więc nie wypowiedzie słów przed waszą Mądrą kobietą? — zapytała Chiad. — Bain i ja w ten właśnie sposób zostałyśmy pierwszymi siostrami.

Egwene zamrugła oczyma.

— Jak mogłyście zostać pierwszymi siostrami? Albo macie tę samą matkę, albo nie. Proszę, nie obrażcie się. Większość tego, co wiem o Pannach Włóczni, pochodzi z opowieści, jakimi raczyła częstować mnie mała Elayne. Wiem, że walczyście w bitwach i nie troszczycie się o mężczyzn, ale niewiele więcej ponadto.

Elayne skinęła głową, sposób, w jaki Egwene opisała Panny Włóczni, czynił z nich coś pośredniego między Strażnikami a Czerwonymi Ajah.

Ten sam niepewny wyraz twarzy, który gościł na ich obliczach, powrócił znowu, jakby po raz kolejny zastanawiała się nad rozumnością swych rozmówczyń.

— Dlaczego miałybyśmy nie troszczyć się o mężczyzn? — wymamrotała Chaid, jakby zmieszana.

Bain ściągnęła brwi w namyśle.

— To, co powiedziałaś jest bliskie prawdy, aczkolwiek niezupełnie. Kiedy poślubiamy włócznie, przysięgamy nie wiązać się z żadnym mężczyzną ani dzieckiem. Niektóre muszą porzucić włócznie dla mężczyzny lub dziecka. Wyraz jej twarzy mówił jednoznacznie, że nigdy nie pojmie takiego zachowania. — Jednakże, gdy raz porzuci się włócznie, nie można doń wrócić ponownie.

— Albo, kiedy jest wybrana, by pójść do Rhuidean wtrąciła Chiad. — Mądra Kobieta nie może być poślubiona włócznie.

Bain wyglądała, jakby zmuszano ją do opowiadania, że niebo jest błękitne, a deszcz spada z chmur. Ze spojrzenia, jakim obdarzyła Egwene i Elayne, można było odczytać, że one zapewne tego nie wiedzą.

— Tak, to prawda. Chociaż niektóre sprzeciwiają się temu.

— Tak, czynią to. — Chiad powiedziała to takim tonem, jakby wraz z Bain dzieliły między sobą jakąś tajemnicę.

— Ale odbiegłam daleko od głównego wątku mych wyjaśnień — Bain ciągnęła dalej. — Panny nie tańczą włócznie między sobą, nawet jeśli tak czynią ich klany, jednakże między Shaarad Aiel i Goshien Aiel od ponad czterystu lat trwa krwawa wendeta, tak więc Chaid i ja uznałyśmy, że nasze ślubowanie nie wystarczy. Poszłyśmy, by wypowiedzieć słowa przed Mądrymi z naszych klanów (ona złożyła swe życie w moje ręce, a ja w jej), aby połączyły nas jako pierwsze siostry. Tak, jak pierwsze siostry, które są jednocześnie Pannami, strzeżemy się wzajemnie, a żadna nie pozwoli mężczyźnie zbliżyć się do niej bez udziału drugiej. Dlatego nie można powiedzieć, że nie troszczymy się o mężczyzn. — Chiad skinęła głową, na jej ustach wykwitł cień uśmiechu. — Czy udało mi się przybliżyć ci prawdę, Egwene?

— Tak — odrzekła ta nieśmiało. Spojrzała na Elayne i dostrzegła w jej oczach oszołomienie, które i ona odczuwała.

„Nie Czerwone Ajah. Raczej Zielone, być może. Skrzyżowanie Strażników z Zielonymi Ajah, jednak nadal nie wyobrażam sobie, co z tego mogło powstać.”

— Teraz prawda stała się dla mnie zupełnie jasna, Bain. Dziękuję.

— Jeśli wy dwie uważacie się za pierwsze siostry powiedziała Chiad — powinnyście pójść do waszych Mądrych Kobiet i wypowiedzieć słowa. Ale wy same jesteście Mądrymi Kobietami, choć tak młodymi. Nie wiem, jak w tym przypadku można to zrobić.

Egwene nie wiedziała, czy śmiać się, czy rumienić. Przed oczyma stanął jej widok, jak wraz z Elayne dzielą tego samego mężczyznę.

„Nie, to dotyczy tylko pierwszych sióstr, które są Pannami Włócznie. Nieprawdaż?”

Po policzkach Elayne rozlały się plamy czerwieni, Egwene była pewna, że tamta pomyślała o Randzie.

„Ale my nie dzielimy go między siebie, Elayne. Żadna z nas go nie może go mieć.”

Elayne odkaszlnęła.

— Myślę, że nie ma takiej potrzeby, Chaid. Egwene i ja już strzeżemy siebie nawzajem.

— Jak to możliwe? — zapytała wolno Chiad. — Nie jesteście poślubione włócznie. I jesteście Mądrymi. Kto podniósłby rękę na Mądrą? To wprowadza zamęt w moje myśli. Dlaczego musicie wzajemnie się strzec?

Egwene wciąż jeszcze usiłowała poradzić sobie z odpowiedzią, kiedy doszły do zagajnika. Pod drzewami siedziały jeszcze dwie Aiel, głęboko w zaroślach ale blisko rzeki. Jolim, z klanu Słonej Równiny, z Nakai Aiel, niebieskooka kobieta o czerwono-złotych włosach, barwą przypominających włosy Elayne, doglądała Dailin, z klanu i szczepu Aviendhy. Pot przemoczył włosy Dailin. Miały teraz odcień ciemnej czerwieni; raz tylko otworzyła szare oczy, kiedy podeszły bliżej, potem zamknęła je znowu. Jej kaftan i koszula leżały obok, a czerwone plamy wykwitwały na bandażach obwiązanych wokół torsu.

— Dostała cios mieczem — powiedziała Aviendha. — Jacyś głupcy, których niewierni zabójcy drzew nazywają żołnierzami, uznali nas za kolejną garstkę bandytów plugawiących te ziemie. Aby przekonać ich, że się mylą, musiałyśmy ich pozabijać, lecz Dailin. . . Czy możesz ją uzdrowić, Aes Sedai?

Nynaeve uklękła przy rannej kobiecie i uniosła jej bandażę, aby móc pod nie zajrzeć. Skrzywiła się na widok tego, co zobaczyła.

— Czy przenosiłyście ją po tym, jak otrzymała ranę? Rana się zasklepiła, ale ktoś zerwał strup.

— Chciała umrzeć w pobliżu wody — powiedziała Aviendha.

Spojrzała raz na rzekę, potem szybko odwróciła wzrok. Egwene pomyślała, że tamta wygląda, jakby w tej samej chwili przeszył ją nagły dreszcz.

— Głupie! — Nynaeve zaczęła grzebać w torbie z ziołami. — Mogłyście ją zabić, niosąc z takimi obrażeniami. Chciała umrzeć blisko wody! — powtórzyła z niesmakiem. — To, że nosicie włócznie jak mężczyźni, nie oznacza, iż musicie myśleć tak jak oni.

Wyciągnęła z torby głęboki drewniany kubek i podała go Chiad.

— Napełnij go. Potrzebuję wody, aby mogła połknąć tę mieszankę.

Chiad i Bain razem poszły na brzeg rzeki, po chwili wróciły. Wyraz ich twarzy nigdy nie ulegał zmianie, jednak Egwene zdało się, że obie przez cały czas drżały na myśl, iż rzeka może wystąpić z brzegów by je pochwycić.

— Gdybyśmy nie przyniosły jej tutaj, nad. . . rzekę, Aes Sedai — powiedziała Aviendha — nigdy byśmy nie spotkały ciebie, a ona i tak by umarła.

Nynaeve parsknęła i zaczęła przesiewać sproszkowane zioła do kubka z wodą, jednocześnie mrucząc do siebie:

— Rdzeń korzenia pomaga na krew, psie ziele wiąże ciało, i wszystkozdrowka oczywiście, i... — jej mamrotanie przeszło w szept, stając się niesłyszalne. Aviendha patrzyła na nią, marszcząc brwi.

— Mądre używają ziół, ale nigdy nie słyszałam, żeby Aes Sedai je stosowały.

— Używam tego, czego używam! — warknęła na nią Nynaeve i wróciła do przeszukiwania swych proszków oraz do cichego szeptu.

— Ona naprawdę mówi jak Mądra — powiedziała Chiad do Bain cicho, a tamta przytaknęła krótkim skinieniem głowy.

Dailin była jedyną Aiel, która nie miała w ręku broni, pozostałe wyglądały tak, jakby mogły w mgnieniu oka użyć śmiertelnych narzędzi.

„Nynaeve z pewnością nie złagodzi panującego napięcia — pomyślała Egwene. — Trzeba wciągnąć je do rozmowy. O czymkolwiek. Nikt nie ma ochoty do walki, gdy rozmawia na jakiś spokojny temat.”

— Nie obrażcie się — zaczęła ostrożnie — ale zauważyłam, że rzeka wywołuje u was niepokój. Przecież nie burzy się, dopóki nie ma sztormu. Możecie w niej pływać, jeśli chcecie, chociaż z dala od brzegu prąd jest silny.

Elayne potrząsnęła głową.

Kobiety zmieszają się, wreszcie Aviendha powiedziała:

— Raz... widziałam mężczyznę... Shienaranina... jak zajmował się tym pływaniem.

— Nie rozumiem — powiedziała Egwene. — Wiem, że na Ugorze nie ma wiele wody, ale ty, Jolien, powiedziałaś, że jesteś z „klanu Rzeki Kamieni”. Z pewnością pływacie w Rzece Kamieni?

Elayne patrzyła na nią, jakby była szalona.

— Pływać — odrzekła zmieszana Jolien. — To znaczy... wchodzić do wody? Do całej tej wody? Bez niczego, czego można by się przytrzymać? — Wstrząsnął nią dreszcz. — Aes Sedai, zanim pokonałam Mur Smoka, nigdy nie widziałam tyle wody, żebym nie mogła nad nią przeskoczyć. Rzeka Kamieni... Niektórzy twierdzą, że kiedyś płynęła nią woda, ale to są tylko przechwałki. Ta rzeka zawiera w sobie tylko kamienie. Najstarsze zapiski Mądrych i wodzowie klanów mówią, że nigdy nie było w niej niczego prócz kamieni, przynajmniej od czasu gdy nasz klan oderwał się od klanu Wysokiej Równiny i ogłosił tę ziemię swoją własnością. Pływać!

Chwyciła swą włócznię, jakby chciała walczyć z samym słowem. Chiad i Bain równocześnie zrobiły krok, odsuwając się od rzeki.

Egwene westchnęła. I pokraśniała, kiedy napotkała wzrok Elayne.

„Cóż, nie jestem Córką-Dziedziczką, aby wiedzieć o tym wszystkim. Ale zapewne wszystkiego się kiedyś nauczę. Kiedy rozejrzała się po twarzach Aiel, zro-



zumiała, że zamiast je uspokoić, jeszcze bardziej rozstroiła. — Jeżeli czegoś spróbują, przytrzymam je przy pomocy Powietrza.”

Nie wiedziała, czy potrafi objąć naraz czwórkę ludzi, ale otworzyła się na *saidara*, splotła prądy Powietrza i trzymała je w gotowości. Moc pulsowała w niej, gotowa do wykorzystania. Żadna poświata nie otaczała Elayne, zastanawiała się dlaczego. Elayne spojrzała jej prosto w oczy i potrząsnęła głową.

— Nigdy nie zrobiłabym krzywdy Aes Sedai — powiedziała gwałtownie Aviendha. — Powinam ci to powiedzieć. Niezależnie od tego, czy Dailin przeżyje, czy umrze, to niczego nie zmieni. Nigdy nie użyję tego uniosła odrobinę jedną z krótkich włóczni — przeciwko żadnej kobiecie. A ty jesteś Aes Sedai.

Egwene przyszło nagle do głowy, że ta kobieta usiłuje je uspokoić.

— Wiem o tym — oznajmiła Elayne, mówiąc niby do Aviendhy, ale wyraz jej oczu upewnił Egwene, że słowa przeznaczone są dla niej. — Niewiele wiadomo o twoim ludzie, ale nauczono mnie, że Aiel nigdy nie skrzywdzi kobiety, jeśli nie jest ona... jak to określiłaś? ...poślubiona włóczni.

Bain najwyraźniej sądziła, że Elayne znów niezbyt dokładnie pojęła całą prawdę.

— To niezupełnie tak, Elayne. Jeśli kobieta nie poślubiona włóczni rzuci się na mnie z bronią, będę ją biła, dopóki nie nauczy się nią lepiej posługiwać. Mężczyzna... Mężczyzna może pomyśleć, że kobieta z waszego kraju jest poślubiona, jeżeli nosi broń. Nie wiem. Mężczyźni potrafią być dziwni.

— Oczywiście — rzekła Elayne. — Ale dopóki nie zaatakujemy cię bronią, ty nie będziesz się starała nas zranić.

Wszystkie cztery Aiel wyglądały na wstrząśnięte, Elayne zaś rzuciła Egwene znaczące spojrzenie.

Ta jednak mimo wszystko nie wypuszczała *saidara*. To, że Elayne nauczono czegoś, nie oznacza, iż jest to prawda, nawet jeśli Aiel twierdzą tak samo. A *saidar* wewnątrz był... tak cudowny.

Nynaeve uniosła głowę Dailin i zaczęła wlewać miksturę w jej usta.

— Pij — powiedziała zdecydowanie. — Wiem, że smakuje paskudnie, ale mimo to wypij.

Dailin przełknęła, zakrztusiła się, potem znowu przełknęła.

— Nawet wówczas, nie, Aes Sedai — Aviendha zwróciła się do Elayne, ale jej wzrok wciąż spoczywał na Dailin i Nynaeve. — Powiedziane jest, że ongiś, przed Pęknięciem Świata, służyliśmy Aes Sedai, nikt jednak nie wie, w jaki sposób. Zawiodłyśmy ich oczekiwania. Być może na tym polegał grzech, który zawiódł nas do Trójkątnej Krainy, nie wiem. Nikt nie wie, na czym ten grzech polegał, wyjąwszy, być może, Mądre, albo wodzów klanów, a oni niczego nie mówią. Powiedziane jest, że jeśli jeszcze raz zawiedziemy Aes Sedai, zniszczą nas.

— Wypij wszystko — mruzczała Nynaeve. — Miecze! Miecze i mięśnie, i kompletny brak mózgów!

— My nie zamierzamy was zniszczyć — zdecydowanie oznajmiła Elayne, a Aviendha przytaknęła.

— Jak powiadasz, Aes Sedai. Niemniej stare opowieści zgodne są i jasne w jednej kwestii. Nie wolno nam nigdy walczyć z Aes Sedai. Jeżeli ześlesz na mnie swą błyskawicę, jeżeli skierujesz na mnie swój ogień stosu, zatańczę z nimi, ale nie wyrządę ci krzywdy.

— Mordercy — warknęła Nynaeve. Opuściła głowę Dailin i położyła jej dłoń na czole. Oczy tamtej zamknęły się znowu. — Mordercze kobiety!

Aviendha zaszurała nogami i zmarszczyła brwi, podobnie postąpiły pozostałe Aiel.

— Ogień stosu — powtórzyła Egwene. — Aviendha, co to jest ogień stosu?

Tamta spojrzała nań zakłopotana.

— Ty nie wiesz, Aes Sedai? W starych opowieściach Aes Sedai władały tym ogniem. Opisuje się go jako rzecz straszną, ale nic więcej na ten temat nie wiem. Powiedzione jest, że zapomnieliśmy wiele z tego, co znaliśmy ongiś.

— Może Biała Wieża również wiele zapomniała — zauważyła Egwene.

„Dowiedziałam się o nim w tym... śnie, czy cokolwiek to było. W każdym razie było równie prawdziwe jak *Ter'aran'rhiod*. Rozmawiałam o tym z Matem.”

— Nie macie prawa! — prychała Nynaeve. — Nikt nie ma prawa tak traktować ciał! Tak nie wolno!

— Czy ona jest zła? — spytała niepewnie Aviendha. Chiad, Bain i Jolien wymieniły zatroskane spojrzenia.

— Wszystko w porządku — uspokoiła je Elayne.

— Lepiej niż myślicie — dodała Egwene. — Staje się zła, to bardzo dobrze.

Poświata *saidara* otoczyła Nynaeve zniecka. Egwene pochyliła się naprzód, żeby wszystko dobrze widzieć, podobnie postąpiła Elayne. A Dailin poderwała się krzycząc, z szeroko rozwartymi oczyma. W jednej chwili Nynaeve, uspokajającym gestem ułożyła ją z powrotem, zaś poświata zniknęła. Oczy Dailin zamknęły się, leżała oddychając ciężko.

„Widziałam to — pomyślała Egwene. — Sądzę... że widziałam.”

Nie była pewna, czy w ogóle potrafiłaby rozróżnić rozmaitość strumieni, a w jeszcze mniejszym stopniu — sposób, w jaki zostały splecione. To, co Nynaeve zrobiła w ciągu tych kilku sekund, przypominało jednoczesne tkanie czterech dywanów, na dodatek z zawiązanymi oczyma.

Nynaeve użyła zakrwawionych bandaży do otarcia brzucha Dailin, stała świeżą, jasną krew i czarne skorupy zaschniętej starej. Żadnej rany nie było, żadnej blizny, tylko zdrowa skóra, trochę bardziej blada niż twarz Dailin.

Nynaeve z grymasem zebrała krwawe opatrunki, wstała i wrzuciła je do rzeki.

— Zmyjcie z niej resztę tego — poleciła — i ubierzcie ją, bo zmarznie. Przygotujcie też jakieś jedzenie. Będzie głodna.

Uklękła nad wodą, by umyć ręce.

## NICI WE WZORZE

Jolim przyłożyła drżącą dłoń do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą w ciele Dailin ziała rana. Kiedy dotknęła gładkiej skóry, wciągnęła głośno powietrze, nie wierząc własnym oczom.

Nynaeve wyprostowała się, wycierając dłonie o płaszcz. Egwene musiała w końcu przyznać, że dobra wełna o wiele lepiej nadaje się na ręcznik aniżeli jedwab czy aksamit.

— Powiedziałam, żebyście ją umyły i ubrały — warknęła Nynaeve.

— Tak, Mądra — powiedziała szybko Jolien i wraz z Chiad oraz Bain żwawo rzuciły się wypełnić polecenie.

Z gardła Aviendhy wyrwał się spazm śmiechu, przypominający do złudzenia szloch.

— Słyszałam, że Mądra Kobieta z klanu Wyszczerbionej Iglicy, potrafi zrobić coś takiego, podobnie jak Mądra z klanu Czterech Dołów, zawsze jednak sądziłam, że to tylko przechwałki. — Wciągnęła głęboki oddech, powoli odzyskując zimną krew. — Aes Sedai, mam dług wobec ciebie. Moja woda jest twoją, a w cieniu siedziby mego klanu zawsze odnajdziesz schronienie. Dailin jest moją drugą siostrą. — Pochwyciła zdziwione spojrzenie Nynaeve i dodała: — Jest córką siostry mojej matki. Bliska więź krwi, Aes Sedai. Mój dług wobec ciebie jest długiem krwi.

— Jeśli miałabym przelać czyjąś krew — odpowiedziała sucho Nynaeve — przelałabym własną. Jeżeli chcesz mi się jakoś zrewanżować, powiedz czy w Jurene cumuje statek. To jest najbliższa wioska na południe stąd.

— Wioska, w której żołnierze wywiesili sztandar Białego Lwa? — upewniła się Aviendha. — Kiedy byłam wczoraj na zwiadach, widziałam statek. Dawne opowieści mówią wprawdzie o statkach, widzieć jednak któryś na własne oczy, to było przedziwne przeżycie.

— Światłość pozwoli, że wciąż będzie tam czekał. Nynaeve zaczęła pakować zwitki papieru ze sproszkowanymi ziołami. — Zrobiłam dla tej dziewczyny wszystko, co mogłam, Aviendha, ale teraz musimy już ruszać. Teraz potrzebujemy tylko dużo pożywienia i wypoczynku. I postaraj się, aby więcej nie kluto jej mieczem.

— Co ma się stać, stanie się — odparowała kobieta Aiel.

— Aviendha — odezwała się Egwene — w jaki sposób pokonujecie rzeki, jeśli wzbudzają one w was takie uczucia? Pewna jestem, że między nami a Ugorem znajduje się co najmniej jedna rzeka wielkości Erinin.

— Alguenya — powiedziała Elayne — ale można ją obejść.

— Napotkaliśmy wiele rzek, ale na niektórych znajdują się budowle zwane mostami, z których musiałyśmy korzystać, inne można przejść w bród. Jeśli zaś chodzi o resztę, Jolim pamiętała, że drewno unosi się na wodzie.

Poklepała pień wysokiego tulipanowca.

— Są ogromne, ale pływają równie dobrze jak małe gałęzie. Znalazłyśmy kilka umarłych i zbudowałyśmy... statek... niewielki statek, z dwóch, trzech pni powiązanych razem i w ten sposób pokonałyśmy wielką rzekę — skończyła rzeczowym tonem.

Egwene patrzyła zadziwiona. Jeśli ona obawiała się czegoś tak bardzo, jak Aiel najwyraźniej obawiały się rzek, czy wówczas potrafiłaby stawić temu czoło w równie niewzruszony sposób? Nie była pewna. Raczej nie.

„A co z Czarnymi Ajah — zapytał cichy głos. — Czy przestałaś się ich bać? To co innego — odpowiedziała mu. — W tym nie ma żadnej brawury. Albo będę je ścigać, albo chować się przed nimi, jak królik przed jastrzębiem.”

Zacytowała sobie stare powiedzenie.

„Lepiej być młotkiem niż gwoździem.”

— Powinnyśmy ruszać — zauważyła Nynaeve.

— Jeszcze chwilę — poprosiła Egwene. — Aviendha, dlaczego pokonałyście całą tę drogę, dlaczego narażacie się na takie kłopoty?

Aviendha potrząsnęła z niesmakiem głową.

— W ogóle nie zaszłyśmy daleko, wyruszyłyśmy razem z ostatnimi. Mądre Kobiety ponaglały mnie jak psy zaganiające ciele, mówiąc, że mam inne obowiązki. — Nagle uśmiechnęła się, wskazując w stronę pozostałych kobiet. — One zostały ze mną, aby wyśmiewać się z mojego nieszczęścia, tak przynajmniej powiadały, jednakże gdyby nie ich towarzystwo, nie sądzę by Mądre Kobiety pozwoliły mi pójść.

— Szukamy tego, którego nadejście przepowiedziano oznajmiła Bain. Uniosła śpiącą Dailin tak, że Chiad mogła nałożyć jej koszulę z brązowego materiału. — Tego Który Nadejdzie Wraz ze Świtem.

— On wyprowadzi nas z Trójkątnej Ziemi — dodała Chiad. — Proroctwa powiadają, że urodził się z *Far Dareis Mai*.

Elayne wyglądała na zaskoczoną.

— Zrozumiałam, że powiedziałaś, iż wam, Pannom Włóczni, nie wolno mieć dzieci. Pewna jestem, że tak mnie uczono.

Bain i Chiad ponownie wymieniły spojrzenia, z których można było wnosić, że Elayne znowuż znalazła się blisko prawdy, która jednak i tym razem wygląda

zupełnie inaczej.

— Jeśli Panna donosi dziecko — wyjaśniła ostrożnie Aviendha — po urodzeniu oddaje je Mądrej Kobiecie ze swego klanu, a one przekazują to dziecko innej kobiecie, w taki sposób, że nikt nie wie, kto jest jego matką. — Ona również mówiła takim tonem, jakby musiała wyjaśniać, że kamień jest twardy. — Każda chce zaopiekować się takim dzieckiem w nadziei, że wychowa Tego Który Nadchodzi Wraz ze Świtem.

— Może również porzucić włócznie i poślubić mężczyznę — uzupełniła Chiad, a Bain dodała jeszcze: — Czasami istnieją powody dla porzucenia włóczni.

Aviendha obdarzyła je ostrzegawczym spojrzeniem, kontynuowała jednak, jakby nic się nie stało.

— Oczywiście nie teraz, kiedy Mądre Kobiety powiadają, że należy go szukać tutaj, za Murem Smoka. „Krew z naszej krwi, pomieszana ze starą krwią, wychowana przez starą krew, ale nie naszą.” Nie rozumiem tego, ale Mądre Kobiety mówią w taki sposób, jakby nie było najmniejszych wątpliwości. — Przerwała, najwyraźniej starając się dobrać właściwe słowa. — Zadałaś wiele pytań, Aes Sedai. Chciałabym odpowiedzieć choć na jedno. Musisz pojąć, że szukamy omenów i znaków. Dlaczego na przykład trzy Aes Sedai same wędrują przez kraj, gdzie jedyna dłoń pozbawiona noża, to dłoń nazbyt osłabła z głodu, aby utrzymać rękojeść? Dokąd zmierzacie?

— Do Łzy — odrzekła żwawo Nynaeve. — Oczywiście, pod warunkiem że Kamień Łzy nie rozsypie się w proch, w czasie, gdy my będziemy stały tutaj, rozmawiając.

Elayne zaczęła poprawiać sznur swego węzełka i taśmy mocujące zawiniątko, przygotowując się do wymarszu, po chwili Egwene postąpiła tak samo.

Kobiety Aiel popatrzyły po sobie, Jolien zamarła, otulając Dailin szarobrązowym kaftanem.

— Do Łzy? — zapytała Aviendha ostrożnym głosem. — Trzy Aes Sedai marszerują przez dotknięty nieszczęściem kraj do Łzy. To dziwna rzecz. Dlaczego idziecie do Łzy, Aes Sedai?

Egwene rzuciła Nynaeve szybkie spojrzenie.

„Światłości, przed chwilą śmiały się, a teraz są znów napięte.”

— Ścigamy złe kobiety — powiedziała Nynaeve, rozważnie dobierając słowa. — Sprzymierzeńców Ciemności.

— Wysłannicy Cienia — usta Jolien skrzywiły się, kiedy wymawiała to słowo, jakby nagryzły zgniłe jabłko.

— Wysłannicy Cienia w Łzie — powiedziała Bain, a Chiad dodała, jakby kończąc rozpoczęte zdanie: — I trzy Aes Sedai usiłujące dostać się do Serca Kamienia.

— Nie twierdziłam, że zmierzamy do Serca Kamienia — odparowała ostro Nynaeve. — Powiedziałam tylko, że nie mam zamiaru sterczeć tutaj tak długo, aż

rozsypie się w proch. Egwene, Elayne, jesteście gotowe?

Nie czekając na odpowiedź wyszła z zagajnika, jej kostur uderzał rytmicznie w grunt, a długie kroki niosły ją na południe.

Egwene i Elayne pośpiesznie pożegnały się, potem poszły za nią. Cztery Aiel stały, patrząc w ślad za nimi.

Kiedy uszły już spory kawałek od lasu, Egwene oznajmiła:

— Moje serce prawie przestało bić, gdy powiedziałaś kim jesteś. Nie obawiałaś się, że mogą cię zabić, albo uwięzić? Wojny z Aielami to znowu nie aż tak dawna przeszłość i niezależnie od tego co mówiły o tym, że nie krzywdzą kobiet, które nie noszą broni, dla mnie wyglądały tak, jakby przez cały czas były gotowe do użycia swych włóczy przeciwko komukolwiek.

Elayne ponuro pokiwała głową.

— Właśnie zrozumiałam, jak niewiele wiedziałam o Aielach, ale przekonałam się również, że one wcale nie uważały wojen z Aielami za prawdziwe wojny. Ze sposobu, w jaki odnosiły się do mnie, sądzę, że to, czego się dowiedziałam, może być prawdą. Niewykluczone jednak, iż traktowały mnie w ten sposób, ponieważ jestem Aes Sedai.

— Wiem, że one są dziwne, Elayne, ale przecież nikt nie może nazwać trzech lat wypełnionych bitwami inaczej jak wojną. Nie dbam o to, ile walk toczą pomiędzy sobą, wojna to wojna.

— Nie dla nich. Tysiące Aielów przekroczyło Grzbiet Świata, najwyraźniej jednak uważali siebie raczej za łowców złodziei lub katów, albowiem ścigali jedynie króla Lamana z Cairhien za zbrodnię, która polegała na ścięciu *Avendoraldera*. Dla Aielów nie była to wojna, lecz egzekucja.

Według jednego z wykładów Verin, *Avendoraldera* była szczepem samego Drzewa Życia, przywiezionym do Cairhien jakieś czterysta lat wcześniej jako bezprecedensowa oferta pokoju ze strony Aielów, dodatkowo zapewniająca możliwość przekraczania Ugoru, co dotąd zarezerwowane było jedynie dla handlarzy, bardów i Tuatha'anów. Większą część cairhieńskiego bogactwa zyskano poprzez handel kością morsa, perfumami, przyprawami, a nade wszystko jedwabiem, pochodzącym z ziem położonych za Ugorem. Nawet Verin nie miała pojęcia w jaki sposób Aielowie weszli w posiadanie drzewka *Avendesory* — bowiem co do jednej rzeczy stare księgi się zgadzały, stwierdzając mianowicie że nie wydaje ono owoców. Poza tym nikt nie wiedział, gdzie rośnie Drzewo Życia, pominąwszy niektóre opowieści, oczywiście błędne, z pewnością jednak Drzewo Życia nie mogło mieć nic wspólnego z Aielami — ani dlatego nazywali Cairhieńskimi Partnerami Wody, ani też czemu domagali się, by ich karawany i wozy kupieckie wywieszały sztandar z potrójnym liściem *Avendesory*.

Egwene podejrzewała, choć czyniła to z niechęcią, że może zrozumieć, dlaczego wzniecili wojnę — nawet jeśli dla nich nie była to żadna wojna w ścisłym znaczeniu tego słowa — kiedy król Laman ściął ich dar, by zrobić sobie tron nie-

podobny do żadnego innego na świecie. Grzech Lamam, słyszała, że tak się o tym mówi. Według Verin, wraz z wojną skończyły się nie tylko podróże handlowe Cairhienian przez Ugór, ale każdy z nich, który tam zabłądził, zniknął. Verin twierdziła, że mówi się o nich, iż „sprzedani zostali jak zwierzęta”, ale nawet ona nie miała pojęcia, w jaki sposób kobieta lub mężczyzna mogą zostać sprzedani.

— Egwene — powiedziała Elayne — hak myślisz, kim musi być Ten Który Przychodzi Wraz ze Świtem?

Wpatrując się we wciąż odległe plecy Nynaeve, Egwene najpierw machinalnie potrząsnęła głową — „Czy ona ma zamiar pędzić nas przez całą drogę do Jurene?” — ale po chwili jednak zrozumiała i omal nie przystanęła z wrażenia.

— Chyba nie sądzisz...?

Elayne skinęła głową.

— Tak właśnie uważam. Nie znam zbyt dobrze Proroctw Smoka, ale słyszałam kilka wersów z nich. Jeden nawet pamiętam: „Zrodzony zostanie na stokach Góry Smoka, zrodzony z panny nie poślubionej żadnemu mężczyźnie.” Egwene, Rand naprawdę wygląda jak Aiel. Cóż, podobny jest do wizerunków Tigraine, które widziałam kiedyś, ale ona zniknęła zanim się urodził, a nadto trudno sobie w ogóle wyobrazić, by mogła być jego matką. Sądzę, że matką Randa była Panna Włóczni.

Egwene zmarszczyła czoło, zastanawiając się. Szybko przebiegła myślami wszystko, co wiedziała o Randzie i jego życiu od samych narodzin. Po śmierci Kari al'Thor wychował go Tam al'Thor, lecz jeśli Moiraine mówiła prawdę, żadne z nich nie było jego prawdziwym rodzicem. Nynaeve czasami sprawiała wrażenie, że zna jakąś tajemnicę dotyczącą narodzin Randa.

„Mogę się jednak założyć, że nie wydarłabym z niej tego za nic na świecie!”

Dogoniły Nynaeve. Egwene miała surowy wyraz twarzy, była zaprzętnięta myślami, które przyszły jej przed chwilą do głowy, Nynaeve natomiast wpatrywała się w dal, szukając wzrokiem Jurene oraz czekający na nie statek. Elayne zaś marszczyła brwi, spoglądając na nie, jak gdyby były dwójką dzieci łąszących się na siebie, niepewnych, które dostanie większy kawałek ciasta.

Po chwili milczącego marszu, Elayne powiedziała:

— Poradziłaś sobie znakomicie, Nynaeve. Z Uzdrawianiem i całą resztą również. Nie sądzę, aby jeszcze wąpiły, iż jesteś Aes Sedai. Czy też, że wszystkie nimi jesteśmy, biorąc pod uwagę sposób, w jaki się zachowywałaś.

— Wykonałaś znakomitą pracę — dodała po jakiejś minucie Egwene. — Pierwszy raz miałam możliwość swobodnej obserwacji tego, co dzieje się podczas Uzdrawiania. Wygląda na to, że stworzenie błyskawicy jest w porównaniu z tym tak proste, jak zagniatanie owsianego ciasta.

Uśmiech pełen zaskoczenia pojawił się na twarzy Nynaeve.

— Dziękuję — wymruczała i sięgnęła do włosów Egwene, by pociągnąć ją za kosmyk, zupełnie tak jak czyniła to, gdy tamta była dziewczynką.

„Nie jestem już małą dziewczynką.”

Chwila ta minęła równie szybko jak przyszła i teraz ponownie szły w milczeniu. Elayne westchnęła głośno.

Przeszły szybko następną milę, lub nieco więcej, mimo że czasami musiały oddalać się od rzeki, aby ominąć zarośla rosnące na brzegu. Nynaeve nalegała, by pozostawały na otwartej przestrzeni. Egwene z kolei uważała za niezbyt mądre przypuszczenie, że w zagajnikach mogą kryć się inni jeszcze Aielowie, ale kręta droga nie mogła zbyt powiększyć odległości, jaką miały do przebycia, żadna z roślinnych kęp nie była specjalnie rozległa.

Elayne jednak uważnie przepatrywała rosnące wokół drzewa i w pewnej chwili to ona właśnie nagle krzyknęła:

— Strzeżcie się!

Egwene spojrzała, spomiędzy drzew wysypywali się ludzie, nad ich głowami wirowały proce. Sięgnęła po *saidara* i wtedy coś uderzyło ją w głowę, a ciemność ogarnęła wszystko.

\* \* \*

Egwene czuła kołysanie, czuła też jak coś pod nią porusza się. Głowę miała całą obolałą. Spróbowała podnieść dłonie do skroni, jednak ręce miała skrzepowane i nie mogła nimi poruszać.

— ...lepiej niż leżeć tutaj cały dzień, czekając na zapadnięcie ciemności — powiedział szorstki, męski głos. — Kto wie, czy wkrótce nie nadpłynie następny statek? I uważajcie na łódź. Przecieka.

— Dobrze się postaraj, by Adden uwierzył, że spostrzeżliście te pierścienie, zanim zdecydowaliście się zaatakować — odezwał się kolejny głos. — Nie życzy sobie tak obfitego ładunku, nie kobiet, jak sądzę.

Pierwszy mężczyzna wymamrotał jakieś przekleństwo ma temat tego, co Adden może zrobić ze swoją przeciekającą łodzią, jak również z ładunkiem.

Uniosła powieki. Srebrne plamki tańczyły jej przed oczyma. Pomyślała, że za chwilę zwiemiotuje na ziemię kołyszącą się pod jej głową. Była przytoczona w poprzek grzbietu konia, kostki i przeguby związane razem pod jego brzuchem, włosy swobodnie zwisały w dół.

Dzień jeszcze nie dobiegł końca. Przekrzywiając szyję, rozejrzała się dookoła. Otaczała ją taka mnogość nieporządnie ubranych postaci na koniach, że nie mogła dostrzec, czy Nynaeve i Elayne zostały również pochwycone. Niektórzy z napastników mieli na sobie pojedyncze fragmenty zbroi — poobijany hełm, podziurawiony napierśnik czy kaftan naszywany metalową łuską — większość



jednak nosiła jedynie kaftany nie czyszczone od wielu miesięcy, jeśli w ogóle kiedykolwiek. Zapach, jaki roztaczali wokół siebie, świadczył o tym, że sami nie myli się od równie długiego czasu. Wszyscy uzbrojeni byli w miecze, noszone przy pasach przeciągniętych przez plecy.

Zalała ją wściekłość i strach, a potem ogarnął ślepy gniew.

„Nie będę więźniem. Nie pozwolę się związać! Nie dam!”

Sięgnęła po *saidara*, a wtedy ból niemalże oderwał jej czubek głowy; z trudem powstrzymała jęk.

Koń przystanął na moment, rozległy się okrzyki i skrzypienie zardzewiałych zawiasów, potem znów ruszył naprzód, a po chwili mężczyźni zaczęli zsiadać z wierzchowców. Kiedy rozproszyli się, mogła zobaczyć przynajmniej fragment miejsca, w którym się znalazła. Otaczała ją wysoka palisada, zbudowana na szczycie wielkiego, okrągłego kopca gliny, mężczyźni uzbrojeni w łuki stali na drewnianym pomoście zawieszonym na takiej wysokości, aby mogli swobodnie patrzeć ponad ostrymi szczytami nierówno ociosanych pali. W spiętrzoną glinę u podnóża palisady wbudowano niską, pozbawioną okien chatę z bali. Stanowiła ona jedyną budowlę wewnątrz, jeśli nie liczyć kilku przybudowanych do niej komórek. Konni zbrojni, którzy właśnie wjechali w obręb palisady, zajęli resztę wolnej przestrzeni, której pozostałą część wypełniały ogniska z gotującą się strawą, splecione konie i kolejne grupki nie mytych mężczyzn. Musiało być ich około setki. Zamknięte w klatkach kozły beczały, świnie kwiczały, a kury gdakały, zwierzęce odgłosy w połączeniu z ochrypłymi krzykami i śmiechem wypełniały powietrze zgiełkiem tak hałaśliwym, że aż świdrował w uszach.

Jej spojrzenie odnalazło Nynaeve i Egwene, podobnie jak ona były związane głowami w dół na grzbietach pozbawionych siodeł wierzchowców. Trwały bez ruchu, koniec warkocza Nynaeve włócił się po ziemi, gdy koń poruszał się nieznacznie. Nadzieja, nawet niewielka, rozwinęła się zupełnie, nadzieja na to, że przynajmniej jedna z nich może być wolna, aby pomóc pozostałym uciec.

„Światłości, nie wytrzymam powtórnego uwięzienia. To się nie może powtórzyć.”

Delikatnie usiłowała ponownie dosięgnąć *saidara*. Ból tym razem nie był już tak straszny — ot, jakby ktoś upuścił jej skałę na głowę — ale strzaskał pustkę, zanim zdążyła nawet pomyśleć o róży.

— Jedna z nich się obudziła! — wrzasnął przerażony męski głos.

Egwene spróbowała zwisnąć zupełnie bezwładnie i wyglądać niegroźnie.

„Jak, na Światłość, mogę wyglądać groźnie, związana niczym połącz mięsa! Niech szeszne, potrzebuję trochę czasu. Koniecznie!”

— Nie zrobię wam krzywdy — powiedziała w kierunku zalanej potem twarzy biegnącego w jej stronę człowieka.

A przynajmniej próbowała powiedzieć. Nie wiedziała, ile słów udało jej się wydobyć z gardła, zanim coś ponownie uderzyło ją w głowę, a ciemność rozlała

się wokół niej wraz z falą mdłości.

\* \* \*

Następne przebudzenie było łatwiejsze. Głowa wciąż bolała, ale już nie tak bardzo jak poprzednio, choć myśli wciąż wirowały zawrotnie.

„Przynajmniej mój żołądek się uspokoił... Światłości, lepiej o tym nie myśleć.”

W ustach trwał smak kwaśnego wina i jakiejś gorzkiej substancji. Smugi światła lamp wpadały przez poziome szczeliny w nieporządnie zbudowanej ścianie, ale ona miała przed oczyma ciemność, leżała na plecach. Na glinie, jak się zorientowała. Drzwi również nie były równo dopasowane, pomimo to wydawały się bardzo mocne.

Podniosła się, stając na czworakach i stwierdziła z zaskoczeniem, iż nie związane jej. Oprócz jedynej ściany z surowych bali, pozostałe wyglądały jak z kamienia. Światła wpadającego przez szczeliny było wystarczająco dużo, by mogła dostrzec Nynaevę i Elayne rozciągnięte na klepisku. Twarz Córki-Dziedziczki pokrywała krew. Żadna z nich nie poruszała się, tylko piersi unosiły się i opadały w rytm oddechu. Egwene wahała się czy obudzić je natychmiast, czy przekonać się najpierw, co można zobaczyć po drugiej stronie ściany.

„Tylko jedno spojrzenie — powiedziała do siebie. Powinnam się przecież przekonać, jak nas pilnują, zanim je obudzę.”

Wmówiła sobie, że to nie dlatego powzięła taką decyzję, iż nie była wcale pewna czy uda jej się obudzić tamte. Kiedy przyłożyła oko do szpary w pobliżu drzwi, pomyślała o krwi na twarzy Elayne i usiłowała sobie przypomnieć, co Nynaeva dokładnie zrobiła dla Dailin.

Pomieszczenie, na które patrzyła, było ogromne, z wysoką belkowaną powałą — składała się nań zapewne reszta wnętrza chaty z bali, którą widziała poprzednio — i pozbawione okien, za to oświetlone jaskrawo złotymi i srebrnymi lampami, wiszącymi na hakach przymocowanych do ścian. Nie było kominka. Na ubitym glinianym klepisku stały wiejskie stoły i krzesła, przemieszane ze skrzyniami zdobionymi złoceniami i inkrustowanymi kością. Haftowany w pawie dywan leżał przy wielkim łóżku z baldachimem na doskonale wyrzeźbionych i złożonych słupkach; ułożono na nim stosy brudnych koców i poduszek.

Wewnątrz znajdowało się kilkunastu mężczyzn, stali lub siedzieli w rozmaitych miejscach, jednak wszystkie spojrzenia skupione były na wysokim człowieku o pięknych włosach, którego można by nawet nazwać przystojnym, gdyby jego twarz była nieco bardziej czysta. Stał ze spuszczonej oczyma u szczytu sto-

łu ze złobionymi nogami i pozłacaną ślimacznicą, jedną rękę wsparł na rękojeści miecza, palcem drugiej dotykał czegoś, czego nie mogła dostrzec pośród małych kółek rozsypanych po powierzchni stołu.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi, ukazując w tle nocne ciemności i do środka wszedł kościsty człowiek, pozbawiony lewego ucha.

— Jeszcze nie przyjechał — powiedział szorstko. Nie miał również dwu palców u lewej dłoni. — Nie lubię spotykać się z nimi.

Wysoki mężczyzna o pięknych włosach nie poświęcił mu nawet odrobiny uwagi, nie przestawał zabawiać się przedmiotem, znajdującym się na stole.

— Trzy Aes Sedai — wymruczał, potem zaśmiał się. — Dobre są ceny za Aes Sedai, jeśli ma się nerwy, aby rozmawiać z właściwym kupcem. Jeżeli jesteś gotów zaryzykować, że twój żołądek zostanie wyjęty przez usta, możesz spróbować sprzedać mu nawet kota w worku. Nie jest to tak bezpieczne jak podrznięcie gardeł załogi kupieckiego statku, co, Coke? Nie takie łatwe, prawda?

Pośród obecnych w pokoju dało się dostrzec nerwowe poruszenie, a ten, do którego się zwracano, krępy mężczyzna z rozbieganymi oczami, nerwowo skłonił głowę.

— To są Aes Sedai, Adden. — Rozpoznała jego głos, człowiek od ordynarnych propozycji. — Muszą nimi być, Adden. Dowodzą tego pierścienie, mówię ci!

Adden podniósł coś ze stołu, mały krążek, który rozbłysnął złotem w świetle lamp.

Egwene westchnęła i chwyciła się za palec.

„Zabrali mój pierścień!”

— Nie podoba mi się to — wymamrotał kościsty mężczyzna bez ucha. — Aes Sedai. Każda z nich mogłaby pozabijać nas wszystkich. Okalecz mnie, Fortuno! Musisz być chyba głupi jak kłoc drewna Coke, powinienem chyba poderżnąć ci gardło. Co, jeśli jedna z nich obudzi się, zanim on przyjedzie?

— Nie obudzą się jeszcze przez najbliższych kilka godzin. — Ochrypłemu głosowi tłustego mężczyzny towarzyszył szeroki, ukazujący wszystkie zęby, szyderczy uśmiech. — Moja babcia przekazała mi sekret tego, co wlałiśmy im do gardeł. Będą spały aż do wschodu słońca, a on przyjedzie wcześniej.

Egwene roztarła na języku kwaśny smak wina przemieszany z goryczą.

„Cokolwiek to było, twoja babcia cię okłamała. Zresztą i tak powinna cię uduśić już w kołysce!”

Zanim ten „on” przyjedzie, człowiek który sądzi, że może kupować Aes Sedai. . .

„Niczym przeklęty Seanchanin!”

. . . zdąży postawić Nynaeve i Egwene na nogi.

Popęzła w stronę gdzie leżała Nynaeve.

Wyglądało, że tamta zwyczajnie śpi, dlatego też zastosowała najprostszy środek i po prostu nią potrząsnęła. Ku jej zdumieniu oczy Nynaeve otworzyły się prawie natychmiast.

— Co się...?

Momentalnie przykryła dłonią jej usta, tłumiąc dalsze słowa.

— Uwięziono nas — wyszeptała. — Za tą ścianą znajduje się kilkunastu mężczyzn, na zewnątrz jest ich więcej. Bardzo wielu. Dali nam coś, żebyśmy spały, ale skutek okazał się mizerny. Pamiętasz już?

Nynaeve odsunęła jej dłoń.

— Pamiętam. — Jej głos był cichy i ponury. Na twarz wypełził grymas, wydeła usta, po chwili zaśmiała się cicho. — Korzeń dobrego snu. Ci głupcy dali nam korzeń dobrego snu zmieszany z winem. Zresztą wino smakuje jakby był to już prawie ocet. Szybko, pamiętasz jeszcze coś z tego, czego cię uczyłam? Jak działa korzeń dobrego snu?

— Usuwa bóle głowy, dzięki czemu można zasnąć powiedziała Egwene równie cicho. Jej głos zabrzmiał niemal dokładnie tak samo ponuro jak tamtej, dopiero po chwili dotarł do niej sens wypowiedzianych słów. — Czyni człowieka trochę ospałym i to wszystko.

Grubas widocznie nie słuchał uważnie tego, co mówiła mu jego babcia.

— Jego działanie pomaga usunąć ból, będący efektem uderzenia w głowę.

— Tak właśnie jest — przyznała Nynaeve. — A kiedy obudzimy Egwene, podziękujemy im w taki sposób, jakiego nigdy nie zapomną.

Podniosła się, by natychmiast przykleknąć obok złotowłosej.

— Sądzę, że kiedy wieźli nas do środka, widziałam ich około setki. — Wyszeptała Egwene do pochylonej nad Elayne Nynaeve. — Pewna jestem, że teraz nie będziesz miała nic przeciwko temu, bym użyła Jedynej Mocy jako broni. I jeszcze ktoś prawdopodobnie ma przyjechać, żeby nas kupić. Mam zamiar zrobić mu coś takiego, że do końca życia pozostanie już człowiekiem czyniącym wyłącznie wolę Światłości!

Nynaeve wciąż klęczała przy boku Elayne, żadna z nich jednak nie poruszała się.

— O co chodzi?

— Jej obrażenia są poważne, Egwene. Sądzę, że ma pękniętą czaszkę, ledwie oddycha. Egwene, ona umiera, podobnie jak Dailin.

— Nie możesz czegoś zrobić? — Egwene starała się przypomnieć sobie wszystkie strumienie, jakie Nynaeve splotła, aby Uzdrowić kobietę Aiel, ale pamiętała nie więcej, niż jedynie co trzeci splot. — Musisz!

— Zabrali moje zioła — wymamrotała zawzięcie Nynaeve, jej głos drżał. — Nie potrafię! Nie, bez moich ziół!

Egwene przeżyła wstrząs, kiedy zrozumiała, że tamta z trudem opanowuje płacz.

— Niech szczyzną wszyscy, nie potrafię zrobić tego bez. . .

Nagle objęła Elayne za ramiona, jakby chciała podnieść nieprzytomną i potrząsnąć nią.

— Żebyś szczyzną, dziewczyno — wychrypięła. — Nie po to wiozłam cię przez całą drogę, żebyś teraz umarła! Powinłam zostawić cię przy zmywaniu naczyń! Powinłam wsadzić do worka i dać Matowi, by odwiózł cię do matki! Nie dam ci umrzeć przeze mnie! Słyszysz mnie? Nie pozwolę!

Nagle wokół niej rozbłysnął *saidar*, a Elayne otworzyła jednocześnie oczy i usta.

Egwene przykryła dłońmi usta Elayne, w samą porę, by zdławić krzyk, który z nich się wyrwał, kiedy jednak dotknęła jej, prądy Uzdrawiania Nynaeve pochwytyły ją niczym słomkę na krawędzi rzeczno-wirusu. Fale zimna przeszły ją do szpiku kości, a jednocześnie żar przepalił od środka, miała wrażenie jakby ciało piekło się na ruszcie. Świat zniknął w powodzi wrażeń — pęd, upadanie, lot, wirowanie.

Kiedy wszystko już się skończyło, zorientowała się, że stoi, oddychając ciężko i patrzy na leżącą Elayne, tamta odpowiedziała jej spojrzeniem, jej oczy rozbłysły nad dłonią, wciąż zakrywającą usta. Resztki bólu głowy zniknęły. Powrotna fala operacji, jakim Nynaeve poddała Elayne wystarczyła, aby uleczyć ją do końca. Szmer głosów w sąsiednim pomieszczeniu był tak cichy jak poprzednio, jeśli więc z gardła Elayne wydobył się jakiś głos, jeżeli krzyknęła lub jęknęła podczas całego zabiegu, Adden i pozostali nie usłyszeli niczego.

Nynaeve nisko skłoniła głowę, klęcząc wsparła się na dłoniach, drżała.

— Świątliwości! — wymamrotała. — Robienie tego w taki sposób. . . było jak zdzieranie. . . własnej skóry. Och, Świątliwości! — spojrzała na Elayne. — Jak się czujesz, dziewczyno?

Egwene odsunęła dłonie od ust tamtej.

— Zmęczona — wyszeptęła Elayne. — I głodna. Gdzie my jesteśmy? Byli jacyś mężczyźni z procami. . .

Egwene pośpiesznie opowiedziała jej, co się zdarzyło. Twarz Elayne spochmurniała, zanim opowieść dobiegła końca.

— A teraz — dodała Nynaeve głosem brzmiącym jak żelazo — pokażemy tym prostakom, co znaczy zadzierać z nami.

Ponownie zaświecił wokół niej *saidar*.

Elayne niepewnie podniosła się, stając na chwiejnych nogach, ale wokół niej również rozbłysła poświata. Egwene sięgnęła do Prawdziwego Źródła, niemalże z radością.

Kiedy ponownie spojrzały przez szczeliny, aby zobaczyć z czym przyjdzie im się borykać, w pomieszczeniu znajdowała się już trójka Myrddraali.

Czarne stroje zwisały na nich dziwnie nieruchomo, stali przy stole, a wszyscy z wyjątkiem Addena odsunęli się od nich najdalej jak tylko było można, opierając

się plecami o ściany i wbijając oczy w ziemię. Po przeciwnej stronie stołu Adden mierzył się spojrzeniami z bezokimi, a strumyki potu rzeźbiły bruzdy w brudzie, pokrywającym jego twarz.

Pomor podniósł złoty pierścień ze stołu. Egwene spostrzegła, że był znacznie grubszy niżli zwykła reprezentacja Wielkiego Węża.

Nynaeve, trzymając twarz przyciśniętą do szpary pomiędzy dwoma balami, westchnęła cicho i musnęła dłonią kark w miejscu, gdzie otaczał go kołnierzyk sukni.

— Trzy Aes Sedai — zasyczał Półczłowiek, jego rozbawienie zabrzmiało jak dźwięk rozsypywania się w pył dawno już umarłych rzeczy — i jedna miała przy sobie to.

Pierścień wydał głuchy odgłos, gdy Myrddraal rzucił go z powrotem na stół.

— To są te, których szukaliśmy — zgrzytliwie dodał drugi. — Otrzymasz sowitą nagrodę, człowieku.

— Musimy wziąć ich z zaskoczenia — powiedziała cicho Nynaeve. — Jaki rodzaj zamka jest w tych drzwiach?

Egwene mogła dostrzec zamek umocowany na zewnętrznej powierzchni drzwi, żelazną sztabę na łańcuchu wystarczająco mocnym, by powstrzymać atakującego byka.

— Przygotujcie się — powiedziała.

Uformowała cienki strumyk Ziemi, nie grubszy niż włos, mając nadzieję, że Półczłowiek nie wyczuje tak drobnego przeniesienia, i wplotła go w żelazny zamek, w jego najsłabsze części.

Jeden z Myrddraali uniósł głowę. Drugi pochylił się nad stołem ku Addenowi.

— Czuję swędzenie, człowieku. Jesteś pewien, że śpią?

Adden przełknął z wysiłkiem ślinę i kiwnął głową.

Trzeci Myrddraal odwrócił się i wbił ślepe spojrzenie w drzwi, za którymi przycupnęła Egwene wraz z towarzyszkami.

Łańcuch upadł na podłogę, wpatrujący się w niego Myrddraal warknął, a w tej samej chwili zewnętrzne wierzeje gwałtownie otworzyły się i do środka wpadła zamaskowana czernią śmierć.

Izba eksplodowała krzykiem i wrzaskiem, kiedy mężczyźni rzucili się do mieczy, usiłując osłonić się przed ciosami włóczy Aielów. Myrddraale wyciągnęli ostrza ciemniejsze od szat, również gotując się do walki o życie. Egwene widziała kiedyś sześć kotów, walczących ze sobą nawzajem, obecny widok po stokroć przewyższał gwałtownością tamten. A jednak w przeciągu kilku sekund powróciła cisza. Albo coś, co do złudzenia przypominało ciszę.

Ciała bez czarnej zasłony na twarzach leżały pokłute włóczykami, martwe. Jedna przyspiliła Addena do ściany. W galimatiasie poprzewracanych mebli leżało również dwu Aielów, nie żyli. Pośrodku pokoju stała trójka Myrddraali, wspartych o siebie plecami, w dłoniach ciemniały uniesione czarne miecze. Jeden przy-

ciskał rękę do boku, jakby był ranny, choć poza tym nie zdradzał w żaden sposób, czy rzeczywiście włócznia wyrządziła mu jakąś krzywdę. Błądą twarz następnego przecinała głęboka szrama, nie krwawił. Otaczała ich piątka zamaskowanych, wciąż żywych Aielów, przygotowanych do ataku. Z zewnątrz dochodziły krzyki i szcęk metalu, dowodzące, że inni Aielowie dalej walczą pośród nocy, do wnętrza izby jednak z dworu przedostawały się tylko przytłumione, dalekie odgłosy boju.

Krażąc wokół, Aielowie uderzali ostrzami włóczni o małe, pokryte skórą tarcze. „Dum-dum-DUM-dum... dum-dum-DUM-dum... dum-dum-DUM-dum.” Myrddraale obracali się wraz z nimi, a na ich bezokich twarzach zagościł wyraz niepewności, niepokoju, kiedy zrozumieli, że strach, jakim ich spojrzenie porażało wszelkie ludzkie serca, wydaje się nie mieć dostępu do tych wrogów.

— Zatańcz ze mną, Człowieku Cieniu — zawołał nagle jeden z Aielów. Głos należał do młodzieńca, w jego tonie słyszało się obelgę.

— Zatańcz ze mną, Bezoki. — Tym razem odezwała się kobieta.

— Zatańcz ze mną.

— Zatańcz ze mną.

— Sądzę — powiedziała Nynaeve, prostując się — że nadszedł czas.

Pchnęła drzwi i trzy kobiety otoczone poświatą *saidara* weszły do środka.

Zdało się, jak gdyby dla Myrddraali nagle przestali istnieć Aielowie, i odwrotnie. Aielowie wpatrywali się ponad swymi zasłonami w Egwene i jej przyjaciółki, jakby niepewni co widzą ich oczy, jedna z kobiet głośno wciągnęła powietrze. Bezokie spojrzenie Myrddraali niosło odmienne treści. Egwene mogła wyczuć niemalże zawarte w nim przeświadczenie o nieuchronności własnej śmierci. Półludzie rozpoznawali kobiety otoczone mocą Prawdziwego Źródła, kiedy je napotkali. Pewna była, że we wzroku skierowanym na nią wyczuwa również pragnienie zadania jej śmierci, która nastąpiłaby niewątpliwie, gdyby Myrddraalom udało się ją pokonać, a także przemożne pragnienie wyrwania Aes Sedai duszy z ciała i uczynienia z nich zabawki dla Cienia, pragnienie...

Przed chwilą zaledwie weszła do izby, a wydawało się, jakby już od wielu godzin spoglądała w bezokie twarze.

— Nie ma sensu, by trwało to dłużej — mruknęła i uwolniła strumień Ognia.

Grupa Myrddraali wybuchnęła płomieniem, rozproszyli się na wszystkie strony, trzeszcząc jak kości rozłupywane rzeźnickim tasakiem. Zapomniała jednak, że nie jest sama, że są z nią Elayne i Nynaeve. Kiedy płomienie pożerały Półludzi, nagle samo powietrze jakby uniosło ich w górę, zbijając w kulę ognia i czerni, która z każdą chwilą robiła się coraz mniejsza. Rezonans ich wrzasku wywołał dreszcz, który przeszedł w dół kręgosłupa Egwene, a wtedy coś wystrzeliło z dłoni Nynaeve — cienka smuga białego światła, pyry której południowe słońce wydałoby się ciemnością, strumień ognia, przy którym roztopiony metal zdałby się chłodny — i przeszło przestrzeń między jej dłońmi a kłębowiskiem czarnych

sylwetek. I wtedy przestali istnieć, jakby ich nigdy nie było. Nynaeve wzdrygnęła się zaskoczona, a otaczająca ją poświata zniknęła.

— Co... co to było? — zapytała Elayne.

Nynaeve potrząsnęła głową, wyglądała na równie osłupiałą jak tamta.

— Nie wiem. Byłam... byłam tak wściekła, tak przerażona tym, co zamierzali... Nie wiem, co to było.

„Płomień stosu” — pomyślała Egwene.

Nie rozumiała skąd to wie, jednak nie miała wątpliwości. Z wahaniem pozwoliła sobie na uwolnienie *saidara*, pozwoliła by uwolnił ją. Nie umiałaby powiedzieć, która z tych dwu rzeczy jest trudniejsza.

„I nie mam pojęcia, w jaki sposób ona to zrobiła!”

Wtedy Aielowie odsłoniли twarze. Nazbyt pośpiesznie, pomyślała Egwene, jakby chcieli je upewnić że nie mają już zamiaru walczyć. Trzech okazało się mężczyznami, jeden z nich już w podeszłym wieku, z ciemnorudymi włosami gęsto przetykanymi siwizną. Wszyscy byli wysocy, młodzi czy starzy, w oczach ukazywał się spokój i pewność, w ruchach ten groźny wdzięk jaki zawsze kojarzył jej się ze Strażnikami, śmierć spoglądała im przez ramię, wiedzieli, że ona tam jest i nie bali się. Jedna z kobiet zdjęła zasłonę, odsłaniając oblicze Aviendhy. Wrzaski i krzyki na zewnątrz zaczęły zamierać.

Nynaeve spojrzała w kierunku powalonych Aielów.

— Nie ma potrzeby, Aes Sedai — powiedział starszy mężczyzna. — Spotkali się ze stałą Ludzi Cieni.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, przyklękła przy nich, podniosła zasłony. Spojrzała na wywrócone tęczołki oczu, poszukała pulsu. Kiedy podniosła się znad drugiego ciała, jej twarz miała odcień śmiertelnej błości. To była Dailin.

— Żebyście szczęśli! Żebyście szczęśli! — Nie była pewne czy ma na myśli Dailin, czy mężczyznę z siwizną we włosach, czy Aviendhę, czy w ogóle wszystkich Aielów. Nie Uzdrawiałam jej po to, by zginęła w taki sposób!

— Śmierć przychodzi do nas wszystkich — zaczęła Aviendha, ale kiedy Nynaeve zwróciła się w jej stronę, zamilkła. Aielowie wymienili spojrzenia, jakby niepewni czy Nynaeve nie zamierza zrobić z nimi tego, co spotkało Myrddraali. W ich oczach nie było strachu, tylko czujność.

— Stał Ludzi Cieni zabija — powiedziała Aviendha. — Nie zadaje ran.

Starszy mężczyzna popatrzył na nią z wyrazem zaskoczenia w oczach — Egwene zdecydowała, że podobnie jak u Lana, lekkie drgnienie powiek oznacza zadziwienie natomiast Aviendha dodała:

— One niewiele wiedzą o pewnych rzeczach, Rhuarc.

— Przykro nam — powiedziała dźwięcznym głosem Elayne — że przerwałyśmy wam wasz... taniec. Być może nie powinnyśmy się wtrącać.

Egwene rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, potem zrozumiała, do czego tamta zmierza.



„Uspokoić ich i dać szansę ochłonać Nynaeve.”

— Znakomicie dawaliście sobie radę — oznajmiła. — Być może obraziłyśmy was, wtykając nos w nie swoją sprawę.

Siwy mężczyzna — Rhuarc — zachichotał stłumionym głosem.

— Aes Sedai, ja przynajmniej zadowolony jestem z... tego co zrobiliście, cokolwiek to było. — Przez chwilę wydawał się niepewny swych słów, za chwilę wrócił mu dobry humor. Miał przyjemny uśmiech i silną, kwadratową twarz, był przystojny, pomimo to, że trochę stary. — Zabiliśmy ich, ale trzech Ludzi Cieni... Zginęłoby z pewnością dwoje lub troje z nas, być może wszyscy, i nie można stwierdzić czy udałoby nam się zabić całą trójkę. Dla młodych śmierć jest wrogiem, z którym pragną spróbować swych sił. Dla tych z nas, którzy są bardziej dojrzałi, staje się dobrą, starą przyjaciółką, dawną kochanką, której nie chcemy szybko spotkać ponownie.

Nynaeve zdawała się uspokajać w czasie jego przemowy, jak gdyby spotkanie z Aielem, który nie boi się umrzeć, uwolniło ją od napięcia.

— Powinam wam podziękować — rzekła nareszcie. — I czynię to. Przyznam jednak, że wasz widok mnie zaskoczył. Aviendha, czy spodziewałaś się znaleźć nas tutaj? Skąd wiedziałaś?

— Szłam za wami. — Kobieta Aiel wydawała się zupełnie nie zmieszana takim wyznaniem. — Aby zobaczyć, co zrobicie. Widziałam, jak porwali was ci ludzie, byłam jednak za daleko by pomóc. Pewna byłam bowiem, że musicie mnie spostrzec, jeśli podejść zbyt blisko, dlatego trzymałam się w odległości jakichś stu kroków. Gdy zrozumiałam, że nie dacie sobie z nimi rady, było już za późno, żeby próbować w pojedynkę.

— Myśle, że zrobiłaś, co mogłaś — powiedziała niewyraźnie Egwene.

„Była tylko sto kroków za nami? Światłości, rozbójnicy ani razu niczego nie dostrzegli.”

Aviendha wzięła jej słowa za zachętę do dalszych wyjaśnień.

— Wiedziałam, gdzie musi być Coram, a on wiedział, gdzie są Dhael i Luaine, oni zaś wiedzieli... — przerwała i zmarszczywszy brwi, spojrzała na starszego mężczyznę. — Nie spodziewałam się znaleźć żadnego wodza rodu, a szczególnie własnego, pomiędzy tymi, którzy nadeszli. Kto przewodzi teraz Taardad Aiel, Rhuarc, kiedy ty jesteś tutaj?

Rhuarc wzruszył ramionami, jakby cała kwestia była bez znaczenia.

— Wodzowie klanów pociągną losy i spróbują zdecydować, czy naprawdę chcą iść do Rhuidean, kiedy zginę. Nie poszedłbym, gdyby Amys, Bair, Melaine i Seana nie ściagały mnie niczym skalne lwy dzikiego kozła. Sny powiadały, że muszę iść. Pytały mnie, czy naprawdę chcę umrzeć w łóżku, stary i tłusty.

Aviendha zaśmiała się, jakby usłyszała przedni dowcip.

— Słyszałam, iż powiada się, że mężczyzna znalazłszy się pomiędzy swą żoną a jedną Mądrą Kobieta, często wolałby walczyć z tuzinem odwiecznych wrogów.

Mężczyzna znalazłszy się pomiędzy swą żoną a trzema Mądrymi, gdy jego żona także jest Mądrą, musi chyba rozważyć zabicie Tego Który Oślepia Wzrok.

— Przyszła mi do głowy myśl. — Marszcząc brwi, starzec wpatrywał się w coś leżącego na podłodze; w trzy pierścienie z Wielkim Wężem, zrozumiała Egwene, i w ciężki złoty pierścień, wykuty, jak widać, na grubsze palce mężczyzn. — I wciąż mnie nurtuje. Wszystkie rzeczy muszą się zmieniać, ale nie chciałbym być częścią tej zmiany, gdybym tylko potrafił trzymać się od nich z dala. Trzy Aes Sedai podróżujące do Łzy.

Pozostali Aielowie spojrzeli na siebie, jakby nie chcieli by Egwene i jej towarzyski cokolwiek zauważyły.

— Mówiłeś o snach — powiedziała Egwene. — Czy wasze Mądre Kobiety wiedzą co znaczą ich sny?

— Niektóre tak. Jeśli chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej, musisz z nimi pomówić. Być może Aes Sedai powiedzą. Mężczyznom nie mówią nic, oprócz tego, co musimy zrobić, zgodnie z nakazem snu. — Nagle w jego głosie zabrzmiało zmęczenie. — A jest to zazwyczaj coś, czego powinniśmy w miarę możliwości unikać.

Nachylił się by podnieść męski pierścień. Wygrawerowano na nim żurawia w locie nad lancą i koroną, teraz Egwene wreszcie go poznała. Przedtem widziała go przecież często, zwisającego z szyi Nynaeve na skórzanym rzemyku. Nynaeve zakryła stopą pozostałe pierścienie, wyrwijąc ten jeden z jego ręki; jej twarz poczerwieniała, oprócz gniewu targało nią jeszcze wiele innych emocji, zbyt wiele by Egwene mogła je odczytać. Rhurarc nie uczynił najmniejszego gestu, by go odebrać, lecz ciągnął dalej tym samym zmęczonym głosem:

— A jedna z nich ma ze sobą pierścień, o którym słyszałem jako chłopiec. Pierścień królów Malkieri. Za czasów mego ojca wraz z Shienaranami wyprawiali się przeciwko Aielom. Byli dobrzy w tańcu włóczni. Ale Malkieri uległo Ugorowi. Powiedziane jest, że przeżyło tylko dziecko król, które zaleca się do śmierci jaka zabrała jego kraj, w taki sposób jak inni mężczyźni zalecają się do pięknych kobiet. Doprawdy to dziwna rzecz, Aes Sedai. Ze wszystkich dziwnych widoków, które spodziewałem się zobaczyć, gdy Melaine dręczyła mnie, bym porzucił swe schronienie i udał się za Mur Smoka, żaden nie był tak osobliwy jak ten. Ścieżka, jaką mi wyznaczyłaś, należy do tych, którymi nigdy nie spodziewałem się podążać.

— Nie wyznaczyłam ci żadnej ścieżki — odparła ostro Nynaeve. — Chcę tylko kontynuować moją podróż. Ci ludzie mieli konie. Weźmiemy trzy z nich i udamy się w drogę.

— Po nocy, Aes Sedai? — zapytał Rhurarc. — Czy cel waszej podróży jest tak naglący, że w ciemnościach macie zamiar jechać przez tę niebezpieczną krainę?

Widać było, że Nynaeve zмага się ze sobą zanim odpowiedziała:

— Nie. — I dodała twardszym już tonem. — Mam jednak zamiar wyruszyć

wraz ze świtaniem.

Aielowie wynieśli ciała zabitych poza palisadę, jednak ani Egwene, ani jej towarzyski nie miały zamiaru spać w brudnym łóżku, którego używał Adden. Nasunęły pierścienie na palce i postanowiły spać pod gołym niebem, owinięte tylko w płaszcz i koce otrzymane od Aielów.

Kiedy świt zajaśniał na wschodniej połaci nieba, Aielowie przygotowali śniadanie złożone z twardego, suszonego mięsa — Egwene wahała się je jeść, zanim Aviendha nie powiedziała jej, że jest to koźlina — płaskiego chleba, równie trudnego do przeżucia jak łykowane mięso oraz błękitnie pożyłkowanego białego sera o cierpkim smaku i konsystencji, która skłoniła Elayne do wypowiedzenia pod nosem uwagi, iż Aielowie na co dzień muszą ćwiczyć jedzenie, przeżuwiąc skały. Niemniej jednak, Córka-Dziedziczka zjadła tyle, ile Egwene i Nynaeve razem. Aielowie rozpuścili konie nie dosiadali ich, kiedy nie musieli, wyjaśniła Aviendha, przybierając taki ton głosu, jakby mogła równie szybko poruszać się na pokrytych pęcherzami stopach — wybrawszy wcześniej najlepsze trzy wierzchowce. Wszystkie były wysokie i niemal tak potężne jak bojowe rumaki, miały dumne szyje i płonące oczy. Kary ogier dla Nynaeve, dereszowata klacz dla Elayne i siwa dla Egwene.

Postanowiła nazwać siwka Mgła, w nadziei że delikatne imię pomoże ją poskromić, i w rzeczy samej, kiedy wyruszyły na południe, dokładnie w chwili gdy słońce podniosło czerwony krąg ponad horyzont, Mgła stapała lekko niczym puch.

Aielowie towarzyszyli im pieszo, wszyscy, którzy przeżyli bój. Oprócz dwójki zabitej przez Myrddraali, zginęło jeszcze troje. Obecnie zostało ich dziewiętnaścioro. Z łatwością, biegnąc wielkimi susami, dotrzymywali kroku koniom. Z początku Egwene usiłowała powstrzymać Mgłę, prowadzić ją dość wolnym krokiem, ale Aielowie uznali jej starania za bardzo zabawne.

— Mogę się z tobą ścigać na dystansie dziesięciu mil — powiedziała Aviendha — i zobaczmy, kto wygra, ja czy twój koń.

— Ja mogę się ścigać przez dwadzieścia mil! — zawołał ze śmiechem Rhuarc.

Egwene pomyślała, że w istocie mogą mówić prawdę i kiedy pognały swe konie szybszym krokiem, Aielowie dalej nie wykazywali najmniejszych śladów zmęczenia.

Gdy kryte strzechą dachy Jurene pojawiły się w polu widzenia, Rhuarc powiedział:

— Żegnajcie więc, Aes Sedai. Obyście zawsze znalazły wodę i cień. Być może spotkamy się jeszcze, zanim nadejdzie zmiana.

Jego głos był przesycony smutkiem. Kiedy grupa Aielów skręcała na południe, Aviendha, Chiad i Bain uniosły dłonie w geście pożegnania. Nawet teraz, gdy nie musieli już dotrzymywać kroku koniom, nie zwolnili nawet na jotę, a nawet pobiegli odrobinę szybciej. Egwene podejrzewała, że postanowili utrzymać

to tempo, zanim nie dotrą do miejsca, do którego zmierzali.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — zapytała. „Być może spotkamy się jeszcze, zanim nadejdzie zmiana?”

Elayne potrząsnęła głową.

— Nie ma znaczenia co chciał powiedzieć — odrzekła Nynaeve. — Cieszę się, że zjawili się ubiegłej nocy, podobnie jak z tego, że teraz już sobie poszli. Mam nadzieję, że znajdziemy tu jakiś statek.

Samo Jurene było małą miejsciną, składało się wyłącznie z parterowych, drewnianych domów, ale powiewał nad nim sztandar Białego Lwa Andoru, zawieszony na wysokim maszcie. Sztandaru broniło pięćdziesięciu Gwardzistów Królowej w czerwonych kaftanach i szerokich białych kołnierzach, wystających spod błyszczących napierśników. Rozmieszczono ich tutaj, powiedział kapitan, jako osłonę schronienia dla uciekinierów, którzy pragnęliby dostać się do Andoru, ale z każdym dniem przybywało ich coraz mniej. Obecnie większość udawała się do wiossek, leżących w dole rzeki, bliżej Aringill. Dlatego dobrze się stało, że trzy kobiety przybyły właśnie teraz, kiedy w każdej chwili oczekiwał rozkazów, odwołujących jego kompanię z powrotem do Andoru. Nieliczni mieszkańcy zapewne udadzą się tam wraz z nimi, pozostawiając resztę dobytku na pastwę rozbójników i cairhieńskich żołnierzy zwaśnionych Domów.

Egwene skrywała twarz pod kapturem mocnego, wełnianego płaszcza, jednak żaden z żołnierzy nie kojarzył dziewczyny o rudozłotych włosach ze swoją Córką-Dziedziczką. Niektórzy prosili ją, by została z nimi, Egwene nie była do końca pewna czy Elayne poczuła się obrażona, czy ukontentowana. Sama na podobne pytania odpowiadała żołnierzom, że nie ma dla nich czasu. Było to w dziwny sposób przyjemne, być proszoną; rzecz jasna nie miała najmniejszego zamiaru całować ktoregokolwiek z nich, niemniej napełniało ją zadowoleniem, że niektórzy przynajmniej mężczyźni uważają ją za równie ładną jak Elayne. Nynaeve zaś uderzyła jednego w twarz. Kiedy się o tym dowiedziała, niemalże wybuchnęła śmiechem, a Elayne w ogóle nie mogła się powstrzymać. Nynaeve musiała poczuć się dotknięta, jednak pomimo ognia w oczach również nie wyglądała na całkowicie niezadowoloną.

Nie nosiły już pierścieni. Nynaeve szybko przekonała je, że jedynym miejscem, gdzie nie powinny być brane za Aes Sedai, jest Łza, zwłaszcza jeśli przebywają w niej Czarne Ajah. Egwene schowała swój pierścień do sakiewki z *ter'angrealem*, nieprzerwanie dotykała jej, by upewnić się, że nic nie zgubiła. Nynaeve nosiła swój na sznurku, obok ciężkiego pierścienia Lana, na piersiach.

W Jurene napotkały statek, stał przy pojedynczym kamiennym molo, wbijającym się w Erinin. Wyglądało na to, że nie jest to ten sam statek, który widziała Aviendha, niemniej zawsze było to coś. Egwene była nieco przerażona, kiedy go zobaczyła. Dwukrotnie szerszy niż „Błękitny Żuraw”, „Kormoran” zawdzięczał swą nazwę pełnemu dziobowi, równie okrągłemu jak brzuch jego kapitana.

Ten poczciwy człeczyna zapytany czy jego łódź jest szybka, wbił wzrok w Nynaevę, zamrugał i podrapał się za uchem.

— Szybka? Jestem pełen luksusowego drewna z Shienaru i dywanów z Kandoru. Jakże miałbym powody, by spieszyć się, przewożąc taki ładunek? Ceny przecież tylko nieprzerwanie rosną. Tak, przypuszczam, że za mną znajdują się szybsze statki, ale one nie cumują tutaj. Ja również bym nie stanął, gdybym nie odkrył w mięsie robaków. Głupotą byłoby oczekiwać, że w Cairhien będą mieli mięso na sprzedaż. „Błękitny Żuraw”? Tak, widziałem Ellisora zahaczonego na czymś, dzisiejszego ranka w górze rzeki. Szybko nie ruszy dalej, jak mniemam. Oto co dała wam podróż na szybkiej łodzi.

Nynaevę zapłaciła za ich przejazd — i dwa razy tyle za konie — mając w oczach coś takiego, że ani Egwene, ani Elayne nie odważyły się odezwać do niej długo jeszcze po tym, jak „Kormoran” odbił od nabrzeża Jurene.

## BOHATER POŚRÓD NOCY

Przechylony przez nadburcie, Mat patrzył, jak obwarowane murami miasto Aringill przybliża się miarowo po każdym uderzeniu wiosł, które pchały „Szarą Mewę” w kierunku smołowanych, drewnianych doków. Na przystani chronionej przez wysokie, kamienne skrzydła murów wbijających się w rzekę, mrowiło się mnóstwo ludzi, jeszcze więcej wysiadało z łodzi rozmaitych rozmiarów, przycumowanych wzdłuż nabrzeży. Niektórzy pchali taczki, inni ciągnęli sanie lub wozy na wysokich kołach, wszystkie załadowane stosami mebli i przywiązanych kufrow, większość jednak niosła tobołki na plecach, jeśli w ogóle dźwigali ciężary. Nie wszyscy uwijali się pośpiesznie wokół swoich spraw. Grupki mężczyzn i kobiet zbierały się niepewnie, dzieci z płaczem przywierały do ich nóg. Żołnierze w czerwonych kaftanach i lśniących napierśnikach nieprzerwanie próbowali zmusić ich, by przeszli z doków do miasta, większość gromadzących się na nabrzeżu wydawała się jednak nazbyt przestraszona, by ruszać dalej.

Mat odwrócił się i osłaniając oczy, spojrział na rzekę, którą właśnie przyплыnęli. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Tar Valon widział Erinin tak zatłoczoną. W zasięgu wzroku dostrzec mógł przynajmniej tuzin płynących łodzi, od długiego, ostrodziobego splintera, pnącego się w górę rzeki pod prąd, pchanego dwoma trójkątnymi żaglami, do szerokiego, pełnodziobego statku z kwadratowymi żaglami, wytrwale płynącego z nurtem ku północy.

Niemalże połowa statków, które widział nie miała nic wspólnego z handlem rzeczonym. Dwa statki o szerokich, pustych pokładach ospale poruszały się w poprzek nurtu, w kierunku mniejszego miasteczka na przeciwnym brzegu, podczas gdy trzy inne płynęły do Aringill, z ludźmi upakowanymi na pokładach jak baryłki z rybą. Zachodzące słońce, wciąż jednak jeszcze zawieszane wysoko nad horyzontem, ocieniało sztandar, powiewający nad tym miasteczkiem. Brzeg był cairhieński, nie musiał jednak widzieć godła na sztandarze, by wiedzieć, że jest to Biały Lew Andoru. Wystarczająco wiele mówiono o tym w tych kilku andorańskich wioskach, gdzie „Szara Mewa” na krótko się zatrzymywała.

Potrząsnął głową. Polityka go nie interesowała.

„Przynajmniej dopóki nie wmawiają mi bez przerwy, że jestem Andoranimem, wyłącznie z powodu jakiejś mapy. Niech szczerze, mogą nawet spróbować zmu-

sić mnie, bym walczył w ich przeklętej armii, jeśli to cairhieńskie zamieszanie zacznie się rozszerzać. Słuchać rozkazów. Światłości!”

Wstrząsnął nim dreszcz, po chwili odwrócił się w stronę Aringill. Bosi marynarze z „Szarej Mewy” przygotowywali cumy, by podać je stojącym na nabrzeżu.

Kapitan Mallia obserwował go, stojąc za rumplem. Nigdy nie zrezygnował z wysiłków, by wkraść się w ich łaski i wykryć jaki jest cel ich ważnej misji. Mat pokazał mu na koniec zapieczętowany list, który wiozł od Córki-Dziedziczki do Królowej. Osobista wiadomość od córki dla matki, nic więcej. Z całych wyjaśnień Mallia zdawał się słyszeć jedynie słowa: „królowa Morgase”.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Głęboka kieszeń mieściła dwie sakiewki, grubsze niż wówczas, gdy wsiadał na pokład statku, luźnych monet miał więcej, niż zmieściłoby się w kolejnych dwu. Jego szczęście nie było już tak niesamowite jak tej pierwszej, przedziwnej nocy, kiedy kości i wszystko dookoła zdawało się szaleć, ale wciąż było wystarczająco dobre. Po upływie trzech nocy, Mallia zrezygnował z okazywania swej przyjaźni poprzez wspólną grę, niemniej w tym czasie jego kuferek z pieniędzmi stał się już lżejszy. Po Aringill ubędzie z niego jeszcze. Musiał tutaj odnowić zapasy prowiantu — Mat spojrzał na ludzi gniotących się w dokach — pod warunkiem oczywiście, że w ogóle będzie to możliwe, za jakąkolwiek cenę.

Uśmiech zniknął, kiedy ponownie pomyślał o liście. Pomajsterkował nieco rozgrzanym ostrzem noża i złota pieczęć lilii oderwała się od papieru. W środku nie znalazł nic: Elayne ciężko studiowała, osiągała znaczne postępy dzięki swej żądzy wiedzy. Była posłuszną córką, Amyrlin zaś ukarała ją za samowolne odejście i zabroniła o tym mówić, dlatego też matka z pewnością zrozumie, dlaczego nie może napisać nic więcej. Pisała dalej, że podniesiono ją do godności Przyjętej, i czy nie jest to cudowne, że z tego względu tak szybko powierzono jej bardziej odpowiedzialne obowiązki, dlatego musi opuścić Tar Valon na krótki czas, udając się w służbie samej Amyrlin. Matka więc nie powinna się martwić.

Dla niej to było w porządku, powiedzieć Morgase, by się nie przejmowała. A to przecież jego właśnie wpędzała w tarapaty. Ten głupi list musiał być przyczyną, dla której ścigali go ci ludzie, lecz nawet Thom nie mógł nic z niego zrozumieć, choć mruczał coś o „szyfrach”, „kodach” i „Grze Domów”.

Mat umieścił pieczęć na swoim miejscu, zaszył bezpiecznie list w poszewce kaftana i najchętniej zrobiłby coś, żeby nikt o nim nigdy się nie dowiedział. Jeżeli ktoś pragnął tak bardzo tego pisma, że był gotów go zabić, by wejść w jego posiadanie, to może przecież spróbować ponownie.

„Powiedziałem ci, że dostarczę ten przeklęty list Nynaeve, i zrobię to, niezależnie od tego, kto będzie mnie próbował powstrzymać.”

W każdym razie, będzie wiedział, co powiedzieć tym trzem denerwującym kobietom, kiedy zobaczy je następnym razem — „Jeśli tak się stanie. Światłości, nigdy nawet nie pomyślałem...” — i na pewno nie będą zadowolone z tego, co

usłyszą.

Kiedy załoga rzuciła cumy, na pokład wyszedł Thom z kasetami na instrumenty, zawieszonymi na plecach i tobołkiem w jednym ręku. Mimo iż utykał, dumnym krokiem podszedł do nadburcia, wymachując połą płaszcz tak, by trzepotały kolorowe łatki i z powagą podkręcając węża.

— Nikt i tak nie patrzy, Thom — powiedział Mat. Nie sądzę, aby zwrócili uwagę choćby na barda, chyba że miałby przy sobie jedzenie.

Thom popatrzył na nabrzeże.

— Światłości! Słyszałem, że jest źle, ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Biedni głupcy. Połowa z nich wygląda jakby głodowała. Pokój na noc może nas kosztować zawartość jednej z twoich sakiewek. A posiłek zapewne drugie tyle, jeśli nadal nie zamierzasz zmienić swoich obyczajów. Spróbuj tylko na oczach tych wszystkich ludzi jeść w taki sposób jak dotąd, a rozbiją ci głowę.

Mat tylko uśmiechnął się do niego.

Mallia szarpiąc szpic swej brody, przeszedł ciężko po pokładzie, „Szara Mewa” właśnie przybijała do wyznaczonego miejsca postoju. Żeglarze spuścili trap, a Sanor stanął przy nim, z ramionami zaplecionymi na piersiach, na wypadek gdyby tłum z nabrzeża zechciał wtargnąć na pokład. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

— Tak więc opuszczacie mnie tutaj — zwrócił się Mallia do Mata. Uśmiech kapitana nie był tak życzliwy, jak by wypadało. — Pewien jesteś, że nic nie mogę już dla was zrobić? Na mą duszę, nigdy nie widziałem takiej ciżby! Ci żołnierze powinni opróżnić doki... mieczami, jeśli byłoby to konieczne!... żeby przyzwolici kupcy mogli spokojnie robić interesy. Sanor zapewne mógłby was przeprowadzić przez te szumowiny do gospody.

„Żebyś wiedział, gdzie się zatrzymaliśmy? Nie ma mowy”

— Myślałem o tym, żeby coś zjeść, zanim zejdem na ląd i o partyjce kości dla zabicia czasu. — Twarz Mallii pobladła. — Sądzę jednak, że chętniej zjem następny posiłek na stałym lądzie. Dlatego też pożegnamy się teraz, kapitanie. To była bardzo przyjemna podróż.

Podczas gdy na obliczu kapitana ulga wciąż walczyła ze zmieszaniem, Mat podniósł swe rzeczy z pokładu i podpierając się pałką jak kosturem, wraz z Thomem powędrował do trapu. Mania towarzyszył im do krawędzi pomostu, mrużąc pod nosem słowa żalu, że już opuszczają statek, tonem który balansował między prawdziwym smutkiem i kompletną nieszczerością. Mat był pewien, że tamten zły był, iż traci szansę na to, by wkraść się w łaski Wysokiego Lorda Samona, dzięki poznaniu szczegółów paktu między Andorem i Tar Valon.

Kiedy Mat wraz z bardem przepychali się przez tłumy, Thom wymruczał:

— Wiem, że niezbyt dawało się lubić naszego kapitana, dlaczego jednak tak się z niego naigrawać? Nie wystarczyło ci, że zjadłeś wszystkie zapasy, jakie miały mu starczyć aż do Łzy?

— Przez ostatnie dwa dni nie zjadałem wszystkiego.



Pewnego ranka, ku jego wielkiej uldze, głód zwyczajnie zniknął. Było to tak, jakby na koniec wydostał się wreszcie spod resztek wpływu Tar Valon.

— Większość wyrzucałem przez burtę, a cała trudność polegała na tym, żeby nikt tego nie widział.

Kiedy mówił to teraz, pośród tych wszystkich wymizerowanych twarzy, z których wiele należało do dzieci, nie wydawało się to już takie śmieszne.

— Mallia sam się prosił, by go ukarać. Pomyśl o tym statku, który widzieliśmy wczoraj. O tym, który zapewne utknął na mieliźnie.

Przed sobą zobaczył kobietę z długimi, czarnymi włosami spadającymi na twarz — która mogłaby być piękna, gdyby nie wyglądała na śmiertelnie zmęczoną — wpatrywała się w twarz każdego przechodzącego mężczyzny, jakby kogoś szukała, obok niej stał nieduży chłopiec i dwie mniejsze jeszcze od niego dziewczynki. Wczepione w jej suknie, płakały rzewnymi łzami.

— Całe to gadanie o rzecznych rozbójnikach i pułapkach. Dla mnie to wcale nie wyglądało na zasadzkę.

Thom wyminął wóz z wysokimi kołami — na stosie przykrytych płótnem bazy przytroczono klatkę z dwoma kwiczącymi świniami — i niemalże przewrócił się, potknąwszy o sanie ciągnięte przez kobietę i mężczyznę.

— Ty natomiast zawsze zbaczasz z drogi, aby pomóc ludziom, nieprawdaż? Dziwne tylko, że jakoś umknęło to mojej uwagi.

— Pomagam każdemu, kto może zapłacić — twardo oznajmił Mat. — Tylko głupcy z opowieści bardów robią coś za darmo.

Dwie dziewczynki łkały z twarzami wtulonymi w suknie matki, natomiast chłopiec, choć z trudem, powstrzymywał jednak łzy. Głęboko osadzone oczy kobiety na chwilę objęły sylwetkę Mata, badawcze spojrzenie przesunęło się po jego twarzy, potem pomknęło dalej, wyglądało to tak, jakby ona również miała się zaraz rozpłakać. Nie zastanawiając się, wyciągnął z kieszeni garść luźnych monet i nie patrząc na ich wartość, wcisnął je w dłoń kobiety. Wzdrygnęła się zaskoczona, spojrzała na złoto i srebro w swej ręce z wyrazem zdumienia, które szybko zmieniło się w uśmiech, potem otworzyła usta, a łzy wdzięczności wypełniły jej oczy.

— Kup im coś do zjedzenia — powiedział szybko i pośpieszył dalej, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Zdał sobie sprawę, że Thom patrzy na niego. — Na co się gapisz? Monety zawsze mogę łatwo zdobyć, dopóki znajdę kogoś, kto lubi grać w kości.

Thom wolno pokiwał głową, ale Mat nie był pewien czy tamten rzeczywiście wszystko zrozumiał.

„Płacz przeklętych dzieciaków drażni moje nerwy, to wszystko. Głupi bardzo pewnie się teraz spodziewa, że będę rozdawał złoto każdej sierocie, która się nadarzy. Głupiec!”

Przez chwilę czuł się nieswojo, niepewny, czy ostatnie słowo odnosi się do Thoma czy do niego samego.

Wziął się w garść i odtąd unikał zatrzymywania wzroku na twarzach ludzi tak długo, by je naprawdę dostrzegać, do czasu gdy, przy wejściu do doków, nie wypatrzył tej, na której mu naprawdę zależało. Żołnierz bez hełmu, w czerwonym kaftanie i napierśniku, na pierwszy rzut oka posiwiały dowódca oddziału, człowiek przyzwyczajony do rozkazywania innym. Ustawiony bokiem do zachodzącego słońca, do złudzenia przypominał Uno, choć oczywiście miał oboje oczu. Wyglądał na równie zmęczonego, jak ludzie których poganiał.

— Nie możecie zostać tutaj. Przechodzić. Wyoście się do miasta.

Mat zatrzymał się zdecydowanie przed żołnierzem i przywołał uśmiech na twarz.

— Przepraszam, że przeszkadzam, kapitanie, ale czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę jakąś przyzwoitą gospodę? I stajnię, w której mógłbym kupić konie. Następnego ranka czeka nas długa droga.

Żołnierz zmierzył go wzrokiem go od stóp do głów, potem spojrzał na Thoma, zwracając uwagę na płaszcz barda, na koniec ponownie zwrócił spojrzenie na Mata.

— Kapitanie, powiadasz? Cóż, chłopcze, sam Czarny musiałby sprzyjać twe-  
mu szczęściu, żebyś znalazł stajnię, w której mógłbyś się wyspać. Większość tych  
ludzi śpi pod płotem. A jeśli znajdziesz konia, którego jeszcze nie zarżnięto na  
mięso, zapewne będziesz musiał walczyć z jego właścicielem, aby ci go sprzedał.

— Jeść końskie mięso! — wymamrotał Thom z niesmakiem. — Czy naprawdę  
na tym brzegu rzeki jest aż tak źle? Czy Królowa nie wysyła żywności?

— Jest źle, bardzo. — Żołnierz powiedział to tak, jakby chciał splunąć. —  
Przekraczają rzekę szybciej niż młyny nadająają mlec mąkę, a wozy dowozić żyw-  
ność z farm. Cóż, długo to nie potrwa. Przyszły odpowiednie rozkazy. Od jutra  
nikomu nie pozwalamy przekraczać rzeki, a jeśli spróbują, będziemy wysyłać ich  
z powrotem.

Rzucił chmurne spojrzenie na tłum kłębiący się na nabrzeżach, potem zwrócił  
je na Mata.

— Blokujesz ruch, podróżniku. Przechodź dalej.

Jego głos ponownie zamienił się w krzyk skierowany do wszystkich, którzy  
pozostawali w jego zasięgu.

— Przechodzić! Nie możecie zostać tutaj! Przechodzić!

Mat i Thom przyłączyli się do wąskiego strumyka ludzi, pojazdów i sań, pły-  
nącego ku bramom miejskich murów, a dalej do Aringill.

Główne ulice wybrukowane były płaskim, szarym kamieniem, jednak ludzi  
było tyle, że nie można było dostrzec co znajduje się pod własnymi stopami.  
Większość zdawała się poruszać bez żadnego celu, nie mając dokąd pójść, a ci,  
którzy już zrezygnowali, przykucnęli przygnębieni w rynsztokach; szczęśliwcy

położyli przed sobą tobołki z dobytkiem lub kurczowo ściskali cenne niegdyś rzeczy w swych ramionach. Mat dostrzegł trzech mężczyzn trzymających zegary i kilkunastu innych ze srebrnymi kielichami lub talerzami. Kobiety głównie tuliły do piersi dzieci. Powietrze wypełniał jednostajny szum, niski, nieartykułowany pomruk strapienia. Przeciskał się przez tłum, a grymas nie opuszczał jego twarzy. Szukał godła oznaczającego gospodę. Oglądał budynki najrozmaitszych rodzajów, drewniane, kamienne i ceglane, przyciśnięte do siebie, z dachami krytymi dachówką, łupkiem czy strzechą.

— To nie pasuje do Morgase — powiedział po chwili Thom, na poły do siebie. Jego krzaczaste brwi były ściągnięte, przypominając ostrze strzały celujące w nos.

— Co nie pasuje do niej? — zapytał Mat nieobecny tonem.

— Zakaz przeprawy. Odsyłanie ludzi z powrotem. Zawsze miała temperament jak błyskawica, ale towarzyszyło temu miękkie serce dla wszystkich nieszczęśliwych i głodnych. — Potrzęsnał głową.

Mat na koniec dostrzegł godło — „Wodniak”, głosił napis, a rysunek przedstawiał tańczącego, nagiego do pasa, bosego mężczyznę — i natychmiast skrzył w jego kierunku, pałką torując sobie drogę poprzez tłum.

— Cóż, to musiała być ona. Któż by inny? Zapomnij o Morgase, Thom. Przed nami jeszcze długa droga do Caemlyn. Najpierw zorientujmy się, ile złota kosztuje łóżko na noc.

Wspólna sala „Wodniaka” wyglądała na równie zatłoczoną, co ulica na zewnątrz, a kiedy gospodarz usłyszał, czego Mat sobie życzy, śmiał się tak, że aż trzęsły mu się policzki.

— W tej chwili w każdym łóżku sypia po czterech ludzi. Gdyby nawet odwiedziła mnie moja matka, nie mógłbym jej zaoferować choćby koca przy kominku.

— Jak zapewne musiałeś zauważyć — powiedział Thom tym szczególnym tonem głosu, który zdawał się rozbrzmiewać echem — jestem bardem. Z pewnością znajdzie się jakiś siennik w kącie w zamian za zabawianie twych gości opowieściami, zonglerką i połykaniem ognia.

Karczmarz zaśmiał mu się w nos.

Kiedy Mat wyciągnął go z powrotem na ulicę, Thom warknął na niego normalnym już głosem:

— Nie dałeś mi nawet szansy, bym zapytał o stajnię. Z pewnością udałoby mi się uzyskać miejsce na stryszku na siano.

— Spałem już w wielu stajniach i stodołach, od czasu opuszczenia Pola Emonda — oznajmił Mat — mam już również dosyć krzaków. Chcę mieć łóżko.

Ale w kolejnych czterech gospodach do jakich dotarli, reakcje karczmarzy były identyczne jak za pierwszym razem; dwaj ostatni niemalże wyrzucili go siłą za drzwi, gdy zaproponował, że może zagrać w kości o łóżko. A kiedy za piątym razem właściciel powiedział mu, że nie dałby siennika samej Królowej — miejsce to nazywało się „Dobra Królowa” — westchnął i zapytał:

— A co z twoją stajnią? Z pewnością za opłatą moglibyśmy się przespać na stryszku na siano.

— Moja stajnia jest dla koni — odparował mężczyzna o okrągłej twarzy — nie tak wiele już zostało w mieście.

Przez cały czas polerował srebrny kubek, teraz otworzył jedno skrzydło drzwiczek płytkiego kredensu, stojącego na szczycie głębokiego, porysowanego kufra i umieścił go obok innych; kubki nie tworzyły kompletu. Kubek do kości z tłoczonych skóry stał na samym szczycie kufra tuż za łukiem drzwi kredensu.

— Nie wpuszczam ludzi do środka, żeby mi nie straszili koni, i żeby nie zachciało im się czasem zniknąć z nimi. Ci, którzy płacą mi za przechowywanie koni, chcą aby się nimi dobrze opiekować. Poza tym znajdują się tam dwa moje. W mojej stajni nie ma dla was miejsca.

Mat z uwagą przyjrzał się kubkowi do kości. Wyciągnął z kieszeni złotą koronę andorańską i położył na wieku kufra. Następną monetą, na którą trafiła jego dłoń, okazała się srebrna marka z Tar Valon, potem złota i wreszcie złota korona tairańska. Karczmarz patrzył na monety, oblizując pełne usta. Mat uzupełnił leżący przed nim stos o dwie srebrne marki illiańskie i kolejną złotą koronę andorańską, i spojrzał w okrągłą twarz tamtego. Karczmarz zawahał się. Mat sięgnął po monety. Dłoń karczmarza była szybsza.

— Przypuszczam, że wy dwaj nie będziecie zanadto przeszkadzać koniom.

Mat uśmiechnął się do niego.

— Jeśli już mówimy o koniach, ile chciałbyś za te dwa twoje? Z siodłami i uprzężą, ma się rozumieć.

— Nie sprzedam moich koni — powiedział tłusciuch, przyciskając monety do piersi.

Mat wziął kości i zagrzechotał nimi.

— Dwa razy tyle co przed chwilą, przeciwko twoim koniom, siodłom i uprzęży.

Aby dowieść, że stać go na pokrycie stawki, potrząsnął kieszenią płaszcza, zabrzęczały znajdujące się w niej luźne monety.

— Jeden mój rzut przeciwko najlepszemu z dwóch twoich.

Niemalże zaśmiał się, gdy chciwość rozświetliła twarz karczmarza.

Kiedy później wszedł do stajni, pierwszą rzeczą jaką zrobił, było odnalezienie pośród pół tuzina boksów z końmi pary kasztanowatych wałachów. Zobaczył dwa stworzenia o nieokreślonym zupełnie charakterze, które teraz należały do niego. Koniecznie potrzebowały zgrzebła, lecz poza tym ich stan był niezły, szczególnie wobec faktu, że wszyscy stajenni prócz jednego porzucili ostatnio pracę. Karczmarz był po prostu zupełnie obojętny na ich skargi dotyczące zbyt niskiej zapłaty, za którą nie mogli nawet przeżyć, a nadto zdawał się uważać za zbrodnię to, iż ostatni stajenny ośmiela się iść do domu, by położyć się do łóżka, ponieważ zmęczony jest pracą przeznaczoną dla trzech ludzi.

— Pięć szóstek — zamruczał z tyłu Thom. W spojrzeniach jakimi obrzucał stajnię nie było widać szczególnego entuzjazmu, choć przecież to on pierwszy wpadł na ten pomysł. Drobiny kurzu połyskiwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, wpadających przez wielkie drzwi, a liny służące do wciągania na górę bel siana zwisały niczym winorośle z bloków, zamocowanych w belkach pod stropem. Strych na siano niknął w mroku zalegającym pod dachem.

— Kiedy on za drugim razem wyrzucił cztery szóstki i piątkę, pomyślał, że nie masz już szans na wygraną, podobnie zresztą jak ja. Ostatnimi czasy nie wygrywałeś już każdego rzutu.

— Wygrałem dosyć.

Mat również z ulgą powitał fakt, że przestał za każdym razem wygrywać. Szczęście to jedna rzecz, ale na myśl o tamtej nocy wciąż dostawał gęsiej skórki. Jednakże, kiedy tylko zagrzechotał kośćmi w kubku, wiedział już, jaki uzyska wynik. Wrzucił swoją pałkę na stryszek, w tym samym momencie niebo przeszył łomot grzmotu. Potem wgramolił się po drabinie i przez ramię zawołał do Thoma:

— To był dobry pomysł. Pomyślałem sobie, że będziesz zadowolony, mogąc spędzić tę noc pod dachem.

Większa część siana została powiązana w bele, oparte o ściany stajni, na podłodze pozostało go jednak wystarczająco, by można było sporządzić sobie wygodne posłanie, na wierzch kładąc płaszcz. Głowa Thoma ukazała się na szczycie drabiny. Niósł ze sobą, wyciągnięte ze skórzanego zawiniątka, dwa bochenki chleba i trójkąt poznaczonego zielonymi żyłkami sera. Karczmarz — nazywał się Jeral Florry — podzielił się z nimi swym jedzeniem za sumę, która w lepszych czasach wystarczyłaby do kupienia jednego z tych koni. Gdy jedli, popijając strawę wodą z manierek — Florry nie dysponował winem, niezależnie od ceny, jaką za nie oferowali — o dach zaczęły bębnić pierwsze, ciężkie krople deszczu. Kiedy już skończyli się posilać, Thom wyciągnął krzesiwo oraz hubkę, nabił swoją fajkę o długim cybuchu, rozparł się wygodnie i zapalił.

Mat leżał na plecach, obserwując cienie pod sufitem i zastanawiał się czy deszcz ustanie do świtu — chciał się pozbyć tego listu tak szybko, jak to tylko będzie możliwe kiedy na dole, w stajni, posłyszał skrzypienie osi. Potoczył się na skraj stryszku i spojrzął w dół. Było jeszcze dość światła, by mógł dostrzec, co się dzieje.

Szczupła kobieta prostowała się nad dyszlem wózka z wysokimi kołami, który przed chwilą wprowadziła do środka. Mruczała coś do siebie, strząsając wodę z płaszcza. Włosy miała zaplecione w mnóstwo cienkich warkoczyków, a jej jedwabną suknię — w półmroku osądził, że ma kolor bladej zieleni — zdobił na gorsie skomplikowany haft. Suknia była przednia, przynajmniej niegdyś, teraz bowiem była poszarpana i brudna. Kobieta rozartała zeszywniałe plecy, wciąż mrucząc coś cicho do siebie i pośpiesznie zawróciła do drzwi stajni, aby wyrzec na zewnątrz. Równie gwałtownie wychyliła się, przyciągnęła wrota, zamknęła je

i wewnątrz pograżyło się w mroku. Na dole coś zaszeleściło, rozległ się trzask i syk, i nagle mały rozbłysk światła rozjaśnił latarnię w jej dłoniach. Rozejrzała się dookoła, spostrzegła hak na słupie rozdzielającym boksy, powiesiła latarnię i zaczęła szukać czegoś pod przymocowanym linami płótnem, pokrywającym jej wózek.

— Szybko się uwinęła — powiedział cicho Thom, nie wyjmując fajki z ust. — Mogła zaproszyć ogień w stajni, uderzając żelazo i krzemień w ciemnościach.

Kobieta tymczasem wyciągnęła z wozu bochenek chleba, który natychmiast zaczęła przeżuwać w taki sposób, jakby był twardy, ale głód nie pozwalał jej się tym przejmować.

— Czy zostało nam jeszcze trochę tego sera? — wyszeptał Mat. Thom potrząsnął głową.

Kobieta zaczęła wciągać powietrze nosem i Mat zrozumiał, że prawdopodobnie poczuła dym z fajki Thoma. Miał właśnie wstać i dać jej znać o swej obecności, gdy drzwi stajni otworzyły się ponownie.

Kobieta skuliła się, gotowa do ucieczki, a z deszczu weszło do środka czterech mężczyzn, zdejmując mokre płaszcze. Pod płaszcami mieli białe kaftany z szerokimi rękawami, haftowane na piersiach oraz luźne spodnie, również pokryte haftem. Wszyscy byli potężnie zbudowani, a twarze mieli ponure.

— Cóż więc, Aludra — powiedział człowiek w żółtym kaftanie — nie uciekałaś tak szybko jak ci się zdawało, he?

W uszach Mata jego akcent brzmiał obco.

— Tammuz — kobieta wyrzekła to imię jak przekleństwo. — Nie wystarczyło ci, że doprowadziłeś do wyrzucenia mnie z Guildii, ty paskudzie, ty woli mózgu, ty... ale jeszcze musisz mnie ścigać. — Mówiła w taki sam dziwny sposób jak tamten mężczyzna. — Czy myślisz, że twój widok sprawia mi przyjemność?

Ten, którego nazwano Tammuzem, zaśmiał się.

— Jesteś bardzo wielkim głupcem, Aludra, ale od dawna już o tym wiedziałem. Gdybyś zwyczajnie odjechała, to mogłabyś żyć później spokojnie, w jakimś cichym miejscu. Ale nie możesz zapomnieć tajemnic, które masz w głowie, he? Sądzisz, że nie słyszeliśmy, iż próbowałaś zarobić na swojej podróży, robiąc rzeczy, na które pozwolenie pozostaje wyłącznie w gestii samej Guildii? — Nagle w jego dłoni pojawił się nóż. — Z wielką przyjemnością poderżnę ci gardło, Aludra.

Mat nie spostrzegł nawet, a już stał, trzymając w dłoniach jedną z podwójnych lin zwisających z sufitu. Skoczył na dół.

„Niech szczenę, cholerny głupiec!”

Starczyło mu czasu tylko na tę jedną myśl, która z szalonym pośpiechem przemknęła przez jego głowę, a już wpadł na mężczyzn w płaszcach, roztrącając ich niczym kręgle. Liny wyślizgnęły się z jego dłoni, upadł, i sam również potoczył się po zasłanej słomą podłodze, monety wysypały się z brzękiem z kieszeni. Zatrzymał się dopiero pod ścianą. Kiedy gramolił się niezdarnie, czterej mężczyźni już się również podnosili. Ale teraz wszyscy trzymali w dłoniach noże.

„Światłością oślepiiony głupiec! Niech szczeżnę! Niech szczeżnę!”

— Mat!

Spojrzał w górę, a Thom rzucił mu jego pałkę. Złapał ją w locie, w samą porę, aby wybić ostrze z dłoni Tammuza i zdzielić go mocnym ciosem w skroń. Mężczyzna upadł, ale pozostali następowali tuż za nim i przez krótki moment gorączkowych wysiłków, Mat kręcił jak mógł wirującą pałką, aby utrzymać ich ostrza z dala od swego ciała, uderzając ich po kolanach, kostkach i żebrach, nim mógł wreszcie wymierzyć dobry cios w głowę. Gdy ostatni przeciwnik upadł, wpatrywał się przez chwilę w całą czwórkę, potem podniósł wzrok na kobietę.

— Czy wybrałaś tę stajnię na miejsce swej śmierci?

Wsunęła sztylet z cienkim ostrzem do pochwy przy pasie.

— Pomogłabym ci, ale bałam się, że jeżeli podejde bliżej z żelazem w dłoni, to możesz pomylić mnie z jednym z tych wielkich błaznów. A wybrałam tę stajnię dlatego, że pada deszcz i zmokłam, a nikt jej nie strzegł.

Była starsza, niż mu się pierwotnie zdało, miała przynajmniej dziesięć lub piętnaście lat więcej od niego, ale wciąż była przystojna, z wielkimi, ciemnymi oczami i małymi ustami, które wydawały się odrobinę nadaśane.

„Albo chętne do pocałunku.”

Roześmiał się krótko i wsparł na pałce.

— Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Przypuszczam, że nie będziesz nam sprawiać kłopotów?

Thom zszedł ze stryszku, niezgrabnie ze względu na swą nogę. Aludra popatrywała to na niego, to na Mata. Bard z powrotem założył swój płaszcz, rzadko pokazywał się bez niego obcym, szczególnie przy pierwszym spotkaniu.

— To jest jak w opowieści — powiedziała ona. — Zostałam uratowana przez barda i młodego bohatera.

Zmarszczyła brwi, obejmując wzrokiem mężczyzn rozciągniętych na podłodze.

— Z rąk tych, którzy mieli świnie za matki!

— Dlaczego chcieli cię zabić? — zapytał Mat. — On mówił coś o jakichś tajemnicach.

Tajemnice — odrzekł Thom tonem bardzo zbliżonym do tego, jakim przemawiał na scenie wyrobu fajerwerków, jeśli się nie mylę. Jesteś Iluminatorem, nieprawdaż?

Skłonił się dwornie, w wyuczony sposób zamiatając podłogę połą swego płaszcza.

— Ja jestem Thom Merrillin, bard, jak to zapewne już dostrzegłaś. — Jakby po krótkim namyśle, dodał: — A to jest Mat, młody człowiek obdarzony darem pakowania się w kłopoty.

— Byłam Iluminatorem — powiedziała sztywno Aludra — ale ten wielki łotr, Tammuz, zrujnował przedstawienie dla króla Cairhien, przy okazji omal nie niszczyłam go.

cząc również kapitularka. Ale to ja byłam Mistrzynią Kapitularka, mnie więc Guilda uczyniła odpowiedzialną.

W jej głosie zabrzmiały defensywne tony.

— Nie zdradziłam sekretów Guildy, niezależnie od tego co mówił Tammuz, ale nie umrę z głodu, ponieważ umiem robić fajerwerki. Nie jestem już członkinią Guildii, dlatego też jej prawa już się do mnie nie odnoszą.

— Galldrian — zauważył Thom, takim samym głuchym tonem jak ona. — Cóż, teraz już jest martwym królem i nie zobaczy więcej żadnych fajerwerków.

— Guilda — w jej głosie pobrzmiwało zmęczenie prawie obwiniła mnie o całą wojnę w Cairhien, jakby to przez tę jedną, katastrofalną noc Galldrian umarł.

Thom skrzywił się, ona zaś ciągnęła dalej:

— Wygląda na to, że dłużej nie mogę już tu zostać. Tammuz i te pozostałe łobuzy wkrótce odzyskają przytomność. Przymuszczałnie tym razem powiedzą żołnierzom, że ukradłam swoje własne dzieło. — Spojrzała na Thoma, potem na Mata, zmarszczyła brwi w namyśle i w końcu podjęła decyzję. — Muszę was wynagrodzić, ale nie mam pieniędzy. Jednakże posiadam coś, co zapewne jest równie cenne jak złoto. A być może nawet bardziej. Zobaczymy, co na to powiecie.

Kiedy zaczęła szperać pod plandeką pokrywającą jej wóz, Mat i Thom wymienili spojrzenia.

„Pomogę każdemu, kto będzie mógł zapłacić.”

Zdało mu się, że w oczach Thoma zobaczył iskierkę namysłu.

Aludra wyciągnęła jeden tobolek ze sporej sterty podobnych — krótki zwój z mocnej, naoliwionej tkaniny, tak gruby, że prawie nie mogła go objąć ramionami. Postawiła go na słomie, rozwiązała sznurki, rozwinęła materię na klepisku. Na całej jej długości znajdowały się cztery rzędy kieszeni, w każdym kolejnym szeregu kieszenie były większe niż w poprzednim. Każda kieszeń zawierała pokryty woskiem papierowy cylinder opatrzony ciemnym lontem, o średnicy dokładnie odpowiadającej jej rozmiarom.

— Fajerwerki — powiedział Thom. — Wiedziałem. Aludra, nie wolno ci tego robić. Możesz je sprzedać i potem za zarobione pieniądze żyć w dobrej gospodzie co najmniej przez dziesięć dni, jedząc każdego dnia. Cóż, wszędzie, tylko nie tutaj, w Aringill.

Wciąż klęcząc przy naoliwionej tkaninie, parsknęła na niego.

— Bądź cicho, ty starcze. — Powiedziała to jednak w taki sposób, że słowa nie brzmiały obraźliwie. — Nie wolno mi okazać wdzięczności? Sądzisz, że dałabym ci te, gdybym nie miała więcej na sprzedaż? Słuchajcie mnie uważnie.

Mat, zafascynowany, przykucnął obok niej. Tylko dwa razy w swoim życiu widział fajerwerki. Handlarze przywozili je do Pola Emonda, za wysoką cenę sprowadzała je Rada Wioski. Kiedy miał dziesięć lat, spróbował rozciąć jeden, aby zobaczyć co jest w środku i wywołał tym spore zamieszanie. Bran al'Vere nieźle



go wówczas wytarosił; Doral Banan, która była wówczas Wiedzącą, sprąła go różgą, natomiast jego ojciec zafundował mu w domu pasy. Oprócz Randa i Perrina, w wiosce nikt się do niego nie odzywał przez następny miesiąc, a i oni przez dłuższy czas mówili mu, jakim okazał się głupcem. Wyciągnął rękę, aby dotknąć jednego z cylindrów. Aludra dała mu po łapach.

— Słuchajcie mnie, powiedziałam! Te najmniejsze zrobią głośny huk, ale nic więcej. — Miały rozmiar małego palca. — Te obok, robią huk i dają jasny rozbłysk. Kolejne, huk, światło i mnogie skry. Ostatnie — były grubsze od jego kciuka — wszystko to, co tamte, z tym, że iskry będą różnokolorowe. Prawie jak w przypadku kwiatu nocy, jednak, oczywiście, nie rozwiną się, jak on, na niebie.

„Kwiat nocy?” — zastanowił się Mat.

— Z tymi musisz szczególnie uważać. Widzisz, lont jest bardzo długi. — Dostrzegła jego puste spojrzenie i pomachała w jego stronę jednym z długich, czarnych sznurków. — To, to!

— Tam przykłada się ogień — wymamrotał. — Wiem o tym.

Thom zmełł w ustach jakieś słowo i szarpnął węża, jakby tłumiąc uśmiech.

Aludra chrząknęła.

— Tam właśnie przykładasz ogień. Tak. Nie powinieneś stać zbyt blisko żadnego z nich, ale jeżeli chodzi o te największe, to uciekaj, gdy tylko podpalisz lont. Rozumiesz mnie? — Szybko zwinęła długie płótno. — Możesz je sprzedać, albo wykorzystać, jak chcesz. Pamiętaj, nigdy nie wolno ci kłaść ich blisko ognia. Ogień spowoduje, że wszystkie wybuchną. Jest ich dość dużo, żeby mogły zniszczyć dom.

Związując sznurki zawahała się na moment i dodała:

— A teraz ostatnia rzecz, jaką może powinieneś usłyszeć. Nie rozcinaj przypadkiem żadnego z nich, jak to niekiedy czynią głupcy, którzy chcą się dowiedzieć, co jest w środku. Czasami zawartość może eksplodować pod wpływem kontaktu z powietrzem, nie trzeba do tego nawet ognia. Możesz stracić palce, a nawet dłoń.

— Słyszałem o tym — powiedział sucho Mat.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi, jakby zastanawiała się, czy mimo wszystko nie ma zamiaru tego zrobić, na koniec popchnęła w jego stronę zrolowany tobołek.

— Masz. Teraz muszę już ruszać, zanim te koźle syny dojdą do siebie. — Spojrzała na wciąż otwarte drzwi, na deszcz zlewający noc na zewnątrz i westchnęła. — Może znajdę jeszcze jakieś suche miejsce. Myślę, że jutro ruszę w kierunku Lugardu. Ci głupcy będą się spodziewali, że pojechałam do Caemlyn, nieprawdaż?

Do Lugardu było o wiele dalej niż do Caemlyn, a Mat przypomniał sobie nagle tę twardą kromkę chleba. I to, że powiedziała, iż nie ma pieniędzy. Za fajerwerki nie kupi sobie nic do jedzenia, dopóki nie znajdzie kogoś, kto zechce je nabyć.

Nawet nie spojrzała na złoto i srebro, które wysypały się z jego kieszeni, kiedy upadł; w świetle lampy lśniło i iskrzyło się pośród rozrzuconej słomy.

„Och, Światłości, nie mogę pozwolić, by jechała głodna.”

Zebrał tyle, ile udało mu się szybko osiągnąć.

— Hej... Aludra? Mam tego mnóstwo, sama widzisz. Pomyślałem, że może... — Wyciągnął monety w jej stronę. — Zawsze mogę wygrać więcej.

Zastygła, z płaszczem na poły zarzuconym na ramiona, po chwili uśmiechnęła się do Thoma i dokończyła się ubierać.

— On jest jeszcze młody, co?

— Jest młody — zgodził się Thom. — I nawet w połowie nie taki zły, jak sam o sobie myśli. Czasami przynajmniej.

Mat, zarumieniony, wpatrywał się w nich po kolei, następnie opuścił rękę.

Aludra podniosła dyszel wózka, zawróciła go i ruszyła w kierunku drzwi; przechodząc kopnęła jeszcze Tammuza w żebra. Jęknął nieprzytomnie.

— Chciałbym jeszcze czegoś się dowiedzieć, Aludra powiedział Thom. — W jaki sposób udało ci się tak szybko zapalić tę lampę w zupełnych ciemnościach?

Zatrzymała się blisko drzwi, uśmiechnęła się do niego przez ramię.

— Chciałbyś, żebym zdradziła ci wszystkie swoje sekrety? Jestem wdzięczna, ale przecież nie zakochałam się w tobie. O tej tajemnicy nie wie nawet Guilda, ponieważ sama ją odkryłam. Powiem ci tylko tyle. Kiedy będę wiedziała, w jaki sposób sprawić, by ta sztuczka działała właściwie, zawsze, kiedy tylko zechcę, te patyczki przyniosą mi fortunę.

Naparła z całych sił na dyszel, wypchnęła wóz na deszcz i zniknęła w nocy.

— Patyczki? — zapytał Mat. Zastanawiał się, czy ona przypadkiem nie ma trochę źle poukładane w głowie. Tammuz jęknął ponownie.

— Lepiej zróbmy to samo, chłopcze — powiedział Thom. — W przeciwnym razie będziemy musieli wybierać pomiędzy podejrzeniem czterech gardeł, a możliwością spędzenia następnych kilku dni na wyjaśnianiu wszystkiego Gwardii Królowej. Ci ludzie wyglądają na takich, którzy nie darują nam urazy. A jak mniemam, mają się na nas o co złościć.

Jeden z towarzyszy Tammuza drgnął, jakby dochodził do siebie i wymamrotał coś niezrozumiale.

Zebrał swój dobytek i osiodłali konie, w tym czasie Tammuz zdołał stanąć na czworakach, głowę miał jednak opuszczoną, pozostali również zaczęli się podnosić wśród jęków.

Wskakując na siodło, Mat zagapił się na strugi deszczu w otwartych drzwiach, padało mocniej niż przedtem.

— Przeklęty bohater — powiedział. — Thom, jeżeli kiedykolwiek jeszcze będę chciał odgrywać bohatera, kopnij mnie.

— Czy wówczas postąpisz inaczej?

Mat spojrział na niego spode łba, naciągnął kaptur, a potem nasunął poły płaszcza tak, żeby przykrywały gruby rulon przytroczony za wysokim łękiem jego siodła. Mimo iż płótno było nasączone oliwą, trochę dodatkowej ochrony przed deszczem nie zaszkodzi.

— Po prostu kopnij mnie!

Wbił swemu rumakowi pięty w boki i pognął w deszczową noc.

## PRZYSIĘGA MYŚLIWEGO

Kiedy „Śnieżna Gęś” płynęła w kierunku długich kamiennych doków Illian, ze zwiniętymi żaglami, napędzana jedynie wiosłami, Perrin stał blisko steru, obserwując mrowie długonogich ptaków, kroczących w wysokich, bagiennych trawach, które niemalże całkowicie skrywały brzegi wielkiej zatoki. Rozpoznał małe, białe żurawie oraz podejrzewał, że większe, niebieskie ptaki, są ich niebieskimi braćmi, ale wielu czubatych gatunków — z piórami czerwonymi lub różowymi, niektóre z płaskimi dziobami, szerszymi niżli u kaczki — nie zdarzyło mu się dotąd widzieć. Kilkanaście gatunków mew wznosiło się w górę i pikowało ponad zatoką, czarne ptaszysko z długim, ostrym dziobem przemknęło tuż nad wodą, a dolna część jego dzioba żłobiła w jej powierzchni bruzdę. Statki trzy- i czterokrotnie większe od „Śnieżnej Gęsi” stały zakotwiczone na całym obszarze zatoki, czekając na możliwość wejścia do doków, albo na przyptyw, który zmieni kierunek prądu, dzięki czemu będą mogły wypłynąć poza długi falochron. Małe łodzie rybackie pływały w pobliżu moczarów oraz po wijących się przez nie strumieniach, na każdej dwóch, trzech ludzi wyciągało sieci na żerdziach sterczących z każdej burty.

Wiatr niósł ostry zapach soli i w niewielkim tylko stopniu rozpraszał panujący upał. Słońce stało już w połowie swej drogi za horyzont, ale wciąż było ciepło niczym w samo południe. Powietrze było wilgocią, to był jedyny sposób, w jaki potrafił o nim myśleć. Wilgoć. Jego nozdrza pochwyciły zapach świeżej ryby, dobiegający z łodzi, zepsutej ryby i błota z bagien, oraz kwaśny odór wielkiej garbarni, która położona była na pozbawionej drzew wyspie, porośniętej bagienną trawą.

Z tyłu kapitan Adarra mruknął coś cicho, rumpel zaskrzypiał i „Śnieżna Gęś” odrobinę zmieniła kurs. Bosi marynarze przy wiosłach sterowym pracowali tak cicho, jakby nie chcieli wydać żadnego odgłosu. Perrin nie patrzył na nich, tylko kątem oka łowił drobne poruszenia.

Zamiast na nich, patrzył na garbarnię, obserwował jak jedni skrobą skóry, rozpięte na drewnianych ramach, podczas gdy inni długimi kijami wyciągają je z wielkich, wpuszczonych w ziemię kadzi. Niekiedy układali skóry na taczkach, które pchali do długich, niskich budynków na końcu placu, czasami zaś skóry

wracały do kadzi razem z płynami wlewanymi z wielkich, kamiennych garnców. Przypuszczalnie w ciągu jednego dnia produkowano tu więcej skór, niżli w Polu Emonda przez miesiące, a przecież na kolejnej wyspie, wyłaniającej się zza tej pierwszej mógł dostrzec następną garbarnię.

Nie chodziło o to, że szczególnie interesowały go statki, łodzie rybackie, garbarnie, czy nawet ptaki — choć zastanawiało go przecież, co też mogą łowić te bladoczerwone stworzenia z płaskimi dziobami, zaś pozostałe wyglądały, jakby ich mięso mogło być nawet smaczne — ale wszystko było lepsze od obserwowania sceny, która rozgrywała się za jego plecami, na pokładzie „Śnieżnej Gęsi”. W jej obliczu nawet topór, który wisiał przy jego pasie, budził poczucie bezpieczeństwa.

„Mury z kamienia nic by przeciw temu nie pomogły” — pomyślał.

Moiraine nie była ani zadowolona, ani szczególnie zmartwiona, gdy okazało się, że Zarine — „Nie będę myślał o niej jako o Faile, bez względu na to, jak sama chciałaby się nazywać! Nie jest żadnym sokołem!” — zdaje sobie sprawę, iż ona jest Aes Sedai, choć być może była nieco zła na niego, że jej nie powiedział.

„Trochę zła. Nazwała mnie głupcem i to było wszystko. Cóż.”

Moiraine zdawała się nie dbać w żaden sposób o to, że Zarine była Myśliwym polującym na Róg. Ale kiedy się dowiedziała, że dziewczyna sądzi, iż zaprowadzą ją do Rogu, kiedy dowiedziała się, że on wiedział o tym i nie poinformował jej — jak na jego gust, w obu kwestiach Zarine w stosunku do Moiraine zachowała się nazbyt bezpośrednio — wtedy jej zimne, niebieskie oczy spojrzały na niego w taki sposób, że poczuł się jak zamknięty w beczce pełnej śniegu w samym środku zimy. Aes Sedai nie powiedziała nic, ale zbyt często obrzucała go wystarczająco ponurymi spojrzeniami, żeby mógł czuć się spokojnie.

Spojrzał przez ramię i szybko skierował wzrok z powrotem na brzeg. Zarine siedziała ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie, blisko koni spętanych między masztami, obok niej leżał jej tobołek oraz ciemny płaszcz, wąskie, rozcięte suknie były skromnie ściągnięte. Zdawała się jedynie obserwować dachy i wieże zbliżającego się miasta. Moiraine również wpatrywała się w widok Illian, patrząc ponad głowami żeglarzy, pracujących przy wiosłach, ale od czasu do czasu rzucała spod głębokiego kaptura swojego płaszcza z przedniej, szarej wełny, twarde spojrzenia na dziewczynę.

„Jak ona może go nosić w takim upale?”

On sam rozpiął swój kaftan, a koszulę rozsznurował pod szyją.

Zarine na wszystkie spojrzenia Aes Sedai odpowiadała uśmiechem, za każdym razem jednak, gdy Moiraine odwracała się, przełykała ślinę i ocierała pot z czoła.

Perrin czuł dla niej swego rodzaju podziw, że potrafi uśmiechać się, patrząc w oczy Moiraine. On nie mógłby się na coś takiego zdobyć. Nie widział nigdy, by Aes Sedai naprawdę straciła panowanie nad sobą, ale sam niejednokrotnie żało-

wał, że tamta nie krzyczy, nie wścieka się, nie robi czegoś, zamiast tylko patrzeć. „Światłości, tylko niech czegoś nie robi!”

Być może, dawało się jakoś wytrzymać jej spojrzenie.

Lan siedział bliżej dziobu niż Moiraine — jego wielokolorowy płaszcz wciąż spoczywał w tobołku u stóp pozornie zaabsorbowany jedynie sprawdzaniem ostrza miecza, niezbyt starał się ukryć rozbawienie. Czasami jego usta układały się w grymas, który niemalże można by nazwać uśmiechem. Perrin nie umiał rozstrzygnąć, czasami sądził, iż był to jedynie cień. Gra cieni potrafi sprawić, że młot będzie wyglądał, jakby się uśmiechał. Każda z kobiet najwyraźniej sądziła, iż to ona jest przedmiotem rozbawienia, ale Strażnik zdawał się nie przejmować grymasami, zaciśniętymi ustami i marsami na, czołach, jakimi obie go obdarzały.

Kilka dni wcześniej, Perrin usłyszał jak Moiraine zapytała Lana, głosem zimnym niczym lód, czy zobaczył coś śmiesznego.

— Nigdy nie poważyłbym śmiać się z ciebie, Moiraine Sedai — padła spokojna odpowiedź — ale jeżeli naprawdę masz zamiar wysłać mnie do Myrelle, muszę się przyzwyczaić do śmiechu. Słyszałem, że Myrelle opowiada swoim Strażnikom dowcipy. Gaidin muszą się uśmiechać. Ty sama często opowiadałaś mi żarty, że bym się z nich śmiał, nieprawdaż? Być może więc, mimo wszystko lepiej będzie, jak zostanę z tobą.

Rzuciła mu spojrzenie, które każdego innego mężczyznę przygwoździłoby do masztu, ale Strażnik nawet nie mrugnął. W obecności Lana chłodne żelazo wyglądało niczym blaszka.

Kiedy Moiraine i Zarine znajdowały się razem na pokładzie, marynarze chodzili wokół swoich zajęć w całkowitej ciszy. Kapitan Adarra trzymał głowę pochyloną i wyglądał, jakby nasłuchiwał czegoś, czego wcale nie chciał słyszeć. Rozkazy wydawał szeptem, miast krzykiem jak to było z początku. Teraz już każdy wiedział, że Moiraine jest Aes Sedai, wszyscy zdawali sobie również sprawę, iż jest niezadowolona. Pewnego razu Perrin pozwolił sobie wdać się w jedną ze sprzeczek z Zarine i teraz nie był już pewien, kto pierwszy wyrzekł słowa: „Aes Sedai”, w każdym razie wkrótce cała załoga wiedziała.

„Przekłeta kobieta! — Nie umiał zdecydować, czy ma na myśli Moiraine, czy Zarine. — Jeżeli ona jest sokołem, to kto miałby być jastrzębiem? Czy będę zmuszony znosić dwie takie kobiety, jak ona? Światłości! Nie! Ona nie jest sokołem, i koniec!”

Jedyną dobrą rzeczą w całej sprawie było to, że mając na głowie wściekłą Aes Sedai, żaden członek załogi nie patrzył dwa razy w jego oczy.

Loiala nie było nigdzie widać. Kiedy Moiraine i Zarine znajdowały się razem na pokładzie, Ogir pozostawał w swej dusznej kabinie — opracowując notatki, jak oznajmił. Na pokład wychodził tylko nocą, by wypalić fajkę. Perrin nie rozumiał, w jaki sposób tamtemu udaje się wytrzymać upał, nawet towarzystwo Moiraine i Zarine zdawało mu się lepsze niż pozostawanie pod pokładem.

Westchnął i powrócił do obserwacji Illian. Miasto, do którego zbliżała się Łódź, było ogromne — równie wielkie jak Cairhien czy Caemlyn, jedyne dwa większe miasta, które widział w życiu — wzniesiono je pośród ogromnych bagien, rozciągających się na wiele mil niczym równina falujących traw. Illian nie miało żadnych murów obronnych, wyglądało jakby w całości składało się z pałaców i wież. Można było się przekonać, że wszystkie budynki wzniesiono z jasnego kamienia, tylko tam, gdzie biały tynk pokrywał ściany, materiał budulca pozostawał zagadką, w każdym razie kamień odsłoniętych ścian był biały, szary i czerwony, a nawet wzbogacony lekkim odcieniem zieleni. Dachówki iskrzyły się w słońcu setką rozmaitych odcieni. W długich dokach stało mnóstwo statków, w większości przewyższających znacznie rozmiarami „Śnieżną Gęś”, ludzie krzatali się wokół nich, ładując i rozładowując towary. W dalszej części miasta znajdowały się stocznie, gdzie stały wielkie statki w każdym właściwie stadium konstrukcji, od szkieletołów z mocnych, drewnianych żeber po kadłuby niemalże gotowe do wodowania w zatoce.

Być może Illian było dość duże, by utrzymać wilki z daleka. Z pewnością nie będą polować na tych moczarach. „Śnieżna Gęś” wyprzedziła wilki, które ścigały go aż od gór. Teraz, czasami sięgał ostrożnie ku nim myślą i nie czuł niczego. W jego umyśle rozgościła się pustka, osobliwy brak, jeżeli założy się, że tego właśnie chciał. Od czasu tej pierwszej nocy jego sny należały teraz do niego — przynajmniej większość. Moiraine zapytała o nie chłodnym głosem, a on powiedział prawdę. Dwukrotnie znalazł się w tym dziwnym świecie wilczego snu i za każdym razem spotykał Skoczka, który go stamtąd wyganiał, który mówił mu, że jest jeszcze zbyt młody, zbyt nowy. Co z tym zrobiła Moiraine, nie miał pojęcia; nie powiedziała mu nic prócz tego, że najlepiej zrobi, mając się na baczności.

— Tyle to sam wiem — warknął.

Nieomal przywykł już do obecności Skoczka, przynajmniej w wilczych snach, Skoczka, który umarł, ale żył dalej. Usłyszał jak z tyłu kapitan Adarra powłóczy nogami po pokładzie i mruczy coś pod nosem, zaskoczony, że ktoś odważył się przemówić głośno.

Z pokładu statku rzucono na brzeg liny. Zanim jeszcze przymocowano je na dobre do kamiennych pachołków na nabrzeżu, szczupły kapitan nagle zerwał się do działania i głośnym szeptem zaczął wydawać załodze rozkazy. Nim trap znalazł się na miejscu, już przygotowano bomby aby przenieść konie na brzeg. Wielki bojowy rumak Lana wierzgał i prawie złamał podtrzymującą go reję. Dla przeniesienia ogromnego wierzchowca o włochatych pęcinach, należącego do Loiala, potrzebne były dwie.

— To był zaszczyt — wyszeptał do Moiraine Adarra, kłaniając się nisko, kiedy ta wstępowała na szeroki trap, wiodący na nabrzeże. — To był zaszczyt służyć ci, Aes Sedai.

Zeszła na brzeg, nie spojrzawszy nawet w jego stronę. Jej twarz skrywało

głębokie rozcięcie kaptura.

Loial pojawił się dopiero wówczas, gdy wszyscy zeszli już na brzeg, dopiero gdy wyładowany został ostatni koń. Ogirowi towarzyszył głuchy łomot, jaki jego buty czyniły na deskach trapu; próbował jednocześnie dopiąć swój długi kaftan i poradzić sobie z wielkimi torbami podróżnymi, zwiniętym kocem oraz płaszczem przewieszonym przez ramię.

— Nie wiedziałem, że już dobiliśmy do brzegu — zagrzmiał urywanym od zadyszki basem. — Redagowałem moje. . .

Urwał, gdy jego wzrok spoczął na Moiraine. Zdawała się obserwować, jak Lan siodła Aldieb, niemniej uszy Ogira zaczęły się ruszać w taki sposób, jak to się zdarza nerwowym kotom.

„Jego notatki — pomyślał Perrin. — Pewnego dnia będę musiał przekonać się, co on myśli o tym wszystkim.”

Coś połaskotało go po karku, niemalże podskoczył na stopę w górę, gdy zdał sobie sprawę, że czuje w nozdrzach czystą, ziołową woń, która przebiła się przez zapach przypraw, smoły i odór doków.

Zarine kręciła młynka palcami i patrząc na nie, uśmiechała się.

— Jeżeli potrafię dokonać tego, zwyczajnie pocierając palce, wiejski chłopcze, to zastanawiam się, jak wysoko mógłbyś podskoczyć, gdybym. . .

Trochę męczyły go już te badawcze spojrzenia ciemnych, nakrapianych oczu.

„Może sobie być ładna, ale patrzy na mnie w taki sposób, w jaki ja przyglądam się narzędziom, których nigdy dotąd nie widziałem, starając się odkryć jak zostały zrobione i do czego ewentualnie mogą służyć.”

— Zarine — głos Moiraine był chłodny, ale spokojny.

— Nazywam się Faile — powiedziała hardo Zarine i przez chwilę, z tym silnie uwydatnionym nosem, naprawdę wyglądała niczym sokół.

— Zarine — powtórzyła niewzruszenie Moiraine. — Czas, żeby nasze drogi się rozeszły. Gdzie indziej na pewno znajdziesz lepszą sposobność do Polowania. . . i mniej niebezpieczną.

— Sądzę, że nie — odrzekła równie twardo Zarine. Myśliwy musi podążać za tropem, który ma przed oczyma, a żaden Myśliwy nie zlekceważyłby śladu, który zostawia wasza czwórka. A ja jestem Faile.

Zepsuła nieco cały efekt tej przemowy, ponieważ ostatnie słowa prawie zamarły jej w gardle, ale nie mrugnęła nawet pod spojrzeniem oczu Moiraine.

— Jesteś pewna? — zapytała miękko Moiraine. — Pewna jesteś, że nie zmienisz swej decyzji. . . Sokoliczko?

— Jestem pewna. Nie istnieje nic, co ty, albo twój Strażnik o kamiennym obliczu, moglibyście zrobić aby mnie powstrzymać. — Zarine zawahała się, następnie dodała cedząc słowa, jakby postanowiła powiedzieć całą prawdę: Przynajmniej nie istnieje nic, co ty byś mogła zrobić, aby mnie powstrzymać. Trochę wiem



o Aes Sedai. Wiem, niezależnie od tego, co opowiadają historie, że są rzeczy, których nie zrobisz. I nie wierzę, że kamienna twarz zdobędzie się na coś naprawdę paskudnego.

— Jesteś wystarczająco mocno o tym przekonana, by zaryzykować? — powiedział cicho Lan, a mimo iż wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet odrobinę, Zarine ponownie przełknęła ślinę.

— Nie ma potrzeby jej straszyć, Lan — wtrącił Perrin. Zaskoczony zdał sobie sprawę, że się zarumienił.

Spojrzenie Moiraine uciszyło ich obu.

— Sądzisz, że wiesz, do czego nie są zdolne Aes Sedai, czy tak? — powiedziała głosem jeszcze bardziej miękkiem niż poprzednio. Jej uśmiech nie był zbyt przyjemny. — Jeżeli chcesz iść z nami, oto co musisz zrobić.

Lan, zdziwiony, aż zmrużył oczy; dwie kobiety wpatrywały się w siebie niczym sokół i mysz, ale teraz Zarine nie przypominała już sokoła.

— Przyrzekniesz, na swoją przysięgę Myśliwego, robić to, co powiem, zważać na wszystkie moje polecenia i nie opuszczać nas. Kiedy już będziesz wiedziała o naszych zamiarach więcej niżli powinnaś, nie pozwolę na to, żebyś wpadła w niewłaściwe ręce. Wiedz, że tak zrobię, dziewczyno. Przysięgniesz, że będziesz postępować jak jedna z nas i nie zrobisz niczego, co zagroziłoby realizacji naszego celu. Nie będziesz zadawać żadnych pytań odnośnie tego dokąd się udajemy i dlaczego; zadowolisz się tym, co sama zechcę ci powiedzieć. Zrobisz tak jak mówię, albo zostawię cię tutaj, w Illian. I nie uda ci się opuścić tych bagien, dopóki nie wrócę, aby cię uwolnić, nawet jeżeli miałabyś strawić na oczekiwaniu resztę swego życia. Tyle ja ci obiecuję.

Zarine z zakłopotaniem przekrzywiła głowę, obserwując teraz Moiraine jednym tylko okiem.

— Będę mogła wam towarzyszyć, jeżeli przysięgnę? Aes Sedai pokiwała głową. — Będę jedną z was, tak jak Loial albo kamienna twarz. Ale nie będę mogła zadawać pytań. Czy im wolno zadawać pytania?

Z twarzy Moiraine zniknął wyraz wystudiowanej cierpliwości. Zarine wyprostowała się odrobinę i uniosła głowę.

— Bardzo dobrze. Przyrzekam na przysięgę, którą złożyłam jako Myśliwy. Jeżeli złamię jedną, złamię obie. Obiecuję to!

— Dokonało się — powiedziała Moiraine, dotykając czoła dziewczyny; Zarine zadrżała. — Ponieważ ty ją do nas przywiodłeś, Perrin, jesteś więc za nią odpowiedzialny.

— Ja! — jęknął.

— Nikt nie będzie za mnie odpowiedzialny prócz mnie samej! — Zarine niemal krzyknęła.

Aes Sedai, ze spokojem, nie zwróciła na to uwagi, jakby żadne z nich nawet nie otworzyło ust.

— Chyba znalazłeś tego sokoła Min, *ta'veren*. Staralam się go zniechęcić, ale wygląda na to, że na dobre już przysiadł ci na ramieniu i nic w tej sprawie nie mogę zrobić. Zdaje się, że Wzór splata przyszłość dla ciebie. Wszak pamiętaj o jednym. Jeżeli będę musiała, przetnę twoją nitkę we Wzorze. A jeżeli dziewczyna zagrozi realizacji tego, co musi być zrobione, ty podzielisz jej los.

— Nie prosiłem jej o to, by szła z nami! — protestował Perrin. Moiraine spokojnie dosiadła Aldieb, teraz okrywała płaszczem siodło białej klaczy. — Nie prosiłem jej!

Loial spojrzął na niego, wzruszył ramionami i bezgłośnie coś powiedział. Bez wątplenia dotyczyło to nieprzyjemnych konsekwencji drażnienia Aes Sedai.

— Ty jesteś *ta'veren*? — zapytała z niedowierzaniem Zarine. Jej wzrok przesunął się po prostym, mocnym wiejskim ubraniu i spoczął w żółtych oczach. — Cóż, może i tak. Kimkolwiek jesteś, boisz się jej tak bardzo jak ja. A kim jest Min? Co ona miała na myśli, mówiąc, że przysiadłam ci na ramieniu?

Rysy jej twarzy wyostrzyły się.

— Jeżeli będziesz próbował być za mnie odpowiedzialny, obetnę ci uszy. Słyszysz, co powiedziałam?

Krzywiąc się, wsunęła pozbawione cięciwy drzewce swego łuku pod popręg siodła Steppera i wspięła się na nie. Wypoczęty po dniach spędzonych na statku, Stepper zaraz zaczął zachowywać się zgodnie ze swym imieniem, dopóki Perrin nie uspokoił go, ściągając krótko wodze i delikatnie klepiąc po karku.

— Na żadne z tych pytań nie otrzymasz odpowiedzi — warknął.

„Przeklęta Min powiedziała jej! Żebyś szczęła, Min! I ty również, Moiraine! I ty, Zarine!”

Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek Rand lub Mat byli ze wszystkich stron otoczeni przez kobiety. Albo żeby jemu się tak zdarzyło, przynajmniej przed opuszczeniem Pola Emonda. Nynaeve była tylko jedna. No i pani Luhhan, oczywiście. Wszędzie, pominawszy kuźnię, rozkazywała zarówno jemu, jak i panu Luhhanowi. I jeszcze Egwene zachowywała się podobnie, choć przede wszystkim wobec Randa. Pani al'Vere, matka Egwene, zawsze się uśmiechała, ale ostatecznie wszystko również działo się tak, jak sobie tego życzyła. A Koło Kobiet zagładało każdemu przez ramię.

Mrucząc do siebie, sięgnął w dół i ujął Zarine za ramię; kiedy nagle podniósł ją i posadził na grzbiecie konia za swoim siodłem, pisnęła, niemalże wypuszczając z dłoni swój tobołek. Rozcięte suknie ułatwiły jej wspięcie się na Steppera.

— Moiraine będzie musiała kupić ci konia — wymruczał. — Nie możesz przez całą drogę iść pieszo.

— Silny jesteś, kowalu — powiedziała Zarine, rozcierając ramię — ale ja nie jestem sztabą żelaza.

Odwróciła się, umieszczając swój tobołek i płaszcz między nimi.

— Mogę sama kupić sobie konia, jeżeli znajdzie taka potrzeba. Przez całą drogę dokąd?

Lan wyjeżdżał już z portu, kierując się do miasta, Moiraine i Loial jechali za nim. Ogir obejrzał się na Perrina.

— Żadnych pytań, pamiętasz? A na imię mam Perrin, Zarine. Nie „wielki człowiek”, ani „kował”, czy jak tam jeszcze chcesz. Perrin. Perrin Aybara.

— A ja mam na imię Faile, kudłaczu.

Dobytając z siebie głos, który bardzo przypominał warczenie, Perrin wbił pięty w boki Steppera i pognął za pozostałymi. Zarine musiała objąć go w pasie, aby nie zsunąć się po zadzie kasztana. Wydało mu się, że słyszy cichutki śmiech.

## OSWAJANIE BORSUKA

Gwar wielkiego miasta szybko przytłumił śmiech Zarine — jeżeli rzeczywiście się śmiała — hałasem, który Perrin pamiętał z Caemlyn i Cairhien. Dźwięki były tutaj inne, wolniejsze i odmiennie zestrojone, ale miały wiele wspólnych cech. Obcasy, koła i kopyta na wyboistym, nierównym bruku, skrzypienie osi wozów i powozów, muzyka, pieśni i śmiech wylewające się z gospód i tawern. Głosy. Szum głosów, jakby włożył głowę do gigantycznego ula. Życie wielkiego miasta.

Z głębi bocznej uliczki dosłyszał dzwonienie młota na kowadle i nieświadomie napiął mięśnie ramion. Jego dłonie tęskniły za kształtem młota i szczypiec, wspomnienia podsuwały obraz rozgrzanego do białości metalu i sypiących się z niego iskier, w miarę jak nabierał kształtu pod uderzeniami. Odgłosy kuźni cichły za plecami, zagłuszone przez turkot wozów i wózków oraz gwar nawoływań sprzedawców i szmer ludzkich rozmów na ulicach. Nad wszystkimi zapachami ludzi i koni, nad zapachami pieczeni i gotowanych posiłków oraz tysiącem innych, które, jak się przekonał, właściwe były miastom, unosiła się dominująca woń bagien i słonej wody.

Zaskoczony był, kiedy po raz pierwszy wjechali na miejski most — niski, kamienny łuk ponad kanałem o szerokości nie większej niż trzydzieści kroków — ale gdy zdarzyło się to po raz trzeci, zrozumiał, że Illian poprzecinane jest równie dużą liczbą kanałów jak ulic, po kanałach pływały wyładowane barki. Transport wodny cieszył się takim samym powodzeniem jak lądowy, który odbywał się za pomocą ciężkich wozów. Lektyki lawirowały wśród tłumów na ulicach, czasami przemknął lakierowany powóz jakiegoś bogatego kupca lub szlachcica, z godłem lub symbolem Domu wymalowanym wielkim znakiem na drzwiczkach. Wielu mężczyzn nosiło dziwne brody, goląc je tak, że pozostawiały odsłoniętą górną wargę, podczas gdy kobiety zdawały się faworyzować kapelusze z szerokim rondem i wstążkami, które spływały im z tyłu na szyję.

W pewnym momencie wjechali na wielki plac, rozciągający na wielu akrach, otoczony potężnymi kolumnami z białego marmuru o wysokości co najmniej piętnastu piędzi i średnicy dwóch, które nie podtrzymały nic prócz girland gałęzi oliwnych, rzeźbionych na szczycie każdej z nich. Na obu krańcach placu stały wielkie, białe pałace, pyszniące się kolumnowymi krążgankami, zawieszonymi

w powietrzu balkonami, smukłymi wieżami i purpurowymi dachami. Na pierwszy rzut oka jeden podobny był do drugiego jak dwie krople wody, ale po chwili Perrin zdał sobie sprawę, że wymiary pierwszego były o ułamek mniejsze, a jego wieże niecały krok niższe.

— Pałac Królewski — powiedziała Zarine za jego plecami. — I Wielki Dwór Rady. Powiada się, że pierwszy król Illian oznajmił, iż Rada Dziewięciu może mieć taki pałac, jaki zechce, dopóki nie zapragną zbudować sobie większego niż królewski. Dlatego też, Rada skopiowała dokładnie pałac króla, jest on jednak mniejszy. I tak zawsze działo się w Illian. Król i Rada Dziewięciu wadzą się ze sobą, a Zgromadzenie i z królem, i z Radą, a dopóki trwają te polityczne bitwy, ludzie mogą żyć tak jak chcą i nikt za bardzo nie zagląda im przez ramię. Nie jest to zły sposób życia, jeżeli już musisz mieszkać w mieście. Sądzę również, że powinieneś także wiedzieć, kowalu, iż to jest plac Tammuza, gdzie złożyłam Przysięgę Myśliwego. Myślę sobie, że już czas, żebym przestała cię tak chętnie wszystkiego uczyć, ponieważ jeszcze trochę i nikt nie będzie mógł zauważyć słomy wystającej z twoich butów.

Perrin z wysiłkiem powstrzymał swój język, postanawiając sobie, że dłużej nie będzie się tak otwarcie na wszystko gapił.

Na pozór nikt nie traktował widoku Loiala jako czegoś niezwykłego. Kilko- ro ludzi obejrzało się za nim dwukrotnie, jakieś dzieci pędziły jego śladem przez chwilę, wyglądało jednak, iż Ogirowie nie są w Illian niczym osobliwym. Żaden z mieszkańców nie wyglądał również na szczególnie przytłoczonego panującą wilgocią i upałem.

Pierwszy raz Loial wyglądał na niezadowolonego z reakcji z jakimi się spotykał. Jego długie brwi opadły aż na policzki, uszy przykłapyły, chociaż Perrin nie był do końca pewien, czy nie należy tego przypadkiem przypisać panującej pogodzie. Jego koszula przywarła do pleców, klejąc się od potu i wilgoci zawieszanej w powietrzu.

— Obawiasz się, że spotkasz tu jakichś innych Ogirow, Loial? — zapytał.

Poczuł, jak siedząca za nim Zarine aż sztywnieje, koncentrując swą uwagę i przeklął swój długi jęzor. Przynależał sobie, że nie powie jej ani słowa ponad to, o czym poinformuje ją Moiraine. W ten sposób, może uda się ją znudzić na tyle, że porzuci ich towarzystwo.

„Jeżeli Moiraine pozwoli jej teraz odejść. Niech szczenę, nie chcę, by jakiś przekłety sokół siedział na moim ramieniu, nawet jeśli jest ładny.”

Loial pokiwał głową.

— Nasi mularze czasami pojawiają się tutaj. — Mówił szeptem i to nie tylko rozpatrując rzecz w kategoriach Ogirow, lecz w każdym sensie. — Nasi to znaczy ze Stedding Shangtai. Mularze z mojego *stedding* wnieśli część Illian: Pałac Zgromadzenia, Wielki Dwór Rady i kilka innych budowli. Zawsze posyłają po nas, kiedy konieczne są jakieś naprawy. Perrin, jeżeli tu są Ogirowie, zmuszą

mnie do powrotu do *stедding*. Powinienem pomyśleć o tym wcześniej. To miejsce sprawia, że czuję się nieswojo, Perrin.

Zastrzygł nerwowo uszami.

Perrin podprowadził Steppera bliżej i sięgnął by poklepać Loiala po ramieniu. Musiał wysoko sięgać, mocno ponad głowę. Świadomy obecności Zarine za swoimi plecami, ostrożnie dobierał słowa.

— Loial, nie wierzę, żeby Moiraine pozwoliła im cię zabrać. Jesteś z nami już od tak dawna, wygląda więc na to, że ona życzy sobie, by dalej tak pozostało. Nie pozwoli im zabrać ciebie, Loial.

„A dlaczego by nie? — zastanowił się nagle. — Pozwala mi jechać ze sobą; ponieważ sądzi, że nie jestem Randowi obojętny, a być może również i dlatego, że nie życzy sobie abym komukolwiek rozpowiadał o tym, co wiem. Niewykluczone więc, że dlatego również wołałaby aby on został.”

— Oczywiście, że nie — powiedział Loial głosem nieco pewniejszym, a jego uszy uniosły się odrobinę. — Mimo wszystko, mogę się do czegoś przydać. Gdyby ona zechciała ponownie podróżować po Drogach, nie potrafiłaby tego dokonać bez mojej pomocy.

Za plecami Perrina Zarine poruszyła się, a on potrząsnął głową, starając się złapać spojrzenie Ogira. Ale Loial nie patrzył na niego. Wyglądał, jakby właśnie dotarł do niego sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Pędzelki na jego uszach znowu odrobinę przykłapły.

— Mam nadzieję, że to nie tylko o to chodzi, Perrin. — Ogir ogarnął spojrzeniem otaczające ich miasto; z każdą chwilą uszy coraz bardziej przylegały mu do czaszki. Nie podoba mi się to miejsce, Perrin.

Moiraine podjechała bliżej do Lana i powiedziała coś cicho, wrażliwy słuch Perrina pozwolił mu jednak wyłapać słowa.

— Coś złego się dzieje w tym mieście.

Strażnik kiwnął potakująco głową.

Perrin poczuł mrowienie między łopatkami. Głos Aes Sedai brzmiał ponuro.

„Najpierw Loial, a teraz ona. Dlaczego ja nic nie czuję?”

Promienie słońca lśniły na połyskujących dachówkach, rzucały refleksy na błady kamień ścian. Budynek wyglądały, jakby wewnątrz nich panował chłód. Czyste i jasne, podobnie jak ludzie. Właśnie, ludzie.

Początkowo nie dostrzegł w nich nic niezwykłego. Kobiety i mężczyźni przechodzili obok, zajęci swoimi sprawami, ale wszystko odbywało się jakby wolniej, niżli obserwował to w miastach na północy. Przypisał rzecz całą upałowi i mocy jaskrawych, słonecznych promieni. Potem jednak dostrzegł chłopca od piekarza, który biegł truchtem po ulicy, balansując nad głową wielką tacą świeżo upieczonych bochnów chleba; na twarzy młodzieńca zastygł grymas, obnażający zęby, jakby tamten warczał. Kobieta stojąca przed sklepem tkackim wyglądała, jakby chciała pogryźć jego właściciela, proponującego jej jaskrawo ubarwione sztuki

materiału. Żebrak, siedzący na rogu ulicy, szczyrzył zęby i z nie skrywaną nienawiścią patrzył na ludzi wrzucających monety do jego kapelusza. Nie wszyscy wprawdzie wyglądali w ten sposób, ale zorientował się, że przynajmniej na co piątej twarzy wyrył się grymas gniewu i nienawiści. Nie przypuszczał, by ci ludzie byli tego świadomi.

— O co chodzi? — zapytała Zarine. — Cały zeszywniałeś. Czuję się tak, jakbym trzymała się skały.

— Coś jest nie tak — powiedział jej. — Nie wiem co, ale coś jest nie w porządku.

Loial ze smutkiem pokiwał głową i dalej mruzczał o tym, że go zmuszą do powrotu.

W miarę jak jechali coraz dalej, wygląd otaczających budynków powoli zaczynał się zmieniać. Pokonali kolejne mosty i dotarli do drugiej części Illian. Tutaj błądy kamień murów, na co drugiej przynajmniej budowli odznaczał się brakiem połysku. Wieże i pałace zniknęły, zastąpiły je gospody i magazyny. Liczni mężczyźni przechodzący ulicami, oraz niektóre kobiety, poruszali się dziwnie rozkołysanym krokiem. Wszyscy byli boso, co pozwalało domyślać się w nich żeglarzy. W powietrzu wisiał silny zapach smoły i konopi oraz woń drewna, świeżo ściętego i zakonserwowanego, nad którymi dominował kwaśny odór błota. Zapachy, dobiegające z kanałów, zmieniły się również, aż zakreśliło mu się w nosie.

„Nocniki — pomyślał. — Nocniki i wychodki.”

— Most Kwiatów — oznajmił Lan, kiedy przejeżdżali przez kolejny niski most. Głęboko wciągnął powietrze w płuca. — A teraz wjeżdżamy do Dzielnicy Perfum. Illianie są bardzo poetyccy.

Za plecami Perrina, Zarine stłumiła śmiech.

Jakby nagle zniecierpliwił go wolny krok Illian, Strażnik poprowadził ich w szybkim tempie po ulicach prosto do gospody, dwupiętrowej, zbudowanej z pożyłkowanego zielono kamienia, krytej bładozieloną dachówką. Zbliżał się wieczór, wraz z zachodem słońca światło zaczynało blednąć. Dawało to trochę ulgi, ale niewiele. Chłopcy siedzący na palikach, do których wiązano konie, poderwali się na ich widok, aby zająć się zwierzętami. Jeden z chłopców, ciemnowłosego dziesięcioletka, zapytał Loiala czy jest Ogirem, a po uzyskaniu odpowiedzi twierdzącej, powiedział:

— Tak sobie właśnie pomyślałem, że musisz nim być — słowom tym towarzyszyło pełne satysfakcji skinienie głowy.

Potem odprowadził wielkiego wierzchowca Loiala, podrzucając w górę miedziaka, którego dał mu tamten.

Perrin zmarszczył brwi i przez chwilę wpatrywał się w godło gospody, zanim wszedł za wszystkimi do środka. Borsuk w białe paski tańczył, wsparty tylko na tylnych nogach, z mężczyzną, który trzymał w dłoniach coś, co wyglądało jak srebrna łopata. Poniżej była nazwa: „Oswajanie borsuka”.

„To musi być wzięte z jakiejś opowieści, której nigdy dotąd nie słyszałem.”

We wspólnej sali podłogę pokrywały trociny, a w powietrzu wisiał dym z fajek. Można było wyczuć również zapach wina i ryby gotowanej w kuchni oraz ciężką woń kwiatowych perfum. Nierówno ociosane, odsłonięte belki wysokiego sufitu były pociemniałe ze starości. O tak wczesnej porze zajęta była najwyżej jedna czwarta miejsc na ławach, przy stołach siedzieli mężczyźni w prostych, robotniczych kaftanach i kamizelkach, niektórzy zwyczajem żeglarzy nie mieli na nogach butów. Wszyscy skupili się tak ciasno, jak to tylko było możliwe wokół stołu, na którym, wirując suknią, tańczyła i śpiewała do muzyki dwunastostrunowej bitterny, śliczna, ciemnowłosa dziewczyna. To właśnie od niej dobiegał ten mocny zapach perfum. Jej luźna, biała bluzka miała niezmiernie głęboki dekolci. Perrin rozpoznał melodię, miała tytuł *Tańczące dziewczę*, ale słowa różniły się od tych, które znał.

*Dziewczyna z Lugardu przysłała do miasta, aby zobaczyć, co to zabawa i śmiech.*

*Z okiem błyszczącym i uśmiechem na ustach,*

*Schwyciła chłopaka lub trzech, lub trzech.*

*Na kostkę wysmukłą i skórę tak białą,*

*Złapała bogacza, co statki miał, o tak, o tak.*

*Z leciutkim westchnieniem, radośnie się śmiejąc,*

*Poszła dalej, wolna jak ptak, jak ptak.*

Dziewczyna przeszła do następnej zwrotki, a kiedy do Perrina dotarło wreszcie, o czym ona śpiewa, na twarz wypełził mu rumieniec. Sądził, że już nic nie zaskoczy go, po tym jak widział tańczące dziewczęta Druciarzy, ale one jedynie dawały pewne rzeczy do zrozumienia. Ta dziewczyna śpiewała o nich wprost.

Zarine kiwała głową do rytmu muzyki i uśmiechała się. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, kiedy spojrzała na Perrina.

— Cóż, wiejski chłopcze, nie sądziłam, że kiedykolwiek poznam mężczyznę w twoim wieku, który będzie się jeszcze potrafił rumienić.

Spojrzał na nią i ledwie powstrzymał się przed powiedzeniem czegoś, o czym wiedział, że będzie głupie.

„Ta przeklęta kobieta sprawia, że podskakuję do góry, zanim jeszcze zdążę pomyśleć, żeby tego nie robić. Światłości, założę się, iż ona myśli, że jeszcze nigdy nie całowałem dziewczyny!”

Starął się nie słuchać dłużej tego, co śpiewała tamta dziewczyna. Gdyby nie potrafił zapanować nad rumieńcem, Zarine z pewnością nie dałaby mu spokoju.



Kiedy weszli do środka, po twarzy właścicielki przemknął błysk zaskoczenia. Wielka, gruba kobieta z włosami zaplecionymi w koszyczek, wokół której roztaczała się woń mocnego mydła, szybko stłumiła w sobie zdziwienie i pośpieszyła w stronę Moiraine.

— Pani Mari — powiedziała — nie sądziłam, że zobaczę cię tu dzisiejszej nocy.

Zawahała się na moment, popatrzyła na Perrina i Zarine, obrzuciła spojrzeniem Loiala, ale poświęciła mu znacznie mniej uwagi niżli im dwojgu. Po prawdzie, jej oczy rozbłysły na widok Ogira, jednak całą uwagę skupiła na „Pani Mari”. Zniżyła głos.

— Czy moje gołębie nie dotarły bezpiecznie?

Lana zdawała się akceptować, traktując go jakby był częścią Moiraine.

— Z pewnością tak, Nieda — odpowiedziała Moiraine. — Byłam w rozjazdach, ale nie wątpię, że Adine zapisała wszystko, o czym jej doniosłaś.

Zmierzyła wzrokiem dziewczynę tańczącą na blacie stołu. Jej spojrzenie nie wyrażało jednak ani dezaprobaty, ani żadnego w ogóle uczucia.

— Kiedy ostatni raz tu byłam, w Borsuku było znacznie spokojniej.

— Tak, Pani Mari, tak właśnie było. Ale wygląda na to, że dla gburów nie skończyła się jeszcze zima. Od dziesięciu lat nikt nie wywołał w Borsuku burdy, aż do teraz. — Kiwnęła głową w stronę jedyne go mężczyzny, który nie stał w tłumie zgromadzonym wokół tancerki, człowieka potężniej nawet zbudowanego niż Perrin. Wsparty o ścianę z zaplecionymi na piersiach ramionami, wybijał stopą rytm muzyki. — Nawet Bili miał trudności z ich uspokajaniem, dlatego też wynajęłam dziewczynę aby zajęła czymś ich myśli. Ona pochodzi z jakiegoś miejsca w Altarze. — Przekrzywiła głowę, przez chwilę wsłuchując się w śpiew. Niezły głos, ale ja zaśpiewałabym lepiej, tak, i lepiej zatańczyłabym również, gdybym była w jej wieku.

Perrin aż usta rozdziawił, gdy wyobraził sobie tę ogromną kobietę, jak płąsa po stole i śpiewa piosenkę — i przez to dosłyszał tylko kilka ostatnich słów dalszego ciągu jej przemowy:

— Nie miałabym na sobie żadnej koszuli. Żadnej. . .

I wtedy Zarine uderzyła go pięścią pod żebro. Kaszlnął.

Nieda spojrzała na niego.

— Zmieszam ci trochę miodu i siarki, chłopcze, na twoje gardło. Zapewne nie chciałbyś się zaziębić, zanim pogoda się nie ociepli, nie teraz, kiedy trzymasz pod ramię tak piękną dziewczynę.

Moiraine rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, żeby jej nie przeszkadzał.

— Dziwne, że zdarzają się u ciebie bójkę — powiedziała. — Dobrze pamiętam, w jaki sposób twój siostrzeniec potrafi sobie z każdym poradzić. Czy zdarzyło się coś, co sprawiło, że ludzie są bardziej zdenerwowani?

Nieda zastanawiała się przez chwilę.

— Może. Trudno o tym mówić. Młode paniątka zawsze przychodziły do doków na dziewczuchy i hulankę, których nie mogli znaleźć tam, gdzie powietrze jest bardziej świeże. Być może teraz pojawiają się jeszcze częściej, gdyż zima była ciężka. To powoduje, że w mężczyznach jest więcej złości, zresztą w kobietach również. Cały ten deszcz i zimno. Cóż, dwukrotnie podczas zimy, kiedy obudziłam się rano, znalazłam lód w mojej miednicy. Nie było tak strasznie jak zeszłej zimy, rzecz jasna, ale taka jak tamta zdarza się raz na tysiąc lat. Przez nią nieomal uwierzyłam w opowieści podróżników o zamrożonej wodzie spadającej z nieba.

Zachichotała, dając w ten sposób do zrozumienia, co myśli o tych historiach. Cienki dźwięk wydobywający się z tak wielkiego ciała sprawiał dziwne wrażenie.

Perrin potrząsnął głową.

„Ona nie wierzy w śnieg?”

Ale jeżeli taką pogodę nazywała chłodem, to jak miała weń wierzyć?

Moiraine skłoniła głowę w zamyśleniu, twarz zniknęła zupełnie w cieniu kaptaża.

Dziewczyna na stole zaczęła kolejną zwrotkę, a Perrin zorientował się, że mimo woli wsłuchuje się w słowa. Nigdy nie słyszał o kobiecie, która robiłaby rzeczy choć trochę przypominające to, o czym śpiewała dziewczyna, ale brzmiało to interesująco. Zauważył, że Zarine obserwuje go podczas słuchania, starał się więc sprawiać wrażenie, że ma inne rzeczy na głowie.

— Co się zdarzyło niezwykłego w Illian ostatnimi czasy? — zapytała wreszcie Moiraine.

— Przypuszczam, że wybór lorda Brenda do Rady Dziewięciu mogłabyś nazwać niezwykłym — odrzekła Nieda. — Niech mnie fortuna okaleczy, nie przypominam sobie, żebym przed nadejściem zimy słyszała choćby raz jego imię, ale przybył do miasta z jakiejś miejscowości w pobliżu granicy murandiańskiej, jak głośną plotki, i został wyniesiony w ciągu tygodnia. Powiadają także, że jest dobrym człowiekiem, najsilniejszym z Dziewięciu, mówią dalej, że wszyscy zgodzili się na jego nieformalne przywództwo, choć jest najmłodszy stażem i nie znany nikomu, ale czasami nawiedzają mnie dziwne sny na jego temat.

Moiraine już otworzyła usta — Perrin nie miał najmniejszych wątpliwości, że chciała poinformować tamtą, iż chodziło jej o kilka ostatnich nocy — ale zawahała się i zamiast tego powiedziała:

— Jakiego rodzaju dziwne sny, Nieda?

— Och, głupstwa, pani Mari. Zwykłe głupstwa. Naprawdę chcesz, żebym ci o nich opowiedziała? Śniłam o dziwnych miejscach, o lordzie Brendzie spacerującym po mostach zawieszonych nad ziemią. Te sny były całkowicie niejasne, ale powtarzały się co noc. Czy kiedykolwiek słyszałaś o czymś takim? Głupoty, okalecz mnie, fortune! Jednak to jest dziwne. Bili powiada, że jemu też się to śniło. Sądzę, że słyszał jak opowiadałam mu moje sny i potem je powtarzał. Myślę, że Bili czasami bywa niezbyt błyskotliwy.

— Może jesteś wobec niego niesprawiedliwa — szepnęła Moiraine.

Perrin patrzył w ciemne rozcięcie kaptura. Moiraine wyglądała na wstrząśniętą, bardziej nawet niż wówczas, gdy dowiedziała się, iż w Ghealdan rzekomo objawił się nowy fałszywy Smok. Nie czuł od niej woni strachu, lecz... Moiraine była przerażona. To było znacznie bardziej okropne, niż kiedy się gniewała. Mógł wyobrazić sobie jej złość, nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że mogłaby się bać.

— Straszne bzdury opowiadam — powiedziała Nieda, poprawiając włosy zwinięte na karku. — Jakby moje głupie sny mogły być ważne.

Zachichotała ponownie. Tym razem śmiech był trochę urywany. Ta myśl nie była już taka głupia jak wiara w śnieg.

— Wyglądasz na zmęczoną, pani Mari. Pokażę wam pokoje. A potem dobry posiłek ze świeżo złapanego czerwonopasa.

„Czerwonopas?”

To musi być jakaś ryba, pomyślał, czuł dobiegający z kuchni zapach przyrządzanej ryby.

— Pokoje — powiedziała Moiraine. — Tak. Weźmiemy pokoje. Posiłek może poczekać. Statki. Nieda, jakie statki odpływają stąd do Łzy? Wczesnym rankiem. Mam jeszcze coś do zrobienia tej nocy.

Lan spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

— Do Łzy, pani Mari? — zaśmiała się Nieda. — Cóż, nie ma żadnego statku do Łzy. Mija już miesiąc, jak Dziewięciu zabroniło statkom pływać do Łzy, nie wpuszczają również do portu żadnych statków stamtąd, chociaż sędzę, że Lud Morza niewiele sobie robi z tych zakazów. Ale w przystani nie ma w tej chwili żadnych statków Ludu Morza. To też jest dziwne. Mam na myśli ten rozkaz Dziewięciu i całkowite milczenie króla w tej kwestii, król przecież zawsze protestował, jeśli zdarzało im się uczynić choćby krok bez jego zgody. Być może jednak i teraz nie było inaczej. Wszyscy mówią, że zapowiada się wojna z Łzą, ale rybacy i wozacy, którzy dostarczają zapasów dla armii, powiadają, iż żołnierze patrzą na północ, w kierunku Murandy.

— Splątane są ścieżki Cienia — powiedziała Moiraine napiętym głosem. — Zrobimy to, co okaże się konieczne. Pokoje, Nieda. A potem zjemy posiłek.

Pokój Perrina okazał się znacznie wygodniejszy niż można było się spodziewać, biorąc pod uwagę wygląd pozostałej części Borsuka. Łóżko było szerokie, a materac miękki. Drzwi pomieszczenia wykonano z powyginanych listew, a gdy otworzył okno, do środka powiała lekka bryza, niosąc ze sobą woń zatoki. Przy okazji poczuł także szereg zapachów z kanałów, wietrzyk stwarzał jednak przynajmniej jakąś iluzję chłodu. Powiesił swój płaszcz na drewnianym kołku, obok kołczanu i topora, łuk postawił w kącie. Postanowił nie wypakowywać toreb podróżnych i nie rozwijać koca. Noc mogła okazać się niespokojna.

Jeżeli wcześniej Moiraine wyglądała na lekko zaniepokojoną, to było to niewiele w porównaniu z tym, co czuła, kiedy oznajmiła, że coś trzeba będzie zrobić w nocy. Wtedy przez krótką chwilę otaczał ją tak wyraźny zapach strachu, jakby właśnie postanowiła włożyć dłonie do gniazda szerszeni i pozabijać je wszystkie gołymi rękami.

„O co jej, na Światłość, chodzi? Jeżeli Moiraine jest przestraszona, ja powinienem chyba być sparaliżowany trwogą.”

Ale zdał sobie sprawę, że nie jest. Nie jest przerażony, nie czuje nawet zwykłego strachu. Czuł się... podniecony. Gotowy na to, co ma się zdarzyć. Nawet złakniony, by wreszcie nastąpiło. Zdeterminowany. Nie były mu obce te uczucia. To właśnie czuły wilki na chwilę przed walką.

„Niech szczenę, wolałbym raczej się bać!”

Kiedy zszedł na dół, we wspólnej sali zastał tylko Loiala. Nieda przygotowała dla nich duży stół, przy którym ustawiła krzesła z drabinkowymi oparciami, miast zwyczajowych ław. Znalazła nawet fotel wystarczająco wielki, by mógł wygodnie pomieścić Loiala. Dziewczyna, od której oddzielała ich teraz cała przestrzeń pomieszczenia, śpiewała obecnie piosenkę o bogatym kupcu, który, straciwszy właśnie w zupełnie nieprawdopodobny sposób zaprzęg, postanowił sam ciągnąć swój wóz. Skupieni wokół niej mężczyźni słuchali piosenki wśród głośnych wybuchów śmiechu. Za oknami noc zapadła szybciej niż można by oczekiwać; powietrze pachniało tak, jakby zanosilo się na deszcz.

— W tej gospodzie jest pokój przeznaczony dla Ogirów — poinformował go Loial, gdy Perrin usiadł. — Zapewne każda gospoda w Illian posiada takowy, w nadziei na to, że Ogirowie, przybywający do miasta na roboty mularskie, zechcą zatrzymać się właśnie w niej. Nieda twierdzi, że obecność Ogira pod dachem przynosi szczęście. Nie sądzę jednak, by taka strategia przynosiła spodziewane korzyści. Mularze zazwyczaj trzymają się razem, kiedy udają się pracować na Zewnątrz. Ludzie są tak pochopni, że Starsi obawiają się nieoczekiwanych wybuchów namiętności, a ktoś mógłby mieć zbyt prędkie ręce do topora.

Zmierzył wzrokiem mężczyzn zgromadzonych wokół śpiewaczki, jakby ich właśnie o to podejrzewał. Jego uszy ponownie opadły.

Bogaty kupiec robił właśnie wszystko, by przy wtórze jeszcze głośniejszego śmiechu stracić swój wóz.

— Dowiedziałeś się, czy w Illian są jacyś Ogirowie ze Stedding Shangtai?

— Byli tutaj, ale Nieda powiedziała mi, że odeszli zimą. Powiedziała też, że nie skończyli swojej pracy. Tego nie potrafię zrozumieć. Mularze nie porzucają nie dokończonych dzieł, chyba że nie otrzymają zapłaty, a Nieda twierdzi, iż w tym przypadku tak nie było. Pewnego ranka okazało się, że ich po prostu nie ma, chociaż ktoś widział jak szli nocą po grobli Maredo. Perrin, nie lubię tego miasta. Nie rozumiem dlaczego, ale napawa mnie ono... niepokojem.

— Ogirowie — powiedziała Moiraine — są wrażliwi na pewne rzeczy.

Wciąż skrywała twarz, ale Nieda najwyraźniej wysłała kogoś, by kupić jej lżejszy płaszcz z ciemnoniebieskiego lnu. Otaczająca ją wcześniej woń strachu zniknęła, ale głos wciąż miała napięty, jakby z całych sił narzucała sobie samokontrolę. Kiedy Lan podsunął jej krzesło, Perrin zobaczył przepełnione zmartwie- niem oczy.

Zarine zeszła na dół ostatnia, przeczesując palcami świeżo umyte włosy. Ota- czający ją zapach ziół był silniejszy niż poprzednio. Spojrzała na tacę, którą Nieda ustawiła na stole i wymruczała pod nosem:

— Nienawidzę ryb.

Potężna kobieta przywiozła ich posiłek na małym wózku, zaopatrzonym w pó- łeczki; miejscami pokrywały go nie doczyszczone plamy kurzu, jakby wyciągnię- ty został pośpiesznie z jakiegoś magazynu, aby uhonorować Moiraine. Serwis, mimo iż trochę poobtlukiwany, składał się z porcelanowych naczyń Ludu Morza.

— Jedz — powiedziała Moiraine, patrząc prosto na Zarine. — Pamiętaj, że każdy posiłek może być twoim ostatnim. Zdecydowałaś się jechać z nami, a więc dzisiejszego wieczora będziesz jadła rybę. Jutro możesz umrzeć.

Perrin nie rozpoznał gatunku niemalże okrągłej ryby o białym mięsie z czer- wonymi włókienkami, ale pachniała smakowicie. Za pomocą dużego widelca przeniósł na swój talerz od razu dwa dzwonka i napchawszy sobie usta, uśmiech- nął się do Zarine. Potrawa, lekko przyprawiona, smakowała równie dobrze, jak pachniała.

„Jedz swoją paskudną rybę, sokole” — pomyślał.

Przyszło mu do głowy również, iż Zarine wygląda, jakby miała ochotę go ugryźć.

— Chcesz, żebym kazała dziewczynie przestać śpiewać, pani Mari? — za- pytała Nieda. Rozstawiała właśnie na blacie stołu miseczki z grochem i jakimś rodzajem twardej, żółtej kaszy. — Żebyście mogli zjeść w spokoju?

Moiraine wpatrywała się w swój talerz, najwyraźniej niczego nie słysząc.

Lan posłuchał przez chwilę — kupiec stracił już, kolejno: swój wóz, płaszcz, buty, złoto, oraz resztę swych rzeczy i zmuszony został do walki ze świnia o swój obiad — a potem potrząsnął głową.

— Ona nam nie przeszkadza.

Przez moment wyglądało, jakby miał zamiar się uśmiechnąć. Ale wtedy spoj- rzał na Moiraine, niepokój z powrotem rozbłysnął w jego oczach.

— O co chodzi? — zapytała Zarine. Nie zwracała uwagi na swoją rybę. — Wiem, że coś jest nie w porządku. Nie widziałam tylu emocji na twoim obliczu, kamienna twarzy, od czasu gdy cię poznałam.

— Żadnych pytań! — ostro ucięła Moiraine. — Będziesz wiedzieć tyle tylko, ile ci powiem i nic więcej.

— A co masz zamiar mi powiedzieć? — dopytywała się Zarine.

Aes Sedai uśmiechnęła się.

— Zjedz swoją rybę.

Po tej wymianie zdań posiłek przebiegał niemalże w całkowitej ciszy, wyjąwszy słowa piosenek, które kolejno wypełniały pomieszczenie. Jedna była o bogaczu, z którego żona i córka robiły głupca, kiedy tylko chciały, nie naruszając jednocześnie jego wysokiego mniemania o sobie, następna o młodej dziewczynie, która postanowiła pójść na spacer zupełnie nago, a także piosenka o kowalu, któremu udało się podkuć siebie zamiast konia. Zarine omal się nie zakrztusiła ze śmiechu i zapomniała się do tego stopnia, że nabrała na widelec kęs ryby, a potem skrzywiła nagle, jakby wzięta do ust błoto.

„Ja nie będę się z niej śmiał — powiedział do siebie Perrin. — Niezależnie od tego jak głupio wygląda, pokażę jej, czym są prawdziwe maniery.

— Smakuje nieźle, nieprawdaż? — powiedział na głos.

Zarine rzuciła mu pełne goryczy spojrzenie, a Moiraine zmarszczeniem brwi skarciła, by nie przerywał toku jej myśli, i na tym skończyły się próby podjęcia rozmowy przy stole.

Nieda wyniosła naczynia i postawiła na stole talerz serów, kiedy odór jakiegoś paskudztwa spowodował, iż Perrinowi zjeżyły się włosy na głowie. Tak pachniało coś, co w ogóle nie powinno istnieć, dotąd dwukrotnie czuł tę woń. Niespokojnie rozejrzał się po wspólnej sali.

Dziewczyna wciąż śpiewała dla grupki słuchaczy, jacyś ludzie szli od strony wejścia, a Bili stał dalej oparty o ścianę, poruszając nogą w rytm dźwięków bittemy. Nieda przygładziła zaplecione włosy, obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem i odwróciła się, by odprowadzić wózek do kuchni.

Następnie spojrzał na swoich towarzyszy. Loial, jak można było się spodziewać, wyciągnął książkę z kieszeni kaftana i zdawał się zupełnie nie pamiętać o całym świecie. Zarine, z pozoru całkowicie roztargniona, toczyła kulkę z białego sera, ale popatrywała to na Perrina, to na Moiraine, to znów na niego, kiedy wydawało się jej, iż nikt tego nie widzi. Jednak naprawdę interesowały go reakcje Lana i Moiraine. Potrafili wyczuć obecność Myrddraala, trolloka, czy też jakiegoś innego Pomiotu Cienia, zanim zdążyłby się zbliżyć na odległość mniejszą niż kilkaset kroków, ale Aes Sedai nieobecny wzrokiem wpatrywała się w blat stołu przed sobą, a Strażnik kroił kawałek żółtego sera i patrzył na nią. Zapach zła wciąż jednak unosił się w powietrzu, tak, jak wcześniej w Jarze, na brzegu Remenu, i tym razem za nic nie chciał zniknąć. Najwyraźniej rozsiewał go ktoś spośród zebranych we wspólnej sali.

Ponownie ogarnął wzrokiem pomieszczenie. Bili pod ścianą, mężczyźni idący przez salę, dziewczyna śpiewająca na stole, wszyscy ci roześmiani ludzie, skupieni wokół niej.

„Ci, którzy właśnie weszli?”

Przyjrzał się im spod zmarszczonych brwi. Sześciu mężczyzn o pospolitych twarzach szło w kierunku miejsca, gdzie stała śpiewaczka. Najzupełniej normalne

twarze. Właśnie przeniósł znowu wzrok, by przyjrzeć się powtórnie słuchaczom, kiedy nagle zrozumiał, że odór zła dobiega od ostatniego z przybyłej szóstki. Nagle w ich dłoniach błysnęły sztylety, jakby zorientowali się, że ich dostrzegł.

— Mają noże! — krzyknął, rzucając w ich stronę tacę z serami.

We wspólnej sali powstał zamęt, mężczyźni krzyczeli, śpiewaczka wrzeszczała, Nieda wołała na Biliego, wszystko działo się naraz. Lan poderwał się z krzesła, kula ognia wytrysnęła z dłoni Moiraine, Loial poderwał z podłogi swoje krzesło i zamachnął się nim jak maczugą, a Zarine odskoczyła na bok, przeklinając. Ona również trzymała w dłoni nóż, ale Perrin był już zbyt zajęty, aby patrzeć co robią pozostali. Mężczyźni zdawali się zmierzać wprost na niego, a jego topór wisiał na kołku w pokoju.

Pochwycił krzesło, oderwał grubą nogę, która tworzyła jednocześnie bok drabinkowego oparcia, cisnął resztą krzesła w napastników i sam zaraz ruszył za zaimprovizowanym pociskiem, uzbrojony w długą maczugę. Tamci starali się dosięgnąć jego ciała nagą stają, jakby Lan i pozostali stanowili jedynie zwykłe przeszkody na ich drodze. W ciasnym kłębowisku rąk, był w stanie tylko odbijać skierowane ku niemu ostrza, a jego dzikie zamachy w takim samym stopniu stanowiły zagrożenie dla Lana, Loiala i Zarine, jak dla sześciu atakujących. Kątem oka zobaczył stojącą z boku Moiraine, na jej twarzy malował się zawód — kłęb walczących był tak ściśle spleciony ze sobą, że nie mogła nic zrobić, aby nie zagrozić wrogom i jednocześnie przyjaciółom. Żaden z nożowników nie poświęcał jej nawet odrobiny uwagi, nie znajdowała się pomiędzy nimi a Perrinem.

Ciężko dysząc, zdołał wreszcie uderzyć jednego w głowę, tak mocno, iż usłyszał trzask pękającej kości, i nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy już leżą. Całe zdarzenie na pozór trwało co najmniej kwadrans, ale zobaczył, że Bili właśnie zatrzymuje się obok, a jego wielkie dłonie wykonują machinalne gesty, gdy patrzy na sześciu martwych mężczyzn, leżących na podłodze. Nie miał nawet czasu, by dołączyć do walki, zanim wszystko już było skończone.

Na twarzy Lana gościł grymas jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Zaczął obszukiwać ciała, dokładnie, ale z pośpiechem świadczącym o niesmaku, jaki przy okazji przeżywał. Loial zamarł w bezruchu, z krzesłem wzniesionym do uderzenia; wzdrygnął się i postawił je na ziemi, uśmiechając się w zmieszaniu. Moiraine patrzyła na Perrina, Zarine również obdarzyła go spojrzeniem, wyciągając nóż z piersi jednego z zabitych. Odór zła zniknął, jakby umarł wraz z nimi.

— Szarzy Ludzie — powiedziała cicho Aes Sedai. Ścigali ciebie.

— Szarzy Ludzie? — Nieda zaśmiała się równie głośno, co nerwowo. — Cóż, pani Mari, następnym razem powiesz, że wierzysz w postrachy, Sobowtóry oraz w Starego Okrutnika, polującego z czarnymi psami w Dzikim Gonie.

Niektórzy z mężczyzn, którzy wcześniej słuchali piosenek, zaśmiali się również, choć spoglądali na martwych ludzi z równym niepokojem jak na Moiraine. Śpiewaczka także wpatrywała się w Moiraine szeroko rozwartymi oczyma. Perrin

przypomniawszy sobie tę pojedynczą kulę ognia, zanim wszystko zbyt się splątało, by broń Moiraine mogła okazać się skuteczna. Jeden z Szarych Ludzi został liźnięty płomieniem, z rany na jego piersi wydzielając się przykry, słodkawy odór spalonego mięsa.

Moiraine odwróciła się od Perrina i zwróciła do tęgiej kobiety:

— Ludzie mogą podążać drogą Cienia — powiedziała spokojnie — nie będąc Pomiotem Cienia.

— Ach tak, Sprzymierzeńcy Ciemności. — Nieda wsparła dłonie na szerokich biodrach i spod zmarszczonych brwi wpatrywała się w ciało. Lan skończył już swe przeszukiwanie, spojrzawszy na Moiraine i potrząsnął głową, jakby właściwie nawet przez chwilę nie spodziewał się niczego znaleźć. — Przypominają raczej złodziei, choć nigdy nie słyszałem o tak śmiałych, żeby odważyli się napaść na kogoś w gospodzie. Jak dotąd nigdy nie zdarzyło się, by ktoś zginął w Borsuku. Bili! Zabierz ich i wrzuć do kanału, a potem rozsyp trochę świeżych trocin. Tyl- nym wejściem, chłopcze. Nie chcę, by Straże wścibiały swoje nosy do Borsuka.

Bili pokiwał skwapliwie głową, jakby teraz chciał koniecznie okazać się uży- teczny, bo przecież zawiódł wcześniej. W każdą rękę chwycił po jednym cielem, i trzymając je za pasy poszedł w kierunku kuchennych drzwi.

— Aes Sedai? — zapytała ciemnooka śpiewaczka. Nie chciałam cię obrazić swoimi pospolitymi piosenkami. — Dłońmi zakryła najbardziej wyeksponowa- ną część swego dekoltu, która, po prawdzie, stanowiła jego większość. — Mogę śpiewać inne, jeśli tylko sobie zażyczysz.

— Śpiewaj co zechcesz, dziewczyno — odrzekła jej Moiraine. — Biała Wieża nie jest tak odizolowana od świata, jak ci się wydaje, a ja słyszałam już w życiu bardziej nieprzyzwoite piosenki, niżli ty odważyłabyś się zaśpiewać.

Nie wydawała się jednak zadowolona, iż wszyscy we wspólnej sali wiedzą, że jest Aes Sedai. Spojrzała na Lana, owinęła się lnianym płaszczem i ruszyła ku drzwiom.

Strażnik pobiegł szybko za nią, aby ją zatrzymać i teraz rozmawiali cicho, stojąc prawie w samych drzwiach, ale Perrin słyszał każde słowo, jakby szeptali tuż przy nim.

— Chcesz iść beze mnie? — pytał Lan. — Przysięgałem strzec ciebie, Moira- ine, kiedy składałem w twe ręce me zobowiązanie.

— Zawsze wiedziałeś, iż są niebezpieczeństwa, którym nie potrafisz stawić czoła, mój Gaidinie. Muszę iść sama.

— Moiraine. . .

Przerwała mu w pół słowa.

— Zważ na me słowa, Lan. Jeżeli coś mi się stanie, będziesz wiedział o tym i wrócisz do Białej Wieży. Nie zmieniałbym tego, nawet gdybym miała czas. Nie chcę byś zginął, na próżno usiłując mnie pomścić. Zabierz ze sobą Perrina. Wy- gląda na to, że Cień ostatecznie udowodnił mi, jakie znaczenie ma on dla Wzo-



ru, nawet jeżeli większość treści tego przesłania pozostaje wciąż niejasna. Byłam głupia. Rand jest tak silnym *ta'veren*, że nie zwróciłam uwagi na fakt, iż posiada dwóch innych, tak bliskich sobie. Mając Perrina i Mata, Amyrlin wciąż będzie mogła wpływać na bieg wydarzeń. Jeśli Rand zaginął, będą musieli jej wystarczyć. Powiedz jej, co się tu wydarzyło, mój Gaidinie.

— Mówisz tak, jakbyś już uważała się za martwą — szorstko oznajmił Lan.

— Koło splata, tak jak zechce, a Ciebie okrywa świat. Zważ na to co mówię, Lan, i bądź posłuszny, jako przysięgałeś.

Powiedziawszy to, wyszła.

## BRACIA Z CIENIA

Ciemnooka dziewczyna wspięła się z powrotem na swój stół i podjęła pieśń, ale głos jej drżał. Melodię Perrin znał pod tytułem *Łóżko pani Aynory*, a chociaż słowa znowu były odmienne; to, ku jego rozczarowaniu — i zażenowaniu, kiedy zdał sobie sprawę z tego rozczarowania — naprawdę opowiadały o łóżku. Sama pani Luhhan nie byłaby zgorszona tą piosenką.

„Światłości, staję się równie zły jak Mat.”

Żaden ze słuchaczy nie skarżył się, niektórzy z mężczyzn wyglądali na trochę niezadowolonych, ale oni również najwyraźniej przejmowali się ewentualną aprobatą Moiraine, w takim samym stopniu jak śpiewaczka. Nikt nie chciał obrazić Aes Sedai, nawet pod jej nieobecność. Bili wrócił po dwu kolejnych Szarych Ludzi; niektórzy z mężczyzn słuchających piosenki popatrywali na ciała i potrząsali głowami. Jeden splunął na trociny.

Lan podszedł do Perrina i spojrzał mu prosto w oczy.

— Jak ich rozpoznałeś, kowalu? — zapytał cicho. Skaza zła jaką są naznaczeni nie jest na tyle silna, by potrafiła ją wyczuć Moiraine albo ja. Szarzy Ludzie potrafili przejść obok setki wartowników, nie przyciągając ich uwagi, choć byli między nimi Strażnicy.

Doskonale zdając sobie sprawę ze spoczywającego na nim spojrzenia Zarine, Perrin starał się odpowiedzieć głosem cichszym jeszcze niż szept Lana.

— Ja... wywęszyłem ich. Czułem tę woń już wcześniej, w Jarze i nad Remenem, ale zawsze rozwiewała się po krótkiej chwili. Za każdym razem, nim zdążyliśmy przybyć na miejsce, już ich nie było.

Nie miał pewności, czy Zarine podsłuchuje, czy nie; pochyliła się, starając się coś dosłyszeć, jednocześnie próbowała wyglądać jak uosobienie niewinności.

— Szli więc za Randem, a teraz ścigają ciebie, kowalu. — Strażnik ani trochę nie dał po sobie poznać, że go to zaskoczyło. Przemówił normalnym głosem: — Mam zamiar rozejrzeć się wokół, kowalu. Twoje oczy mogą dojrzeć coś, co umknie mojej uwagi.

Perrin kiwnął głową, prośba o pomoc wyznaczała miarę zdenerwowania Strażnika.

— Ogir, twój lud również ma bystre oczy.

— Ach, tak — odpowiedział Loial. — Cóż, przypuszczam, że ja również moge rzucić okiem. — Jego wielkie, okrągłe oczy unikały widoku dwóch ciał Szarych Ludzi, wciąż spoczywających na podłodze. — Nie sądzę, żeby na zewnątrz byli jeszcze następni. A wy?

— Czego szukamy, kamienna twarzy? — zapytała Zarine.

Lan przez chwilę mierzył ją wzrokiem, potem potrząsnął głową, jakby postanowił nic już nie mówić.

— Cokolwiek uda nam się znaleźć, dziewczyno. Będę wiedział, kiedy zobaczę.

Perrin przez chwilę rozważał pomysł, by udać się na górę po swój topór, ale Strażnik już zmierzał do drzwi, a wszak nie miał przy boku miecza.

„I tak nie jest mu bardzo potrzebny — pomyślał zrzędliwie. — Jest równie niebezpieczny z bronią, jak i bez.”

Poszedł za nim, postanawiając zabrać ze sobą pałkę. Z ulgą stwierdził, iż Zarine wciąż trzyma w ręku nóż.

Nad ich głowami sunęły ciężkie, czarne chmury. Na ulicy panował mrok, jakby był to późny wieczór, ludzi również prawie nie było, każdy śpieszył, by schować się przed nadchodzącą ulewą. Perrin dostrzegł w dali człowieka, biegnącego po moście, poza nim ulice były puste. Zrywał się wiatr, wlokąc jakąś szmatę po nierównych kamieniach bruku, kolejny łachman zaczepił się o skraj jednego z balasków do przywiązywania koni i teraz łopotał, trzaskając o drewno. Po niebie przetoczył się warkot grzmotu.

Perrin zmarszczył nos. Wiatr niósł woń fajerwerków.

„Nie, to nie są fajerwerki.”

To był zapach jakby palonej siarki.

Zarine ostrzem swego noża uderzyła w nogę krzesła, którą ścisnął w garści.

— Naprawdę jesteś silny, wielki człowieku. Rozdarłeś to krzesło, jakby zrobiono je z patyczków.

Perrin kaszlnął. Zrozumiał, że mimowolnie wyprężył się, słysząc tę uwagę, więc z rozmysłem przygarbił się ponownie.

„Głupia dziewczyna! — Zarine zaśmiała się cicho, więc teraz już nie wiedział, jak ma się zachować. — Głupiec! — Tym razem ten epitet odnosił się do niego. — Przecież masz szukać. Czego?”

Nie widział nic prócz ulicy, nie czuł niczego z wyjątkiem woni, przypominającej do złudzenia zapach palonej siarki. Oraz, oczywiście, Zarine.

Loial również wyglądał, jakby się zastanawiał czego właściwie ma wypatrywać. Podrapał się za pędzelkiem ucha, spojrzął w jedną stronę opustoszałej ulicy, potem w drugą i ponownie podrapał się za drugim uchem. Następnie zagapił się na dach gospody.

Z zaułka obok gospody wyszedł Lan i ruszył prosto na ulicę, uważnie przyglądając się ceniom, zalegającym wzdłuż ścian budynków.

— Być może coś uszło jego uwagi — wymruczał Perrin i choć trudno mu było w to uwierzyć, skierował się w zaułek.

„Oczekuje się ode mnie, bym szukał, więc będę to robił. Być może, on naprawdę coś przeoczył.”

Lan zatrzymał się po przejściu krótkiego odcinka ulicy i wpatrzył w kamienie bruku u swoich stóp. Szybkim krokiem ruszył z powrotem w kierunku gospody, ale wzrok wciąż wbijał w ziemię, jakby coś śledził. Cokolwiek to było, doprowadziło go prosto do jednego z palików, przy których wiązano konie, tuż przy samych drzwiach gospody. Tam stanął, wpatrując się w szczyt bloku z szarego kamienia.

Perrin postanowił zrezygnować z zamiaru spenetrowania zaułka — choćby z tego powodu, że pachniał równie paskudnie jak kanały w tej części Illian — i zamiast tego podszedł do Lana. Zobaczył, w co tak się wpatruje Strażnik. Na szczycie kamiennego bloku, do którego wiązano konie, widniały dwa ślady, jakby jakiś wielki pies zostawił tutaj odciski swych przednich łap. Zapach, przypominający paloną siarkę, był w tym miejscu silniejszy.

„Psy nie zostawiają odcisków łap na kamieniach. Światłości, tak się nie dzieje!”

Potrafił już teraz dostrzec ślad, za którym podążał Lan. Pies truchtem przebiegł po ulicy do miejsca, gdzie znaleźli jego ślady w kamieniu, a potem zawrócił tą samą drogą. Jego łapy odciskały trop w kamieniach, jakby to było świeżo zarane pole.

„To jest niemożliwe!”

— Psy Czarnego — powiedział Lan, a Zarine ze świstem wciągnęła powietrze. Loial jęknął cicho. Cicho, jak na Ogira. — Psy Czarnego nie zostawiają śladów w glinie, kowalu, ani nawet w błocie, ale kamień to zupełnie inna rzecz. Żadnego Psa Czarnego nie widziano na południe od Gór Przeznaczenia od czasu wojen z trollokami. Można by powiedzieć, że ten coś tropił. A teraz, kiedy już to znalazł, wrócił by opowiedzieć o tym swemu panu.

„Mnie? — pomyślał Perrin. — Szarzy Ludzie i Psy Czarnego polują na mnie? To szaleństwo!”

— Chcesz mi wmówić, że Nieda ma rację? — dopytywała się Zarine drżącym głosem. — Stary Okrutnik naprawdę wie o Dzikim Gon? Światłości! Zawsze myślałam, że to jest tylko opowieść.

— Nie zachowuj się jak kompletny głupiec, dziewczyno — ochryłym głosem odrzekł Lan. — Gdyby Czarny był wolny, nasz obecny los gorszy byłby od śmierci. — Spojrzał w dal ulicy, dokąd biegł trop. — Ale Psy Czarnego są wystarczająco realne. Prawie równie groźne jak Myrddraale, a znacznie trudniejsze do zabicia.

— A teraz przyzywasz Sobowtóry. Szarzy Ludzie. Sobowtóry. Psy Czarnego. Lepiej zaprowadź mnie do Rogu Valere, wiejski chłopcze. Jakie jeszcze inne

niespodzianki chowasz dla mnie w zanadru?

— Żadnych pytań — uciął Lan. — Wciąż wiesz tak niewiele, że Moiraine zwolni cię z twej przysięgi, jeżeli obiecasz nie jechać za nami. Ja sam przyjmę od ciebie nową przysięgę i możesz pójść swoją drogą. Z twojej strony, mądrze byłoby ją złożyć.

— Nie odstraszyśz mnie, kamienna twarzy — oznajmiła Zarine. — Mnie nie jest łatwo przerazić.

Ale wyglądała na przerażoną. I pachniała strachem.

— Ja mam pytanie — powiedział Perrin — i chcę uzyskać na nie odpowiedź. Nie wyczułeś Psów Czarnego, Lan, i Moiraine również nie. Dlaczego?

Strażnik milczał przez chwilę.

— Odpowiedź na twoje pytanie, kowalu — powiedział wreszcie ponurym głosem — może okazać się o wiele gorsza niżli, ty, ja, my obaj moglibyśmy znieść. Mam nadzieję, że ta odpowiedź nie zabije nas wszystkich. Wy troje, idźcie prześpać się, o ile wam się uda. Wątpię, żebyśmy mieli do świtu zostać w Illian, a czeka nas wyczerpująca jazda.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Perrin.

— Idę za Moiraine. Powiedzieć jej o Psie Czarnego. Nie będzie się przecież złościć na mnie, nie w takiej sytuacji, w której tamten może czaić się na nią wszędzie, a ona zorientuje się dopiero wówczas, gdy poczuje jego zęby na gardle.

Kiedy wchodzili do środka, na bruku rozpryskiwały się pierwsze, ciężkie krople deszczu. Bili usunął ciało ostatniego Szarego Człowieka i teraz zamiatał trociny w miejscu, gdzie przedtem leżały. Ciemnooka dziewczyna śpiewała smutną piosenkę o chłopcu, rozstającym się z ukochaną. Pani Luhhan na pewno bardzo by się podobała.

Lan wbiegł do środka przed nimi, przebiegł przez wspólną salę i pośpieszył po schodach na górę, a zanim Perrin dotarł na drugie piętro, Strażnik już pędził na dół, dopinając w biegu swój pas z mieczem; zmieniający kolory płaszcz przerzucił przez ramię, jakby nie dbał już, że ktoś może go zobaczyć.

— Jeżeli ma zamiar nosić go po mieście... — Kudłata czupryna Loiala niemal zamiotła sufit, gdy potrząsnął głową. — Nie wiem, czy uda mi się zasnąć, ale spróbuję. Sny okazały się zapewne bardziej przyjemne niż jawa.

„Niekoniecznie, Loial” — pomyślał Perrin, gdy Ogir poszedł korytarzem do swego pokoju.

Zarine wyglądała, jakby chciała zostać z nim, ale kazał jej iść do swojego pokoju i zdecydowanie zatrasnął drzwi przed nosem. Kiedy ściągał bieliznę, z wahaniem spojrzął na własne łóżko.

— Muszę się przekonać — westchnął i wślizgnął się do łóżka.

Krople deszczu bębniły za oknami, po niebie potoczył się łoskot grzmotu. Bryza owiewająca jego łóżko niosła ze sobą chłód deszczu, ale nie przypuszczał, by był mu potrzebny któryś z koców złożonych w nogach materaca. Ostatnia myśl

jaka przemknęła mu przez głowę, dotyczyła świecy, którą znowu zapomniał zapalić, choć w pokoju było już ciemno.

„Beztraska. Niedbałość. Nie wolno mi być niedbałym. Niedbałość niszczy każdą pracę.”

\* \* \*

Bębny łomotały w jego głowie. Ścigały go Psy Czarnego, nie dostrzegł żadnego, ale słyszał ich wycie. Pomory i Szarzy Ludzie. Wysoki, szczupły człowiek w bogato haftowanym kaftanie i butach ze złotymi frędzlami pojawiał się raz za razem. Zazwyczaj trzymał w dłoni coś, co przypominało miecz, lśniący niczym słońce i śmiał się zwycięsko. Czasami siedział na tronie, a królowie i królowe czołgali się przed nim. To przepelniało go dziwnym uczuciem, jakby wszystkie te widziadła były czymś zupełnie innym, niżli tylko treścią jego snu.

Potem sen się zmienił. I zrozumiał, że znajduje się w wilczym śnie, do którego zmierzał. Tym razem pragnął go.

Stał na płaskim szczycie wysokiej, kamiennej iglicy, wiatr rozwiewał mu włosy, przynosząc tysiące suchych woni i lekki zapach wody, ukrytej przed jego wzrokiem gdzieś w oddali. Przez chwilę zdawało mu się, że przybrał postać wilka i zaczął obmacywać swe ciało, aby upewnić się, że jest naprawdę sobą. Miał na sobie swój kaftan, spodnie i buty, w ręku trzymał łuk, a kołczan wisiał przy boku. Topora nie było.

— Skoczek! Skoczek, gdzie jesteś?

Wilk nie pojawił się.

Otaczały go poszarpane górskie granie, kolejne iglice oddzielone jałowymi płaszczynami i nierównymi grzbietami, a czasami wielkim plateau, wznoszącym się pośród nagich zboczy. Gdzieniedzie coś rośnie, ale nie krzewiło się bujnie. Twarda, krótka trawa. Krzaki, jak wykonane z drutu i pokryte kolcami, oraz rośliny, które wydawały się mieć kolce na grubych liściach. Rozproszone, karłowate drzewa, powykręcane przez wiatr. A jednak wilki potrafiły polować nawet w takim miejscu.

Kiedy rozglądał się po tej surowej krainie, część gór przesłonił nagle krąg ciemności; nie potrafił jednak stwierdzić, czy ciemność ta znajduje się dokładnie naprzeciw jego twarzy, czy w połowie drogi do górskiego zbocza, ale wydawało mu się, iż potrafi spojrzeć na wylot przez nią, zobaczyć co znajduje się dalej. Mat, grzechoczący kośćmi w kubku. Jego przeciwnik wpatrywał się weń płonącymi oczyma. Mat najwyraźniej niczego nie widział, ale Perrin znał tego mężczyznę.

— Mat! — krzyknął. — To Ba'alzamon! Światłości, Mat, grasz w kości

z Ba'alzamonem!

Mat rzucił, a kiedy kości jeszcze toczyły się po stole, wizja rozwiała się, a ciemne miejsce na powrót zastąpił widok gór.

— Skoczek! — Perrin odwracał się powoli, rozglądając we wszystkich kierunkach. Spojrzał nawet w niebo. . .

„On teraz potrafi fruwać.”

. . . gdzie wisały chmury, obiecujące deszcz ziemi, rozpostartej daleko w dole, pod iglicami, ziemi, która chciwie wypije każdą jego kroplę, gdy tylko spadnie.

— Skoczek!

Pomiędzy chmurami uformowała się ciemność, dziura, prowadząca w jakieś inne miejsce. Egwene, Nynaeve i Elayne stały, wpatrując się w wielką metalową klatkę z podnoszonymi drzwiami, podtrzymywanymi przez ciężką sprężynę. Weszły do środka i razem sięgnęły, by pochwycić przynętę. Drzwi z żelaznych sztab zatrzasnęły się za nimi. Kobieta z włosami zaplecionymi w mnogie warkoczyki śmiała się z nich, a inna, ubrana całkowicie w biel, śmiała się z niej. Dziura w niebie zamknęła się i teraz widział już tylko chmury.

— Skoczek, gdzie jesteś? — zawołał. — Potrzebuję cię! Skoczek!

I posiwiaty wilk pojawił się nagle na szczycie iglicy, jakby skoczył z jakiegoś miejsca znajdującego się jeszcze wyżej.

„Niebezpieczeństwo. Ostrzegano cię, Młody Byku. Jesteś zbyt młody. Zbyt nowy.”

— Muszę coś wiedzieć, Skoczek. Powiedziałeś, że są rzeczy, które muszę zrozumieć. Muszę więcej zrozumieć, więcej wiedzieć. — Zawahał się, pomyślawszy o Macie, Egwene, Nynaeve i Elayne. — Dziwne rzeczy widzę tutaj. Czy są prawdziwe?

Myśli Skoczka docierały do niego w zwolnionym tempie, jakby pytania były tak trywialne, że wilk nie mógł zrozumieć potrzeby udzielania na nie odpowiedzi, albo nie wiedział w jaki sposób to zrobić. Na koniec, jednak coś nadeszło.

„To, co jest prawdziwe, nie jest prawdziwe. Co nie jest prawdziwe, jest prawdziwe. Ciało jest snem, a sny oblekają się w ciało.”

— To mi nic nie mówi, Skoczek. Nie rozumiem. Wilk spojrzał na niego, jakby właśnie oznajmił, że nie rozumie, iż woda jest mokra. — Powiedziałeś mi, że muszę coś zrozumieć i pokazałeś mi Ba'alzamona i Lanfear.

„Jad Serca. Łowczyni Księżycy.”

— Dlaczego mi to pokazałeś, Skoczek? Dlaczego miałem ich zobaczyć?

„Nadchodzi Ostatnie Polowanie. — Przekaz nasycony był smutkiem i poczuciem nieuchronności. — Będzie, co ma być.”

— Nie rozumiem! Ostatnie Polowanie? Jakie Ostatnie Polowanie? Skoczek, Szarzy Ludzie próbowali mnie zabić dziś wieczorem.

„Ścigają cię Nieumarli?”

— Tak! Szarzy Ludzie! Mnie! A Pies Czarnego był tuż pod drzwiami gospody! Chcę wiedzieć dlaczego na mnie polują.

„Bracia z Cienia! — Skoczek przywarł do ziemi, rozglądając się na wszystkie strony, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku. — Dużo czasu minęło, od kiedy ostatni raz spotkaliśmy Braci z Cienia. Musisz odejść, Młody Byku. Wielkie niebezpieczeństwo! Uciekaj przed Braćmi z Cienia!”

— Dlaczego oni mnie ścigają, Skoczek? Ty musisz wiedzieć. Wiem, że musisz!

„Uciekaj, Młody Byku. — Wilk skoczył, jego przednie łapy uderzyły w pierś Perrina, odrzucając go w tył, poza krawędź. — Uciekaj przed Braćmi z Cienia.”

Wiatr gwizdał mu w uszach, kiedy spadał. Skoczek i szczyt iglicy maleli w górze.

— Dlaczego, Skoczek? — wykrzyknął. — Muszę wiedzieć, dlaczego?

„Zbliża się Ostatnie Polowanie.”

Musiał się roztrzaskać. Wiedział o tym. Powierzchnia ziemi w dole zbliżała się, mięśnie napięły w oczekiwaniu miażdżącego uderzenia, które...

\* \* \*

Zaczynał się budzić, wpatrzony w świecę migoczącą na małym stoliku obok łóżka. Światło błyskawicy rozświetliło okno, szyba zadźwięczała rezonansem grzmotu.

— Co on miał na myśli, mówiąc Ostatnie Polowanie? — wymamrotał.

„Nie zapalałem żadnej świecy.”

— Mówisz do siebie. I rzucasz się we śnie.

Aż podskoczył, przeklinając siebie, iż nie zwrócił uwagi na zapach ziół, unoszący się w powietrzu. Zarine siedziała na stołku, na skraju światła rzucanego przez świecę, z łokciem wspartym na kolanie, a podbródkiem schowanym w dłoni. Patrzyła na niego.

— Jesteś *ta'veren* — powiedziała w taki sposób, jakby odkreślała kolejną pozycję w spisie. — Kamienna twarz sądzi, że te twoje dziwne oczy mogą dostrzec rzeczy, których jego oczy nie widzą. Szarzy Ludzie pragną cię zabić. Podróżujesz w towarzystwie Aes Sedai, Strażnika i Ogira. Uwolniłeś uwięzionego Aiela i zabijałeś Białe Płaszcz. Kim jesteś, wiejski chłopcze, Smokiem Odrodzonym?

Z tonu jej głosu wynikało, że jest to najbardziej bezsensowna rzecz, jaką potrafi wymyślić, ale mimo to, słysząc te słowa, drgnął niespokojnie.

— Kimkolwiek jesteś, wielki człowieku — dodała przydałoby ci się trochę więcej włosów na piersiach.



Odwrócił się, przeklinając, i naciągnął jeden z koców aż po samą szyję.  
„Światłości, ona sprawia, że podskakuję niczym żaba na gorącej skale.”

Twarz Zarine znajdowała się na samej granicy światła rzucanego przez świecę. Nie widział wyraźnie jej rysów, wyjąwszy chwile, kiedy za oknem rozbłyskiwała błyskawica, jaskrawa iluminacja pozwalała mu dostrzec swój własny cień na jej wydatnym nosie i kościach policzkowych. Nagle przypomniał sobie, jak Min powiedziała, że powinien uciekać od pięknej kobiety. Kiedy rozpoznał Lanfear, w tamtym wilczym śnie, sądził, że miała na myśli właśnie ją — nie wydawało mu się, by kobieta mogła być piękniejsza od Lanfear — ale ona była tylko snem. Zarine siedziała tutaj, patrząc na niego swoimi ciemnymi oczyma o nakrapianych tęczęwkach, zastanawiając się, ważąc myśli.

— Co ty tu właściwie robisz? — przystąpił do ataku. — Czego chcesz? Kim jesteś?

Odrzuciła głowę w tył i roześmiała się.

— Jestem Faile, wiejski chłopcze, Myśliwy Polujący na Róg. Kim myślisz, że jestem, kobietą z twoich snów? Dlaczego podskakujesz w ten sposób? Pomyślałby kto, że cię napastuję.

Zanim zdążył znaleźć właściwe słowa, skrzydło drzwi uderzyło gwałtownie o ścianę, a w wejściu stanęła Moiraine z twarzą bladą i ponurą niczym oblicze samej śmierci.

— Twoje wilcze sny okazały się równie prawdziwe, jakbyś był Śniącym, Per-rin. Przekłęci są wolni, a jeden z nich rządzi w Illian.

# ŚCIGANI

Perrin wygramolił się z łóżka i zaczął ubierać, nie dbając już czy Zarine patrzy, czy nie. Wiedział, co ma zrobić, jednakże na wszelki wypadek zapytał:

— Wyjeżdżamy?

— Chyba że chcesz zawrzeć bliższą znajomość z Sammaelem — odrzekła sucho.

Grzmot zadudnił nad ich głowami, jakby był puentą do jej sentencji, a błyskawica rozświetliła niebo. Aes Sedai niemalże zupełnie nie zwracała uwagi na Zarine.

Upychając poły koszuli do spodni, nagle pożałował, że nie zdążył jeszcze włożyć kaftana i płaszcza. Wymówienie imienia jednego z Przeklętych spowodowało, iż w pokoju zrobiło się nagle zimno.

„Ba'alzamon już nie wystarczy; musimy mieć na karku również jednego z Przeklętych, grasującego na wolności. Światłości, jakie teraz ma znaczenie, czy odnajdziemy Randa? Czy jest już za późno?”

Ale nie przestawał się ubierać, gwałtownie wpychał nogi w buty. Miał do wyboru wyjazd albo się poddać, a ludzie z Dwu Rzek znani byli z tego, że się nie poddawali.

— Sammael? — zapytała słabym głosem Zarine. — Jeden z Przeklętych rządzi...? Światłości!

— Dalej chcesz jechać z nami? — zapytała cicho Moiraine. — Nie pozwolę ci tutaj zostać, nie teraz, ale daję ci ostatnią szansę, możesz obiecać, że udasz się w przeciwną stronę niż ja.

Zarine zawahała się, a Perrin zastygł z kaftanem w połowie naciągniętym na grzbiet. Bez wątpienia, nikt nie zechce podróżować z ludźmi, którzy ściągnęli na siebie gniew jednego z Przeklętych. Nie po tym, jak dowiedziała się trochę na temat tego, z czym przyszło im się mierzyć.

„Chyba że ma się jakieś ważne powody.”

Jeśli już o tym mowa, każdy, kto usłyszał, że jeden z Przeklętych uwolnił się, powinien natychmiast wsiąść na najbliższy statek Ludu Morza i poprosić o przewiezienie na drugą stronę Pustkowia Aiel, a nie siedzieć tutaj i deliberować nad nie wiadomo czym.

— Nie — oznajmiła na koniec Zarine, a on poczuł, jak ogarnia go ulga. — Nie, nie przysięgnę, że udam się w przeciwną stronę. Niezależnie od tego, czy doprowadzicie mnie do Rogu Valere, czy nie, nawet ten, kto odnajdzie Róg nie przeżyje takiej przygody, jak ta. Sądzę, że historię tę będzie się opowiadać przez wieki, Aes Sedai, a ja chcę być jej częścią.

— Nie! — warknął Perrin. — To nie jest wystarczający powód. Czego ty właściwie chcesz?

— Nie mam czasu na te sprzeczki — przerwała im Moiraine. — W każdej chwili tak zwany lord Brend może się dowiedzieć, że jeden z jego Psów Czarne-go jest martwy. Możecie być pewni, iż będzie wiedział, że oznacza to obecność Strażnika i na pewno dołoży wszelkich starań, by odnaleźć Aes Sedai związaną z tym Gaidinem. Czy macie zamiar siedzieć tutaj, aż on nie odkryje gdzie się znajdujecie? Ruszać się, głupie dzieci! Jedziemy!

Nim zdążył otworzyć usta, zniknęła w głębi korytarza.

Zarine również nie czekała dłużej, pobiegła do swego pokoju, zostawiając zapaloną świecę. Perrin pośpiesznie zebrał swój dobytek i popędził w kierunku tylnych schodów, w biegu dopinając pas z przytroczonym toporem. Dogonił Loiala, który również zmierzał na dół, Ogir usiłował jednocześnie wepchnąć oprawioną w drewno książkę do swoich juków i nałożyć płaszcz. Perrin pomógł mu z płaszczem, nie przerywając jednocześnie biegu po schodach, Zarine dogoniła ich zanim zdążyli wyskoczyć na lejący deszcz.

Perrin zgarbił ramiona pod siekącymi strugami wody i nie zatrzymując się nawet by naciągnąć kaptur, pobiegł przez ciemne pod burzowymi chmurami podwórze w kierunku stajni.

„Ona musi mieć jakiś powód. Znalezienie się w przeklętej opowieści nie może być wystarczającą motywacją dla nikogo, prócz szaleńca!”

Zanim dotarł do drzwi stajni, deszcz przemoczył jego kędzierzawe loki, powodując, iż przylegały teraz płasko do głowy.

Moiraine dotarła tam przed nimi, nasycony oliwą płaszcz jeszcze ociekał kroplami deszczu, a Nieda trzymała latarnię, przyświecając Lanowi, który kończył siodłać konie. Wśród wierzchowców wypatrzył dodatkowego, siwego wałacha, z nosem potężniejszym nawet niż organ powonienia Zarine.

— Każdego dnia będę wysyłała gołębie — mówiła potężna niewiasta. — Nikt nie będzie mnie podejrzewał. Okalecz mnie, fortuna! Nawet Białe Płaszcze mówią o mnie dobrze.

— Posłuchaj mnie, kobieto! — warknęła Moiraine. Nie mówię tutaj o żadnym Białym Płaszczu ani o Sprzymierzeńcu Ciemności. Uciekniesz z tego miasta i sprawisz, że każdy, na kim ci zależy, ucieknie razem z tobą. Byłaś mi posłuszna przez kilkanaście lat. Bądź posłuszna i teraz!

Nieda przytaknęła, ale niechętnie, a Moiraine aż jęknęła z rozdrażnienia.

— Gniadosz jest twój, dziewczyno — zwrócił się Lan do Zarine. — Wskakuj

na grzbiet. Jeżeli nie umiesz jeździć konno, będziesz się musiała nauczyć praktykując, albo skorzystać z mojej propozycji.

Kładąc rękę na wysokim łęku, zgrabnie wskoczyła na siodło.

— Wydaje mi się, że chyba siedziałam już na koniu, kamienna twarzy.

Odwróciła się, by przymocować swój tobołek z tyłu siodła.

— Co miałaś na myśli, Moiraine? — dopytywał się Perrin, przerzucając swe juki przez grzbiet Steppera. — Powiedziałaś, że on odkryje, gdzie jestem. A przecież już wie. Szarzy Ludzie!

Nieda zachichotała, a on zastanowił się z rozdrażnieniem, ile ona naprawdę wie, albo w ile rzeczy wierzy z tych, o których mówiła, iż traktuje je jako bajki.

— Sammael nie wysłał Szarych Ludzi. — Moiraine dosiadła Aldieb z chłodną, wypracowaną precyzją, jakby nie było żadnego pośpiechu. — Jednakże Pies Czarnego był jego. Sądzę, że szedł moim śladem. Na pewno nie użyłby jednych i drugich. Ktoś chce cię dopaść, ale nie sądzą, żeby Sammael w ogóle zdawał sobie sprawę z twego istnienia. Jak dotąd.

Perrin zamarł z jedną nogą w strzemieniu, wpatrując się w nią, ale zdawała się bardziej zajęta poklepywaniem giętkiej szyi swej klaczy, niżli zwracaniem uwagi na pytanie zastygłe na jego obliczu.

— Jak dobrze, że poszedłem za tobą — powiedział Lan, a Aes Sedai parsknęła głośno.

— Żałuję, że nie jesteś kobietą, Gaidinie. Wysłałabym cię jako nowicjuszkę do Wieży, abyś tam nauczyła się posłuszeństwa! — Uniósł brew, a dłoń mimowolnie powędrowała do rękojeści miecza, potem wskoczył na siodło, ona zaś westchnęła. — Być może jednak to dobrze, że jesteś nieposłuszny. Czasami tak jest lepiej. Poza tym, nie sądzą, aby Sheriam i Siuan Sanche potrafiły, choćby razem, nauczyć cię posłuszeństwa.

— Nie rozumiem — powiedział Perrin.

„Zbyt często ostatnimi czasy wypowiadam te słowa, jestem już tym zmęczony. Pragnę kilku odpowiedzi, które potrafiłbym zrozumieć.”

Wgramolił się na siodło, choćby po to, żeby Moiraine nie patrzyła na niego z góry; i bez tego miała już dostateczną przewagę.

— Jeżeli nie on wysłał Szarych Ludzi, któż to w takim razie zrobił? Jeżeli Myrddraal, albo inny Przekłety...

Przerwał na chwilę, by przełknąć ślinę.

„INNY Przekłety! Światłości!”

— Jeżeli wysłał ich ktoś inny, dlaczego mu nie powiedzieli? Oni wszyscy są Sprzymierzeńcami Ciemności, czyż nie? I dlaczego ja, Moiraine? Czemu ja? Rand jest przeklętym Smokiem Odrodzonym!

Posłyszał jak Zarine i Nieda wstrzymały oddech i dopiero wtedy zrozumiał, co powiedział. Spojrzenie Moiraine zdawało się ciąć jego ciało niczym najostrzejsza stal.

„Cholerny, rozpuszczony jęzor! Kiedy wreszcie zacznę myśleć zanim otworzę usta?”

Przyszło mu na myśl, że wszystko zostało przesądzone już wówczas, kiedy po raz pierwszy raz poczuł na sobie wzrok Zarine. Teraz patrzyła na niego z szeroko rozwartymi ustami.

— Przynależysz teraz już do nas — zwróciła się do niej Moiraine. — Nie ma już dla ciebie odwrotu. Na zawsze.

Zarine wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć i jednocześnie obawiała się słów, które mogą paść, ale uwaga Aes Sedai skierowana była już gdzie indziej.

— Nieda, uciekniesz dzisiaj w nocy z Illian. Zaraz! I trzymaj na wodzy swój język, jeszcze uważniej niż czyniłaś to przez te wszystkie lata. Są tacy, którzy by ci go odcięli za słowa, jakie mogłabyś niechcący wypowiedzieć, zanim nawet ja zdążyłabym cię odnaleźć.

Twardy ton jej głosu sugerował możliwość dwuznacznej interpretacji tego, co powiedziała, a Nieda pokiwała żywo głową, jakby zrozumiała jej słowa na oba sposoby.

— A jeżeli chodzi o ciebie, Perrin. — Biała klacz podeszła bliżej, a on cofnął się przed spojrzeniem Aes Sedai, mimo iż bardzo starał się tego nie zrobić. — Wiele wątków jest wplecionych we Wzór, a niektóre są tak czarne jak sam Cień. Bacz, aby jeden z nich nie zadusił cię.

Obcasami dotknęła lekko boków Aldieb i klacz skoczyła na deszcz, Mandarb pobiegł tuż za nią.

„Żebyś szczęła, Moiraine — myślał Perrin, jadąc za nimi. — Czasami nie wiem, po której stronie stoisz. — Spojrzał na Zarine, która jechała za nim z taką łatwością, jakby urodziła się w siodle. — A po której stronie ty stoisz?”

Deszcz spowodował, że ulice i kanały były opustoszałe, dlatego istniały spore szanse, że ich odjazdu nie obserwowały żadne ludzkie oczy, wilgoć jednak przysparzała trudności koniom, które stapały niepewnie po nierównym bruku. Zanim dotarli do Grobli Maredo, szerokiej drogi z ubitej gliny, prowadzącej na północ przez bagna, ulewa nieco osłabła. Grzmoty wciąż było słychać, ale błyskawice przecinały niebo daleko z tyłu za nimi, bijąc już chyba tylko w morze.

Perrin pomyślał, że powoli szczęście zaczyna im sprzyjać. Deszcz padał wystarczająco długo, by osłonić ich ucieczkę, ale teraz wychodziło na to, iż zapowiada się odpowiednia pogoda na całonocną jazdę. To też powiedział na głos, Lan jednak przecząco pokręcił głową.

— Psy Czarnego najbardziej lubią właśnie jasne, skąpane w świetle księżycyca noce, kowalu, deszczu nie cierpią. Porządna burza z piorunami potrafi sprawić, iż w ogóle nie wyjdą na dwór.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa deszcz zmienił się w drobną mżawkę. Perrin usłyszał, jak za jego plecami Loial jęknął.

Grobla i bagna skończyły się równocześnie, jakieś dwie mile za miastem, ale

droga prowadziła dalej, łagodnie zakręcając w kierunku wschodnim. Pochmurny wieczór ustąpił miejsca nocy, w powietrzu wciąż wisiała mgiełka dżdżu. Wierzchowce Moiraine i Lana połykały drogę równym, mocnym krokiem. Kopyta rozbryzgiwały kałuże na mocno ubitej glinie. Przez szczeliny w chmurach prześwitywał księżyc. Powoli teren wokół nich stawał się coraz bardziej pofałdowany, wjeżdżali między niskie, gęściej porośnięte drzewami wzgórza. Perrin osądził, że przed nimi musi znajdować się las, ale nie potrafił ocenić czy to dobrze, czy źle. Pośród drzew łatwiej im będzie skryć się przed pościgiem, jednakowoż pod osłoną gęstwy pościg może dogonić ich, zanim zdążą go spostrzec.

W oddali, za ich plecami zrodził się stłumiony skowyt. Przez chwilę myślał, że to wilk; z zaskoczeniem przyłapał się na tym, iż machinalnie nieomal sięgnął doń myślą, nim w ostatniej chwili zdążył się powstrzymać. Zew nadciągnął ponownie i wtedy zrozumiał, że nie jest to żaden wilk. Odpowiedziały mu kolejne głosy, wszystkie oddalone o mile, niesamowite zawodzenia, w których pobrzmiwały krew i śmierć, ujadania, głoszące koszmary. Ku jego zdziwieniu, konie Moiraine i Lana zwolniły biegu, Aes Sedai uważnie wpatrywała się w otaczające ich, pogrążone w mroku wzgórza.

— Są daleko — powiedział Perrin. — Nie dogonią nas, jeżeli nie zatrzymamy się.

— Psy Czarnego? — wymamrotała Zarine. — To są Psy Czarnego? Pewna jesteś, że to nie Dziki Gon, Aes Sedai?

— Ależ to właśnie jest on — powtórzyła Moiraine. To on.

— Nigdy nie prześcigniesz Psów Czarnego, kowalu powiedział Lan. — Nawet na najszybszym koniu. Musisz zawsze stawić im czoło i pokonać je, w przeciwnym razie to one cię zniszczą.

— Mogłem zostać w *steding*, wiecie — narzekał Loial. — Moja matka znalazłaby mi już żonę, ale to nie byłoby takie złe życie. Mnóstwo książek. Nie powinienem udawać się na Zewnątrz.

— Tutaj — oznajmiła Moiraine, wskazując wysoki, nie zalesiony pagórek, oddalony o spory kawałek drogi na prawo. Wokół niego, na dwieście kroków również nie było żadnych drzew, a dalej rosły rzadko. — Jeżeli mamy mieć jakąś szansę, musimy je widzieć.

Okropny zew Psów Czarnego rozbrzmiał ponownie, tym razem bliżej, choć wciąż jeszcze dość daleko.

Teraz, kiedy Moiraine już wybrała teren, Lan puścił Mandarba odrobinę szybszym krokiem. Gdy jechali po zboczach wzgórza, kopyta koni stuknęły na skałach do połowy zagrzebanych w glinie i obmytych przez mżawkę. Perrinowi przyszło na myśl, że mają zbyt wiele kanciastych wierzchołków, by mogły być dziełem natury. Na szczycie zsiadli z koni i zebrali się wokół czegoś, co przypominało niski, okrągły głaz. W przerwie między chmurami pokazał się księżyc i wtedy okazało się, że patrzą w długą na dwie stopy, zniszczoną erozją, kamienną twarz.

Twarz kobiety, jak osądził Perrin po długości włosów. Spływający po niej deszcz wyglądał jak łzy.

Moiraine zsiadła z konia i stała, patrząc w kierunku, z którego dobiegało wycie. W mroku jej sylwetka wyglądała niczym cienista, zakapturzona zjawia; krople deszczu spływające po nasyconym oliwą płaszczu błyszcząły w promieniach księżyca.

Loial podprowadził swego konia, aby spojrzeć na rzeźbę, potem pochylił się niżej i przesunął dłonią po rysach twarzy.

— Sądzę, że ona musiała być kobietą Ogirów — powiedział na koniec. — Ale tutaj nie znajduje się miejsce żadnego starego *stedding*, poczułbym to. Wszyscy byśmy poczuli. I nie zagrażałyby nam Pomiot Cienia.

— Na co wy dwaj patrzycie? — Zarine spojrzała z ukosa na skałę. — Co to jest? Ona? Kto?

— Wiele ludów powstało i zginęło od czasu Pęknięcia — odrzekła Moiraine, nie odwracając głowy. — Po niektórych nie zostało nic oprócz wzmianki na pożółkłych kartach, albo granic na postrzępionych mapach. A co po nas zostanie?

Mrożące krew w żyłach wycie rozległo się znowu, tym razem jeszcze bliżej. Perrin spróbował obliczyć szybkość, z jaką się poruszają i doszedł do wniosku, że Lan miał rację — niezależnie od wszystkiego, konie nie mogłyby ich prześcignąć. Nie będą musieli długo czekać.

— Ogirze — rozkazał Lan — ty i dziewczyna zajmiecie się końmi.

Zarine protestowała, ale on poprowadził swojego konia prosto do niej.

— Twoje noże nie na wiele się tutaj przydadzą, dziewczyno.

Wyciągnięta z pochwy klinga jego miecza zaśniła w blasku księżyca.

— Nawet to jest tylko ostatnią deską ratunku. Wydaje się jakby było ich tam dziesięć, a nie tylko jeden. Twoim zadaniem jest opanowanie popłochu wśród koni, kiedy zwierzną Psy Czarnego. Nawet Mandarb nie lubi ich zapachu.

Jeżeli miecz Strażnika nie na wiele mógł się przydać, podobnie było zapewne z toporem. Perrin poczuł coś na kształt ulgi, kiedy sobie to uświadomił; nawet jeśli rozprawić się przyjdzie z Pomiotem Cienia, mimo wszystko nie będzie musiał używać topora. Zza popręgu siodła Steppera wyciągnął swój długi, nie naciągnięty łuk.

— Może to się na coś przyda.

— Spróbuj, jeśli chcesz, kowalu — powiedział Lan. One nie umierają łatwo. Być może uda ci się jednak zabić choć jednego.

Perrin wyciągnął nową cięciwę z sakwy, starając się osłonić ją przed mżącym deszczem. Pokrywająca ją warstwa pszczelego wosku była cienka i nie stanowiła zbyt trwałej ochrony przed wilgocią. Ustawił drzewce łuku ukośnie między nogami, napiął bez trudu i zaczepił pętle na cięciwie o wygięte zaczepy na końcach drzewca. Kiedy wyprostował się, zobaczył Psy Czarnego.

Biegły galopując jak konie, a kiedy spojrzął na nie, jeszcze przyśpieszyły. Stanowiły tylko dziesięć wielkich sylwetek, pomykających wśród nocy, prześlizgujących się między rozproszonymi drzewami. Wyciągnął z kołczana strzałę o szerokim grocie, nałożył na cięciwę, jednak nie napiął łuku. Jego umiejętności nie dorównywały najlepszym łucznikom w Polu Emonda, ale wśród młodzieży tylko Rand strzelał celniej.

Kiedy zbliżą się na trzysta kroków, będzie strzelał.

„Głupcze! Z takiej odległości masz kłopoty z trafieniem do nieruchomego celu. Ale jeżeli będę czekał... poruszają się tak szybko...”

Podszedł bliżej, stanął obok Moiraine, uniósł łuk...

„Muszę po prostu wyobrazić sobie, że te wielkie cienie to są tylko duże psy.”

... przyciągnął bełt z lotek gęsi do ucha i zwolnił cięciwę. Pewien był, że drzewce przeszło najbliższy cień, ale jedynym efektem okazało się gniewne warknięcie.

„To się nie uda. Poruszają się zbyt szybko!”

Wyciągał już kolejną strzałę.

„Dlaczego nic nie robisz, Moiraine?”

Już widział oczy bestii, lśniące niczym srebro, zęby błyszczące jak polerowana stal. Czarne barwą samej nocy, wielkością dorównujące kucom, mknęły teraz prosto, skupione na bliskich ofiarach. Wiatr przyniósł odór przypominający paloną siarkę, konie zarżały przerażone, nawet bojowy rumak Lana.

„Żebyś szczeła, Aes Sedai, zrób coś!”

Strzelił powtórnie, najbliższy Pies Czarnego potknął się i pobiegł dalej.

„Potrafią umierać!”

Strzelił ponownie, a prowadzący Pies Czarnego zatoczył się i zachwiał na nogach, potem upadł, ale nawet wówczas Perrina nawiedziła chwila rozpacz. Jeden padł, ale pozostała dziewiątka pokonała już dwie trzecie dzielącej ich odległości, zdawały się biec jeszcze szybciej, niczym cienie, płynące nad powierzchnią ziemi.

„Jeszcze jedna strzała. Czasu starczy jeszcze może na jedną, a potem już tylko topór. Żebyś szczeła, Aes Sedai!”

Naciągnął ponownie.

— Teraz — powiedziała Moiraine, kiedy jego strzała wyleciała z cięciwy. Pusta przestrzeń między jej rozłożonymi dłońmi wypełniła się ogniem, który tryśnął w kierunku Psów Czarnego, rozrywając pierzchającą noc. Konie zakwiczały i szarpnęły się w wędzidłach.

Perrin gwałtownie zakrył ramieniem oczy, osłaniając je przed rozgrzanym do białości blaskiem, przed podmuchem gorąca tak silnym, jakby ktoś otworzył nagle drzwi kuźni; jaskrawe słońce rozbłysło nagle pośród nocy i zgasło. Kiedy odkrył oczy, zatańczyły w nich różnobarwne plamy, wśród nich lśnił słaby, zanikający strumień ognia. Tam, gdzie znajdowały się przedtem Psy Czarnego, nie było nic



prócz otulonej nocą ziemi i mżącego deszczu, świat zamarł w bezruchu, tylko cienie przecinających tarczę księżyca chmur mknęły po ziemi.

„Sądziłem, że potraktuje je ognistą kulą, albo przywoła błyskawicę, ale to...”

— Co to było? — zapytał ochryplym głosem.

Moiraine spoglądała znów w stronę, gdzie znajdowało się Illian, jakby mogła przebić wzrokiem wszystkie te mile ciemności.

— Może nie widział — powiedziała na poły do siebie. — Znajdujemy się już daleko i jeżeli nie patrzył, mógł niczego nie spostrzec.

— Kto? — domagała się odpowiedzi Zarine. — Sammael? — Jej głos zadrżał lekko. — Powiedziałas, że on jest w Illian. W jaki sposób mógłby zobaczyć coś, co dzieje się tutaj? Co zrobiłaś?

— Coś niedozwolonego — odrzekła chłodno Moiraine. — Zakazanego przez śluby równie silne jak Trzy Przysięgi.

Odebrała wodze Aldieb z rąk dziewczyny i uspokajająco poklepała klacz po karku.

— Coś, czego nie używano od blisko dwóch tysięcy lat. Coś, za co ujarzmiono by mnie, gdyby wyszło na jaw, że w ogóle wiem o jego istnieniu.

— Może...? — Głos Loiala brzmiał jak echo odległego grzmotu. — Może powinniśmy już jechać? Jeżeli okaże się, że jest ich tu więcej...

— Nie sądzę — odpowiedziała Aes Sedai, dosiadając swego wierzchowca — Nie spuściłby naraz dwóch sfor, nawet gdyby je posiadał; rzuciłyby się na siebie, miast ścigać ofiarę. Uważam też, że nie byliśmy jego głównym celem, w przeciwnym razie pojawiłby się we własnej osobie. Okazaliśmy się... drobnym kłopotem, jak mniemam. — Ton jej głosu był spokojny, ale jasne było, że nie lubi, gdy się ją lekceważy. — I być może drobnym szczegółem, który można wykorzystać do jakichś rozgrywek, gdyby okazało się, iż nie sprawimy nadmiernego kłopotu. Jednak niewiele dobrego nam przyjdzie z trzymania się blisko niego, jeśli nie jest to konieczne.

— Rand? — zapytał Perrin. Niemal czuł, jak Zarine pochyla się do przodu, by lepiej słyszeć. — Jeżeli nie na nas poluje, wobec tego musi mu chodzić o Randa?

— Może — odpowiedziała Moiraine. — A może o Mata. Pamiętaj, że on również jest *ta'veren*, a nadto zadał w Róg Valere.

Zarine jęknęła zduszonym głosem, który brzmiał, jakby ktoś ścisnął ją za gardło.

— Zadał w Róg? Ktoś go już znalazł?

Aes Sedai nie zwróciła na nią uwagi, pochyliła się w siodle, by spojrzeć Perrinowi z bliska w oczy; ciemne lśnienie napotkało płonące złoto.

— Kolejny raz nie potrafię dotrzymać kroku wydarzeniom. Nie podoba mi się to. Ciebie także powinno to zaniepokoić. Jeżeli prąd zdarzeń prześcignie mnie, możesz również w nim zatonać, a wraz z tobą reszta świata.

— Pozostało nam jeszcze wiele lig do Łzy — wtrącił się Lan. — Propozycja Ogira jest słuszna.

Już siedział w siodle.

Po chwili Moiraine wyprostowała się w swoim i delikatnie trąciła piętami boki klaczy. Zdażyła już zjechać połowę drogi po stoku pagórka, zanim Perrin zdjął cięciwę z łuku i odebrał wodze Steppera z rąk Loiala.

„Żebyś szeszła, Moiraine! Gdzieś znajdę odpowiedź na te pytania.”

\* \* \*

Wsparty o leżący drewniany bal, Mat rozkoszował się ciepłem ogniska — deszcze odeszły na południe trzy dni wcześniej, ale wciąż czuł się przemoczony — jednak w tej chwili ledwie zdawał sobie sprawę z tańczących płomieni. Przyglądał się z namysłem małemu, pokrytemu woskiem cylindrowi, który trzymał w dłoniach. Thom pochłonięty był strojeniem swej harfy, mrużąc coś do siebie o deszczu i wilgoci, ani razu nawet nie spojrzał w stronę Mata. Wokół nich świerszcze cykały w ciemnym, gęstym zagajniku. Zachód słońca przyłapał ich w drodze, między kolejnymi wioskami, dlatego postanowili spędzić noc w tej kępie drzew, z dala od drogi. Dwukrotnie po nocy próbowali wynająć pokój, i dwukrotnie farmerzy spuszczały na nich swoje psy.

Mat wyciągnął z pochwy nóż i zawahał się na moment.

„Szczęście. Powiedziała, że przytrafia się tylko czasami. Szczęście.”

Najostrożniej jak tylko potrafił, przesunął ostrzem wzdłuż tuby. Tuba była naprawdę papierowa, zgodnie z tym co podejrzewał — dawno temu, w domu znajdował na ziemi strzępy papieru po wypalonych fajerwerkach — składały się na nią kolejne warstwy papieru, ale wewnątrz wypełnione czymś, co wyglądało jak ziemia, albo raczej maleńkie szaroczarne kamyczki lub kurz. Palcem rozproszdził je po wewnętrznej powierzchni dłoni.

„Jak, na Światłość, kamyczki mogą wybuchać?”

— Niech mnie Światłość spali! — zawył Thom. Wrzucił harfę z powrotem do kasetki, jakby chciał ochronić ją przed zawartością dłoni Mata. — Usiłujesz nas zabić, chłopcze? Nigdy nie słyszałeś, że te rzeczy dziesięciokrotnie łatwiej wybuchają pod wpływem powietrza, niż ognia? Fajerwerki są następną w kolejności niebezpieczną rzeczą, zaraz po dziełach Aes Sedai, chłopcze.

— Być może — odpowiedział Mat. — Ale według mnie Aludra w najmniejszym stopniu nie przypominała żadnej Aes Sedai. Tak właśnie myślałem kiedyś o zegarku pana al’Vere, że musi być dziełem Aes Sedai, ale pewnego razu otworzyłem tylną część gabloty i przekonałem się, że jest pełen kawałków metalu.

Poruszył się niespokojnie na samo wspomnienie. Tym razem pani al' Vere dopadła go pierwsza, a Wiedząca, jego ojciec i Burmistrz stali za jej plecami i żadne z nich nie wierzyło, że chciał tylko popatrzeć.

— Myślę, że Perrin też mógłby taki zrobić, gdyby zrozumiał jak działają te wszystkie kółka, sprężynki i nie wiem co tam jeszcze.

— Zdziwiłbyś się, chłopcze — sucho oznajmił Thom. — Nawet kiepski zegarmistrz bywa zazwyczaj dość bogatym człowiekiem, i jest to majątek uczciwie zapracowany. Ale zegar nie wybuchnie ci w twarz!

— To również nie wybuchło. Cóż, teraz jest bezużyteczne. — Wrzucił garść kamyczków wraz z papierem do ogniska, przy wtórze krzyku Thoma; kamyczki zaiskrzyły się maleńkimi rozbłyskami, dookoła rozszedł się gryzący dym.

— A jednak próbujesz nas zabić. — Głos Thoma drżał, w miarę jak mówił, jego ton stawał się coraz bardziej napięty i śpiewny. — Jeżeli zdecyduje, że chcę umrzeć, to po przyjeździe do Caemlyn pójdę do Pałacu Królewskiego i uszczypnę Morgase. — Jego długie wąsy zadrżały. — Nigdy więcej tego nie rób!

— Nie wybuchnął — upierał się Mat i marszcząc brwi, wpatrywał się w ogień. Pogrzebał w zwoju nasyczonej oliwą tkaniny, leżącym po drugiej stronie kłody i wyciągnął następny, nieco większy fajferwerk. — Zastanawiam się, dlaczego nie było huku?

— Mnie nie interesuje, dlaczego nie było huku! Nie rób tego więcej!

Mat spojrział na niego i roześmiał się.

— Przestań się trząść ze strachu, Thom. Nie ma się czego obawiać. Teraz już wiem, co mają w środku. A przynajmniej wiem, jak ich zawartość wygląda, lecz... Nie mów tego. Nie będę ich już rozcinał, Thom. W każdym razie, więcej zabawy można mieć z ich odpalenia.

— Nie boję się, ty świniogłowy pastuchu z błotem na stopach — oznajmił Thom z wypracowaną godnością. — Trzęsie mną wściekłość, ponieważ podróżuje w towarzystwie koziogłowego prostaka, który może sprowadzić śmierć na nas obu, ponieważ nie potrafi patrzeć dalej niż koniec swego... .

— Hej, przy ognisku!

Podczas gdy stuk końskich kopyt stopniowo zbliżał się, Mat wymienił spojrzenia z Thomem. Było zbyt późno, by mogli to być uczciwi podróżni. Jednakże, tak blisko Caemlyn Gwardia Królowej dbała o bezpieczeństwo dróg, a nadto, czwórka osób, które wjechały w krąg światła rzucanego przez ognisko, nie wyglądała na zbójców. Jeden z konnych okazał się kobietą. Ubrani w długie płaszcze mężczyźni na pierwszy rzut oka stanowili jej świętę, ona zaś była piękna, niebieskooka, miała na sobie szarą, jedwabną suknię i aksamitny płaszcz z szerokim kapturem, szyję otaczał złoty naszyjnik. Mężczyźni zsiadli z koni. Jeden przytrzymał wodze jej wierzchowca, drugi strzemię. Idąc w kierunku ognia, zdejmowała po drodze rękawiczki i uśmiechała się do Mata.

— Obawiam się, że późna pora zastała nas w drodze, młody panie — powiedziała. — Dlatego też pozwoliłam sobie niepokoić cię pytaniem o drogę do najbliższej gospody, jeżeli znasz takową.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i zaczął powstawać. Zdołał podnieść się tylko do przysiadu, kiedy usłyszał jak jeden z mężczyzn mruczy coś, a w dłoni drugiego pojawiła się wyciągnięta spod pluszcza kusza, naciągnięta już, z nałożonym bełtem.

— Zabij go, głupcze! — krzyknęła kobieta, a Mat tymczasem rzucił w ogień trzymany w dłoni fajerwerk i skoczył w kierunku swej pałki. Rozległ się głośny huk, rozbłysło światło. . .

— Aes Sedai! — zawołał mężczyzna.

— Fajerwerki, głupcze! — odkrzyknęła kobieta.

. . . a on potoczył się po ziemi i wstał, trzymając w dłoniach pałkę i zobaczył bełt kuszy, sterczący z leżącej kłody, niemalże dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą siedział oraz padającego kusznika, z którego piersi sterczała rękojeść jednego ze sztyletów Thoma.

Więcej nie zdążył dostrzec, bowiem dwóch mężczyzn skoczyło przez ogień w jego stronę, wyciągając miecze. Jeden z nich nagle zachwiał się na nogach, puścił miecz, wykonał taki ruch jakby chciał pochwycić nóż, sterczący mu z pleców i padł, twarzą w dół. Ostatni żołnierz nie zobaczył upadku swego towarzysza, najwyraźniej oczekiwał, że będzie jednym z dwójki atakujących, jego cios, skierowany w brzuch Mata, miał jedynie rozproszyć przeciwnika. Czując niemal pogardę, Mat jednym końcem pałki uderzył go w nadgarstek, a kiedy miecz wypadł tamtemu z ręki, drugim końcem trzasnął w czoło. Kiedy mężczyzna padał, jego oczy wywróciły się do góry, ukazując białka.

Kątem oka Mat dostrzegł, jak kobieta idzie w jego stronę i, niczym ostrze noża, wyciągnął w jej kierunku wyprostowany palec.

— Nosisz znakomite szaty jak na złodzieja, kobieto! Usiądź i poczekaj, aż zdecyduję, co z tobą zrobić, albo. . .

Równie zaskoczona jak Mat, spojrzała na nóż, który nagle utkwiał w jej gardle, i wykwitł czerwonym kwiatem upływającej krwi. Zrobił pół kroku do przodu, by pochwycić padające ciało, zdawał sobie jednak sprawę, że na nic się to już nie zda. Jej długi płaszcz owinął się wokół ciała, odstawiając jedynie twarz i rękojeść noża 'Thoma.

— Żebyś szczeł — wymamrotał Mat. — Żebyś szczeł, Thomie Merrillin! Kobietę! Światłości, mogliśmy ją związać, a jutro, w Caemlyn przekazać w ręce Gwardzistów Królowej. Światłości, mogłem nawet puścić ją wolno. Bez tych trzech, nikogo już by nie obrabowała, a jedynemu z nich, który przeżył, zabierze wiele dni, zanim przestanie widzieć podwójnie i miesiące, nim weźmie w rękę miecz. Żebyś szczeł, Thom, nie było potrzeby jej zabijać!

Bard pokuśtykał do miejsca, gdzie leżała kobieta i nogą rozsunał poły jej

płaszcz. Z martwej dłoni wysunął się sztylet, szeroki jak kciuk Mata i długi na dwie dłonie.

— Wolałbyś raczej poczekać, aż umieści to między twymi żebrami, chłopcze? Wyciągnął własny nóż, wycierając jego ostrze w płaszcz zabitej.

Mat zdał sobie sprawę, że nuci: „Nosila maskę, która skrywała jej twarz” i przyłapał się na tym, natychmiast przestał. Pochylił się i nakrył jej twarz kapturem płaszcza.

— Powinniśmy ruszać — powiedział cicho. — Nie mam ochoty tłumaczyć wszystkiego, jeżeli nadarzy się akurat jakiś patrol Gwardii Królowej.

— Biorąc pod uwagę rzeczy, jakie miała na sobie? zaoponował Thom. — Nie sądzę, byśmy mieli większe kłopoty! Musieli obrabować żonę kupca, albo jakiś powóz szlachcianki.

W jego głosie pojawiły się delikatniejsze tony.

— Jeżeli mamy jechać, chłopcze, lepiej zacznij siodłać swego konia.

Mat wzdrygnął się i odwrócił spojrzenie od ciała kobiety.

— Tak, lepiej będzie jak się za to zabiorę, nieprawdaż?

Nie spojrzał na nią ponownie.

W stosunku do mężczyzn nie miał takich skrupułów. Zawsze uważał, że mężczyzna, który postanowił obrabować i zabić, zasługiwał na to, co go spotykało, gdy jego zamiar kończył się niepowodzeniem. Nie zatrzymywał dłużej wzroku, ale też nie uciekał oczyma, gdy spojrzenie jego padło na kogoś ze zbójców. Dopiero po tym, jak osiodłał swego wałacha i przymocował rzeczy za siodłem, oraz nogą zasypał ogień, zorientował się, że patrzy na człowieka z kuszą. W jego rysach było coś znajomego, gdy gasnący ogień kładł cienie na twarzy.

„Szczęście — powiedział do siebie. — Jak zawsze, szczęście.”

— Kusznik był dobrym pływakiem, Thom — oznajmił, wspinając się na siodło.

— Co za głupstwa teraz znowu wygadujesz? — Bard również zdążył już dościsnąć konia i znacznie bardziej zajmowało go bezpieczne zamocowanie instrumentów przy siodle, niżli losy zabitych. — Skąd możesz wiedzieć, czy w ogóle umiał pływać?

— W samym środku nocy dotarł do brzegu Erinin, skacząc z małej łódki. Myślę, że w ten sposób wykorzystał całe przysługujące mu szczęście.

Ponownie sprawdził zamocowanie rulonu z fajerwerkami.

„Jeśli ten głupiec mógł wziąć jeden z nich za Aes Sedai, zastanawiam się, co by sobie pomyślał, gdybym odpalił wszystkie.”

— Jesteś pewien, chłopcze? Szanse, że był to ten sam człowiek... Cóż, nawet ty nie przyjąłbyś takiego zakładu.

— Jestem pewien, Thom.

„Elayne, skręć ci kark, kiedy wpadniesz w moje ręce. A wam, Nynaeve i Egwene, również.”

— I pewien jestem, że zamierzam oddać ten przeklęty list w godzinę po tym, jak znajdziemy się za murami Caemlyn.

— Powiedziałem ci, że w tym liście nic nie ma, chłopcze. Grałem w *Daes Dae'mar*, kiedy byłem jeszcze młodszy od ciebie i potrafię rozpoznać kod lub szyfr, nawet wówczas, gdy nie umiem go złamać.

— Cóż, nigdy nie grałem w twoją Wielką Grę, Thom, w twoją przeklętą Grę Domów, ale wiem, kiedy mnie ktoś ściga, a nie ścigano by mnie tak daleko i tak nieustępliwie wyłącznie dla pieniędzy jakie mam w kieszeni, nie ścigano by mnie w ten sposób dla czegoś mniej cennego, niżli szkatuła pełna złota.

„Niech szczenę, piękne dziewczyny oznaczają dla mnie zawsze kłopoty.”

— Czy po tym wszystkim czujesz się jeszcze śpiący?

— Spalbym jak nowo narodzone niemowlę, chłopcze. Ale skoro chceszjechać, jadę.

Twarz pięknej kobiety nie opuszczała myśli Mata, z jej gardła sterczał sztylet.

„Nie miałaś szczęścia, piękna pani.”

— A więc jedźmy! — krzyknął dziko.

# CAEMLYN

Mat zachował niejasne tylko wspomnienia ze swej pierwszej wizyty w Caemlyn, ale kiedy dwie godziny po wschodzie słońca przybyli do miasta, zdało mu się, że nie był tutaj nigdy przedtem. Od pierwszego brzasku nie byli na drodze sami, otaczali ich teraz inni jeźdźcy, karawany kupieckich wozów i piesi, wszyscy kierowali się w stronę metropolii.

Miasto, pobudowane na wysokich wzgórzach, było z pewnością tak wielkie jak Tar Valon, a za potężnymi murami — wysokimi na pięćdziesiąt stóp, zbudowanymi z bladoszarego kamienia, pokrytego paskami bieli i srebra, które skrzyły się w słońcu, podzielonymi wysokimi, okrągłymi wieżami, a na każdej z nich powiewał Sztandar Lwa Andoru, białego na czerwonym tle — poza tymi murami, zdawało się, jakby rozłożyło się kolejne wielkie miasto i owinęło dookoła tamtego, całe pobudowane z czerwonej cegły, starego kamienia i na biało gipsowanych ścian. Znajdowały się tam gospody wciśnięte między trzy-, czteropiętrowe domy tak znakomite, iż musiały należeć do bardzo bogatych kupców, stragany z towarami wystawionymi na stołach pod markizami, skupione pod ścianami szerokich, pozbawionych okien magazynów. Otwarte targi, kryte czerwoną i szkarłatną dachówką z obu stron ograniczały drogę, mężczyźni i kobiety już od samego brzasku wykrzykiwali swe ceny, targując się co sił w płucach, podczas gdy stłoczone w zagrodach cielęta, kozy, owce i świnie, zamknięte w klatkach gęsi, kurczęta i kaczki podnosiły jeszcze większy ogłuszający zgiełk. Zdawało mu się, że pamięta Caemlyn jako zbyt głośnie miasto, ale teraz jego głos brzmiał niczym rytmiczny łomot serca olbrzyma, serca pompującego bogactwo.

Droga doprowadziła ich do sklepionej łukiem bramy, wysokiej na dwadzieścia stóp, teraz otwartej na oścież, choć strzeżonej czujnym okiem Gwardzistów Królowej w czerwonych kaftanach i lśniących napierśnikach. Jemu i Thomowi poświęcili tyleż uwagi co pozostałym, nawet pałka, którą przełożył przez siodło przed sobą nie skupiła na sobie ich wzroku; wyglądało, jakby dbali jedynie o to, aby ludzie nie zatrzymywali się w bramie — i już byli w środku. Wysmukłe wieże miasta wznosiły się wyżej nawet niż te, które wbudowano w jego mury obronne, lśniące kopuły błyszczały bielą i złotem ponad zatłoczonymi ulicami. Właściwie już w samej bramie droga dzieliła się na dwie równoległe ulice, pomiędzy nimi

biegł szeroki pas trawy i drzew. Wzgórza miasta niczym schody wznosiły się ku najwyższemu szczytowi, który otaczał kolejny mur, lśniący bielą jak Tar Valon, obejmując następne kopuły i wieże. To było Wewnętrzne Miasto, przypomniał sobie Mat, a na tych najwyższych wzgórzach wznosił się Pałac Królewski.

— Nie ma sensu, żebyśmy zwlekali — zwrócił się do Thoma. — Zaniose list od razu.

Objął spojrzeniem lektyki i powozy, przeciskające się przez tłum, sklepy z wystawionymi towarami.

— Człowiek może w tym mieście zdobyć trochę złota, Thom, jeżeli uda mu się trafić w miejsce, gdzie grają w kości lub karty.

Do kart nie miał tyle szczęścia jak do kości, ale przecież i tak niewielu w nie grało poza szlachtą i bogatymi kupcami.

„Tak, teraz właśnie z nimi powinienem zagrać.”

Thom odwrócił się w jego stronę, ziewnął i poklepał swój płaszcz barda, jakby to był koc.

— Jechaliśmy całą noc, chłopcze. Najpierw poszukajmy czegoś do zjedzenia. W „Błogosławieństwie Królowej” dobrze gotują. — Ziewnął ponownie. — Mają też wygodne łóżka.

— Pamiętam — powiedział z namysłem Mat. Rzeczywiście, trochę pamiętał. Karczmarz był gruby i miał siwe włosy, nazywał się pan Gill. Tam właśnie Moiraine znalazła jego i Randa, kiedy już myśleli, że udało im się przed nią uciec.

„Ale teraz jej tu nie ma. Gra w swoje gry z Randem. Nic mnie z nią już nie łączy. Już nigdy więcej.”

— Znajdę cię tam, Thom. Postanowiłem, że pozbędę się tego listu w ciągu godziny po przyjeździe do miasta i mam zamiar dotrzymać słowa. Ty możesz jechać.

Thom pokiwał głową i zawrócił konia, ziewając krzyknął jeszcze do niego przez ramię:

— Nie zgub się, chłopcze. Caemlyn to wielkie miasto.

„I bogate. — Mat wbił obcasy w boki swego wierzchowca i poprowadził go przez zatłoczoną ulicę. — Zgubić się! Potrafię znaleźć swoją przeklętą drogę.”

Było tak, jakby choroba wymazała część jego pamięci. Mógł spojrzeć na gospodę, na jej pierwsze piętro wystające ponad parterem, na godło skrzypiące w podmuchach wiatru i przypomnieć sobie, że już ją wcześniej widział, ale nie rozpoznawał żadnej innej rzeczy, którą można było dostrzec z miejsca, w którym się znajdował. Odcinek ulicy długości stu kroków potrafił rozbłysnąć wspomnieniem, jednak poprzedzające go i następujące po nim partie były równie nieodgadnione jak kości wciąż jeszcze znajdujące się w kubku.

Jednak mimo luk w pamięci, pewien był, że nigdy nie zdarzyło mu się wejść na obszar Wewnętrznego Miasta albo do Pałacu Królewskiego. . .

„Tego bym przecież nie zapomniał!”



... ale nie miał najmniejszych kłopotów ze znalezieniem drogi. Ulice Nowego Miasta — zupełnie zniecka przypominał sobie tę nazwę, oznaczała część Camlyn, która miała mniej niż dwa tysiące lat — krzyżowały się we wszystkich kierunkach, jednak wszystkie główne bulwary wiodły do Wewnętrznego Miasta. Gwardziści, stojący przy bramach, z całkowitą obojętnością przepuszczali wszystkich do środka.

Wewnątrz tych białych ścian wznosiły się budowle, które nie raziłyby nawet w Tar Valon. Kręte ulice prowadziły na szczyty wzgórz, obok wysmukłych wież, których wyłożone płytkami ściany rozbłyskiwały w słońcu setką kolorów, inne otwierały widok na ogrody, których wzór zaplanowano tak; aby widoczny był wyłącznie z góry, wreszcie ukazywały wijące się perspektywy, wiodące przez całe miasto aż na pofałdowane równiny i znajdujące się za nimi lasy. Tak naprawdę nie miało znaczenia, którą ulicę wybierze. Wszystkie wiodły spiralnymi zakrętami do miejsca, które stanowiło cel jego wędrówki, do Królewskiego Pałacu Andoru.

Po upływie czasu nie wartego nawet wzmianki, znalazł się na placu przed Pałacem, jechał teraz ku jego wysokim, złożonym bramom. Ze swymi wysmukłymi wieżami i lśniącoymi w słońcu złotymi kopułami, śnieżnobiały Pałac Andoru z pewnością mógłby znaleźć się wśród cudów Tar Valon. Złoty liść zerwany spośród zdobień jednej tylko kopuły pozwoliłby mu na rok życia w luksusie.

Na placu było znacznie mniej ludzi niżli w pozostałych miejscach, jakby obecność tutaj zarezerwowana była jedynie na szczególne okazje. Kilkunastu Gwardzistów stało przed zamkniętą bramą, błyszczące napierśniki pod idealnie równym kątem przecinały cięciwy łuków, twarze kryły stalowe kraty przyłbic ich wypolerowanych hełmów. Potężnie zbudowany oficer, z czerwonym płaszczem odrzuconym do tyłu, by odsłonić wyraźnie węzeł złotego galonu na ramieniu, spacerował w tę i z powrotem wzdłuż szeregu, przypatrując się uważnie każdemu żołnierzowi, jakby spodziewał się odnaleźć smugę kurzu na mundurze lub plamkę rdzy na zbroi.

Mat ściągnął wodze i uśmiechnął się.

— Dobrego dnia życzę, kapitanie.

Oficer odwrócił się, przez kraty przyłbicy spojrzały nań głębokie, okrągłe oczy, niczym dwa tłuste szczury, zamknięte w klatce. Żołnierz okazał się starszy, niż można było przypuszczać — z pewnością wystarczająco stary, by posiadać więcej niżli tylko jeden węzeł szarzy — a jego masywna sylwetka zawdzięczała swój imponujący wygląd warstwie tłuszczu raczej, niżli mięśni.

— Czego chcesz, wieśniaku? — zapytał szorstko.

Mat wciągnął powietrze.

„Nie zepsuj tego. Zrób odpowiednie wrażenie na tym głupcu, aby nie kazał ci czekać cały dzień. Nie chcę świecić wszystkim w oczy dokumentem Amyrlin tylko dlatego, by nie deptali mi po palcach.”

— Przybywam z Tar Valon, z Białej Wieży, wiozę list od...

— Ty przyjechałeś z Tar Valon, wieśniaku? — Tłustym brzuchem oficera wstrząsnęły spazmy śmiechu, ale po chwili śmiech urwał się jak ucięty nożem, a oczy tamtego rozbłysły. — Nie chcemy żadnych listów z Tar Valon, hultaju, nawet gdybyś naprawdę miał coś takiego przy sobie! Nasza dobra Królowa... niech ją Światłość oświeca...! nie przyjmie żadnego posłańca z Białej Wieży, dopóki nie wróci do niej Córka-Dziedziczka. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby posłaniec z Wieży nosił spodnie i kaftan wieśniaka. Jest dla mnie jasne, że chcesz mnie oszukać, być może pomyślałeś sobie, że zdobędziesz kilka monet, jeżeli powiesz, że przywozisz list, ale będziesz miał szczęście, jeżeli nie skończysz w celi więziennej! Jeżeli naprawdę przyjechałeś z Tar Valon, to wróć tam i każ Wieży odesłać z powrotem Córkę-Dziedziczkę, zanim my sami nie wyprawimy się tam by ją odebrać! Jeżeli jesteś oszustem, któremu chodzi tylko o srebro, zjedź mi z oczu, zanim stłukę cię tak, że zapomnisz, jak się nazywasz! W każdym razie, wynoś się, cymbale bez piątej klepki!

Od początku przemowy tamtego Mat próbował wtrącić choć jedno słowo. Teraz powiedział szybko:

— Ten list jest właśnie od niej, człowieku. Od...

— Nie powiedziałem ci, żebyś się wynosił, łotrze? — ryknął grubas. Jego twarz powoli zaczynała upodabniać się barwą do czerwonego kaftana. — Zabieraj mi się z oczu, żebraku! Jeżeli jeszcze tu będziesz, kiedy doliczę do dziesięciu, każę cię aresztować za zanieczyszczanie placu swoją obecnością! Raz! Dwa!

— Nie musisz liczyć aż do dziesięciu, gruby głupcze — warknął Mat. — Powiedziałem ci, że Elayne wysłała...

— Straże! — Twarz oficera była już purpurowa. — Aresztować tego człowieka jako Sprzymierzeńca Ciemności!

Mat wahał się przez moment, pewien, że nikt nie potraktuje poważnie takiego oskarżenia, ale odziani w czerwień Gwardziści skoczyli w jego stronę, wszyscy naraz, błyskając napierśnikami i hełmami, tak, że musiał zawrócić konia i teraz gnał, uciekając przed nimi, ścigany krzykami tłustego oficera. Wałach w ogóle nie nadawał się na konia wyścigowego, jednakże pieszych udało mu się prześcignąć dość łatwo. Na krętych ulicach ludzie uskakiwali mu z drogi, wymachując w ślad za nim pięściami i miotając przekleństwa równie gorliwie jak przedtem tamten.

„Głupiec — pomyślał, odnosząc to pierwotnie do oficera, potem jednak powtórzył to miano, tym razem nazywając tak siebie. — A trzeba mi było tylko zaraz, na początku, wymienić jej imię: "Elayne, Córka-Dziedziczka Andoru, przysłała list do swej matki, królowej Morgase." Światłości, kto by pomyślał, że tak zareagują na nazwę Tar Valon.”

Z tego, co pamiętał ze swego ostatniego pobytu, szacunkiem Gwardii cieszyły się Aes Sedai oraz Biała Wieża zaraz w kolejności za królową Morgase.

„Żebyś szczeła, Elayne, mogłaś mi o tym powiedzieć. — Niechętnie dodał: — Ja również mogłem zapytać.”

Zanim dotarł do sklepionych łukami bram, które prowadziły do Nowego Miasta, zwolnił. Teraz jechał stępa. Nie sądził, by Gwardziści z Pałacu wciąż go jeszcze ścigali, nie było więc sensu przyciągać uwagi tych, którzy stali przy bramie jakąś karkołomną galopadą. Kiedy ich mijał, nie przyglądali mu się bardziej uważnie, niżli za pierwszym razem.

Przejeżdżając pod szerokim łukiem uśmiechnął się, i nieomal nie zawrócił. Nagle przypomniał sobie coś i to go naprowadziło na pomysł, który przemawiał do niego znacznie bardziej niżli próba wjechania do środka przez bramy Pałacu. Nawet gdyby nie strzegł ich ów tłusty oficer i tak zamiar, który przyszedł mu do głowy, przedstawiał się w jego oczach znacznie bardziej atrakcyjnie.

Szukając „Błogosławieństwa Królowej” zgubił się dwukrotnie, ale na koniec wreszcie zobaczył godło, przedstawiające mężczyznę, klęczącego przed kobietą o rudozłotych włosach, w koronie na głowie, kobieta trzymała swą dłoń na jego czole. Gospoda mieściła się w trzypiętrowym, szerokim budynku z wysokimi oknami, rozmieszczonymi równo pod czerwoną dachówką. Pojechał na tyły zabudowań, do stajni, a tam człowiek o końskiej twarzy, w skórzanym kaftanie, którego faktura nie była chyba bardziej szorstka od jego cery, odebrał od niego wodze rumaka. Przyszło mu do głowy, że chyba pamięta tego człowieka.

„Tak. Ramey.”

— Minęło dużo czasu, Ramey. — Mat rzucił mu srebrną markę. — Pamiętasz mnie, nieprawdaż?

— Nie mogę tego powiedzieć, skoro... — zaczął Ramey, potem dostrzegł błysk srebra tam, gdzie spodziewał się miedzi. Zakaszłał i spróbował zmienić lakoniczne skinienie głowy w coś pośredniego między potarciem czoła dłonią a niezgrabnym ukłonem. — Cóż, oczywiście, że pamiętam, młody panie. Proszę mi wybaczyć. Wypadło mi z głowy. Nie mam dobrej pamięci do ludzi. Nie to, co do koni. Znam się na koniach, naprawdę. Piękne zwierzę, młody panie. Dobrze zadbam o niego, możesz być pewien.

Wszystko to wypluł z siebie szybko, jednym nieprzerwanym strumieniem tak, że Mat nie mógł wtrącić słowa, potem pośpiesznie zaprowadził wałacha do stajni, zanim mogłoby się okazać, że w istocie nie wie, jak „młody pan” ma na imię.

Mat, nieco skwaszony, wziął pod pachę tobołek z fajerwerkami, a resztę swego dobytku zarzucił na ramię.

„Człowiek nie byłby w stanie odróżnić mnie od paznokci u stóp Hawkinga.”

Za tylnymi drzwiami siedział na odwróconej dnem do góry baryłce potężnie zbudowany, muskularny mężczyzna i delikatnie drapał za uchem biało-czarnego kota, który przycupnął na jego kolanie. Mierzył przez chwilę uważnie Mata spojrzeniem spod ciężkich powiek, w szczególności zaś zwrócił uwagę na pałkę przewieszoną przez plecy, ale nawet na moment nie przerwał swego zajęcia. Mat doszedł do wniosku, że jego również pamięta, nie potrafił jednak przypomnieć sobie imienia. Przeszedł więc przez drzwi, nie odezawszy się ani słowem, tamten

również milczał.

„Nie ma żadnego powodu, żeby mnie pamiętali. Zapewne każdego dnia przeklęte Aes Sedai przychodzą tu po jakichś ludzi.”

W kuchni dwie podkuchenne i troje służących biegało między piecami i różnami w myśl poleceń okrągłej kobiety z włosami związanymi w koszyczek i długą drewnianą łyżką w dłoni, której używała, by wskazać to, co chciała, aby właśnie zrobiono. Mat był pewien, że ją pamięta.

„Coline, cóż za imię dla tak wielkiej kobiety, ale wszyscy nazywali ją Kuchar-ką.”

— A więc Kucharko — oznajmił — wróciłem, i nie upłynął nawet rok, odkąd wyjechałem.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem pokiwała głową.

— Pamiętam cię. — Już zaczynał się uśmiechać. Byłeś z tym młodym księciem, nieprawdaż? — ciągnęła dalej. — Z tym, który wyglądał jak Tigraine, niech Światłość opromienia jej pamięć. Jesteś jego służącym, czy tak? A więc on wraca, ów młody książę?

— Nie — odrzekł grzecznie.

„Książę! Światłości!”

— Nie sędzę, aby miał szybko wrócić i nie sędzę również, żeby wam się to spodobało, gdyby jednak wrócił.

Protestowała, rozwodząc się nad tym, jakim to dobrym i przystojnym młodym człowiekiem był książę. . .

„Niech szczenę, czy jest gdzieś w ogóle choć jedna kobieta, która nie będzie z rozmarzeniem rozwodzić się nad Randem i robić cielecych oczu, gdy tylko padnie jego przeklęte imię? Podniosłaby wielki krzyk, gdyby wiedziała, co on teraz robi.”

. . . ale nie pozwolił jej wypowiedzieć się do końca.

— Czy pan Gill jest gdzieś w pobliżu? A Thom Merrilin?

— Są w bibliotece — powiedziała z lekkim sapnięciem. — Powiedz Baselowi Gillowi, kiedy go zobaczysz, że te dreny muszą zostać wyczyszczone. I to dzisiaj.

Kątem oka dostrzegła, jak jedna z jej podkuchennych robi coś z pieczeniem, nie spodobało się jej to, więc pomachała w jej stronę łyżką.

— Nie tak dużo, dziecko. Mięso stanie się zbyt słodkie, jeżeli dodasz zbyt dużo arrathu.

Wyglądała, jakby zdążyła już zapomnieć o istnieniu Mata.

Kręcąc głową, poszedł na poszukiwanie tej biblioteki, której w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Nie pamiętał również, żeby Coline miała być żoną pana Gilla, ale nikt, kto chociaż raz słyszał żonę wydającą mężowi polecenia, nie mógł się w tej kwestii pomylić. Służąca, którą spotkał po drodze — ładna, z dużymi oczyma — zachichotała i skierowała go w stronę korytarza biegnącego obok wspólnej sali.

Kiedy wszedł do biblioteki; aż stanął jak wryty z wytrzeszczonymi oczyma. Na wbudowanych w ściany półkach musiało znajdować się ponad trzysta tomów, a jeszcze kolejne piętrzyły się na stołach; nigdy dotąd nie widział tylu książek. Spozrzegł pomiędzy nimi oprawioną w skórę kopię „*Podróży Jaima Długi Krok*”, spoczywającą na małym stoliku przy drzwiach. Zawsze miał ochotę ją przeczytać — Rand i Perrin opowiadali mu często wyjątki z tych opowieści — ale zazwyczaj nie udawało mu się znaleźć czasu na przeczytanie książek, z którymi chciał się zapoznać.

Basel Gill z różową twarzą oraz Thom Merrillin siedzieli naprzeciw siebie przy jednym ze stołów i pochylali się nad planszą do gry w kamienie, z fajek, które trzymali w zębach sączyły się smużki sinego dymu. Łaciata kotka siedziała na blacie stołu obok drewnianego kubka do kości i owinąwszy ogonem nogi, przyglądała się grze. Płaszcz barda nie było nigdzie widać, więc Mat doszedł do wniosku, iż znajduje się on już w przydzielonym im pokoju.

— Poradziłeś sobie szybciej, niż się spodziewałem, chłopcze — powiedział Thom zza chmury fajkowego dymu. Szarpał wąsa, zastanawiając się, na której z krzyżujących się linii planszy umieścić kolejny kamień. — Basel, pamiętasz Mata Cauthona?

— Pamiętam — mruknął gruby karczmarz, wpatrując się w planszę. — Ostatnim razem, przypominam sobie, nie byłeś zdrowy, chłopcze. Mam nadzieję, że teraz jest już z tobą lepiej.

— Czuję się znacznie lepiej — odrzekł Mat. — I to wszystko, co pamiętasz? Że byłem chory?

Pan Gill zamrugał, kiedy Thom wykonał swój ruch i wyjął fajkę z ust.

— Biorąc pod uwagę, w którym towarzystwie opuściłeś to domostwo, chłopcze, oraz obecny stan spraw, być może lepiej, że nie pamiętam nic więcej.

— Aes Sedai nie są teraz tu najlepiej widziane, nieprawdaż? — Mat złożył swe rzeczy w wielkim fotelu, pałkę wsparł o jego oparcie, sam zaś zasiadł w drugim, przerzucając nogę przez poręcz. — Gwardziści w Pałacu najwyraźniej byli przekonani, że Biała Wieża porwała Elayne.

Thom niespokojnie spojrział na zwój zawierający fajerwerki, potem przeniósł wzrok na swoją fajkę i wymruczał coś pod nosem, nim powrócił do studiowania planszy.

— Tak chyba nie myślą — stwierdził Gill — ale całe miasto wie, że ona zniknęła z Wieży. Thom przekonywał mnie, że już wróciła, do nas jednak nie dotarły na ten temat żadne wieści. Być może Morgase wie, jednak wszyscy na dworze, aż do chłopców stajennych włącznie, starają się stąpać najciszej jak tylko można, aby nie przyszło jej przypadkiem na myśl pozbawić kogoś głowy. Lordowi Gabrilowi jak dotąd udawało się powstrzymać ją przed oddaniem kogoś naprawdę w ręce kata, ale nie byłbym pewien, czy w końcu tak się nie stanie. A z pewnością nie udało mu się ułagodzić jej złości na Tar Valon. Jeżeli cokolwiek osiągnął, to

sądzę, że podsycił ją tylko.

— Morgase ma nowego doradcę — wtrącił Thom sucho. — Gareth Bryne nie lubił go, dlatego też wysłany został do swej posiadłości, aby obserwował, jak owce porastają wełną. Basel, masz zamiar położyć ten kamień, czy nie?

— Za chwileczkę, Thom. Za chwileczkę. Chciałbym rozważyć ten ruch.

Gill zagryzł fajkę w zębach i marszcząc brwi, wbił wzrok w planszę, wydmuchując jednocześnie kłęby dymu.

— A więc królowa ma doradcę, który nie lubi Tar Valon — powiedział Mat. — Cóż, to wyjaśnia, dlaczego Gwardziści tak mnie potraktowali, kiedy oznajmiłem, że przybywam stamtąd.

— Jeżeli tak im naprawdę powiedziałaś — skomentował Gill — to możesz mówić o szczęściu, skoro udało ci się uciec, zachowując całe kości. W każdym razie, jeśli trafiłeś na któregoś z nowych żołnierzy. Gaebril zastąpił połowę Gwardzistów w Caemlyn ludźmi, których sam wybrał, a nie jest to mała sztuka, zważywszy jak krótko przebywa w mieście. Niektórzy powiadają, że Morgase może go poślubić.

Spojrzał na planszę, na kamień, który miał zamiar na niej położyć, potem pokręcił głową i cofnął dłoń.

— Czasy się zmieniają. Ludzie się zmieniają. Zbyt wiele zmian jak dla mnie. Myślę, że się starzeję.

— Wygląda na to, że masz zamiar doprowadzić do tego, byśmy obaj się zestarli, zanim wreszcie położysz ten kamień — wymruczał Thom. Kotka przeciągnęła się i przeszła miękko po stole, domagając się, by ją pogłaskano po grzbiecie. — Bezustanna gadanina nie pomoże ci w odkryciu dobrego ruchu. Dlaczego po prostu nie przyznasz się do porażki, Basel?

— Nigdy się nie poddam — odparował Gill. — Jeszcze cię pokonam, Thom. — Postawił biały kamień na skrzyżowaniu dwóch linii. — Zobaczysz.

Thom parsknął.

Widząc sytuację na planszy, Mat nie sądził, by Gill miał jeszcze wielkie szanse na wygraną.

— Muszę po prostu zmylić Gwardzistów i doręczyć list Elayne do rąk własnych Morgase.

„Zwłaszcza jeżeli pozostali są tacy sami jak ten tłusty głupiec. Światłości, zastanawiam się, czy on zdążył wszystkim opowiedzieć, że jestem Sprzymierzeńcem Ciemności?”

— Nie doręczyłeś go? — warknął Thom. — Sądziłem, że chciałeś się za wszelką cenę go pozbyć.

— Masz ze sobą list od Córki-Dziedziczki? — wykrzyknął Gill. — Thom, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

— Przepraszam, Basel — wymamrotał bard. Patrzył na Mata spod tych swoich krzaczastych brwi i dmuchał w wąsy. — Chłopiec sądził, że ktoś chce go zabić

z powodu tego listu, dlatego pomyślałem, że będę mówił tylko tyle, ile sobie życzy, nie więcej. Wygląda na to, że już mu na tym nie zależy.

— Co to za list? — zapytał Gill. — Czy ona wraca? A lord Gawyn? Mam nadzieję, że tak. Niedawno naprawdę słyszałem plotki o wojnie z Tar Valon, jakby ktoś mógł być tak głupi, by walczyć z Aes Sedai. Jeżeli chcecie znać moje zdanie, wszystko przez te szalone pogłoski o poparciu Aes Sedai dla fałszywego Smoka gdzieś na zachodzie i wykorzystywaniu Mocy w charakterze broni. Nie twierdzą przez to, żebym rozumiał, dlaczego to miałyby sprowokować kogoś do wypowiedzenia im wojny, wręcz przeciwnie.

— Wzięłeś ślub z Coline? — zapytał zniecierpliwiona Mat, a pan Gill wzdrygnął się.

— Niech mnie Światłość przed tym broni! Już teraz ktoś mógłby z łatwością pomyśleć, że gospoda należy do niej. Gdyby jeszcze była moją żoną...! A co to ma wspólnego z listem Córki-Dziedziczki?

— Nic — odpowiedział Mat — ale rozgadałeś się tak, że osądziłem, iż zapomniałeś o swoich pytaniach.

Gill wydobył z gardła taki odgłos, jakby się zakrztusił, a Thom wybuchnął otwartym śmiechem. Mat zaś pośpiesznie ciągnął dalej, zanim karczmarz zdążył ponownie się odezwać.

— List jest zapieczętowany, Elayne nie powiedziała mi, co jest w środku.

Thom spojrział nań z ukosa, głaszcząc jednocześnie wąsa.

„Czy on uważa, że przyznam się, iż go otworzyliśmy?”

— Ale nie wydaje mi się, by wracała do domu. Myślę, że ona postanowiła zostać Aes Sedai.

Opowiedział im o swojej próbie dostarczenia listu, pomijając jednocześnie te fragmenty całej przygody, które mogły postawić go w niekorzystnym świetle, a o których nie musieli przecież wiedzieć.

— Nowi żołnierze — skonstatował Gill. — Przynajmniej ten oficer na takiego wygląda. Mogę się założyć. Większość z nich jest niewiele lepsza od zwykłych rozbójników. Powinieneś poczekać aż minie południe, chłopcze, wtedy zmieniają się warty przy bramie. Wypowiedz od razu imię Córki-Dziedziczki, a na wypadek gdyby nowy oficer również był jednym z ludzi Gaebriela, zegnij trochę karku. Ręka do czoła i nie będziesz miał żadnych kłopotów.

— Niech szczęzę, jeżeli tak zrobię. Dla nikogo nie będę uległy. Nawet dla samej Morgase. Tym razem w ogóle nie będę przechodził koło Gwardzistów.

„Wolę już nie wiedzieć, co naopowiadał o mnie tamten człowiek.”

Patrzyli na niego, jakby nagle oszalał.

— Jak, na Światłość — powiedział wreszcie Gill masz zamiar dostać się do Pałacu Królewskiego, nie przechodząc obok Gwardzistów? — Jego oczy rozszerzyły się, jakby sobie nagle coś przypomniał. — Światłości, nie masz zamiaru chyba... Chłopcze, potrzebne ci będzie szczęście samego Czarnego, aby ujść z życiem!

— O czym ty mówisz, Basel? Mat, jakież to durny zamiar ulął się w twej głowie?

— Mam szczęście, panie Gill — odrzekł Mat. — Kiedy wrócę, chcę, by czekał na mnie dobry posiłek.

Wstał, sięgnął po kubek z kośćmi i rzucił na szczęście tuż obok planszy do gry w kamienie. Łaciata kotka odskoczyła gwałtownie, wygięła grzbiet w łuk i zasyzczała. Pięć kości zatrzymało się wreszcie, każda pokazywała jedno oczko.

„Oczy Czarnego.”

— To jest najlepszy rzut, ale może też być najgorszy — skonstatował Gill. — To zależy od rodzaju gry, nieprawdaż? Chłopcze, sądzę, że masz zamiar zagrać w niebezpieczną grę. Dlaczego zamiast tego nie weźmiesz tego kubka do wspólnej sali i nie stracisz paru miedziaków? Wyglądasz mi na człowieka, który lubi czasami sobie zagrać. Ja zajmę się tym, aby list dotarł bezpiecznie do Pałacu.

— Coline chce, żebyś oczyścił dreny — uciał Mat i odwrócił się do Thoma, karczmarz zaś wciąż mrugał szeroko otwartymi oczyma i mruczał coś do siebie. — Chyba nie trzeba się zakładać o to, czy dostanę strzałę podczas próby doręczenia tego listu, czy nożem w plecy, gdy będę czekał na nie wiadomo co. Wychodzi sześć za i pół tuzina przeciwko. Przypilnuj po prostu, żeby ten posiłek na mnie czekał, Thom.

Rzucił na stół złotą markę, pod sam nos Gilla.

— Chciałbym, żeby moje rzeczy odniesiono do pokoju, gospodarzu. Jeżeli opłata za wszystkie usługi okaże się wyższa, otrzymasz ode mnie jeszcze kilka monet. Uważaj z tym wielkim zwojem, przeraził Thoma strasznie.

Kiedy wychodził z pomieszczenia, posłyszał jeszcze, jak Gill mówi do Thoma:

— Zawsze sądziłem, że z tego chłopaka jest niezły łotr. Skąd on zdobył złoto?

„Zawsze wygrywam, oto w jaki sposób je zdobyłem pomyślał posępnie. — Muszę wygrać jeszcze raz i zakończyć sprawę z Elayne oraz z Białą Wieżą. Jeszcze tylko raz.”



## WIADOMOŚĆ Z CIENIA

Nawet wtedy, gdy już znalazł się w Wewnętrznym Mieście, wędrując tym razem pieszo, daleki był od całkowitego przekonania, że to, co sobie wymyślił, rzeczywiście sprawdzi się w praktyce. Wszystko powinno się udać, jeżeli prawdziwie go poinformowano, to właśnie jednak nie było do końca pewne. Ominął owalny plac, znajdujący się przed frontonem Pałacu i poszedł wokół ścian, chroniących ogromną budowlę oraz bezpośrednio przylegające do niej tereny, po ulicach, które zakręcały, dopasowując swoje krzywizny do konturów wzgórz. Złote kopuły Pałacu lśniły szydercze w swej niedosiężności. Właściwie obszedł Pałac niemalże dookoła, prawie docierając z powrotem na plac, kiedy wreszcie to zobaczył. Stromy stok, porośnięty gęsto płozącym się kwieciem, wznosił się od ulicy aż do białego muru z nierównych kamieni. Ponad szczyt muru wystawały obficie pokryte liśćmi gałęzie, wierzchołki kolejnych drzew mógł z łatwością dojrzeć, patrząc dalej, w głąb ogrodów Królewskiego Pałacu.

„Mur wykonano tak, aby przypominał skalne urwisko — pomyślał — z ogrodem po drugiej stronie. Być może Rand powiedział prawdę.”

Ostrożne spojrzenie w każdą stronę upewniło go, że w tej chwili znajduje się zupełnie sam na łuku ulicy. Powinien się pośpieszyć; kręte ulice ograniczały pole widzenia, w każdej chwili ktoś mógł nadejść. Na czworakach wspiął się po zboczu, nie dbając, że jego buty rozrywają poszycie z czerwonego i białego kwiecia. Nierówny kamień muru tworzył mnóstwo uchwyty dla palców, a liczne wypukłości i szczeliny w jego powierzchni stanowiły znakomite ułatwienie nawet dla obutych stóp.

„To kompletna beztroska z ich strony, że wszystko jest takie łatwe” — myślał, wspinając się.

Na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, wspinaczka przywiodła mu na myśl odległe czasy, kiedy jeszcze mieszkał w Dwu Rzekach i wraz z Randem oraz Perinem wyprawił się poza Piaskowe Wzgórza aż na skraj Gór Mgły. Po powrocie do Pola Emonda czekała na nich wprawdzie awantura, i to ze strony każdego, komu wpadli w ręce — jemu dostało się najbardziej, wszyscy bowiem sądzili, że był pomysłodawcą wyprawy — ale przez trzy dni wspinali się wówczas na urwiste zbocza, spali pod gołym niebem, jedli jajka wybierane z gniazd czerwo-

noczubów, polowali z łukiem i z procą na tłuste, szaroskrzydłe jarząbki, łowili króliki w sidła, rojąc o znalezieniu skarbów i śmiejąc się przez cały czas z tego, że w ogóle nie boją się nieszczęścia, które w opowieściach starszych zawsze spadało na śmiazków, zapuszczających się na te obszary. Z tej wycieczki przyniósł do domu dziwny kawałek skały, w której jakimś sposobem odcisnęła się czaszka sporej ryby, długie pióro ogonowe śnieżnego orła oraz biały kamień wielkości co najmniej jego dłoni, który wyglądał tak, jakby wyrzeźbiono go na kształt ludzkiego ucha. Przynajmniej on był przekonany, iż kamień przypominał ucho, nawet jeżeli Rand i Perrin byli innego zdania, ostatecznie wszak Tam al'Thor poparł właśnie jego opinię.

Palce omsknęły się na płytkim wyżłobieniu, lewa stopa straciła oparcie, zachwiał się. Jęknął cicho i przyłgnawszy ściśle do kamieni, ledwie utrzymał się na murze. Resztę drogi pokonał pełznąc. Gdy dotarł na szczyt muru, przez chwilę leżał nieruchomo, dysząc ciężko. Wprawdzie spadając z tej wysokości, znalazłby się na ziemi dość szybko, jednak z łatwością mógł sobie przy tej okazji rozbić głowę.

„Ty głupcze, pozwalasz sobie na takie rozkojarzenie. W ten sam sposób prawie zabiłem się również na tamtych urwiskach. Ale to wszystko było dawno temu.”

W każdym razie, jego matka po tysiącuroć zdążyła już mu to wszystko wypomnieć. Spojrzał po raz ostatni w każdą stronę, by upewnić się, że nikt go nie widzi — cała ulica pod nim była pusta — i skoczył w dół, na tereny pałacowe.

Ogród był olbrzymi, jego ścieżki, wyłożone płytami kamienia, wiodły przez trawę porastającą obszary między drzewami, nad nimi zwieszały się kaskady grubych splotów winorośli. I wszędzie kwiaty. Białe kwiecie pokrywające drzewa gruszy, białe z różowym nakrapianiem na jabłoniach. Róże wszelkich kolorów, jaskrawożółte żółtnice, purpurowa Sława Emonda i wiele innych, których nie potrafił rozpoznać. Co do niektórych miał nawet wątpliwości, czy są prawdziwe. Jeden, z przedziwnym kwieciami barwy szkarłatu i złota wyglądał niemalże jak ptaki kolejny nie różnił się na pozór od słonecznika, z tym że jego żółte kwiaty miały średnicę dwóch stóp i więcej, sama zaś roślina stała wsparta na tyczkach, dorównujących wysokością wzrostowi Ogrirów.

Buty zazgrzytały na kamieniach ścieżki, przykucnął za krzakami porastającymi wewnętrzną powierzchnię muru; obok przemaszerowali dwaj gwardziści; długie, białe kołnierze przykrywały im napierśniki. Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy nawet nie spojrzeli w jego stronę.

„Szczęście. Wystarczy odrobina szczęścia, a nigdy mnie nie zobaczą, przynajmniej dopóki nie wręcę tego przeklętego listu samej Morgase.”

Przemykał przez ogrody jak cień, jakby tropił króliki, zamierając za krakiem lub mocno przyciskając się do pnia drzewa, kiedy tylko słyszał odgłos kroków. Na kamiennych ścieżkach napotkał jeszcze dwukrotnie pary żołnierzy, za drugim razem znaleźli się tak blisko niego, że jeszcze dwa kroki, a wypatrzyliby go. Kie-

dy zniknęli za zasłoną kwiatów i drzew, zerwał ciemnoczerwony gwiazdobłysk i z uśmiechem wplótł sobie we włosy kwiat o falujących płatkach. To było równie zabawne jak kradzież jabłkowego placka w niedzielę, a na dodatek znacznie łatwiejsze. Kobiety zawsze uważnie strzegły swoich wypieków, głupi żołnierze nie odrywali wzroku od kamieni na ścieżkach.

Wkrótce znalazł się pod samą ścianą Pałacu i w poszukiwaniu drzwi zaczął prześlizgiwać się wokół niej, ukryty za kwitnącymi krzakami białych róż, wspinających się po zrobionych z listewek drabinkach. Tuż nad głową dostrzegł szereg łukowato sklepionych okien, osądził jednak, że gdyby przyłapano go na wspinaniu się do nich, powód jego obecności w tym miejscu stałby się znacznie trudniejszy do wyjaśnienia, niżli jego wejście przez hol. Dostrzegł kolejnych dwóch żołnierzy i zamarł — muszą przejść nie dalej jak trzy kroki od niego. Usłyszał głosy, dobiegające z okna położonego tuż nad jego głową; dwaj mężczyźni rozmawiali dostatecznie głośno, by mógł rozróżnić słowa:

— ... są w drodze do Łzy, Wielki Panie. — W głosie mężczyzny pobrzmiwało przerażenie i służalczość.

— Pozwólmy im pokrzyżować jego plany, jeśli potrafią. — Drugi głos był niższy i twardszy, głos człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. — To będzie dla niego dobra nauczka, zostać wyprowadzonym w pole przez trzy niedoświadczone dziewczyny. Zawsze był głupcem i głupcem pozostał. Są jakieś wiadomości o chłopaku? On może zniszczyć nas wszystkich.

— Nie, Wielki Panie. Zniknął. Ale, Wielki Panie, jedna z tych dziewczyn jest szczenięciem Morgase.

Mat już chciał się odwrócić, ale zamarł w pół ruchu. Żołnierze znajdowali się bliżej. Wyglądało jednak na to, że splecione ściśle pędy róż skutecznie uniemożliwiły im dostrzeżenie lekkiego poruszenia.

„Szybciej, głupcy! Wynocha stąd, chcę zobaczyć, kim jest ten przeklęty człowiek!”

Przez tę chwilę rozproszenia uwagi, część rozmowy mu umknęła.

— ... stał się nazbyt niecierpliwy, od kiedy odzyskał wolność — oznajmił niższy głos. — Nigdy nie potrafił pojąć, że najlepsze plany potrzebują czasu, by dojrzeć. W ciągu jednego dnia pragnie osiąść świat, i *Callandora* na dodatek. Niech go porwie Wielki Władca! Może uwięzić dziewczynę i zapragnąć ją wykorzystać. A to może zagrozić realizacji moich własnych planów.

— Wielki Panie, czy mam rozkazać jej, aby wróciła z Łzy?

— Nie. Ten głupiec, jeżeli się o tym dowie, potraktuje to jako wystąpienie przeciw sobie. Dopilnuj, aby zginęła bez najmniejszego hałasu, Comar. Niech jej śmierć nie zwróci niczyjej uwagi. — Jego śmiech zahuczał niczym odległy grzmot. — Te głupie wiedźmy w swej Wieży będą miały trochę trudności z wyjaśnieniem jej zniknięcia. A to zapewne będzie dla nas bardzo korzystne. Każ zrobić to szybko. Natychmiast, zanim on zdąży się do niej dostać.

Dwaj żołnierze znajdowali się dokładnie obok miejsca, gdzie stał. Mat całą siłą woli starał się zmusić ich stopy do szybszego marszu.

— Wielki Panie — niepewnie odezwał się drugi głos — to może okazać się trudne. Wiemy, że ona podąży do Łzy, ale statek, na którym podróżowała, został odnaleziony na Aringill i okazało się, iż wszystkie trzy zeszły wcześniej z jego pokładu. Nie wiemy czy w tej chwili płynie na innej łodzi, czy też jedzie konno na południe. A kiedy już dotrze do Łzy, odnalezienie jej może okazać się niełatwe, Wielki Panie. Gdybyś mógł, może...

— Czy w dzisiejszych czasach na świecie żyją sami głupcy? — powiedział ochryple niski głos. — Czy sądzisz, że mogę dotrzeć do Łzy w taki sposób, aby on się nie dowiedział? Nie mam zamiaru z nim walczyć, nie w tej chwili, jeszcze nie. Przynieś mi głowę dziewczyny, Comar. Przynieś mi głowy wszystkich trzech, albo będziesz błagał mnie, abym zechciał pozbawić cię twojej!

— Tak, Wielki Panie. Stanie się, jak każesz: Tak. Tak.

Żołnierze z chrzęstem buciorów przeszli dalej, nawet nie spojrzawszy w bok. Mat czekał do chwili, gdy widział już tylko ich plecy, a potem podskoczył, chwycił szeroki kamienny parapet i podciągnął się, by zajrzeć przez okno.

Zdażył zauważyć leżący na podłodze, obsyty frędzlami dywan z Tarabon, wart wypchanej srebrem sakiewki. Jedne z szerokich, rzeźbionych drzwi właśnie się domykały. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i muskularnej klatce piersiowej, opiętej zielonym jedwabiem haftowanego srebrem kaftana, wpatrywał się w drzwi ciemnoniebieskimi oczyma. Jego czarna broda była krótko przycięta, na podbródku pobłyskiwało pasmo siwizny. Sprawiał wrażenie silnego mężczyzny, nawykłego do wydawania rozkazów.

— Tak, Wielki Panie — powiedział nagle, a Mat, zaskoczony, omal nie ześlizgnął się z parapetu. Osądził uprzednio, że musi być to ów mężczyzna o niskim głosie, ale teraz zrozumiał swoją pomyłkę. W chwili obecnej głos tego, który przedtem przemawiał ulegle, nie zawierał już w sobie tej płaszczącej się, jękliwej nuty, jednak nie mogło być żadnych wątpliwości.

— Będzie, jak rozkażesz, Wielki Panie — powtórzył gorzko mężczyzna. — Sam, własnoręcznie, zetnę głowy tym trzem dziewczkom. Kiedy tylko je znajdę!

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a Mat opuścił się na dół.

Przez chwilę trwał nieruchomo, schowany za różanymi krzewami. Ktoś w Pałacu pragnął śmierci Elayne, a po namyśle na podobny los skazał również Egwene oraz Nynaeve.

„Co, na Światłość, one zamierzają, udając się do Łzy?”

Musiało chodzić o nie.

Wyciągnął list Córki-Dziedziczki z za podszewki swego kaftana i wpatrywał się weń, marszcząc czoło. Może, kiedy go pokaże, Morgase mu uwierzy. Nie będzie miał kłopotów z podaniem rysopisu jednego z mężczyzn. Ale czas na podchody minął, ten muskularny człowiek zdąży wyruszyć do Łzy, zanim on w ogóle

znajdzie Królową, a niezależnie od tego, co ona zrobi później, nie ma żadnej pewności, że w jakikolwiek sposób będzie mógł go powstrzymać.

Wziął głęboki oddech, zręcznie prześlizgnął się pomiędzy dwoma różnymi krzakami — kosztowało go to jedynie kilka ukłuć i zadrapań — i pośpieszył za żołnierzami, oddalającymi się po wykładanej kamiennymi płytami ścieżce. List Elayne trzymał w wyciągniętej dłoni tak, by pieczęć złotej lilii była od razu widoczna; w myślach układał sobie szybko dokładny plan wypowiedzi. Kiedy przedtem skradał się przez ogrody, strażnicy na jego drodze wyrastali niczym grzyby po deszczu, teraz jednak udało mu się przejść przez cały niemal ogród, nie spotkawszy ani jednego. Minął kilkoro drzwi. Wkroczenie do Pałacu bez zezwolenia nie było zapewne najlepszym pomysłem — Gwardziści mogli najpierw zareagować w nieprzyjemny sposób, a dopiero potem zechcieć zadawać pytania — ale kiedy zastanawiał się nad wejściem w kolejne drzwi, one otworzyły się i wyszedł z nich oficer bez hełmu, ze złotym węzłem na ramieniu.

Ręka tamtego odruchowo powędrowała do rękojeści miecza, zdążył obnażyć już co najmniej stopę lśniącej stali, zanim Mat wyciągnął w jego kierunku trzymany w dłoni list.

— Elayne, Córka-Dziedziczka, śle list do swej matki, królowej Morgase, kapitanie.

Trzymał pismo w taki sposób, że pieczęć lilii była wyraźnie widoczna.

Oficer kątem oka ogarnął przestrzeń ogrodu po obu stronach, nie spuszczać jednak ani na chwilę spojrzenia z Mata.

— Jak dostałeś się do tego ogrodu, chłopcze? — Nie wyciągnął do końca miecza z pochwy, jednak nie schował go również. — Elber stoi przy głównej bramie. Jest głupcem, ale przecież nie pozwoliłby nikomu swobodnie chodzić po pałacowych terenach.

— Gruby człowiek ze szczurzymi oczyma? — Mat, przeklinając swą pochopność, ugryził się w język, ale tamten lekko skinął głową; w rzeczy samej, nieomal się uśmiechnął, nie złagodziło to jednak w niczym jego czujności, ni podejrzliwości. — Wściekł się, kiedy powiedziałem, że przyjechałem z Tar Valon, nie dał mi nawet najmniejszej szansy, abym pokazał mu list, albo wymienił imię Córki-Dziedziczki. Groził, że mnie aresztuje, jeżeli natychmiast sobie nie pójdę, dlatego też przeszedłem przez mur. Obiecałem, że dostarczę to do rąk własnych królowej Morgase, rozumie pan, kapitanie? Przyrzekłem, a ja zawsze dotrzymuję przyrzeczeń. Widzi pan pieczęć?

— Znowu ten przeklęty mur ogrodu — wymruczał oficer. — Powinien być po trzykroć wyższy.

Wbił wzrok w Mata.

— Porucznik Gwardii, nie kapitan. Jestem porucznikiem Gwardii, Tallanvor. Rozpoznaję pieczęć Córki-Dziedziczki.

Na koniec jego miecz wślizgnął się do pochwy. Wyciągnął dłoń, ale nie była

to ta, w której przedtem ścisnął głownię miecza.

— Daj mi list, a ja zaniósę go królowej. Zaraz po tym, jak pokażę ci wyjście. Inni mogą się okazać nie tak łagodni, kiedy cię tutaj znajdą.

— Obiecałem, że dostarczę go do rąk własnych upierał się Mat.

„Światłości, nawet nie pomyślałem, że mogą mnie do niej nie dopuścić”

— Złożyłem obietnicę. Samej Córce-Dziedzicze.

Mat ledwie dostrzegł ruch dłoni Tallanvora, a już miał na gardle ostrze miecza.

— Zabiorę cię do królowej, wieśniaku — powiedział miękko tamten. — Ale wiedz, że pozabawię cię głowy zanim zdążysz mrugnąć, jeśli tylko pomyślisz o zrobieniu jej krzywdy.

Mat uśmiechnął się najbardziej przekonująco jak tylko potrafił. Aż nazbyt dojmujący był nacisk ostrza lekko wygiętej klingi na jego gardle.

— Jestem lojalnym Andoraninem — powiedział i — lojalnym poddanym królowej, niechaj ją Światłość oświeca. Cóż, gdybym był tutaj w zimie, z pewnością zaciągnąłbym się pod rozkazy lorda Gaebriła.

Tallanvor rzucił mu ostre spojrzenie, zacisnął usta, wreszcie odsunął miecz. Mat przełknął ślinę, ledwie powstrzymując pragnienie dotknięcia szyi, aby upewnić się, czy na skórze nie pozostało skaleczenie.

— Wyjmij kwiat ze swych włosów — powiedział Tallanvor, chowając miecz. — Wydaje ci się, że przyszedłeś tutaj w zaloty?

Mat wyciągnął kwiat gwiazdobłysku z włosów i poszedł za oficerem.

„Przeklęty głupiec, żeby tak utykać sobie kwiaty we włosy. Muszę przestać zachowywać się tak głupio.”

W istocie wcale nie szedł za nim, bowiem Tallanvor nie spuszczał z niego oka, nawet idąc z przodu. W efekcie stanowili dziwną parę, gdyż oficer szedł przed nim, trzymając się trochę z boku, na poły zwrócony w jego stronę, na wypadek gdyby zechciał czegoś spróbować. Ze swej strony Mat starał się wyglądać równie niewinnie jak dziecko, pluskające się w kąpielu.

Wzorzyste gobeliny na ścianach musiały przynieść swym tkaczom sporo srebra, podobnie jak dywany, które nawet tutaj, w korytarzach, przykrywały posadzki wykładane białymi kafłami. Na skrzyniach i niskich komódkach z polerowanego drewna, tak znakomitych jak te, które wcześniej podziwiał w Wieży, stały wszędzie złote i srebrne talerze, tace, puchary oraz dzbany. Służący bezustannie przemykali korytarzami, odziani w czerwoną liberię z białymi kołnierzami i mankietami oraz godłem Białego Lwa Andoru na piersiach. Przyłapał się na tym, iż zastanawia się, czy Morgase grywa w kości.

„Pomysł idioty. Królowe nie rzucają kości. Ale mogę się założyć, że kiedy wręcę jej ten list i doniosę, iż ktoś w Pałacu zamierza zabić Elayne, obdaruje mnie pękata sakiewką.”

Puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, że otrzymuje tytuł lorda — z pewnością człowiek, który odkrył spisek, mający na celu zamordowanie Córki-Dzie-

dziczki, mógł oczekiwać w rewanżu podobnej nagrody.

Tallanvor prowadził go przez tak wiele korytarzy i skroś tak licznych dziedzińców, iż zaczął się zastanawiać czy potrafiłby sam odnaleźć drogę powrotną, kiedy nagle okazało się, że na jednym z dziedzińców znajdują się nie tylko służący. Podwórzec otaczała kolumnada krużganka, pośrodku znajdował się okrągły basen z żółtymi i białymi rybami, po powierzchni wody pływały liście i białe kwiaty lilii wodnych. Mężczyźni w barwnych kaftanach haftowanych złotem i srebrem oraz kobiety odziane w szerokie suknie zachowywali się w sposób bardzo wyszukany, czekając w gotowości na rozkazy kobiety o czerwonozłotych włosach; ta siedziała na wzniesionym brzegu basenu, zanurzywszy palce w wodzie, ze smutkiem obserwując ryby, które szczypały koniuszki jej palców w nadziei na otrzymanie karmy. Pierścień z Wielkim Wężem otaczał środkowy palec jej lewej dłoni. U jej boku stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, czerwony jedwab jego kaftana krył niemal całkowicie haft złotych liści i spiral, ale Mat skierował swój wzrok na kobietę.

Nie potrzebował nawet widoku wieńca wspaniałych róż ze złota w jej włosach, ani narzuconej na suknię stuły, na której czerwonych pasach naszyto godło Lwa Andoru, aby wiedzieć, że stoi przed Morgase, z Łaski Światłości Królową Andoru, Obrońcą Dziedziny, Opiekunką Ludu, Zasiadającą na Wysokim Tronie Domu Trakand. Miała rysy twarzy i urodę Elayne; tak właśnie będzie wyglądać tamta, gdy dojrzeje. Sama jej obecność na dziedzińcu spychała wszystkie pozostałe kobiety w cień.

„Zatańczyłbym z nią dziga i skradł pocałunek przy świetle księżyca, nie bacząc na jej wiek. — Przywołał się do porządku. — Nie zapominaj, kim ona jest.”

Tallanvor przykleknął na jedno kolano, zwinęta w pięść dłoń wsparł na białym kamieniu dziedzińca.

— Moja Pani, przyprowadziłem posłańca, który przywiózł list od lady Elayne.

Mat objął spojrzeniem postawę żołnierza, sam jednak zadowolił się głębokim ukłonem.

— Od Córki-Dziedziczki... hm... moja Pani.

Kłaniając się, wyciągnął przed siebie dłoń, w której trzymał list, tak, żeby widoczny był złotożółty wosk pieczęci.

„Kiedy tylko go przeczyta i przekona się, że Elayne ma się dobrze, wtedy jej powiem.”

Morgase objęła go spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

„Światłości! Pod warunkiem, że jest w dobrym nastroju.”

— Przywozisz list od mego niesfornego dziecka? — Jej głos był chłodny, ale można było wyczuć w nim ton namiętności, gotowej w każdej chwili wybuchnąć.

— To musi oznaczać przynajmniej tyle, że ona żyje! Gdzie ona jest?

— W Tar Valon, moja Pani — udało mu się wykrztusić.

„Światłości, chciałbym być świadkiem pojedynku na spojrzenia pomiędzy nią a Amyrlin.”

Po namyśle zdecydował jednak, że wcale by tego nie chciał.

— A przynajmniej była tam, gdy wyruszałem w drogę.

Morgase wykonała niecierpliwy gest dłonią, a Tallanvor podniósł się, aby wziąć list z ręki Mata i podać go jej. Przez chwilę marszczyła brwi, przyglądając się pieczęci lilii, potem złamała ją ostrym ruchem dłoni. Czytając, mruzczyła do siebie cicho i potrzasała głową przy każdym niemal wersie.

— Nie mogła napisać nic więcej, nieprawdaż? — powiedziała cicho do siebie.

— Zobaczymy czy postąpi tak, jak obiecuje...

Nagle twarz jej pojaśniała.

— Gaebriel, została podniesiona do godności Przyjętej. Niecały rok przebywała w Wieży i już ją wyniesiono.

Uśmiech zniknął z jej twarzy tak nagle jak się pojawił, a usta zacisnęły się.

— Kiedy to nikczemne dziecko wpadnie w moje ręce, pożałuje, że nie jest dalej nowicjuską.

„Światłości — pomyślał Mat — czy nic nie jest w stanie wprowadzić jej w dobry humor?” .

Postanowił, że powinien wszystko powiedzieć od razu, miał jednak nadzieję, iż wyraz twarzy Morgase nie zdradza zamiaru ścięcia czyjejś głowy.

— Moja Pani, przypadkiem usłyszałem...

— Milcz, chłopcze — powiedział spokojnie ciemnowłosy mężczyzna w kapiącym od złota kaftanie. Był przystojny, niemalże w takim samym stopniu jak Galad, wyglądał prawie tak samo młodo, pomijając siwiznę na skroniach, ale zbudowany był znacznie potężniej, wyższy od Randa i równie szeroki w ramionach jak Perrin. — Za chwilę posłuchamy, co masz nam do powiedzenia.

Sięgnął ponad ramieniem Morgase i wyciągnął jej list z ręki. Spojrzała na niego — Mat niemalże poczuł, jak rozpała się w niej gniew — ale mężczyzna o ciemnych włosach położył tylko silną dłoń na jej ramieniu, nie odrywając nawet na chwilę wzroku od pisma i gniew Morgase zgaś.

— Wygląda na to, że znów opuściła Wieżę — oznajmił. — W służbie Tronu Amyrlin. Ta kobieta ponownie przeszła samą siebie, Morgase.

Mat nie miał najmniejszych trudności z utrzymaniem języka na wodzy.

„Szczęście.”

W istocie, przykleił mu się do podniebienia.

„Czasami sam nie wiem czy to dobrze, czy źle.”

Ciemnowłosy mężczyzna był właścicielem tego niskiego głosu, owym „Wielkim Panem”, który domagał się głowy Elayne.

„Nazwała go Gaebriel. Jej doradca chce zamordować Elayne? Światłości!”

A Morgase patrzyła do góry, na niego, niczym wierny pies, który czuje na grzbiecie dłoń pana.

Gaebriel zwrócił spojrzenie niemalże czarnych oczu na Mata. W jego wzroku błyszczała siła i wiedza.



— Co możesz nam o tym powiedzieć, chłopcze?

— Nic... hm... mój panie. — Mat odkaslnął, wzrok tego człowieka trudniej było wytrzymać niż spojrzenie Amyrlin. — Pojechałem do Tar Valon, by odwiedzić siostrę. Jest nowicjuską. Else Grinwell. Ja jestem Thom Grinwell, mój panie. Lady Elayne dowiedziała się, że wracając mam zamiar zobaczyć Caemlyn... sam pochodzę z Comfrey, mój panie, z małej wioski na północ od Baerlon. Zanim nie pojechałem do Tar Valon, nigdy nie widziałem miasta większego niż Baerlon, a ona... to znaczy lady Elayne... dała mi ten list, żebym go zawiózł.

Zdało mu się, że Morgase obrzuciła go uważnym spojrzeniem, kiedy powiedział, że pochodzi z okolicy położonej na północ od Baerlon, wiedział jednak, iż jest tam naprawdę wioska zwana Comfrey, pamiętał jak ktoś o niej kiedyś wspominał.

Gaebril pokiwał głową, ale nie zaprzestał indagacji.

— Czy wiesz, dokąd Elayne się wybierała, chłopcze? W jakiej sprawie? Mów prawdę, nie masz się czego obawiać. Jeżeli skłamiesz, zostaniesz wydany na męki.

Mat nie musiał się szczególnie wysilać na pełen przestachu grymas.

— Mój Panie, tylko raz widziałem Córkę-Dziedziczkę. Wtedy, gdy dała mi ten list... i złotą markę!... i kazała mi zawieźć go do królowej. O treści listu nie wiem nic więcej ponad to, co usłyszałem przed chwilą.

Gaebril zdawał się rozważać wypowiedziane przez Mata słowa, jednakże najłżejszy grymas na jego twarzy nie zdradzał czy wierzy w nie choćby częściowo, czy też wcale.

— Nie, Gaebril! — powiedziała nagle Morgase. — Zbyt wielu posłano już na męki. Mogę zrozumieć konieczność takiego postępowania, kiedy przedstawisz mi dla niej określone racje, w tym przypadku jednak jest to niepotrzebne. Nie wobec chłopca, który przywiózł list, nawet nie znając jego treści.

— Jak moja królowa rozkaże, tak się też i stanie zgodził się ciemnowłosy mężczyzna. Ton głosu był pełen szacunku, równocześnie dotknął jej policzka, co spowodowało, iż zaróżowiło się jej lico i usta, zupełnie jakby oczekiwała na pocałunek.

Oddech Morgase stał się nierówny.

— Powiedz mi, Thomie Grinwell, czy moja córka wyglądała dobrze, kiedy ją widziałeś?

— Tak, moja Pani. Śmiała się, była rozbawiona, czasami nawet zuchwała... to znaczy, chciałem powiedzieć...

Widząc wyraz jego twarzy, Morgase zaśmiała się lekko.

— Nie bój się, młodzieńcze. Elayne rzeczywiście potrafi być zuchwała, częściej, niż jest to wskazane. Cieszę się, że z nią wszystko dobrze. — Błękitne oczy badały go dogłębnie. — Młody człowiek, który opuścił swoją wioskę, często miewa trudności z powrotem do domu. Sądzę, że będziesz jeszcze dużo podróżował, zanim znów zobaczysz Comfrey. Być może trafisz nawet jeszcze raz do Tar Valon.

W takim przypadku, jeżeli spotkasz ponownie moją córkę, powiedz jej, że często żałuje się słów wypowiedzianych w gniewie. Nie odwołam jej z Białej Wieży przed upływem stosownego czasu. Powiedz jej też, iż często myślę o dniach, które sama tam spędziłam, tęsknię za cichymi rozmowami z Sheriam w jej gabinecie. Powtórz jej te słowa, Thomie Grinwell.

Mat niespokojnie wzruszył ramionami.

— Tak, moja Pani. Ale... hm... Nie zamierzam wracać do Tar Valon. Jeden raz w życiu wystarczy. Mój ojciec potrzebuje mnie na farmie. Beze mnie moja siostra skazana już zawsze będzie na dojenie krów.

Gaebril zaśmiał się dudniącym śmiechem, wydawał się szczerze ubawiony.

— Niepokoisz się więc o mleczne krowy, chłopcze? Być może rzeczywiście powinieneś zobaczyć nieco świata, zanim się odmieni. Masz! — Wyciągnął sakiewkę i rzucił mu; Mat, chwytając ją, poczuł przez zamsz twarde krawędzie monet. — Jeżeli Elayne mogła dać ci złotą markę za wzięcie jej listu, ja dam ci dziesięć za dostarczenie go bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Zobacz trochę świata, zanim wrócisz do swych krów.

— Tak, mój Panie. — Mat uniósł nieco dłoń trzymającą sakiewkę, zdobył się nawet na słaby uśmiech. — Dziękuję ci, mój Panie.

Ale mężczyzna o ciemnych włosach skinieniem dał mu już znak do odejścia, sam zaś odwrócił się w stronę Morgase, wspierając dłonie na biodrach.

— Sądzę, że nadszedł już czas, Morgase, aby przeciąć ten ropiejący wrzód na granicy Andoru. Przez swoje małżeństwo z Taringailem Damodredem nabyłaś praw do Tronu Słońca. Gwardia Królowej może uczynić twe pretensje do sukcesji równie poważnymi jak roszczenia wszystkich pozostałych pretendentów. Ja zapewne również mógłbym pomóc odrobinę w ich realizacji. Uwierz mi.

Tallanvor dotknął ramienia Mata i obaj, kłaniając się, wycofali z dziedzińca. Mat nie sądził, by ktokolwiek zauważył ich odejście. Gaebril wciąż mówił, a wszyscy lordowie i damy zdawali się chłonać jego słowa. Morgase słuchając marszczyła czoło, potakiwała jednak równie ochoczo jak pozostali.

# PRZEŚCIGNAĆ CIEŃ

Z małego dziedzińca z basenem, w którym pływały ryby, Tallanvor szybko powiódł Mata na wielki plac, znajdujący się przed frontonem Pałacu. Stali teraz przed wysokimi, połączanymi bramami, które lśniły w słońcu. Zbliżało się południe. Mat czuł gwałtowne pragnienie opuszczenia tego miejsca, nagłą potrzebę pośpiechu. Trudno było dotrzymać kroku młodemu oficerowi. Ktoś mógłby zdziwić się, gdyby zaczął biec, ale być może — choć tylko być może — rzeczy naprawdę przedstawiały się w taki sposób, jak wyglądały parę chwil wcześniej. Być może Gaebriel naprawdę nie podejrzewał, że on wie.

„Być może.”

Nie potrafił zapomnieć tych dwojga niemalże czarnych oczu, które niczym zęby wideł przerzucały i roztrząsały zawartość jego głowy.

„Światłości, być może.”

Zmusił się, by iść tak wolno, jakby miał do dyspozycji cały czas świata. . .

„Po prostu wiejski prostaczek z sianem zamiast mózgu, zagapiony na kobierce i złoto. Zwyczajny włóczęga z błotem na butach, któremu nigdy nie przyjdzie do głowy, że ktoś mógłby wsadzić mu nóż w plecy.”

. . . aż wreszcie Tallanvor wyprowadził go przez furkę w jednej z bram i wyszedł za nim.

Gruby oficer ze szczurzymi oczami wciąż tam był w towarzystwie swoich Gwardzistów, a kiedy zobaczył Mata, jego twarz na powrót poczerwieniała. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, przemówił Tallanvor.

On dostarczył list do królowej od Córki-Dziedziczki. Możesz się cieszyć, Elbert, że ani Morgase, ani Gaebriel nie wiedzą, iż starałeś się mu w tym przeszkodzić. Lord Gaebriel był nadzwyczaj zainteresowany treścią pisma lady Elayne.

Kolor twarzy Elberta zmienił się z czerwieni w biel, dorównującą odcieniem barwie jego kołnierza. Spojrzał raz na Mata, a potem przemknął wzdłuż szeregu swych Gwardzistów, jego paciorkowate oczy zerknęły przez kraty przyłbic pod ich hełmy, jakby starał się dociec, czy któryś z nich spostrzegł jego strach.

— Dziękuję ci — zwrócił się Mat do Tallanvora i naprawdę był mu wdzięczny. Zapomniał o grubasie, dopóki nie spotkał się z nim ponownie twarzą w twarz. — Bądź zdrow, Tallanvor.

Ruszył przez owalny plac, starając się nie iść zbyt szybko i stwierdził z zaskoczeniem, że Tallanvor postanowił dotrzymać mu towarzystwa.

„Światłości, czy on jest człowiekiem Gaebriła, czy Morgase?”

Poczuł swędzenie między łopatkami, jakby ostrze noża już szukało drogi do jego pleców. . .

„On nic nie wie, niech szeszne! Gaebrił nie podejrzewa nawet, że ja wiem!”

. . . kiedy młody oficer na koniec przemówił:

— Czy dużo czasu spędziłeś w Tar Valon? W Białej Wieży? Wystarczająco dużo, by coś zobaczyć?

— Byłem tam tylko trzy dni — odrzekł ostrożnie Mat.

Skróciłby jeszcze ten czas — gdyby mógł doręczyć list, nie wspominając nawet o pobycie w Tar Valon, postąpiłby tak — ale nie wydawało mu się, by jego rozmówca uwierzył, że przebył całą tę drogę, aby zobaczyć się z siostrą i wyjechał tego samego dnia.

„O co, na Światłość, mu chodzi?”

— Zobaczyłem tyle, ile się dało przez trzy dni. Nic ważnego. Nie oprowadzano mnie, i nie pokazywano niczego. Pojechałem tam tylko po to, by zobaczyć Else.

— Musiałeś coś słyszeć, człowieku. Kto to jest Sheriam? Czy rozmowa w jej gabinecie oznacza coś szczególnego?

Mat żywo potrząsnął głową, aby zamaskować wyraz ulgi, jaki mógł odmalować się na jego twarzy.

— Nawet nie wiem, kim ona jest — powiedział z przekonaniem. Być może słyszał, jak Egwene albo Nynaeve wymieniały to imię. Może wszystkie Aes Sedai, które tam spotkał? — Dlaczego miałoby to coś oznaczać?

— Nie wiem — przyznał cicho Tallanvor. — Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem. Czasami wydaje mi się, że ona próbuje coś powiedzieć. . .

Rzucił Matowi ostre spojrzenie.

— Jesteś naprawdę lojalnym Andoranimem, Thomie Grinwell?

— Oczywiście, że jestem.

„Światłości, jeżeli częściej zacznę powtarzać te słowa, być może w końcu sam w nie uwierzę.”

— A co z tobą? Czy ty służysz lojalnie Morgase i Gaebriłowi?

Wzrok Tallanvora był tak bezwzględny jak wynik rzutu kośćmi.

— Służę Morgase, Thomie Grinwell. Jej służę i gotowym oddać za nią życie. Bądź zdrow!

Odwrócił się i pomaszerował w kierunku Pałacu, uderzając dłonią o rękojeść miecza.

Obserwując jak się oddala, Mat wymruczał do siebie:

— Założę się o to — lekko podrzucił zamszową sakiewkę — że Gaebrił mówi to samo.

Jakiegokolwiek intrygi prowadzono w Pałacu, nie chciał być wciągnięty w żadną z nich. I wolałby mieć pewność, że Egwene i jej przyjaciółki również nie są w nie zaplątane.

„Głupie kobiety! Teraz muszę dbać o to, by nie wpadły w pułapkę, zamiast zajmować się sobą!”

Zaczął biec dopiero wówczas, gdy kręte ulice skryły go przed ewentualnymi spojrzeniami z Pałacu.

Kiedy wpadł pędem do „Błogosławieństwa Królowej”, stwierdził, że od czasu jak ją opuścił, sytuacja w bibliotece nie uległa żadnej istotnej zmianie. Thom i karczmarz wciąż siedzieli nad planszą do gry w kamienie — rozgrywali już kolejną partię, jak mógł się przekonać po rozmieszczeniu kamieni, ale sytuacja Gilla nie była wcale lepsza niż poprzednio — zaś łaciata kotka znów siedziała na stole i myła się. Obok kota stała popielniczka, w której leżały ich nie zapalone fajki oraz taca z resztkami posiłku na dwie osoby, natomiast jego dobytek zniknął z fotela. Koło łokcia każdego z mężczyzn stał kubek z winem.

— Wyjeżdżam, panie Gill — oznajmił. — Możesz zatrzymać monetę i potraktować ją jako zapłatę za posiłek. Zostanę tylko, by się najeść, ale potem natychmiast ruszam do Łzy.

— Skąd ten pośpiech, chłopcze? — Thom zdawał się uważniej obserwować kota niż sytuację na planszy. Przecież dopiero co przyjechaliśmy.

— Doręczyłeś więc list lady Elayne? — ochoczo zapytał karczmarz. — I wygląda na to, że udało ci się ująć cało. Czy naprawdę wspiąłeś się na ten wysoki mur, jak tamten młody człowiek? Nie, to nie ma znaczenia. Czy list uspokoił Morgase? Czy wciąż musimy chodzić ostrożnie, niczym po kruchym lodzie, człowieku?

— Przypuszczam, że ją uspokoił — odrzekł Mat. Sądzę, że tak.

Zawahał się na moment, podrzucając w dłoni sakiewkę Gaebrila. Wydawała brzęczący odgłos. Nawet nie zajrzał, by zobaczyć czy rzeczywiście zawiera dziesięć złotych marek, waga mniej więcej się zgadzała.

— Panie Gill, co może mi pan powiedzieć o Gaebrilu? Oprócz tego, że nie lubi Aes Sedai. Mówiłeś, że od niedawna przebywa w Caemlyn?

— Dlaczego o niego pytasz? — zdziwił się Thom. — Basel, masz zamiar wreszcie położyć ten kamień, czy nie?

Karczmarz westchnął i umieścił czarny kamień na planszy, a bard potrzęsął głową.

— Cóż, chłopcze — zaczął Gill — nie ma zbyt wiele do opowiadania. Przyjechał z zachodu, kiedy jeszcze trwała zima. Gdzieś z waszych stron, jak mi się wydaje. Być może to były nawet Dwie Rzeki. Słyszałem, jak mówiono coś o górach.

— W Dwu Rzekach nie ma żadnych lordów — odparował Mat. — Może jacyś mieszkają w okolicach Baerlon. Nie wiem.

— Może być i tak, chłopcze. Przedtem nigdy o nim nie słyszałem, ale przecież nie znam wszystkich lordów prowincji. Pojawił się, kiedy Morgase wciąż jeszcze była w Tar Valon, tak, to było wtedy, a połowa miasta obawiała się, że ona może również zniknąć za sprawą Aes Sedai. Druga połowa zaś w ogóle nie chciała, żeby powróciła. Znowu zaczęły się zamieszki, tak jak zeszłego roku pod koniec zimy.

Mat potrząsnął głową.

— Nie interesuje mnie polityka, panie Gill. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o Gaebriłu.

Thom spojrział na niego, zmarszczył brwi i słomką zaczął wyciągać resztki nie dopalonego tytoniu ze swej fajki o długim cybuchu.

— Przecież właśnie opowiadam ci o Gaebriłu, chłopcze — powiedział Gill. — W czasie zamieszek stanął na czele frakcji popierającej Morgase... jak słyszałem, otrzymał nawet ranę w walce... a zanim ona wróciła, zdołał już opanować sytuację. Garethowi Bryne nie podobały się metody jakie przy tym zastosował... potrafi być naprawdę okrutny... ale Morgase była tak zadowolona, iż porządek został przywrócony, że mianowała go na stanowisko, które zazwyczaj pozostawiało w gestii Elaidy.

Karczmarz przerwał. Mat czekał na ciąg dalszy, ale tamten milczał. Thom do pełna nabił swą fajkę tytoniem i przeszedł przez pomieszczenie, by zapalić ją od małej lampki, którą specjalnie w tym celu ustawiono na gzymsie kominka.

— Co dalej? — zapytał Mat. — Ten człowiek musiał mieć jakieś powody, dla których to zrobił. Jeżeli ożeni się z Morgase, będzie królem, kiedy ona umrze! Przynajmniej wówczas, gdy Elayne również nie będzie żyła?

Thom zakasłał, zapalając fajkę, a Gill zaśmiał się.

— Andorem rządzi królowa, chłopcze. Zawsze królowa. Jeżeli Morgase i Elayne umrą... Światłości, spraw, by się tak nie stało!... wówczas na tronie zasiądzie najbliższa powinowata Morgase. W tej kwestii przynajmniej nie ma wątpliwości, to jest jej kuzynka, lady Dyelin. Inaczej było wówczas, gdy wygasła sukcesja po Tigraine. Wówczas minął rok, zanim Morgase zasiadła na Tronie Lwa. Dyelin może zatrzymać Gaebriła jako swojego doradcę, albo wyjść za niego, by scementować dynastię... chociaż zapewne tego nie zrobi, chyba że Morgase urodziłaby mu dziecko... ale nawet wówczas będzie tylko Księciem Małżonkiem. Niczym więcej. Światłości dzięki, Morgase jest jeszcze młodą kobietą. A Elayne cieszy się dobrym zdrowiem. Światłości! W liście nie napisano przypadkiem, że zachorowała, nieprawdaż?

— Czuje się dobrze.

„Jak dotąd, przynajmniej.”

— Czy możesz mi coś jeszcze o nim powiedzieć? Nie wygląda na to, byś go szczególnie lubił. Dlaczego?

Karczmarz zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś, poskrobał podbródek i potrząsnął głową.

— Przypuszczam, że nie podoba mi się pomysł, iż miałyby się ożenić z Morgase, ale tak naprawdę nie wiem dlaczego. Mówi się o nim, że jest porządnym człowiekiem, cała szlachta się z nim liczy. Najbardziej nie podobają mi się ludzie, których wprowadził w szeregi Gwardii. Zbyt wiele zmieniło się od czasu, kiedy nastał w Caemlyn, ale nie zapisuję wszystkiego na jego rachunek. Od kiedy się pojawił, jakoś zbyt dużo jest szeptania po kątach. Można by pomyśleć, że staliśmy się jak Cairhienianie, zachowujemy się bowiem dokładnie tak jak oni, zanim wybuchła u nich wojna domowa... wszyscy tylko knują spiski, starając się zdobyć przewagę nad innymi. Od czasu jak zjawił się Gaebriel, mam złe sny i nie tylko ja. To głupia rzecz, tak się kłopotać snami. Prawdopodobnie martwię się tylko o Elayne i o to, jak będą się układały stosunki między Morgase a Białą Wieżą oraz tym, że ludzie zachowują się jak Cairhienianie. Po prostu nie wiem. Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania o lorda Gaebriła?

— Ponieważ on chce zabić Elayne — oznajmił Mat a także Egwene i Nynaeve. W tym co usłyszał od Gilla, nie mógł dopatrzeć się niczego ważnego.

„Niech szczenę, nie muszę wiedzieć, dlaczego chce je zabić. Po prostu muszę go powstrzymać.”

Obaj mężczyźni ponownie zagapili się na niego. Jakby oszalał. Znowu.

— Znów zachorowałeś? — zapytał podejrzliwie Gill. — Pamiętam jak ostatnim razem zezowałeś na wszystkich. A więc albo o to chodzi, albo zamyśliłeś sobie jakiś rodzaj żartu. Wyglądasz mi na żartownisia. Jeżeli tak, to jest to wyjątkowo paskudny dowcip!

Mat skrzywił się.

— To nie jest żaden przeklęty żart. Podśluchałem go, jak rozmawiał z jakimś człowiekiem o imieniu Comar i kazał mu ściąć głowę Elayne. Oraz Egwene i Nynaeve! Potężny mężczyzna, z białym pasmem włosów w brodzie.

— Z opisu to rzeczywiście może być lord Comar powiedział wolna Gill. — Był znakomitym żołnierzem, ale powiada się, że opuścił szeregi Gwardii w związku z jakąś sprawą dotyczącą sfałszowanych kości. Nikt mu tego nie zarzucił, oczywiście, Comar był jednym z najlepszych szermierzy w Gwardii. Ty rzeczywiście tak sądzisz, nieprawdaż?

— Sądzę, że tak, Basel — wtrącił Thom. — Jestem przekonany, że on tak myśli.

— Niech nas Światłość oświeca! Co powiedziała na to Morgase? Przecież z pewnością jej powiedziałaś? Niech cię Światłość spali, musiałaś jej powiedzieć!

— Oczywiście, że powiedziałem — odparował gorzko Mat. — Podczas gdy Gaebriel stał tuż obok, a ona patrzyła na niego niczym usychający z miłości kanapowy piesek! Powiedziałem więc tak: „Mogę być sobie prostym wieśniakiem, który jakieś pół godziny temu zwyczajnie przelazł przez mur otaczający Pałac i ogrody, ale już zdążyłem się dowiedzieć, że twój zaufany doradca, który stoi

obok, i którego wydajesz się kochać, zamierza zamordować twoją córkę.” Światłości, człowieku, ona ścięłaby mi głowę.

— Rzeczywiście mogłaby to zrobić. — Thom wpatrywał się w zawile zdobienia na główce swojej fajki i szarpał wąsa. — Jej gniew zawsze był równie gwałtowny jak burza z błyskawicami i dwakroć bardziej niebezpieczny.

— Ty wiesz o tym lepiej niż większość ludzi, Thom powiedział Gill nieobecnym głosem. Wpatrując się w przestrzeń, przeczesywał dłońmi siwiejącą czuprynę. — Musi być coś, co mógłbym zrobić. Nie miałem w ręku miecza od czasów wojen z Aielami, lecz... Cóż, to się na nic nie zda. Dać się zabić i niczego przy okazji nie uzyskać. Jednak przecież muszę coś zrobić!

— Plotka. — Thom potarł nos, zdawał się wciąż obserwować sytuację na planszy i mówił jakby wyłącznie do siebie. — Nikt nie powstrzyma plotek, by nie dotarły do ucha Morgase, a jeżeli zaczną się wystarczająco często powtarzać, wówczas będzie musiała się zastanowić. Plotka jest głosem ludu, a głos ludu często mówi prawdę. Morgase o tym wie. Nie ma takiego człowieka, którego zdecydowałbym się wystawić przeciwko niej w Grze. Miłość czy nie, kiedy Morgase zacznie przyglądać się bliżej poczynaniom Gaebriła, on nie będzie w stanie skryć przed nią nawet blizn z dzieciństwa. A kiedy dowie się, że ma zamiar zrobić krzywdę Elayne... — Umieścił kamień na planszy, na pierwszy rzut oka posunięcie wydawało się niezbyt fortunate, ale Mat zorientował się, że w trzech ruchach kolejny kamień Gilla zostanie zbity. — ... wówczas lord Gaebrił zostanie z wszelkimi honorami pochowany.

— Ty i ta twoja Gra Domów — wymamrotał Gill. Jednakowoż, to może się udać. Na jego twarzy wykwitł nagły uśmiech. — Wiem nawet, komu powiedzieć najpierw. Wszystko co muszę zrobić, to nadmienić Gildzie, że śniłem o tym, a w ciągu trzech dni ona opowie to połowie służących w Nowym Mieście jako fakt. Jest największą plotkarką, jaką kiedykolwiek Stwórca powołał na ten świat.

— Upewnij się tylko, że nikt nie znajdzie źródła tej plotki, Basel.

— O to się nie bój, Thom. Popatrz, tydzień temu jakiś człowiek opowiedział mi jeden z moich złych snów jako coś, co usłyszał od kogoś, komu z kolei opowiedział to jeszcze ktoś inny. Gilda musiała posłyszeć, jak opowiadałem go Coline, ale kiedy zapytałem, poczęstowała mnie listą nazwisk, które prowadziły na zupełnie przeciwną stronę Caemlyn i tam ślad zniknął. Cóż, w rzeczy samej, sam poszedłem tam i znalazłem ostatniego człowieka w tym łańcuszku, po prostu z ciekawości, aby dowiedzieć się przez ile ust cała rzecz przeszła, on zaś powiedział mi, że to był jego własny sen. Nie ma obawy, Thom.

Mata tak naprawdę wcale nie obchodziło, co oni mają zamiar zrobić ze swoimi plotkami; żadne plotki nie pomogą Egwene i jej przyjaciółkom, ale jedna rzecz go zastanowiła.

— Thom, mówisz o tym jakby trochę zbyt spokojnie. Myślałem, że Morgase była wielką miłością twego życia.



Bard ponownie wpatrzył się w główkę swojej fajki.

— Mat, bardzo mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że czas uleczy me rany, że czas łagodzi wszystko. Nie uwierzyłem jej. Ona jednak miała rację.

— Chcesz powiedzieć, że już nie kochasz Morgase?

— Chłopcze, minęło piętnaście lat, od kiedy opuściłem Caemlyn, w ostatniej chwili unikając topora kata, zanim jeszcze wysechł atrament na podpisie Morgase pod wyrokiem. Kiedy tak siedziałem tutaj, słuchając jak Basel gaworzy... — Gill zaczął protestować, ale Thom tylko uniósł głos. — ...gaworzy, powiedziałem, o Morgase i Gaebriłu, o tym, że mają się pobrać, zdałem sobie sprawę, iż namiętność umarła już dawno. Och, przypuszczam, że wciąż żywię wobec niej ciepłe uczucia, być może nawet Kocham ją jeszcze trochę, ale nie ma już w tym żadnej wielkiej namiętności.

— A ja już byłem prawie przekonany, że pobiegiesz zaraz do Pałacu, aby ją ostrzec. — Zaśmiał się i zdziwił, kiedy Thom przyłączył się do niego.

— Aż tak niemądry nie jestem, chłopcze. Każdy głupi wie, że mężczyźni i kobiety czasami różnią się sposobem myślenia, ale podstawowa różnica polega na tym: mężczyźni zapominają, ale nigdy nie przebaczą; kobiety przebaczą, ale nigdy nie zapominają. Morgase pocałuje mnie, być może, w policzek, poczęstuje kielichem wina i powie, jak za mną tęskniła. A potem po prostu rozkaże Gwardzistom, by mnie pochwycili i wtrącili do lochu. A później odda w ręce kata. Nie. Morgase jest jedną z najzdolniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, a to już powinno ci coś wyjaśnić. Mogę niemalże żałować Gaebriła, kiedy dowie się, co go czeka. Łza, powiedziałaś? Czy można cię jakoś przekonać, byś odłożył swój wyjazd do jutra? Mógłbym spędzić wówczas noc w łóżku.

— Mam zamiar zajechać tak daleko w kierunku Łzy, jak mi się uda przed zmrokiem. — Mat zamrugał. Chcesz powiedzieć, że masz zamiar jechać ze mną? Sądziłem, że pragniesz tu zostać.

— Nie słyszałaś, jak przed chwilą mówiłem, iż postanowiłem nie pozwolić, by ścięto mi głowę? Łza wydaje mi się bezpieczniejszym miejscem niż Caemlyn, a nagle zaczęła wyglądać w moich oczach nawet nie tak strasznie. Poza tym, lubię te dziewczęta. — W jego dłoni błysnął nóż i zniknął po chwili równie szybko jak się pojawił. — Nie chciałbym, żeby im się coś przytrafiło. Ale jeśli masz zamiar w rozsądnym czasie dotrzeć do Łzy, musisz popłynąć po Aringill. Szybką łodzią dostaniemy się tam kilka dni wcześniej niżli konno, nawet gdybyśmy po drodze zajeździli zwierzęta na śmierć. I nie mówię tak tylko dlatego, że moje siedzenie zdążyło już przybrać kształt siodła.

— A więc Aringill. Pod warunkiem, że naprawę będzie szybko.

— Dobrze — powiedział Gill. — Skoro wyjeżdżasz, chłopcze, lepiej będzie, jeśli dopilnuję, by podano ci ten posiłek.

Odsunął swoje krzesło i ruszył w kierunku drzwi.

— Niech pan to dla mnie przechowa, panie Gill — powiedział Mat i rzucił mu

zamszową sakiewkę.

— Co to jest, chłopcze? Monety?

— Stawka. Gaebril o tym nie wie, ale on i ja założyliśmy się. — Przestraszona kotka zeskoczyła ze stołu, kiedy Mat gwałtownym ruchem chwycił drewniany kubek z kośćmi i wysypał je na stół. Pięć szóstek. — A ja zawsze wygrywam.

## ADEPTKA SZTUKI

Kiedy „Kormoran” podpływał w kierunku doków Łzy, położonych na zachodnim brzegu rzeki Erinin, Egwene bynajmniej nie podziwiała widoków zbliżającego się miasta. Przechylona przez nadburcie, patrzyła w dół na wody Erinin, rozbijane na pianę przez potężny kadłub statku i obserwowała słomki, które wpływały w pole jej widzenia, a następnie znikwały z oczu. Nie zmniejszało to jej mdłości, ale wiedziała, że kiedy uniesie głowę, będzie się czuła znacznie gorzej. Spoglądanie na brzeg spowodowałoby, że powolny, przypominający taniec korka na falach, ruch „Kormorana” dawałby się jeszcze bardziej we znaki.

W ten sposób, kołyszac się bezustannie, łódź płynęła od samej Jurene. Nie dbała o to, jak płynęła wcześniej, przyłapała się na tym, że żałuje, iż „Kormoran” nie zatonął przed przybyciem do Jurene. Żałowała, że nie skłoniły kapitana, by przybił do brzegu w Aringill, aby mogły znaleźć inny statek. Żałowała, że kiedykolwiek znalazła się w pobliżu statku. Żałowała tak wielu rzeczy... o większości z nich myślała jedynie po to, by zapamiętać o swojej obecnej sytuacji.

Kiedy statek płynął napędzany wiosłami, kołysanie było nieco słabsze niż wówczas, gdy pchały go naprzód żagle, ale miała za sobą zbyt wiele dni udreki, by ta zmiana stanowiła jakąkolwiek znaczącą odmianę. Żołądek zdawał się przelewać w jej wnętrznościach, niczym mleko w kamiennym dzbanie. Przełknęła ślinę, starając się wyrzucić z myśli skojarzenie z mlekiem.

Na pokładzie „Kormorana” nie udało się im ułożyć jakiegoś planu, ani ona, ani Elayne, ani Nynaeve nie miały żadnych pomysłów. Nynaeve z trudem udawało się przetrzymać dziesięć minut bez wymiotowania, a kiedy Egwene spoglądała na nią, natychmiast również pozbywała się wszelkiego jedzenia, które udało jej się wcześniej przełknąć. Powietrze, coraz cieplejsze, w miarę jak posuwały się w dół rzeki, nie pomagało. W tej chwili Nynaeve znajdowała się pod pokładem, a Elayne z pewnością siedziała obok niej, trzymając miskę.

„Och, Światłości, nie! Nie myśl o tym! Zielone pola. Łąki. Światłości, łąki tak się nie kołyszają. Kolibry. Nie, tylko nie kolibry. To słowo ma też zbyt wiele wspólnego z kołysaniem. Słowiki. Śpiew słowika.”

— Pani Joslyn? Pani Joslyn!

Dopiero po chwili zareagowała na nazwisko, które podała wcześniej kapitano-

wi Caninowi i rozpoznała jego głos. Powoli uniosła głowę i zawiesiła spojrzenie na jego pociągłej twarzy.

— Przybijamy do portu, pani Joslyn. Cały czas mówiłaś o tym, jak bardzo chcesz już się znaleźć na brzegu. Cóż, dotarliśmy wreszcie.

Ton jego głosu nie skrywał, że z radością pozbędzie się trzech pasażerek, z których dwie nie robiły nic poza chorowaniem, jak to nazywał, i jęczały po całych nocach.

Bosi, obnażeni do pasa żeglarze rzucali już liny ludziom stojącym na kamiennym nabrzeżu, które wcinało się głęboko w rzekę; dokerzy zamiast koszul mieli na sobie skórzane kamizelki. Wiosła zostały już wciągnięte, z wyjątkiem dwóch, które chroniły łódź przed nazbyt mocnym uderzeniem o nabrzeże. Płaskie kamienie, którymi wyłożono doki, były mokre, w powietrzu wisiał zapach niedawnego deszczu, przynosiło to niejaką ulgę. Zdała sobie sprawę, że przestało przed chwilą kołysać, ale jej żołądek pamiętał. Słońce skłaniało się ku zachodowi. Spróbowała nie myśleć o kolacji.

— Bardzo dobrze, kapitanie Canin — powiedziała z całą godnością, na jaką było ją stać.

„Gdybym nosiła mój pierścień, nie odzywałby się do mnie w taki sposób, nawet gdybym wymiotowała prosto na jego buty.”

Zadrżała, kiedy przed oczyma stanął jej ten obraz. Pierścień z Wielkim Wężem i poskręcany pierścień *ter'angreala* wisiały na skórzanym rzemyku otaczającym szyję. Kamienny pierścień chłodził jej skórę w miejscu, gdzie się z nią stykał — w wystarczającym stopniu, by powstrzymać wilgotne ciepło powietrza — jednak poza tym odkryła, że im bardziej przyzwyczajała się do *ter'angreala*, tym bardziej chciała go czuć, bezpośrednio, nie przez materię sakwy czy płótno ubioru.

Wciąż nie potrafiła znaleźć korzyści ze swych wypraw do *Tel'aran'rhiad*. Czasami widziała przebłycki obrazów przedstawiających Randa albo Mata, lub też Perrina, nawet więcej było ich w jej normalnych snach, bez *ter'angreala*, ale nie spostrzegła niczego, co miałoby jakieś decydujące znaczenie, na przykład Seanchanów, o których nie chciała myśleć. Koszmary o Białych Płaszczach, które wkładają pana Luhhana do wielkiej, zębatej pułapki w charakterze przynęty. Dlaczego na ramieniu Perrina siedział sokół, i dlaczego tak ważny był wybór, między toporem, który nosił obecnie, a kowalskim młotem? Co miało oznaczać, że Mat gra w kości z Czarnym, dlaczego wciąż krzyczał: „Nadchodzę!”, i dlaczego w snach sądziła, że krzyczy to do niej? I jeszcze Rand. Przemykał się przez absolutną ciemność ku *Callandorowi*, podczas gdy wokół niego spacerowało sześciu mężczyzn i pięć kobiet, niektórzy ścigali go, inni ignorowali, inni jeszcze starali się kierować go ku błyszczącemu, kryształowemu mieczowi, inni wreszcie pragnęli powstrzymać go przed sięgnięciem poń, wszyscy jednak najwyraźniej nie mieli pojęcia, gdzie on się znajduje, lub widzieli go jedynie w przebłysskach. Jeden z mężczyzn, o oczach z płomienia, pragnął śmierci Randa z desperacją, którą mo-

gła wyczuć niemalże namacalnie. Wydawało jej się, że go poznaje. Ba'alzamon. Ale kim byli pozostali? Ponownie Rand w tej suchej, zakurzonej komnacie i te małe istoty gnieźdzące się w jego skórze. Rand stawiający czoło hordzie Seanchanów. Rand występujący przeciwko niej i jej przyjaciółkom, a jedna z nich okazywała się Seanchanką. Nie mogła się w tym wszystkim połapać. Powinna przestać myśleć o Randzie, o innych i zająć się tym, co czekało na nią w najbliższej przyszłości.

„Co zamierzają Czarne Ajah? Dlaczego nie udało mi się wyśnić niczego na ich temat? Światłości, dlaczego nie potrafię zmusić go do tego, by robił co chcę?”

— Niech konie zostaną przeniesione na brzeg, kapitanie — zwróciła się do Canina. — Ja poinformuję panią Maryim i panią Carylę, że już przybiliśmy.

Nynaeve była Maryim, a Elayne — Carylą.

— Już posłałem człowieka, żeby im powiedział, pani Jodyn. A wasze zwierzęta znajdują się na brzegu, kiedy tylko moi ludzie będą mogli uruchomić reję.

W jego głosie brzmiała nie skrywana radość, że wreszcie może się ich pozbyć. Pomyślała, że mogła mu przecież powiedzieć, by się szczególnie nie spieszył, szybko jednak stłumiła tę ochotę. „Kormoran” przestał zachowywać się jak korek na fali, ona jednak pragnęła suchego lądu pod stopami. Zaraz. Jednak zatrzymała się na chwilę, by poklepać delikatnie Mgłę po pysku i pozwoliła siwej klaczy wtulić nozdrza w jej dłoń — wszystko, aby pokazać Caninowi, że donikąd się nie spieszy.

Nynaeve i Elayne pojawiły się u szczytu drabiny wiodącej do kabin, obładowane torbami i węzełkami, a Elayne podtrzymywała również Nynaeve. Kiedy Nynaeve spostrzegła, że Egwene na nią patrzy, odsunęła się od Córki-Dziedziczki i bez pomocy przeszła resztę drogi do miejsca, gdzie żeglarze położyli wąski trap, łączący pokład statku z nabrzeżem. Dwaj członkowie załogi przeciągali szeroki brezent pod brzuchem Mgły, Egwene zaś pośpieszyła pod pokład po swoje rzeczy. Kiedy wróciła, jej klacz znajdowała się już na lądzie, a deresz Elayne był zawieszony w połowie drogi na brzeg.

Zaraz po tym, jak jej stopy dotknęły kamieni nabrzeża, przepełniła ją przełożona ulga. Tutaj nic nie będzie się kiwać i kołysać. Potem objęła wzrokiem miasto, do którego dotarcie kosztowało je tyle udreki.

Za długim nabrzeżem rozciągały się kamienne ściany magazynów, wokół stały w ogromnej liczbie statki, duże i małe, przycumowane do nabrzeży lub zakotwiczone na rzece. Pośpiesznie odwróciła spojrzenie od tego widoku. Łza została zbudowana na płaskim terenie, oznaczonym ledwie widocznymi wypukłościami. W głębi błotnistej, brudnej ulicy, w prześwicie między dwoma magazynami mogła dostrzec domy, gospody i tawerny zbudowane z drewna i kamienia. Ich dachy, kryte łupkiem lub dachówką, miały dziwnie ostre spady, a niektóre wznosiły się, formując ostre czubki. Za nimi mogła dostrzec wysokie mury z ciemnoszarego kamienia, a jeszcze dalej szczyty wież, z otaczającymi je dookoła balkonami

i białe kopuły pałaców. Same zwieńczenia zbudowane były w kwadracie, szczyty wież zaś kończyły się ostrymi wierzchołkami jak niektóre z dachów na zewnątrz murów. Razem wzięwszy, Łza z pewnością była nie mniejsza niżli Caemlyn lub Tar Valon, a jeśli nawet nie tak piękna jak każde z nich, była wszak jednym z wielkich miast. Jednak Egwene z trudem przychodziło oderwać wzrok od Kamienia Łzy.

Słyszała o nim w opowieściach, słyszała, że był największą i najstarszą fortecą w całym świecie, pierwszą, którą zbudowano po Pęknięciu Świata, a jednak nic nie mogło przygotować jej na ten widok. Początkowo uznała, że patrzy na wielkie wzgórze szarego kamienia albo małą, jałową górę, która rozciąga się na przestrzeni setek hajdów, na zachód od samej Erinin, aż w głąb miasta, przecinając po drodze jego mury. Nawet gdy już dostrzegła długi sztandar, powiewający na niedosiężnym szczycie fortecy — trzy białe półksiężyce ukośnie umieszczone na polu w połowie czerwonym, w połowie złotym — nawet, gdy udało się jej rozróżnić w kamiennym tle krużganki i wieże, dalej trudno jej było uwierzyć, że Kamień Łzy został po prostu zbudowany, a nie zwyczajnie wycięty w zboczach góry, która znajdowała się tu wcześniej.

— Pobudowali go, używając Mocy — wymruczała Elayne. Ona również stała wpatrzona w Kamień. — Strumienie Ziemi spleciono, by wydobyć kamienie z gruntu, Powietrze, aby ściągnąć go z każdego krańca świata, a Ziemię i Ogień dla spojenia ich razem, bez jednego złącza, spoiny czy odrobiny zaprawy. Atuan Sedai mówiła, że w dzisiejszych czasach cała moc Wieży nie wystarczyłaby, by tego dokonać. Dziwne, biorąc pod uwagę obecny stosunek Wysokich Lordów do Mocy.

— Sądzę — powiedziała cicho Nynaeve, obserwując dokerów, którzy kręcili się wokół nich — że mając to na uwadze, nie powinniśmy mówić głośno o pewnych rzeczach.

Elayne najwyraźniej niejednoznacznie zareagowała na te słowa, zdawała się rozdarta między rozdrażnieniem oraz bo przecież zostały wypowiedziane bardzo cicho — zgodą; Córka-Dziedziczka zgadzała się z Nynaeve zbyt chętnie i zbyt często jak na gust Egwene.

„Tylko wówczas, gdy Nynaeve ma rację” — przyznała jednak z niechęcią.

Kobieta, która nosi pierścień albo jest choćby tylko związana z Tar Valon, zostanie z pewnością poddana dokładnej obserwacji. Bosi dokerzy w skórzanych kamizelkach nie zwracali na nie żadnej uwagi; przebiegali obok, bele lub skrzynie nieśli po prostu na plecach, a także często stosowali nosidła. Silny odór ryby wisiał w powietrzu, przy kolejnych trzech dokach cumowały liczne małe łodzie rybackie, przypominające do złudzenia te, które można było oglądać na rysunku w gabinecie Amyrlin. Mężczyźni bez koszul i bosi kobiety wynosili z nich kose pełne ryb, które piętrzyły się teraz w stertach — srebrne, brązowe, zielone oraz ubarwione w taki sposób, iż nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ryby mo-

gą tak wyglądać: jaskrawoczerwone, ciemnoniebieskie, błyszcząco żółte, niektóre nakrapiane bielą i innymi kolorami.

Zniżyła głos tak, by tylko Elayne mogła ją słyszeć.

— Ona ma rację, Caryla. Pamiętaj, dlaczego tak się nazywasz.

Nie chciała, by Nynaeve usłyszała tę uwagę, w której przyznawała jej rację. Jednak gdy tak się stało, wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet odrobinę, Egwene jednak mogła wyczuć satysfakcję, która promieniowała od niej niczym ciepło z kuchennego pieca.

Czarny ogier Nynaeve niemalże stał już na nabrzeżu, żeglarze wynosili ich uprząż ze statku i zwyczajnie zrzucali ją na mokre kamienie nabrzeża. Nynaeve spojrzała na konie i otworzyła usta — Egwene nie wątpiła, iż ma zamiar rozkazać im, by osiodłali ich konie — potem zamknęła je na powrót, zacisnęła mocno, jakby kosztowało ją to sporo wysiłku. Raz mocno szarpnęła za swój warkocz. Zanim temblak do przenoszenia koni odsunął się na wystarczającą odległość, już zarzucała na grzbiet karego koc w niebieskie pasy i mocowała na nim siodło o wysokich łękach. Nawet nie spojrzała na swe towarzyszki.

Egwene początkowo wcale nie chciała dosiadać konia — jej żołądek musiał wytrzymać i tak dość dużo, a jazda w siodle mogła okazać się nazbyt podobna do podróży na pokładzie „Kormorana” — ale spojrzała powtórnie na błotniste ulice i ten widok ją przekonał. Miała na nogach mocne buty, jednak ich czyszczenie zapewne nie należałoby do przyjemności, podobnie zresztą jak i unoszenie spódnic podczas marszu. Szybko osiodłała Mgłę i wskoczyła na siodło, układając sobie wygodnie spódnicę, zanim zdołała wmówić sobie, że ostatecznie marsz przez błoto wcale nie jest takim najgorszym wyjściem. Odrobina pracy z igłą na pokładzie „Kormorana” — tym razem Elayne wykonała ją w całości, Córka-Dziedziczka szyła z nich wszystkich najlepiej i ich spódnicę zostały zgrabnie rozdzielone, by umożliwić jazdę okrakiem.

Twarz Nynaeve przybladła na moment, kiedy wskoczyła na siodło, a jej ogier postanowił sobie trochę pobrykać. Nie poddała się jednak, zacisnęła usta, wodze ściągnęła mocno i po krótkiej chwili odzyskała nad nim kontrolę. Jednak dopiero wówczas, gdy minęły obszar zabudowany przez magazyny, była w stanie się odezwać:

— Musimy zlokalizować Liandrin i jej współpracownicy w taki sposób, by nie dowiedziały się, iż ich szukamy. Z pewnością wiedzą, że je ścigamy, a przynajmniej, że ktoś to czyni, ale wolałabym, żeby nie wiedziały, iż się tu znajdujemy, aż do czasu gdy będzie dla nich za późno. Wzięła głęboki oddech. — Wyznam jednak, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak tego dokonać. Na razie. Czy któraś z was ma jakieś propozycje?

— Łowca złodziei — odrzekła bez wahania Elayne. Nynaeve spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

— Masz na myśli kogoś takiego jak Hurin? — zapytała Egwene. — Ale Hurin

pozostawał w służbie swego króla. Czyż więc każdy łowca złodziei w Łzie nie będzie służył Wysokim Lordom?

Elayne pokiwała głową i przez chwilę Egwene zazdrościła Córce-Dziedzicze jej żołądka.

— Tak, może tak być. Ale łowcy złodziei nie są czymś w rodzaju Gwardii Królowej, albo taireńskich Obrońców Kamienia. Służą władcy, ale ludzie, których obrabowano, czasami płacą im nagrodę za odzyskanie skradzionego łupu. A czasami również biorą pieniądze za odszukanie jakiejś osoby. Przynajmniej tak jest w Caemlyn. Nie sądzę, żeby w Łzie miało być inaczej.

— A więc, wynajmijmy pokoje w gospodzie — oznajmiła Egwene — i każmy karczmarzowi znaleźć dla nas łowcę złodziei.

— Nie w gospodzie — powiedziała Nynaeve głosem tak twardym jak sposób, w jaki prowadziła swego konia; wydawało się, że jej zwierzę nawet na chwilę nie było wypuszczane spod kontroli. Po chwili złagodziła jednak odrobinę ton. — Liandrin na pewno nas zna, musimy założyć, że pozostałe również. Z pewnością będą obserwować gospody, czekając na kogoś, kto podążać będzie po śladach, jakie za sobą zostawiły. Mam zamiar zatrzasnąć pułapkę tuż przed ich nosem, ale nie chcę, żebyśmy się znalazły w środku. Nie zatrzymamy się w gospodzie.

Egwene odmówiła jej spodziewanej satysfakcji i nie zadała pytania.

— Gdzież więc? — Mars wypełził na czoło Elayne. — Gdybym ujawniła swoją tożsamość i spowodowała na dodatek, by ktoś mi uwierzył, w tych ubraniach oraz bez eskorty mogłybyśmy zatrzymać się zapewne w większości szlacheckich domów, a najprawdopodobniej również w samym Kamieniu, gdyż stosunki między Łzą i Caemlyn były ostatnimi czasy zupełnie dobre, ale nie byłoby sposobu na utrzymanie tego w tajemnicy. Całe miasto wiedziałoby przed zmrokiem. Nie potrafię wymyślić nic innego prócz gospody, Nynaeve. Chyba że masz zamiar zatrzymać się w jakiejś farmie na wsi, ale stamtąd trudniej będzie prowadzić poszukiwania.

Nynaeve zerknęła na Egwene.

— Będę wiedziała, kiedy zobaczę. Pozwólcie mi więc popatrzeć.

Zachmurzone spojrzenie Elayne przesunęło się z Nynaeve na Egwene i z powrotem.

— „Nie należy obcinać sobie uszu tylko z tego powodu, że nie lubi się kółczyków” — wymruczała.

Egwene całą uwagę poświęcała ulicy, po której jechały.

„Prędzej szczenę, niż pozwolę jej domyślić się, że jestem tak samo zaciekawiona!”

Ulice były dość puste, przynajmniej w porównaniu z ruchem jaki panował w Tar Valon. Być może gruba warstwa błota, jaka na nich zalegała, onieśmielała przechodniów. Wozy i wózki przetaczały się obok, ciągnięte przeważnie przez woły o szeroko rozstawionych rogach, wozacy maszerowali obok z długimi oście-



niami wyciętymi z jakiegoś jasnego, karbowanego drewna. Na ulicy nie można było dostrzec żadnych powozów ani lektyk. Tutaj również powietrze przesycił ciężki odór ryb, a niejeden z przechodniów, którzy spieszyli obok, niósł na plecach wielki kosz pełen ryb. Sklepy nie sprawiały wrażenia dobrze prosperujących, nie było straganów wystawionych na zewnątrz, a i wchodzących do środka Egwene widywała rzadko. Nad sklepami widniały godła u krawca igła i biała materiału, u wytwórcy noży nóż i nożyczki, i tak dalej — ale na większości z nich farba odpadała. Godła nielicznych gospód były także w opłakanym stanie, same zaś przybytki zdawały się nie cieszyć większym powodzeniem. Niewielkie domki włoczone pomiędzy gospody i sklepy często świeciły dziurami po brakującej dachówce lub łupku. Widać było wyraźnie, że ta część Łzy była biedna. A z wyrazu obserwowanych twarzy mogła wyczytać, iż niewielu jej mieszkańców miało ochotę zmagać się z losem. Poruszali się, pracowali, większość jednak już się poddała. Paru jedynie obrzuciło spojrzeniem trójkę kobiet jadących na koniach tam, gdzie wszyscy pozostali szli pieszo.

Mężczyźni nosili workowate spodnie, zazwyczaj związane w kostce. Jedyne garstka miała na sobie kaftany, długie, ciemne, które dokładnie opasywały ramiona i klatkę piersiową, aby rozszerzyć się poniżej talii. Nieliczni mieli na nogach buty. Częściej były to niskie, zwyczajne łapcie niż wysokie, porządne buty, większość jednak chodziła boso po błocie. Spora część przechodniów nie miała na sobie nie tylko kaftana, lecz również i koszuli, a ich spodnie podtrzymywały szerokie szarfy, czasami barwne, lecz najczęściej po prostu brudne. Niektórzy przykrywali głowy szerokimi, stożkowymi kapeluszami ze słomy, paru wdziało berety z materiału, zsunięte na bakier. Kobiety odziane były w długie suknie z wysokimi kołnierzami sięgającymi im aż do podbródków. Wiele nosiło krótkie fartuszki w jasnych kolorach, czasami dwa lub trzy naraz, w taki sposób, że każdy następny był mniejszy od poprzedniego, a na głowach większości można było dojrzeć te same słomkowe kapelusze, jakie mieli na sobie mężczyźni, ale ufarbowane na kolor pasujący do fartuszka.

To właśnie obserwując kobiety zrozumiała, jak ci, którzy noszą buty, dają sobie radę z błotem. Jedna z kobiet miała małe drewniane deszczułki przymocowane do podeszew butów, ale szła pewnie, jakby jej stopy opierały się mocno na stałym gruncie. Później Egwene dostrzegła podobny wybieg również u innych przechodniów, tak mężczyzn jak i kobiet. Widywała również bose kobiety, jednak nie tak często jak mężczyzn.

Zaczęła zastanawiać się, w którym sklepie można kupić te deszczułki, kiedy Nynaeve zniemacka skierowała swojego konia w alejkę pomiędzy długim, wąskim, dwupiętrowym domem a kamiennymi ścianami sklepu garncarskiego. Wymieniła spojrzenia z Elayne, na twarz Cóрки-Dziedziczki wypełził pełen samozadowolenia uśmiech — a potem pojechały za nią. Egwene nie wiedziała, dokąd jedzie Nynaeve ani czym się kieruje — zamierzała później o tym z nią porozma-

wiać — nie miała jednak ochoty zostać sama.

Alejka zawiodła je na małe podwórze, które nagle otworzyło się za domem, jego granice wyznaczały ściany otaczających budynków. Nynaeve zdążyła już zsiąść z konia i przywiązała wodze do figowego drzewka, aby rumak nie dosięgnął roślin na warzywnej grządce, która zajmowała połowę podwórka. Rządek kamieni wyznaczał drogę do tylnych drzwi. Nynaeve podeszła do nich i zapukała.

— O co chodzi? — Egwene nie mogła wytrzymać. Dlaczego się tutaj zatrzymałyśmy?

— Nie widziałaś ziół we frontowych oknach? — Nynaeve zapukała ponownie.

— Ziół? — zdziwiła się Elayne.

— Wiedząca — poinformowała ją Egwene, zsiadając z siodła. Potem przywiązała Mgłę obok karego.

„Gaidin to nie jest właściwe imię dla konia. Czy ona myśli, że ja nie wiem, na czym to polega?”

— Nynaeve przyprowadziła nas do Wiedzącej albo Badaczki, jakkolwiek ją tutaj nazywają.

W końcu drzwi się otworzyły, stojąca za nimi kobieta uchyliła je tylko odrobinę i teraz spoglądała podejrzliwie przez szparę. Początkowo Egwene pomyślała, że tamta jest gruba, ale kiedy otworzyła drzwi do końca, ze sposobu, w jaki się poruszała, wywnioskowała, że choć z pewnością nie była szczupłą, to na jej wagę składały się głównie mięśnie. Wyglądała na równie potężną jak pani Luhhan, a niektórzy w Polu Emonda twierdzili, iż Alsbet Luhhan jest tak silna jak jej mąż. Nie była to prawda, ale również nie całkowity fałsz.

— W czym mogę wam pomóc? — zapytała kobieta z akcentem przypominającym ten, który pobrzmiwał w głosie Amyrlin. Jej siwe włosy utrefione były w grube loki, które opadały po obu stronach twarzy, a trzy fartuszki były w kolejnych odcieniach zieleni, każdy odrobinę ciemniejszy niż ten pod nim, ale nawet wierzchni był dość jasny. — Która z was mnie potrzebuje?

— Ja — powiedziała Nynaeve. — Potrzebuję czegoś na mdłości. A przypuszczalnie jedna z moich towarzyszek również. To znaczy, oczywiście, jeżeli trafiłyśmy we właściwe miejsce.

— Nie jesteście Tairenkami — powiedziała kobieta. — Powinam rozpoznać to po waszych odzieniach, zanim jeszcze się odezwałaś. Jestem Matka Guenna. Nazywają mnie również Mądrą Kobieta, ale jestem wystarczająco stara, by nie ufać tym opiniom bardziej niżli uszczelnieniom łodzi. Wejdźcie, a dam wam coś na wasze żołądki.

Kuchnia okazała się schludna, choć niewielka, miedziane garnki wisały na ścianie, a suszone zioła i kielbasy zawieszono pod powałą. Drzwi kilku wysokich kredensów zdobiły obrazki jakichś wysokich traw. Powierzchnia stołu wyszorowana była niemalże do białości, a na oparciach krzeseł wyrzeźbiono kwiaty. Na kamiennym palenisku kipiała w garnku zupa, rozsiewająca rybą woń, oraz

stał kociołek z dziobkiem, z którego właśnie zaczynała dobywać się para. W kamiennym piecu nie palił się ogień, za co Egwene była bardziej niż wdzięczna, palenisko wystarczająco podnosiło w pomieszczeniu temperaturę panującego na zewnątrz upału, choć Matka Guenna zdawała się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Naczynia stały na obramowaniu kominka, kolejne, spiętrzone w zgrabnych stosach, zajmowały półki po jego obu stronach. Podłoga wyglądała tak, jakby ją właśnie umyto.

Matka Guenna zamknęła za nimi drzwi, a kiedy ruszyła przez kuchnię, kierując się w stronę kredensów, Nynaeve powiedziała:

— Jaką herbatką mnie poczęstujesz? Z okolistka? Błękitnika?

— Tak bym zrobiła, gdybym miała którekolwiek z nich. — Matka Guenna zaczęła szukać wśród półek, po chwili wyciągnęła kamienny dzban. — Ostatnio nie miałam czasu na zbiory, dam ci więc wywar z liści białej miodły.

— Nie znam tego — powiedziała wolno Nynaeve.

— Działa równie dobrze jak okolistek, tyle że gorzka nuta w smaku nie każdemu odpowiada.

Potężna kobieta wsypała ususzone i pokruszone liście do niebieskiego czajniczka, potem zaniósła go do pieca i zalała gorącą wodą.

— Jesteś więc adeptką sztuki? Siadajcie. — Gestem dłoni, w której trzymała dwie pokryte niebieską glazurą filiżanki, wydobyte przed chwilą z kredensu, wskazała stół. — Siadajcie, to porozmawiamy. Która z was skarży się na żołądek?

— Ja się czuję dobrze — powiedziała ostrożnie Egwene, zajmując proponowane krzesło. — Może to ciebie mdli, Caryla?

Córka-Dziedziczka pokręciła głową, po jej twarzy przemknął cień leciutkiego rozdrażnienia.

— Nieważne. — Siwowłosa kobieta nalała Nynaeve kubek ciemnego płynu, potem siadła za stołem naprzeciwko niej. — Zrobiłam tyle żeby starczyło na dwie, ale napar z białej miodły dłużej zachowuje świeżość niżli solona ryba. Działa tym lepiej, im dłużej się parzy, ale jednocześnie staje się coraz bardziej gorzki. To jakby wyścig pomiędzy tym, czego potrzebuje dla uspokojenia twój żołądek, a ilością goryczy, jaką może wytrzymać twój język. Pij, dziewczyno.

Po krótkiej chwili napełniła również drugi kubek i pociągnęła z niego łyk.

— Widzisz? Nie mam zamiaru potraktować cię niczym trującym.

Nynaeve uniosła swój własny kubek, po pierwszym łyku z jej ust wydobył się nieartykułowany odgłos wyrażający niesmak. Kiedy jednak ponownie opuściła naczynie, rysy jej twarzy wygładziły się znacznie.

— Bez wątplenia jest trochę gorzkie. Powiedz mi, Matko Gumno, długo jeszcze będziemy musiały znosić ten deszcz i błoto?

Starsza kobieta zmarszczyła brwi, spoglądała na każdą z nich po kolei, obdarzając je pełnym irytacji spojrzeniem, po czym na powrót zwróciła się do Nynaeve.

— Nie jestem Poszukiwaczką Wiatru z Ludu Morza, dziewczyno — powiedziała cicho. — Gdybym nawet potrafiła przepowiadać pogodę, prędzej pewnie wrzuciłabym sobie srebrnogrzbietą za suknię niżli się do tego przyznała. Dla Obrońców coś takiego zajmuje drugie miejsce na liście najbardziej paskudnych rzeczy, zaraz za dokonaniem Aes Sedai. A teraz, czy jesteś adeptką sztuki czy nie? Wyglądacie, jakbyście się znajdowały w podróży. Co jest dobre na zmęczenie? — warknęła nagle.

— Napar z wyczyńca — odrzekła spokojnie Nynaeve — albo korzeń andilaja. Skoro już do tego doszło, ja też cię zapytam: co robisz, aby ułatwić poród?

Matka Guenna parsknęła.

— Stosuję gorące ręczniki, dziecko, a czasami również odrobinę białego kopru, jeżeli poród jest naprawdę ciężki. Kobieta nie potrzebuje niczego więcej, może jeszcze prócz kojącej dłoni. Nie potrafisz wymyślić lepszego pytania niż takie, na które będzie w stanie odpowiedzieć pierwsza lepsza żona wieśniaka? Co dajesz na bóle serca? Takie, które mogą skończyć się śmiercią?

— Sproszkowane kwiecie geandinu na język — odpowiedziała szorstko Nynaeve. — Co robisz, jeżeli kobieta czuje szarpające bóle w brzuchu i pluje krwią?

Rozsiadły się przy stole, wymieniały uwagi, a pytania i odpowiedzi krążyły coraz szybciej. Czasami w strumieniu pytań i odpowiedzi następowała krótka przerwa, kiedy jedna z nich nawiązywała do rośliny, którą druga знаła pod inną nazwą, ale potem rozmowa, a właściwie wzajemne przesłuchanie, znowu nabierała tempa, przemieniając się w dyskusję dotyczącą przewagi maści nad naparami, balsamów nad kataplazmami, oraz tego, kiedy lepiej stosować pierwsze niż drugie. Powoli wszystkie te błyskawiczne pytania i repliki zaczęły dotyczyć ziół i korzeni, które jedna znała, druga zaś nie, każda szukała możliwości powiększenia swej wiedzy. Egwene słuchała tego z rosnącą irytacją.

— Po tym, jak podasz mu kościradkę — mówiła Matka Guenna — owijasz złamaną kończynę w ręcznik zmoczony w wodzie, w której wcześniej zagotowałaś niebieski kozi rumianek. . . ale żaden inny, tylko niebieski! . . . — Nynaeve niecierpliwie pokiwała głową — i tak gorący jak tylko pacjent będzie w stanie wytrzymać. Jedna część niebieskiego koziego rumianku na dziesięć porcji wody, nie mniej. Zmieniasz ręczniki, kiedy tylko przestaną parować i tak przez cały dzień. Kość zrośnie się dwukrotnie szybciej niż przy użyciu samej tylko kościradki i będzie dwakroć mocniejsza.

— Będę o tym pamiętać — oznajmiła Nynaeve. Wspomniałaś o stosowaniu baraniego języka na ból oczu. Nigdy nie słyszałam. . .

Egwene stwierdziła, że dłużej już tego nie wytrzyma.

— Maryim — wtrąciła się do rozmowy — czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, że wszystkie te wiadomości nie będą ci już nigdy potrzebne? Przestałaś być Wiedzącą, zapomniałaś o tym?

— O niczym nie zapomniałam — ostro zareplikowała Nynaeve. — Pamiętam

natomiast czasy, kiedy byłaś równie spragniona wiedzy jak ja jestem.

— Matko Guenno — zwróciła się słodko do tamtej co podasz dwóm kobietom, które nie mogą przestać się kłócić?

Siwowłosa kobieta zacisnęła usta i spod zmarszczonych brwi wpatrywała się w blat stołu.

— Zazwyczaj, i odnosi się to zarówno do kobiet, jak i mężczyzn, zalecałabym im, by trzymali się z dala od siebie. To jest najlepszy sposób i najprostszy zarazem.

— Zazwyczaj? — zapytała Elayne. — A co, jeśli istnieją określone przyczyny, dla których jest to niemożliwe? Powiedzmy, że na przykład są siostrami?

— Mam sposób na powstrzymanie kłótni — powiedziała powoli siwowłosa kobieta. — Nie jest to coś, do czego bym kogokolwiek namawiała, ale niektórzy po to właśnie do mnie przychodzą.

Egwene zdało się, że w kącikach jej ust zaigrał leciutki cień uśmiechu.

— Pobieram od każdej kobiety jedną srebrną markę. Od mężczyzn dwie, oni bowiem bardziej się awanturują. Niektórzy kupią wszystko, jeżeli będzie kosztowało odpowiednio dużo.

— Ale na czym polega kuracja? — dopytywała się Egwene.

— Powiadam im, żeby przyprowadzili do mnie tę osobę, z którą się kłóca. Obie strony będą oczekiwały ode mnie, że zamknę temu drugiemu usta.

Wbrew sobie, Egwene zaczęła słuchać. Zauważyła, że Nynaeve również z uwagą chłonie słowa tamtej.

— Kiedy już mi zapłacą — ciągnęła dalej Matka Guenna, poprawiając pozycję mocarnego ramienia — zabieram ich na podwórze i zanurzam ich głowy w korycie z wodą, dopóki nie przyrzekną, że przestaną się kłócić.

Elayne wybuchnęła śmiechem.

— Sądzę, że sama postąpiłabym w podobny sposób skomentowała Nynaeve głosem jakby nazbyt bez troskim. Egwene miała nadzieję, że wyraz jej twarzy nie przypomina oblicza tamtej.

— Nie byłabym zaskoczona, gdybyś tak postąpiła. — Matka Guenna śmiała się teraz już zupełnie otwarcie. — Potem mówię im, że kiedy następnym razem usłyszę, iż się kłóca, za darmo powtórzę dla nich całą kurację, ale tym razem w rzece. Godne uwagi jest to, jak często cała procedura okazuje się naprawdę skuteczna, zwłaszcza w przypadku mężczyzn. Należy także zwrócić uwagę, jak dobrze wpłynęła na moją reputację. Z jakichś powodów, żadna z osób, które leczyłam tym sposobem, nigdy nie zdradziła innym szczegółów, tak że co kilka miesięcy ktoś pojawia się, by zażądać tej kuracji. Jeżeli okazałaś się na tyle głupia, by zjeść błotną rybę, nie rozpowiadasz o tym dookoła. Wierzę, że żadna z was nie ma ochoty wydać srebrnej marki.

— Sądzę, że nie — powiedziała Egwene i spojrzała na Elayne, która ponownie wybuchnęła śmiechem.

— To dobrze — powiedziała siwowłosa kobieta. Ci, których udało mi się wyleczyć z kłótności, mają tendencję do unikania mnie, niczym parzącego zielska w swych sieciach, dopóki nie zachorują naprawdę, a mnie jest dobrze w waszym towarzystwie. Większość z tych, którzy przychodzą do mnie ostatnimi czasy, szuka czegoś na złe sny i robią się smutni, kiedy mówię im, że niczego takiego nie mam.

Na chwilę na jej czoło powrócił mars, siedziała w milczeniu, pocierając skroń.

— Dobrze jest zobaczyć trzy twarze, które nie wyglądają tak, jakby już nie pozostało nic innego jak tylko skoczyć do wody i utonąć. Jeżeli zatrzymacie się na dłużej w Łzie, musicie przyjść, by ponownie mnie odwiedzić. Dziewczyna mówiła do ciebie Maryim? Ja jestem Ailhuin. Następnym razem porozmawiamy nad filiżanką dobrej herbaty Ludu Morza, zamiast nad czymś co tak wykręca język. Światłości, nienawidzę smaku miodły, już chyba błotna ryba smakowałaby lepiej. W rzeczy samej, jeżeli macie dość czasu, by zostać jeszcze przez chwilę, zaparzę czajniczek czarnej herbaty z Tremalking. Niedługo również będzie kolacja. Mam tylko chleb, ser i zupę, niemniej serdecznie was zapraszam.

— To bardzo miło z twojej strony, Ailhuin — powiedziała Nynaeve. — Tak naprawdę to... Ailhuin, gdybyś miała zapasową sypialnię, chciałabym ją dla nas wynająć.

Potężna kobieta patrzyła po kolei na każdą z nich, nie mówiąc ani słowa. Podniosła się od stołu, schowała do kredensu z ziołami czajniczek po naparze z miodły, potem z kolejnego wyciągnęła czerwony dzbanuszek oraz jakąś torebkę. Zaparzyła czajniczek czarnej herbaty z Tremalking, wyciągnęła na stół cztery czyste filiżanki oraz miskę miodu i cynowe łyżeczki. Potem z powrotem zajęła miejsce przy stole. Dopiero wówczas się odezwała.

— Teraz, kiedy córki wyszły za mąż, mam trzy puste pokoje na górze. Mój mąż, niech go Światłość oświeca, zaginął podczas sztormu w pobliżu Palców Smoka, mniej więcej dwadzieścia lat temu. Jednak jeśli zgodzę się wam dać te pokoje, nie może być mowy o wynajmowaniu. Jeżeli się zdecyduję, Maryim.

Nałożyła sobie miodu do herbaty i znów popatrzyła na nie badawczo.

— Co wpłynie na twoją decyzję? — zapytała cicho Nynaeve.

Ailhuin nie przestawała mieszać, jakby zapomniała, iż herbata służy do picia.

— Trzy młode kobiety na znakomitych koniach. Nie znam się szczególnie na zwierzętach, ale te wyglądają dla mnie na takie, jakich dosiadają zazwyczaj lordowie lub lady. Ty, Maryim, wiesz tak dużo o sztuce, że powinnaś już wieszać zioła w swoim oknie, albo zastanawiać się właśnie, gdzie zacząć to robić. Nigdy nie słyszałam o kobiecie praktykującej w znacznej odległości od miejsca, w którym się urodziła, sądząc jednak z waszego akcentu, daleko odjechałyście od domu.

Spojrzała przelotnie na Elayne.

— Nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie rodziliby się ludzie o włosach takiego ko-

loru, jak twój. Andor, powiedziałabym, odgadując dodatkowo na podstawie wymowy. Głupcy zawsze mówią dużo na temat znalezienia żółtowołosej dziewczyny z Andoru. Wszystko, co chcę wiedzieć, to: dlaczego Uciekacie przed czymś? Ścigacie coś? Tylko, że nie wyglądacie na złodziejki, nigdy też nie słyszałam, by trzy kobiety goniły razem za jednym mężczyzną. Dlatego powiedzcie mi o co chodzi i pokoje są wasze. Jeżeli chcecie coś zapłacić, możecie od czasu do czasu kupić trochę mięsa. Mięso jest drogie, od kiedy upadł handel z Cairhien. Ale najpierw dlaczego, Maryim?

— Ścigamy coś, Ailhuin — odrzekła Nynaeve. — Albo raczej, ścigamy pewnych ludzi.

Egwene zmusiła się do zachowania spokoju, miała nadzieję, że jest równie opanowana jak Elayne, która piła herbatę, jakby przysłuchiwała się zwykłej rozmowie o sukienkach. Nie wierzyła, by ciemne oczy Ailhuin Guenna mogły wiele przeoczyć.

— Oni ukradli pewne rzeczy, Ailhuin — ciągnęła dalej Nynaeve. — Rzeczy mojej matki. I zabijali. Jesteśmy tutaj; by dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

— Żeby szeszła ma dusza — powiedziała potężna kobieta — nie było mężczyzn do tego zadania? Przez większość czasu mężczyźni nie nadają się do niczego szczególnego poza ciągnięciem ciężkich sieci i przeszkadzaniem ci...: no i do całowania i innych tych rzeczy... ale jeżeli trzeba stoczyć bitwę, albo złapać złodzieja, to do tego mogą się przydać. Andor jest równie cywilizowanym miejscem jak Łza. Wy nie jesteście przecież Aielami.

— Nie było nikogo prócz nas — powiedziała Nynaeve. — Ci, którzy mogliby pojechać, zostali zabici.

„Trzy zamordowane Aes Sedai — pomyślała Egwene. — One nie mogły być Czarnymi Ajah. Ale gdyby nie zostały zabite, Amyrlin nie mogłaby im zaufać. Ona stara się dotrzymać przeklętych Trzech Przysiąg, ale wędruje po cienkiej linii.”

— Aha — rzekła smutno Ailhuin. — Zabili waszych mężczyzn? Braci, mężów lub ojców?

Plamy czerwieni wykwitły na policzkach Nynaeve, ale starsza kobieta źle zinterpretowała emocje, których były oznaką.

— Nie, nie opowiadaj niczego, dziewczyno. Nie chcę rozdrapywać starych ran. Niech spoczywają w spokoju na dnie duszy, zanim się nie zasklepią. Tutaj u mnie będziecie mogły się trochę uspokoić.

Egwene musiała dołożyć wszelkich starań, by nie parsknąć z niesmakiem.

— Muszę ci coś jeszcze powiedzieć — dodała Nynaeve napiętym głosem. Czerwień wciąż barwiła jej twarz. Ci mordercy i złodzieje byli Sprzymierzeńcami Ciemności. Są kobietami, ale tak niebezpiecznymi jak wytrenowani szermierze, Ailhuin. Jeżeli zastanawiasz się, dlaczego nie udałyśmy się do gospody, oto

odpowieź. Mogą wiedzieć, że podążamy za nimi i mogą nas obserwować.

Ailhuin parsknęła i wykonała taki ruch ręką, jakby odganiała wszystkie te nieprzyjemne informacje niczym dokuczliwe owady.

— Z czworga najbardziej niebezpiecznych ludzi, jakich znam, dwie to kobiety, które noszą przy sobie tylko noże. Jeden z owych ludzi to prawdziwy szermierz. Jeżeli zaś chodzi o Sprzymierzeńców Ciemności... Maryim, kiedy będziesz tak stara jak ja, zrozumiesz, że fałszywi Smokowie są niebezpieczni, lwy morskie są niebezpieczne, rekiny są niebezpieczne, a także nagłe południowe sztormy... natomiast Sprzymierzeńcy Ciemności są głupi. Wstrętni głupcy, ale jednak głupcy. Czarny spoczywa zamknięty tam, gdzie umieścił go Stwórca i żadne Sobowtóry, ani ryby-kły, którymi straszy się dzieci, nie wydostaną go stamtąd. Głupcy nie przerażają mnie, chyba że kierują łodzią, na której płynę. Przypuszczam, że nie macie żadnych dowodów, które mogłybyście przedstawić Obrońcom Kamienia? Byłoby tylko wasze słowo przeciwko ich słowu?

„Co to jest "Sobowtór"? — zastanawiała się Egwene. — Albo "ryba-kieł", jeśli o tym mowa?”

— Będziemy miały dowód, kiedy je znajdziemy oznajmiła Nynaeve. — Będą miały przy sobie rzeczy, które ukradły, a my potrafimy je opisać. To są starożytne przedmioty, nie posiadające szczególnej wartości dla nikogo prócz nas oraz naszych przyjaciół.

— Byłabyś zaskoczona, ile warte są stare rzeczy — sucho powiedziała Ailhuin. — Zeszłego roku stary Leuese Mulan znalazł w swych sieciach trzy dzbany i pucharek wykonane z prakamienia, przy samych Palcach Smoka. Teraz, zamiast rybackiego kutra ma statek handlowy, który pływa w górę rzeki. Stary głupiec nie wiedział nawet co znalazł, dopóki mu nie powiedziałam. Najprawdopodobniej tam, skąd pochodziły te przedmioty, jest ich jeszcze więcej, ale Leuese nie pamiętał nawet dokładnie miejsca, gdzie je znalazł. Nie mam pojęcia, jak w ogóle udawało mu się złapać choćby jedną rybę. Po tym wszystkim, od wielu już miesięcy połowa łodzi rybackich z Łzy, zamiast na chrząkacza czy płastugę zarzuca sieci w poszukiwaniu *cuendillara*, a na pokładach niektórych znajdują się lordowie, którzy mówią, gdzie zarzucać sieci. Tyle właśnie mogą być warte stare rzeczy, jeśli są odpowiednio stare. Słuchajcie teraz, postanowiłam, że będzie wam potrzebny mężczyzna, znam nawet jednego, który nada się do takiego zadania.

— Kogo? — szybko wtrąciła Nynaeve. — Jeżeli masz na myśli jakiegoś lorda, jednego z Wysokich Lordów, pamiętaj, że dopóki nie znajdziemy tamtych, nie mamy żadnych dowodów.

Ailhuin tak się śmiała, że aż zaczęła się dławić.

— Dziewczyno, nikt w Maule nie zna Wysokiego Lorda ani też w ogóle żadnego lorda. Błotne ryby nie przestają ze srebrnobokami. Przedstawię ci jednego z tych niebezpiecznych ludzi, których znam, tego, który nie jest szermierzem, a jednak z tej dwójki mężczyzn, o których wspomniałam, jest bardziej niebez-



pieczny. Juilin Sandar jest łowcą złodziei. Najlepszym. Nie wiem, jak to jest w Andorze, ale tutaj łowca złodziei może przyjąć zlecenie równie dobrze od ciebie czy ode mnie jak od lorda lub kupca i jeszcze policzy sobie za to mniej. Juilin będzie w stanie odszukać dla was te kobiety, pod warunkiem oczywiście, że w ogóle można je znaleźć oraz odzyskać wasze rzeczy w taki sposób, iż wcale nie będziecie się musiały nawet zbliżyć do tych Sprzymierzeńców Ciemności.

Nynaeve przystała na jej propozycję, jakby niezupełnie przekonana, a Ailhuin przywiązała sobie te deszczułki do swoich butów — nazwała je chodakami — i pośpieszyła na dwór. Egwene patrzyła za nią przez jedno z okien w kuchni, dopóki nie przeszła obok koni i nie zniknęła za rogiem.

— Uczysz się być Aes Sedai, Maryim — powiedziała, kiedy odwróciła się od okna. — Manipulujesz ludźmi z równą zręcznością jak Moiraine.

Twarz Nynaeve śmiertelnie pobladła.

Elayne wstała z miejsca, w którym siedziała, podeszła bliżej i uderzyła Egwene w twarz. Ta była tak zaskoczona, że nie potrafiła zareagować w żaden sposób. Oślupiała.

— Posunęłaś się za daleko — powiedziała ostro złotowłosa dziewczyna. — Za daleko. Musimy działać razem, albo razem umrzemy! Czy ty podałaś Ailhuin swoje prawdziwe imię? Nynaeve powiedziała jej tyle ile mogła, że poszukujemy Sprzymierzeńców Ciemności, a i tak było wystarczająco ryzykowne... przyznanie się do jakichkolwiek związków z nimi. Powiedziała jej, że są niebezpieczne, że to morderczynie. Czy chciałybyś, żeby przyznała się, iż to Czarne Ajah? W Łzie? Czy zaryzykowałabyś wszystko, mając tylko nadzieję, że Ailhuin zatrzyma to, czego się dowiedziała, wyłącznie dla siebie?

Egwene energicznie rozcierała policzek. Elayne miała twardą rękę.

— Nie musi mi się to podobać.

— Wiem — westchnęła Elayne. — Mnie również nie. Ale musimy tak postępować.

Egwene odwróciła się z powrotem do okna i zaczęła obserwować konie.

„Wiem, że musimy. Ale nie muszę tego lubić.”

## BURZA W ŁZIE

Egwene wróciła wreszcie do stołu, na którym stała jej herbata. Doszła do wniosku, że Elayne postąpiła słusznie, że ona sama rzeczywiście posunęła się za daleko, ale nie potrafiła się zmusić do tego, aby przeprosić, toteż długo siedziały w milczeniu.

Kiedy Ailhuin wróciła, towarzyszył jej szczupły człowiek w średnim wieku, który wyglądał, jakby wyrzeźbiono go ze starego drewna. Juilin Sandar ściągnął przy drzwiach swoje chodaki, na kołku zaś powiesił płaski, stożkowy kapelusz ze słomy. Łamacz mieczy, który przypominał broń jaką posługiwał się Hurin, ale po każdej stronie dłuższego rozcięcia miał dwa mniejsze, wisiał przy pasie jego brązowego kaftana. Ponadto uzbrojony był w pałkę, tak długą jak on sam, lecz niewiele grubszą od jego kciuka i wykonaną z tego samego jasnego drewna, co owe karbowane witki, którymi woźnice wołów poganiali swe zwierzęta. Krótko ścięte, czarne włosy przylegały płasko do głowy, a bystre ciemne oczy zdawały się rejestrować wszystkie szczegóły otoczenia, a także cechy charakterystyczne wszystkich, którzy się wokół znajdowali. Egwene mogłaby się założyć, że Ny-naeve została poddana dużo dokładniejszym oględzinom i na koniec zdawało jej się, że brak reakcji tamtej musiał być rozmyślny, pewna była bowiem, że również musiała wszystko dostrzec.

Ailhuin skierowała go do stołu, podszedł bliżej, odsunął mankiety swego kaftana, ukłonił się każdej po kolei i usiadł, opierając pałkę o ramię. Nie odezwał się ani słowem, dopóki siwowłosa kobieta nie przyrządziła czajniczka świeżej herbaty, i każde z nich nie pociągnęło przynajmniej łyka.

— Matka Guenna opowiedziała mi o waszym kłopotcie — powiedział cicho, kiedy odstawił filiżankę na stół. Pomogę wam, jeśli będę mógł, ale wkrótce Wysocy Lordowie mogą obarczyć mnie jakimś innym zadaniem.

Wielka kobieta parsknęła.

— Juilin, od kiedy zachowujesz się jak sprzedawca, który stara się dostać cenę jedwabiu za len? Nie usiłuj mnie przekonać, że nie wiesz wcześniej, kiedy wezwą cię Wysocy Lordowie.

— Nie twierdzę tego — odpowiedział jej z uśmiechem Sandar — ale wiem co oznacza, kiedy widzę mężczyzn na dachach pośród nocy. Tylko kątem oka... po-

trafią się chować jak fajkowa ryba pośród trzciny... niemniej dostrzegłem poruszenie. Nikt nie doniósł jeszcze o kradzieży, ale wewnątrz murów działają złodzieje i możesz założyć się o swoją kolację. Zapamiętaj sobie. Nie minie tydzień, a wezwą mnie do Kamienia, ponieważ okaże się, że banda złodziei rabowała domy kupieckie, a może i nawet siedziby lordów. Obrońcy mogą strzec ulic, ale kiedy trzeba wytropić złodziei, wysyłają po łowcę, a ja jestem pierwszy na ich liście. Nie chcę podnosić ceny, ale cokolwiek miałbym zrobić dla tych pięknych pań, muszę to zrobić szybko.

— Sądzę, że on mówi prawdę — powiedziała z wahaniem Ailhuin. — Powiedziałby wam, że księżyc jest zielony a woda biała, gdyby uznał, że może otrzymać za to całusa, ale w innych kwestiach kłamie rzadziej niż większość mężczyzn. Być może jest nawet najbardziej uczciwym człowiekiem, jaki kiedykolwiek urodził się w Maule.

Elayne przyłożyła dłoń do ust, a Egwene ze wszystkich sił starała się nie roześmiać w głos. Nynaeve siedziała nieruchomo, najwyraźniej zniecierpliwiona.

Sandar spojrzął na siwą kobietę, skrzywił się, po namyśle jednak postanowił zignorować to, co powiedziała. Uśmiechnął się do Nynaeve.

— Przyznam, iż w istocie interesują mnie ci złodzieje. Znałem kobiety-złodziejki i bandy złodziei, ale nigdy dotąd nie słyszałem o kobiecej bandzie. No i jestem winien przysługę Matce Guenna.

Jego oczy zdawały się bezustannie przebiegać po sylwetce Nynaeve.

— Ile sobie policzysz? — zapytała ostro.

— Za odzyskanie skradzionych dóbr — powiedział tamten szybko — chciałbym dostać dziesiątą część wartości tego, co odzyskam. Za odnalezienie kogoś liczę sobie jedną srebrną markę od osoby. Matka Guenna powiedziała, że ukradzione rzeczy nie mają szczególnej wartości dla nikogo prócz was, moje panie, dlatego proponuję, byście rozważyły swój wybór.

Uśmiechnął się ponownie, miał bardzo białe zęby.

— Nie mogę w ogóle nie wziąć od was pieniędzy, ponieważ nie spodobałoby się to bractwu, ale wezmę tak mało, jak to tylko możliwe. Miedziaka lub dwa, nie więcej.

— Znam jednego łowcę złodziei — zwróciła się do niego Elayne. — Ze Shienaru. Człowiek niezwykle godny szacunku. On nosi miecz razem z łamaczem mieczy. Dlaczego ty nie?

Sandar przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, potem zdenerwował się tym, iż dał się zaskoczyć. Nie zwrócił uwagi na wskazówkę, którą mu podsunęła, albo postanowił nie zwracać na nią uwagi.

— Nie jesteś Tairenką. Słyszałem o Shienarze, pani, słyszałem opowieści o trollokach i o tym, że każdy mężczyzna jest tam wojownikiem.

Uśmiechnął się, jakby były to bajki dla dzieci.

— To prawdziwe historie — powiedziała Egwene. Albo przynajmniej w większości prawdziwe. Byłam w Shiemrze.

Mrugnął do niej i ciągnął dalej:

— Nie jestem ani lordem, ani bogatym kupcem, nawet nie żołnierzem. Obrońcy nie mają pretensji do obcych o to, że noszą broń... chyba że mają zamiar zabawić dłużej w mieście... ale mnie wtrącono by do celi pod Kamieniem. Tu obowiązują prawa, pani. — Wnętrzem dłoni, na pozór zupełnie nieświadomie, potarł pałkę. — Radzę sobie tak dobrze, jak potrafię. Bez miecza.

Ponownie jego uśmiechnięte spojrzenie spoczęło na Nynaeve.

— Cóż, gdybyś mogła mi opisać te rzeczy...

Przerwał, kiedy postawiła sakiewkę na skraju stołu i odliczyła z niej trzynaście srebrnych marek. Egwene osądziła, że wybrała najlżejsze monety, większość była tairańska, tylko jedna z Andoru. Amyrlin dała im mnóstwo złota, ale nawet wielka suma nie starczy na wieczność.

Nynaeve z namysłem spjrzała na sakiewkę, potem zaciągnęła rzemyki i włożyła ją do swej sakwy.

— Masz znaleźć trzynaście kobiet, panie Sandar, a kiedy tego dokonasz, dostaniesz drugie tyle srebra. Znajdź je, a my same odzyskamy naszą własność.

— Zrobię to za mniejszą sumę niż ta — protestował. — Nie ma też potrzeby ustalania dodatkowej nagrody. Biorę taką cenę, jaką podałem. Nie bójcie się, nie wezmę łapówki.

— Tego nie trzeba się obawiać — przyznała Ailhuin. — Powiedziałam, że jest uczciwy. Po prostu nie wiercie mu tylko wtedy, kiedy powie którejś z was, że ją kocha.

Sandar wbił w nią ciężkie spojrzenie.

— Płacę monetą, panie Sandar — powiedziała twardo Nynaeve — dlatego też wybieram to, co kupuję. Czy znajdziesz te kobiety i resztę pozostawisz nam?

Czekała, aż niechętnie kiwnął głową, potem ciągnęła dalej:

— Mogą być razem, albo też i nie. Pierwsza jest z Tarabon. Trochę wyższa ode mnie, z ciemnymi oczami i jasnymi włosami w kolorze miodu, które nosi zaplecione w mnóstwo cienkich warkoczyków, zgodnie z tarabońską modą. Niektórzy mężczyźni mogą uważać ją za ładną, ale dla niej nie byłby to komplement. Ma złe, nadasane usta. Druga jest z Kandori. Ma długie czarne włosy z białym pasmem na lewej skroni...

Nie podawała żadnych imion, a Sandar również o nie nie pytał. Imiona tak łatwo można było zmienić. Teraz, kiedy przystąpił do interesów, jego uśmiech zniknął. Słuchał uważnie, gdy opisywała po kolei trzynaście kobiet; Egwene pewna była, że wszystko co usłyszał, mógłby wyrecytować słowo w słowo.

— Matka Guenna mogła ci to już powiedzieć — skończyła Nynaeve — ale ja powtórzę raz jeszcze. Te kobiety są bardziej groźne, niż mógłbyś przypuszczać.

Ich dłonie zabiły już kilkunastu ludzi, przynajmniej o tylu wiem, a nie byłabym zaskoczona, gdyby było to jedynie kroplą w morzu krwi na ich rękach.

Słyszając te słowa, Sandar i Ailhuin równocześnie zamrugali oczyma.

— Jeżeli odkryją, że ich szukasz, umrzesz. Jeżeli cię złapią, zmuszą do wyjawienia, gdzie jesteśmy, a Matka Guenna najpewniej umrze razem z nami.

Siwowłosa kobieta wyglądała, jakby nie potrafiła w to uwierzyć.

— Uwierz mi! — Spojrzenie Nynaeve zmuszało do akceptacji wypowiadanych przez nią słów. — Uwierz mi, albo oddaj srebro a ja znajdę sobie kogoś innego, kogoś kto będzie miał więcej rozumu!

— Kiedy byłem młody — powiedział Sandar, jego głos brzmiał poważnie — dziewczyna kieszonkowiec wsadziła mi nóż między zębra, ponieważ nie wierzyłem, że śliczna, młoda kobieta może być równie chętna i szybka do dźgnięcia stałą jak mężczyzna. Więcej już nie popełnię tego błędu. Będę zachowywał się tak, jakby te wszystkie kobiety były Aes Sedai, jakby były Czarnymi Ajah.

Egwene niemalże zakrztusiła się, on obdarzył ją ponurym spojrzeniem, zsunął monety do swej własnej sakiewki i wsadził ją za pazuchę.

— Nie miałem zamiaru przestraszyć cię, pani. W Łzie nie ma żadnych Aes Sedai. Może minąć kilka dni, zanim tamte kobiety zbiorą się razem. Trzynaście kobiet razem będzie łatwo odnaleźć, choć trudniej będzie sobie potem z nimi poradzić. Ale, niezależnie od wszystkiego, znajdę je. I nie wypłoszę z miejsca, gdzie będą, zanim was o nim nie poinformuję.

Kiedy nałożył już swój słomkowy kapelusz oraz chodaki i wyszedł przez tylne drzwi, Egwene powiedziała:

— Mam nadzieję, że nie jest zbyt pewny siebie, Ailhuin. Słyszałam co mówił, lecz... On zdaje sobie sprawę, że tamte są niebezpieczne, prawda?

— Nigdy nie był głupcem, zdarzało mu się jedynie oszaleć czasem dla pary pięknych oczu albo zgrabnej kostki odrzekła na to siwowłosa kobieta — a to jest wada, którą można wybaczyć każdemu mężczyźnie. Jest najlepszym łowcą złodziei w Łzie. Nie martwcie się. Znajdzie tych waszych Sprzymierzeńców Ciemności.

— Będzie padać jeszcze tej nocy — Nynaeve zadrżała mimo ciepła panującego w pomieszczeniu. — Czuję jak zbiera się na burzę.

Ailhuin pokręciła tylko głową i zakrzętała wokół kolacji, na którą miała być rybna zupa.

Kiedy już zjadły i umyły naczynia, Nynaeve i Ailhuin siedli przy stole, rozmawiając o ziołach i lekach. Elayne pracowała nad małym skrawkiem haftu, którym zaczęła ozdabiać rękaw swego płaszcza — przedstawiał maleńkie błękitne i białe kwiatki — a potem przeczytała kopię *Esejów Willima z Manaches*, które znalazła na niewielkiej półce z książkami Ailhuin. Egwene też spróbowała czytać, ale żadne eseje, ani *Podróże Jaima Długi Krok*, ani też humorystyczne opowieści

Alerii Elffm nie zdołały przykuć jej uwagi na więcej niż kilka stron. Przez materię sukienki dotknęła kamienia *ter'angreal*.

„Gdzie one są? Czego chcą w Sercu? Nikt prócz Smoka, nikt prócz Randa, nie może dotknąć *Callandora*, o co im więc chodzi? O co? O co?”

Gdy wieczór zmienił się w noc, Ailhuin pokazała każdej z nich przydzieloną jej sypialnię na drugim piętrze, ale gdy tylko udała się do własnego pokoju, zebrały się wszystkie razem przy świetle pojedynczej lampy w pomieszczeniu Egwene. Egwene zdążyła się już rozebrać do bielizny, na jej szyi wisiał rzemień z dwoma pierścieniami. Pasiasty kamień zdawał się cięższy od złotego. Tak właśnie postępowały każdej nocy od opuszczenia Tar Valon, wyjąwszy tylko tę jedną noc, którą spędziły z Aielami.

— Obudźcie mnie po godzinie — powiedziała im.

Elayne zmarszczyła brwi.

— Tak krótko tym razem?

— Czy czujesz się niespokojna? — zapytała Nynaeve. — Być może zbyt często go używasz.

— Gdybym tego nie robiła, wciąż byłybyśmy w Tar Valon i skrobałybyśmy garnki, mając nadzieję na znalezienie czarnej siostry, zanim nas znajdzie Szary Człowiek odparła ostro Egwene.

„Światłości, Elayne ma rację. Marudzę jak nadąsane dziecko.”

Wzięła głęboki oddech.

— Chyba naprawdę jestem niespokojna. Może dlatego, że znajdujemy się obecnie tak blisko Serca Kamienia. Tak blisko *Callandora*. Tak blisko pułapki, na czymkolwiek miałaby ona polegać.

— Bądź ostrożna — powiedziała Elayne, a Nynaeve znacznie ciszej dodała: — Bądź bardzo ostrożna, Egwene. Proszę.

Szarpała swój warkocz nerwowymi, krótkimi ruchami.

Kiedy Egwene położyła się wreszcie na niskim łóżku, a one dwie zasiadły na stołkach po obu jego stronach, przez niebo przetoczył się z łoskotem grzmot. Sen powoli nadszedł.

To znowu były łagodne wzgórza, jak zawsze na początku, kwiaty i motyle pod wiosennym niebem, lekka bryza i śpiew ptaków. Tym razem miała na sobie zielony jedwab, wyhaftowany na piersiach w złote ptaki oraz pantofle z zielonego aksamitu. *Ter'angreal* najwyraźniej był tak lekki, że uniósł się w górę, mimo iż w dół ściągał go ciężar pierścienia z Wielkim Wężem.

Metodą prób i błędów nauczyła się trochę o regułach rządzących w *Ter'aran'rhiod* — przecież nawet Świat Snów, Niewidzialny Świat, ma swoje prawa, choć czasami dziwaczne; nie miała wątpliwości, iż nie zna nawet dziesiątej części z nich — oraz poznała jedyny sposób w jaki mogła przenieść się tam,

gdzie chciała. Przymknąwszy oczy, opróżniła umysł, jakby przygotowując się na objęcie *saidara*. Nie było to takie łatwe, gdyż wciąż formowała jej się róża, a nadto nie potrafiła uwolnić się od poczucia obecności JedyneŹródła, które boleśnie nieomal domagało się, by je pochwyliła. Ona jednak pragnęła, by była tylko pustka, pustka oraz coś jeszcze. Wyobraziła sobie Serce Kamienia takim, jakim widziała je w poprzednich snach, ukształtowane w każdym detalu, doskonale wewnątrz pustki. Wielkie, wypolerowane kolumny z czerwonego kamienia. Wytarte wiekiem kamienie posadzki. Kopuła, wysoko ponad głowę. Powoli obracający się w powietrzu, niedotykalny kryształowy miecz, zwrócony rękojeścią w dół. Kiedy widok był już tak realny, że miała wrażenie, iż mogłaby sięgnąć ręką i dotknąć go, otworzyła oczy i już była tam, w Sercu Kamienia. Albo przynajmniej w Sercu Kamienia takim, jakie istniało w *Ter'aran'rhiod*.

Stały tam kolumny, był również *Callandor*. A dookoła rozsiewającego iskry światła miecza siedziało na skrzyżowanych nogach trzynaście kobiet, wpatrujących się w wirujący *Callandor*. Były ciemne i bezcielesne jak cienie. Liandrin o włosach koloru miodu odwróciła głowę, spojrzała prosto na Egwene swymi wielkimi, ciemnymi oczyma, a jej usta w kształcie pączka róży uśmiechnęły się.

\* \* \*

Wciągając rozpaczliwie oddech, Egwene usiadła na pościeli tak gwałtownie, że niemalże spadła na podłogę.

— O co chodzi? — dopytywała się Elayne. — Co się stało? Wyglądasz na przerażoną.

— Dopiero przed momentem zmrużyłaś oczy — powiedziała cicho Nynaeve. — Od samego początku naszych prób to jest pierwszy raz, kiedy ocknęłaś się bez naszej pomocy. Coś się stało, prawda?

Ostro szarpnęła warkocz.

— Dobrze się czujesz?

„W jaki sposób udało mi się wydostać? — zastanawiała się Egwene. — Światłości, nawet nie wiem, czego dokonałam!”

Rozumiała, że usiłuje jedynie ułożyć w myślach to, co powinna powiedzieć. Rozwiązała rzemyk opasujący szyję, a potem zawiesiła na dłoni pierścień z Wielkim Wężem oraz większy, poskręcany *ter'angreal*.

— Czekają na nas — powiedziała na koniec. Nie było potrzeby wyjaśniania, kto czeka. — I sędzę, że wiedzą, iż jesteśmy w Łzie.

Za oknami burza rozszalała się nad miastem.

\* \* \*

Wysłuchany w deszcz bijący o deski pokładu nad głową, Mat patrzył na planszę do gry w kamienie, która leżała na stole między nim a Thomem, ale nie potrafił naprawdę skoncentrować się na grze, nawet pomimo, iż stawką w niej była andorańska marka. Grzmot załomotał, a małe okna rozświetlił blask błyskawicy. Cztery lampy oświetlały kabinę kapitańską „Chyżej”.

„Przeklęty statek, może sobie być bardziej śmigły niż ptak, ale to wciąż trwa cholernie długo.”

Statek przechylił się odrobinę, potem w drugą stronę, jego ruch uległ nieznacznej zmianie.

„Lepiej, żeby nas nie wpakował na jakąś przeklętą mieliznę! Jeżeli nie postarał się naprawdę wycisnąć wszystkiego z tej mydelniczki, wepchnę mu to złoto do gardła!”

Ziewnął — od czasu opuszczenia Caemlyn nie spał dobrze, nie potrafił odsunąć od siebie zmartwień, by uzyskać spokojny sen — po chwili ziewnął ponownie i postawił biały kamień na skrzyżowaniu dwóch linii, w trzech ruchach zbiję zapewne co najmniej piątą część kamieni Thoma.

— Mógłbyś być niezłym graczem, chłopcze — powiedział bard, trzymając w zębach ustnik fajki, po chwili umieścił na planszy swój kamień — gdybyś bardziej się przykładał.

Jego tytoń pachniał liśćmi i orzechami.

Mat sięgnął po następny kamień ze stosu przy jego łokciu, potem zamrugał i zostawił go tam, gdzie leżał. W tych samych trzech posunięciach kamienie Thoma otoczą przynajmniej trzecią część jego sił. Nie dostrzegł, jak zagrożenie zbliżało się, a teraz nie wiedział, jak przed nim uciec.

— Czy ty kiedykolwiek przegrywasz? Czy kiedykolwiek przegrałeś jakąś grę? Thom wyjął fajkę z ust i kciukiem podkręcił wąża.

— Od dawna już nie. Morgase zazwyczaj wygrywała ze mną połowę partii. Powiada się, że dobrzy dowódcy i dobrzy gracze Wielkiej Gry są niezli również w kamienie. Ona z pewnością wie, jak wygląda Gra Domów, nie wątpię także, że poradziłaby sobie na polu bitwy.

— Nie moglibyśmy zamiast tego pograć trochę w kości? Kamienie zabierają zbyt wiele czasu.

— Bardziej odpowiada mi gra, w której mam szansę wygrać więcej niż jeden rzut na dziewięć czy dziesięć sucho odparował siwowłosa.

Mat poderwał się na równe nogi, gdy drzwi rozwarły się gwałtownie, a do środka wpadł kapitan Derne. Mężczyzna o kwadratowej twarzy zsunął płaszcz z ramion i mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwa, otrząsnął z niego wodę.



— Niech Światłość przepali moje kości, nie wiem dlaczego w ogóle pozwoliłem wam wynająć „Chyżą”. To wy domagaliście się, by płynęła szybciej pośród najczarniejszej nocy i największego deszczu. Jeszcze szybciej. Zawsze przeklęta szybkość! Sto razy już mogliśmy wpakować się na przeklętą mieliznę!

— Chciałeś mieć nasze złoto — powiedział ochryłym głosem Mat. — Powiedziałeś, że ta sterta starych desek jest szybka, Derne. Kiedy dotrzemy do Łzy? Zaciśnięte usta kapitana wykrzywił grymas uśmiechu.

— Dobijamy do nabrzeża. W tej chwili. I niech szeszę, niech się zamienię w cholernego wieśniaka, jeżeli zniosę jeszcze choć przez chwilę dłużej tę przeklętą rozmowę! A teraz, gdzie reszta mojego złota?

Mat rzucił się do jednego z małych okienek i wyjrzał na zewnątrz. W ostrym świetle rozbłysków błyskawic niewiele mógł dostrzec, widział jednak mokry kamienny dok. Z kieszeni wyciągnął następną sakiewkę pełną złotych monet i rzucił ją Derne’owi.

„Kto kiedy słyszał o marynarzu, który nie gra w kości!”

— Nareszcie — warknął.

„Światłości, spraw, żeby nie było za późno.”

Wepchnął wszystkie swoje rzeczy oraz koce do skórzanej torby i zarzucił ją na ramię. Zwój z fajerwerkami zawiesił na drugim, na specjalnie przymocowanym rzemieniu. Jego płaszcz zakrył wszystko, choć z przodu trochę odstawał. Lepiej, żeby on zmókł niżli fajerwerki. Płaszcz po wyschnięciu będzie jak nowy, próba którą przeprowadził w misce z wodą upewniła go, że z fajerwerkami jest inaczej.

„Sądzę, że ojciec Randa miał rację.”

Mat dotychczas myślał, że Rada Wioski nie odpala ich podczas deszczu wyłącznie z tego powodu, iż na czystym niebie widowisko było znacznie bardziej efektowne.

— Nie nabrałeś jeszcze ochoty, by je sprzedać? Thom naciągał na ramiona płaszcz barda. Okrywał on jego skórzane pokrowce na harfę i flet, ale zawiniątko z rzeczami i kocami powiesił na plecach zupełnie nie osłonięte.

— Nie zrobię tego, dopóki nie dowiem się jak działają, Thom. A poza tym, pomyśl ile będziemy mieli zabawy, kiedy je odpalimy.

Bard wrzucił ramionami.

— Dopóki nie zechcesz odpalić ich wszystkich naraz, chłopcze. Dopóki nie wrzucisz ich wszystkich do paleniska podczas kolacji. Ja bym nie oddał ci ich z powrotem, mając na uwadze sposób, w jaki się z nimi obchodzisz. Masz szczęście, że dwa dni temu kapitan nie zrzucił nas z pokładu do rzeki.

— Nie zrobiłby tego — zaśmiał się Mat. — Przynajmniej dopóki ta sakiewka była na pełnym morzu. Co, Deme?

Derne podrzucał w dłoniach pełną złotą sakiewkę.

— Nie pytałem wcześniej, ale teraz daliście mi już złoto i nie zabierzecie go z powrotem. O co w tym wszystkim chodzi? Po co ten przeklęty pośpiech?

— Zakład, Derne. — Ziewając, Mat wziął swoją pałkę i już był gotów do wyjścia. — Zakład.

— Zakład! — Derne patrzył na ciężką sakiewkę. Druga, identyczna, już dawno spoczywała w jego szkatule. Stawką w nim musi być chyba jakieś cholerne królestwo!

— Więcej — oznajmił Mat.

Deszcz bił o deski pokładu z taką siłą, że nie można było dojrzeć trapu, wyjąwszy chwile, kiedy niebo nad miastem przecinała błyskawica; wycie ulewy ledwie pozwalało zebrać myśli. Mimo to widział światła w oknach, w głębi ulicy. Tam muszą się znajdować gospody. Kapitan nie wyszedł na pokład, by zobaczyć, jak schodzą na brzeg, nikt z załogi również nie miał ochoty dłużej przebywać na deszczu. Mat i Thom sami zeszli na kamienne nabrzeże.

Mat zaklął, gdy jego buty ugrzęzły w błocie pokrywającym ulice, ale na to nie można było nic poradzić, musiał dzielnie brnąć naprzód w takim obuwiu, jakie posiadał, przy każdym kroku badając grunt końcem pałki. Powietrze pachniało rybą, cuchnącego odoru nie był w stanie zmyć nawet deszcz.

— Znajdziemy jakąś gospodę — powiedział głośno, aby Thom go usłyszał. — A potem pójdziemy się rozejrzeć.

— Przy tej pogodzie? — odkrzyknął bard.

Deszcz spływał po jego twarzy, ale bardziej przejmował się, by nie zamokły instrumenty; nie dbał o siebie.

— Comar zapewne opuścił Caemlyn przed nami. Jeżeli miał dobrego konia zamiast tego krowiego koryta, którym my podróżowaliśmy, mógł wyruszyć z Aringill do ujścia rzeki nawet cały dzień przed nami, a nie mam pojęcia czy go prześcignęliśmy z tym idiotą Derne.

— To była krótka podróż — mitygował go Thom. „Chyż” zasługuje na swoją nazwę.

— Niech będzie, jak chcesz, Thom, deszcz czy nie, muszę go znaleźć, zanim jemu uda się odszukać Egwene, Nynaeve i Elayne.

— Kilka godzin spóźnienia nie zrobi większej różnicy, chłopcze. W mieście tak wielkim jak Łza są setki gospód. Za murami mogą znajdować się kolejne setki, niektóre z nich pomyślane bez żadnego rozmachu jako miejsca z kilkunastoma pokojami, tak małe, że możesz przejść obok i nawet się nie domyślisz, iż tam są. — Bard zaciągnął nieco mocniej kaptur płaszcza, mruczając coś do siebie. — Odnalezienie ich może nam zająć tygodnie. Ale Comarowi nie będzie łatwiej. Możemy spokojnie spędzić noc pod dachem, z dala od deszczu. Założę się o dowolną monetę z tych, które posiadasz, że Comar na pewno nie będzie chodził po mieście przy takiej pogodzie.

Mat potrząsnął głową.

„Maleńka gospoda z kilkunastoma pokojami.”

Zanim opuścił Pole Emonda, największym budynkiem jaki widział w życiu, była gospoda „Winna Jagoda”. Wątpił czy Bran al’Vere miał więcej niż kilkanaście pokoi do wynajęcia. Egwene mieszkała ze swymi rodzicami oraz siostrą we frontowych pokojach na pierwszym piętrze.

„Niech szczenę, czasami wydaje mi się, że żadne z nas nie powinno opuszczać Pola Emonda. — Ale Rand z pewnością musiał odejść, a Egwene prawdopodobnie umarłaby, gdyby nie pojechała do Tar Valon. — A teraz może umrzeć właśnie dlatego, że tam pojechała.”

Nie sądził, by mógł ponownie osiedlić się na farmie; krowy i owce z pewnością nie grają w kości. Ale Perrin wciąż miał szanse na powrót do domu. Przyłapał się nawet na tym, że szczerze mu takiego powrotu życzy.

„Wracaj do domu, Perrin. Wracaj, póki wciąż jeszcze możesz. — Potrząsnął głową, starając się odpędzić te dziwne myśli. — Głupiec! Dlaczego miałbyś chcieć wracać?”

Potem pomyślał o łóżku, ale i tę myśl od siebie odegnał.

„Jeszcze nie.”

Błyskawica rozcięła niebo, trzy poszarpane pioruny splotły się razem, oświetlając przesywającym blaskiem wąski dom, w którego oknach zdawały się wisieć pęczki ziół oraz sklep, zamknięty na głucho — i tylko garncarz namalowany na godle wytrwale. prezentował swe dzbany i talerze. Mat ziewnął, zgarbił jeszcze bardziej ramiona pod siekącym deszczem, starając się energiczniej wyciągać swe buty z lepkiego błota.

— Myślę, że wołałbym szybko zapomnieć o tej części miasta, Thom — krzyknął. — Całe to błoto i smród ryby. Czy możesz sobie wyobrazić Nynaeve lub Egwene... albo Elayne!... , które chcą zatrzymać się tutaj? Kobiety lubią czyste i schludne rzeczy, Thom, i ładnie pachnące.

— Może i tak, chłopcze — wymamrotał Thom, i znów zaczął kaszleć. — Byłbyś zaskoczony, wiedząc ile kobiety potrafią znieść. Ale może być i tak, jak powiadasz.

Przytrzymując płaszcz w taki sposób, by okrywał zwój z fajerwerkami, Mat wydłużył krok.

— Pośpiesz się, Thom. Chcę znaleźć Comara albo dziewczęta jeszcze tej nocy, a najpóźniej jutro.

Thom kuśtykał za nim, bezustannie kaszłąc.

Przeszli przez szerokie bramy miejskie — w takim deszczu nie były strzeżone — i Mat poczuł ulgę, kiedy podeszwy jego butów dotknęły kamieni bruku. Około pięćdziesiąt kroków przed nimi znajdowała się gospoda, okna wspólnej sali rozsiewały światło na ulicę, w pobliżu słychać było dźwięki muzyki, które przesycały noc. Nawet Thom pokonał ostatnie pięćdziesiąt kroków wśród deszczu dość szybko, nie dbając już o to, że utyka.

Właściciel „Sierpu Białego Księżyca” był tak korpulentny, że w przeciwieństwie do większości mężczyzn, którzy siedzieli przy stołach na krzesłach z niskimi oparciami, jego długi błękitny kaftan dokładnie opinał sylwetkę zarówno poniżej, jak i powyżej pasa. Mat osądził, że jego workowate spodnie, związane w kostce nad niskimi butami, są wystarczająco obszerne, aby zmieściło się w nich dwóch mężczyzn, każdy w jednej nogawce. Kobiety służebne nosiły ciemne suknie z wysokimi kołnierzeniami oraz krótkie, białe fartuchy. W środku, między dwoma kominkami jakiś człowiek grał na cymbałach. Thom obrzucił go krytycznym spojrzeniem i potrząsnął głową.

Okragły karczmarz nazywał się Cavan Lopar i był wielce zadowolony z możliwości wynajęcia im pokojów. Zmarszczył trochę czoło na widok ich oblepionych błotem butów, ale srebro z kieszeni Mata — złoto powoli już się kończyło — oraz pokryty łatkami płaszcz Thoma szybko przywróciły życzliwy uśmiech jego twarzy. Kiedy Thom oświadczył, że za niewielką opłatą może występować czasami, podbródki Lopara aż zakołysały się z ukontentowania. O potężnym mężczyźnie z pasmem siwizny w brodzie nie wiedział nic, o trzech dziewczętach pasujących do podanego opisu, również nie. Mat zostawił cały swój dobytek, z wyjątkiem płaszcza i pałki, w pokoju, który ledwie obrzucił wzrokiem, by dostrzec, iż jest w nim łóżko — perspektywa snu była kusząca, ale nie pozwolił sobie nawet o tym myśleć — potem łapczywie wciągnął w nozdrza korzenny zapach rybnego gulaszu i pośpiesznie wyszedł na deszcz. Zaskoczyło go, że Thom poszedł za nim.

— Sądziłem, że chcesz być tam, gdzie sucho, Thom.

Bard poklepał skrzynkę na flet, którą wciąż miał pod płaszczem. Pozostałą część swych rzeczy zostawił również w pokoju gospody.

— Ludzie rozmawiają z bardem, chłopcze. Mogę się dowiedzieć takich rzeczy, jakich tobie by nie powiedzieli. Mnie również nie podoba się myśl, że ktoś mógłby im wyrzucić krzywdę.

Idąc z powrotem tą samą, zalaną deszczem ulicą, w odległości stu kroków natrafili na następną gospodę, potem, po dalszych dwustu na kolejną i tak dalej. Mat wchodził do każdej, zatrzymując się w środku tylko tak długo, by Thom zdążył rozpostrzeć swój płaszcz i opowiedzieć jakąś historię, a potem pozwolić, żeby ktoś kupił mu pucharek wina, w czasie gdy chłopiec rozpytywał dookoła o trzy kobiety oraz wysokiego mężczyznę z pasmem siwizny w krótko przyciętej, czarnej brodzie. Wygrał parę monet w kości, ale nie dowiedział się niczego, podobnie zresztą jak i Thom. Był jednak zadowolony, że bard w każdej gospodzie pociągał tylko po kilka łyków z fundowanych pucharków; na statku był niemalże całkowitym abstynentem, Mat jednak nie był przekonany, czy nie zatonie na powrót w winie, kiedy tylko znajdą się w Łzie. Zwiedzili już kilkanaście gospód i wtedy poczuł, że jego powieki nagle strasznie zaczęły ciążyć. Deszcz osłabł odrobinę, ale teraz padał równo, wielkimi kroplami, dzięki czemu powietrze stało się nieco świeższe. Niebo zabarwił ciemnoszary kolor nadciągającego świtu.

— Chłopcze — wymruczał Thom — jeżeli nie wrócimy zaraz do „Sierpu Białego Księżycy”, położę się tutaj i będę spał na deszczu.

Zatrzymał się na chwilę, targnął nim atak kaszlu.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że minąłeś przed chwilą trzy gospody, nie uważając żadnej z nich? Światłości, jestem tak zmęczony, że nie potrafię zebrać myśli. Czy masz jakiś plan, dokąd chciałbyś się udać, schemat poszukiwań, którego mi nie wyjawiałeś?

Mat patrzył zachodzącymi mgłą oczyma na wysokiego mężczyznę w płaszczu, który właśnie skręcał za róg.

„Światłości, ja też padam z nóg. Rand znajduje się pięćset lig stąd, odgrywając rolę przeklętego Smoka.”

— Co? Trzy gospody?

Stali właśnie przed frontem kolejnej, nazywała się „Złoty Kubek”, odczytał ze skrzypiącego na wietrze godła. Znak niewiele miał wspólnego z kubkiem do gry w kości, ale postanowił jednak spróbować.

— Jeszcze jedna, Thom. Jeżeli tutaj ich nie znajdziemy, wrócimy do siebie i położymy się do łóżek.

Pomysł położenia się do łóżka był teraz dlań znacznie bardziej atrakcyjny niż gra w kości o stawkę choćby stu złotych marek, ale zmusił się jednak, by wejść.

Wszedł i zdążył zrobić najwyżej dwa kroki, kiedy go zobaczył. Potężny mężczyzna miał na sobie zielony kaftan z błękitnymi pasami na bufiastych rękawach, ale to był Comar — krótko przycięta broda z pasmem siwizny na podbródku i cała reszta. Siedział na jednym z tych dziwnych krzeseł z niskim oparciem, przy stole znajdującym się w przeciwnym krańcu pomieszczenia. Grzechotał kośćmi w skórzanym kubku i uśmiechał się do człowieka, który zajmował miejsce naprzeciw niego. Tamten miał na sobie długi kaftan i workowate spodnie, minę miał niezbyt zadowoloną. Wzrok wbił w monety leżące na stole, jakby pragnął, by na powrót znalazły się w jego sakiewce. Kolejny kubek z kośćmi stał przy łokciu Comara.

Comar otworzył wieczko skórzanego kubka, który trzymał w dłoni i zaczął się śmiać, zanim jeszcze kości przestały wirować.

— Kto następny? — zawołał głośno, przesuwając zdobyte pieniądze po blacie stołu w swoją stronę. Przed nim piętrzył się już znaczny stos srebrnych monet. Wrzucił kości do kubka i zagrzechotał nimi. — Z pewnością ktoś jeszcze zechce spróbować, czy dopisuje mu szczęście.

Wyglądało na to, że nikt nie zechce, ale on wciąż grzechotał kośćmi i wciąż się śmiał.

Karczmarz wyróżniał się w tłumie gości, choć można by przypuszczać, że w Łzie właściciele gospód nie noszą fartuchów. Jego kaftan miał ten sam odcień głębokiego błękitu jak u wszystkich, których Mat dotąd spotkał. Mężczyzna był pulchny, choć rozmiarami niewiele większy niżli połowa Lopara i miał o poło-

wę podbródków mniej, siedział sam przy stole, wściekle polerując cynowy kufel i spoglądał z nienawiścią w kierunku, gdzie siedział Comar, ale tylko wówczas, gdy tamten nie patrzył. Niektórzy ze zgromadzonych gości również popatrywali spode łba na brodacza, gdy tamten ich nie widział.

Mat stłumił ochotę, by podejść do Comara, walnąć go pałąk w głowę i zmusić do odpowiedzi na pytanie, gdzie są Egwene oraz jej przyjaciółki. Coś się tutaj nie zgadzało. Comar był pierwszym spotkanym w mieście mężczyzną, u którego dostrzegł miecz, ale w spojrzeniach pozostałych gości można było dostrzec coś więcej niżli tylko strach przed szermierzem. Nawet służąca, która przyniosła mu świeży puchar wina — i za swój trud została uszczypnięta — śmiała się nerwowym, pełnym obawy chichotem.

„Przyjrzyjmy się temu dokładnie — pomyślał ze zmęczeniem. — Połowa kłopotów, w które popadałem, brała się stąd, iż nie przemyślałem wcześniej wszystkiego. Tym razem muszę się zastanowić.”

Zmęczenie powodowało, iż czuł się tak, jakby miał głowę nabitą wełną. Stał bliżej Thoma i razem poszli w kierunku stołu gospodarza, który spojrzał na nich podejrzliwie, gdy opadli obok niego na krzesła.

— Kim jest ten człowiek z paskiem w brodzie? — zapytał Mat.

— Nie jesteście z miasta, prawda? — odrzekł na to karczmarz. — On również jest tu obcy. Nigdy dotąd go nie widziałem, ale wiem, że tak jest. Jakiś zamieszcowy, który przyjechał tutaj i zrobił fortunę na handlu. Kupiec wystarczająco bogaty, by nosić miecz. Nie ma powodu, by nas w ten sposób traktował.

— Jeżeli nigdy dotąd go nie widziałeś — odparł Mat — skąd wiesz, że jest kupcem?

Karczmarz spojrzał na niego, jakby był niespełna rozumu. — Jego kaftan, człowieku, oraz miecz. Nie może być lordem ani żołnierzem, jeżeli nie jest stąd, więc musi być kupcem. — Pokręcił głową, dziwiąc się głupocie obcych. — Oni zazwyczaj przychodzą tam, gdzie się spotykamy, aby wtykać swe nosy w nasze sprawy i bałamucić dziewczęta na naszych oczach, ale jego nie ciągnie do żadnej z tych rzeczy. Gdybym pojechał do Maule, nie grałbym o monety jakichś rybaków. Gdybym udał się do Tavar, nie grałbym w kości z farmerami, którzy przybyli tam, by sprzedać swoje zbiory.

Jego dłonie, polerujące kufel, zaczęły poruszać się jeszcze bardziej nerwowo.

— Ten człowiek musi mieć niezwykle szczęście. Zapewne w ten sposób udało mu się zbić majątek.

— Wygrywa, czy tak? — Ziewając nieprzerwanie, Mat zastanawiał się, jak przebiegałyby gra w kości z innym człowiekiem, który ma szczęście.

— Niekiedy przegrywa — wymamrotał karczmarz kiedy stawką jest kilka srebrnych groszy. Niekiedy. Ale gdy tylko stawka wzrośnie do, powiedzmy, srebrnej marki. . . Co najmniej kilkanaście razy dzisiejszego wieczora widziałem, jak wygrywał w „korony”, mając trzy korony i dwie róże. W połowie tak często, gra-

jąc w „górkę”, miewał trzy szóstki i dwie piątki. W „trójkach” nie wyrzucał nic prócz szóstek, a grając w „kompas” miał za każdym rzutem trzy szóstki i piątkę. Jeżeli ma takie szczęście... nie zazdroszczę mu, niech go Światłość oświeca, i życzę mu dobrze... ale czy nie mógłby tego swojego szczęścia wykorzystywać przeciwko innym kupcom, jak to jest stosowne. Czy człowiek może mieć tyle szczęścia?

— Obciążone kości — zauważył Tom, potem zakaszłał. — Kiedy chce zapewnić sobie wygraną, używa kości, które zawsze odsłaniają ten sam bok. Jest dość sprytny, żeby nie sporządzić ich tak, aby pokazywały zawsze najwyższy wynik... ludzie stają się podejrzliwi, kiedy zawsze wyrzuca się króla — uniósł brew i spojrzał na Mata — trzeba więc uzyskać tylko taki, którego nie będzie można łatwo pobić. On nie jest jednak w stanie zmienić faktu, iż za każdym razem wynik będzie ten sam.

— Słyszałem o czymś takim — powoli powiedział karczmarz. — Słyszałem, że Illianie używają takich kości. Potem jednak potrząsnął głową. — Ale to nie może być ten sposób. Przecież obaj gracze używają tych samych kości.

— Przynieś mi dwa kubki — zaproponował Thom oraz dwa zestawy kości. Korony czy punkty, obojętnie, byle były takie same.

Karczmarz spojrzał nań spod przymrużonych powiek, ale wstał i poszedł — roztropnie zabierając ze sobą cynowe naczynie — i po chwili powrócił z dwoma skórzanymi kubkami. Thom wysypał pięć kościanych sześciaków z jednego na stół przed siedzącym Matem. Niezależnie od tego, czy miały na sobie symbole, czy kropki, zrobione były zawsze z drewna albo z kości, nigdy inaczej. Te miały na sobie kropki. Podniósł je i marszcząc brwi, wpatrywał się w Thoma.

— Przynieszam, że chcesz mi coś pokazać?

Thom wysypał kości z drugiego kubka na dłoń, a potem, tak szybko, by nie można było czegokolwiek zauważyć, wrzucił je z powrotem i zakręcił kubkiem, który następnie postawił na stole denkiem do góry, zanim kości zdążyły się z niego wysypać. Nie zdjął dłoni ze stojącego na stole kubka.

— Oznacz je jakoś, chłopcze. Jakiś niewielki znak, ale coś, co mógłbyś rozpoznać.

Mat przyłapał się na tym, że razem z karczmarzem wymieniają zmieszane spojrzenia. Potem obaj jak na komendę spojrzeli na kubek z kośćmi pod dłonią Thoma. Wiedział, że tamten ma zamiar pokazać jakąś sztuczkę — bardowie zawsze robili rzeczy, które wydawały się niemożliwe, jak połykanie ognia, albo wyczarowywanie jedwabnych chustek z powietrza — ale nie rozumiał, jak Thom może czegoś takiego dokonać, kiedy on będzie się uważnie przyglądał. Wyciągnął z pochwy swój nóż i zrobił małą rysę na każdej kości, dokładnie w poprzek koła sześciu kropek.

— W porządku — powiedział, kładąc je z powrotem na stół. — Pokaż mi swoją sztuczkę.

Thom sięgnął i zebrał kości ze stołu, potem umieścił je z powrotem na blacie w odległości jakiejś stopy od siebie.

— Sprawdź swoje znaki, chłopcze.

Mat zmarszczył brwi. Dłoń Thoma wciąż spoczywała na odwróconym do góry dnem skórzanym kubku; bard nawet nie poruszył nim ani też nie umieścił zaznaczonych kości w jego pobliżu. Wziął ze stołu kości... i aż zamrugął. Nie było na nich najmniejszej rysy. Karczmarz głośno westchnął.

Thom otworzył zaciśniętą dłoń, pokazując pięć kości.

— Twoje znaki są na tych, chłopcze. To właśnie robi Comar. Dziecinnie prosta sztuczka, choć nigdy bym nie podejrzewał, że potrafi wykonać ją takimi wielkimi dłońmi.

— Mimo wszystko, wiem już, że nie będę chciał z tobą grać — powiedział powoli Mat. Karczmarz wciąż wpatrywał się w kości, ale z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, iż nie rozumie, na czym sztuczka polega.

— Zawołaj Straże, czy jak ich tutaj nazywacie — powiedział mu Mat. — Niech go aresztują.

„Siedząc w więziennej celi, nie będzie mógł nikogo zabić. A jeśli one już nie żyją? — Starał się odsunąć od siebie tę myśl, niemniej ona uparcie powracała. — Wówczas zadbam o to, by on również nie chodził już dłużej po tym świecie, on i Gaebriel, nieważne ile miałoby mnie to kosztować! Ale tak się stać nie mogło, niech szczenę! To niemożliwe!”

Karczmarz siedział bez ruchu, kręcąc głową.

— Ja? Ja miałbym zadenuncjować kupca Obrońcom? Nawet nie spojrzeliby na jego kości. Powiedziałby tylko jedno słowo i już sam byłbym w łańcuchach, pogłębiając kanały przy Palcach Smoka. On mógłby zabić mnie na miejscu, a Obrońcy powiedzieliby, że na to zasłużyłem. Być może wkrótce sobie pójdzie.

Mat obdarzył go kwaśnym grymasem.

— Jeżeli ja go zdemaskuję, czy to wystarczy? Czy wówczas wezwiesz Straże, Obrońców, czy jak tam się nazywają?

— Nie rozumiesz. Ty jesteś obcym. Nawet jeśli on nie pochodzi stąd, to jest bogatym człowiekiem, ważnym.

— Zaczekaj tutaj — zwrócił się Mat do Thoma. Nie mogę pozwolić mu dopaść Egwene i jej towarzyszki, niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztować.

Ziewając, odsunął krzesło od stołu.

— Zaczekaj, chłopcze — zawołał za nim Thom, cicho, lecz natarczywie. Bard również wstał ze swego miejsca. Żebyś szczenł, nie wiesz, w co się pakujesz!

Mat gestem dłoni kazał tamtemu zostać na miejscu i podszedł do stołu Comara. Nikt więcej nie myślał już podejmować wyzwania brodacza, dlatego też popatrzył z zainteresowaniem na Mata, kiedy ten oparł swą pałkę o stół i usiadł.

Comar wpatrywał się uważnie w kaftan Mata i uśmiechał paskudnie.



— Chcesz postawić miedziaki, wieśniaku? Nie marnuję mojego czasu na...  
— Urwał, gdy Mat położył na stole złotą koronę andorańską i ziewnął, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by przykryć usta dłonią. — Nie jesteś zbyt rozmowny, wieśniaku, a choć twoje maniery domagają się pewnych poprawek, to jednak złoto mówi swoim własnym językiem i nie potrzebuje żadnych manier.

Potrząsnął skórzanym kubkiem, trzymanym w dłoni i wysypał kości na stół. Chichotał, zanim jeszcze przestały wirować; zatrzymały się wreszcie, ukazując trzy korony i dwie róże.

— Nie przebijesz tego, wieśniaku. Może masz jeszcze więcej złota pochowanego w tych łachmanach, złota które zechciałbyś stracić? Co robisz teraz? Okradasz swego pana?

Sięgnął po kości, ale Mat ubiegł go. Comar spojrzał groźnie, pozwolił mu jednak zatrzymać kubek. Jeżeli oba rzuty okażą się identyczne, będą grać, dopóki jeden z nich nie wygra. Mat uśmiechnął się i zagrzechotał kośćmi. Nie miał zamiaru dać Comarowi szansy na ich podmianę. Jeżeli trzy, cztery razy z rzędu wyjdzie im taka sama wartość — dokładnie taka sama, za każdym razem — nawet Obrońcy nie będą mogli zlekceważyć takiego dowodu. Wszyscy obecni we wspólnej sali zobaczą, będą mogli zaświadczyć.

Wysypał kości na stół. Zakolebały się jakoś dziwnie. Czuł — jak coś... przemieszczają się. To było tak, jakby jego szczęście zdziczało. Pomieszczenie zdawało się więc i skręcać wokół niego, jakby szarpiąc niemi za wirujące kości. Z jakiegoś powodu zapragnął spojrzeć w kierunku drzwi, ale nie spuszczał kości z oka. Stanęły wreszcie. Pięć koron. Oczy Comara niemalże wyszły z orbit.

— Przegrałeś — powiedział cicho Mat. Jeżeli jego szczęście potrafiło dokonywać takich rzeczy, być może nadszedł czas, by wykorzystać je do reszty. Jakiś głos na dnie jego umysłu mówił mu, by się zastanowił, ale był zbyt zmęczony, aby słuchać. — Sądzę, że twoje szczęście już się zużyło, Comar. Jeżeli wyrządziłeś jakąś krzywdę tym dziewczynom, to już po tobie.

— Nawet ich nie znalazłem... — zaczął Comar, wciąż wpatrując się w kości, potem nagłym szarpnięciem poderwał głowę. Jego twarz przybrała barwę kredy. — Skąd wiesz, jak mam na imię?

Nie znalazł ich jeszcze.

„Szczęście, słodkie szczęście, nie opuszczaj mnie.”

— Wracaj do Caemlyn, Comar. Powiedz Gaebrielowi, że nie mogłeś ich odnaleźć. Powiedz mu, że już nie żyją. Powiedz mu cokolwiek, ale tej samej nocy wyjedź z Łzy. Jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, zabiję.

— Kim jesteś — niepewnie zapytał wielkolud. — Kim...?

W następnej chwili stał już na nogach, ściskając w garści miecz.

Mat pchnął w jego stronę stół, przewracając go i sięgnął po swoją pałkę. Zapomniał, jak potężnie zbudowany jest Comar. Brodacz odepchnął po prostu stół w jego stronę. Mat upadł wraz z krzesłem, ręka sięgająca po pałkę ledwie na-

macała drzewce, gdy tymczasem Comar odsunął stół z drogi i już podchodził do niego. Mat wyrzucił nogi, trafiając tamtego w brzuch, zatrzymał go na chwilę, potem machnął nieporadnie pałką akurat w porę, by zablokować cios miecza. Ale uderzenie klingi wybiło pałkę z jego dłoni, chwycił więc nadgarstek Comara, ręka trzymająca miecz zawisła stopę przed jego twarzą. Stęknął i rzucił się do tyłu, wysilając nogi, jak tylko mógł. Oczy Comara rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy przeleciał ponad Matem i twarzą runął na blat stołu. Chłopiec niezgrabnie podniósł się z ziemi, sięgnął po pałkę, kiedy jednak stanął gotowy do walki, okazało się, że Comar ani drgnie.

Wielkie ciało leżało na blacie stołu, a przynajmniej nogi i biodra, bowiem górna jego połowa zwisała, głowa wspierała się na podłodze. Mężczyźni, którzy dotąd siedzieli przy stołach, poderwali się na równe nogi i trzymając w bezpiecznej odległości, zacierali ręce i popatrywali na siebie nerwowo. Pomieszczenie wypełnił niski szmer zdenerwowanych głosów, nie była to reakcja, jakiej Mat oczekiwał.

Miecz Comara leżał w zasięgu jego ręki. Ale jego właściciel nie poruszał się. Kiedy jednak Mat odsunął nogą broń i przykląkł przy nim na jedno kolano, spojrzały nań oczy tamtego.

„Światłości! Pewnie pękł mu kręgosłup!”

— Powiedziałem ci, że powinienes wyjechać, Comar. Twoje szczęście wyczerpało się.

— Głupcze — wyszeptał wielkolud. — Czy... sądzisz... że sam jeden... je ścigam? Nie... dożyją...

Jego oczy wciąż patrzyły na Mata, usta pozostawały otwarte, ale niczego więcej już nie powiedział. I niczego już nigdy nie powie.

Mat popatrzył w szkliste oczy, siłą woli starając się wydusić dalsze słowa z martwych ust.

„Kto jeszcze, żebyś szczeł? Kto? Kim oni są? Moje szczęście. Żebyś szczeł, co się stało z moim szczęściem?”

Nagle zdał sobie sprawę, że karczmarz szaleńczo szarpie go za ramię.

— Musicie uciekać. Musicie. Zanim pojawią się Obrońcy. Pokażę im kości. Powiem im, że to był obcy, ale wysoki. Z rudymi włosami i szarymi oczyma. Nikt nie ucierpi. Człowiek, o którym śniłem zeszłej nocy. Nikt rzeczywisty. Nikt, kto mógłby podważyć moje zeznania. Każdy z obecnych stracił z nim w kości. Ale wy musicie uciekać. Uciekajcie!

Wszyscy zgromadzeni w pomieszczeniu z wystudiowaną obojętnością patrzyli w przeciwną stronę.

Mat pozwolił się odciągnąć od martwego mężczyzny i wypchnąć na dwór. Thom już czekał na niego w strumieniach deszczu. Ujął go pod ramię i kuśtykając pośpieszył w głąb ulicy, ciągnąc chwiejącego się chłopca za sobą. Kaptur Mata był odrzucony na plecy, deszcz zmoczył mu włosy i spływał po twarzy, po karku, ale nie czuł niczego. Bard bezustannie oglądał się przez ramię, uważnie lustrując

przestrzeń ulicy za plecami.

— Śpisz, chłopcze? Tam, w środku nie wyglądałeś na śpiącego. Chodź, chłopcze. Obrońcy zaaresztują wszystkich przyjezdnych w promieniu dwóch ulic, niezależnie od tego, jaki opis poda im karczmarz.

— To szczęście — mamrotał Mat. — Wreszcie zrozumiałem. Kości. Szczęście działa najlepiej, kiedy rzeczy układają się... przypadkowo. Jak kości. Nie wiele dałoby mi to w kartach. Albo w kamieniach. Zbyt dużo wzorów. To musi być przypadkowe. Nawet odnalezienie Comara. Zatrzymywałem się, odwiedzając każdą gospodę. Do tej wszedłem tylko przez przypadek. Thom, jeżeli mam zamiar na czas odnaleźć Egwene i pozostałe osoby, muszę szukać bez jakiegokolwiek planu.

— O czym ty mówisz? Ten człowiek nie żyje. Jeżeli już zdążył je zabić... Cóż, wówczas zostały pomszczone. Jeżeli nie, są uratowane. A teraz, czy nie mógłbyś iść, do cholery, trochę szybciej? Obrońcy wkrótce tu przybędą, a oni nie są tak delikatni jak Gwardia królowej.

Mat szarpnięciem wyzwolił ramię i spróbował energiczniej stawiać chwiejne kroki, musiał jednak podpierać się pałką.

— Wyrwało mu się, że jeszcze ich nie odnalazł. Ale powiedział też, że oprócz niego są inni. Thom, ja mu wierzę. Patrzyłem mu w oczy i wiem, że mówił prawdę. Nadal muszę ich szukać, Thom. A teraz nawet nie wiem, kto je ściga. Muszę je znaleźć.

Tłumiąc szerokie ziewnięcie dłonią zwiniętą w kułak, Thom drugą ręką naciągnął kaptur Mata na jego głowę.

— Nie tej nocy, chłopcze. Ja muszę się wyspać, ty zapewne również.

„Jestem mokry. Włosy spadają mi na twarz.”

Czuł, jak kręci mu się w głowie. Z potrzeby snu zdał sobie dopiero po chwili sprawę. I zrozumiał, jak jest zmęczony, skoro musiał zastanowić się, by to pojąć.

— W porządku, Thom. Ale zamierzam ponownie wyruszyć na poszukiwania wraz z pierwszym brzaskiem.

Thom kiwnął głową, zakaszłał, i w strugach deszczu poszli w kierunku „Sierpu Białego Księżyca”.

Świt nie kazał na siebie długo czekać, ale Mat mimo zmęczenia zerwał się z łóżka i wraz z Thomem wyszli na miasto, starając się sprawdzić każdą gospodę położoną w obrębie murów Łzy. Mat pozwolił sobie wędrować gdziekolwiek zawiódł go kaprys i kolejny zakręt ulicy, w ogóle nie zważając na gospody i rzucając monetą, by zdecydować w którą stronę mają się udać. Przez trzy dni i trzy noce tak postępował, a przez cały ten czas lało bezustannie, czasami ulewie towarzyszyła burza, czasami była to tylko mżawka, jednak nie przejaśniło się ani razu.

Thom kaszłał coraz bardziej, dlatego też musiał zarzucić grę na flecie i opowiadanie historii, a nie chciał na taką pogodę wynosić harfy; jednakże wciąż nalegał, aby brać go ze sobą, a ludzie zawsze chętnie rozmawiali z bardem. Od kiedy

Mat zaczął swoją błędną wędrówkę, jego szczęście do kości stało się nawet jeszcze bardziej niesamowite, ale nigdy nie zostawał w jednej gospodzie czy tawernie dłużej, niż trzeba było, aby wygrać więcej niż kilka monet. Mimo to żaden z nich nie usłyszał nic, co mogłoby naprowadzić ich na trop. Plotki o wojnie z Illian. Plotki o inwazji na Mayene. Plotki o inwazji z Andoru, o Ludzie Morza porzucającym handel, o armiach Artura Hawkwinga powracających z grobu. Plotki o nadejściu Smoka. Mężczyźni, z którymi Mat grał, widzieli wszystko w czarnych barwach, w jego oczach wyglądało to tak, jakby prześcigali się w wynajdywaniu najbardziej ponurych wieści, dlatego też ledwie potrafił ich słuchać, a co dopiero uwierzyć. Ale nie zdobył nawet najmniejszej wskazówki, która mogłaby doprowadzić go do trzech dziewcząt. Żaden karczmarz nie widział nikogo, kto mógłby pasować do podanego opisu.

Zaczął miewać złe sny, bez wątpienia był to skutek jego zmartwień. Egwene, Nynaeve i Elayne oraz jakiś człowiek z krótko przyciętymi, siwymi włosami, ubrany w kaftan z bufiastymi, pasiastymi rękawami taki jak miał Comar, człowiek śmiał się i wymachiwał w ich stronę siecią. Rzadziej pojawiała się w jego snach Moiraine, a wówczas sieć była przeznaczona dla niej, czasami zamiast sieci mężczyzna trzymał w ręku kryształowy miecz, miecz, który zaczynał lśnić niczym słońce, kiedy tylko ujmował go w dłoń. Czasami zaś to Rand trzymał ten miecz. Z jakiegoś powodu bardzo często śnił o Randzie.

Nie miał wątpliwości, że to wszystko bierze się z niedostatecznej ilości snu, z nieregularnych posiłków, na które pozwalał sobie tylko wówczas, gdy zdarzyło mu się o tym pamiętać, ale nie ustawał w poszukiwaniach. Mam zakład do wygrania, powiadał sobie i naprawdę miał zamiar go wygrać, nawet gdyby stawką miało być jego życie.

# MŁOT

Kiedy barka przybijała do nabrzeża w Łzie, popołudniowe słońce grzało na niebie; kałuże stały na parują. cydr kamieniach doku, a panująca atmosfera zdawała się Perrinowi równie wilgotna jak tamta w Illian. W powietrzu unosiły się zapachy smoły, drewna, lin — mógł dostrzec stocznie w dali — a także przypraw, żelaza, jęczmienia, perfum i wina, i setki innych woni, których nie potrafił rozróżnić w tej mieszaninie, w większości dobiegające z magazynów położonych tuż za nabrzeżem. Kiedy wiatr na chwilę zmienił kierunek na północny, w jego nozdrza uderzył zapach ryby, ale szybko zniknął, gdy bryza powiała ponownie jak przedtem. Nie było żadnych zapachów czegoś, na co można by zapolować. Sięgnął myślami poza siebie, by poczuć wilki, zanim zdał sobie sprawę, co czyni, a kiedy zrozumiał, natychmiast ograniczył swoją myśl. Ostatnimi czasy robił to nazbyt często. Tutaj, oczywiście, nie mogło być żadnych wilków. Przykro mu było jednak, że z tego powodu czuje się taki... osamotniony.

Kiedy tylko trap znajdujący się na rufie barki opadł na brzeg, wyprowadził Steppera za Moiraine i Lanem na stały grunt. Ogromna sylwetka Kamienia Łzy znajdowała się po ich lewej stronie, cienie kładły się na niej w taki sposób, że pomimo powiewającego na szczycie wielkiego sztandaru, wyglądała niczym zwykła góra. Nie miał ochoty przyglądać się Kamieniowi, ale było zupełną niemożliwością spoglądanie na miasto i nie dostrzeganie go.

„Czy on już tu jest? Światłości, jeżeli spróbował dostać się do środka t e g o, to może już być martwy.”

A wtedy wszystko na nic.

— Czego tutaj szukamy? — dobiegł go z tyłu głos Zarine. Nie przestała zadawać pytań; po prostu nie kierowała ich już do Aes Sedai ani do Strażnika. — W Illian napotkaliśmy Szarych Ludzi i Dziki Gon. Co takiego jest w Łzie, że... że ktoś pragnie tak zdecydowanie zagrozić ci do niej dostęp?

Perrin ostrożnie rozejrzał się dookoła; dokerzy, którzy w pobliżu przerzucali ładunek, zdawali się niczego nie słyszeć. Pewien był, że gdyby było przeciwnie, potrafiłby wyczuć woń ich strachu. Ugryzł się w język, tłumiąc gorzką uwagę, którą miał właśnie ochotę wypowiedzieć. Zarine miała szybsze riposty i ostrzejszy język.

— Mam nadzieję, że nie podchodzisz do tego zbyt ochoczo — zagrzemiał Loial. — Wydaje ci się chyba, że wszystko odbędzie się równie łatwo jak w Illian.

— Łatwo? — wymamrotała Zarine. — Łatwo! Loial, dwa razy w ciągu jednej nocy omal nie zostaliśmy zabici. Samo Illian mogłoby stanowić temat pieśni o Myśliwym. Co cię skłoniło, żeby określać to słowem „łatwe”?

Perrin skrzywił się. Wolałby, żeby Loial nie wymawiał imienia Zarine, wciąż mu to przypominało, że Moiraine uznała ją za sokoła z przepowiedni Min. Ale to i tak nie mogło powstrzymać go przed podejrzeniami, iż to właśnie ona jest ową piękną kobietą, przed którą z kolei tamta go ostrzegąca.

„Przynajmniej nie natknąłem się jeszcze na jastrzębia. Ani na Tuatha’ana z mieczem! To byłoby najdziwniejsze ze wszystkiego!”

— Przestań zadawać pytania, Zarine — powiedział, wskakując na siodło Step-pera. — Dowiesz się, po co tutaj przybyliśmy, kiedy Moiraine uzna za stosowne cię poinformować.

Dokładał wszelkich starań, by nie patrzeć w stronę Kamienia.

Zwróciła w jego stronę swe ciemne oczy o nakrapianych tęczęwkach.

— Nie sądzę, żebyś ty również wiedział, dlaczego, kowalu. I wydaje mi się, że nie powiesz mi właśnie dlatego, bo nie potrafisz. Przyznaj się, wiejski chłopcze.

Z lekkim westchnieniem wyjechał z doków, kierując się w ślad za Moiraine i Lanem. Zarine nie atakowała Loiala w tak ostry sposób, kiedy ten odmawiał odpowiedzi na jej pytania. Uznał, że ona próbuje wymusić na nim, by nazywał ją tym imieniem. Nie będzie tego robił.

Moiraine przytoczyła nasycony oliwą płaszcz za swoim siodłem, na szczycie niewinnie wyglądającego zawiniątka, w którym mieścił się sztandar Smoka, ale pomimo upału nałożyła błękitny, lniany płaszcz z Illian. Jego głęboko wycięty, szeroki kaptur osłaniał jej twarz. Pierścień z Wielkim Wężem zwisał z szyi na rzemyku, schowany pod suknią. Łza, jak oznajmiła, nie zakazuje obecności Aes Sedai, lecz tylko przenoszenia Mocy, jednakże Obrońcy Kamienia uważnie śledzą każdą kobietę, która nosi pierścień. Podczas swej wizyty w Łzie nie chciała być poddawana ciągłej inwigilacji.

Lan spakował do juków swój zmienno kolorowy płaszcz już dwa dni wcześniej, kiedy stało się jasne, że ktoś wysłał za nimi Psy Czarnego...

„Sammael”, pomyślał Perrin z drżeniem, potem starał się nie przypominać sobie tego imienia...

...ktokolwiek więc wysłał je, zrezygnował już z dalszego pościgu. Strażnik nie poddawał się panującemu w Illian upałowi, podobnie więc postąpił wobec znacznie lżejszej pogody, jaka panowała w Łzie. Szarozielony kaftan przez cały czas zapinał na wszystkie guziki.

Perrin nosił swój kaftan do połowy rozpięty, a kołnierz koszuli rozwiązywał. W Łzie mogło być nieco chłodniej niż w Illian, ale wciąż było tu równie gorąco jak w Dwu Rzekach w pełni lata, a jak zawsze po deszczu, wilgoć obecna w po-

wietrze czyniła upał jeszcze trudniejszym do zniesienia. Topór wisiał w pętli przy wysokim łuku jego siodła. Tam był pod ręką w razie potrzeby, jednak Perrin lepiej się czuł, nie mając go zbyt blisko siebie.

Zaskoczyło go błoto na pierwszej ulicy, w którą wjechali. Gliniaste ulice spotykało się przecież tylko w wioskach i małych miasteczkach, przez które dotąd przejeżdżał, a Łza należała do największych miast. Jednak jej mieszkańcy zdawali się tym nie przejmować, wielu wędrowało boso. Kobieta, która przeszła obok, miała na nogach małe drewniane deseczki, na chwilę przyciągnęło to jego uwagę i zastanawiał się przez moment, dlaczego wszyscy takich nie noszą. Workowate spodnie, które wdziewali mężczyźni, wydawały się znacznie bardziej przewiewne od tych, które sam nosił, nie miał jednak wątpliwości, że gdyby takowe założył, czułby się jak głupiec. Wyobraził sobie obraz samego siebie w takich spodniach oraz w jednym z tych słomkowych kapeluszy i zachichotał.

— Co takiego cię tutaj śmieszy, Perrin? — zapytał Loial. Jego uszy przykły tak, że pędzelki zupełnie skryły się we włosach, spoglądał zmartwionym wzrokiem na ludzi na ulicach. — Oni wyglądają na... pokonanych, Perrin. Kiedy odwiedziłem to miejsce po raz ostami, wszystko wyglądało inaczej. Nawet ludzie, którzy pozwolili, aby ich gaj został wycięty do ostatniego drzewka, nie zasłużyli na taki los.

Kiedy Perrin zaczął uważniej przyglądać się twarzom, zamiast patrzeć na wszystko od razu, stwierdził, że Loial ma rację. Z twarzy mieszkańców Łzy coś jakby zniknęło. Być może, nadzieja. Ciekawość. Potrafili ledwie obdarzyć nieuważnym spojrzeniem przejeżdżające obok towarzystwo, dbali tylko o to, by usunąć się koniom z drogi. Ogir, który dosiadał rumaka wielkiego jak koń pociągowy, w ich oczach najwyraźniej nie różnił się niczym od Lana lub Perrina.

Wkrótce przejechali przez bramy wykonane w wysokim, szarym murze otaczającym miasto, ścigani twardymi spojrzeniami ciemnych oczu żołnierzy w napierśnikach nałożonych na czerwone kaftany z szerokimi rękawami zakończonymi wąskimi, białymi mankietami. Na głowach mieli okrągłe hełmy z okapem i grzebieniem. Wygląd ulic tutaj się zmienił, pojawiły się szerokie, kamienne chodniki. Żołnierze zamiast workowatych spodni jakie nosili wcześniej spotkani mężczyźni, mieli dopasowane bryczesy, wpuszczone w wysokie do kolan buty. Zmarszczyli brwi na widok miecza Lana, palce spoczęły na rękojeściach broni, topór i łuk Perrina również spotkały się z ostrymi, taksującymi spojrzeniami, ale w jakiś sposób, mimo marsów na czołach i groźnych spojrzeń, w ich twarzach widoczne było również poczucie klęski, jakby żadna rzecz nie warta była podejmowania jakiegokolwiek wysiłku.

Za murami miasta budynki stały się większe i wyższe, chociaż większość nie różniła się szczególnie od tych, które widzieli na zewnątrz. Dachy wydawały się Perrinowi nieco dziwaczne, szczególnie te, które kończyły się ostrym wierzchołkiem, ale od kiedy opuścił dom, widział już tak wiele rozmaitych rodzajów da-

chów, że teraz potrafił zastanawiać się jedynie nad tym, jakich to gwoździ użyto do mocowania dachówek. W niektórych stronach ludzie w ogóle nie stosowali gwoździ do układania pokrycia dachów.

Pałace i okazałe budowle stały pomiędzy mniej znacznymi domami, najwyraźniej rozmieszczeniem ich kierował zupełny przypadek; wieże oraz białe kopyły otaczały zewsząd szerokie ulice, po ich przeciwnej stronie znajdowały się zapewne sklepy, gospody i kolejne domy. Wielki dworzec, którego fronton ozdobiony był kolumnami z marmuru, o szerokości czterech kroków, i pięćdziesięcioma stopniami, wiodącymi do odrzwi z brązu wysokich na pięć piędzi, sąsiadował z jednej strony z piekarnią, z drugiej zaś z krawcem.

Tutaj większość mężczyzn nosiła już kaftany i spodnie, podobne do tych, w które ubrani byli żołnierze, choć w jaśniejszych barwach, nikt też nie nosił zbroi, a nieliczni tylko miecze u pasa. Żaden człowiek nie wędrował po tych ulicach boso, nawet ci, którzy nosili workowate spodnie. KobiECE suknie, uszyte z jedwabiu lub znakomitej wełny, często były dłuższe, o obniżonych karczках odsłaniających nagie ramiona, a czasem nawet ukazujących część piersi. Większość handlu jedwabiem Ludu Morza szła przez Łzę. Pomiedzy ciągnionymi przez woły wozami pojawiały się z taką samą częstotliwością lektyki i konne powozy. A jednak na zbyt wielu twarzach gościł ten sam wyraz rezygnacji.

Gospoda, którą wybrał Lan, „Gwiazda”, sąsiadowała ze sklepem tkackim i kuźnią, oddzielona od nich jedynie wąskimi alejkami. Kuźnię zbudowano z nie ozdobionego niczym szarego kamienia, gospoda i warsztat były z drewna, chociaż „Gwiazda” miała cztery piętra, a nawet małe okienka na stryszku. Terkotanie warsztatu tkackiego konkurowało z metalicznymi dźwiękami kowalskiego młota. Stajenny odebrał od ruchu konie i powiódł je na tyły budynku. Weszli do środka. Z kuchni dobiegały wonie pieczonej i gotowanej ryby oraz pieczonego barana. Mężczyźni zgromadzeni we wspólnej sali ubrani byli wszyscy w dopasowane kaftany i luźne spodnie. Perrin uznał ich za niezbyt bogatych — w jakiś sposób nabył przekonania, że mężczyźni w kolorowych kaftanach z bufiastymi rękawami oraz kobiety obnażające ramiona należeli do szlachty lub bogatego mieszczaństwa. Być może właśnie dlatego Lan wybrał akurat tę gospodę.

— Jak mamy spać przy tym zgiełku? — narzekła Zarine.

— Skończyły ci się pytania? — odparował, uśmiechając się. Przez chwilę zdało mu się, że ona już zamierza mu się odgryźć.

Karczmarz okazał się łysiejącym mężczyzną o okrągłej twarzy, ubranym w ciemnobłękitny kaftan i luźne spodnie, kłaniał się nisko, zaplótłszy ręce na okazałym brzuchu. Jego twarz wyrażała ten sam rodzaj udreżonej rezygnacji jak pozostałe.

— Niechaj was Światłość oświeca, panie, zapraszam westchnął. — Niechaj was Światłość oświeca, panowie, zapraszam. — Lekko drgnął, gdy zobaczył żółte oczy Perrina, potem zwrócił się do Loiala. — Niech cię Światłość oświeca,



przyjacielu Ogirze, i zapraszam. Minał już rok lub więcej od czasu, jak widziałem któregoś z twoich pobratymców w Łzie. Mieli jakieś prace do wykonania przy Kamieniu. Mieszkali oczywiście w środku, ale pewnego dnia widziałem ich na ulicy.

Skończył kolejnym westchnieniem, najwyraźniej niezdolny do zainteresowania się, dlaczegoż to Ogir znów pojawił się w Łzie, i dlaczego w ogóle tutaj przybywali, skoro już o tym była mowa.

Łysiejący karczmarz nazywał się Jurah Haret. Sam zaprowadził ich do pokoi. Widocznie jedwabna suknia Moiraine oraz sposób, w jaki ukrywała twarz, w połączeniu z wyrazem oblicza Lana i jego mieczem, skłoniły go do wyciągnięcia wniosku, iż ma przed sobą lady i jej strażnika, wartych tego, by poświęcić im więcej uwagi. Perrina potraktował jako kogoś w rodzaju najemnego pomocnika, statusu Zarine najwidoczniej nie potrafił ocenić — ku jej niezadowoleniu — natomiast Loial był, mimo wszystko, Ogirem. Wezwał ludzi aby zestawili dla niego dwa łóżka, Moiraine natomiast zaproponował prywatny gabinet, w którym mogłaby spożywać posiłki, gdyby sobie tego życzyła. Propozycja spotkała się z wdzięczną akceptacją.

Podczas wszystkich tych operacji trzymali się razem, tworząc niewielką procesję, która wędrowała po korytarzach wyższych pięter, dopóki Haret nie skłonił się i, wzdychając w charakterystyczny dla siebie sposób, nie zniknął im z oczu, zostawiając w miejscu, gdzie zaczęli — przed pokojem Moiraine. Jego ściany wytynkowane były na biało, Loial zamiatał sufit gęstą czupryną.

— Odpychający typ — wymruczała Zarine, wściekle strzepując rękoma kurz ze swej wąskiej sukni. — Przypuszczam, że wziął mnie za twoją pokojówkę, Aes Sedai. Tego nie zniosę!

— Uważaj na to, co mówisz — półgłosem ostrzegł ją Lan. — Jeżeli użyjesz tego tytułu, gdy inni będą mogli go usłyszeć, pożałujesz, dziewczyno.

Spojrzała na niego w taki sposób, jakby chciała się kłócić, ale jego lodowate, błękitne oczy powściągnęły jej język, nawet jeśli nie uczyniły tego z jej wzrokiem.

Moiraine nie zwracała na nich uwagi. Wpatrując się w przestrzeń, gniotła płaszcz w dłoniach, wykonując takie ruchy, jakby je wycierała. W oczach Perrina wyglądała, jakby była zupełnie nieświadoma najbliższego otoczenia.

— Od czego rozpoczniemy poszukiwania Randa? — zapytał, ale prawdopodobnie niczego nie usłyszała. — Moiraine?

— Nie oddalajcie się zanadto od gospody — powiedziała po chwili. — Łza może się okazać niebezpiecznym miejscem dla kogoś, kto nie zna panujących w niej stosunków. Tutaj Wzór może zostać rozerwany.

Ostatnie zdanie wygłosiła cicho, jakby mówiła sama do siebie. Potem, silniejszym głosem, kontynuowała:

— Lan, zobaczmy co uda nam się odkryć bez zbytniego ściągania na siebie uwagi. Reszta zostanie na miejscu!

— „Nie oddalajcie się od gospody” — naśladowała Zarine, kiedy Aes Sedai i Strażnik schodzili po schodach na dół. Powiedziała to jednak dość cicho, żeby tamci nie słyszeli. — Ten Rand. Chodzi o tego, którego nazwałeś... — Jeżeli teraz wyglądała jak sokół, to był to sokół bardzo niepewny swego. — A my jesteśmy w Łzie. Gdzie w Sercu Kamienia przechowywany jest... A Proroctwa powiadają... Niech mnie Światłość spali, *ta'veren*, czyż nie jest to opowieść, której częścią warto być?

— To nie jest opowieść, Zarine. — Przez chwilę Perrin czuł niemal namacalnie beznadziejność jaką tchnęła postać karczmarza. — Koło wplata nas we Wzór. Ty postanowiłaś spleść swoją nić z naszymi, teraz jest już za późno, by ją wyplątać.

— Światłości! — warknęła. — Teraz mówisz jak ona!

Zostawił ją w towarzystwie Loiala, a sam poszedł złożyć rzeczy w swoim pokoju. Było tam niskie łóżko, wygodne lecz niewielkie, izba pasowała do wyobrażeń jakie ludzie z miasta mają na temat tego, co należy się służącym; nadto znajdowała się w nim umywalnia, stołek oraz kilka kołków na popękanej, gipsowej ścianie. Kiedy wyszedł ponownie na korytarz, tamci zniknęli. Brzęk młota na kowadle przyzywał go.

Tak wiele rzeczy w Łzie wyglądało dziwacznie, że widok kuźni przynosił prawdziwą ulgę. Jej parter stanowiło jedno wielkie pomieszczenie, pozbawione tylnej ściany, zamiast niej miało dwoje wielkich drzwi, które stały otworem, wychodząc na podwórze, gdzie podkuwano konie oraz woły. Na podwórzu stało urządzenie do podnoszenia wołów podczas tego zabiegu. Młoty stały na swoich stojakach, rozmaite rodzaje i rozmiary szczypiec wisiały na wbudowanych w ściany półkach, noże do przycinania kopyt i ich zrywania oraz inne narzędzia spoczywały schludnie ułożone na drewnianych ławach obok dłut, dwurogów, dziurownic a także pozostałych instrumentów kowalskiego rzemiosła. W skrzyniach znajdowały się sztaby żelaza i stali rozmaitej grubości. Pięć szlifierek o różnej ścierności stało na podłodze z utwardzanej gliny, oprócz tego sześć kowadeł i trzy piece obudowane kamieniami i dołączone do każdego miechy, choć tylko w jednym palił się ogień. Baryłki z wodą do chłodzenia czekały przygotowane pod ręką.

Kowal kształtował młotem rozgrzane do białości żelazo, które trzymał w potężnych szczypcach. Miał na sobie workowate spodnie, a w jego twarzy lśniły blade, niebieskie oczy, ale długa skórzana kamizelka okrywająca pierś oraz fartuch nie różniły się zbyt od odzieży, którą Perrin i pan Luhhan nosili w Polu Emonda, grube ramiona zaś i potężne dłonie mówiły o latach spędzonych przy pracy z metalem. W ciemnych włosach lśniła siwizna dokładnie tak, jak to Perrin pamiętał u pana Luhhana. Na ścianie wisiały inne kamizelki i fartuchy, zdradzając, że ma jeszcze jakichś uczniów, jednakże nigdzie nie było ich widać. Ogień na palenisku pachniał domem. Gorące żelazo pachniało domem.

Kowal odwrócił się, by ponownie wsadzić do ognia sztabę metalu, nad którą

pracował, a Perrin podszedł, aby pomóc mu przy miechach. Mężczyzna spojrzął nań, ale nic nie powiedział. Perrin ciągnął więc uchwyt miechów w górę i w dół, wolnymi, mocnymi, równymi ruchami, utrzymując właściwą temperaturę ognia. Kowal powrócił do pracy nad żelazem, kształtował je teraz na zaokrąglonym końcu kowadła. Perrin osądził, iż może być to skrobak do beczek. Młot dźwięczał ostrymi, szybkimi uderzeniami.

Kowal przemówił, nie odwracając nawet oczu od swej pracy.

— Uczeń? — to było wszystko, co powiedział.

— Tak — odparł Perrin równie krótko.

Kowal pracował przez czas jakiś. Okazało się, iż będzie to rzeczywiście skrobak, przy pomocy którego można czyścić wnętrza drewnianych beczek. Od czasu do czasu popatrywał na Perrina z namysłem. Na chwilę tylko odłożył młot, wybrał krótką, grubą, kwadratową sztabę i wcisnął ją w dłoń Perrina, potem ponownie ujął młot i powrócił do swej pracy.

— Zobaczysz co potrafisz z tym zrobić — powiedział.

Nie zastanawiając się nawet przez chwilę, Perrin podszedł do kowadła znajdującego się po przeciwnej stronie kuźni i lekko opukał krawędź sztabki. Zwinęła się w zgrabny pierścień. Stal znajdowała się dość krótko w słabym ogniu paleniska i nie zdążyła się odpowiednio nasycić węglem. Wsadził ją więc do gorącego teraz ognia, popróbowował wody z dwóch baryłek, by przekonać się, która z nich została osolona — w trzeciej była oliwa — potem zdjął kaftan, koszulę i wybrał skórzaną kamizelkę, która była odpowiednia na jego rozmiar. Większość mieszkańców Tairen była zdecydowanie mniejsza od niego, ale znalazł w końcu taką, która pasowała. Z fartuchem poszło łatwiej.

Kiedy się odwrócił, zobaczył jak kowal, wciąż pochylony nad swą robotą, kiwa głową i uśmiecha się do siebie. Ale z faktu, że krzątał się po kuźni nie wynikało jeszcze, iż posiada umiejętności kowalskie. Tego dopiero należało dowieść.

Kiedy wrócił do swego kowadła, niosąc dwa młoty, zestaw płaskich szczypiec z długą rączką oraz przecinak z ostrym czubkiem, stal zdążyła się już rozgrzać do ciemnej czerwieni oprócz niewielkiego kawałka, którego nie umieścił w żarze paleniska. Popracował trochę miechami, obserwując jaśniejącą barwę metalu, dopóki nie osiągnął żółci wpadającej w biel. Potem wyciągnął go z ognia szczypcami, położył na kowadle i wziął do ręki cięższy z dwu młotów. Ważył on, jak ocenił, około dziesięciu funtów, miał dłuższą rękojeść, którą większość ludzi, którzy nigdy nie mieli do czynienia z pracą w metalu, uznałaby za niepotrzebną. Ujął trzonek blisko końca; rozgrzany metal czasami tryskał iskrami, stanęły mu przed oczyma blizny na dłoniach kowala z Roundhill — skutki własnej nieuwagi.

Nie zamierzał robić niczego ekstrawaganckiego ani wymagającego drobiazgowej pracy. Coś prostego byłoby w tej sytuacji znacznie bardziej stosowne. Zaczął od zaokrąglenia krawędzi sztaby, potem wykuł jej środek, uzyskując szerokie pióro, niemalże tak grube jak koniec pierwotnej sztaby, ale o dobre półtorej dłoni

dłuższe. Od czasu do czasu wsadzał metal z powrotem do pieca, aby nie tracił swego bladożółtego koloru, a po pewnym czasie sięgnął po drugi młot, o połowę lżejszy od poprzedniego. Część sztaby znajdującą się za piórem uczynił cieńszą, potem wygiął ją na końcu kowadła w krzywiznę. Kiedyś będzie można przymocować tu drewnianą rękojeść. Osadził w kowadle przecinak i położył na nim lśniący metal. Jeden ostry cios młotem wyciął narzędzie, którego potrzebował. Albo niemal wyciął. Po ukończeniu będzie to ukośny nóż, służący między innymi do wyrównywania i wygładzania szczytów złożonych razem klepek beczki. Skrobak do beczek, nad którym pracował kowal, podsunął mu ten pomysł.

Kiedy odciął już gorący metal, wsunął go do osolonej wody w jednej z beczek. Gdyby użył wody nie solonej, hartowanie byłoby bardziej gwałtowne, stosowano ją więc do twardszych metali, podczas gdy oliwa nadawała się raczej do miękkich, na przykład do noży. Oraz mieczy, jak słyszał, nigdy jednak nie zdarzyło mu się uczestniczyć przy wykuwaniu żadnego.

Kiedy metal oziębził się wystarczająco i przybrał barwę ciemnoszarą, wyjął go z wody i zaniósł na szlifierkę. Odrobina uważnej pracy wypolerowała ostrze. Znów ostrożnie je rozgrzał. Tym razem jego kolory były głębsze, słomiane, brązowe. Kiedy brązowy zaczął przebiegać po metalu jak fale, ponownie go ochłodził. Potem będzie można ostatecznie wyprofilować ostrze. Kolejne ochłodzenie zniszczyłoby efekty odpuszczania, które zrobił przed chwilą.

— Bardzo zręczny kawałek roboty — powiedział kowal. — Żadnego zbędnego ruchu. Szukasz pracy? Moi uczniowie właśnie odeszli, wszyscy trzej, bezwartościowi głupcy, a ja miałbym dla ciebie mnóstwo roboty.

Perrin potrząsnął głową.

— Nie wiem, jak długo pozostanę w Łzie. Chciałbym popracować trochę dłużej, jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu. Minęło dużo czasu i stęskniłem się za tym. Może mógłbym wykonać część pracy, którą powinni robić pańscy uczniowie.

Kowal głośno parsknął.

— Jesteś o niebo lepszy niż każdy z tych prostaków, którzy tylko stroili miny i gapili się w przestrzeń, mamroczać coś o swoich koszmarach. Jak gdyby komuś czasami nie przyśniło się coś złego. Tak, możesz tutaj popracować, jak długo tylko zechcesz. Światłości, mam zamówienia na tuzin ośników i trzy topory dla bednarza, a cieśla mieszkający dalej na tej ulicy potrzebuje młota do wbijania czopów, a... Zbyt długo by wymieniać. Zacznij od ośników, a zobaczymy, jak wiele uda nam się zrobić przed nocą.

Perrin zatracił się w pracy, na czas jakiś zapomniał o wszystkim prócz żaru i metalu, pierścienia swego kowadła oraz zapachu kuźni, ale wreszcie nadszedł czas, gdy uniósł oczy znad swej roboty i zobaczył, jak kowal — powiedział, że nazywa się Dermid Ajala — zdejmuje swoją kamizelkę, a w odrzwiach wychodzących na podwórzec do podkuwania koni rozpościera się mrok. Jedyne światło

w kuźni dochodziło z paleniska i dwóch lamp. Na kowadle przy jednym z zimnych palenisk siedziała Zarine i patrzyła na niego.

— A więc naprawdę jesteś kowalem — powiedziała.

— Bez wątpienia jest, pani — powiedział Ajala. — Określił siebie jako ucznia, ale praca którą dzisiaj wykonał, wystarczy na jego mistrzowskie dzieło, jeśli ja miałbym o tym decydować. Piękne uderzenia, równe i mocne.

Perrin, słysząc te komplementy, zaczął nerwowo szurać nogami, a kowal uśmiechnął się do niego. Zarine patrzyła na nich obu, niczego nie rozumiejąc.

Perrin poszedł, by zawiesić kamizelkę i fartuch na właściwych kołkach, ale kiedy je zdjął, nagle uświadomił sobie wzrok Zarine, spoczywający na jego plecach. To było tak, jakby go dotknęła; na chwilę jej ziołowy zapach stał się wszechogarniający. Szybko wciągnął koszulę przez głowę, gwałtownie wepchnął ją w spodnie i sięgnął po kaftan. Kiedy się odwrócił, na twarzy Zarine dostrzegł jeden z tych lekkich, tajemniczych uśmiechów, które zawsze wprawiały go w zakłopotanie.

— Czy to właśnie zamierzasz zrobić? — zapytała. — Przebyłeś całą tę drogę, aby na powrót zostać kowalem?

Ajala przerwał zamykanie do połowy już zasuniętych drzwi na podwórze i słu-chał.

Perrin ujął ciężki młot, którego używał, z dziesięciofuntową głowicą i trzonkiem długości jego ramienia. Dobrze leżał mu w dłoni. Pasował. Kowal raz popatrzył na jego oczy i nawet nie mrugnął; to praca była ważna, umiejętność dawania sobie rady z metalem, a nie kolor czyichś oczu.

— Nie — powiedział smutno. — Może kiedyś, mam przynajmniej taką nadzieję. Ale jeszcze nie dziś.

Odwiesił młot na ścianę.

— Weź go. — Odkaslnął Ajala. — Zazwyczaj nie rozdaje dobrych narzędzi, ale... Praca, którą dzisiaj wykonałeś warta jest dużo więcej, niżli wynosi cena młota, a być może dzięki niemu owe „kiedyś” przybliży się choć trochę. Człowieku, jeżeli widziałem kiedyś kogoś, kto stworzony został, by trzymać w dłoniach kowalski młot, to jesteś nim ty. Tak więc weź go. Zatrzymaj sobie.

Perrin zacisnął dłoń na trzonku. Rzeczywiście pasował.

— Dziękuję — powiedział. — Nie potrafię powiedzieć ile to dla mnie znaczy.

— Tylko pamiętaj: „kiedyś”. Po prostu nie zapomnij o tym.

Kiedy wyszli z kuźni, Zarine spojrzała na niego i powiedziała:

— Czy masz jakieś wyobrażenie na temat tego, jak dziwni bywają ludzie, kowalu? Nie masz. Nie sądzę, żebyś miał.

Pospieszyła naprzód, zostawiając go z młotem w jednej dłoni, podczas gdy drugą drapał się po głowie.

We wspólnej sali nikt nie spojrzał na człowieka o złotych oczach, niosącego w dłoni kowalski młot. Poszedł do swego pokoju, tym razem nie zapominając

o zapaleniu świecy. Kołczan i topór wisiały na tym samym kołku na gipsowej ścianie. Stał teraz, trzymając w jednej dłoni topór a w drugiej młot. Dzięki wadze samego metalu, topór, ze swoim ostrzem w kształcie półksiężyca i ostrym kolcem z drugiej strony, był dobre pięć lub sześć funtów lżejszy od młota, ale zdawał się być cięższy dziesięciokrotnie. Zawiesił topór na kołku, postawił młot pod ścianą, opierając go o nią trzonkiem. Trzonki topora i młota dotykały się nieomal, dwa kawałki drewna równej grubości. Dwa kawałki metalu podobnej wagi. Przez długi czas siedział na stołku, wpatrując się w nie. Wciąż patrzył, kiedy Lan wsadził głowę w drzwi.

— Chodź, kowalu. Musimy porozmawiać.

— Jestem kowalem — powiedział Perrin, a Strażnik zmarszczył brwi.

— Nie udawaj, że oszalałeś, kowalu. Jeżeli nie zdołasz sam utrzymać się w szeregu, możesz nas wszystkich pociągnąć w przepaść.

— Dam sobie radę — warknął Perrin. — Zrobię wszystko co konieczne. Czego chcesz?

— Ciebie, kowalu. Nie słyszałeś? Idziemy, wiejski chłopcze.

To przezwisko, którym tak często dokuczała mu Zarine, rozzłościło go, podrywał się na równe nogi, ale Strażnik zdążył już się odwrócić. Perrin pośpieszył za nim na korytarz i po: szedł w kierunku frontu gospody, zamierzając powiedzieć Strażnikowi, że dosyć już ma tych: „kowalu” i „wiejski chłopcze”, że ma na imię Perrin Aybara. Lan jednak wszedł do jedyne go w gospodzie gabinetu, którego okna wychodziły na ulicę.

Perrin poszedł za nim.

— Teraz słuchaj ty, Strażniku. . .

— To ty posłuchaj, Perrin — powiedziała Moiraine. — Bądź cicho i słuchaj. Jej twarz była pogodna, ale oczy ponure jak i ton głosu.

Perrin nie spostrzegł dotąd, że w pomieszczeniu zdążyli się zgromadzić już wszyscy, z wyjątkiem jego i Strażnika, tamten stał teraz oparty jedną ręką o gzymś kominka. Moiraine siedziała za prostym stołem z czarnego dębu pośrodku pokoju. Wszystkie pozostałe krzesła z wysokimi, rzeźbionymi oparciami były wolne. Zarine, z nachmurzoną miną, stała oparta o ścianę po przeciwnej stronie pokoju niż Lan, a Loial postanowił usiąść na podłodze, gdyż krzesła były w istocie za małe dla niego.

— Ciesz się, iż postanowiłeś się do nas przyłączyć, wiejski chłopcze — powiedziała sarkastycznie Zarine. Moiraine nie chciała nam niczego zdradzić, zanim ty się nie pojawisz. Po prostu patrzyła na nas, jakby decydowała, które ma umrzeć. Ja. . .

— Bądź cicho — ostro przerwała jej Moiraine. — Jeden z Przeklętych jest w Łzie. Wysoki Lord Samon to w rzeczywistości Be’lal.

Perrin zadrżał.

Loial zacisnął powieki i jęknął.

— Powinienem zostać w *steding*. Przypuszczalnie udałoby mi się bardzo szczęśliwie ożenić, niezależnie od tego, kogo by wybrała moja matka. Ona jest dobrą kobietą, ta moja matka i nie obdarzyłaby mnie złą żoną.

Uszy położył płasko na głowie, niemalże całkowicie skryły się w kudłatej czuprynie.

— Możesz wracać do *Steding Shangtai* — oznajmiła *Moiraine*. — Możesz odejść zaraz, jeśli chcesz. Nie będę cię zatrzymywać.

*Loial* otworzył jedno oko.

— Mogę iść?

— Jeżeli chcesz — powiedziała.

— Och. — Otworzył drugie oko i podrapał się po policzku krótkimi palcami, grubymi niczym kiełbaski. — Przypuszczam... Przypuszczam... jeśli mam wybór... że zostanę z wami wszystkimi. Zrobiłem już dużo notatek, ale nie wystarczy tego jeszcze na dokończenie mojej książki, a nie chciałbym zostawiać *Perrina* i *Randa*...

*Moiraine* ucięła mu chłodnym głosem.

— Dobrze, *Loial*. Cieszę się, że zostajesz. Zadowolona będę, mogąc korzystać z twojej wiedzy. Ale zanim to nastąpi, nie chcę tracić czasu na wysłuchiwanie twych skarg!

— Przypuszczam — powiedziała *Zarine* niepewnym głosem — że ja nie mam szansy wyjechać? — Spojrzała na *Moiraine* i zadrżała. — Sądzę, że nie. *Kowalu*, jeżeli przeżyję, zapłacisz mi za wszystko.

*Perrin* wpatrywał się w nią.

„Ja! Ta głupia kobieta myśli, że to moja wina? Czy prosiłem ją, by jechała z nami?”

Otworzył już usta, ale dostrzegł wyraz oczu *Moiraine* i zamknął je szybko. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— Czy on ściga *Randa*? Aby go powstrzymać lub zabić?

— Myślę, że nie — odrzekła cicho, jej głos był niczym chłodna stal. — Obawiam się, że on ma zamiar pozwolić *Randowi* wejść do *Serca Kamienia* i zabrać *Callandora*, a potem odebrać mu go. Podejrzewam, że chce zabić *Smoka Odrodzonego* tą samą bronią, która miała go zwiastować.

— Znowu uciekniemy? — zapytała *Zarine*. — Jak w *Illian*? Nigdy nie chciałam uciekać, ale, składając przysięgę *Myśliwego*, nawet przez chwilę nie sądziłam, że napotkam *Przeklętych*.

— Tym razem — odparła jej *Moiraine* — nie uciekniemy. Nie ośmielimy się. Na barkach *Randa*, na barkach *Smoka Odrodzonego* spoczywają światy i czas. Tym razem będziemy walczyć.

*Perrin* niepewnym ruchem przysunął sobie krzesło.

— *Moiraine*, mówisz dużo takich rzeczy, o których twierdziłaś, że nie powinniśmy nawet myśleć. Upewniłaś się, że pokój jest zabezpieczony przed podsu-

chem, prawda?

Kiedy potrząsnęła głową, ścisnął krawędź dębowego blatu tak mocno, aż deski zatrzęszczały.

— Ja nie mówię o Myrddraalu, Perrin. Nikt nie wie, jak potężni są Przekłęci, pomijając to, że Ishamael i Lanfear byli najsilniejsi z nich, ale najslabszy może z odległości co najmniej mili wyczuć każde zabezpieczenie, jakie mogłabym ustawić. I w ciągu kilku sekund rozdrzeć nas wszystkich na strzępy, nie ruszając się nawet z miejsca.

— Powiadasz, że bez trudu jest w stanie zawiązać cię w supelki — wymruczał Perrin. — Światłości! Co mamy teraz zrobić? Jak możemy zrobić cokolwiek?

— Nawet Przekłety nie wytrzyma płomienia stosu odrzekła. Zastanawiał się, czy to właśnie tego użyła przeciwko Psom Czarnego; to, co wtedy zobaczył oraz to, co później powiedziała, wciąż wywoływało w nim niepokój. — W ciągu ostatniego roku dowiedziałam się wielu rzeczy, Perrin. Jestem bardziej... niebezpieczna niżli wówczas, kiedy przyjechałam do Pola Emonda. Jeżeli uda mi się podejść wystarczająco blisko do Be'lala, mogę go zniszczyć. Ale jeżeli jemu uda się mnie wcześniej zaskoczyć, może zniszczyć nas wszystkich, zanim zdążę cokolwiek przedsięwziąć.

Zwróciła się do Loiala.

— Co możesz mi powiedzieć o Be'lalu?

Perrin, zmieszany, aż zamrugał.

„Loial?”

— Dlaczego to jego pytasz? — wybuchnęła gniewnie Zarine. — Najpierw mówisz kowalowi, że masz zamiar zmusić nas, byśmy walczyli z jednym z Przekłetych!... który może nas zabić, zanim się nawet spostrzeżemy!... A teraz pytasz Loiala o niego!

Loial uspokajająco wymruczał kilkakrotnie imię, które sobie przybrała...

— Faile! Faile!

... ale nie udało mu się nawet odrobinę pohamować potoku jej słów.

— Sądziłam, że Aes Sedai wiedzą wszystko. Światłości, ja przynajmniej jestem na tyle mądra, że nie decyduję się na walkę z kimś, o kim nie wiem wszystkiego, czego mogłabym się dowiedzieć! Ty...

Pod spojrzeniem Moiraine zdania zamarły na jej ustach, gasnąc w niezrozumiałym mamrotaniu.

— Ogirowie — kontynuowała zimnym głosem Moiraine — przechowują wspomnienia sięgające dawnych czasów, dziewczyno. Sięgające stu pokoleń przed Pęknięciem Świata, jeśli chodzi o ludzi, ale mniej niż trzydziestu w przypadku Ogirow. Z ich opowieści cały czas dowiadujemy się rzeczy, których nie znaliśmy wcześniej. Teraz mów, Loial. Co wiesz o Be'lalu. Ale krótko tym razem. Pragnę twojej długiej pamięci, nie zaś języka.



Loial chrząknął, dźwięk przypominał odgłos ognistego drewna toczącego się po pochylni.

— Be'lal. — Jego uszy wychynęły z czupryny niczym skrzydła kolibra, potem jednak opadły znowu. — Nie wiem czy opowieści mogą przypomnieć ci coś takiego, czego byś już wcześniej nie wiedziała. Nie wymienia się go, wyjąwszy zburzenie Komnaty Sług, wcześniej, zanim Lews Therin Zabójca Rodu oraz Stu Towarzyszy zamknęło go wraz z Czarnym. Jalanda, syn Arieda, syna Coiama zapisał, że nazywano go Zazdrosnym, że przeklął Światło, ponieważ zazdrościł Lewsowi Therinowi, oraz że zazdrościł również Ishamaelowi i Lanfear. W *Studium Wojny Cienia*, Moilin, córka Hamady, córki Juendan, nazywa Be'lala Tkaczem Sieci, ale nie wiem dlaczego. Nadmienia również, że rozegrał partię kamieni z Lewsem Therinem i wygrał ją, oraz że zawsze chełpił się tym. — Spojrzał na Moiraine i zagrzmiał: Staram się mówić krótko. Nie wiem nic ważnego na jego temat. Kilku pisarzy powiada, że zarówno Be'lal, jak i Sammael byli przywódcami w walce przeciwko Czarnemu, zanim przekleli Światłość, oraz że obaj byli mistrzami miecza. To jest wszystko, co wiem. Mogą wymieniać go również inne źródła, inne opowieści, ale ja ich nie czytałem. O Be'lalu nie wspomina się zbyt często. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć ci nic użytecznego.

— Być może jednak udało ci się — pocieszyła go Moiraine. — Nie znałam imienia Tkacz Sieci. Ani nie wiedziałam, że zazdrosny był o Smoka tak samo, jak o swych kompanów z Cienia. To wzmacnia tylko moje przekonanie, iż pragnie *Callandora*. Musi być powód, dla którego uczynił się Wysokim Lordem Łzy. A Tkacz Sieci to imię dla intryganta, dla kogoś, kto potrafi cierpliwie i dokładnie planować. Spisałeś się dobrze, Loial.

Przez chwilę usta Ogira rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu, potem jednak znowuż wygięły w smutku.

— Nie będę udawała, że się nie boję — oznajmiła nagle Zarine. — Tylko głupiec nie obawiałby się Przekłętego. Ale przysięgam, że zostanę jedną z was i tak też się stanie. To wszystko, co chciałam powiedzieć.

Perrin potrząsnął głową.

„Ona doprawdy musi być szalona. Ja mogę tylko żałować, że stanowią część tego towarzystwa. Mogę żałować, że nie jestem w domu i nie pracuję w kuźni pana Luhhana.”

Na głos jednak powiedział:

— Jeżeli on jest we wnętrzu Kamienia i czeka tam na Randa, aby go dopaść, musimy również dostać się do środka. Jak ma się nam to udać? Wszyscy mówią, że nikt nie wchodzi tam bez pozwolenia Wysokich Lordów, a patrząc nań, nie mogę sobie wyobrazić innego sposobu dostania się do środka, jak przechodząc przez bramę.

— Ty nie wejdiesz do środka — powiedział Lan. Tylko Moiraine i ja wejdziemy do Kamienia. Im więcej nas tam pójdzie, tym będzie trudniej. Jakakolwiek

drogę do wnętrza odkryję, nie będzie ona łatwa nawet dla dwojga.

— Gaidin — zaczęła Moiraine twardym tonem, ale Strażnik przerwał jej głosem równie bezwzględny.

— Pójdziemy razem, Moiraine. Tym razem nie będę trzymał się z boku.

Po chwili pokiwał głową. Perrin osądził, że widział właśnie, jak Lan się rozluźnia.

— Pozostali zrobią najlepiej, jeśli prześpią się trochę — ciągnął dalej. — Ja muszę wyjść, by przyjrzeć się Kamieniowi. — Przerwał. — Twoje wieści spowodowały, że coś zupełnie wypadło mi z głowy, Moiraine. To jest drobiazg i nie potrafię osądzić, jakie może mieć znaczenie. Aielowie są w Łzie.

— Aielowie! — wykrzyknął Loial. — Niemożliwe! Całe miasto wpadłoby w panikę, gdyby choć jeden Aiel przeszedł przez jego bramy.

— Nie powiedziałem, że spacerują po ulicach, Ogirze. Dachy i kominy miasta stanowią równie dobre schronienie jak Pustkowie. Widziałem nie mniej niż trzech, chociaż wydaje się, że w Łzie nikt nie jest świadom ich obecności. A jeżeli widziałem trzech, możecie być pewni, iż jest ich znacznie więcej, tylko ich nie dostrzegłem.

— Nie potrafię tego wyjaśnić — wolno powiedziała Moiraine. — Perrin, dlaczego marszczysz w ten sposób brwi?

Nawet nie wiedział, że tak robi.

— Myślałem o tym Aielu w Remen. Powiedział mi, że kiedy upadnie Kamień, Aielowie opuszczą Trójkątną Krainę. Chodziło mu o Ugór, nieprawdaż? Powiedział, że takie jest proroctwo.

— Czytałam każde słowo z Proroctw Smoka — skomentowała jego informacje Moiraine — w każdym tłumaczeniu, a nie ma tam żadnej wzmianki o Aielach. Poruszamy się na ślepo, podczas gdy Be'lal splata swoją sieć, a Koło splata wokół nas Wzór. Ale czy Aielowie należą do splotu Koła czy Be'lala? Lan, musisz szybko znaleźć dla mnie drogę do wnętrza Kamienia. Dla nas. Znajdź szybko dla nas drogę.

— Jak rozkażesz, Aes Sedai — odrzekł Strażnik, ale ton jego głosu był raczej ciepły niżli formalny.

Zniknął za drzwiami. Moiraine, zmarszczywszy brwi; wbiła zamglone spojrzenie w blat stołu.

Zarine podeszła do Perrina, głowę przekrzywiła na bok.

— I co masz teraz zamiar zrobić, kowalu? Wygląda na to, że każą nam czekać i czuwać, podczas gdy oni będą przeżywać przygody. Nie, żebym się skarżyła, oczywiście.

W to ostatnie stwierdzenie nie uwierzył.

— Najpierw — powiedział — zamierzam coś zjeść. A potem będę myślał o młocie.

„I spróbuj sama rozwikłać, co do ciebie czuję, Sokole.”

## PRZYNETA W SIECI

Nynaeve zdało się, że kątem oka pochwyciła sylwetkę wysokiego mężczyzny o rudych włosach, w szerokim, brązowym płaszczu, daleko w głębi rozświetlonej słońcem ulicy, ale kiedy odwróciła się, by spojrzeć dokładniej spod szerokiego ronda błękitnego, słomkowego kapelusza, który dała jej Ailhuin, właśnie przeto-czył się obok zaprzężony w woły wóz. Kiedy wóz przejechał, mężczyzny nie było już nigdzie widać. Była niemalże pewna, iż na plecach niósł drewnianą skrzynkę z fletem, a jego ubiór z pewnością nie był taireński.

„To nie mógł być Rand. Tylko dlatego, że bezustannie śnię o nim, nie oznacza, iż zamierza przebyć całą tę drogę z równiny Almoth.”

Jeden z bosych mężczyzn przebiegł obok, z kosza na plecach wystawało mu kilkanaście sierpowatych ogonów jakichś wielkich ryb. Nagle potknął się, nad głową przeleciał mu deszcz srebrnej rybiej łuski. Padł dłońmi oraz kolanami w glinę i spojrzał na ryby, które wypadły z kosza. Każdy z długich, szczupłych kształtów wbił się pyskiem w grubą pokrywę błota, tworząc regularny wzór oczek sieci. Nawet kilku przechodniów zagapiło się na ten widok. Mężczyzna podniósł się powoli, najwyraźniej nieświadom pokrywającego go błota. Zdjął kosz z pleców i zaczął wkładać doń ryby, kręcąc głową i mrucząc coś do siebie.

Nynaeve zamrugła, ale kierowała się właśnie w stronę krowiotwarzowego robójnika, który czekał na nią w drzwiach swego sklepu, gdzie za jego plecami wisały na hakach krwawe poście mięsa. Szarpnęła warkocz i przeniosła spojrzenie na niego.

— Bardzo dobrze — powiedziała ostro. — Wezmę to, ale jeżeli tyle liczysz sobie za ten nędzny kawałek, nigdy więcej nie przyjdę już do twojego sklepu.

Pogodnie wzruszył ramionami, biorąc od niej monety, potem owinął tłustą baranią pieczeń w materię, którą wyciągnął z kosza na jej ramieniu. Patrzyła nań błyszczącymi oczyma, kiedy wkładał mięso z powrotem do kosza, ale nie zaprotestowała głośno.

Odwróciła się, by odejść — i omal nie upadła. Wciąż jeszcze nie przyzwycza-iała się do tych chodaków, bez przerwy grzęzły jej w glinie, nie potrafiła zrozumieć, jak ludziom udaje się w nich normalnie chodzić. Miała nadzieję, że słońce wkrót-ce osuszy ziemię, ale nie potrafiła wyzbyć się podejrzeń, że błoto jest w Maule

rzeczą niezmienną.

Stąpając chwiejnie i mrużąc, ruszyła w kierunku domu Ailhuin. Ceny za jakikolwiek kawałek mięsa były bardzo wysokie, jakość nieodmiennie kiepska, i nikt zdawał się tym nie przejmować, ani ci, którzy kupowali, ani sprzedający. Prawdziwą ulgę przynosiło spotkanie kobiety; która krzyczała na sprzedawcę, wymachując mu przed nosem popękanymi żółtymi owocami — Nynaeve nie wiedziała, co to jest, mieli tutaj wiele owoców i warzyw, o których w życiu nie słyszała — trzymając po jednym w każdej dłoni i wzywała wszystkich, by zobaczyli jakie też odpadki jej sprzedał; ale sprzedawca tylko patrzył na nią zmęczonym wzrokiem, nie troszcząc się nawet o odpowiednią replikę.

Wiedziała, że istnieje usprawiedliwienie, częściowe przynajmniej, dla tych cen — Elayne wyjaśniła im wszystko na temat zboża, zjadanego przez szczury w spichlerzach, zboża, którego żaden Cairhienianin nie był w stanie kupić, oraz o rozmiarach handlu zbożem w Cairhien po wojnach z Aielami — ale nic nie usprawiedliwiało tego, że każdy wyglądał, jakby miał ochotę położyć się i umrzeć. Widziała jak grad niszczył plony w Dwu Rzekach, jak zjadały je koniki polne, jak owce marły od czarnego języka, albo czerwonec powodował wędnięcie tytoniu, tak że nie było co sprzedać, kiedy kupcy przybywali z Baerlon. Pamiętała dwa kolejne lata, kiedy było naprawdę niewiele do jedzenia oprócz zupy z rzepy i starej kaszy jęczmiennej, a myśliwi mówili o szczęściu, gdy udało im się przynieść do domu kościstego królika, ale ludzie z Dwu Rzek potrafili podnieść się nawet wówczas, gdy zostali zupełnie wgniecieni w ziemię, i znów wracali do pracy. Ci ludzie przeżyli tylko jeden zły rok, a ich akweny rybne oraz pozostały handel zdawały się kwitnąć. Nie miała dla nich litości. To byli dziwni ludzie, dziwnie się zachowywali, jakby byli zastraszeni, nawet Ailhuin i Sandar. Uznała jednak na koniec, iż właśnie dlatego powinna zdobyć się wobec nich na większą dozę cierpliwości.

„Jeżeli wobec nich, to dlaczego nie wobec Egwene?”

Odsunęła od siebie tę myśl. Dzieciak zachowywał się paskudnie, buntując się przeciw najbardziej oczywistym sugestiom, sprzeciwiając się najbardziej rozsądnym propozycjom. Nawet kiedy jasne już było, co zrobą, Egwene chciała być przekonywana. Nynaeve nie była przyzwyczajona do przekonywania ludzi, a szczególnie ludzi, którym wcześniej zmieniała pieluszki. Fakt, że była tylko siedem lat starsza od tamtej, nie czynił żadnej różnicy.

„Wszystko przez te złe sny — powiedziała do siebie. — Nie potrafię zrozumieć, co one znaczą, a teraz mają je także Elayne i Egwene, a ja wciąż nie umiem ich wytłumaczyć, w dodatku Sandar nie chciał powiedzieć nic więcej jak to, że wciąż szuka, i jestem tak zawiedziona, że... że mogłabym pluć!”

Szarpnęła za warkocz tak mocno, że aż zabolęła. Przynajmniej udało jej się przekonać Egwene, aby nie używała ponownie *ter'angreala*, aby włożyła go z powrotem do sakwy zamiast trzymać na rzemyku, radując się jego dotykiem na skó-

rze. Jeżeli Czarne Ajah były w *Ter'aran'rhiod*... Nie dopuszczała do siebie tej możliwości.

„Znajdziemy je!”

— Zniszczę je — wymruczała. — Usiłowały sprzedać mnie niczym owcę! Polowały na mnie jak na zwierzę! Tym razem jestem myśliwym, nie królikiem! Ta cała Moiraine! Gdyby nigdy nie przyjechała do Pola Emonda, potrafiłabym nauczyć Egwene wystarczająco dużo. A Rand... Mogłabym... Byłabym w stanie coś zrobić.

To, że wiedziała, iż żadne z tych ostatnich zapewnień nie jest prawdziwe, nie pomagało a pogarszało tylko jej nastrój. Nienawidziła Moiraine niemal równie mocno, jak nienawidziła Liandrin oraz Czarnych Ajah, być może tak samo, jak nienawidziła Seanchan.

Skreśliła za róg, a Juilin Sandar musiał uskoczyć jej z drogi, żeby go nie stratowała. Mimo pewnego obycia z gwałtownym sposobem zachowywania się Nynaeve, jakie miał już za sobą, niemalże potknął się o własne chodaki i tylko pałka uratowała go przed upadkiem twarzą w błoto. Dowiedziała się, że to jasne, karbowane drewno nazywano bambusem i że jest mocniejsze, niżli się na pierwszy rzut oka zdawało.

— Pani... Hmm... pani Maryim. — Powiedział Sandat, odzyskując równowagę. — Właśnie... szukałem cię. Zdołał się na nerwowy uśmiech. — Jesteś zła? Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

Postarała się, by mars zniknął z jej czoła.

— Nie na ciebie byłem zła, panie Sandar. Ten rzeźnik... Nieważne. Dlaczego mnie szukałeś? — Aż jej zaparło dech w piersiach. — Znalazłeś je?

Rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że jakiś przechodzień mógłby podsłuchiwać.

— Tak. Tak, musisz wrócić ze mną do domu. Pozostałe czekają. Pozostałe. Oraz Matka Guenna.

— Dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Nie pozwoliłeś chyba, by odkryły, iż się nimi interesujesz? — pytała ostrym głosem. — Co cię tak przeraziło?

— Nie! Nie, pani... nie zdradziłem swej obecności. Jego oczy znowu pomknęły na boki, podszedł bliżej, głos ściszył niemalże do ledwie słyszalnego, aczkolwiek pełnego napięcia szeptu. — Te kobiety, których szukacie, one są w Kamieniu! Goście Wysokich Lordów! Samego Wysokiego Lorda Samona! Dlaczego nazywasz je złodziejkami? Wysoki Lord Samon! — słowa te wypowiedział, niemal skrzecząc. Na jego twarzy lśnił pot.

„Wewnątrz Kamienia! Z Wysokim Lordem! Światłości, jak teraz mamy się do nich dostać?”

Z wysiłkiem stłumiła swą niecierpliwość.

— Proszę się uspokoić — powiedziała łagodnie. Proszę się uspokoić, panie Sandar. Wszystko wyjaśnimy, tak że nie będzie się pan musiał niczego obawiać.

„Mam nadzieję, że nam się uda. Światłości, jeżeli on pobiegnie do Kamienia, aby powiedzieć swym Wysokim Lordom, że szukamy tamtych. . .”

— Proszę, chodź ze mną do domu Matki Guenny. Joslyn, Caryla i ja wszystko ci wyjaśnimy. Naprawdę. Chodź. W końcu skinął głową w krótkim, niepewnym geście i poszedł obok niej, dostosowując swój krok do tempa, na jakie stać było jej stopy, obute w chodaki. Wyglądał, jakby w każdej chwili miał zamiar uciec.

Gdy znalazła się pod domem Mądrej Kobiety, śpiesznie ruszyła do tylnego wejścia. Zdążyła zaobserwować, iż nikt nie używał drzwi frontowych, nawet sama Matka Guenna. Konie stały przywiązane do bambusowego drążka — odpowiednio daleko od nowych fig Ailhuin oraz jej warzyw — natomiast siodła i wędzidła złożone były w środku. Pierwszy raz nie zatrzymała się i nie poklepała Gaidina po nozdrzach, i nie powiedziała mu jak zawsze, że jest dobrym chłopcem i bardziej wrażliwym niż jego imiennik. Sandar zatrzymał się, by końcem pałki zdrapać błoto z chodaków, potem szybko wszedł do środka.

Ailhuin Guenna siedziała na jednym ze swych krzesel z wysokim oparciem, które przesunęła do kuchni, z rękoma opuszczonymi po bokach. Oczy siwej kobiety były szeroko otwarte z gniewu i strachu, wysilała się szaleńczo, nie mogąc poruszyć nawet jednym mięśniem. Nynaeve nie musiała wyczuwać subtelnych splotów Powietrza, by wiedzieć co się zdarzyło.

„Światłości, znalazły nas! Żebyś szczeł, Sandar!”

Zalał ją gniew, jego fala obaliła ściany, które zazwyczaj oddzielały ją od Mocy, kosz wypadł z jej dłoni, cała była białym kwieciem na ciernistych gałęziach, otwierającym się na uścisk *saidara*, otwierającym się. . . Było tak, jakby trafiła na następną ścianę, ścianę z przezroczystego szkła; była w stanie czuć Prawdziwe Źródło, ale ściana zatrzymywała wszystko z wyjątkiem bolesnego pragnienia, by być wypełnioną Jedyną Mocą.

Kosz uderzył o podłogę, a kiedy jeszcze podskakiwał, drzwi otworzyły się i do środka weszła Liandrin, a za nią czarnowłosa kobieta z pasmem siwych włosów na lewej skroni. Ubrane były w długie, wzorzyste jedwabne suknie, wycięte tak, że obnażały ramiona, a *saidar* lśnił wokół nich poświatą.

Liandrin wygładziła swą czerwoną sukienkę, uśmiechnęła się tymi wzgardliwymi ustami w kształcie pączka róży. Na jej lalkowatej twarzy błyszczało rozbawienie.

— Rozumiesz sama, nieprawdaż, dzikusko — zaczęła — nie masz żadnych. . .

Nynaeve z całej siły uderzyła ją w twarz.

„Światłości, muszę uciekać. — Drugi cios trafił Rianę tak silnie, że tamta z jękiem usiadła na podłodze. — Muszą gdzieś być pozostałe, ale jeśli uda mi się wydostać na zewnątrz, jeżeli ucieknę dostatecznie daleko, nie będą w stanie złapać mnie i wtedy może coś uda mi się zrobić.”

Cios, który otrzymała Liandrin, odrzucił ją od drzwi.

„Żebyś tylko wydostała się z zasięgu ich osłony, a wtedy. . .”

Ciosy zaczęły spadać na nią ze wszystkich stron, jakby uderzały ją pięści i kije. Ani Liandrin, której krew ściekała z kącika wygiętych teraz w ponurym grymasie ust, ani Rianna, z włosami w nieładzie i suknią w podobnym stanie, nie podniosły nawet ręki. Nynaeve czuła oplatające ją strumienie Powietrza równie wyraźnie, jak spadające na nią ciosy. Wciąż walczyła, by dostać się do drzwi, ale zdała sobie sprawę, że już powalono ją na kolana, a niewidzialne ciosy nie ustawały, niedostrzegalne pięści i kije biły jej plecy i brzuch, głowę i biodra, ramiona, piersi, nogi, głowę. Jęcząc padła na bok i zwinęła się w kłębek, usiłując rozpaczliwie osłonić się przed lawiną uderzeń.

„Och, Światłości, próbowałam. Egwene! Elayne! Próbowałam! Nie będę krzyzczeć! Żebyście szczyły, możecie zbić mnie na śmierć, ale nie będę krzyzczeć!”

Ciosy ustały, ale Nynaeve nie mogła powstrzymać drżenia. Czuła się pokaleczona i posiniaczona od stóp aż do głów.

Liandrin przykucnęła obok niej, ramionami oplótła kolana, jedwab otarł się o jedwab. Starła krew z kącika ust. Ciemne oczy patrzyły twardo, na jej twarzy nie było już śladu rozbawienia.

— Być może jesteś zbyt głupia, by wiedzieć kiedy należy się poddać, dzikusko. Walczyłaś niemal równie zawzięcie, jak tamta głupia dziewczyna, Egwene. Ona niemalże oszalała. Wszystkie musicie nauczyć się uległości. Ty nauczysz się jej także.

Nynaeve zadrżała i ponownie sięgnęła po *saidara*. Nie dlatego, żeby miała jakąś nadzieję, ale musiała coś zrobić. Przewyciężając ból, sięgnęła poza siebie... i uderzyła w tę niewidzialną tarczę. W oczach Liandrin ponownie rozbłysło rozbawienie, na ustach wykwitł uśmiech wstrętnego dziecka, które zabawia się, odrywając muchom skrzydełka.

— Ostatecznie nie będziemy i tak miały z niej żadnego pożytku — powiedziała Rianna, stając obok Ailhuin. Zatrzymam jej serce.

Oczy Ailhuin niemalże wyszły z orbit.

— Nie! — Krótkie warkoczyki Liandrin o kolorze miodu zawirowały, kiedy pokręciła głowę. — Zawsze zabijasz zbyt szybko, a tylko Wielki Władca potrafi czynić użytek z martwych.

Uśmiechnęła się do kobiety przywiązanej niewidzialnymi pętami do krzesła.

— Widziałaś żołnierzy, którzy przyszli z nami, stara kobieto. Wiesz, kto oczekuje nas w Kamieniu. Wysoki Lord Samon nie będzie zadowolony, jeżeli zaczniesz rozpowiadać o tym, co zdarzyło się dzisiaj w twoim domu. Jeżeli uda ci się pohamować swój język, będziesz żyła, być może po to, by pewnego dnia mu służyć. Jeżeli będziesz mówić, służyć będziesz wówczas tylko Wielkiemu Władcy Ciemności, i to za grobem. Co wybierasz?

Nagle Ailhuin mogła poruszyć głowę. Potrząsnęła siwymi splotami, otworzyła usta.

— Ja... ja nic nie powiem — powiedziała zrozpaczona; potem obdarzyła Nynaeve pełnym zakłopotania i wstydu spojrzeniem — Jeżeli miałabym mówić, cóż by z tego przyszło dobrego? Wysoki Lord jednym uniesieniem brwi mógłby pozbawić mnie głowy. Cóż dobrego bym w ten sposób osiągnęła, dziewczyno? Cóż dobrego?

— Wszystko w porządku — odrzekła zmęczonym głosem Nynaeve.

„Komu mogłaby powiedzieć? Wszystko, co może w ten sposób osiągnąć, to umrzeć.”

— Wiem, że pomogłabyś nam, gdybyś potrafiła. Rianna odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Ailhuin opadła bezwładnie na krzesło, uwolniona z więzów, ale siedziała bez ruchu, wpatrując się w swe splecione dłonie.

Liandrin i Rianna podniosły Nynaeve z obu stron i wyprowadziły przed dom.

— Jeśli będą z tobą jakieś kłopoty — powiedziała twardym tonem czarnowłosa kobieta — to sprawię, że sama wyskoczysz ze skóry i będziesz tańczyć, grzechocząc obnażonymi kośćmi.

Nynaeve omal się nie roześmiała.

„Jakie jeszcze mogą być ze mną kłopoty? — Była oddzielona od Prawdziwego Źródła. Jej skaleczenia bolały tak, że ledwie stała na nogach. Każdy jej opór złamię tak łatwo jak furię dziecka. — Ale moje rany się wygoją, żebyście szczęły, a wy jeszcze się potkniecie! A kiedy to nastąpi...”

Przed frontem domu czekały już pozostałe. Dwóch wielkich żołnierzy w okrągłych hełmach z okapem oraz lśniących napierśnikach, nałożonych na czerwone kaftany z bufiastymi rękawami. Ich twarze zalewał pot, przewracali oczami, jakby bali się tak samo jak ona. Amico Nagoyin była tam również, wysmukła i śliczna, z długą szyją i białą skórą, wyglądała równie niewinnie jak dziewczynka zbierająca kwiaty na łące. Na twarzy Joiyi Byir gościł przyjazny uśmiech, mimo iż miała ona ten gładki spokój kobiety, która długo zajmowała się Mocą; przypominała niemalże twarz babki witającej swą wnuczkę, choć jej wiek nawet nie musnął siwizną ciemnych włosów, podobnie, jak nie pomarszczył skóry. Szare oczy przywodziły jednak na myśl raczej macochę z opowieści, taką, która zamordowała dzieci poprzedniej żony swego męża. Obie kobiety otaczało lśnienie Mocy.

Między dwoma Czarnymi siostrami stała Elayne, miała podbite oko, obtarty policzek i rozciętą wargę, jeden z rękawów jej sukni był na pół przedarty.

— Tak mi przykro, Nynaeve — powiedziała niewyraźnie, jakby bolała ją szczeka. — Nawet nie zauważyłyśmy ich, dopóki nie było już za późno.

Bezwładne ciało Egwene leżało na ziemi, jej twarz, poznaczona skaleczeniami i obtarciami, była nieomal nie do rozpoznania. Kiedy Nynaeve i jej eskorta podeszły bliżej, jeden z żołnierzy uniósł Egwene za ramię. Zwiśla bezwładnie, niczym pusty worek ziarna.

— Co wyście jej zrobiły? — domagała się odpowiedzi Nynaeve. — Żebyście szczęły, co...!



Coś niewidzialnego uderzyło ją w usta, tak silnie, że na chwilę pociemniało jej w oczach.

— Spokojnie, spokojnie — oznajmiła Joiya Byir z uśmiechem, który rozjaśnił jej oczy. — Nie będę tolerowała żadnych żądań, ani niewłaściwego języka. — Jej głos również brzmiał tak ciepło, że należeć mógł do babci. — Będiesz mówić, kiedy zostanie ci to nakazane.

— Powiedziałam ci, że ta dziewczyna nie chciała przestać walczyć, tak czy nie? — wtrąciła Liandrin. — Niech to będzie dla ciebie lekcją. Jeśli będziesz nam utrudniać, zostaniesz potraktowana nie mniej surowo.

Nynaeve ze wszystkich sił pragnęła zrobić coś dla Egwene, pozwoliła jednak powlec się na ulicę. Kazała się ciągnąć, to był drobny, choć jedyny sposób stawienia jeszcze jakiegoś oporu, odmowa współpracy, ale to było wszystko, co w tej chwili mogła zrobić.

Na błotnistej ulicy znajdowało się niewielu przechodniów, jakby każdy postanowił, iż zdecydowanie lepiej będzie udać się gdzie indziej, a ci nieliczni przemysłali drugą stroną ulicy, nie zerknąwszy nawet na lśniący, lakierowany na czarno powóz, zaprzężony w sześć jednakiej maści siwków z wysokimi, białymi pióropuszcami na łbach. Woźnica, ubrany jak żołnierz, ale bez zbroi ani miecza, siedział na koźle, drugi otworzył drzwi, kiedy tylko wyszły z domu. Zanim jednak drzwiczki się otworzyły, Nynaeve zdążyła zobaczyć wymalowany na nich herb — odziana w srebrną rękawicę dłoń, ściskającą pęk poszarpanych błyskawic.

Podejrzała, że był to herb Wysokiego Lorda Samona. . .

„Musi być Sprzymierzeńcem Ciemności, jeżeli zadaje się z Czarnymi Ajah. Niech go Światłość spali!”

. . . ale bardziej zainteresował ją widok człowieka, który padł na kolana w błoto, kiedy tylko pojawiły się jej zwyciężczyni.

— Żebyś szczeł, Sandar, dlaczego. . . ?

Podskoczyła, kiedy coś uderzyło ją w plecy z siłą drewnianej laski.

Jaiya Byir zaśmiała się dziecinnie i pogroziła jej palcem.

— Powinnaś zachowywać się z większym szacunkiem, dziecko. W przeciwnym razie możesz stracić swój niewyparzony język.

Liandrin roześmiała się. Przeczesała dłonią jego czarne włosy, potem uniosła głowę. Wpatrywał się w nią oczyma wiernego psa albo kundla, który oczekuje kopniaka.

— Nie powinnaś być zbyt twarda dla tego człowieka. — W jej ustach nawet słowo „człowiek” brzmiało jak „pies”. — Trzeba było mu najpierw. . . wytłumaczyć. . . żeby służył. Ale ja jestem lepsza w tłumaczeniu, nieprawdaż?

Roześmiała się powtórnie.

Sandar zwrócił zmieszane spojrzenie na Nynaeve.

— Musiałem tak zrobić, pani Maryim. Ja. . . musiałem.

Liandrin skrzyła jego głowę, znowu wbił w nią spojrzenie przestraszonego psa.

„Światłości! — pomyślała Nynaeve. — Co one mu zrobiły? Co zamierzają zrobić nam?”

Ona i Elayne zostały szorstko wepchnięte do powozu, Egwene ciśnięto pomiędzy nie, głowa jej opadała, Liandrin i Rianna wsiadły również do środka i zajęły miejsca naprzeciwko. Poświata *saidara* otaczała je bez przerwy. Dokąd udały się pozostałe, to zupełnie nie interesowało Nynaeve. Chciała dotknąć Egwene, złagodzić trochę jej cierpienia, ale nie była w stanie ruszyć żadnym mięśnieniem poniżej szyi; czuła tylko drżenie spowodowane przez ból. Strumienie Powietrza wiązały ich trójkę niczym warstwy ściśle owiniętego koca. Powóz ruszył, ciężko kołyszając się w błocie mimo skórzanych resorów.

— Jeżeli zrobiłyście jej coś złego. . .

„Światłości, sama widzę, że zrobiły. Dlaczego nie powiem tego, co naprawdę mam na myśli?”

Jednak równie trudno było wydobyć słowa z gardła, jak poruszyć ręką.

— Jeżeli ją zabiłyście, nie spocznę, póki nie dopadnę was wszystkich i nie pozabijam jak wściekłe psy.

Oczy Rianny rozjarzyły się, ale Liandrin tylko parsknęła. — Nie zachowuj się jak głupia, dzikusko. Jesteście potrzebne żywe. Na martwą przynętę nic się nie złapie.

„Przynęta? Na co? Na kogo?”

— To ty jesteś głupia, Liandrin! Czy sądzisz, że jesteśmy tutaj same? Tylko nasza trójka, nawet nie pełne Aes Sedai? Jesteśmy przynętą, Liandrin. A wy weszłyście prosto do pułapki, niczym tłuste cietrzewie.

— Nie mów jej tego! — ostro przerwała Elayne, a Nynaeve zamrugła, zanim zdała sobie sprawę, iż tamta podjęła jej grę pozorów. — Jeżeli pozwolisz, by zawładnął tobą gniew, zdradzisz im to, czego nie powinny wiedzieć. Muszą zawieźć nas do wnętrza Kamienia. Muszą. . .

— Bądź cicho — warknęła Nynaeve. — To ty powinnaś dbać o to, by trzymać swój język na wodzy!

Mimo skaleczeń pokrywających twarz Elayne, nie dało się ukryć obrażonej miny.

„Pozwólmy im zastanowić się nad tym” — pomyślała Nynaeve.

Ale Liandrin tylko się uśmiechnęła.

— Kiedy przestaniecie być przydatne w roli przynęty, wyznacie nam wszystko. Same będziecie błagały, byśmy wysłuchały waszej spowiedzi. Powiadają, że pewnego dnia będziecie naprawdę silne, zadbam jednak o to, abyście zawsze były mi posłuszne i dokonam tego, zanim nawet Wielki Pan Be’lal zrealizuje swoje plany w odniesieniu do was. Posłał właśnie po Myrddraali. Po trzynastu Myrddraali.

Usta w kształcie pączka róży zaśmiały się, akcentując ostatnie słowa.

Nynaeve poczuła jak wywraca się jej żołądek. Jeden z Przeklętych! Jej umysł pogrążył się w otępieniu wywołanym przez szok.

„Czarny i wszyscy Przekłęci są uwięzieni w Shayol Ghul, uwięzieni przez Stwórcę w chwili stworzenia.”

Ale katechizm nie pomógł; sama najlepiej wiedziała, ile w nim jest fałszu. Potem dopiero dotarł do niej sens pozostałych słów. Trzynastu Myrddraali. Oraz trzynaście sióstr z Czarnych Ajah. Usłyszała jak Elayne krzyczy, zanim zdała sobie sprawę, że sama krzyczy również, szarpiąc bezskutecznie niewidzialne więzy Powietrza. Trudno było powiedzieć, co było głośniejsze, ich rozpaczliwe krzyki, czy śmiech Liandrin i Rianny.

## W POSZUKIWANIU REMEDIUM

Rozparty na stołku w pokoju barda, Mat skrzywił się, gdy Thom ponownie zakaszał.

„W jaki sposób mamy kontynuować poszukiwania, kiedy on jest tak ciężko chory, że nie może chodzić?”

Kiedy tylko o tym pomyślał, zawstydził się. Thom wytrwale jak tylko mógł przykładał się do poszukiwań, chodząc z nim całe dni i noce, kiedy wreszcie okazało się, że jest tak chory, iż nie potrafi już ustać na nogach. Mat był do tego stopnia zaabsorbowany swym zadaniem, że zbyt mało uwagi zwracał na kaszel towarzysza. Zmiana pogody, od bezustannego deszczu do przesyconego wilgocią upału z pewnością również nie miała korzystnego wpływu.

— Chodź, Thom — namawiał. — Lopar mówi, że w pobliżu mieszka Mądra Kobieta. Tak tutaj nazywają Wiedzącą... Mądra Kobieta. Nynaeve to by się dopiero podobało!

— Nie potrzebuję... żadnych paskudnie smakujących... wywarów... wlewanych do mojego gardła, chłopcze. Thom wbił pięść w wąsy, w próżnym wysiłku powstrzymania napadu urywanego kaszlu. — Ty idź i dalej szukaj. Daj mi tylko... kilka godzin... w łóżku... a potem do ciebie dołączę.

Spazmy kaszlu zgięły go niemalże w pół, aż głową dotknął kolan.

— A więc spodziewasz się, że ja będę robił wszystko, podczas gdy ty będziesz wypoczywał? — powiedział lekko Mat. — W jaki sposób mogę coś odnaleźć bez ciebie? Ty dowiedziałeś się większości tych rzeczy, które wiemy.

To nie była do końca prawda, ludzie rozmawiali nad kośćmi równie chętnie jak wtedy, gdy stawiali bardowi kubek wina. Na pewno zaś chętniej, niżli z bardem, który kaszle tak okropnie, iż można się od niego zarazić. Mat zaczynał jednak podejrzewać, iż kaszel Thoma sam z siebie nie przejdzie.

„Jeżeli stary łobuz mi tu umrze, z kim będę grywał w kamienie?” — pomyślał, starając się nie roztkliwiać zanadto.

— W każdym razie, twój przeklęty kaszel nie pozwala mi zasnąć, nawet gdy znajduję się w pokoju obok.

Ignorując protesty siwowłosego mężczyzny, zwlókł go z łóżka i postawił na nogi. Zaskoczony był tym, jak mocno Thom wsparł się na nim. Pomimo wilgoci

i upału, bard nalegał, by zabrać jego naszywany łątkami płaszcz. Mat miał rozpięty kaftan i rozwiązane wszystkie trzy wstążki koszuli, ale pozwolił staremu łobuzowi na wszystko, co tylko chciał. We wspólnej sali nikt nawet nie spojrział, gdy prawie znosił Thoma po schodach i wyprowadzał na dwór.

Karczmarz dał im proste instrukcje, ale kiedy dotarli do bramy i stanęli twarzą w twarz z błotem Maule, Mat omal nie zawrócił, by zapytać o inną Mądrą Kobiętę. W mieście tej wielkości musiało być ich więcej. Jednak kaszel Thoma przekonał go, by trzymać się pierwotnego postanowienia. Krzywiąc twarz, wszedł na błotnisty teren, prawie niosąc przyjaciela.

Z kierunku, który mu podano wnosił, że musieli minąć dom Mądrej Kobiety, jadąc z portu pierwszej nocy, a kiedy zobaczył długi, wąski dom z wiszącymi w oknach wiązками ziół, dokładnie obok sklepu garniarza, wówczas sobie przypomniał. Lopar powiedział coś o pukaniu do tylnych drzwi, ale Mat miał już dosyć brodzenia w błocie.

„Oraz zapachu ryby” — pomyślał, marszcząc czoło na widok bosych ludzi, brnących przez glinę z koszami ryb na plecach.

Na ulicy można było dostrzec również ślady końskich kopyt, które właśnie zaczynały zamazywać odciski stóp i koła ciągnionych przez woły wozów. Konie zaprzężone do wozu, albo może nawet powozu. Nie widział dotąd w Łzie koni ciągnących wozy — szlachta i kupcy byli tak dumni ze swych znakomitych hodowli, że nigdy nie pozwoliliby zaprząć ich do zwyczajnej pracy — ale od czasu opuszczenia ogrodzonego murami miasta, nie widział także żadnego powozu.

Odsunął temat śladów końskich kopyt i kół ze swoich myśli, podprowadził Thoma do frontowych drzwi i zastukał. Potem znowu.

Był właśnie niemalże zdecydowany zrezygnować i, mimo iż Thom kaszłał strasznie, wsparty na jego ramieniu, wrócić do „Sierpu Białego Księżyca”, kiedy posłyszał w środku szmer kroków.

Drzwi otworzyły się, uchylając ledwie szczelinę, a siwowłosa kobieta wyjrzała na zewnątrz.

— Czego chcecie? — zapytała zmęczonym głosem.

Mat uśmiechnął się najmilej jak potrafił.

„Światłości, ja chyba też się rozchoruję od widoku tych wszystkich ludzi, którzy zachowują się, jakby nie było już ani odrobiny przeklętej nadziei.”

— Matka Guenna? Nazywam się Mat Cauthon. Cavan Lopar powiedział mi, że możesz dać coś na kaszel mojemu przyjacielowi. Dobrze zapłacę.

Przypatrywała im się badawczo przez chwilę, zdając się wsłuchiwać w kaszel Thoma, potem westchnęła.

— Przypuszczam, że tyle przynajmniej wciąż potrafię zrobić. Możecie wejść do środka.

Otworzyła drzwi na oścież i zanim Mat zdążył przekroczyć próg, ciężkim krokiem poczłapała na tyły domostwa.

Jej akcent był tak podobny do tego, który słyszał w głosie Amyrlin, że aż zadrżał, poszedł jednak za nią, niemalże niosąc Thoma.

— Nie... potrzebuję tego — kaszlał bard. — Przeklęte mikstury... zawsze smakują jak... łajno!

— Zamknij się, Thom.

Gruba kobieta zaprowadziła ich do kuchni, tam zaczęła szperać w jednej z szaf, wyciągając małe kamienne dzbanki oraz zawiniątka z ziołami. Cały czas nieprzerwanie mruzczała coś pod nosem.

Mat posadził Thoma na jednym z krzeseł z wysokim oparciem i spojrział przez najbliższe okno. Na podwórzu stały przywiązane trzy niezłe konie; zaskoczył go ten widok, że Mądra Kobieta posiada więcej niżli jednego konia. Poza szlachtą i bogaczami, nie widział w Łzie nikogo, kto jeździłby konno, a wyglądało na to, że za te zwierzęta zapłacono sporo srebra.

„Znowu konie. Nie interesują mnie teraz żadne przeklęte konie!”

Matka Guenna zaparzyła jakiś rodzaj mocnego naparu o wstrętnym zapachu i wlała przemocą w gardło Thoma, ściskając mu nos, kiedy próbował się opierać. Trzymała głowę barda nieruchomo w zgięciu ramienia, a drugą ręką wlewała weń czarny płyn, na pozór zupełnie nie zważając na jego opór. Obserwując to, Mat doszedł do wniosku, że wbrew jego pierwszemu wrażeniu, to nie tłuszcz tworzy jej pokaźną sylwetkę.

Gdy wreszcie odstawiła filiżankę, Thom zaczął kaszleć a równocześnie, z podobnym wigorem, wycierał sobie usta.

— Oooch! Kobieto... nie wiem... czy masz zamiar utopić mnie... czy zabić... tym paskudnym smakiem! Powinnaś... być przeklętym... kowalem!

— Będziesz pił taką samą dawkę dwa razy dziennie, dopóki kaszel nie minie — powiedziała twardo. — Dam ci też maść, którą każdej nocy będziesz wcierał w piersi. — Zmagania z bardem wyгнаły po części słabość, pobrzmiwającą w jej głosie; wsparła dłonie o biodra. — Ta maść pachnie równie paskudnie jak smakują te zioła, ale będziesz ją wcierał... i to dokładnie!... albo zawlokę cię po schodach na górę jak chudego karpia w sieci i przywiążę do łóżka tym tego twoim płaszczem! Nigdy dotąd nie przyszedł do mnie żaden bard, ale pierwszemu, któremu się to zdarzyło, nie pozwolę zakaszleć się na śmierć!

Thom rzucał na nią groźne spojrzenia i krztusząc się, szarpał swego wąsa, jednakże zdawał się traktować jej groźby zupełnie poważnie. Ostatecznie nie powiedział nic, choć wyglądał tak, jakby chciał rzucić w nią zarówno naparem, jak i maścią.

Im więcej mówiła Matka Guenna, tym bardziej jej głos brzmiał w jego uszach podobnie do głosu Amyrlin. Obserwując kwaśny wyraz twarzy Thoma oraz jej nieustępliwe spojrzenia, doszedł wreszcie do wniosku, że lepiej będzie, jeśli postara się odrobinę załagodzić sytuację, zanim bard naprawdę odmówi przyjęcia leków.

— Kiedyś poznałem kobietę, która mówiła w taki sposób jak ty — zaczął. — Wszystkie te ryby, sieci i tak dalej. Jej głos brzmiał również podobnie do twojego. Mam na myśli akcent. Przypuszczam, że ona również jest Tairenką.

— Być może. — Siwowłosa kobieta nagle znowu zaczęła wyglądać na śmiertelnie zmęczoną, wbiła wzrok w podłogę. — Ja też znałam parę dziewcząt, które mówiły z podobnym akcentem jak ty. A przynajmniej dwie z nich. — Westchnęła ciężko.

Mat poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

„Moje szczęście nie może być tak wielkie.”

Ale nie postawiłby nawet miedziaka na to, że akurat w tej chwili w Łzie przebywają jakieś dwie inne kobiety, mówiące z akcentem Dwu Rzek.

— Trzy dziewczęta? Młode kobiety? Nazywają się Egwene, Nynaeve i Elayne? Ta, która mówiła w inny nieco sposób niż dwie pozostałe, miała włosy jak słońce i niebieskie oczy?

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

— Nie takimi posługiwały się imionami — powiedziała wolno. — Podejrzewam jednak, że nie podały mi prawdziwych. Ale miały swoje powody, jak sądzę. Jedna z nich była bardzo piękną dziewczyną o jasnoniebieskich oczach i złotorudych włosach, sięgających do ramion.

Potem opisała Nynaeve z warkoczem, sięgającym do bioder oraz Egwene i jej wielkie, ciemne oczy, gotowe zawsze do uśmiechu. Trzy piękne kobiety, różniące się typem urody tak bardzo, jak to tylko możliwe.

— Przypuszczam, że są to te, o które ci chodzi — zakończyła. — Przykro mi, chłopcze.

— Dlaczego mówisz, że jest ci przykro? Od wielu dni staram się je odnaleźć!

„Światłości, pierwszej nocy przejechaliśmy dokładnie obok tego miejsca! Tuż obok nich! Chciałem przypadkowości. Co może być bardziej przypadkowe niż miejsce na nabrzeżu, do którego przybije statek podczas deszczowej nocy i miejsce, w którym zobaczysz przekłętą błyskawicę? Niech szeszne! Niech szeszne!”

— Powiedz mi, gdzie one są, Matko Guenno.

Siwowłosa kobieta patrzyła udręczonym wzrokiem w palenisko pieca, gdzie kipiał czajnik z dziobkiem. Jej usta poruszały się, ale nie mogła z nich wydobyć ani jednego słowa.

— Gdzie one są? — dopytywał się Mat. — To jest ważne! Znajdą się w niebezpieczeństwie, jeśli nie uda mi się ich znaleźć.

— Nie rozumiesz — powiedziała cicho. — Nie jesteś stąd. Wysocy Lordowie...

— Nie dbam o żadnych... — Mat zamrugnął i spojrzał na Thoma. Bard zdawał się marszczyć brwi, jednak kaszlał jednocześnie tak ciężko, że nie można było mieć pewności. — Co mają wspólnego Wysocy Lordowie z moimi przyjaciółmi?

— Po prostu nie...

— Nie powtarzaj mi ciągle, że nie rozumiem! Zapłacę za informację!

Wbite w niego oczy Matki Guenny rozjarzyły się gniewem.

— Nie biorę pieniędzy za...! — Skrzywiła się gwałtownie. — Prosisz, żebym powiedziała ci o rzeczach, o których przykazano mi nie rozpowiadać. Czy wiesz, co się ze mną stanie, kiedy tak zrobię, a ty wydasz moje imię? Na początek stracę język. Potem pozostałe części ciała, zanim wreszcie Wysocy Lordowie zawieszą na haku to, co ze mnie pozostanie, abym wrzeszczała przez ostatnie godziny swego życia, pozostałym ku przestrodze. A to i tak nie pomoże tym młodym kobietom, ani to, że ci powiem, ani moja śmierć!

— Obiecuję, że nigdy nikomu nie wydam twego imienia. Przysięgam to.

„I dotrzymam tej obietnicy, stara kobieto, jeśli tylko powiesz mi, gdzie, do diabła, one są!”

— Proszę. One są w niebezpieczeństwie.

Wpatrywała się w niego badawczo przez dłuższy czas, zanim skończyła, miał wrażenie, że zna każdy szczegół jego życia.

— Skoro tak przysięgasz, powiem ci. Ja... lubiłam je. Ale i tak nie możesz już nic zrobić. Spóźniłeś się, Matrimie Cauthon. Spóźniłeś się o blisko trzy godziny. Zabrano je do Kamienia. Przysłał po nie sam Wysoki Lord Samon. Potrząsnęła głową, jakby szok, który przeżyła, przepełnił ją rozpaczą i grozą. — On przysłał... kobiety, które potrafiły przenosić Moc. Ja sama nie mam nic przeciwko Aes Sedai, ale to jest wbrew prawu. Prawu ustanowionemu przez samych Wysokich Lordów. Jeżeli nawet są w stanie złamać każde inne prawo, tego nie złamałyby nigdy. Dlaczego Wysoki Lord wysłał z taką misją Aes Sedai? Dlaczego w ogóle zależało mu na tych dziewczętach?

Matomalże nie wybuchnął śmiechem.

— Aes Sedai? Matko Guenno, przez ciebie poczułem serce w gardle, a może i wątrobę. Jeżeli przyszły po nie Aes Sedai, to nie ma się czym martwić. One trzy również zamierzają zostać Aes Sedai. Nie, żeby mi się to szczególnie podobało, ale jeśli tego...

Jego uśmiech zniknął, gdy spostrzegł jak zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Chłopcze, te dziewczęta walczyły jak morskie lwy schwytane w sieć. Czy one zamierzają zostać Aes Sedai, czy nie, te, które je zabrały, traktowały je niczym brudy wypompowane z zęzy. Przyjaciele nie zadają sobie takich ran.

Poczuł, jak coś wykrzywia mu twarz.

„Aes Sedai zrobiły im krzywdę? Co to znaczy, na Światłość? Przeklęty Kamień. W porównaniu z nim, dostanie się do Pałacu w Caemlyn przypomina wejście na strych szopy! Niech szeszne! Stałem tutaj w deszczu i patrzyłem na ten dom! Niech szeszne, za to, że jestem takim Światłością oślepionym głupcem!”

— Jeżeli złamiesz sobie rękę — powiedziała Matka Guenna — nastawię ją i przyłożę okład, ale jeśli zburzysz mi ścianę, wypruję ci flaki niczym czerwonej rybie!



Zamrugnął, potem spojrzął na swoją pięść, na otarte kłykcie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że uderza w ścianę.

Masywna kobieta ujęła jego dłoń w silny uchwyt, ale palce, którymi zbadała skaleczenia, były nadspodziewanie delikatne.

— Niczego sobie nie złamałeś — mruknęła po chwili. Oczy, którymi na niego patrzyła, były równie łagodne. Wygląda na to, że naprawdę ci na nich zależy. Na jednej z nich, przynajmniej, jak przypuszczam. Jest mi przykro, Macie Cauthon.

— Nie powinno — odparł zdecydowanie. — Przynajmniej teraz wiem, gdzie one są.

Wyłowił z kieszeni swe ostatnie dwie złote korony andorańskie i wcisnął w jej dłoń.

— To za lekarstwa dla Thoma i za informacje o dziewczynach. — Pchnięty nagłym impulsem pocałował ją szybko w policzek i uśmiechnął się. — A to za mnie.

Zaskoczona, dotknęła policzka, nie potrafiąc się zdecydować, czy patrzeć na monety, czy na niego.

— Wydostać je, powiadasz. Tak po prostu. Z samego Kamienia. — Nagle szturchnęła go w zębra palcem twardym jak gałąź drzewa. — Przypominasz mi mojego męża, Macie Cauthon. On był tak zapamiętałym głupcem, że potrafił wpłynąć w samą paszczę sztormu i również przy tym się śmiał. Niemalże potrafię sobie wyobrazić, jak ci się udaje.

Nagle zobaczyła jego ubłocone buty, najwyraźniej po raz pierwszy zwróciła na nie uwagę.

— Zabrało mi sześć miesięcy nauczenie go, by nie wchodził w zabłoconych butach do mego domu. Jeżeli wydostaniesz te dziewczyny, wszystko jedno, która wpadła ci w oko, będzie przeżywała ciężkie chwile, próbując cię nauczyć porządku.

— Jesteś jedyną kobietą, która potrafiłaby tego dokonać — powiedział z uśmiechem, który stał się jeszcze szerszy na widok jej rozjarzonych oczu.

„Wydostać je. To wszystko, co muszę zrobić. Wyprowadzić je z przeklętego Kamienia przeklętej Łzy. — Thom zakaszlał znowu. — W takim stanie nie może pójść ze mną do Kamienia. Tylko jak mam go powstrzymać?”

— Matko Guenna, czy mój przyjaciel może tutaj zostać? Myślę, że jest zbyt chory, by wracać do gospody.

— Co? — warknął Thom. Starał się wstać z krzesła, kaszląc tak, że ledwie mógł mówić. — Ja nie jestem... taki, chłopcze! Sądzisz... że wejść do Kamienia... będzie jak... wejść do kuchni twojej matki? Sądzisz, że... dostaniesz się... choćby do bram... beze mnie?

Zwisł na oparciu krzesła, osłabiony przez kaszel i rżenie, zdołał podnieść się tylko na ugięte nogi.

Matka Guenna położyła rękę na jego ramieniu i popchnęła go w dół równie łatwo jak dziecko. Bard rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

— Zadbam o niego, Macie Cauthon — oznajmiła.

— Nie! — krzyknął Thom. — Nie możesz... mi tego zrobić! Nie możesz... mnie zostawić... z tą starą...

Tylko jej dłoń na ramieniu uchroniła go przed zgięciem się w pół.

Mat uśmiechnął się do siwowłosej kobiety.

— Cieszę się, że cię poznałem, Thom.

Kiedy pośpiesznie wyszedł na ulicę, dotarło do niego, co przed chwilą powiedział i zastanowił się, dlaczego to zrobił.

„On przecież, do diabła, nie ma zamiaru umrzeć. Ta kobieta utrzyma go przy życiu, nawet gdyby miała wrzeszczącego i wierzgającego wyciągać za wąsy z grobu. Tak, ale kto mnie utrzyma przy życiu?”

Przed nim, Kamień Łzy wisiał niewzruszony ponad miastem, forteca po stokróć oblegana, skała, na której setki armii połamały sobie zęby. A on musiał jakoś dostać się do środka. I wyprowadzić stamtąd trzy kobiety.

Zaśmiał się w taki sposób, że nawet posępni przechodnie obejrzeni się za nim i skierował z powrotem w stronę „Sierpu Białego Księżyca”, nie dbając o błoto czy wilgotny upał. Czuł niemalże, jak kości wirują w jego głowie.

## STRUMIEN DUCHA

Wędrując pośród wieczornych cieni w kierunku „Gwiazdy”, Perrin naciągał jednocześnie kaftan na grzbiet. W ramionach i plecach czuł miłe zmęczenie; oprócz zwyczajnej pracy, pan Ajala zlecił mu wykonanie zdobnego dzieła, całego w zawitych krzywiznach i splotach, mającego zawisnąć na nowej bramie jakiegoś lorda prowincji. Zrobienie czegoś równie pięknego sprawiło mu niemałą przyjemność.

— Myślałem, że oczy wyjdą mu na wierzch, kowalu, kiedy powiedziałeś, że nie zrobiłbyś tego, jeżeli miałyby być przeznaczone dla Wysokiego Lorda.

Spojrzał z ukosa na idącą obok Zarine, cienie skrywały wyraz jej twarzy. Nawet jego oczy nie mogły przeniknąć tych cieni, były trochę tylko jaśniejsze, niżli przedstawiałyby się komuś innemu. Uwydatniały jej wystające kości policzkowe, łagodziły ostrą krzywiznę nosa. Nie potrafił po prostu zdecydować, co ma o niej myśleć. Nawet jeśli Moiraine i Lan bezustannie nalegali, żeby trzymali się blisko gospody, pragnął, aby znalazła sobie coś innego do roboty, niżli obserwowanie jak on pracuje. Z jakichś powodów wydawało mu się, że jest niezdarny, kiedy tylko czuł na sobie spojrzenie jej nakrapianych oczu. Niejeden raz uderzenia młota wychodziły mu niezgrabnie, aż pan Ajala w zdziwieniu spoglądał nań spod zmarszczonych brwi. W obecności dziewcząt często odnosił wrażenie, że jest niezgrabny, zwłaszcza kiedy uśmiechały się do niego, ale Zarine nie musiała nawet się uśmiechać. Wystarczyło, że tylko patrzyła. Ponownie próbował dociec, czy jest ona właśnie tą piękną kobietą, przed którą ostrzegęła go Min.

„Lepsze to, niż żeby miała być sokołem.”

Ta myśl zaskoczyła go do tego stopnia, że aż się potknął.

— Nie chcę, by coś, co zrobię, dostało się w ręce jednego z Przeklętych. — Jego oczy zalsniły złotem, gdy na nią spojrzał. — Gdyby było to dla Wysokiego Lorda, jak mógłbym przewidzieć, gdzie skończy?

Zadrzała.

— Nie chciałem cię przestraszyć, Fai... Zarine.

Uśmiechnęła się szeroko, bez wątpienia sądząc, że on nie może tego zobaczyć.

— Jeszcze się przewrócisz, wiejski chłopcze. Pomyślałeś kiedyś o zapuszczeniu brody?

„To niedobrze, że ona naśmiewa się ze mnie, ale jeszcze gorsze jest to, że najczęściej w ogóle nie rozumiem, o co jej chodzi!”

Kiedy dotarli do frontowych drzwi gospody, napotkali Moiraine i Lana, którzy nadeszli z przeciwnej strony. Moiraine miała na sobie ten lniany płaszcz z szerokim kapturem i głębokim wycięciem, które skrywało twarz. Światło wypadające ze wspólnej sali gospody rozlewało się żółtymi kałużami na kamieniach chodnika. Dwa lub trzy powozy przetoczyły się obok, w zasięgu wzroku dostrzec można było kilkunastu ludzi spieszących do domów na kolację, ale najczęściej ulicę zaludniały cienie. Sklep tkacza zamknięty był na głucho. Panowała zupełna cisza.

— Rand jest w Łzie. — Chłodny głos Aes Sedai dobywał się z głębin kaptura niczym z otworu jaskini.

— Jesteś pewna? — zapytał Perrin. — Nie słyszałem, by wydarzyło się coś dziwnego. Żadnych ślubów ani wysychających studzien.

Zobaczył, jak na czoło Zarine wypelza mars, znamionujący pomieszenie. Moiraine nie wprowadziła jej jeszcze we wszystko, on również nie. Pilnowanie, by Loial nie mówił zbyt dużo, było znacznie trudniejszym zadaniem.

— Nie słyszałeś plotek, kowalu? — zapytał Strażnik. — Są i śluby, w ciągu ostatnich czterech dni tyleż samo, ile przedtem przez pół roku. I tylekroć morderstw, ile przez cały rok. Dziecko wypadło dzisiaj z balkonu wieży. Sto kroków na brukowaną nawierzchnię. Wstało i pobiegło do swojej mamy bez jednego skaleczenia. Pierwsza z Mayene, „gość” w Kamieniu od jesieni, oznajmiła dzisiaj, że podda się woli Wysokich Lordów, po wczorajszym oświadczeniu, że raczej wolałaby widzieć Mayene i wszystkie jej statki obrócone w popiół, zanim choćby jeden z taireńskich lordów prowincji postawi swą nogę w jej mieście. Nie poważyli się jeszcze jej torturować, a ta młoda kobieta ma wolę twardą jak żelazo, więc powiedz mi, czy nie sądzisz, że to może być dzieło Randa. Kowalu, od początku do końca, Łza wre niczym czajnik.

— O tych rzeczach nie trzeba mi mówić — oznajmiła Moiraine. — Perrin, czy śniłeś o Rundzie zeszłej nocy?

— Tak — przyznał. — Znajdował się w Sercu Kamienia, trzymał ten miecz... — poczuł, jak stojąca obok Zarine lekko szura nogą — ale martwiłem się, że jak dotąd nie śnię o żadnych cudach. Ostatniej nocy miałem tylko kosmary.

— Wysoki mężczyzna? — zapytała Zarine. — Z rudawymi włosami i szarymi oczyma? Trzymał coś, co rozsiewało blask tak jaskrawy, że aż raził oczy? W miejscu, gdzie wszystko zabudowane jest kolumnami z czerwonego kamienia? Kowalu, powiedz mi, że nie tak wyglądał twój sen.

— Widzisz — powiedziała Moiraine. — Dzisiejszego dnia słyszałam setki razy, jak opowiadano mi ten sen. Wszyscy mówią o kosmarach... Be’lal najwyraźniej nie stara się osłaniać swoich snów... ale ten występuje najczęściej. — Zaśmiała się nieoczekiwanie, głosem, który przypominał chłodny dźwięk malutkich dzwoneczków. — Ludzie mówią, że on jest Smokiem Odrodzonym. Powiadają,

że nadchodzi. Szepczą o tym bojaźliwie i tajemniczo, ale tak właśnie uważają.

— A co z Be'lalem? — zapytał Perrin.

Replika Moiraine była niczym wychłodzona, hartowana stal.

— Zajmę się nim dzisiejszej nocy. — Nie wyczuł od niej ani śladu woni strachu.

— Zajmiemy się nim dzisiejszej nocy — poprawił ją Lan.

— Tak, mój Gaidinie. Zajmiemy się nim.

— A co my mamy robić? Siedzieć tutaj i czekać? Po tej zimie, spędzonej w górach, na całe życie mam już dosyć czekania, Moiraine.

— Ty i Loial... oraz Zarine... pojedziecie do Tar Valon — oznajmiła. — Dopóki wszystko nie dokona się. To będzie dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce.

— Gdzie jest Ogir? — zapytał Lan. — Chcę, byście wyruszyli na północ tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Przypuszczam, że na górze — odrzekł Perrin. W swoim pokoju, albo może w jadalni. W oknach na górze palą się światła. On bez przerwy pracuje nad swoimi notatkami. Myślę, że w swej książce wiele będzie miał do opowiedzenia na temat ucieczek.

Zaskoczony był goryczą pobrzmiewającą w jego głosie.

„Światłości, głupcze, czy chcesz stanąć twarzą w twarz z jednym z Przeklętych? Nie. Nie, ale zmęczony jestem ciągłym uciekaniem. Pamiętam, że raz nie uciekłem. Pamiętam, jak walczyłem i to było znacznie lepsze. Nawet wówczas, gdy sądziłem, że zginę, wtedy też było lepiej.”

— Pójdę go poszukać — zaproponowała Zarine. Nie wstydę się przyznać, że będę zadowolona, jeśli uda mi się uciec przed tą walką.

Weszła pierwsza do środka, jej wąskie, rozdzielone spódnice zaszeleściły lekko.

Idąc za nią w kierunku schodów, Perrin obrzucił szybkim spojrzeniem wspólną salę. Przy stołach zgromadziło się mniej ludzi, niżli się spodziewał. Niektórzy siedzieli samotnie, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, ale tam, gdzie dwóch lub trzech zebrało się razem, toczyła się przestraszonym szeptem rozmowa, tak cicha, że nawet jego uszy ledwie mogły pochwycić jej oderwane fragmenty. Jednakże posłyszał słowo „Smok”, wypowiedane po kilkakroć.

Kiedy dotarł na szczyt schodów, usłyszał cichy odgłos, głucho uderzenie czegoś, co upadło na podłogę ich prywatnej jadalni. Spojrzał w tamtą stronę, w głąb korytarza.

— Zarine? — Nie było odpowiedzi. Poczul, jak włosy jeżą mu się na karku, poszedł w tamtą stronę. — Zarine? — Otworzył drzwi na oścież. — Faile!

Leżała na podłodze w pobliżu stołu. Kiedy jednak chciał wbiec do pokoju, rozkazujący krzyk Moiraine zatrzymał go w miejscu.

Stój, głupcze! Stój, jeśli ci życie miłe! — Powoli przeszła przez korytarz z pochyloną głową, jakby czegoś nasłuchiwała, albo szukała. Lan szedł za nią z dłońią

wspartą na rękojeści miecza i takim spojrzeniem, jakby z góry wiedział, że stal na nic się nie przyda. Dotarła pod same drzwi i zatrzymała się. — Cofnij się, Perrin. Cofnij się!

Przezywając katusze, spojrzął na Zarine. Na Faile. Leżała tam, jakby zupełnie pozbawiona życia. Na koniec zmusił się, by odejść krok od otwartych drzwi, i stanął tam, skąd mógł ją widzieć. Wyglądała, jakby była martwa. Nie potrafił dojrzeć poruszeń klatki piersiowej. Chciało mu się wyć. Marszcząc brwi, zaczął zaciskać i rozwierać dłoń, tę samą, którą otworzył drzwi do pomieszczenia. Przeszywający ból, jakby uderzył się w łokieć.

— Nie masz zamiaru nic zrobić, Moiraine? Jeżeli ty nie chcesz, ja do niej pójde.

— Stój bez ruchu, albo nigdzie już nigdy nie pójdziesz — powiedziała spokojnie. — Co tam leży obok jej prawej dłoni? Wygląda, jakby padając coś upuściła. Nie mogę stąd dostrzec.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczyma, potem zajął do wnętrza pokoju.

— Jeż. Wygląda to jak jeż wyrzeźbiony z drewna. Moiraine, powiedz mi co się dzieje? Co się stało? Powiedz mi!

— Jeż — wymruczała. — Jeż. Bądź cicho, Perrin. Muszę pomyśleć. Wyczuwam spust. Mogę też poczuć residua strumieni splecionych dla zastawienia jej. Duch. Czysty Duch i nic więcej. Niemal nic nie używa strumieni czystego Ducha! Dlaczego ten jeż kieruje moje myśli w stronę Ducha?

— Jaki znowu spust czujesz, Moiraine? Co zostało zastawione? Pułapka?

— Tak, pułapka — odpowiedziała, irytacja najwyraźniej wzruszyła nieco jej chłodny spokój. — Pułapka zastawiona na mnie. Pierwsza weszłabym do pokoju, gdyby Zarine nie pośpieszyła naprzód. Lan i ja z pewnością przyszlibyśmy zaraz tutaj, aby omówić nasze plany i zaczekać na kolację. Teraz nie zaczekam już na kolację. Bądź cicho, jeśli w ogóle chcesz pomóc tej dziewczynie. Lan! Przyprawdź mi tego karczmarza!

Strażnik popędził po schodach w dół.

Moiraine przechadzała się po korytarzu, czasami przystając, by spojrzeć przez drzwi z głębi rozcięcia kaptura. Perrin nie potrafił dostrzec żadnych znaków, które wskazywałyby, iż Zarine żyje. Jej piersi nie unosił oddech. Spróbował wsłuchać się w bicie jej serca, ale to było niemożliwe nawet dla jego uszu.

Kiedy Lan wrócił, prowadząc przed sobą trzymanego za kołnierz opasujący tłustą szyję przerażonego Juraha Hareta, Aes Sedai natychmiast zabrała się do niego.

— Obiecałeś zachować ten pokój wyłącznie do mojej dyspozycji, panie Haret. — Jej głos był ostry i precyzyjny jak lancet. — Nie pozwalać nawet służącym wchodzić do środka pod moją nieobecność. Kogo tutaj wpuścisz, panie Haret? Powiedz mi!

Haret trząsł się niczym misa budyniu.

— Tylko dwie lady, pani. Chciały zostawić niespodziankę dla ciebie. Przysięgam, pani. Pokazały mi ją. Maleńki jeź. Powiedziały, że będziesz zaskoczona.

— Jestem zaskoczona, karczmarzu — powiedziała cicho. — Odejdź! A jeśli szepniesz słówko o tym, co się tutaj wydarzyło, choćby przez sen, rozwalę ci tę gospodę i zostanie z niej tylko dziura w ziemi.

— Tak, pani — wyszeptał. — Przysięgam! Naprawdę przysięgam!

— Idź!

Karczmarz uciekał tak szybko, że przewrócił się, padł na kolana, a potem wśród łomotu, który zdradzał, iż przewrócił się niejedną raz jeszcze na schodach, zgramolił się na dół.

— On wie, że tutaj jestem — zwróciła się Moiraine do Strażnika. — I znalazł jakąś Czarną Ajah, która zastawiła tę pułapkę, jednak zapewne sądzi, że wpadłam w nią. To był maleńki rozbłysk mocy, ale być może jest na tyle silny, by go wy czuć.

— Dlatego nie będzie podejrzewał, że przyjdziemy do niego — powiedział cicho Lan. Niemalże się uśmiechał.

Perrin patrzył na nich, obnażając zęby.

— A co z nią? — naciskał. — Co jej zrobiono, Moiraine? Czy ona żyje? Nie słyszę jej oddechu!

— Ona żyje — powiedziała powoli Moiraine. — Nie mogę, nie odważę się podejść tak blisko do niej, aby stwierdzić coś więcej, ale żyje. Ona... zapadła w dziwny sen. Tak jak niedźwiedź śpi zimą. Jej serce bije tak wolno, że między kolejnymi uderzeniami upływają minuty. Podobnie jest z oddechem. Śpi.

Nawet pomimo ocieniającego twarz kaptura, mógł poczuć spoczywające na nim jej spojrzenie.

— Ale obawiam się, że jej tutaj nie ma, Perrin. Nie ma jej we własnym ciele.

— Co masz na myśli, mówiąc, że nie ma jej we własnym ciele? Światłości! Nie chcesz powiedzieć, że... zabrał jej duszę? Jak Szarym Ludziom!

Moiraine potrząsnęła głową, a on z ulgą wypuścił długo wstrzymywany oddech. W piersiach bolało go, jakby nie oddychał od czasu, kiedy ostatni raz się odezwał.

— A więc, gdzie ona jest, Moiraine?

— Nie wiem — przyznała. — Mam podejrzania, ale nie wiem na pewno.

— Podejrzania, wskazówkę, cokolwiek! Niech szczenę, gdzie? — Lan poruszył się lekko, słysząc gwałtowne tony w jego głosie, ale Perrin wiedział, że spróbuje przeciąć twardego jak żelazo Strażnika, jeśli tamten spróbuje go powstrzymać. — Gdzie?

— Wiem tak niewiele, Perrin — głos Moiraine był niczym zimna, bezduszna muzyka. — Staralam się przypomnieć sobie skromną wiedzę na temat tego, co łączy rzeźbionego jeża z Duchem. Figurka jest *ter'angrealem*, ostami raz badanym przez Corianin Nedeal, ostatnią Śniąca jaką miała Wieża. Talent zwany

Śnieniem jest rzeczą Ducha, Perrin. Nie jest to temat, którym bym kiedykolwiek się zajmowała; moje Talenty objawiają się w odmienny sposób. Uważam, że Zarine została pochwycona w sen, być może nawet znajduje się w Świecie Snów, w *Tel'aran'rhiod*. Wszystko co jest nią, znajduje się wewnątrz snu. Wszystko. Śniący wysyła tam jedynie część siebie. Jeżeli Zarine nie powróci wkrótce, jej ciało umrze. Być może będzie dalej żyła we śnie. Nie wiem.

— Tak wielu rzeczy nie wiesz — wymamrotał Perrin. Wpatrywał się we wnętrze pomieszczenia i chciało mu się płakać. Zarine leżąc tam, wyglądała na tak małą, tak bezbronną.

„Faile. Przysięgam, że odtąd zawsze będę nazywał cię tylko imieniem Faile.”

— Dlaczego nic nie zrobisz?

— Pułapka zatrzasnęła się, Perrin, ale jest to pułapka, która pochwyti każdego, kto wejdzie do tego pokoju. Nie potrafiłabym dosięgnąć nawet jej dłoni, by nie zostać schwytaną. A mam dzisiejszej nocy zadanie do wykonania.

— Żebyś szczeła, Aes Sedai! Żeby szczezło twoje zadanie! Ten Świat Snów? Czy to jest tak, jak w wilczych snach? Powiedziałaś, że Śniący czasami widywali wilki.

— Powiedziałaś ci tyle, ile mogłam — odrzekła ostro. — Nadszedł czas, byś sobie już poszedł. Lan i ja musimy wyruszyć do Kamienia. Teraz nie można już zwlekać.

— Nie. — Oznajmił cicho, ale kiedy Moiraine otworzyła usta, podniósł głos. — Nie! Nie opuszczę jej!

Aes Sedai wzięła głęboki oddech.

— Dobrze więc, Perrin. — Jej ton był niczym czysty lód, spokojny, gładki, zimny. — Pamiętaj, że tego chciałeś, Perrin. Być może uda ci się przeżyć dzisiejszą noc. Lan!

Moiraine i Strażnik udali się do swoich pokoi. Po kilku chwilach wrócili; Lan w zmienno kolorowym płaszczu bez słowa zszedł po schodach.

Perrin stał bez ruchu, wpatrując się przez otwarte drzwi w Faile.

„Muszę coś zrobić. To jest tak, jak w wilczych snach. . .”

— Perrin — dosłyszał głęboki grzmot głosu Loiala. — Co się stało z Faile?

W głębi korytarza pojawił się Ogir, ubrany w samą koszulę, w poplamionych atramentem palcach trzymał pióro.

— Lan powiedział mi, że muszę wyjechać, a potem dodał coś o Faile w pułapce. Co on miał na myśli?

Perrin w chaotyczny sposób przedstawił mu to, czego dowiedział się od Moiraine.

„To może się udać. Może. Musi!” Był zaskoczony, kiedy Ogir zajęczał.

— Nie! Perrin, to nie jest w porządku! Faile była taka niezależna. To nie w porządku łapać ją w pułapkę!



Perrin wpatrywał się w twarz Loiala i nagle przypomniał sobie wszystkie stare opowieści, które opisywały Ogirów jako nieustępliwych w boju i bezlitosnych dla swych wrogów. Uszy Loiala płasko przylegały do czaszki, a w jego szerokiej twarzy było coś hardego.

— Loial, mam zamiar spróbować pomóc Faile. Ale w tym czasie sam będę bezbronny. Czy będziesz mnie osłaniał?

Loial uniósł swe potężne dłonie, które tak ostrożnie potrafiły ujmować książki; teraz grube palce zagięte były tak, jakby chciały kruszyć kamień.

— Nikt nie przejdzie obok mnie, dopóki będę żył, Perrin. Ani Myrddraal, ani sam Czarny. — Powiedział to takim tonem, jakby stwierdzał zwykły fakt.

Perrin pokiwał głową i ponownie spojrzął przez drzwi.

„To musi się udać, nie dbam o to, czy Min ostrzegła mnie właśnie przed nią, czy przed kimś innym!”

Krzycząc, skoczył w kierunku Faile, rozpościerając szeroko ręce. Pomyślał, że udało mu się dotknąć jej kostki, zanim odpłynął w mrok.

\* \* \*

Czy sen zawarty w pułapce był częścią *Tel'aran'rhiod*; czy nie, tego Perrin nie wiedział, rozpoznał jednak w nim wilczy sen. Otaczały go łagodne, trawiaste wzgórza porośnięte rozproszonymi zagajnikami. Zobaczył jelenia, który pasł się na skraju drzew oraz stado jakichś szybkich zwierząt skaczących wśród traw, wyglądały niczym jelenie z brązowymi paskami, miały jednak długie, proste rogi. Z zapachów, jakie przynosił wiatr, wyczytał, iż nadają się do jedzenia, a inne wonie upewniły go, że wokół trwa właśnie srogie polowanie. To był wilczy sen.

Zdał sobie sprawę, że ma na sobie długą kowalską kamizelkę ze skóry, obnażającą ramiona. Przy boku poczuł ciężar. Dotknął topora przy pasie, ale w pętli wisiało coś innego. Palce musnęły głownię ciężkiego, kowalskiego młota. Poczul się lepiej.

Skoczek stanął przed nim.

„Znowu tu przyszedłeś, głupcze.”

Dotarł do niego obraz niedźwiedziątka, wtykającego nos w wydrążony pień drzewa w poszukiwaniu miodu, mimo iż pszczoły nieustępliwie kłują jego pysk i oczy.

„Niebezpieczeństwo jest większe niż kiedykolwiek, Młody Byku. Złe istoty wędrują po snach. Bracia i siostry unikają gór kamienia, które wznoszą dwunogi i niemalże boją się śnić o sobie nawzajem. Musisz stąd odejść!”

— Nie — powiedział Perrin. — Faile jest gdzieś tutaj, złapana w pułapkę.

Muszę ją odnaleźć, Skoczek. Muszę!

Poczuł jakieś poruszenie wewnątrz, coś się zmieniło. Spojrzał w dół na swoje kudłate łapy, szerokie szczęki. Był nawet większym wilkiem niż Skoczek.

„Jesteś tutaj zbyt obcy!”

Każde przesłanie przynosiło ze sobą kolejny szok.

„Umrzesz, Młody Byku!”

„Jeżeli nie uda mi się uwolnić sokoła, nie będę już dbał o życie, bracie.”

„A więc zapolujmy, bracie.”

Z nosami ustawionymi na wiatr, dwa wilki pobiegły poprzez równinę, szukając sokoła.

## DO WNETRZA KAMIENIA

Dachy Łzy nie były miejscem, w którym rozsądny człowiek chciałby znaleźć się pośród nocy, doszedł do wniosku Mat, wpatrując się w księżycowe cienie. Trochę ponad pięćdziesiąt kroków szerokiej ulicy, a być może wąskiego placu, dzieliło Kamień od krytego dachówką dachu, na którym stał, na wysokości trzech piętér nad kamieniami bruku.

„Ale, czy kiedykolwiek byłem rozsądny? Wszyscy ludzie, których poznałem, zachowujący się rozsądnie przez cały czas, byli równocześnie tak nudni, iż od samego patrzenia na nich chciało się spać.”

Niezależnie od tego, czy była to ulica, czy plac, trzymając się jej, po zapadnięciu zmierzchu obszedł cały Kamień dookoła; jedynym miejscem, do którego nie dotarł było nabrzeże rzeki, gdzie Erinin obmywała mury fortecy, nic też nie przegrodziło mu drogi prócz miejskich murów. Teraz znajdował się w odległości dwóch dachów od jego szczytu. Jak dotąd, właśnie droga po murze miejskim wydała mu się najlepszym sposobem dostania się do środka fortecy, ale pomysł ten nie napawał go szczególnym entuzjazmem.

Podniósł swoją pałkę oraz niewielkie blaszane pudełko z drucianym uchwytem i ostrożnie podszedł do ceglanego komina, znajdującego się odrobinę bliżej muru. Zwój z fajerwerkami — a przynajmniej to co było zwojem, zanim nie przepakował go w swym pokoju — przewrócił się. Teraz kształtem przypominał raczej tobołek, upakowany tak ściśle jak tylko było można, wciąż jednak zbyt wielki, by nosić go, wędrując w ciemności po dachach. Jakiś czas temu przez fajerwerki obsunęła mu się noga na luźnej dachówce, która przeleciała przez krawędź dachu i rozprysnęła na bruku. Jakiś człowiek śpiący w pomieszczeniu pod dachem obudził się i zakrzyknął: „Złodziej!”, przez co Mat musiał uciekać. Nie poświęcając mu zbyt wiele uwagi, postawił tobołek z powrotem na miejscu i przycaił się w cieniu komina. Po chwili postawił obok niego blaszane pudełko, drucziana rączka zaczynała się nieprzyjemnie nagrzewać.

Poczuł się nieco bezpieczniej, kiedy tak obserwował Kamień; sam schowany w cieniu, ale nie przybyło mu od tego odwagi. Mury miasta nie były nawet w przybliżeniu tak grube jak te, które widział gdzie indziej, w Caemlyn lub Tar Valon, u szczytu nie szersze niż na krok, wzmocnione wielką kamienną szkarpą,

obecnie tonącą w cieniu. Ścieżka mająca niecały krok szerokości stanowiła wystarczającą przestrzeń dla swobodnego marszu, z tym że, oczywiście, nie w takiej sytuacji, gdy po obu stronach ziała przepaść głęboka na dziesięć piędzi. Niemalże dziesięć piędzi lotu w ciemnościach i upadek na twardy bruk.

„Ale niektóre z tych przeklętych domów przylegają dokładnie do tego muru, dość łatwo mogę dostać się na jego szczyt, a on biegnie wprost do przeklętego Kamienia!”

Faktycznie tak było, ale nie napawało to szczególną otuchą. Ściany Kamienia przypominały strome urwiska. Znów zmierzył wzrokiem ich wysokość i zdecydował, że będzie w stanie wspiąć się po nich.

„Na pewno dam sobie radę. Dokładnie jak na tamtych zboczach w Górach Mgły.”

Ponad sto kroków stromo, pod górę, zanim dotrze do blanków. Niżej z pewnością muszą znajdować się szczeliny dla łuczników, ale w nocy nie potrafił ich wypatrzeć. Rzecz jasna, i tak nie zdołałby się prześlizgnąć przez wąską szczelinę.

„Sto przeklętych kroków. Być może sto dwadzieścia. Niech szczenę, nawet Rand nie próbowałby się po tym wspiąć.”

Ale innej drogi nie znalazł. Wszystkie bramy, którym się przyglądał, były zamknięte na głucho i wyglądały tak solidnie, że zatrzymałyby stado byków, nie mówiąc już o kilkunastu żołnierzach, stacjonujących w pobliżu każdej z nich, w hełmach, z napierśnikami i mieczami u pasa.

Nagle zamrugął i wbił wzrok w ścianę Kamienia. Jakiś głupiec rzeczywiście się po niej wspiął, widoczny jedynie jako ruchomy cień w księżycowej poświacie, był już w połowie drogi, na wysokości siedemdziesięciu kroków ponad powierzchnią ulicy.

„Jakiś głupiec? Cóż, ja jestem zapewne równie wielkim głupcem, ponieważ także mam zamiar tam wejść. Niech szczenę, przecież on może spowodować alarm w środku i wtedy mnie złapią. — Nie mógł już dłużej wpatrywać się we wspinacza. — Kto to, na Światłość, jest? A jakie ma znaczenie, kto to jest? Niech szczenę, to jest wyjątkowo parszywy sposób wygrywania zakładów. Będą musiały wszystkie pocałować mnie za to choć raz, nawet Nynaev!”

Przesunął się, by móc obserwować mur, jednocześnie starając się wybrać odpowiednie miejsce do wspinaczki, i nagle poczuł na gardle stal. Nie zastanawiając się nawet przez moment, odepchnął ostrze i pałąk uderzył w nogi napastnika. W tym samym momencie ktoś kopnięciem zwałił go z nóg. Padł na powierzchnię dachu, wypuszczając z rąk tobołek z fajerwerkami.

„Jeżeli spadną na ulicę, połamię im karki.”

Pałka zawirowała, poczuł jak jej koniec uderza w ciało, uderzył drugi raz i po chwili usłyszał stęknęcie. Potem do jego gardła przytknięto dwa ostrza.

Zamarł z rozpostartymi ramionami. Czubki ostrzy krótkich włóczni, tak matowych, że ledwie odbijały światło księżycy, wpijały się mocno w jego gardło,

niewiele brakowało, by przecięły skórę. Jego spojrzenie pobiegło wzdłuż drzewcy ku twarzom tych, którzy je trzymali, ale głowy napastników były zasłonięte, spoza czarnych zasłon skrywających oblicza, widział jedynie wpatrzone w niego błyszczące oczy.

„Niech szczenę. Musiałem wpaść na prawdziwych złodziei! Co się stało z moim szczęściem?”

Zmusił się do szerokiego uśmiechu, tak, żeby w słabym świetle mogli zobaczyć zęby.

— Nie miałem zamiaru przeszkadzać wam w waszej pracy, tak więc jeśli pozwolicie mi iść w moją stronę, ja pozwolę wam dokończyć, co zaczęliście i zapomnę o wszystkim. — Zasłonięci ludzie nie poruszyli się nawet odrobinę, podobnie zresztą jak ich włócznie. — Nie bardziej niż wam zależy mi na podnoszeniu alarmu. Nikogo nie zdradzę.

„Niech szczenę, nie mam na to czasu. Czas rzucić kości.”

Przez pełen trwogi moment pomyślał, że głosy które słyszy, mówią coś w obcym języku. Zaciśnął mocniej uchwyt na pałce, leżącej przy jego boku — i niemalże krzyknął, kiedy ktoś mocno nadepnął mu na nadgarstek.

Spojrzał w bok.

„Niech szczeną, jaki ze mnie głupiec. Zapomniałem o tym, którego udało mi się przewrócić.”

Ale z tyłu, za człowiekiem stojącym na jego nadgarstku, zobaczył przemykającą kolejną postać i w końcu zdecydował, że lepiej będzie nie próbować niczego.

But, który spoczywał na jego ręce, był miękki, opinał nogę aż do kolana. To mu coś przypominało. Coś o ludziach spotkanych w górach. Dokładnie przyjrzał się ginącej w mroku nocy postaci, starając się domyślić jaki jest krój i barwa jej szat — wydawała się w całości spowita w cienie, kolory zlewające się z ciemnością nazbyt dobrze, by można je było wyszczególnić — przy pasie tego człowieka tkwił długi nóż, czarna zasłona zakrywała twarz. Zamaskowana twarz, zamaskowana na czarno.

„Aielowie! Niech szczenę, co tutaj robią przekłęci Aielowie?”

Poczuł mdlące ściskanie w żołądku, kiedy przypomniał sobie, że Aielowie nakładają na twarz czarne zasłony, kiedy mają zamiar zabijać.

— Tak — powiedział męski głos. — Jesteśmy Aielami.

Mat wzdrygnął się, dotąd nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos.

— Tańczyłeś dobrze, jak na kogoś napadniętego znienacka — powiedział młody, kobiecy głos. Osądził, że to właśnie jego właścicielka stoi mu na nadgarstku. — Być może któregoś dnia będę miała okazję zatańczyć z tobą właściwie.

Już zaczął się uśmiechać. . .

„Jeżeli chce ze mną tańczyć, to chyba mnie nie zabiją!”

. . . potem jednak ponownie zmarszczył brwi. Przypomniało mu się niejasno, że Aielowie czasami nie mówią wprost, co mają na myśli.

Włócznie cofnęły się od jego gardła, jakieś dłonie podniosły go z powierzchni dachu. Odrącił je i sam poderwał się na nogi, lekko, jakby nie stał na spowitych mrokiem dachówkach, lecz pośrodku wspólnej sali w gospodzie. Zawsze opłacało się okazywać innym ludziom, że ma się silne nerwy. Aielowie mieli przy pasach kołczany i noże oraz więcej jeszcze tych krótkich włócznie przytroczonych na plecach obok pokrowców na łuki, długie ostrza sterczały im ponad ramionami. Usłyszał jak sam mruczy:

— Jestem Świt na Dnie Studni — ale ugryzł się w język.

— Co tutaj robisz? — zapytał męski głos.

Z powodu zasłoniętych twarzy Mat nie był do końca pewien, który z nich się odezwał; głos był starszy, pewien siebie, nawykły do rozkazywania. Osądził, że w ostateczności udałoby mu się, być może, pokonać jedynie kobietę; tylko ona była niższa od niego i to niewiele. Pozostali przerastali go co najmniej o głowę.

„Przekłęci Aielowie” — pomyślał.

— Obserwowaliśmy cię od pewnego czasu — ciągnął dalej starszy mężczyzna. — Widzieliśmy, jak patrzyłeś na Kamień. Przyglądałeś mu się ze wszystkich stron. Dlaczego?

— O to samo mógłbym was zapytać — odezwał się kolejny głos. Mat był jedynym, który się zdrygnął, kiedy spośród cieni wynurzył się mężczyzna w workowatych spodniach. Był bez butów, najwyraźniej po to, by jego stopy lepiej trzymały się dachówek. — Spodziewałem się znaleźć złodziei, nie Aielów.

Cienka pałka, nie wyższa od niego, zahaczała i zagwizdała przecinając powietrze.

— Nazywam się Juilin Sandar, jestem łowcą złodziei i chciałbym wiedzieć, dlaczego włóczycie się po dachach, obserwując Kamień?

Mat potrząsnął głową.

„Ilu jeszcze przeklętych ludzi można spotkać dzisiejszej nocy na tych dachach?”

Nie zdziwiłby się chyba nawet, gdyby Thom pojawił się, by grać na hale, albo ktoś nagle zaczął rozpytywać się o najbliższą gospodę.

„Przeklęty łowca złodziei!”

Zastanawiał się, dlaczego Aielowie nic nie czynią.

— Skradałeś się dobrze, jak na człowieka z miasta powiedział głos starszego mężczyzny. — Ale dlaczego idziesz za nami? Niczego nie ukradliśmy. Dlaczego ty sam dzisiejszej nocy tak często przyglądałeś się Kamieniowi?

Nawet w słabym świetle księżycy można było dostrzec zaskoczenie malujące się na twarzy Sandara. Wzdrygnął się, otworzył usta. . . i zaraz je zamknął, kiedy z ciemności poza nim wynurzyła się następna czwórka Aielów. Z westchnieniem wsparł się na swojej cienkiej pałce.

— Wygląda na to, że sam zostałem złapany — wymamrotał — i że to ja muszę odpowiadać na wasze pytania.

Spojrzał w kierunku Kamienia, potem potrząsnął głową.

— Ja... zrobiłem dzisiaj coś... co mnie dręczy. — Brzmiało to tak, jakby mówił do siebie, starając się rozwikłać jakiś problem. — Część mego sumienia mówi, że postąpiłem słusznie, że musiałem być posłuszny. Bez wątpienia, wszystko wydawało się słuszne, kiedy to robiłem. Ale jakiś cichy głos w środku mówi mi, że... coś zdradziłem, Pewien jestem, że ten głos nie ma racji, jest bardzo cichy, ale nie chce zamilknąć.

Przerwał i stał tak, kręcąc głową.

Jeden z Aielów pokiwał głową i przemówił głosem starszego mężczyzny.

— Jestem Rhuarc z Dziewięciu Dolin, z klanu Taardad Aiel, kiedyś byłem *Aethan Dor*, Czerwona Tarcza. Czasami Czerwone Tarcze muszą wykonywać zadania podobne jak wasi łowcy złodziei. Mówię to po to, byś wiedział, że rozumiem, czym się zajmujesz i jakim człowiekiem musisz być. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, Juilinie Sandar z łowców złodziei, ani też ludzi z twojego miasta, ale nie pozwolimy ci podnieść bitewnego okrzyku. Jeżeli zachowasz milczenie, będziesz żył, jeśli nie, umrzesz.

— Nie macie zamiaru skrzywdzić mieszkańców miasta? — powoli zapytał Sandar. — Dlaczego więc tu jesteście?

— Kamień. — W tonie Rhuarc'a było coś takiego, co oznaczało, że nic więcej nie ma zamiaru powiedzieć.

Po chwili Sandar pokiwał głową i wymruczał:

— Prawie żałuję, że nie macie dość siły, aby wystąpić przeciwko Kamieniowi, Rhuarc. Nie zrobię nic.

Rhuarc zwrócił swą zasłoniętą twarz w stronę Mata.

— A ty, bezimienny młodzieńcze? Czy powiesz mi, dlaczego tak uważnie obserwowałeś Kamień?

— Po prostu chciałem sobie zrobić spacer przy świetle księżyca — beztróskim głosem oznajmił Mat.

Młoda kobieta ponownie przyłożyła ostrze włóczni do jego gardła; przez chwilę nie mógł przełknąć śliny.

„Cóż, może mogę im co nieco zdradzić.”

Przede wszystkim nie wolno mu było okazać, że jest przestraszony; kiedy pozwolisz, by inni wiedzieli, iż się boisz, tracisz wszelką przewagę, jaką miałeś przedtem. Bardzo ostrożnie odsunął ostrze włóczni od swego gardła. Zdało mu się, że postyszał jej cichutki śmiech.

— Paru moich przyjaciół jest wewnątrz Kamienia powiedział, starając się mówić ostrożnie. — Są więźniami. Mam zamiar ich wydostać.

— Sam, bezimienny? — zapytał Rhuarc.

— Cóż, chyba nikt mi nie towarzyszy — odrzekł sucho Mat. — A może wy zechcecie pomóc? Was również najwyraźniej interesuje Kamień. Jeżeli zamierzacie dostać się do środka, możemy iść razem. Niezależnie od tego, z której strony

mu się przyglądam, jego układ nie wygląda najszczęśliwiej, ale moje szczęście mnie nie opuszcza.

„Przynajmniej jak dotąd. Wpadłem na zamaskowanych Aielów i nie podcięli mi gardła; od szczęścia nie można oczekiwać niczego więcej. Niech szczezę, jeżeli nie byłoby dobrze mieć kilku Aielów ze sobą.”

— Niewiele można zrobić gorszych rzeczy, niż postawić przeciwko memu szczęściu.

— Nie przyszlśmy tutaj dla żadnych więźniów, graczu — odparł Rhuarc.

— Już czas, Rhuarc.

Mat nie potrafiłby powiedzieć, który z Aielów się odezwał, ale Rhuarc kiwnął głową.

— Tak, Gaul. — Popatrywał to na Mata, to na Sandara. — Nie wznóście bojowego krzyku.

Odwrócił się i... rozpląnął pośród nocy.

Mat zadrżał. Pozostali Aielowie również zniknęli, zostawiając go sam na sam z łowcą złodziei.

„O ile nie zostawili kogoś, by nas obserwował. Niech szczezę, w jaki sposób mógłbym się przekonać, gdyby nawet tak zrobili?”

— Mam nadzieję, że ty również nie spróbujesz mnie powstrzymać? — zwrócił się do Sandara, zarzucając tobołek z fajerwerkami na plecy i podnosząc z ziemi pałkę. Mam zamiar wejść do środka, obok ciebie lub poprzez ciebie, w taki sposób lub inny.

Podszedł do komina, by podnieść blaszane pudełko, drucziany uchwyt był już bardzo gorący.

— Ci twoi przyjaciele — zapytał Sandar. — Czy to były trzy kobiety?

Mat spojrział na niego, marszcząc brwi, żałował, że nie ma dosyć światła, by wyraźniej dostrzec wyraz twarzy tamtego. W głosie łowcy złodziei pobrzmiwały dziwne tony.

— Co o nich wiesz?

— Wiem, że zostały zabrane do Kamienia. Wiem też o małej bramie w pobliżu rzeki, którą eskortujący więźnia łowca złodziei może dostać się do środka, aby zaprowadzić go do lochów. Do lochów, gdzie one muszą się znajdować. Jeżeli zaufasz mi, graczu, mogę nas doprowadzić aż do tego miejsca. Co stanie się później, zależeć będzie od losu. Być może, dzięki twemu szczęściu, uda nam się ujść z życiem.

— Zawsze miałem szczęście — powiedział powoli Mat.

„Czy mogę polegać na swoim szczęściu wystarczająco, by mu zaufać?”

Niezbyt podobał mu się pomysł udawania więźnia; to było zbyt proste, żeby mogło być skuteczne. Ale z kolei, na pewno nie ryzykował bardziej, niżli wspinając się na wysokość co najmniej trzystu stóp w całkowitych ciemnościach.



Spojrzał w kierunku murów miasta i zamarł. Po murze przesuwały się cienie; pełzły ciemne kształty. Pewien był, że to Aielowie. Musiała ich być ponad setka. Zniknęli, ale po chwili mógł dostrzec cienie, poruszające się po powierzchni urwiska, które stanowiło już ścianę Kamienia Łzy. Było ich zbyt wielu, by ktoś nie podniósł alarmu — okrzyku bojowego, wedle określenia Rhuarca. Ten pierwszy, którego widział wcześniej, mógł się przedostać niepostrzeżenie, ale ponad setka Aielów będzie niczym bicie dzwonów. Choć przecież mogli wysłać naprzód dywersantów. Jeżeli wywołaliby zamieszanie, gdzieś tam w górze, w środku Kamienia, wówczas strażnicy w lochach mogliby nie zwrócić dostatecznej uwagi na łowcę złodziei, prowadzącego więźnia.

„Ja również mógłbym wywołać nieco zamieszania. Wystarczająco się nad tym napracowałem.”

— Dobrze więc, łowco złodziei. Tylko nie zdecyduj w ostatniej chwili, że jestem prawdziwym więźniem. Możemy ruszać do twojej bramy, kiedy tylko wsadzę kij w mrowisko.

Wydało mu się, że Sandar zmarszczył brwi, ale nie uznał za konieczne, by mówić mu coś więcej.

Sandar poszedł za Matem po dachach, wyższe ich partie pokonywał z równą łatwością jak on. Ostatni dach był niewiele tylko niższy niż szczyt muru i prowadził prosto do niego, wystarczyło się nań tylko podciągnąć, nie trzeba się było nawet wspinać.

— Co robisz? — wyszeptał Sandar.

— Zaczekaj tu na mnie.

Z blaszanym pudełkiem, które zawiesił sobie na nadgarstku oraz pałką, trzymaną poziomo w obu dłoniach, Mat, wzięwszy najpierw głęboki oddech, ruszył w kierunku Kamienia. Starął się nie myśleć o odległości dzielącej go od bruku w dole.

„Światłości, przeklęty mur ma trzy stopy szerokości! Mógłbym przejść po nim z zawiązanymi oczyma, nawet we śnie!”

Trzy stopy szerokości, w ciemnościach, i dalej niżli pięćdziesiąt stóp do bruku. Starął się nie myśleć o tym, że po powrocie może już nie zastać Sandara. Nie był pewien, czy to dobry pomysł udawać złodzieja schwytanego przez tamtego, ale wydawało mu się bardzo prawdopodobne, że kiedy wróci na dach, okaże się, iż Sandar sobie poszedł, być może po to, żeby sprowadzić pomoc i tym razem naprawdę uczynić z niego więźnia.

„Nie myśl o tym. Zajmij się tym, co masz teraz do zrobienia. Przynajmniej wreszcie zobaczę, jak to jest.”

Zgodnie z tym co podejrzewał, w murze Kamienia, dokładnie w tym miejscu, gdzie dochodził do niego mur miejski, znajdowała się strzelnica, głębokie wcięcie w kształcie klina, a w nim ział wysoki, wąski otwór, przez który łucznik mógł razić wrogów. Gdyby Kamień został zaatakowany, żołnierze znajdujący się we-

wnętrz musieli jakoś zniechęcić tych, którzy chcieliby wybrać drogę, którą w tej chwili podążał Mat. Teraz szczelina była ciemna. Wyglądało na to, że nikt przy niej nie czuwa. To również była kolejna rzecz, o której starał się nie myśleć.

Szybkim ruchem ustawił blaszane pudełko u swoich stóp, oparł pałkę wprost o mur Kamienia i ściągnął z pleców tobołek. Pośpiesznie wepchnął go w szczelinę, starając się, by upadł możliwie najdalej; chciał, by hałas w środku był jak najgłośniejszy. Odsunął róg naoliwionego materiału i odsłonił poskręcane knoty. Po krótkim namyśle, jeszcze w pokoju, w gospodzie, przyciął dłuższe lonty, aby długością dorównywały krótszym a odciętych kawałków użył do związania ich ściśle razem. Spodziewał się więc, że wszystkie dopalą się w tej samej chwili, a huk i błysk będą wystarczająco potężne, by zerwać na nogi każdego, kto nie jest kompletnie głuchy.

Pokrywka blaszanego pudełka była już tak gorąca, że dwa razy musiał dmuchać na palce, zanim wreszcie udało mu się ją otworzyć — żałował, że nie zna sztuczki Aludry, która wówczas z łatwością zapaliła latarnię — odsłaniając ciemny węgielek, spoczywający na podłożu z piasku. Z drucianego uchwytu zrobił szczypce, podmuchał trochę i węgielek rozjarzył się wiśniowym żarem. Przyłożył go do związanych lontów, a kiedy zapłonęły z sykiem, puścił uchwyt szczypiec i pozwolił węgielkowi spaść w dół, potem błyskawicznie porwał swoją pałkę i popędził po murze.

„To szaleństwo — myślał, biegnąc. — Nie wiem nawet, jak wielki będzie wybuch. Mogę sobie przy tym złamać swój głupi kark...!

Grzmot za jego plecami był głośniejszy od wszystkiego, co zdarzyło mu się słyszeć w życiu; gigantyczna pięść uderzyła go w plecy, zapierając dech, jeszcze zanim padł na powierzchnię muru, rozciągnięty na brzuchu, kurczowo przywarł do niej, nie dbając zupełnie o pałkę, która omal nie przetoczyła się przez krawędź. Przez chwilę leżał nieruchomo, starając się zmusić swe płuca do podjęcia normalnej pracy, i próbując nie myśleć o tym, że tym razem naprawdę musiał wyczerpać całą pulę swego szczęścia, nie spadając z tego muru. W uszach dzwoniły mu wszystkie dzwony Tar Valon.

Podniósł się ostrożnie, spojrzął w kierunku Kamienia. Chmura dymu wydobywała się ze strzelnicy. Na jej tle ocieniony otwór szczeliny łuczniczej zdawał się jakiś odmieniony. Większy. Nie rozumiał, w jaki sposób to się stało, ani dlaczego, ale wydawał się większy.

Zastanawiał się tylko chwilę. Sandar mógł czekać przy przeciwległym krańcu muru, może wciąż miał zamiar wprowadzić go do wnętrza Kamienia jako rzekomego więźnia, ale mógł też wracać właśnie z żołnierzami. Przy tym krańcu muru mogła się właśnie otworzyć droga do wnętrza, bez dodatkowego ryzyka, że Sandar go zdradzi. Pomknął z powrotem, nie dbając już o ciemność i możliwość upadku.

Szczelina naprawdę była szersza, większa część cieńszego kamienia pośrodku

zniknęła, pozostawiając poszarpany otwór, wyglądający tak, jakby ktoś cierpliwie wykuwał go już od wielu godzin. Otwór był wystarczająco wielki, by zmieścić się w nim człowiek.

„Jak, na Światłość?”

Nie było czasu do namysłu.

Skoczył w poszarpaną dziurę, zakaszał, gdy gryzący dym dostał się do gardła, spadł na posadzkę wewnątrz i przebiegł kilkanaście kroków, zanim pojawili się krzyczący bezładnie Obrońcy Kamienia, w liczbie co najmniej dziesięciu. Większość miała na sobie tylko koszule, żaden nie posiadał hełmu czy napierśnika. Niektórzy nieśli latarnie. Paru obnażone miecze.

„Głupiec! — coś krzyczało w jego głowie. — To właśnie dlatego należało trzymać się pierwotnego planu! Światłością oślepiiony głupiec!”

Nie miał już czasu, by wrócić na szczyt muru. Pałka zawirowała, rzucił się na żołnierzy, zanim zdążyli zauważyć jego obecność, zaatakował, uderzając po głowach, ostrzach mieczy, kolanach, wszędzie, gdzie mógł tylko sięgnąć, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że jest ich zbyt wielu, by sam potrafił im dać radę, wiedząc, że ten głupi rzut kośćmi będzie kosztował Egwene, Elayne i Nynaeve utratę tej niewielkiej szansy, jaką jeszcze miały.

Nagle okazało się, że Sandar stoi tuż obok niego, w świetle latarni, upuszczonych na ziemię przez dobywających mieczy żołnierzy, jego cienka pałka zawirowała jeszcze szybciej niż oręż Mata. Mając przeciwko sobie dwóch pałkarzy, wzięci z zaskoczenia żołnierze padali jak kręgle.

Sandar popatrzył na leżących, potrząsnął głową.

— Obrońcy Kamienia. Zaatakowałem Obrońców! Za to pozbawią mnie głowy...! Co ty tam zrobisz, graczu? Ten błysk światła i grzmot kruszący kamień. Czy wezwałeś błyskawicę? — Jego głos przeszedł w szept. — Czy przyłączyłem się do mężczyzny, który potrafi przenosić?

— Fajerwerki — odrzekł lakonicznie Mat. W uszach wciąż mu dzwoniło, ale mógł jednak dosłyszeć łomot kroków kolejnych ludzi, łomot butów grzmiący na kamieniach. — Lochy, człowieku! Pokaż mi drogę do lochów, zanim pojawią się tutaj następni!

Sandar otrząsnął się z szoku.

— Tędy! — Skoczył w boczny korytarz, udając się w stronę przeciwną do tej, z której dobiegał stukot kroków nadbiegających ludzi. — Musimy się pośpieszyć! Jeśli nas znajdą, zabiją!

Gdzieś wyżej gong zaczął wybijać alarm, rozsyłając grzmiące echa po korytarzach Kamienia.

„Nadchodzę — myślał Mat, biegnąc za łowcą złodziei. — Wydostanę was lub zginę! Obiecuję!”

\* \* \*

Echo gongów alarmowych łomotało po korytarzach Kamienia, ale Rand nie zwracał na nie większej uwagi, tak jak i na grzmot, który słyszał przedtem — stłumiony łomot, zdający się dobiegać skądś z dołu. Bolał go bok, rwała stara, nadwerężona rana, która omal nie pękła podczas wspinaczki po ścianie fortecy. Nie przejmował się jednak i bólem. Na jego twarzy zastygł krzywy uśmiech, uśmiech oczekiwania i obawy, którego nie potrafiłby z niej usunąć, nawet gdyby chciał. Teraz był już blisko. Blisko tego, o czym śnił. Blisko *Callandora*.

„Wreszcie z tym skończę. W ten sposób lub inny, dzieło zostanie dokonane. Koniec ze snami. Nęcenie, kuszenie i pościg: koniec z tym wszystkim!”

Śmiejąc się do siebie, przemierzał szybkim krokiem korytarze Kamienia Łzy.

\* \* \*

Egwene przyłożyła dłoń do twarzy i skrzywiła się. W ustach zastygł gorzki smak, była straszliwie spragniona.

„Rand? Co takiego? Dlaczego znowu śniłam o Macie i wszystko mieszało mi się z Randem, a Mat krzyczał, że nadchodzi? Co to znaczy?”

Otworzyła oczy, wbiła wzrok w szare, kamienne ściany, oświetlone samotną, kopnącą pochodnią z sitowia, rzucającą migoczące cienie; i krzyknęła, gdy przypomniała sobie wszystko.

— Nie! Nie dam się ponownie zakuć w łańcuchy! Nie pozwolę nałożyć sobie smyczy!

Nynaeve i Elayne w mgnieniu oka były przy niej, ich pokaleczone twarze były zbyt zmartwione i przerażone, by mogły ją uspokoić łagodnym tonem, jakim doń przemawiały. Ale sam fakt, że były przy niej, wystarczył, by zdołała powstrzymać krzyk. Nie była sama. Była więźniem, ale nie była sama. I nie miała na szyi smyczy.

Spróbowała usiąść, podtrzymały ją. Musiały jej pomóc, bolały ją wszystkie mięśnie. Przypominała sobie każdy niewidzialny cios otrzymany podczas szaleńczej walki, którą podjęła, kiedy zrozumiała. . .

„Nie będę o tym myśleć. Powinam zastanowić się, jak mamy stąd uciec.”

Osunęła się w dół, aż jej plecy dotknęły ściany. Ból walczył w niej ze zmęčeniem, walka, podczas której bezustannie odmawiała kapitulacji i, wyczerpała resztki jej siły, udręka ran jeszcze bardziej osłabiała ciało.

W oświetlonej pochodnią celi znajdowała się tylko ich trójka. Podłoga była

zupełnie naga, zimna i twarda. Z drzwi z surowych desek sterczały drzazgi, jakby niezliczone palce drapały je w próżnym wysiłku wydostania się przez jedyne możliwe wyjście. Na kamieniu wypisano inskrypcje, większość drżącym pismem. „Światłości, miej litość i pozwól mi umrzeć” — głosiła jedna z nich. Nie pozwoliła sobie na wyciągnięcie wniosków, jakie nieodparcie się nasuwały.

— Wciąż jesteśmy oddzielone od Mocy? — wymamrotała.

Nawet mówienie powodowało ból. A kiedy Elayne pokiwała głową, zrozumiała, że nie musiała nawet pytać. Spuchnięty policzek, rozcięta warga i podbite oko złotowłosej stanowiły wystarczającą odpowiedź, nawet jeśli jej własny ból nie był dostatecznym, dowodem. Gdyby Nynaeve zdołała osiągnąć Prawdziwego Źródła, z pewnością by je Uzdrawiała.

— Próbowałam — powiedziała z rozpaczą Nynaeve. — Próbowałam, wciąż próbowałam.

Szarpnęła ostro za swój warkocz, w jej głosie oprócz rozpacz i strachu można było dosłyszeć również gniew.

— Jedna z nich czeka na zewnątrz. Amico, dziecko o mlecznej buzi, jeżeli nie zmieniły się po tym, jak nas tutaj zamknięto. Przypuszczam, że jedna wystarczy, aby podtrzymać tarczę, kiedy już została upleciona. — Zaśmiała się gorzko. — Mimo całego bólu, którego doznały... i który my od nich wycierpiałysmy!... aby nas schwycić, można by pomyśleć, że jesteśmy zupełnie pozbawione znaczenia. Minęły godziny, odkąd zatrzęsły za nami te drzwi, a nikt nie przyszedł nas przesłuchiwać, popatrzeć na nas, czy choćby przynieść odrobinę wody. Być może mają zamiar trzymać nas tutaj, póki nie umrzemy z pragnienia.

— Przynęta — powiedziała Elayne i głos jej zadrżał, choć ze wszystkich sił starała się nadać mu spokojne brzmienie. — Liandrin powiedziała, że jesteśmy przynętą.

— Przynętą na co? — Zapytała trzęsącym się głosem Nynaeve. — Przynętą na kogo? Jeżeli jestem przynętą, mam zamiar tak głęboko utkwic w ich gardłach, żeby musiały mnie wypluć!

— Rand! — Egwene przerwała na moment, by przełknąć ślinę, nawet kroplę wody powitałaby z wdzięcznością. — Śniłam o Randzie, i o *Callandorze*. Myślę, że on jest coraz bliżej.

„Ale dlaczego śniłam również o Macie? Oraz o Perrinie? Miał postać wilka, ale bez wątplenia to był on.”

— Nie bój się tak — powiedziała, starając się mówić pewnym tonem. — Jakoś im uciekniemy. Jeżeli potrafiliśmy być lepsze od Seanchan, na pewno wygramy z Liandrin.

Nynaeve i Elayne wymienili spojrzenia ponad jej głową. Nynaeve powiedziała:

— Liandrin powiedziała, że posłano po trzynastu Myrddraali, Egwene.

Zorientowała się, że ponownie czyta tamtą wiadomość, wypisaną na ścianie:

„Światłości, miej litość i pozwól mi umrzeć”. Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Zazgrzytała zębami, starając się ze wszystkich sił powstrzymać krzyk.

„Lepiej umrzeć. Lepsza śmierć, niż nawrócenie na Ciebie, przemienienie w służbę Czarnego!”

Zdała sobie sprawę, że zaciska dłoń na wiszącej u pasa sakwie. Wewnątrz mogła wyczuć dwa pierścienie, mały krążek z Wielkim Wężem oraz większy, poskręcany kamienny pierścień.

— Nie zabrały *ter'angreala* — powiedziała z namysłem.

Wygrzebała go z torby. Spoczął ciężarem na jej dłoni, mogła dostrzec jego paski i kolorowe plamki, pierścień o niezwyklej powierzchni.

— Nie jesteśmy na tyle nawet ważne, by zrobić nam rewizję — Elayne westchnęła. — Egwene, czy jesteś pewna, że Rand przybędzie? Wolałabym raczej sama się uwolnić, niż czekać na jego pomoc, ale jeśli ktoś może pokonać Liandrin i resztę, to tylko on. *Callandor* przeznaczony jest dla Smoka Odrodzonego. On musi mieć siłę, by je pokonać.

— Jeżeli nie wciągniemy go za sobą do klatki — wymamrotała Nynaeve. — Nie wówczas, gdy zastawiono pułapkę, której nie będzie w stanie dostrzec. Dlaczego tak wpatrujesz się w ten pierścień, Egwene? *Ter'aran'rhiod* w niczym nam teraz nie pomoże. Przynajmniej dopóki nie będziesz mogła wyśnić drogi ucieczki.

— Być może właśnie to mi się uda — powiedziała powoli. — Potrafię przenosić w *Ter'aran'rhiod*. Ich osłona nie powstrzyma mnie przed dotarciem do Źródła. Powinam tylko zasnąć, a nie przenosić. A z pewnością jestem wystarczająco zmęczona, by spać.

Elayne zmarszczyła brwi, skrzywiła się gdy naciągnęły się skaleczenia na twarzy.

— Skorzystam z każdej szansy, ale w jaki sposób możesz przenosić, nawet we śnie, kiedy jesteś odcięta od Prawdziwego Źródła? A jeżeli nawet możesz, to w czym miałyby nam to pomóc?

— Nie wiem, Elayne. To, że jestem odcięta tutaj, nie znaczy, że podobnie będzie w Świecie Snów. Warto przynajmniej spróbować.

— Może — powiedziała z niepokojem Nynaeve. Ja też chętnie skorzystam z każdej szansy, ale widziałas Liandrin i pozostałe ostatnim razem, gdy używałaś pierścienia. I powiedziałaś, że one cię również widziały. Co się stanie, jeżeli spotkasz je tam znowu?

— Mam nadzieję, że je spotkam — powiedziała ponuro Egwene. — Mam nadzieję.

Ściskając w jednej dłoni *ter'angreal*, zamknęła oczy. Czowała jak Elayne uspokajająco gładzi ją po włosach, słyszała jej ciche mruczenie. Nynaeve zaczęła nucić tę kołysankę bez słów, którą pamiętała z dzieciństwa; po raz pierwszy, wcale nie

czuła do niej złości. Ciche dźwięki i miękki dotyk ukoili ją, pozwoliły poddać się zmęczeniu, aż wreszcie nadszedł sen.

Tym razem miała na sobie błękitny jedwab, ale ledwie mogła spostrzec coś więcej. Delikatna bryza pieściła jej gładką twarz i rozpraszała motyle fruujące nad polnym kwieciami. Pragnienie zniknęło, ból również. Sięgnęła, by ująć *saidara* i wypełniła ją Jedyna Moc. Nawet uczucie triumfu jaki poczuła, kiedy zrozumiała, że udało jej się, niewiele znaczyło przy rozkoszy jaką dawał przepływ Mocy.

Niechętnie zmusiła się, by go uwolnić, zamknęła oczy i wypełniła pustkę doskonałym obrazem Serca Kamienia. To było jedyne miejsce wewnątrz twierdzy, oprócz jej celi oczywiście, które potrafiła sobie wyobrazić, a jak odróżnić jedno pozbawione cech szczególnych, szczęsne pomieszczenie od drugiego? Kiedy otworzyła oczy, była już w środku. Ale nie była sama.

Postać Joiyi Byir stała przed *Callandorem*, jej sylwetka była tak niematerialna, że światło miecza przenikało przez nią. Kryształowy miecz nie lśnił już tylko odbitym światłem. Pulsował własnym blaskiem, jakby ktoś odkrywał obecne w nim źródło światła, potem zakrywał i odsłaniał ponownie. Czarna siostra wzdrygnęła się zaskoczona i odwróciła, by spojrzeć na Egwene.

— Jak? Jesteś odcięta! Nie posiadasz możliwości Śnienia!

Zanim wypowiedziała pierwsze słowa, Egwene sięgnęła ponownie po *saidara*, splotła skomplikowany strumień Ducha, jaki zapamiętała, gdy został użyty przeciwko niej i odcięła Joiyę Byir od Źródła. Oczy tamtej rozszerzyły się, te okrutne oczy, które tak nie pasowały do pięknej, miłej twarzy, ale Egwene już splatała Powietrze. Postać tamtej mogła być niczym utkana z mgły, ale więzi trzymały. Egwene zdało się, że najmniejszego wysiłku nie wymagało od niej utrzymywanie splotów dwóch strumieni. Kiedy podeszła bliżej, na czole Joiyi Byir pojawiły się krople potu.

— Masz *ter'angreal*! — Widać było strach na jej twarzy, ale z tonu głosu można było zrozumieć, że stara się go skryć. — To musi być to. *Ter'angreal*, który przegapiłyśmy, i który nie wymaga przenoszenia. Czy sądzisz, że na coś ci się przyda, dziewczyno? Cokolwiek zrobisz tutaj, nie może wpłynąć na to, co dzieje się w rzeczywistym świecie. *Tel'aran'rhiod* jest tylko snem! Kiedy się obudzę, sama zabiorę ci twój *ter'angreal*. I uważaj co robisz, żeby nie miała powodu do gniewu, gdy przyjdę do twojej celi.

Egwene uśmiechnęła się do niej.

— Pewna jesteś, że się obudzisz, Sprzymierzeńcu Ciemności? Jeżeli twój *ter'angreal* wymaga udziału Mocy, dlaczego się nie obudziłaś zaraz po tym, jak cię odciąłem od Źródła? Zapewne nie możesz się obudzić, dopóki tutaj jesteś odcięta. — Uśmiech zniknął z jej twarzy, wysiłek jaki musiała wkładać w to, żeby uśmiechać się do tamtej przekraczał jej możliwości. — Pewna kobieta pokazała mi kiedyś bliźnę po ranie, którą odniosła w *Tel'aran'rhiod*, Sprzymierzeńcu

Ciemności. Co stanie się tutaj, pozostanie prawdziwe, kiedy się obudzisz.

Po gładkiej, pozbawionej śladów wieku twarzy Czarnej Siostry spływały ciężkie krople potu. Egwene zastanowiła się, czy tamta spodziewa się śmierci. Niemal żałowała, że nie jest dość okrutna, by to zrobić. Większość niewidzialnych ciosów, które otrzymała, pochodziła od tej kobiety, były ciężkie niczym uderzenia pięści, i nie było dla nich innego uzasadnienia niż to tylko, że wciąż próbowała się czołgać, że odmawiała poddania się.

— Kobieta, która potrafi zadawać takie ciosy — oznajmiła — nie powinna mieć nic przeciwko znacznie słabszym.

Szybko spłotła kolejny strumień Powietrza; czarne oczy Joiyi Byir rozbłyły niedowierzaniem, kiedy pierwsze uderzenie wylądowało na jej biodrach. Egwene tymczasem zrozumiała w jaki sposób należy dopasować splot, żeby nie musiała go podtrzymywać.

— Będziesz pamiętać o nich i czuć je wciąż, kiedy się obudzisz. Kiedy pozwolę ci się obudzić. To też sobie zapamiętaj. Jeżeli kiedykolwiek spróbujesz mnie uderzyć, ponownie cię tu zawiodę i zostawię na resztę życia!

Oczy Czarnej Siostry patrzyły na nią z nienawiścią, ale można było w nich również zobaczyć żalosne pragnienie płaczu.

Egwene przez chwilę poczuła wstyd. Nie dlatego, że coś takiego czyni — Joiya zasłużyła sobie na każdy cios jaki na nią spadał, jeśli nie za to, że ją pobiła, to przynajmniej za każdą śmierć w Wieży — nie, nie o to chodziło, poczuła wstyd, gdy uświadomiła sobie, że traci czas na prywatną zemstę, podczas gdy Elayne i Nynaeve siedzą w celi, wbrew wszelkiej nadziei wierząc, iż ona może je uratować.

Związała i ustaliła strumienie splotów, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że to robi, potem przerwała na chwilę, by przyjrzeć się temu, czego dokonała. Trzy oddzielne sploty i nie tylko udało jej się bez najmniejszego kłopotu utrzymać je wszystkie od razu, lecz także zrobiła coś takiego, że teraz same się podtrzymywały. Sądziła, że zapamiętała również, jak to zrobić. A to mogło okazać się użyteczne.

Po chwili rozwikłała jeden ze splotów, a Czarna Siostra z ulgą załkała z bólu.

— Nie jestem taka jak ty — powiedziała Egwene. Dopiero drugi raz w życiu zrobiłam coś podobnego i nie podoba mi się to. Zamiast tego muszę się nauczyć podrywać gardła:

Z wyrazu twarzy Czarnej Siostry można było wyczytać, iż sądzi, że Egwene ma zamiar zacząć naukę od niej.

Wydając z siebie nieartykułowany dźwięk, oznaczający niesmak, Egwene zostawiła ją tam, schwytaną i odciętą od Źródła, a sama szybko wbiegła w las kolumn z polerowanego czerwonego kamienia. Gdzieś tutaj musi być droga na dół, do lochów.



\* \* \*

W kamiennym korytarzu zapadła cisza po tym, jak ostatni krzyk konającego został ucięty przez szczęki Młodego Byka, zamykające się na gardle dwunoga, zgniatające je. Krew goryczą rozplywała się na języku.

Wiedział, że to jest Kamień Łzy, chociaż nie potrafiłby powiedzieć skąd to wie. Dwunodzy leżeli wokół niego, jeden drgał jeszcze w agonii, a Skoczek zatapiał kły w jego gardle, cuchnęli strachem. Pachnieli zagubieniem. Nie sądził, by wiedzieli, gdzie się znaleźli — z pewnością nie należeli do wilczego snu — ale zostali wysłani, by powstrzymać go przed dotarciem do znajdujących się z przodu wysokich drzwi z żelaznym zamkiem. Albo przynajmniej strzec ich. Zdawali się zaskoczeni, gdy zobaczyli wilki. Osądził, że sam pobyt w tym miejscu też był dla nich zaskoczeniem.

Otarł usta, potem zdziwiony przyjrzał się swojej dłoni. Znowu był człowiekiem. Był Perrinem. Wrócił do swojego ciała, ubranego w kowalską kamizelkę, z ciężkim młotem przy boku.

„Musimy się śpieszyć, Młody Byku. W pobliżu jest coś złego.”

Idąc w kierunku drzwi, Perrin wyciągał zza pasa młot.

— Faile musi tu być.

Jeden mocny cios roztrzaskał zamek. Kopnięciem otworzył drzwi.

W pokoju znajdował się tylko długi, kamienny blok stojący na środku posadzki. Na tym katafalku leżała Faile nieruchoma, jakby spała, jej czarne włosy rozrzucone były niczym wachlarz, ciało tak ciasno zawinięte łańcuchem, że dłuższą chwilę zabrało mu uświadomienie sobie, że jest rozebrana. Każdy łańcuch przymocowany był do kamienia potężnym sworzniem.

Prawie nie zdawał sobie sprawy, że idzie w jej kierunku, dopóki dłonią nie dotknął jej twarzy, obramowując koniuszkiem palca kontur policzka.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Śniłam ciągle, że po mnie przyjdiesz, kowalu.

— Za chwilę cię uwolnię, Faile. — Uniósł młot i rozbił jeden ze sworzni, jakby był zrobiony z drewna.

— Byłam tego pewna, Perrin.

Ale kiedy jego imię cichło jeszcze na jej ustach, ona zaczęła również znikać. Łańcuchy opadły ze szczękiem na kamień, gdzie jeszcze przed chwilą leżała.

— Nie! — krzyknął. — Znalazłem ją!

„We śnie nie jest tak, jak w świecie ciała, Młody Byku. Tutaj jedno polowanie może mieć wiele zakończeń.”

Nie odwrócił się, by spojrzeć na Skoczka. Wiedział, że jego zęby są obnażone, że warczy. Ponownie uniósł młot i spuścił z całą siłą w dół na łańcuchy, które

więziły Faile. Pod jego ciosem kamienny blok pękł na pół; Kamień jęknął niczym uderzony dzwon.

— Teraz będę polował dalej — warknął.

Z młotem w dłoni, Perrin wyszedł z pomieszczenia, a Skoczek szedł obok. Kamień był miejscem, w którym mieszkali ludzie. A ludzie, jak wiedział, byli bardziej okrutnymi myśliwymi, niż kiedykolwiek bywały wilki.

\* \* \*

Dźwięk alarmowych gongów gdzieś ponad jego głową wypełniał korytarz donośnym dzwonieniem, nie potrafił jednak zagłuszyć szczęku metalu o metal i coraz bliższych okrzyków walczących ludzi. Aielowie i Obrońcy, pomyślał Mat. Wysokie, złote stojaki do lamp, na każdym zawieszono po cztery, stały wzdłuż ścian korytarza, w którym się znajdował, a jedwabne draperie ze scenami batalistycznymi wisiały na ścianach z polerowanego kamienia. Nawet dywany na podłodze były jedwabne, ciemna czerwień na błękitnym tle, uplecione w skomplikowane taireńskie wzory. Po raz pierwszy Mat był zbyt zaabsorbowany swoim zadaniem, by szacować wartość otaczających go przedmiotów.

„Ten przeklęty człowiek jest dobry” — pomyślał, kiedy udało mu się odbić ostrze miecza, a cios, który zamierzył końcem pałki w głowę mężczyzny, zmienił się w kolejną zasłonę przeciw wirującemu ostrzu. — „Może to jeden z tych przeklętych Wysokich Lordów?”

Prawie udało mu się potężny cios w kolano, jego przeciwnik jednak zdołał odskoczyć, proste ostrze trwało wzniesione w gotowości.

Niebieskooki człowiek miał na sobie kaftan z bufiastymi rękawami, żółty z nazywanymi złotą nicią paskami, ale wszystko było nie dopięte, koszula wystawała ze spodni, stopy miał bosc. Krótko przycięte czarne włosy były potargane, jakby przebudził się dosłownie przed chwilą, jednak walczył zupełnie przytomnie. Pięć minut temu wyskoczył z obnażonym mieczem w dłoni zza jednych z tych wysokich, rzeźbionych drzwi, które wbudowane były licznie w ściany korytarza, a Mat mógł być jedynie wdzięczny losowi, że pojawił się przed nim, nie zaś z tyłu. Nie był pierwszym człowiekiem ubranym tak niedbale, jakiego Mat spotkał dotąd, z pewnością jednak był najlepszy.

— Czy możesz przejść obok mnie, łowco złodziei? zawołał Mat, starając się nie spuszczać oczu z człowieka, który czekał z ostrzem wzniesionym do ciosu.

— Nie mogę — odkrzyknął z tyłu Sandar. — Kiedy się przesuniesz, by mnie przepuścić, nie będziesz miał dość miejsca na zamachnięcie się tym wiośłem, które nazywasz pałką, a wtedy on połknie cię jak muszkę.

„Jak co?”

— Cóż, wymyśl coś, Taireńczyku. Ten obszarpaniec działa mi na nerwy.

Mężczyzna w naszywanym złotym kaftanie parsknął.

— Będziesz miał zaszczyt umrzeć z ręki Wysokiego Lorda Danina, wieśniaku, jeżeli oczywiście mnie się tak spodoba. — Po raz pierwszy raczył się odezwać.

— Chociaż zamiast tego, powinienem powiesić was za nogi i przyglądać się, jak pasami zdzierają z was skórę.

— Nie sądzę, by mi się to spodobało — powiedział Mat.

Twarz Wysokiego Lorda poczerwieniła z obrazy, że mu przerwano, ale Mat nie dał mu czasu na komentarz. Pałka tak szybko zawirowała w ścisłej figurze podwójnej pętli, że jej końce zamazały się, a on skoczył naprzód. Darlin uwijał się jak mógł, odbijając spadające nań ciosy. Przez chwilę. Mat wiedział, że długo nie potrafi prowadzić tak zmasowanego ataku, a jeżeli będzie miał szczęście, wszystko z powrotem zamieni się w parady i zasłony. Jeżeli będzie miał szczęście. Ale tym razem nie miał zamiaru na nie liczyć. Gdy tylko Wysoki Lord znalazł chwilę czasu, by przyjąć postawę defensywną, Mat zmienił swój atak na półpiruet. Koniec pałki, który, jak sądził Darlin, zmierzał w kierunku jego głowy, zamiast tego trafił w nogi, powalając go na posadzkę. Kiedy padał, w jego głowę uderzył drugi koniec, mocny cios pozbawił go przytomności.

Dyszząc ciężko, Mat wsparł się na pałce, stając nad nieprzytomnym Wysokim Lordem.

„Niech szczenę, gdybym miał walczyć z jeszcze jednym lub dwoma takimi jak ten, padłbym z wyczerpania! Opowieści nie mówią, że życie bohatera jest tak męczące! Nynaeve zawsze potrafiła znaleźć sposób, by zmusić mnie do najwyższego wysiłku.”

Sandar podszedł i stanął obok niego, spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w leżące na posadzce poskręcane ciało Wysokiego Lorda.

— Nie wygląda tak potężnie, leżąc tutaj — oznajmił z wahaniem. — Nie wygląda na większego niż ja.

Mat wzdrygnął się i spojrzał w głąb korytarza, gdzie jakiś człowiek truchtem przemierzał korytarz odchodzący od tego, w którym stali.

„Niech szczenę, jeżeli to nie jest jakieś szaleństwo. Gotów byłbym przysiąc, że widziałem Randa!”

— Sandar, przekonałeś się, że... — zaczął, zarzucając drzewce pałki na ramię, ale urwał nagle, gdy jej koniec z głuchym łomotem uderzył w coś.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z następnym na wpół ubranym Wysokim Lordem, ten zaś klęczał, jego miecz leżał na posadzce, rękoma trzymał się za głowę w miejscu, gdzie uderzył koniec pałki Mata. Mat szybko szturchnął go w brzuch, ręce tamtego bezwładnie zwisły, potem jeszcze raz poprawił w głowę, aż Wysoki Lord przewrócił się twarzą na leżący na posadzce miecz.

— Szczęście, Sandar — wymruczał. — Nie można wygrać z przeklętym szczęściem. A teraz, dlaczego nie mielibyśmy poszukać przeklętego prywatnego przejścia, jakim Wysocy Lordowie schodzą do swych lochów?

Sandar upierał się, że istnieją takie schody, a skorzystanie z nich pozwoli uniknąć przemierzania sporych przestrzeni Kamienia. Mat nie sądził, aby mógł polubić ludzi, którzy z taką ochotą przypatrują się oddanym na męki, że aż potrzebują krótszej drogi z własnych apartamentów do lochów.

— Po prostu ciesz się, że miałeś tyle szczęścia — powiedział Sandar trzęsącym się głosem. — W przeciwnym razie tamten zabiłby nas obu, zanim nawet zdążylibyśmy go spostrzec. Wiem, że te drzwi są gdzieś tutaj. Idziemy? Czy masz zamiar czekać na następnego Wysokiego Lorda?

— Prowadź. — Mat przeszedł nad nieprzytomnym władcą Łzy. — Nie jestem żadnym przeklętym bohaterem.

Ruszył za łowcą złodziei, który zagłądał po kolei we wszystkie wysokie drzwi, obok których przechodzili, mrucząc bez przerwy, że gdzieś tutaj musi być przejście.

# CO JEST ZAPISANE W PROROCTWACH

Rand ostrożnie, powoli wszedł do komnaty, i wstąpił w las wielkich kolumn z czerwonego kamienia, które pamiętał ze swych snów. W rzucanych przez nie cieniach zalegała cisza, coś jednak wzywało go z oddali. Przed nim coś lśniło, pulsującym niczym latarnia morska światłem, przed którym na chwilę pierzchały cienie. Wszedł spośród kolumn pod wielką kopułę i zobaczył to, czego szukał. W powietrzu, jelicem w dół wisiał *Callandor*, czekając aż ujmie go dłoń Smoka Odrodzonego i żadna inna. Obracając się, skupiał półmrok, jaki panował w komnacie i rozsiewał go w postaci rozbłysków, prócz tego jednak teraz świecił również własnym światłem, na przemian zapalającym się i gasnącym. Wzywał go. Czekał na niego.

„Jeżeli to ja jestem Smokiem Odrodzonym. Jeżeli nie jestem po prostu na poły oszalałym człowiekiem, przeklętym przez swą zdolność do przenoszenia, marionetką, tańczącą na sznurkach pociąganych przez Moiraine i Białą Wieżę.”

— Weź go, Lewsie Therinie. Weź go, Zabójco Rodu.

Odwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos. Twarz wysokiego mężczyzny o krótko przyciętych, siwych włosach, który wszedł z cieni pomiędzy kolumnami, zdawała mu się skądś znajoma. Rand jednak nie miał pojęcia, kim jest ów człowiek w czerwonym, jedwabnym kaftanie, z czarnymi pasami na bufiastych rękawach, w czarnych spodniach wpuszczonych w zdobione srebrem wysokie buty. Nie znał go, choć widywał w swoich snach.

— Zamknąłeś je w klatce — powiedział. — Egwene, Nynaeve i Elayne. Widziałem w snach. Wtrąciłeś je do klatki, by wyrzucić im krzywdę.

Tamten wykonał dłonią taki gest, jakby coś od siebie odsuwał.

— Są mniej warte niż nic. Być może któregoś dnia, w pełni wyćwiczone, ale nie dziś. Wyznam, że zaskoczony byłem, iż starałeś się je wykorzystać. Ale zawsze byłeś głupcem, gotowym przedkładać głos serca ponad moc. Pojawiłeś się zbyt wcześnie, Lewsie Therinie. Teraz musisz dokonać czegoś, na co jeszcze nie jesteś przygotowany, w przeciwnym razie zginiesz. Zginiesz, wiedząc, że zostawiłeś te kobiety, na których tak ci zależy, w moich rękach. — Zdawał się czekać na

coś, spodziewać czegoś. — Mam zamiar właściwie je wykorzystać, Zabójco Rodu. Będą mi służyć, służyć mej mocy. A to zada im więcej bólu, niżli wycierpiału kiedykolwiek dotąd.

Z tyłu, za Randem, *Callandor* rozbłysnął światłem, w jego plecy uderzył podmuch energii.

— Kim jesteś?

— Nie pamiętasz mnie, nieprawdaż? — Siwowłosa mężczyzna zaśmiał się niespodziewanie. — Ja również nie pamiętam ciebie, przynajmniej pod tą postacią. Wiejski chłopak, z fletem na plecach. Czy Ishamael rzeczywiście powiedział prawdę? On zawsze chętnie kłamał, jeżeli mógł dzięki temu wysunąć się o cal lub sekundę przed pozostałymi. Nie pamiętasz niczego, Lewsie Therinie?

— Imię! — przerwał mu Rand. — Jak masz na imię?

— Mów do mnie Be'lal.

Przekłety popatrzył groźnie, kiedy Rand nie zareagował w spodziewany sposób na jego oświadczenie.

— Weź go! — Warknął i gwałtownym gestem dłoni wskazał miecz za plecami Randa. — Kiedyś jechaliśmy w bój, ramię przy ramieniu, i przez pamięć na to dam ci szansę. Niewielką szansę, ale dzięki niej będziesz mógł spróbować ocalić siebie i te trzy, z których postanowiłem uczynić swe oswojone zwierzątka. Weź miecz, wieśniaku. Być może dzięki niemu będziesz w stanie mnie pokonać.

Rand roześmiał się.

— Czy sądzisz, że tak łatwo uda ci się mnie przestraszyć, Przekłety? Ściagał mnie sam Ba'alzamon. Czy myślisz, że teraz stchórzę przed tobą? Płaszczyl się będę przed Przekłętym, jeśli rzuciłem w twarz wyzwanie Czarnemu?

— Czy tak sobie wszystko wyobrażasz? — odrzekł miękko Be'lal. — Doprawdy, nie wiesz nic.

Nagle w jego dłoni błysnął miecz, ostrze załśniło czarnym płomieniem.

— Weź go! Weź *Callandora*! Czekaj tutaj, przez trzy tysiące lat, kiedy spoczywałem w swoim więzieniu. Na ciebie. Jeden z najpotężniejszych *sa'angreali* jakie kiedykolwiek wykonano. Weź go i broń się, jeśli potrafisz!

Ruszył w stronę Randa, jakby chciał go zmusić, by przysunął się bliżej *Callandora*, ale Rand uniósł pustą dłoń *saidin* wypełnił go; słodki, rwący strumień Mocy, ściskająca żołądek ohydna skaza — a w jego rękę załśniło ostrze wycięte z czerwonego płomienia, miecz ze znakiem czapli na płonącej klindze. Zatańczył formami, których uczył go Lan, dopóki nie przepływał z jednej do drugiej niczym w tańcu. Cięcie Jedwabiu. Woda Spływająca ze Wzgórza. Wiatr i Deszcz. Ostrze z czerwonego ognia spotkało ostrze wycięte z czarnego, poleciały skry, zawyło jakby pękał rozgrzany do białości metal.

Rand płynnie przyjął pozycję obronną, starając się nie okazać swojej chwilowej niepewności. Na czarnym ostrzu również widniała czapla, tak ciemna, że omal niewidoczna. Raz jeden w życiu stał się z człowiekiem, który miał ostrze

naznaczone czaplą i ledwie wówczas przeżył. Wiedział doskonale, że sam nie ma żadnego prawa do znaku mistrza miecza. Czapla była wyryta na klindze miecza, który dał mu ojciec, a kiedy myślał o mieczu w dłoni, zawsze widział tamten. Kiedyś uściskał śmierć, jak nauczał go Strażnik, ale tym razem jego śmierć będzie ostateczna. Be'lal był lepszy od niego. Silniejszy. Szybszy. Prawdziwy mistrz miecza.

Przeklęty zaśmiał się, rozbawiony, czarnym mieczem zamarkował kilka szybkich ciosów w lewo i w prawo; płomień ostrza zahuczał, jakby strumień powietrza podsycał tylko jego energię.

— Byłeś kiedyś wielkim szermierzem, Lewsie Therinie — zauważył szyderczo. — Czy pamiętasz, jak rozpoczęliśmy łagodną zabawę, którą nazywano walką na miecze i zmieniliśmy ją w prawdziwie śmiertelny sport, dokładnie taki, jaki przypisywały ludziom starodawne księgi? Czy pamiętasz choćby jedną z tych rozpaczliwych bitew, choćby jedną z twoich okropnych porażek? Oczywiście, że nie. Nie pamiętasz nic, nieprawdaż? Tym razem nie jesteś wystarczająco przygotowany. Tym razem, Lewsie Therinie, zabiję cię.

Szyderstwo w jego głosie stało się jeszcze bardziej natrętne.

— Być może, jeżeli weźmiesz *Callandora*, zdołasz odrobinę wydłużyć resztkę życia, która ci została. Odrobinę.

Zbliżał się powoli, jakby chciał Randowi dać czas na odwrócenie się i bieg w stronę *Callandora*, czas na sięgnięcie po Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Ale Rand wciąż nie mógł pozbyć się wątpliwości. *Callandora* mógł dotknąć jedynie Smok Odrodzony. Pozwolił im proklamować się Smokiem Odrodzonym, było po temu wiele powodów, które wówczas nie pozostawiały mu żadnego wyboru. Ale czy rzeczywiście nim był? Czy jeżeli rzuci się w jego stronę, na jawie, nie we śnie, dłonie jego nie napotkają niewidzialnej ściany, podczas gdy Be'lal będzie mógł ciąć go przez plecy?

Stawił czoło Przekłętemu z mieczem, który znał, klingą ognia wyciętego z *saidina*. I został odepchnięty. Spadający Liść spotkał się z Mokrym Jedwabiem. Kot Tańczący na Murze napotkał Dzika Szarżującego ze Wzgórza. Rzeka Podmywająca Brzeg niemalże kosztowała go utratę głowy, musiał nieelegancko rzucić się na posadzkę, podczas gdy czarny płomień ostrza tamtego musnął jego włosy; szybko przetoczył się i błyskawicznie wstał, aby odeprzeć Kamień Spadający z Gór. Metodycznie, z rozmysłem, Be'lal spychał go po spirali, w której środkiem był *Callandor*.

Między kolumnami rozległy się krzyki, wrzaski, ostry dźwięk metalu uderzającego o metal, ale Rand ledwie je słyszał. On i Be'lal nie byli już sami w Sercu Kamienia. Mężczyźni w napierśnikach i hełmach z szerokim okapem walczyli, używając mieczy przeciwko widmowym postaciom z zasłoniętymi twarzami, które przemykały wśród lasu kolumn, kłując krótkimi włóczniami. Niektórzy żołnierze starali się uformować szyk — z mroku wyleciały strzały i utkwily w ich

gardłach, wbiły się w twarze, i tak umarli w szeregu. Rand ledwie zauważał toczący się wokół bój, nawet wówczas, kiedy ludzie padali kilka kroków od niego. Jego własna walka była już nazbyt rozpaczliwa, musiał koncentrować na niej całą swą uwagę. Poczuł jak po boku ścieka mu ciepła i wilgotna ciecz. Otworzyła się stara rana.

Potknął się nagle o ciało martwego człowieka, które zauważył dopiero, kiedy już padał plecami na posadzkę.

Be'lal uniósł ostrze z czarnego płomienia i warknął:

— Weź go! Weź *Callandora* i broń się! Weź go, albo zaraz cię zabiję! Jeżeli go nie weźmiesz, mój miecz rozetnie twe gardło!

— Nie!

Nawet Be'lal wzdrygnął się na dźwięk rozkazu obecnego w kobiecym głosie. Przeklęty odsunął się poza zasięg miecza Randa i odwrócił głowę, by spojrzeć na Moiraine, która szła w jego stronę pośród toczącego się wokół boju, z oczyma skupionymi na nim, nie zwracając najmniejszej uwagi na śmiertelne krzyki umierających wszędzie ludzi.

— Sądzę, że starasz się zupełnie niepotrzebnie, kobieto. To nie ma znaczenia. Jesteś tylko drobną niedogodnością. Dokuczliwą muchą. Zamknę cię w celi razem z pozostałymi i nauczę służyć Cieniowi przy pomocy twych słabowitych mocy — ostatnie słowa rozplynęły się w pogardliwym śmiechu. Uniósł wolną dłoń.

Moiraine nie zatrzymała się, nawet nie zwolniła, podczas gdy on mówił. Kiedy unosił dłoń, znajdowała się nie dalej jak trzydzieści kroków od niego i wówczas również uniosła obie dłonie.

Na twarzy Przekłętego na moment pojawiło się zaskoczenie, miał jeszcze czas, by krzyknąć:

— Nie!

Potem pręga białego ognia, gorętszego niż płomień słońca, wytrysnęła ze złączonych dłoni Aes Sedai, niczym lśniąca różga, która rozjaśniła wszystkie cienie. Zanim to się jednak stało, Be'lal zmienił się w rój migoczących ciem, plamek tańczących w świetle krócej niż trwa uderzenie serca, pyłków, które pochłonął ogień, zanim jeszcze jego krzyk zamarł.

Kiedy ogień zniknął, w komnacie nastała cisza, przerywana tylko jękami rannych. Bój ustał nagle, zasłonięci ludzie i mężczyźni w napierśnikach stali niczym porażeni gromem.

— Miał rację w odniesieniu do jednej rzeczy — powiedziała Moiraine głosem chłodnym, lecz tak pogodnym, jakby stała właśnie pośrodku wiosennej łąki. — Musisz wziąć *Callandora*. On miał zamiar zabić cię, by ci go odebrać, ale z urodzenia należy się tobie. Lepiej byłoby, gdybyś wiedział więcej, zanim ujmiesz w dłoń jego rękojeść, ale dotarłeś do tego miejsca i nie ma już czasu na dalszą naukę. Weź go, Rand.

Bicze czarnych błyskawic zawirowały wokół niej, krzyknęła, gdy ją uniosły



i rzuciły na posadzkę komnaty jak worek, toczyła się bezwładnie, aż zatrzymała wreszcie pod jedną z kolumn.

Rand spojrział w miejsce, z którego ciśnięto błyskawice. Na wysokości szczytów kolumn dojrzał głębszy cień, czerni, przy której pozostałe cienie jasne były niczym światło południa, a z tej czerni wpatrywało się weń dwoje oczu jakby z płomienia.

Powoli cień opuścił się na dół, przybierając postać Ba'alzamon, ubranego w najgłębszą czerni, taką, jaką nosili Myrddraale. Jednak nawet teraz nie była ona tak ciemna jak przylegający do niej cień. Wisiał w powietrzu, dwie piędy ponad posadzką, patrząc na Randa z gniewem płonącym niczym jego oczy.

— Dwukrotnie w ciągu twego życia oferowałem ci możliwość służenia mi. — Kiedy mówił, z jego ust dobywały się płomienie, każde słowo niosło się rykiem, niczym z otwartego paleniska pieca. — Dwakroć odmówiłeś, raniąc mnie przy tym. Teraz będziesz służył Władcy Grobu jako martwy. Giń, Lewsie Therinie Zabójco Rodu. Giń, Randzie al'Thorze. Nadeszła chwila twej śmierci! A ja zabiorę twą duszę!

Kiedy Ba'alzamon uniósł dłoń, Rand poderwał się na równe nogi i rozpaczliwie rzucił w stronę *Callandora*, który wciąż lśnił i błyskał, zawieszony w powietrzu. Nie wiedział, czy zdoła go dosięgnąć, lub choćby ująć w dłoń, pewien był jednak, że to ostatnia szansa.

Cios Ba'alzamoną sięgnął go w locie, uderzył trafiając w samo wnętrze, jakby chciał wypruć, oderwać, odgryźć, wyszarpać coś z ciała. Rand wrzasnął. Poczuł, jakby się zapadał niczym pusty worek, jakby wywrócono go na drugą stronę. Ból w boku, od rany którą odniósł w Falme, powitałomalże z radością, stanowił bowiem coś, czego mógł się uczepić, wspomnienie życia. Jego dłoń zamknęła się kurczowo. Na rękojęści *Callandora*.

Jedyna Moc przepłynęła przezeń potokiem potężniejszym, niżli sądził, że potrafi przenieść, od *saidina* do miecza. Kryształowa klinga rozbłysnęła światłem jeszcze jaśniejszym niż ogień Moiraine. Nie można było nań spoglądać, nie było widać miecza, ale samo światło lśniące w jego dłoni. Walczył ze strumieniem Mocy, opierał się potężnemu przypiłowowi, który również jego chciał unieść ze sobą i przenieść w miecz. Przez mgnienie chwili, która zdawała się trwać wieki, zawisł, wahając się, starając utrzymać równowagę i nie dać się porwać, niczym ziarno piasku przypiływem powodzi. Bardzo powoli równowaga ustaliła się. Wciąż miał wrażenie, jakby bosą stopą stał na ostrzu brzytwy ponad bezdenną przepaścią, coś w środku jednak mówiło mu, że niczego więcej nie może oczekiwać. Aby przenieść tak przemożny strumień Mocy, musiał tańczyć na tym ostrzu tak, jak tańczył formy miecza.

Odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z Ba'alzamonem. Uczucie rozszarpywania od środka zniknęło, gdy tylko dotknął *Callandora*. Od tego czasu minęła króciutka chwila, która jednak wydawała się trwać wiecznie.

— Nie weźmiesz mej duszy — krzyknął. — Tym razem mam zamiar skończyć z tobą raz na zawsze! Dość już tego wszystkiego!

Ba'alzamon uciekł, człowiek i cień zniknęli.

Przez moment Rand marszcząc brwi, patrzył w miejsce, gdzie przed chwilą stał tamten. Kiedy Ba'alzamon zniknął, poczuł coś, jakby... zmarszczkę. Skręcenie, jakby tamten w jakiś sposób wygiął rzeczywistość. Nie zwracając uwagi na wpatrzonych weń ludzi, nie patrząc na Moiraine, leżącą bezwładnie u podstawy kolumny, Rand sięgnął poza siebie, przez *Callandora*, i nagiął rzeczywistość, otwierając drzwi w jakieś inne miejsce. Nie wiedział, dokąd prowadzą, wiedział tylko tyle, że Ba'alzamon poszedł tamtędy.

— Teraz ja jestem myśliwym — powiedział i wszedł do środka.

\* \* \*

Kamienie zadrżały pod stopami Egwene. Sam Kamień zatrzęsł się, zadźwięczał. Odzyskała równowagę i przystanąła, nasłuchując. Dźwięk nie powtórzył się, wstrząsy również nie. Cokolwiek się zdarzyło, było już po wszystkim. Droge przegradzały jej drzwi z żelaznych prętów, zamek na nich był wielki jak jej głowa. Przeniosła Ziemię, zanim go dosięgła, a kiedy pchnęła drzwi, zamek pękł na pół.

Szybko pokonała znajdującą się za nim komnatę, starając się nie patrzeć na przedmioty wiszące na ścianach. Wśród nich bicze i żelazne kleszcze wyglądały bardzo niewinnie. Lekko wzruszyła ramionami, otworzyła mniejszą żelazną bramę i weszła na korytarz, w którego ścianach szeregiem stały drzwi z nieheblowanych desek, a płonące pochodnie z sitowia osadzono w regularnie rozstawionych żelaznych uchwytach; czuła taką samą ulgę, zostawiając za sobą tamte narzędzia, jakby odnalazła miejsce, którego szukała.

„Ale która cela?”

Drewniane. drzwi otwierały się lekko. Niektóre nie były nawet zamknięte, zamki na pozostałych nie mogły wytrzymać więcej, niż ten wielki. Ale wszystkie cele były puste.

„Oczywiście. Nikt nie będzie śnił, że znajduje się w takim miejscu. Każdy więzień, któremu uda się dotrzeć do *Tel'aran'rhiod* przeniesie się w przyjemniejsze miejsce.”

Przez chwilę czuła ogarniającą ją rozpacz. Chciała wierzyć, że odnalezienie właściwej celi może coś zmienić. A przecież nawet samo odszukanie jej może okazać się niemożliwe. Główny korytarz ciągnął się coraz dalej, z boków odchodziły od niego kolejne.

Nagle zobaczyła przed sobą migotanie. Postać jeszcze bardziej niematerial-

ną, niż przedtem Joiya Byir. Jednak można było w niej rozpoznać kobietę. Nie miała wątpliwości. Kobieta siedziała na ławce przy drzwiach prowadzących do cel. Jej obraz zmaterializował się na chwilę i potem zaraz zniknął. Nie mogło być pomyłki co do szczupłej szyi i bladej, niewinnie wyglądającej twarzy oraz oczu ze źrenicami drgającymi na krawędzi snu. Amico Nagoyin zasypiała, śniąc o obowiązach strażniczki. I najwyraźniej zabawiała się sennie jednym ze skradzionych *ter'angreali*. Egwene potrafiła ją zrozumieć, sama musiała dokładać wysiłku, by nie używać nieprzerwanie tego, który otrzymała od Verin, by odstawić go choćby na kilka dni.

Wiedziała, że możliwe jest odcięcie kobiety od Jedynego Źródła nawet wówczas, gdy już objęła *saidara*, ale rozerwanie strumienia już raz ustanowionego musiało być znacznie trudniejsze niż powstrzymanie go, zanim zaczął płynąć. Ustaliła wzorce splotu, przygotowała je, tym razem czyniąc nitki Ducha znacznie mocniejszymi, grubszymi i wytrzymalszymi, splot również był gęstszy, z brzegiem ostrym jak nóż.

Falująca sylwetka Sprzymierzeńca Ciemności pojawiła się ponownie, a Egwene zarzuciła na nią splot Powietrza i Ducha. Przez chwilę coś zdawało się odpierać splot Ducha, wtedy wzmocniła go całą siłą swych zdolności. Wsunął się na miejsce.

Amico Nagoyin krzyknęła. Dźwięk był cichutki, ledwie słyszalny, słaby jak ona sama, a wyglądała wszak jak cień za ledwie tego, czym była Joiya Byir. Jednak więzi uplecione z Powietrza trzymały ją mocno, nie zniknęła na powrót. Przerazenie wykrzywiło jej śliczną twarz, wydawała się coś bełkotać, ale jej krzyki słyszalne były słabo, niczym szept zbyt cichy, by Egwene mogła choćby rozróżnić w nim słowa.

Zaciskając i poprawiając sploty wokół Czarnej Siostry, Egwene spojrzała na drzwi celi. Niecierpliwie pozwoliła Ziemi wpleść się w zamek. Rozpadł się na czarny pył, mgiełkę, która zdążyła się rozproszyć, zanim uderzyła w drzwi. Otworzyła wrota do celi, nie zaskoczyła jej pustka w środku i jedna płonąca pochodnia. „Amico jest związana, a drzwi są otwarte.”

Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić dalej. Potem wyszła ze snu. . .

\* \* \*

. . . i obudziła się znów w pokaleczonym, dręczonym bólami i pragnieniem ciele, oparta plecami o nierówną ścianę, wpatrzona w zamknięte drzwi.

„Oczywiście. To, co się dzieje z żywymi istotami, okazuje się realne nawet po przebudzeniu. Natomiast to, co zrobię z kamieniem, żelazem lub drewnem, nie

ma wpływu na prawdziwy świat.”

Nynaeve i Elayne wciąż klęczały przy niej.

— Którakolwiek z nich tam siedzi — poinformowała ją Nynaeve — krzyknęła parę chwil temu, ale nic więcej się nie stało. Czy znalazłaś drogę wyjścia?

— Powinnyśmy się wydostać — oznajmiła Egwene. — Pomóżcie mi wstać, a otworzę zamek. Amico nie będzie nam przeszkadzać. To ona krzyczała.

Elayne potrząsnęła głową.

— Przez cały czas gdy spałaś, starałam się sięgnąć do *saidara*. Teraz jest inaczej, ale wciąż jestem odcięta.

Egwene uformowała pustkę w sobie, stała się pękiem róży, otworzyła na *saidara*. Niewidzialna tarcza wciąż tam była. Zdarzały się momenty, kiedy niemalże mogła poczuć jak Prawdziwe Źródło wypełnia ją Mocą. Niemalże. Tarcza falowała, znikając i pojawiając się, zbyt szybko, by nadążyć za jej migotaniem. Równie dobrze mogła wciąż tak próbować.

Popatrzyła na swoje przyjaciółki.

— Związałam ją. Odcięłam od Mocy. Jest przecież żywą istotą, a nie martwym żelazem. Wciąż musi być odcięta.

— Coś stało się z siecią narzuconą na nas — powiedziała Elayne. — Ale Amico ciągle potrafi ją utrzymać.

Egwene odchyliła głowę do tyłu i wsparła ją o ścianę.

— Muszę znów spróbować.

— Masz dość siły? — skrzywiła się Elayne. — Jeżeli mam być szczerą, to wyglądasz jeszcze słabiej niż przedtem. Ta próba zabrała ci coś, Egwene.

— Jestem wystarczająco silna. — Czuła się bardziej zmęczona i słabsza niż przedtem, ale nie widziała innej szansy. Oznajmiła im swą decyzję, a z wyrazu ich twarzy odczytała, że zgadzają się z nią, choć niechętnie.

— Czy będziesz potraciła zasnąć tak szybko? — zatroszczyła się na koniec Nynaeve.

— Zaśpiewaj mi. — Egwene jakoś zdołała się uśmiechnąć. — Tak jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Proszę. Trzymając jedną ręką dłoń Nynaeve, podczas gdy w drugiej ścisnęła kamienny pierścień, zamknęła oczy, starając się odnaleźć sen przy dźwiękach kołysanki.

\* \* \*

Szerokie drzwi z żelaznych sztab były otwarte, a pomieszczenie za nimi wyglądało na opustoszałe, ale Mat wszedł do środka, zachowując wszelkie środki ostrożności. Sandar wciąż stał w korytarzu, starając się patrzeć w dwóch kierun-

kach naraz, pewien, że w każdej chwili może pojawić się tutaj jakiś Wysoki Lord, albo co najmniej setka Obrońców.

W pomieszczeniu nie było teraz żadnych żołnierzy a sądząc z niedojedzonych posiłków stojących na długim stole, musieli opuścić je w pośpiechu, bez wątpienia na dźwięk dobiegających z góry odgłosów walki — spojrzawszy na narzędzia wiszące na ścianach, zadowolony był, że nie spotkał żadnego z nich. Bicz róż-nych rozmiarów, długości, grubości, z różną ilością ogonów. Szczypce i klesz-cze, śruby, kajdany. Rzeczy, które wyglądały jak metalowe buty, rękawice, hełmy, z wielkimi śrubami powkręcany tak, aby można było je dociskać. Przedmio-ty, których przeznaczenia nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Pomyślał, że gdyby spotkał ludzi, którzy ich używali, z pewnością stwierdziłby wpierw, że nie żyją, zanim by poszedł dalej.

— Sandar! — syknął. — Zamierzasz stać tam przez całą przekłętą noc?

Nie czekając na odpowiedź, pośpieszył do wewnętrznych drzwi — opatrzo-nych sztabami jak poprzednie, ale mniejszych — i przeszedł przez nie.

Ściany korytarza za nimi przecinały drzwi z nieheblowanych desek, oświe-ślały go takie same pochodnie z tataraku, jak w pomieszczeniu, które właśnie opuścił. Nie dalej jak dwadzieścia kroków od niego, przy drzwiach siedziała na ławce kobieta, wspierając się o ścianę w dziwnie sztywny sposób. Na dźwięk bu-tów zgrzytających po kamieniach, powoli odwróciła głowę w jego stronę. Śliczna młoda kobieta. Zastanawiał się, dlaczego nie może poruszyć niczym więcej jak tylko głową, i to w taki sposób, jakby spała.

Czy była więźniem?

„Na zewnątrz, w korytarzu? Ale ktoś z taką twarzą nie mógłby używać takich narzędzi jak tamte na ścianach.”

Wyglądała, jakby prawie spała, powieki miała uchylone jedynie częściowo. A cierpienie, widoczne na jej twarzy, bez wątpienia czyniło ją jedną z torturowa-nych, nie zaś torturujących.

— Stój! — krzyknął za jego plecami Sandar. — Ona jest Aes Sedai! Jest jedną z tych, które zabrały twoje przyjaciółki!

Mat zamarł w pół kroku i wbił wzrok w kobietę. Pamiętał, jak Moiraine two-rzyła kule ognia. Zastanawiał się czy byłby w stanie odbić taką kulę przy pomocy swej pałki. Wątpił jednak, by jego szczęście mogło mu zapewnić przewagę nad Aes Sedai.

— Pomocy — wyszeptała słabo tamta. Jej oczy wciąż wyglądały, jakby nie-malże spała, natarczywe błaganie w jej głosie było jednak zupełnie trzeźwe. — Pomóż mi. Proszę!

Mat zamrugał. Wciąż nie była w stanie poruszyć żadnym mięśniem. Ostrożnie podszedł bliżej, gestem dłoni dając jednocześnie znak Sandarowi, by przerwał swoją, jęklwym głosem wypowiedaną, litanię przestrogi. Jej spojrzenie podążyło za nim. Ale poza tym nie poruszyła się.

U jej pasa wisiał wielki żelazny klucz. Na moment zawahał się. Aes Sedai, powiedział Sandar.

„Dlaczego się nie porusza?”

Przełykając ślinę, odczepił klucz od jej pasa, tak ostrożnie, jakby starał się wyjąć kawałek mięsa ze szczęk wilka. Wywróciła oczy, spojrzała na drzwi, obok których siedziała i wydała z siebie odgłos, jaki mógłby wydać kot, który zobaczył, że do pokoju, z którego nie ma innego wyjścia, wchodzi właśnie, warcząc i obnażając zęby, wielki pies.

Nie zrozumiał o co jej chodzi, ale dopóki nie zamierzała powstrzymać go przed otwarciem drzwi, nie dbał o to, że siedzi obok niczym wypchany strach na wróble. Z drugiej strony jednak, rozważał, czy przypadkiem po drugiej stronie nie ma czegoś, czego by należało się naprawdę obawiać.

„Jeżeli jest rzeczywiście jedną z tych, które zabrały Egwene, Nynaeve i Elayne, to rzecz jasna, teraz ich pilnuje. — Z oczu kobiety spływały strumienie łez. — Tylko dlaczego zachowuje się tak, jakby w środku siedział jakiś przeklęty Półczłowiek?”

Jednakże był tylko jeden sposób, aby się przekonać. Oparł pałkę o ścianę, przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi, gotów w razie czego do natychmiastowej ucieczki.

Nynaeve i Elayne klęczały na podłodze, a pomiędzy nimi spała Egwene. Kiedy zobaczył jej obrzmiałą twarz, zaczął podejrzewać, że być może tamta bynajmniej wcale nie śpi. Pozostałe spojrzały w jego stronę, gdy otworzył drzwi... były pobite tak samo jak Egwene.

„Niech szczeznę! Niech szczeznę!”

— Matrimie Cauthon — powiedziała Nynaeve, starając się zapanować nad zdziwieniem wywołanym jego niespodziewanym pojawieniem. — Co, na Światłość, ty tutaj robisz?

— Jestem tutaj, aby was uwolnić — odrzekł. — Niech szczeznę, jeżeli spodziewałem się takiego powitania, jakbym zakradł się tutaj, by ukraść ciastko. Później, jeżeli zechcecie, wyjaśnicie mi, dlaczego wyglądacie, jakbyście we trzy wybrały się z gołymi rękoma na niedźwiedzia. Jeżeli Egwene nie może iść, poniosę ją. Wszędzie, w całym Kamieniu jest mnóstwo Aielów i albo oni mordują właśnie przeklętych Obrońców, albo przeklęci Obrońcy mordują ich, mimo wszystko powinniśmy wydostać się stąd, do cholery, dopóki jest to możliwe. Jeżeli w ogóle jest to możliwe!

— Uważaj na to, co mówisz — zwróciła mu uwagę Nynaeve, a Elayne obdarzyła go jednym z tych pełnych dezaprobaty spojrzeń, jakie kobietom przychoǳą bez najmniejszego trudu. Żadna z nich nie poświęcała mu szczególnej uwagi. Zaczęły szarpać i potrząsać Egwene, jakby nie dość była pokaleczona i pokryta ranami.

Powieki Egwene odemknęły się, jęknęła.

Dlaczego mnie obudziłyście? Muszę rozwikłać problem. Jeżeli wyzwolę ją z więzów, obudzi się i nigdy już ponownie jej nie pochwycę. Jeżeli tego jednak nie zrobię, nigdy nie zaśnie do końca i... — Jej spojrzenie spoczęło na nim, oczy rozszerzyły się. — Matrimie Cauthon, co, na Światłość, ty tutaj robisz?

— Ty jej powiedz — zwrócił się do Nynaeve. — Jestem zbyt zajęty ratowaniem was, by zwracać uwagę na swój je... .

Wszystkie trzy patrzyły w przestrzeń korytarza za jego plecami, ich oczy lśniły, jak gdyby żałowały, że ich dłonie są puste, że nie ma w nich noży.

Odwrócił się i spojrzał również, ale zobaczył tylko Juilina Sandara, który wyglądał, jakby połknął zgniłą śliwkę razem z pestką.

— Mają powody — wyjaśnił Matowi. — Zdradziłem je... Ale musiałem.

To ostatnie zdanie skierował do stojących za Matem kobiet.

— Ta, która miała mnóstwo warkoczyków w kolorze miodu, przemówiła do mnie i ja... musiałem zrobić co mi kazała.

Przez dłuższą chwilę wpatrywały się w niego w milczeniu.

— Liandrin znała paskudne sztuczki, panie Sandar powiedziała w końcu Nynaeve. — Zapewne nie można cię jednoznacznie obwiniać. Później zastanowimy się, kto jest za to odpowiedzialny.

— Jeżeli wszystko już sobie wyjaśniliście — wtrącił Mat — to czy możemy już iść?

Cała sprawa była dla niego równie jasna jak najciemniejsza noc, sam pragnął jedynie jak najszybciej wydostać się z Kamienia.

Trzy kobiety pokuśtykały za nim na korytarz, ale zatrzymały się zaraz obok siedzącej na ławce. Przewróciła oczami i zakwiliła:

— Proszę. Obiecuję, że powrócę do Światłości. Przysięgam, że będę wam posłuszna. Przysięgnę, trzymając w dłoniach Różdżkę Przysiąg. Proszę, nie... .

Mat aż podskoczył, kiedy Nynaeve zamachnęła się i pięścią uderzyła siedzącą, strącając ją z ławki na posadzkę. Jej oczy zamknęły się na koniec, ale nawet leżąc na boku, trwała w tej samej pozycji, jaką przybrała siedząc.

— Zniknęło — oznajmiła z podnieceniem Elayne.

Egwene pochyliła się, sięgnęła do sakwy nieprzytomnej i przeniosła do swojej coś, czego Mat nie dostrzegł wyraźnie.

— Tak. Czuję się wspaniale. Coś zmieniło się w niej, kiedy ją uderzyłaś, Nynaeve. Nie wiem co, ale czuję to.

Elayne pokiwała głową.

— Ja również to czuję.

— Chciałabym móc zmienić w niej wszystko aż do szczętu — oznajmiła ponuro Nynaeve.

Ujęła głowę Egwene, po chwili tamta wstała, ciężko dysząc. Gdy Nynaeve odjęła dłonie i dotknęła nimi Elayne, okazało się, że skaleczenia Egwene zniknęły. Twarz Elayne wygładziła się równie szybko.

— Krew i krwawe popioły! — jęknął Mat. — Co chciałaś osiągnąć, bijąc tę kobietę? Nie sądzę, by w ogóle mogła choćby drgnąć!

Wszystkie trzy naraz odwróciły się w jego stronę, wydał zdławiony okrzyk, kiedy otaczające go powietrze skrzepło nagle w gęstą galaretę. Uniosły go, aż jego stopy zawisły o dobry krok ponad posadzką.

„Och, niech szeszne, Moc! Cały czas się obawiałem, że Aes Sedai będą używać wobec mnie przeklętej Mocy, a teraz robią to te wstrętne kobiety, które ratowałem! Niech szeszne!”

— Niczego nie rozumiesz, Matrimie Cauthon — powiedziała Egwene napiętym głosem.

— A zanim zrozumiesz — dodała Nynaeve, a w jej głosie pobrzmiwały jeszcze twardsze tony — proponuję ci, byś zatrzymał swoje opinie dla siebie.

Elayne zadowolona się grymasem, jaki zawsze widział na twarzy swojej matki, kiedy szła ścigać witkę na różgę.

Zupełnie dla siebie niespodziewanie zorientował się, że uśmiecha się do nich dokładnie w taki sam sposób, w jaki uśmiechał się do matki już po otrzymaniu porcji różg.

„Niech szeszne, jeżeli potrafią zrobić coś takiego, nie mogę sobie wyobrazić w jaki sposób komukolwiek udało się w ogóle zamknąć je w celi!”

— Rozumiem tylko, że wydostałem was z miejsca, z którego nie byłyście w stanie same się wydostać, a wy macie dla mnie tyle wdzięczności co przeklęty człowiek z Taren Ferry, którego na dodatek bolą zęby!

— Masz rację — przyznała Nynaeve, a jego stopy tak gwałtownie opadły na posadzkę, że aż zgrzytnął zębami. Jednak odzyskał swobodę ruchów. — Nawet nie wiesz, ile trudu kosztuje mnie przyznanie ci racji, ale masz ją.

Chciał już odpowiedzieć jakąś ironiczną uwagą, ale w jej głosie było tak niewiele przeproszających tonów, że wołał się powstrzymać.

— Dobrze, możemy już iść? Ponieważ dookoła wciąż trwają walki, Sandar uznał, że powinniśmy wyprowadzić was przez niewielką bramę w pobliżu rzeki.

— Nie mam zamiaru nigdzie stąd iść — powiedziała Nynaeve.

— A ja chcę poszukać Liandrin i obdrzeć ją ze skóry — oznajmiła Egwene w taki sposób, jakby rzeczywiście miała ochotę to zrobić.

— Ja chcę jedynie — dodała Elayne — zbić Joiyę Byir, aż zacznie błagać o litość, w ostateczności zadowolę się jednak którąkolwiek z nich.

— Czy wszystkie ogłuchłyście? — warknął. — Wszędzie dookoła toczą się walki! Przyszedłem tutaj, aby was uratować i mam zamiar to zrobić.

Egwene mijając go, poklepała po policzku, podobnie postąpiła Elayne. Nynaeve zwyczajnie parsknęła. Szeroko otworzył usta i patrzył w ślad za nimi.

— Dlaczego nic nie powiesz? — warknął na łowcę złodziei.

— Widziałem, co tobie dało twoje gadanie — zwyczajnie odrzekł Sandar. — Nie jestem głupi.



— Cóż, nie mam zamiaru pozostawać dłużej w samym środku bitwy! — krzyknął w ślad za nimi. Właśnie przechodziły przez małą kratę. — Odchodzę, słyszycie? Nawet nie obejrzały się za siebie.

„Najprawdopodobniej zostaną gdzieś zabite! Ktoś przeszyje je mieczem, gdy będą patrzeć w przeciwną stronę!”

Z parsknięciem zarzucił pałkę na ramię i poszedł za nimi.

— Masz zamiar tak tu sterczeć? — zawołał na łowcę złodziei. — Nie po to dotarłem tak daleko, by teraz pozwolić im umrzeć!

Sandar dogonił go w pomieszczeniu, na którego ścianach wisiały żelazne narzędzia. Trzy kobiety zdążyły już zniknąć, Mat jednak miał wrażenie, że nie będzie trudno je znaleźć.

„Po prostu wystarczy szukać ludzi zawieszonych w powietrzu! Przeklęte kobiety!”

Przyspieszył kroku, przechodząc w trucht.

\* \* \*

Perrin z zaciętą twarzą przemierzał korytarze Kamienia, szukając jakiegoś śladu Faile. Dotąd zdążył uratować ją jeszcze dwukrotnie, raz wyciągając z żelaznej klatki, podobnej do tej, w której zamknięto Aiela w Remen, za drugim razem rozbił stalową skrzynię z wyrytym na jej boku wizerunkiem sokoła. Za każdym razem rozplywała się w powietrzu, kiedy tylko wymieniła jego imię. Skoczek biegł u jego boku, nozdrzami łowiąc ślad. Niezależnie od tego, jak wrażliwy był zmysł powonienia Perrina, wilczy węch był o wiele bardziej wyostrzony.

Perrin zaczynał już powoli wątpić, czy kiedykolwiek uda mu się naprawdę ją uwolnić. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu nie wpadli na najmniejszy ślad. Korytarze Kamienia były puste, płonęły w nich tylko ognie lamp, kobierce i broń wisiały na ścianach, nic jednak nie poruszało się oprócz cieni jego i Skoczka.

„Z wyjątkiem tego kogoś, kto do złudzenia przypominał Randa. — To był jedynie błysk, trwający mgnienie oka; człowiek biegł, jakby coś ścigał. — To nie mógł być on. Nie mógł, dlaczego jednak wciąż wydaje mi się, że było przeciwnie?”

Skoczek nagle przyspieszył, kierując się w stronę kolejnej amfilady drzwi, tym razem pokrytych brązem. Perrin starając się dotrzymać mu kroku, potknął się i padł na kolana, rozpaczliwie wyciągając ręce, by uchronić twarz. Słabość przeszła go, jakby wszystkie mięśnie zamieniły się w wodę. Nawet wówczas jednak, gdy uczucie bezmiernej słabości zniknęło, nie odzyskał już poprzednich sił. Podniesienie się z klęczek wymagało niemałego wysiłku. Skoczek odwrócił

się i spojrzął na niego.

„Za bardzo się tutaj przemęczasz, Młody Byku. Ciało słabnie. Nie wytrzymasz tak długo. Wkrótce ciało i sen umrą razem.”

— Znajdź ją — rozkazał Perrin. — To wszystko, o co cię proszę. Znajdź Faile.

Spojrzenie żółtych oczu napotkało spojrzenie żółtych oczu. Wilk odwrócił się i podbiegł do drzwi.

„Za nimi, Młody Byku.”

Perrin wsparł dłonie o drzwi i pchnął je. Nie ustąpiły. Wydawało się, że nie istnieje żaden sposób, by je otworzyć, żadnej klamki, nic co można by uchwycić. W metalu wyżłobiono piękny wzór, tak delikatny, że nawet jego oczy miały trudności z dostrzeżeniem go. Sokoły. Tysiące maleńkich sokołów.

„Ona musi być tutaj. Nie sądzę, żebym wytrzymał dłużej.” Z okrzykiem uderzył młotem w brąz drzwi. Zadźwięczał rezonansem niczym wielki dzwon. Uderzył ponownie i łoskot zagrział po raz wtóry, potężniejszy jeszcze niż poprzednio. Trzeci cios i drzwi z brązu rozprysnęły się niczym szkło.

Wewnątrz, w odległości stu kroków od roztrzaskanych drzwi krąg światła obejmował sokoła przykutego łańcuchem do żerdzi, na której siedział. Pozostała część rozległej komnaty wypełniała ciemność, ciemność, w której można było dosłyszeć słaby trzepot setek skrzydeł.

Zrobił krok do wnętrza pomieszczenia, a sokół wychynął z mroku i przeleciał nad nim, pazurami sięgając do twarzy. Zakrył ręką oczy — pazury rozorały mu przedramię i chwiejnie powędrował ku żerdzi. Ptaki nadlatywały teraz już nieprzerwanie, sokoły nurkowały, uderzały weń, szarpały go, ale parł ciężko naprzód, zlany krwią, która ściekała mu po ramionach i barkach, po przedramieniu, którym osłaniał oczy, utkwione w grzędzie z sokołem. Zgubił gdzieś młot, nie wiedział kiedy ani gdzie, rozumiał jednak, że jeśli wróci, by go poszukać, umrze, zanim mu się to uda.

Kiedy dotarł do grzędy, ostre pazury zdążyły rozdrapać go niemal do kości. Spojrzął spod ramienia na sokolicę siedzącą na żerdzi, a ona odpowiedziała spojrzeniem bez zmrużenia oczu. Łańcuch, który opinał jej nogę, przymocowany był do deski maleńkim zamkiem wykutym na kształt jeża. Ujął łańcuch obiema dłońmi, nie dbając o to, że pozostałe sokoły otoczyły go wirem skrzydeł i ostrych pazurów, i wykorzystując resztki sił, jakie mu jeszcze zostały, zerwał go. Ból i sokoły pochłonięła ciemność.

\* \* \*

Otworzył oczy, czuł się tak, jakby jego twarz, ramiona i oczy pocięto setką

noży. To nie miało znaczenia. Faile klęczała przy nim, jej ciemne oczy o nakrapianych tęczęwkach wypełniał niepokój, ocierała jego twarz kawałkiem materii doszczętnie już przesiąkniętym krwią.

— Mój biedny Perrin — powiedziała cicho. — Mój biedny kowal. Jesteś tak strasznie pokaleczony.

Z wysiłkiem, którzy przysporzył mu jeszcze więcej bólu, odwrócił głowę. Znajdowali się w prywatnym gabinecie Gwiazdy, a obok jednej z nóg stołu leżała drewniana figurka jeża, przełamana na pół.

— Faile — wyszeptał do niej. — Mój sokole.

\* \* \*

Rand wciąż znajdował się w Sercu Kamienia, ale wszystko było tu inne. Nie było walczących ludzi, żadnych ciał, nikogo prócz niego. Zmienacka przez Kamień przetoczył się dźwięk wielkiego dzwonu, aż kamienie pod jego stopami zadziały. Uderzenie powtórzyło się trzykrotnie, za trzecim razem jednak umilkło nagle, jakby dzwon pękł. Ponownie wszystko ogarnęła cisza.

„Co to za miejsce? — zastanawiał się. — A co ważniejsze, gdzie jest Ba'alzamon?”

Jakby w odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie, płomienny grot, dokładnie taki, jakich używała Moiraine, wystrzelił z cieni zalegających w kolumnadzie, celując prosto w jego pierś. Odruchowo zasłonił się mieczem, samym tylko instynktem uwolnił strumienie *saidina*, powódź mocy, która sprawiła, że jego miecz rozbłysnął jaśniej jeszcze niżli bijąca weń pręga ognia. Jego niepewna równowaga na granicy istnienia i zatury zachwiała się. Jeszcze chwila a porwie go niepostrzymany potok.

Piorun ognia uderzył w ostrze *Callandora*. . . i rozdzielił się na jego krawędzi, spływając po bokach. Poczuł, jak kaftan zaczyna się tlić od bliskiego kontaktu ze strumieniem ognia, w nozdrza uderzył zapach palonej wełny. Za jego plecami dwa zęby skrzepłego ognia, płynnego światła, wgrzyły się w potężne kolumny z czerwonego kamienia, który zaczął niknąć od uderzenia, a płonące pręgi sięgały ku kolejnym powierzchniom, trawiąc je z taką samą chciwością. Grzmot potoczył się po Sercu Kamienia, wtórując padającym kolumnom, które roztrzaskiwały się w chmurach kurzu, rozsiewając wokół odpryski kamienia. Wszystko jednak, czego dosięgały żarłoczne pazury światła, roztopiało się w nicość.

Ze skłębionych cieni dobiegł go ryk gniewu, a płonąca pręga czystej, białej energii zniknęła.

Rand wziął zamach *Callandorem*, jakby chciał uderzyć w coś znajdującego

się dokładnie przed nim. Białe światło otulające mgłą jego ostrze, sięgnęło płomieniem naprzód, rozciągnęło się i cięło przestrzeń między kolumnami, z której dobiegał ryk. Polerowany kamień ustąpił przed stężoną Mocą niczym delikatny jedwab. Rozrąbane kolumny zadrżały; ich górne połowy odcięte runęły z sufitu, roztrzaskując się na posadzce w wielkie kęsy kamienia z poszarpanymi brzegami. Kiedy łoskot ścichł nieco, usłyszał w jego tle odgłos obcasów na kamieniach. Tamten uciekał.

Trzymając *Callandora* w pogotowiu, Rand pognał za Ba'alzamonem.

Wysoki, sklepiony łukiem portal wiodący do Serca, zawalił się, gdy doń dotarł, cała ściana runęła w chmurze pyłu i kamieni, jakby chcąc go pogrzebać, ale uderzył w nią strumieniem Mocy i obwał zmienił się w kłęb drobnego pyłu zawieszzonego w powietrzu. Biegł dalej. Nie potrafiłby powiedzieć co przed chwilą zrobił, ani jak tego dokonał, nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Biegł, ścigając echo oddalających się kroków Ba'alzamona, pobrzmiwające po korytarzach Kamienia.

Wokół, w pustce powietrza materializowali się Myrddraale i trolloki, wielkie potworne sylwetki i bezokie twarze z obliczami wykrzywionymi żądzą mordy, były ich setki. Zablokowali całkowicie korytarz przed nim i z tyłu, miecze w kształcie kosy i ostrza śmiertelnej czerni zafalowały, chciwe jego krwi. Nie wiedząc nawet jak, zmienił ich w mgłę, która rozpostarła się przed nim, a po chwili rozwiała. Powietrze dookoła wypełniła nagle dławiąca sadza, zatykająca nozdrza, tłumiąca oddech, ale z powrotem wydobył z niego świeżość, chłodną mgłę. Z posadzki pod jego stopami buchnęły płomienie, wyskoczyły ze ścian, sufitu, wściekłe jęzory ognia, które przepaliły kobierce i dywany; stoły i skrzynie rozpadły się w popiół, stojące na nich ozdoby i lampy spłynęły kroplami stopionego złota. Zduślił płomienie, zmieniając je w czerwoną poświatę na skale.

Otoczający go kamień rozplynał się w mgłę, Kamień zniknął. Rzeczywistość zadrżała w posadach; mógł niemalże poczuć, jak rozluźniają się jej sploty, jak sam zaczyna zanikać. Coś wypychało go z miejsca, w którym się znalazł, w jakąś inną przestrzeń, gdzie nie istniało nic. *Callandor* płonał w jego dłoniach niczym słońce, przeraził się, że sam może spłonąć w jego blasku, stopić w potoku Jedynej Mocy, który przezeń płynął. Starał się w jakiś sposób wypełnić pustkę otwierającą się wokół, walczył, by utrzymać się po tej stronie bytu. Kamień zestalił się na powrót.

Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, czego przed chwilą dokonał: Jedyne Moc szalała w nim, ledwie zdawał sobie sprawę, kim jest, niemalże rozplynał się w nicości. Wątpliwa równowaga rozchwiała się. Po obu stronach czekał go nie kończący się upadek, roztopienie w Mocy, która parła przezeń do miecza. Tylko taniec na ostrzu brzytwy zapewniał niepewne bezpieczeństwo. *Callandor* lśnił w jego dłoni, wyglądało tak, jakby trzymał w garści słońce. Wewnątrz tłukła się odległa myśl, migocząc niczym płomień świecy na wietrze — pewność, że mając *Callandora*

jest w stanie zrobić wszystko. Zupełnie wszystko.

Biegł przez nie kończące się korytarze, tańczył na ostrzu brzytwy, ścigał tego, który chciał go zabić, którego sam musiał zabić. Tym razem trzeba to zakończyć ostatecznie. Tym razem jeden z nich musi zginąć! Jasne było, że Ba'alzamon także zdaje sobie z tego sprawę. Uciekał bezustannie, nieprzerwanie trzymając się poza zasięgiem wzroku. Tylko odgłosy jego ucieczki pozwalały nie stracić kierunku, ale nawet uciekając, obracał ten Kamień Łzy, który nie był Kamieniem Łzy, przeciwko Randowi, a Rand odpowiadał mu, kierując się instynktem, przeczuciem, zdając na przypadek, walczył i biegł po ostrzu noża, zachowując doskonałą równowagę ponad strumieniem Mocy, narzędziem i bronią, która pochłonie go, gdy popełni najmniejszy błąd.

Woda wypełniła korytarze od posadzki aż po sufit, gęsta i ciemna, jakby zaczerpnięta z samego dna morza, zdławiła oddech. Odruchowo zmienił ją z powrotem w powietrze i biegł dalej, a wówczas powietrze stało się ciężkie, na każdy cal jego skóry ciśnienie parło ogromną masą, ściskając go ze wszech stron. W tej krótkiej chwili, nim został zgnieciony, wybrał pływy z przechodzącej przezeń powodzi Mocy — nie zdawał sobie sprawy jak, które ani dlaczego, wszystko działo się zbyt szybko, by miał czas na myśl lub refleksję — i parcie zniknęło. Ścigał Ba'alzamona, a powietrze zmieniało się nagle w mocną skałę, która chciała go uwięzić, potem w płynny kamień, na koniec wreszcie w próżnię, z której nie mógł zaczerpnąć oddechu. Posadzka pod jego stopami zaczynała nagle przyciągać z siłą tak wielką, że każdy funt jego ciała zdawał się tysiąckrotnie pomnażać swą wagę, a potem siła ciężkości znikwała zupełnie, tak że kolejny krok wyrzucał go bezwładnie w powietrze. Niewidzialne szczęki rozwierały się, by odgryźć dużą część od ciała, a potem rozszarpać ją. Rozbrajał po kolei wszystkie pułapki i biegł dalej; co Ba'alzamon wykoślawił, by go pochwycić, on na powrót przywracał do stanu normalnego, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak to robi. Niejasno rozumiał, że w pewien sposób przywraca rzeczom naturalną równowagę, zmusza je, by dotrzymywały mu kroku w jego tańcu po nieprawdopodobnie cienkiej granicy między istnieniem a nicością, ale świadomość tej wiedzy była odległa. Całą swą uwagę skupił na pościgu, na polowaniu, na śmierci, która musi je zakończyć.

A potem znowu był w Sercu Kamienia, skradał się pośród zawalonej gruzem szczeliny, która kiedyś była ścianą. Niektóre kolumny zwisały teraz z sufitu niczym powyłamywane zęby. Ba'alzamon cofał się przed nim, jego oczy płonęły, postać otulał cień. Czarne linie, niczym stalowe druty zdawały się łączyć jego sylwetkę z kłębiącą się wokół niej ciemnością, sięgając w nią niewyobrażalnie daleko.

— Nie dam się zniszczyć! — zawył Ba'alzamon. Usta wypluły ogień, krzyk rozniósł się echem po kolumnadzie. — Nie można mnie pokonać! Pomóż mi!

Część otulającej go ciemności spłynęła w jego dłonie, formując kulę tak czarną, że zdawała się wysysać nawet światło *Callandora*. W płomieniach jego oczu

rozbłysnęło nagle poczucie triumfu.

— Jesteś pokonany! — krzyknął Rand. *Callandor* zawirował w dłoni. Jego światło rozproszyło ciemność, zerwało stalowoczarne nici otaczające Ba'alzamona, a wówczas ciało tamtego przeszył spazm. Jak gdyby było ich dwóch, zdawał się kurczyć i puchnąć jednocześnie. — Zostaniesz zniszczony!

Rand zatopił błyszczące ostrze w piersi Ba'alzamona.

Ba'alzamon krzyknął, ognie w jego twarzy rozbłysły dziko.

— Głupcze! — zawył. — Wielki Władca Ciemności nigdy nie może zostać pokonany!

Rand uwolnił ostrze *Callandora* dopiero wówczas, gdy ciało Ba'alzamona zapadło się w sobie i legło na posadzkę, a otaczający go cień zniknął.

I nagle Rand stwierdził, że znajduje się w innym Sercu Kamienia, otoczony przez nienaruszoną kolumnadę, walczących ludzi, którzy krzyczeli i umierali, ludzi zamaskowanych i ludzi w napierśnikach oraz hełmach. Moiraine wciąż leżała skurczona przy podstawie kolumny z czerwonego kamienia. A u stóp Randa spoczywało na wznak ciało mężczyzny, z dziurą wypaloną w piersiach. Kiedyś, gdy był młodszy, mógł nawet być przystojny, chociaż teraz w miejscach, gdzie powinny być jego usta i oczy, ziały dwie dziury, z których unosiły się smużki czarnego dymu.

„Zrobiłem to — pomyślał. — Zabiłem Ba'alzamona, zabiłem Shai'tana! Wygrałem Ostatnią Bitwę! Światłości, JESTEM Smokiem Odrodzonym! Tym, który niszczy narody, który sprowadza Pęknięcie Świata. Nie! Zakończę Pęknięcie, skończę z zabijaniem! POŁOŻĘ temu kres!”

Uniósł *Callandora* nad głowę. Srebrna błyskawica wyskoczyła z ostrza, poszarpane wstęgi sięgnęły wielkiej kopuły.

— Stać! — krzyknął.

Walka ustała, ludzie spoglądali na niego w zadziwieniu znad czarnych zasłon, spod okapów okrągłych hełmów.

— Jestem Rand al'Thor — zawołał, a jego głos rozbrzmiał w komnacie. — Jestem Smokiem Odrodzonym!

*Callandor* błyszczał w jego dłoni.

Jeden po drugim, ludzie w zasłonach i hełmach klękali przed nim, płacząc.

— Smok się Odrodził! Smok się Odrodził!

# LUD SMOKA

Na obszarze całego miasta Łzy ludzie budzili się wraz ze świtem, rozmawiając o snach, które nawiedziły ich tej nocy, snach o Smoku, który pokonał Ba'alzamona w Sercu Kamienia, a kiedy unosili oczy na potężną fortecę Kamienia, mogli zobaczyć sztandar powiewający nad najwyższą z jej wież. Na polu bieli płynęła falista sylwetka wielkiego węża, o łuskach ze szkarłatu i złota, ale z wielką lwią głową i czterema nogami, uzbrojonymi w złote pazury. Z Kamienia powoli przybywali do miasta ludzie, oszołomieni i przerażeni, opowiadali przyciszonymi głosami o tym, co zdarzyło się w nocy, a mężczyźni i kobiety tłoczyli się na ulicach i płacząc wykrzykiwali spełnienie się proroctwa.

— Smok — wołali. — Al'Thor! Smok! Al'Thor!

\* \* \*

Spoglądając przez szczelinę łuczniczą, wysoko w ścianie Kamienia, Mat potrząsał głową, słuchając głosów chóru dochodzących od strony miasta.

„Cóż, może i jest.”

Wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że Rand naprawdę tutaj dotarł.

Wszyscy obecni w Kamieniu najwyraźniej byli tego samego zdania, co ludzie na dole, a jeżeli myśleli inaczej, nie dawali tego po sobie, poznać. Od wczorajszej nocy udało mu się jedynie raz zobaczyć Randa, jak szedł po korytarzu, trzymając w dłoni *Callandora*, otoczony przez kilkunastu zamaskowanych Aielów, ciągnąc za sobą tłum Tairenian, oddział Obrońców oraz większość z tych niewielu Wysokich Lordów, którym udało się przeżyć. Ci ostatni sądzili, że Rand pomoże im władać całym światem; Aielowie jednak trzymali wszystkich na dystans, groźnie popatrując, a jeśli było trzeba, to i używając włóczni. Chyba naprawdę wierzyli, że Rand jest Smokiem, choć tytułowali go mianem Tego Który Przychodzi Wraz Ze Świtem. W Kamieniu znajdowało się blisko dwustu Aielów. W walce stracili trzecią część swych sił, ale zabili lub wzięli do niewoli dziesięciokrotnie więcej Obrońców.

Odwrócił się od strzelnicy i objął spojrzeniem postać Rhuarca. W drugim końcu pokoju znajdowała się wysoka półka, osadzona na rzeźbionych i wypolerowanych kołach z jakiegoś gatunku jasnego, ciemno paskowanego drewna. Pomiedzy tymi kołami zawieszono były właśnie półki i to w taki sposób, że pozostawały nieruchome nawet wówczas, gdy koła obracały się. Na każdej półce stała wielka księga, opatrzona złotym grzbietem, w okładkach wysadzanych klejnotami. Aiel stworzył jedną z ksiąg i teraz ją czytał. Jakies eseje, osądził Mat.

„Kto by pomyślał, że Aiel będzie czytał książkę? Kto by pomyślał, że przekłeci Aielowie w ogóle potrafią czytać?”

Rhuarc spojrzął w jego stronę — zimne, błękitne oczy i wzrok bez wyrazu. Mat pośpiesznie uciekł spojrzeniem, zanim tamten byłby w stanie odczytać z jego twarzy obecne w duszy uczucia.

„Przynajmniej nie jest zamaskowany, dzięki Światłości! Niech szczenę, ta Aviendha o mało nie odcięła mi głowy, kiedy zapytałem, czy potrafi tańczyć bez włóczni.”

Bain i Chiad stanowiły kolejny problem. Były z pewnością śliczne i nawet bardziej niżli przyjazne, nie udawało mu się jednak nigdy spotkać z żadną na osobności. Mężczyźni Aielowie zdawali się uważać jego próby rozmowy z którąś z nich w cztery oczy za śmieszne, podobnie chyba myślały Bain i Chiad.

„Kobiety są dziwne, ale kobiety Aiel sprawiają, że dziwne wygląda jak normalne!”

Wielki zdobnie rzeźbiony i inkrustowany na krawędziach blatu stół o grubych nogach, znajdował się pośrodku komnaty. Dawniej zapewne służył zebraniom Wysokich Lordów. Moiraine siedziała na przypominającym tron krześle, na którego wysokim oparciu znajdował się zdobiony złotem, chalcedonem i macią perłową herb Półksiężycy Łzy. Egwene, Nynaeve i Elayne siedziały tuż przy niej.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że Perrin jest tutaj, w Łzie — mówiła Nynaeve. — Pewna jesteś, że czuje się dobrze?

Mat potrząsnął głową. Mógł się spodziewać, że Perrin ubiegłej nocy dostanie się do Kamienia, jego odwaga zawsze przeważała nad rozsądkiem.

— Czuję się dobrze, kiedy go ostatnio widziałam głos Moiraine był pogodny. — Czy wciąż się tak czuje, nie wiem. Jego... towarzysze zagraża pewne niebezpieczeństwo, a on również może paść jego ofiarą.

— Jego towarzysze? — zapytała ostro Egwene. Co... Kto to jest, towarzyszka Perrina?

— Jaki rodzaj niebezpieczeństwa? — domagała się wyjaśnień Nynaeve.

— Nic, czym powinnaś się przejmować — odrzekła spokojnie Aes Sedai. — Niebawem zajrzę do niej, gdy tylko znajdę chwilę czasu. Zwlekałam, gdyż chciałam pokazać wam, co znalazłam pomiędzy *ter'angrealami* i pozostałymi przedmiotami Mocy, jakie Wysocy Lordowie zgromadzili przez lata.

Wyjęła coś z sakwy i położyła przed sobą na stole. Krąg wielkości męskiej



dłoni, na pozór wyglądający jak dwie łyzy zespolone razem, jedna czarna jak sadza, druga biała niczym śnieg.

Matowi zdało się, że już coś takiego widział. Starodawne, podobnie jak ten, ale pęknięte, podczas gdy dysk leżący przed Moiraine był cały. Widział już trzy, wszystkie strzaskane na kawałki. Ale przecież to było niemożliwe; pamiętał wszak, iż wykonano je z *cuendillara*, którego nie miała się żadna siła, nawet Jedyna Moc.

— Jedna z siedmiu pieczęci, które Lews Therin Zabójca Rodu oraz Stu Towarzyszy nałożyło powtórnie na więzienie Czarnego — oznajmiła Elayne kiwając głową, jakby potwierdzała w ten sposób własną wiedzę.

— A bardziej precyzyjnie — poprawiła ją Moiraine — ogniskowa jednej z pieczęci. Ale zasadniczo masz rację. Podczas Pęknięcia Świata zostały rozproszone i dla pewności ukryte, po wojnach z Trollokami zaginęły naprawdę. Parsknęła. — Zaczynam mówić jak Verin.

Egwene potrząsnęła głową.

— Przypuszczam, że powinnam spodziewać się znaleźć ją tutaj. Dwukrotnie dotąd Rand walczył z Ba'alzamonem i za każdym razem znajdowaliśmy jedną z pieczęci.

— A ta jest cała — powiedziała Nynaeve. — Pierwszy raz pieczęć nie jest złamana. Jeżeli to ma jeszcze teraz jakieś znaczenie.

— Sądzisz, że nie ma? — powiedziała Moiraine cicho i groźnie, a siedzące obok niej kobiety zmarszczyły brwi.

Mat przewrócił oczami. Cały czas rozmawiały o jakichś nieważnych sprawach. Teraz, kiedy już wiedział co to jest, nie podobało mu się przebywanie w odległości mniejszej niż dwadzieścia stóp, niezależnie od wartości *cuendillara*, ale...

— Panie wybaczą? — powiedział.

Spojrzały na niego tak, jakby przerwał im coś ważnego.

„Niech szczenę! Wyzwoliłem je z celi więziennej, tej nocy pół tuzina razy uratowałem im życie, a teraz patrzą na mnie spode łba jak jakieś przeklęte Aes Sedai! Cóż, nawet mi nie podziękowały, nieprawdaż? Można by pomyśleć, że kiedy nie dopuszczałem, aby przekłęci Obrońcy zatapiali miecze w ich ciałach, wtykałem swój nos tam, gdzie mnie nikt nie potrzebował.”

Na głos jednak odezwał się grzecznie:

— Nie będziecie miały nic przeciwko temu, że zadam pytanie? Cały czas rozmawiacie o tych... sprawach Aes Sedai, a nikt nie zatroszczył się, by cokolwiek mi wyjaśnić.

— Mat? — powiedziała ostrzegawczo Nynaeve szarpiąc swój warkocz, ale Moiraine wtrąciła głosem spokojnym, ledwie tylko zabarwionym zniecierpliwieniem:

— A co chciałbyś wiedzieć?

— Chcę wiedzieć jak to wszystko możliwe. — Miał zamiar mówić cicho, jednak wbrew własnym usiłowaniom, jego głos podnosił się coraz wyżej w trakcie przemowy. Upadł Kamień Łzy! Proroctwa mówią, że nigdy to nie nastąpi, dopóki nie nadejdzie Lud Smoka. Czy to znaczy, że my jesteśmy przeklętym Ludem Smoka? Ty, ja, Lan i kilka setek przeklętych Aielów?

W nocy widział Strażnika, między Lanem a Aielami nie doszło do żadnej zwady, obie strony jednak prześcigały się w okazywaniu, kto jest bardziej groźny. Kiedy Rhuarc spojrział na niego, pośpiesznie dodał:

— Och, przepraszam, Rhuarc. Przejęczyłem się.

— Być może — wolno odrzekła Moiraine. — Przybyłam tu po to, by powstrzymać Be'lala przed zabiciem Randa. Nie spodziewałam się, że zobaczę upadek Kamienia Łzy. Być może to właśnie o nas chodzi. Proroctwa wypełniają się zgodnie z własnym, wewnętrznym znaczeniem a nie podług tego, co nam się wydaje.

„Be'lal.”

Mat zadrżał. Słyszał to imię ubiegłej nocy, a za dnia nie podobało mu się ani odrobinę bardziej. Gdyby wiedział, że jeden z Przeklętych jest na wolności — i znajduje się wewnątrz Kamienia — nigdy nie zbliżałby się do tego miejsca. Zmierzył wzrokiem Egwene, Nynaeve i Elayne.

„Cóż, wówczas wślizgnąłbym się do środka jak przeklęta mysz, a nie roztrącając ludzi na lewo i prawo niczym kręgle!”

Sandar wymknął się z Kamienia o świcie; tłumaczył że po to, aby zanieść wieści Matce Gumnie, Mat jednak przypuszczał, że chciał uciec przed wzrokiem trzech kobiet, które patrzyły nań w taki sposób, jakby ostatecznie nie zdecydowały jeszcze, co z nim zrobić.

Rhuarc odkaslnął.

— Kiedy mężczyzna pragnie zostać wodzem klanu, musi udać się do Rhuidean, na ziemię Jenn Aiel, klanu którego nie ma. — Mówił wolno i często wbijał spojrzenie spod zmarszczonych brwi w jedwabny dywan z czerwonymi frędzlami u swych stóp, jak człowiek, który musi wyjaśnić coś, o czym w ogóle wolałby nie wspominać. — Kobieta, która chce zostać Mądrą, również musi odbyć taką podróż, ale jej znaczenie jest trzymane w tajemnicy. Mężczyźni, którzy zostają wybrani w Rhuidean, ci którzy przeżyją, powracają ze znamieniem na lewym ramieniu. Takim właśnie.

Odsunął rękawy swego kaftana i koszuli, aby obnażyć lewe przedramię, skóra na nim była znacznie jaśniejsza niżli na dłoniach i twarzy. Na przedramieniu wyryty był, jakby stanowiąc jej część, dwukrotnie owinięty dookoła, ten sam złoto-szkarłatny zwierz, jaki falował na sztandarze, powiewającym nad Kamieniem.

Aiel z westchnieniem zsunął rękaw w dół.

— To jest imię, którego nie wymawia się powszechnie, tylko między wodzami klanów i Mądrymi. Jesteśmy... Ponownie odkaslnął, niezdolny do wypowiedze-

nia tych słów.

— Aielowie są Ludem Smoka — powiedziała cicho Moiraine, ale w głosie jej pobrzmiwało coś zbliżonego do zdumienia, czego Mat nigdy nie słyszał z jej ust. — Tego nie wiedziałam.

— Tak więc wszystko naprawdę się skończyło — podsumował Mat. — Dokładnie tak, jak mówią Proroctwa. Możemy iść, każdy w swoją stronę, i niczym się już nie przejmować.

„Teraz Amyrlin nie będzie mnie potrzebowała, nie będę musiał dać w ten przeklęty Róg!”

— Jak możesz tak mówić — natarła na niego Egwene. — Czy nie rozumiesz, że Przekłęci są na wolności?

— Nie mówiąc już o Czarnych Ajah — dodała ponuro Nynaeve. — Tutaj udało się nam złapać tylko Joiyę i Amico. Jedenaście uciekło. . . skądinąd, naprawdę chciałabym wiedzieć, w jaki sposób! . . . a Światłość jedna wie, jak wiele jest jeszcze innych, o których nie wiemy.

— Tak — dodała Elayne głosem równie twardym. Nie pragnę stanąć twarzą w twarz z jednym z Przeklętych, ale mam zamiar wykurzyć Liandrin z jej kryjówek!

— Oczywiście — rzekł Mat miękko. — Oczywiście.

„Czy one zwariowały? Chcą ścigać Czarne Ajah i Przeklętych?”

— Miałem na myśli tylko to, że najważniejsza część zadania jest za nami. Kamień został zdobyty przez Lud Smoka, Rand odnalazł *Callandora*, a Shai'tan nie żyje.

Spojrzenie Moiraine było tak twarde, że zdało mu się, iż pod jego wpływem Kamień zadrżał przez chwilę.

— Bądź cicho, głupcze! — powiedziała Aes Sedai głosem niczym ostrze noża. — Czy wzywając imię Czarnego, chcesz ściągnąć na siebie jego uwagę?

— Ale on nie żyje! — protestował Mat. — Rand go zabił. Widziałem ciało!

„I czułem także jego smród. Nigdy nie sądziłem, że cokolwiek potrafi gnić tak szybko.”

— Widziałeś „ciało” — wyjaśniła Moiraine, a kącik jej ust lekko zadrgał. — Ciało człowieka. Nie ciało Czarnego, Mat.

Spojrzał na Egwene i jej przyjaciółki, zdawały się równie skonfundowane jak on. Rhuarc wyglądał tak, jakby przekonany był wcześniej o tym, że wygrał bitwę, a teraz okazało się, iż w ogóle jej nie stoczył.

— A więc, kto to był? — dopytywał się Mat. — Moiraine, w mojej pamięci są dziury wystarczająco wielkie, by zmieścił się w nich wóz z zaprzęgiem, pamiętam jednak, jak Ba'alzamon pojawiał się w moich snach. Pamiętam go! Niech szczenę, nie wyobrażam sobie, jak w ogóle mógłbym o tym zapomnieć! I rozpoznałem go po tym, co zostało z twarzy.

— Rozpoznałeś Ba'alzamona — powiedziała Moiraine. — Lub raczej człowieka, który nazywał siebie Ba'alzamonem. Czarny żyje dalej, uwięziony w Shayol Ghul, a Cień wciąż zalega nad Wzorem.

— Niech Światłość oświeca i chroni nas — wymamrotała Elayne słabym szeptem. — Sądziłam. . . sądziłam, że Przekłęci są najgorszą rzeczą, jakiej możemy się obawiać.

— Jesteś pewna, Moiraine? — zapytała Nynaeve. Rand był przekonany. . . jest przekonany. . . że zabił Czarnego. Ty natomiast sugerujesz, że Ba'alzamon nie był w ogóle Czarnym. Nie rozumiem! Jak możesz być tego taka pewna? A jeśli on nie był Czarnym, to kim był?

— Pewność swoją czerpię z najprostszych przesłanek, Nynaeve. Niezależnie od tego, jak szybko pochłonął je rozkład, było to ciało człowieka. Czy możesz uwierzyć w to, że jeśli Czarny zostałby zabity, pozostawiłby po sobie ludzkie ciało? Człowiek, którego zabił Rand, był jedynie człowiekiem. Być może był pierwszym z wyzwolonych Przeklętych, być może nie został całkowicie związany. Nigdy się nie dowiemy, kim był.

— Mnie. . . mnie się wydaje, że wiem, kim on był Egwene przerwała, na jej twarz wypełził niepewny grymas. — A przynajmniej, mogę wam dostarczyć jakieś wskazówki. Verin pokazała mi stronę ze starej księgi, na której wymieniano razem Ba'alzamona i Ishamaela. Tekst był napisany we Wzniosłej Mowie i niemalże niezrozumiały, pamiętam jednak, że było tam coś o „imieniu skrytym za imieniem”. Być może Ba'alzamon był Ishamaelem.

— Być może — zgodziła się Moiraine. — Może to był Ishamael. Ale jeśli nawet, to i tak dziewięć spośród trzynastorga wciąż żyje. Lanfear, Sammael, i Ravhin, i. . . Ba! Nawet wiedza o tym, że z tej dziewiątki niektórzy przynajmniej są wolni, nie jest rzeczą najważniejszą. — Przykryła dłonią leżący na stole czarno-biały krąg. — Trzy pieczęcie są złamane. Tylko cztery wciąż trzymają. Tylko te cztery pieczęcie stoją pomiędzy Czarnym a światem, i może być tak, że nawet pomimo to jest on w jakiś minimalny sposób dotknąć świata. Jakakolwiek bitwę tutaj wygraliśmy. . . bitwę czy potyczkę. . . daleko jeszcze do ostatniego boju.

Mat patrzył jak ich twarze twardnieją — Egwene i Nynaeve, i Elayne; powoli, niechętnie, ale zdecydowanie i potrząsnął głową.

„Przekłete kobiety! One są gotowe na to wszystko, gotowe ścigać Czarne Ajah, gotowe walczyć z Przeklętymi i z przeklętym Czarnym. Cóż, niech sobie nie wyobrażają, że będą znowu wyciągać je z tarapatów. Po prostu nie powinny tak myśleć, to wszystko!”

Kiedy wciąż jeszcze próbował wymyślić, co ma powiedzieć, jedno z wysokich, podwójnych drzwi otworzyły się i do środka weszła wysoka, młoda kobieta nosząca się z królewska, na głowie miała diadem ze złotym jastrzębiem w locie. Jej czarne włosy spływały na blade ramiona, a suknia z najprzedniejszego czerwono-

nego jedwabiu była wycięta tak, by je obnażyć tak bardzo, jak tylko można. Przez chwilę wpatrywała się uważnie w Rhuarca wielkimi, ciemnymi oczyma, potem gestem chłodnym i władczym zwróciła się do kobiet siedzących za stołem. Mata zdawała się ignorować zupełnie.

— Nie przywykłam do tego, by traktowano mnie jak postańca — oznajmiła, wymachując zwiniętym pergaminem, który trzymała w jednej ze szczupłych dłoni.

— A kim ty jesteś, dziecko? — zapytała Moiraine.

Młoda kobieta wyprostowała się jeszcze bardziej, co zdaniem Mata było już chyba niemożliwe.

— Jestem Berelain, Pierwsza z Mayene.

Hardym gestem rzuciła pergamin na blat stołu przed Moiraine i skierowała się do drzwi.

— Chwileczkę, dziecko — powiedziała Moiraine, rozwijając pergamin. — Kto ci to dał? I dlaczego w ogóle go przyniosłaś, jeżeli tak jesteś nienawykła do przenoszenia wiadomości?

— Ja... nie wiem. — Berelain stała wpatrzona w drzwi; w jej głosie brzmiało zmieszanie. — Ona była... przekonująca.

Otrząsnęła się z wrażenia i najwyraźniej odzyskała już dobre zdanie na swój temat. Przez chwilę z lekkim uśmiechem wpatrywała się w Rhuarca.

— Jesteś wodzem tych Aielów? Wasz bóg zakłócił mój sen. Być może powinienam zaprosić cię na kolację. Pewnego dnia, wkrótce.

Przez ramię spojrzała na Moiraine.

— Powiedziano mi, że Smok Odrodzony zdobył Kamień. Poinformuj Smoka Odrodzonego, że Pierwsza z Mayene będzie dzisiaj wieczoru jadła z nim kolację.

I wymaszerowała z komnaty; Mat nie potrafił znaleźć innego słowa na określenie tej dostojnej, jednoosobowej procesji.

— Chciałabym ją mieć w Wieży jako nowicjuszkę. Egwene i Elayne powiedziały to nieomal równocześnie, potem wymieniły krzywe uśmiechy.

— Posłuchajcie tego — wtrąciła Moiraine. — „Lews Therin był mój, jest mój i będzie mój, na zawsze. Oddaję go pod waszą opiekę, byście strzegły go dla mnie, dopóki nie powrócę.” Podpisane: „Lanfear”. — Aes Sedai zwróciła spojrzenie chłodnych oczu na Mata. — A ty sądziłeś, że się skończyło? Jesteś *ta'veren*, Mat, nicią znacznie bardziej kluczową dla Wzoru niżli pozostałe, oraz tym, który dobył dźwięk z Rogu Valere. Nic się jeszcze dla ciebie nie skończyło.

Wszyscy patrzyli na niego. Nynaeve ze smutkiem, Egwene tak, jakby go jeszcze nigdy dotąd nie widziała, Elayne zaś, jakby się spodziewała, że zaraz zmieni się w coś innego. We wzroku Rhuarca było coś, co przypominało szacunek, Mat jednak doszedł do wniosku, że biorąc wszystko pod uwagę, mógłby się doskonale bez tego obejść.

— Cóż, oczywiście — powiedział im.  
„Niech szeszne!”  
— Rozumiem.  
„Zastanawiam się, kiedy Thom będzie zdolny do podróży? Czas uciekać. Może Perrin pojedzie z nami.”  
— Możecie na mnie liczyć.  
Na zewnątrz wciąż wznoszono nieustające okrzyki.  
— Smok! Al’Thor! Smok! Al’Thor! Smok! Al’Thor! Smok!

\* \* \*

I zapisane zostało, że żadna dłoń prócz jego nie ujmie miecza chronionego w Kamieniu, ale on dobędzie go, i niczym ogień będzie w jego dłoni, a jego chwała przepali świat. Tak to się rozpocznie. Tak będziemy wyśpiewywać jego Odrodzenie. Tak będziemy opiewać początek.

— z: *Do’in Toldara te*, „Pieśni Ostatniego Wieku”, Kwarto Dziewiąte: „Legenda o Smoku”. Skomponowana przez Boanne, Mistrzynie Pieśni w Taralan, Czwarty Wiek.

# GLOSARIUSZ

## Nota o datach w poniższym glosariuszu

Od Pęknięcia Świata zasadniczo stosowano trzy systemy zapisywania dat. Na początku rejestrowano lata, które upływały Od Pęknięcia (OP). Z powodu niemal całkowitego chaosu, w jakim upływały lata Pęknięcia, a także te lata, które nastąpiły bezpośrednio po nim, jak również dlatego, że ten kalendarz przyjęto po upływie dobrych stu lat od końca Pęknięcia, jego początek został wyznaczony arbitralnie. Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas wojen z Trollokami, z takim skutkiem, że pod koniec wojen wybuchł spór w kwestii poszczególnych dat liczonych według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, którego początkiem był koniec wojen, i który uświetniał rzekome wyzwolenie od zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Po tym jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz. Kalendarz ten, zapisujący lata Nowej Ery (NE), jest obecnie w powszechnym użytku.

**Aes Sedai (EYEZ seh-DEYE):** Władający Jedyłą Mocą. Od Czasu Szaleństwa jedynymi pozostałymi przy życiu Aes Sedai są kobiety. Budzące powszechną nieufność, strach, a nawet nienawiść, są przez wielu ludzi obwiniane za Pęknięcie Świata, uważa się powszechnie, iż mieszają się do polityki poszczególnych państw. Jednocześnie niewielu władców obywateli bywa się bez rad Aes Sedai, nawet w tych krajach, w których istnienie takich koneksji musi być utrzymywane w tajemnicy. Po latach przenoszenia Jedynej Mocy twarze Aes Sedai zyskują wygląd nie pozwalający się domyśleć ich wieku, tak że Aes Sedai, która jest wystarczająco stara, by mogła być prababką, może nie posiadać znamion wieku, wyjąwszy kilka siwych włosów. Patrz również: Ajah; Tron Amyrlin; Czas Szaleństwa.

**Aiel (eye-EEL):** Lud żyjący na Pustkowiu Aiel. Waleczny i odważny. Zanim zabiją, osłaniają twarz woalem, stąd powiedzenie: „zachowuje się jak zamaskowany Aiel”, które odnosi się do człowieka postępującego gwałtownie.

Wojownicy, którzy walczą na śmierć i życie, za pomocą broni albo nawet gołych rąk, nie dotykają jednak mieczy. Przed bitwą ich dudziarze grają im taneczne melodie, Aielowie nazywają bitwę „Tańcem” oraz „Tańcem włóczy”. Patrz również: Pustkowie Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

**Ajah (AH-jah):** Siedem społeczności wśród Aes Sedai, których nazwy biorą się od poszczególnych barw: Błękitne Ajah, Czerwone Ajah, Białe Ajah, Zielone Ajah, Brązowe Ajah, Żółte Ajah i Szare Ajah. Wszystkie Aes Sedai oprócz Zasiadającej na Tronie Amyrlin należą do jednej z owych grup, których członkinie wyznają odrębne filozofie korzystania z Jedynej Mocy i inny im też przyświeca cel, służąc Aes Sedai. Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania się w świat i przeznaczają swój czas na poszukiwanie wiedzy, natomiast Białe Ajah rezygnują nie tylko ze spraw świata, lecz także z jego wiedzy, poświęcając się pytaniom filozoficznym oraz ogólnej teorii prawdy. Zielone Ajah (nazwane Bojowymi Ajah podczas Wojen z Trollokami) trwają w gotowości, oczekując Tarmon Gaidon, Żółte oddają się studiom nad uzdrawianiem, Błękitne siostry zaś uczestniczą aktywnie w sprawach polityki i sprawiedliwości. Szare są mediatorami, poszukującymi harmonii i wzajemnego zrozumienia. Pogłoski o istnieniu Czarnych Ajah, które poświęciły się służbie dla Czarnego, są oficjalnie dementowane.

**Alanna Mosvani (ah-LAN-nah mos-VANH-nie):** Aes Sedai z Zielonych Ajah.

**Al'Meara, Nynaeve (al-MEER-ah, NIGH-neev):** Była Wiedząca z Pola Emonda, należącego do prowincji Dwie Rzeki w królestwie Andor (AN-door).

**Al'Thor, Rand (al-THOR, RAND):** Młody mężczyzna z Pola Emonda, który jest *ta'veren*. Były pasterz. Obecnie okrzyknięty Smokiem Odrodzonym.

**Al'Vere, Egwene (ahl-VEER, eh-GWAIN):** Młoda kobieta z Pola Emonda. Obecnie odbywająca nauki, po których ma się stać Aes Sedai.

**Amalasan, Guaire (ahm-ah-LAH-sin, Gware):** Patrz Wojna Drugiego Smoka.

**Anayia (ah-NYE-yah):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah.

**Angreal (ahn-gree-AHL):** Niezwykle rzadki przedmiot, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do przenoszenia Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć większą jej ilość, niż to jest możliwe bez wspomagania. Pozostałość po Wieku Legend, sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Patrz również: *sa'angreal*; *ter'angreal*.



- Atha'an Miere (ah-thah-AHN mee-EHR):** Patrz Lud Morza.
- Avendesora (AH-vehn-deh-SO-rah):** W Dawnej Mowie „Drzewo Życia”. Wymieniane w wielu opowieściach i legendach.
- Avendoraldera (AH-ven-doh-ral-DEH-rah):** Drzewo, które wyhodowano w mieście Cairhien z sadzonki *Avendesory*. Sadzonka ta stanowiła dar od Aielów, przekazany przez nich w roku 566 NE, pomimo że żadne zapisy nie wskazują na jakikolwiek możliwy związek między Aielami oraz *Avendesora*. Patrz również: wojny z Aielami.
- Aviendha (Ah-vee-EHN-dah):** Kobieta ze szczepu Gorzkiej Wody z Taardad Aiel; *Far dareis Mai*, Panna Włóczni.
- Aybara, Perrin (ay-BAHR-ah, PEHR-rihn):** Młody mężczyzna z Pola Emonda. Były czeladnik kowalski.
- Ba'alzamon (bah-AHL-zah-mon):** W mowie trolloków: „Serce Ciemności”. Uważa się, że trolloki tak właśnie nazywają Czarnego. Patrz również: Czarny; trolloki.
- Bard:** Wędrowny gawędziarz, muzyk, zongler, akrobata i wszechstronny artysta. Rozpoznawani dzięki swym tradycyjnym płaszczom uszytym z kolorowych łątek, bardowie dają swe przedstawienia głównie po wsiach i mniejszych miejscowościach.
- Bashere, Zarine (bah-SHEER, zah-REEN):** Młoda kobieta z Saldaei, która jest Myśliwym Polującym na Róg. Pragnęła być nazywana Faile (fah-EEL), co w Dawnej Mowie znaczy „sokół”.
- Be'lal (beh-LAAL):** Jeden z Przeklętych.
- Bel Tine (BEHL TINE):** Wiosenne święto na cześć końca zimy, kiełkowania przyszłych plonów i narodzin jagniąt.
- Bezduszny:** Patrz: Szary Człowiek.
- Białe Płaszcze:** Patrz: Synowie Światłości.
- Birgitte (ber-GEST-teh):** Złotowłosa heroina legend i opowieści bardów, sławna ze swej urody w tym samym stopniu niemalże jak z odwagi i talentów łuczniczych. Ma srebrny łuk i srebrne strzały, którymi nigdy nie chybia celu. Należy do bohaterów, którzy stawiają się na wezwanie Rogu Valere. Zawsze występuje u boku bohatera-szermierza, Gaidala Caina. Patrz również: Cain, Gaidal; Róg Valere.

**Bittern (BIHT-tehrn):** Instrument muzyczny wyposażony w sześć, dziewięć lub dwanaście strun, kładzie się go płasko na kolanach, gra polega na szarpaniu lub uderzaniu strun.

**Bornhald, Dain (BOHRN-hahld, DAY-ihn):** Oficer Synów Światłości, syn Lorda Kapitana Geoframa Bornhalda, który zginął w Falme, na Głowie Tomana.

**Byar, Jaret (BY-ahr, JAH-ret):** Oficer Synów Światłości.

**Caemlyn (KRYM-lihn):** Stolica Andoru.

**Cairhien (KEYE-ree-EHN):** Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojen z Aielami, podobnie jak wiele innych miast i wsi. W konsekwencji wojen opuszczone zostały tereny uprawne w pobliżu Grzbietu Świata, co z kolei zmusiło kraj do importu ogromnych ilości ziarna. Zabójstwo króla Galdriana (998 NE) wtrąciło Cairhien w wojnę domową o sukcesję Tronu Słońca, spowodowało przerwę w dostawach zboża i gład. Godłem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach, wschodzące na samym dole tła, którym jest niebo.

**Callandor (CAH-lahn-DOOR):** Miecz Który Nie Jest Mieczem, Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Kryształowy miecz ongiś przechowywany w Kamieniu Łzy. Potężny *sa'angreal*. Jego usunięcie z komnaty zwanej Sercem Kamienia, ma, obok upadku Kamienia Łzy, stanowić jeden z głównych znaków Odrodzenia Smoka oraz rychłego nadejścia Tarmon Gai'don. Patrz także: Smok Odrodzony; *sa'angreal*; Kamień Łzy.

**Cauthon Matrim (Mat) (CAW-thon, MAT):** Młody mężczyzna z Pola Emonda w Dwu Rzekach.

**Corenne (koh-REEN-neh):** W Dawnej Mowie „Powrót”.

**Córka Nocy:** Patrz: Lanfear.

**Cuendillar (CWAIN-deh-yar):** Patrz: prakamień.

**Cykl Karaethon (ka-REE-ah-thon):** Patrz: Proroctwa Smoka.

**Czarny:** Powszechnie używane we wszystkich krajach imię Shai'tana: źródło zła, antyteza Stwórcy. Uwięziony przez Stwórcę w momencie Stworzenia w więzieniu Shayol Ghul. Próba uwolnienia go z tego więzienia wywołała Wojnę o Cień, skażenie *saidina*, Pęknięcie Świata i koniec Wieku Legend.

**Czas Szaleństwa:** Nazwa okresu, który nastąpił po tym, jak przeciwuderzenie Czarnego skaziło męską połowę Prawdziwego Źródła. Aes Sedai mężczyźni popadli wówczas w obłęd i spowodowali Pęknięcie Świata. Dokładny czas trwania tego okresu nie jest znany, uważa się jednak, iż było to około stu lat. Jego całkowity koniec nastąpił dopiero po śmierci ostatniego Aes Sedai mężczyzny. Patrz również: Stu Towarzyszy; Prawdziwe Źródło; Jedyna Moc; Pęknięcie Świata.

**Czerwone Tarcze:** Patrz: Społeczności wojowników Aiel.

**Daes Dae'mar (DAH-ess day-MAR):** Wielka Gra, znana również jako Gra Dómów. Nazwa nadana knowaniom, spiskom i manipulacjom uprawianym przez arystokratyczne Domy. Wysoko ceni się wyrafinowanie, polegające na dążeniu do jednej rzeczy pod pozorem, że dąży się do innej, a także osiąganie celu przy użyciu jak najskromniejszych, niedostrzegalnych przez innych środków.

**Damodred, Lord Galadedrid (DAHM-oh-drehd, gah-LAHD-eh-drihd):** Przyrodni brat Elayne i Gawyna; syn tego samego ojca. Jego godłem jest zakrzywiony srebrny miecz, skierowany ostrzem w dół.

**Dawna Mowa:** Język, którym mówiono w Wieku Legend. Jego znajomości oczekuje się zazwyczaj od ludzi szlachetnie urodzonych i wykształconych, większość jednak zna zaledwie kilka słów. Tłumaczenia częstokroć sprawiają wiele trudności ze względu na to, że jego słowa mają wiele subtelnych znaczeń.

**Drzewny Pieśniarz:** Ogir, który posiada umiejętność śpiewania drzewom (tak zwanych „drzewnych pieśni”), dzięki czemu uzdrawia je albo pomaga im rosnąć i kwitnąć, względnie wykonuje rozmaite drewniane przedmioty, nie uszkadzając przy tym samego drzewa. Dzieła powstałe w ten sposób zwane są „wyśpiewanym drzewem” i są wysoko cenione. Drzewnych Pieśniarzy pozostało obecnie niewielu wśród Ogirów; Talent ten wydaje się zanikać.

**Dziedziczka Tronu:** Tytuł nadawany spadkobierczyni tronu Andoru. Najstarsza córka Królowej dziedziczy po niej prawo do zasiadania na tronie. Jeżeli nie ma żadnej córki, wówczas sukcesja przechodzi na najbliższą krewną Królowej.

**Dziki Gon:** Wielu ludzi wierzy, że Czarny (często nazywany Okrutnikiem, albo, jak w Łzie, Illian, Murandy, Altarze oraz Ghealdan, Starym Okrutnikiem) przemierza noc w towarzystwie „czarnych psów” albo Psów Czarnego, polując na dusze. To właśnie jest Dziki Gon. Deszcz może zniechęcić Psy

Czarnego do wyjścia na dwór, kiedy jednak złapią trop, jedynym sposobem, aby ich powstrzymać, jest stawić im czoło i pokonać, w przeciwnym razie śmierć ofiary jest nieunikniona. Wierzy się ponadto, że sam widok Dzikiego Gonu oznacza bliską śmierć, dla obserwatora lub dla bliskiej mu osoby.

**Dzikuska:** Kobieta, która zupełnie sama nauczyła się przenosić Jedyne Moc, przeżywając kryzys, co udawało się tylko jednej na cztery. Takie kobiety zazwyczaj budują bariery mentalne wokół wiedzy dotyczącej tego, co rzeczywiście robią, ale kiedy uda się przełamać owe bariery, wówczas taka kobieta może znaleźć się wśród najpotężniejszych z przenoszących. Przydomku tego używa się często w pogardliwy sposób.

**Elaida (eh-LY-da):** Aes Sedai z Czerwonych Ajah. Była doradczyni Morgase, Królowej Andoru. Czasami potrafi głosić przepowiednie.

**Elayne (ee-LAIN):** Córka Królowej Morgase, Dziedziczka Tronu Andoru. Obecnie jedna z Przyjętych. Jej godłem jest złota lilia.

**Fałszywy Smok:** Imię nadawane różnym mężczyznom, którzy utrzymywali, że są Smokiem Odrodzonym. Kilka takich postaci było powodem wybuchu wojen, wciągających wiele narodów. Na przestrzeni stuleci większość z nich nie potrafiła korzystać z Jedynej Mocy, niemniej jednak niektórzy rzeczywiście byli w stanie to osiągnąć. Wszyscy albo znikali, albo brano ich do niewoli i zabijano, zanim spełnili którekolwiek z prorocत्व dotyczących Odrodzenia Smoka. Do najpotężniejszych, spośród tych, którzy potrafili przenosić, zaliczali się Raolin Darksbane (335–362 OP), Yurian Stonebow (ok. 1300–1308 OP), Davian (WR 351), Guaire Amalasan (WR 939–43) i Logain (997 NE). Patrz także: Smok Odrodzony; Wojna Drugiego Smoka.

**Far Dareis Mai (FAHR DAH-rize MY):** Dosłownie „Panny Włóczni”. Jedna ze społeczności wojowników Aiel; w odróżnieniu od innych przyjmuje w swe szeregi tylko i wyłącznie kobiety. Żadna Panna nie może wyjść za mąż i po zostać członkinią społeczności, nie może także walczyć, jeśli spodziewa się dziecka. Każde dziecko urodzone przez Pannę jest oddawane na wychowanie innej kobiecie, w taki sposób, by nikt się nie dowiedział, kim była matka dziecka. („Nie będziesz należała do żadnego mężczyzny ani żaden mężczyzna nie może należeć do ciebie. Włócznia jest twym kochankiem, twym dzieckiem i twym życiem”). Patrz także: Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

**Forteca Światłości:** Wielka forteca Synów Światłości, znajdująca się w Amadorze (AH-mah-door), stolicy Amadicii (AH-mah-DEE-cee-ah). Istnieje ktoś taki jak król Amadicii, faktycznie jednak władzę sprawują Synowie Światłości. Patrz również: Synowie Światłości.

**Gaidin (GYE-deen):** Dosłownie „Brat Bitew”. Tytuł, który Aes Sedai nadają Strażnikom. Patrz również: Strażnik.

**Galad (gah-LAHD):** Patrz: Damodred, lord Galadedrid. Gaul (GAHWL): Aiel ze szczepu Imran, Shaarad Aiel, *Shae'en M'taal*, którzy pozostają w waśni krwi z Goshien. Kamienny Pies.

**Gaul (GAHWL):** Aiel ze szczepu Imran z Shaarad, *Shae'en M'taal*, Kamiennych Psów.

**Gawyn (GAH-wihn) z Dynastii Trakand (trak-KAND):** Syn Królowej Morgase i brat Elayne, który będzie Pierwszym Księciem Miecza, gdy Elayne zasiądzie na tronie. Jego godłem jest biały dzik.

**Gra Domów:** Nazwa nadana knowaniom, spiskom i manipulacjom uprawianym przez arystokratyczne domy. Wysoko ceni się wyrafinowanie polegające na dążeniu do jednej rzeczy pod pozorem, że dąży się do innej, a także osiągnięcie celu przy użyciu najskromniejszych, niedostrzegalnych dla innych środków. Określana także Wielką Grą, a czasami nazwą wziętą z Dawnej Mowy: *Daes Dae'mar* (DAH-ess day-MAR).

**Grzbiet Świata:** Wysokie pasmo górskie z bardzo niewielką liczbą przełęczy, które dzieli Pustkowie Aiel od ziem położonych na zachodzie.

**Hajd:** jednostka miary powierzchni, równa kwadratowi o boku wynoszącym sto kroków.

**Hawkwing, Artur:** Legendarny król (lata panowania WR 943–994), który zjednoczył wszystkie ziemie na zachód od Grzbietu Świata, a także niektóre krainy położone za Pustkowie Aiel. Wysłał nawet wojska za ocean Aryth (WR 992), jednakże po jego śmierci utracono z nimi wszelki kontakt, co wywołało Wojnę Stu Lat. Jego godłem był złoty jastrząb w locie. Patrz również: Wojna Stu Lat.

**Illian (IHL-lee-ahn):** Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Burz, stolica kraju o tej samej nazwie.

**Iluminatorów, Guildia:** Społeczność, która przechowuje tajemnicę wytwarzania fajerwerków. Tajemnica strzeżona jest tak ściśle, że jej zdrayca może nawet

zostać zabity. Nazwa Guildia pochodzi od wielkich przedstawień zwanych Iluminacjami, które przygotowuje się dla władców lub, czasami, najznacześniejszych arystokratów. Mniej okazałe fajerwerki sprzedawane są na wolnym rynku, zawsze jednak z dołączeniem ścisłej instrukcji i ostrzeżenia przed nieszczęściem, jakie może wyniknąć z próby zbadania, co znajduje się w środku. Kapitularz Guildii znajduje się w Tanchico, stolicy Tarabon. Guildia ustanowiła jeszcze jeden kapitularz w Cairhien, ale ten już nie funkcjonuje.

**Ishamael (ih-SHAH-may-EHL):** W Dawnej Mowie „Zdrajca Nadziei”. Jeden z Przeklętych. Przydomek nadany przywódcy tych Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas wojny o Cień. Mówi się, że nawet on zapomniał swoje prawdziwe imię. Patrz także: Przeklęci.

**Jedyna Moc:** Moc przenoszona z Prawdziwego Źródła. Przeważająca większość ludzi jest całkowicie niezdolna do przenoszenia Jedynej Mocy. Niewielu z nich można nauczyć przenoszenia jej, a zupełnie nieznana liczba ma tę zdolność wrodzoną. Tych nielicznych nie trzeba uczyć, dotyczą Prawdziwego Źródła i przenoszą Moc, czy tego chcą czy nie, być może nawet sobie nie uświadamiając, co robią. Ta wrodzona zdolność objawia się zazwyczaj pod koniec okresu dojrzewania lub tuż po osiągnięciu dojrzałości. Jeżeli taki człowiek nie zostanie nauczony kontroli albo uczy się sam (co jest nadzwyczaj trudne, sukces osiąga jedynie jedna na cztery osoby), jego śmierć jest pewna. Od Czasu Szaleństwa żaden mężczyzna nie potrafił przenosić Mocy i nie popaść w rezultacie w straszliwy obłąd, a następnie, nawet jeśli nabył odrobinę umiejętności kontrolowania, to umierał na wyniszczającą chorobę, która powoduje, że cierpiący na nią gnije za życia — chorobę, podobnie jak obłąd, powodowała skaza, jaką Czarny dotknął *saidina*. Patrz również: Przenosić Jedyną Moc, Czas Szaleństwa, Prawdziwe Źródło.

**Kamienne Psy:** Patrz: Społeczności Wojowników Aiel.

**Kamień Łzy:** Wielka forteca w mieście Łza, o której powiada się, iż wzniesiono ją wkrótce po Pęknięciu Świata, oraz że do jej zbudowania użyto Jedynej Mocy. Była oblegana i atakowana wielokrotnie, zawsze jednak bez powodzenia. Proroctwa Smoka wymieniają Kamień dwukrotnie. W jednym miejscu powiedziane jest, że Kamień nie padnie, dopóki nie nadejdzie Lud Smoka. W kolejnym miejscu Proroctwa oznajmiają, że Kamień nie zostanie zdobyty, dopóki dłoń Smoka nie ujmie *Callandora*, Miecza Którego Nie Można Dotknąć: Niektórzy sądzą, że te Proroctwa tłumaczą niechęć jaką Wysocy Lordowie darzą Jedyną Moc oraz taireńskie prawo zabraniające przenoszenia. Pomimo owej antypatii, Kamień mieści w sobie kolek-

cję *an'greali* oraz *ter'angreali*, która śmiało może rywalizować ze zbiorami Białej Wieży. Powodem, dla którego gromadzono tę kolekcję, jak powiadają niektórzy, było usiłowanie pomniejszenia prowokacji, jaką stanowiło posiadanie *Callandora*.

**Koło Czasu:** Czas jest Kołem wyposażonym w siedem szprych, każda szprycha to Wiek. Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą, a potem mitem, i są zapomniane wraz z ponownym nadejściem tego Wieku. Wzór Wieku zmienia się nieznacznie za każdym razem, gdy ten Wiek nastaje, i za każdym razem ulega większym zmianom, aczkolwiek jest to zawsze ten sam Wiek.

**Leman (LAY-malm):** Król Cairhien, z Dynastii Damodred, który utracił swój tron i życie podczas Wojny o Aiel. Patrz również: Wojna o Aiel; Avendoraldera.

**Lan, al'Lan Mandragoran (AHL-LAN man-DRAG-or-an):** Strażnik połączony więzią z Moiraine. Niekoronowany król Malkier, Dai Shan i ostatni pozostały przy życiu malkierski lord. Patrz również: Malkier; Moiraine; Strażnik.

**Lanfear (LAN-fear):** W Dawnej Mowie „Córka Nocy”. Jedna z Przeklętych, być może najpotężniejsza po Ishamaelu. W odróżnieniu od pozostałych Przeklętych, sama wybrała dla siebie to imię. Twierdzi się, że Lanfear była zakochana w Lewsie Therinie Telamonie. Patrz również: Przeklęci; Smok.

**Lews Therin Telamon; Lews Therin Kinslayer:** Patrz: Smok. Liandrin (lee-AHN-drihn): Aes Sedai niegdyś z Czerwonych Ajah, rodem z Tarabonu. Obecnie należąca do Czarnych Ajah.

**Liga:** Patrz: miary odległości.

**Loial (LOY-ahl):** syn Arenta, syna Halana: ogir ze Stedding Shangtai.

**Lud Morza:** Bardziej właściwa nazwa Atha'an Miere (a-tha-AHN-mee-AIR), Morski Naród. Mieszkańcy wysp położonych na Oceanie Aryth (AH-rihth) i Morzu Burz, spędzają niewiele czasu na tych wyspach, żyjąc przede wszystkim na statkach. Główna część handlu morskiego jest uprawiana za pomocą statków Ludu Morza.

**Łza:** Kraj położony nad Morzem Burz, a także stolica tego kraju, wielki port. Na sztandarze Łzy widnieją trzy białe półksiężyce na polu w połowie czerwonym, a w połowie złotym. Patrz również: Kamień Łzy.

**Malkier (mahl-KEER):** Kraina, niegdyś należąca do Ziem Granicznych, obecnie wchłonięta przez Ugór. Godłem Malkier był złoty żuraw w locie.

**Manetheren (malm-EHTH-ehr-ehn):** Jeden z dziesięciu krajów, które utworzyły Drugie Przymierze, a także stolica tego kraju. Zarówno miasto, jak i kraj zostały całkowicie zniszczone podczas Wojen z Trollokami.

**Masema (mah-SEE-mah):** Shienarański żołnierz, który nienawidzi Aielów.

**Mayene (may-EHN):** Miasto-państwo nad Morzem Burz, historycznie zależne od Łzy. Bogactwo i niezależność zawdzięcza wiedzy o ławicach ryb olejowych, dzięki której jego produkty rywalizują ekonomicznie z oliwnymi gajami Łzy, Illian oraz Tarabon. Z ryby olejowej i drzew oliwnych pochodzi niemal cała oliwa do lamp. Władcą Mayene jest „Pierwsza z Mayene”. Pierwsze utrzymują, iż są bezpośrednimi spadkobiercami Artura Hawkwinga. Godłem Mayene jest złoty jastrząb w locie na niebieskim tle.

**Merrilin, Thom (MER-rih-lihn, TOM):** Nie tak zwyczajny bard.

**Miary odległości:** 10 cali = 3 dłonie = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga.

**Miary wag:** 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

**Mila:** Patrz: miary odległości.

**Min (MIN):** Młoda kobieta, która potrafi widzieć poświaty otaczające ludzi i czytać z nich.

**Moiraine (mwah-RAIN):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah. Pochodzi z Dynastii Damodred, aczkolwiek nie z linii spadkobierców tronu, wychowała się w Pałacu Królewskim w Cairhien.

**Morgase (moor-GAYZ):** Z Łaski Światłości Królowa Andoru, Obrończyni Królestwa, Opiekunka Ludu, Dziedziczka Dynastii Trakand. Jej godłem są trzy złote klucze. Godłem Dynastii Trakand jest srebrny klucz sklepienia.

**Myrddraal (MUHRD-draal):** Twory Czarne, dowódcy trolloków. Pomiot trolloków, w którym ujawniły się cechy ludzkiej rasy, użyte do stworzenia trolloków, lecz skażone przez zło, dzięki którym powstały trolloki. Fizycznie przypomina człowieka, tyle że nie posiada oczu, ma jednak sokoli wzrok zarówno przy świetle, jak i w mroku. Dysponuje pewnymi mocami wywodzącymi się od Czarnego, między innymi zdolnością do paraliżowania samym swoim widokiem i umiejętnością znikania wszędzie tam, gdzie jest



cień. Jedną z jego nielicznych, poznanych słabości jest niechęć do zanurzania się w płynącej wodzie. W różnych krajach nadano mu różne przydomki, między innymi Półczłowiek, Bezoki, Zaczajony, Człowiek ,Cień i Pomor.

**Nedeal, Corianin:** patrz: Talenty.

**Niall, Pedron (NEYE-awl, PAY-drohn):** Lord Kapitan Komandor Synów Światłości. Patrz również: Synowie Światłości.

**Ogir:** Przedstawiciel rasy Ogirów. Patrz: Ogirowie. Ogirowie (OH-gehr): Rasa niehumanoidalna, charakteryzująca się wysokim wzrostem (dorosły mężczyzna liczył sobie przeciętnie dziesięć stóp), szerokimi, przypominającymi niemalże pyski, nosami oraz długimi uszami, zakończonymi pędzelkami. Żyją na obszarach zwanych *stedding*. Po Pęknięciu Świata (w czasie zwanym przez Ogirów Tułaczką) ich separacja od *stedding* wywołała zjawisko zwane Tęsknotą; Ogir, który zbyt długo pozostaje poza *stedding*, choruje i umiera. Szeroko znani jako wspaniali mularze, którzy po Pęknięciu zbudowali wielkie miasta dla ludzi, sami uważają pracę w kamieniu za zwykłe rzemiosło, którego nauczyli się podczas Tułaczki, nawet w małej części nie tak istotne jak opieka nad drzewami w *stedding*, a szczególnie nad wyniosłymi Wielkimi Drzewami. Kiedy nie mają zleconych prac kamieniarskich, rzadko opuszczają *stedding* i zazwyczaj nie utrzymują żywszych kontaktów z ludzkością. Wśród ludzi wiedza na ich temat jest niewielka i wielu wierzy, iż Ogirowie są jedynie legendą. Chociaż uważa się ich za lud miłujący pokój i niezwykle trudno wpadający w gniew, niektóre dawne opowieści głoszą, iż walczyli u boku ludzi w wojnach z Trollokami, te same opowieści przedstawiają ich jako nieubłaganych w boju dla swych wrogów. Ogólnie rzecz biorąc, mają nadzwyczajne zamiłowanie do wiedzy, a ich księgi i opowieści często zawierają informacje stracone dla ludzkości. Średni czas życia Ogirów jest przynajmniej trzy- lub czterokrotnie dłuższy od ludzkiego. Patrz również: Pęknięcie Świata; *stedding*; Śpiewak Drzew.

**Okrutnik, Stary:** Patrz: Czarny; Dziki Gon.

**Opiekunka Kronik:** Druga w hierarchii władzy po Zasiadającej na Tronie Amyrlin wśród Aes Sedai, spełnia również funkcję sekretarza Amyrlin. Wybierana dożywotnio przez Komnatę Wieży, zazwyczaj wywodzi się z tych samych Ajah co Amyrlin. Nieco mniej formalnie określa się ją jako „Opiekunkę”. Patrz również: Tron Amyrlin; Ajah.

**Ordeith (OHR-deeth):** W Dawnej Mowie „Robaczywe Drzewo”. Imię przybrane przez człowieka, który doradzał Lordowi Kapitanowi Komandorowi Synów Światłości.

**Pęknięcie Świata:** Podczas Czasu Szaleństwa mężczyźni Aes Sedai, którzy popadli w obłąd i potrafili władać Jedyłą Mocą w stopniu obecnie nie znanym, zmienili oblicze ziemi. Spowodowali wielkie trzęsienia, zrównanie górskich łańcuchów, wypiętrzenie nowych gór, powstanie suchych łądów w miejscach, gdzie przedtem były morza, zalanie przez morza dawnych łądów. Wiele części świata uległo całkowitemu wyludnieniu, a ocalali rozproszyli się jak pył na wietrze. O tych zniszczeniach wspomina się w opowieściach, legendach i historii jako o Pęknięciu Świata. Patrz również: Czas Szaleństwa; Stu Towarzyszy.

**Pięć Mocy:** Od Jedynej Mocy ciągną się wątki i każda osoba, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy, może chwytać niektóre wątki lepiej niż inni. Wątki te mają swoje nazwy, pochodzące od tego, co można z nimi zrobić Ziemia, Powietrze, Ogień, Woda i Duch — i nazywa się je Pięcioma Mocami. Każdy władający Jedyłą Mocą nabywa więcej siły dzięki używaniu jednej bądź dwóch z nich, a dzięki innym ową siłę traci. Nieliczni dysponują wielką siłą dzięki użyciu trzech mocy, niemniej jednak od Wieku Legend nikt nie zdobył wielkiej siły dzięki wszystkim pięciu. Nawet wtedy były to niezmiernie rzadkie przypadki. Zasięg tej siły jest różny w zależności od danej osoby, tak więc ci, którzy potrafią z niej korzystać, bywają znacznie silniejsi od innych. Wykonywanie pewnych czynności przy użyciu Jedynej Mocy wymaga zdolności władania jedną lub więcej z Pięciu Mocy. Na przykład rozpalanie lub okiełznanie ognia wymaga Ognia, a wywieranie wpływu na pogodę wymaga Powietrza i Wody, z kolei Uzdrawianie potrzebuje Wody i Ducha. O ile Ducha wykrywano zarówno u mężczyzn jak i u kobiet, wielkie zdolności w odniesieniu do Ziemi i/lub Ognia wykrywano częściej u mężczyzn, a w odniesieniu do Wody i/lub Powietrza u kobiet. Zdarzają się wyjątki, często jednak uważano Ziemię i Ogień za Moce męskie, natomiast Powietrze i Wodę za żeńskie. Zasadniczo nie uważa się, by któraś z tych zdolności była silniejsza od pozostałych, mimo że Aes Sedai znają powiedzenie: „Nie ma takiej skały, której woda i wiatr naruszyć nie mogą, nie ma ognia tak dzikiego, by woda nie mogła go ugasić albo wiatr zdmuchnąć”. Warto zauważyć, że tego powiedzenia zaczęto używać wiele lat po śmierci ostatniego Aes Sedai. Podobne powiedzenia używane przez Aes Sedai mężczyzn zginęły dawno temu.

**piędź:** Patrz: miary odległości.

**Płomień Tar Valon:** Symbol Tar Valon, Tronu Amyrlin i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łąza ustawiona czubkiem do góry.

**Podróże Jaima Długi Krok:** Bardzo znana księga zawierająca zbiór opowieści

i obserwacji podróżniczych autorstwa sławnego pisarza i podróżnika malierskiego. Wydrukowano ją po raz pierwszy w 968r. NE i wielokrotnie ją potem wznawiano. Jaim Długi Krok zniknął krótko po wojnie o Aiel i powszechnie uważa się, że zginął.

**Poskramianie:** Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłąd pod wpływem skaży na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem, zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można zapobiec śmierci. Patrz również: Jedyna Moc; Ujarzmianie.

**Półczłowiek:** Patrz: Myrddraal.

**Prakamień:** Niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta w celu jego rozbicia zostaje wchłonięta, sprawiając, że prakamień staje się jeszcze mocniejszy.

**Prawdziwe Źródło:** Siła napędzająca świat, która obraca Kołem Czasu. Jest podzielona na męską połowę (*saidin*) i żeńską połowę (*saidar*), które jednocześnie pracują razem i przeciwko sobie. Jedynie mężczyzna może czerpać moc z *saidina*, kobieta zaś z *saidara*. Na początku Czasu Szaleństwa *saidin* został skażony przez dotknięcie Czarnego. Patrz również: Jedyna Moc.

**Proroctwa Smoka:** Niewiele wiadomo i niewiele się mówi o Proroctwach, podanych w *Cykle Karaethon*. Przepowiadają one, że Czarny ponownie się uwolni i wtedy dotknie świat, oraz że Lews Therin Telamon, Smok, Sprawca Pęknięcia Świata, odrodzi się, by stoczyć Tarmon Gai'don, Ostatnią Bitwę z Cieniem. Patrz również: Smok.

**Przekleci:** Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai Wieku Legend, jednym z najpotężniejszych jacy kiedykolwiek żyli, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Zgodnie z legendą, a także szcątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Nadane im imiona do dziś wykorzystuje się w celu straszenia dzieci. Oto one: Aginor (AGH-ih-nor), Asmodean (ahs-MOH-dee-an), Balthamel (BAAL-thah-mell), Be'lal (BEH-lahl), Demandred (DEE-man-drehd), Graendal (GREHN-dahl), Ishamael (ih-SHAH-may-EHL), Lanfear

(LAN-feer), Mesaana (meh-SAH-nah), Moghedien (moh-GHEH-dee-ehn), Rahvin (RAAV-ihn), Sammael (SAHM-may-EHL) oraz Semirhage (SEH-mih-RHAHG).

**Przekłete Ziemie:** Bezлюдne tereny otaczające Shayol Ghul, za Wielkim Ugorem.

**przenosić Jedyłą Moc:** (*czasownik*) kontrolować przepływ Jedynej Mocy. Patrz również: Jedyła Moc.

**Przyjęta:** Młoda kobieta, studiująca i ćwicząca w celu zostania Aes Sedai, która osiągnęła już pewien stopień opanowania Mocy i przeszła określone próby. Normalnie wyniesienie z nowicjatu do godności Przyjętej zajmuje pięć do dziesięciu lat. Przyjęte są do pewnego stopnia mniej ograniczone regułą niżli nowicjuszek, pozwala im się również, w pewnych granicach, samym dobierać przedmioty studiów. Przyjęte mają prawo do noszenia pierścienia z Wielkim Wężem, ale jedynie na środkowym palcu lewej dłoni. Kiedy Przyjęta wynoszona jest do godności Aes Sedai, wybiera swoje Ajah, uzyskuje prawo do noszenia szala i może nosić pierścień na każdym palcu lub nie nosić wcale, jeśli usprawiedliwiają to okoliczności.

**Przymierze Dziesięciu Narodów:** Unia powstała po Pęknięciu Świata (około 300 OP), gdy na nowo tworzyły się kraje, w celu pokonania Czarnego. Przymierze rozpadło się po Wojnach z Trollokami. Patrz również: Wojny z Trollokami.

**przysięgi, trzy:** Przysięgi składane przez Przyjętą wynoszona do godności Aes Sedai. Podczas ceremonii Przyjęta trzyma w dłoni Różdkę Przysięg, *ter'angreal*, który czyni przysięgę wiążącą. Sens przysięg jest następujący: (1) Nie wypowiadać żadnych innych słów prócz prawdy. (2) Nie wytwarzać żadnej broni, za pomocą której jeden człowiek mógłby zabić drugiego. (3) Nigdy nie używać Jedynej Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia, albo w ostateczności zagrożenia własnego życia, życia Strażnika lub innej Aes Sedai. Druga przysięga, która jest historycznie pierwsza, była efektem Wojny z Cieniem. Pierwsza przysięga, jeżeli traktować ją literalnie, daje się częściwo przynajmniej ominąć, dzięki ostrożnemu dobieraniu słów. Sądzi się jednak, iż pozostałe dwie są nienaruszalne.

**Psy Czarnego:** Patrz: Dziki Gon

**Pustkowie Aiel:** Dzika, nierówna i zupełnie pozbawiona wody kraina na wschód od Grzbietu Świata. Przez Aielów zwana Ziemią Trzech Sfer. Niewielu ludzi z zewnątrz odważa się zapuszczać w głąb Pustkowie, nie tylko dlatego,

że ktoś, kto się tam nie urodził, nie jest w stanie znaleźć wody, lecz również dlatego, że Aielowie uważają, iż prowadzą wojnę z innymi narodami i niechętnie witają obcych. Wkraczać tam bezpiecznie mogą jedynie handlarze, bardowie oraz Tuatha'nowie, ale kontaktu z tymi ostatnimi Aielowie unikają, określając ich mianem „Zatraconych”. Nic nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek map Pustkowie.

**Rhuarc (R HOURK):** Aiel, wódz klanu z Taardad Aiel.

**Rogosh Sokole Oko:** legendarny bohater wymieniany w wielu dawnych opowieściach.

**Róg Valere (vah-LEER):** Legendarny cel Wielkiego Polowania na Róg. Uważa się, iż można nim wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem. Obecnie w Illian ogłoszono nowe Polowanie na Róg i zaprzysiężono Myśliwych.

**Sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl):** Pozostałości Wieku Legend, które pozwalają posiadającej je osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy niż to w innym przypadku możliwe albo bezpieczne. *Sa-angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angreala*. Ilość Mocy, którą można zaczerpnąć za pomocą *sa'angreala*, jest porównywalna z ilością Mocy, z której można korzystać za pomocą *angreala* w takim samym stopniu, w jakim ilość Mocy, którą można władać za pomocą *angreala* ma się do ilości Mocy, którą można władać bez wspomaganie. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Egzemplarzy *sa'angreali* pozostała już jedynie garstka, znacznie mniej jeszcze niż *angreali*.

**Saidar, saidin (sah-ih-DAHR, sah-ih-DEEN):** Patrz: Prawdziwe Źródło.

**Saldaea (sahl-DAY-ee-ah):** Jeden z krajów należących do Ziemi Granicznych.

**Seanchan (SHAWN-CHAN):** Kraina, z której przybyli Seanchanie.

**Seanchanie:** Potomkowie armii wysłanych przez Artura Hawkwinga na drugi brzeg Oceanu Aryth, którzy powrócili, by ponownie przejąć we władanie ziemie swych przodków.

**Selene (seh-LEEN):** Imię, którym Przekłęci nazywają Lanfear.

**Serce Kamienia:** Patrz: *Callandor*.

**Shadar Logoth (SHAH-dahr LOH-goth):** Miasto opuszczone i omijane przez ludzi od czasu wojen z Trollokami. Jest to skażony teren, nawet najmniejszy kamyk jest niebezpieczny.

**Shai'tan (SHAY-ih-TAN):** Patrz: Czarny.

**Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOOL):** Góra w Ziemiach Przeklętych, teren więzienia Czarnego.

**Sheriam (SHEER-ee-ahm):** Aes Sedai, należąca do Błękitnych Ajah. Mistrzynie Nowicjuszek w Białej Wieży.

**Siuan Sanche (SWAHN SAHN-chay):** Córka taireńskiego rybaka, która zgodnie z taireńskim prawem, została wsadzona na statek płynący do Tar Valon przed drugim zachodem słońca po odkryciu, że posiada umiejętność korzystania z Mocy. Należała do Błękitnych Ajah. Wyniesiona na Tron Amyrlin w 985 roku NE.

**Skoczek:** Wilk.

**Sług, Komnata:** W Wieku Legend wielka komnata, w której spotykali się Aes Sedai.

**Smok:** Przydomek, pod jakim Lews Therin Telamon był znany podczas Wojny z Cieniem. Kierowany obłędem, jaki ośwładał wszystkimi mężczyznami Aes Sedai, Lews Therin zabił wszystkich, w żyłach których płynęła choć kropla jego krwi, a także wszystkich, których kochał, zyskując sobie w ten sposób miano Zabójcy Rodu. Patrz również: Smok Odrodzony; Fałszywy Smok, Proctwa Smoka.

**Smok Odrodzony:** Zgodnie z Proroctwami Smoka, człowiek który jest Odrodzonym Lewsem Therinem Zabójcą Rodu. Patrz również: Smok, Fałszywy Smok: Proctwa Smoka.

**społeczności wojowników Aiel:** Wszyscy wojownicy Aiel są członkami społeczności, takich jak Kamienne Psy (*Shae'en M'taal*), Czerwone Tarcze (*Aethan Dor*) albo Panny Włóczni (*Far Dareis Mai*). Każda społeczność posiada własne obyczaje, niekiedy poświęca się wypełnianiu specyficznych obowiązków. Na przykład Czerwone Tarcze funkcjonują jako rodzaj policji. Kamienne Psy często pełnią rolę tylnej straży podczas odwrotu, Panny zaś wykorzystywane są jako zwiadowcy. Klany Aielów często walczą między sobą, jednakże członkowie tej samej społeczności nie prowadzą z sobą walki, nawet jeśli robią to ich klany. Dzięki temu klany zawsze utrzymują z sobą kontakt, mimo otwartej waśni. Patrz również: Aiel; Pustkowia Aiel; Far Dareis Mai.

**Sprzymierzeńcy Ciemności:** Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody, a nawet nieśmiertelność, po tym, jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia.

**Stary Okrutnik:** Patrz: Czarny.

**stedding (STEHD-ding):** Ojczyzna ogirów (OH-geer). Wiele *stedding* zostało porzuconych po Pęknięciu Świata. W jakiś sposób, obecnie już nie pojmowany, są zabezpieczone, dzięki czemu żadna Aes Sedai nie potrafi w nich korzystać z Jedynej Mocy ani nawet wyczuwać istnienia Prawdziwego Źródła. Próby władania Jedyną Mocą z zewnątrz *stedding* nie przyniosły żadnych efektów wewnątrz granic *stedding*. Żaden trollok nie wejdzie do *stedding*, chyba że zostanie tam zapędzony, nawet Myrddraal robi to tylko pod wpływem najwyższej potrzeby, a i wtedy z niechęcią i obrzydzeniem. Nawet Sprzymierzeńcy Światłości, jeśli są naprawdę oddani, czują się nieswojo w *stedding*.

**Strażnik:** Wojownik połączony zobowiązaniem z Aes Sedai. Zobowiązanie zostaje utrwalone za pomocą Jedynej Mocy, dzięki czemu Strażnik jest obdarzony zdolnością szybkiego odzyskiwania zdrowia, długiego obywatelstwa bez jedzenia, wody albo wypoczynku, a także wyczuwania z dużej odległości skazy Czarnego. Dopóki dany Strażnik żyje, dopóty Aes Sedai, z którą jest połączony zobowiązaniem, wie, że on żyje, niezależnie od tego, jak duża dzieli ich odległość, gdy zaś umiera, Aes Sedai zna dokładnie moment i sposób, w jaki umarł. Więz zobowiązania nie mówi jej natomiast, jak daleko od niej znajduje się Strażnik, ani też w której stronie świata. Większość Aes Sedai jest zdania, że mogą być połączone zobowiązaniem z jednym tylko Strażnikiem, przy czym Czerwone Ajah nie chcą więzi z żadnym, natomiast Zielone Ajah uważają, że Aes Sedai może być połączona więzią z tyloma Strażnikami, z iloma tylko zechce. Zgodnie z etyką Strażnik winien wyrazić zgodę na połączenie go zobowiązaniem, znane są jednak przypadki, gdy czyniono to wbrew woli. To, co Aes Sedai zyskują dzięki więzi zobowiązania, jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Patrz również: Aes Sedai.

**Stu Towarzyszy:** Stu Aes Sedai mężczyzn, najpotężniejszych z całego Wieku Legend, którzy pod wodzą Lewsa Therina Telamona dokonali ostatecznego uderzenia, kończącego Wojnę z Cieniem poprzez ponowne zapiecztowanie Czarnego w jego więzieniu. Przeciwuuderzenie Czarnego skazyło *saidina*; Stu Towarzyszy popadło w obłęd i spowodowało Pęknięcie Świata. Patrz również: Czas Szaleństwa; Jedyna Moc; Pęknięcie Świata; Prawdziwe Źródło.

**Synowie Światłości:** Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu pokonania Czarnego i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założona podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara (LOHthayr MAHN-tee-LAHR) w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, przekształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zrzeszającą ludzi całkowicie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniste słońce na białym tle. Patrz również: Śledczy.

**Szary Człowiek:** Ktoś, kto dobrowolnie wyrzekł się swej własnej duszy, aby zostać mordercą w służbie Cienia. Szarzy Ludzie wyglądają tak powszednio i zwyczajnie, że wzrok może prześlizgnąć się po nich, nie odnotowując ich obecności. Przytłaczającą większość Szarych Ludzi stanowią mężczyźni, ale w niewielkiej liczbie występują wśród nich również kobiety. Zwani również Bezdusznymi.

**Śledczy:** Społeczność należąca do Synów Światłości. Ich celem jest odkrywanie prawdy na drodze dysput i demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości, w najlepszy ich zdaniem sposób, są jeszcze bardziej gorliwi niż pozostali Synowie Światłości. Ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest zadawanie tortur, zazwyczaj z góry znają prawdę i potrzebują tylko zmusić swoją ofiarę do jej wyznania. Śledczy nazywają samych siebie Ręką Światłości i czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Pomazańców, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, który zasiada w Radzie Pomazańców. Ich godłem jest kij pasterski barwy krwi.

**Śniący:** Patrz: talenty.

**talenty:** Zdolności używania Jedynej Mocy w różnych dziedzinach. Najlepiej spośród nich znanym jest, oczywiście, uzdrawianie. Niektóre, takie jak Podróżowanie, zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez konieczności pokonywania dzielącej je przestrzeni, zostały utracone. Inne, jak wróżenie (zdolność przepowiadania przyszłych wydarzeń, ale w sposób ogólny i wysoce abstrakcyjny), występują obecnie niezwykle rzadko. Kolejnym talentem, o którym długo myślano, iż został zapomniany, jest śnienie, które zawiera w sobie, między innymi, zdolność przepowiadania przez Śniącego przeszłości w sposób znacznie bardziej szczegółowy niż podczas wróżenia.



Niektórzy Śniący posiadają umiejętność wejścia do *Tel'aran'rhiod*, Świata Snów oraz (jak się twierdzi) w sny innych ludzi. Ostatnią znaną Śniącą była Corianin Nedeal, która zmarła w roku 526 NE.

**ta'maral'aillen (tah-MAHR-ahl-EYE-lehn):** W Dawnej Mowie „Splot Przeznaczenia”. Wielka zmiana we Wzorze Wieku, której ośrodkiem jest jeden lub kilku ludzi będących *ta'veren*. Patrz również: *ta'veren*; Wzór Wieku.

**Tanreall, Artur Paendrag (tahn-REE-ahl, AHR-tuhr PAYehn-DRAG):** Patrz: Hawkwing, Artur.

**Tarmon Gai'don (TAHR-mohn GAY-dohn):** Ostatnia Bitwa. Patrz również: Smok; Proroctwa Smoka; Róg Valere.

**ta'veren (tali-VEER-ehn):** Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi, tworząc w ten sposób Splot Przeznaczenia. Patrz również: Wzór Wieku.

**Telamon, Lews Therin (TEHL-ah-mon, LOOZ THEH-rihn):** Patrz: Smok.

**Tel'aran'rhiod (tel-AYE-rah-rhee-ODD):** W Dawnej Mowie „Niewidzialny Świat” albo „Świat Snów”. Realność dostępna jedynie fragmentarycznie w snach, o której starożytni sądzili, że przenika i otacza wszystkie pozostałe możliwe światy. W przeciwieństwie do zwykłych snów, to, co przydarza się żywym istotom w Świecie Snów, jest najzupełniej rzeczywiste, otrzymana tam rana nie zniknie po przebudzeniu, a ktoś, kto umrze w *Telaran'rhiod*, nie obudzi się wcale.

**Ter'angreal (TEER-ahn-GREE-ahl):** Jedna z kilku pozostałości po Wieku Legend, służących do korzystania z Jedynej Mocy. W odróżnieniu od *angreala* i *sa'angreala*, każdy *ter'angreal* został wykonany w specyficznym celu. Istnieje na przykład taki, który sprawia, iż przysięgi, składane przez osobę wprowadzoną do jego wnętrza, stają się wiążące. Niektóre są używane przez Aes Sedai, aczkolwiek ich pierwotne przeznaczenie jest zasadniczo nie znane. Są też takie, które mogą zabić zdolność do przenoszenia Mocy u kobiety, która ich użyje. Patrz również: *angreal*; *sa'angreal*.

**Tigraine (tee-GRAIN):** Jako Dziedziczka Tronu Andor poślubiła Taringaila Damodreda i urodziła mu syna Galadedrida. Jej zniknięcie w 972 NE, krótko po tym, gdy jej brat Luc zaginął w Ugorze, wywołało w Andorze zbrojny spór zwany Sukcesją i stanowiło przyczynę wydarzeń w Cairhien, które ostatecznie wywołały wojnę o Aiel. Jej godłem była kobieca dłoń, ściskająca kolczastą gałązkę krzewu różanego kwitnącego na biało.

**Trolloki (TRAHL-lohks):** Istoty stworzone przez Czarnego podczas Wojny o Cień. Potężnego wzrostu, nadzwyczaj podstępne, stanowią skrzyżowanie zwierząt z rasą ludzką i zabijają dla czystej przyjemności zabijania. Przebiegłe, zakłamate i zdradzieckie, nieufne tylko wobec tych, których się boją. Dzielią się na podobne do plemion bandy, główne to Ahf'frait, Al'ghol, Bhan'sheen, Dha'vol, Dhaj'mon, Dhjin'nen, Ghar'ghael, Ghob'hlin, Gho'hlem, Ghraem'lan, Ko'bal i Kno'mon.

**Tron Amyrlin (AHM-ehr-lin):** ( 1 ) tytuł przywódczyni Aes Sedai. Przyznawany dożywotnio przez Komnatę Wieży, najwyższą Radę Aes Sedai, w skład której wchodzi po trzy przedstawicielki wszystkich siedmiu Ajah (zwane zasiadającymi). Tron Amyrlin dzierży, przynajmniej w teorii, nieomal nadrzedną władzę nad wszystkimi Aes Sedai. Rangą dorównuje tytułowi królewskiemu. (2) tron, na którym zasiada przywódczyni Aes Sedai.

**Tuatha'an (too-AH-thah-AHN):** Wędrowny lud, znany również jako Druciarze i Lud Wędrowców, który mieszka w jaskrawo pomalowanych wozach i wyznaje pacyfistyczną filozofię, zwaną Drogą Liścia. Rzeczy naprawione przez Druciarzy są często lepsze od nowych. Należą do tych nielicznych, którzy mogą bez przeszkód przeprawić się przez Pustkowie Aiel, Aielowie bowiem unikają wszelkich z nimi kontaktów.

**Ugór:** Patrz: Wielki Ugór.

**Ujarmianie:** Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania kobiety, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Kobieta, która została ujarmiona, nadal wyczuwa Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Robi się to tak rzadko, że nowicjuszkom każe się uczyć na pamięć imion oraz zbrodni popełnionych przez kobiety, które zostały ujarmione. Oficjalnie ujarmienie jest następstwem procesu i wyroku za popełnioną zbrodnię. Kiedy zdarza się przypadkowo, zwane jest wypaleniem. W praktyce jednak termin ujarmienie stosuje się do obu sytuacji.

**Verin Mathwin (VEHR-ihn MAH-thwihn):** Aes Sedai należąca do Brązowych Ajah.

**Wędrowcy:** Patrz: Tuatha'an.

**Wiedząca:** Kobieta wybierana w wioskach przez Koło Kobiet za jej wiedzę o takich sprawach, jak leczenie i przepowiadanie pogody, jak również za ogólny, zdrowy rozsądek. Stanowisko połączone z wielką odpowiedzialnością i autorytetem, zarówno rzeczywistym, jak i domniemanym. Wiedzącą uważa się na ogół za równą burmistrzowi, podobnie jak Koło Kobiet za równe

Radzie Wioski. W odróżnieniu od burmistrza, Wiedząca jest wybierana dożywotnio i rzadko kiedy pozbawia się ją stanowiska. W zależności od kraju może używać innego tytułu, na przykład Prowadząca, Uzdrawiająca, Mądra Kobieta albo Wieszcza.

**Wiek Legend:** Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni. Patrz również: Koło Czasu; Pęknięcie Świata; Wojna z Cieniem.

**Wielka Gra:** Patrz: *Daes Dae'mar*.

**Wielki Ugór:** Obszar położony na dalekiej północy, całkowicie zniszczony przez Czarnego. Kryjówka trolloków, Myrddraali i innych stworzeń Czarnego.

**Wielki Wąż:** Symbol czasu i wieczności, starszy niż początek Wieku Legend, przedstawiający węża pożerającego własny ogon. Pierścień w kształcie Wielkiego Węża dawany jest tym kobietom, które Aes Sedai wyniosły do godności Przyjętej.

**Wielki Władca Ciemności:** Przydomek, którego Sprzymierzeńcy używają, mówiąc o Czarnym, i twierdzą, że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

**Wielkie Polowanie na Róg:** Cykl opowieści na temat legendarnych poszukiwań Rogu Valere w latach od zakończenia Wojen z Trollokami do początku Wojny Stu Lat. Opowiedzenie całego cyklu zabrałoby wiele dni. Patrz również: Róg Valere.

**Władcy Strachu:** Ci mężczyźni i kobiety, którzy, zdolni do korzystania z Jedynej Mocy, przeszli na stronę Cienia podczas Wojen z Trollokami, prowadząc działalność jako dowódcy wojsk trolloków.

**Wojna z Aielami:** (976–978 NE) Kiedy król Cairhien, Laman, ściał Avendoralderę, kilka klanów Aiel przekroczyło Grzbiet Świata. Złupili i spalili stolicę Cairhien, podobnie zresztą jak wiele innych miast i miasteczek, a konflikt rozszerzył się na tereny Andoru i Łzy. Powszechny pogląd głosi, że Aielowie zostali na koniec pokonani w Bitwie pod Lśniącymi Murami, pod Tar Valon, ale w rzeczywistości w tej bitwie zginął Laman, a spełniwszy swój zamiar, Aielowie wrócili za Grzbiet Świata. Patrz również: *Avendoraldera*; Cairhien.

**Wojna Drugiego Smoka:** Wojna toczona (FY 939–943) przeciwko fałszywemu Smokowi Guaire Amalasanowi. Podczas tej wojny młody król Artur Tanreall Paendrag, później znany jak Artur Hawkwing, wzniósł się ku swej miażdżącej sławie.

**Wojna o Moc:** Patrz: Wojna z Cieniem.

**Wojna Stu Lat:** Ciąg nakładających się w czasie wojen między wiecznie zmieniającymi się sojuszami, których wybuch przyśpieszyła śmierć Artura Hawkwinga i wynikła z niej walka o jego imperium. Trwała od WR 994 do WR 1117. Wojna ta była przyczyną wyludnienia dużych obszarów ziem położonych między Oceanem Aryth i Pustkowiec Aiel, od Morza Burz do Wielkiego Ugoru. Zasięg zniszczeń był tak ogromny, iż ocalały jedynie fragmentaryczne zapiski z tamtych czasów. Imperium Artura Hawkwinga zostało rozdarte na mniejsze części podczas tych wojen, dając początek krainom istniejącym obecnie. Patrz również: Artur Hawkwing.

**Wojna z Cieniem:** Znana również jako Wojna o Moc, zakończyła Wiek Legend. Zaczęła się krótko po próbie wyzwolenia Czarnego i wkrótce ogarnęła cały świat. W świecie, w którym całkowicie zapomniano o wojnie, odkryto na nowo każde jej oblicze, często wypaczone przez dotknięcie Czarnego spoczywające na świecie, jako broni użyto Jedynej Mocy. Wojna zakończyła się przez ponowne zapieczętowanie Czarnego w jego więzieniu. Patrz również: Stu Towarzyszy; Smok.

**Wojny z Trollokami:** Wiele wojen, które rozpoczęły się około 1000 OP i trwały ponad trzysta lat, w trakcie których armie trolloków siały zniszczenie po całym świecie. Ostatecznie trolloków wybito albo zapędzono z powrotem na Ugór, jednak kilka krajów przestało istnieć, inne zaś zostały całkowicie wyludnione. Wszystkie zapisy z tamtych czasów są jedynie fragmentaryczne. Patrz również: Przymierze Dziesięciu Narodów.

**Wysocy Lordowie Łzy:** Działając jako rada, Wysocy Lordowie Łzy stanowią naczelną władzę narodu Łzy, który nie posiada ani króla, ani królowej. Ich liczba nie jest ściśle określona i zmieniała się przez lata od dwudziestu do jedynie sześciu. Nie należy mylić tego tytułu z Lordami Prowincji, którzy stanowią pomniejszą arystokrację tairańską.

**Wyśpiewane Drzewo:** Patrz: Drzewny Pieśniarz.

**Wzór Wiek:** Koło Czasu wplata wątki ludzkich losów we Wzór Wiek, często zwany po prostu Wzorem, który tworzy istotę rzeczywistości dla danego Wiek. Patrz również: *ta'veren*.

**Wzywanie Czarnego:** Wypowiedzenie prawdziwego imienia Czarnego (Shai'tan) powoduje ściągnięcie jego uwagi, nieuchronnie będąc w najlepszym przypadku przyczyną nieszczęścia, w najgorszym klęski. Z tego powodu używa się rozlicznych eufemizmów, takich jak: Czarny; Ojciec

Kłamstw; Ten Który Odbiera Wzrok; Władca Grobu; Pasterz Nocy; Zmora Serc; Jad Serca; Zguba Traw; Ten Który Zabija Liść. O kimś, kto zdaje się kusić los, mówi się, że „wzywa Czarnego”.

**Zabójcy Drzew:** Imię, jakie Aielowie nadali Cairhienianom, wymawiane zawsze tonem pełnym przerażenia i niesmaku.

**Zdrajca Nadziei:** Patrz: Ishamael.

**Zgromadzenie:** Organ władzy w Illian, którego członków wybiera się spośród kupców i właścicieli statków. Jego funkcja polega na doradzaniu Królowi oraz Radzie Dziewięciu. Historia dowodzi jednak, że często rywalizował z nimi w walce o władzę.

**Ziemie Graniczne:** Kraje graniczące z Wielkim Ugorem: Saldaea, Arafel, Kandor i Shienar.